This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

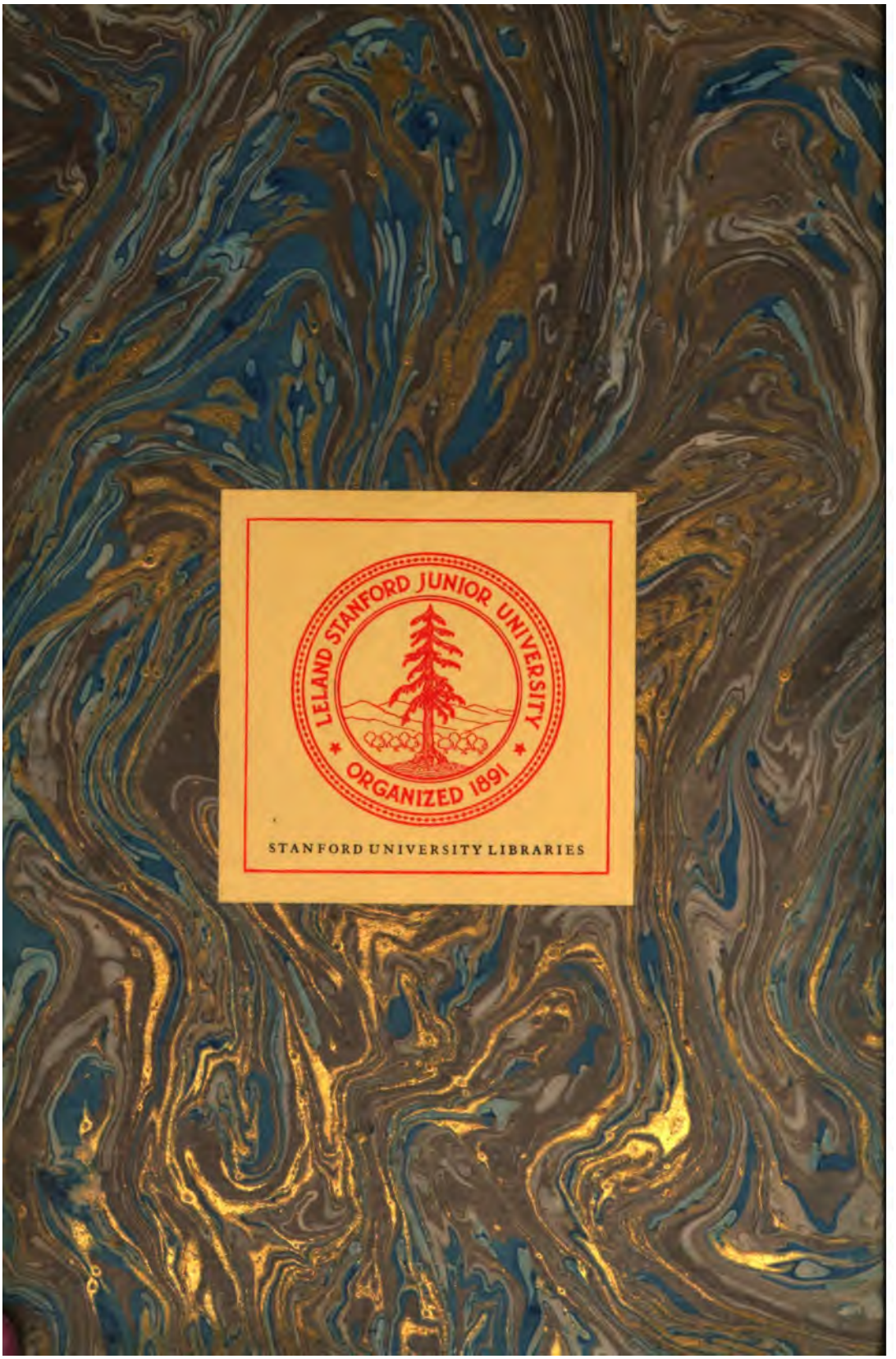
LELAND STANFORD JUNIOR UNIVERSITY
ORGANIZED 1891
STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES

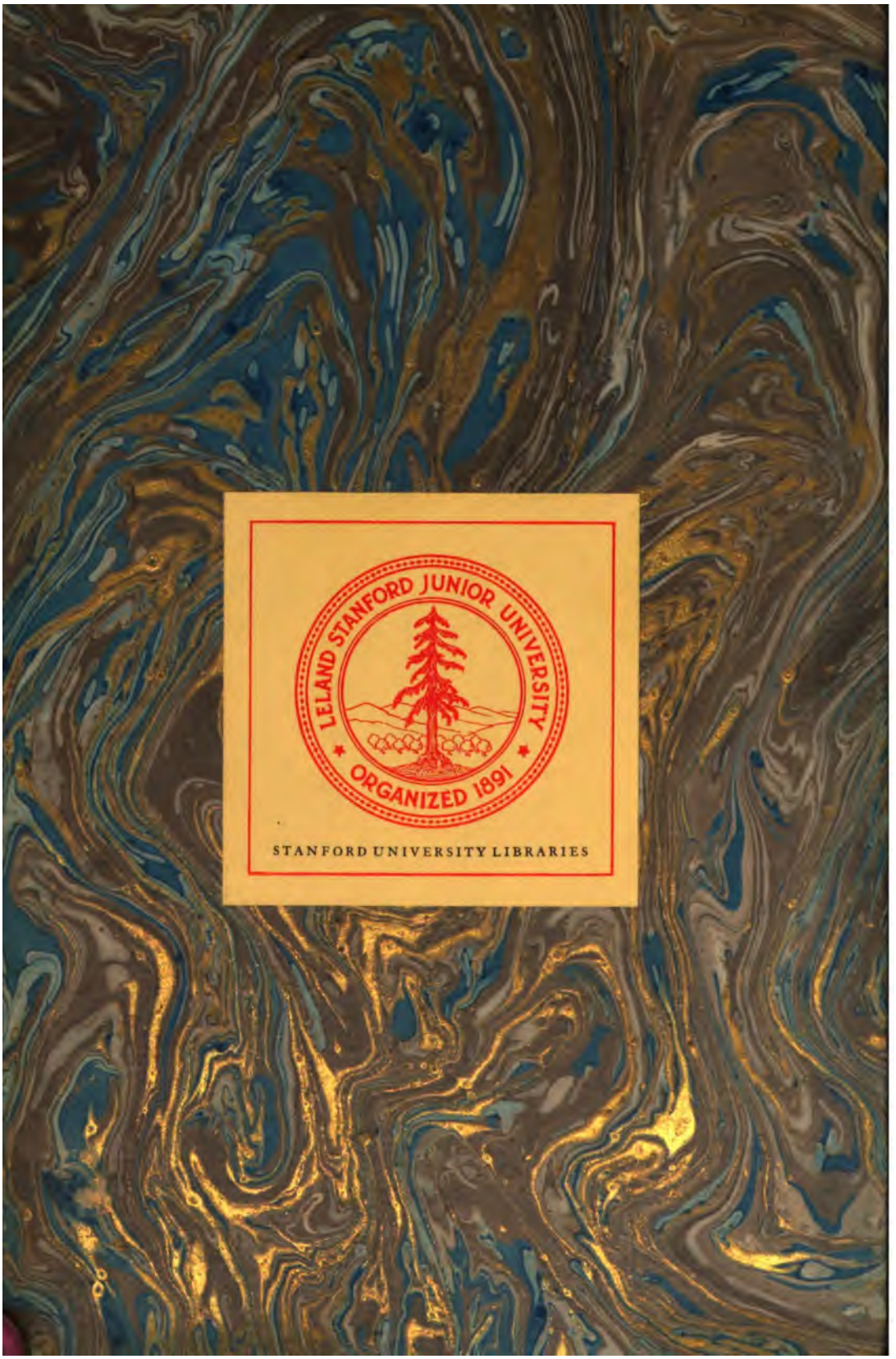
LELAND STANFORD JUNIOR UNIVERSITY
ORGANIZED 1891
STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES

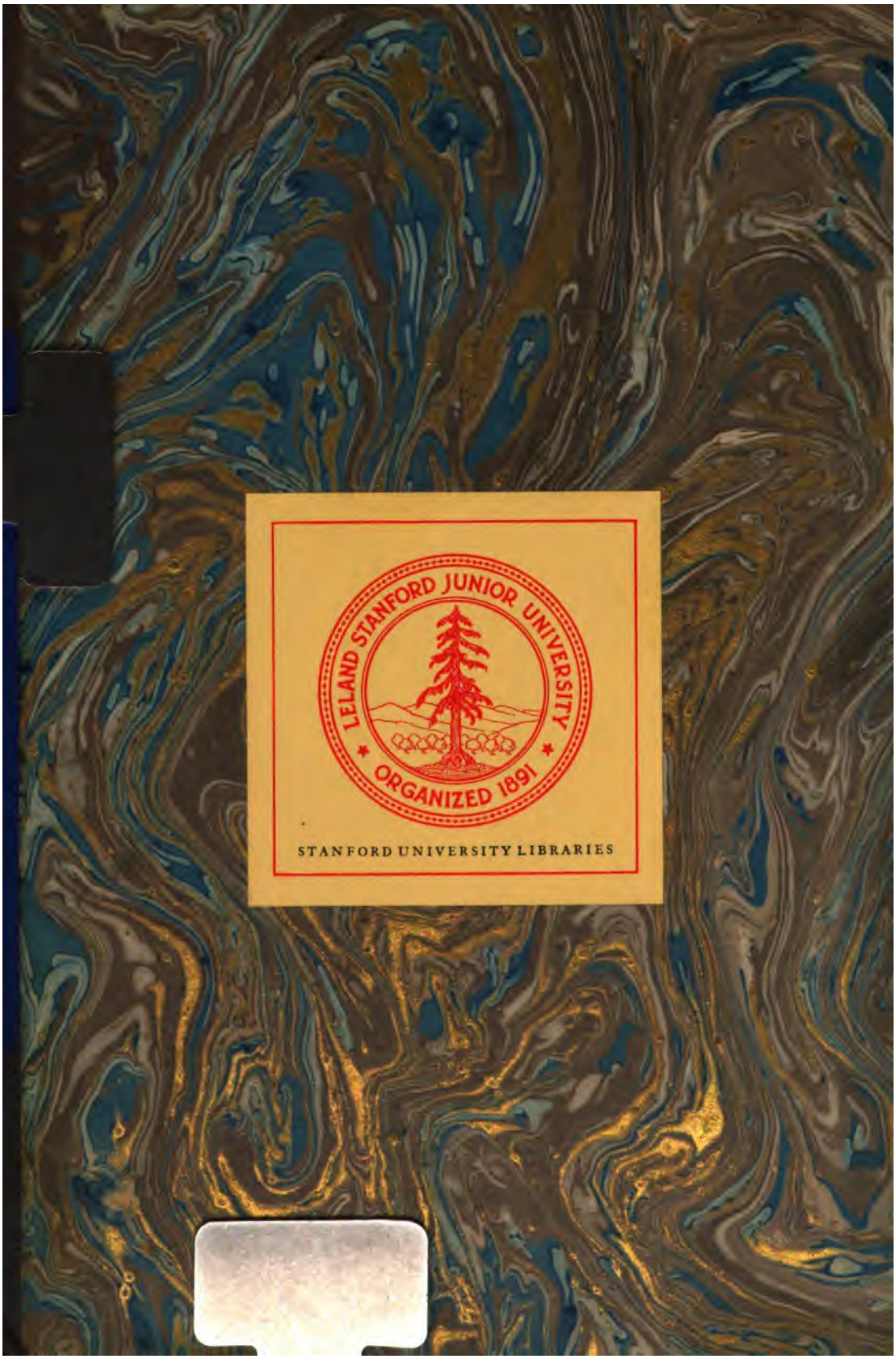
LELAND STANFORD JUNIOR UNIVERSITY
ORGANIZED 1891
STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES

DZIELA JÓZEFA SZUJSKIEGO.

Szujski

DZIEŁA

JÓZEFA SZUJSKIEGO

WYDANIE ZBIOROWE.

Serya III. — Tom I.

PISMA POLITYCZNE.

W KRAKOWIE.
W DRUKARNI WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1885.

DK 436.4
S9
v.1

NAKŁADEM RODZINY JÓZEFA SZUJSKIEGO.

Od Wydawcy.

Serya trzecia „Dzieł Józefa Szujskiego“ obejmie w trzech tomach wszystkie jego rozprawy treści społecznej i politycznej. Każda z nich swego czasu wywołała niemałe wrażenie, dziś razem wzięte nowego nabiorą znaczenia. Czytając je w niniejszem zestawieniu i komplecie, możemy z całą łatwością przedstawić sobie, jak rozwijał się i wytrawiał jeden z najoryginalniejszych naszych pisarzów politycznych, a zarazem mamy pod ręką znaczną część tego materyału źródłowego, na którym oprze się historya nasza z ostatnich lat dwudziestu.

Czując tę podwójną doniosłość zbiorowego wydania pism politycznych i społecznych Szujskiego, musiał wydawca dołożyć starania, ażeby je ogłosić w zupełnym komplecie i w porządku ściśle chronologicznym. Przypisy, któremi je opatrzył, podają wiadomość, gdzie i kiedy każdy artykuł po raz pierwszy się ukazał. W niektórych tylko miejscach musiał wydawca posunąć się do objaśnień rzeczowych, ażeby zrozumienie artykułu i tym czytelnikom ułatwić, którym historya Galicyi mniej jest pamiętną i znaną. Objaśnienia te niewychodzą jednak po za granicę dat i faktów historycznych i w ocenienie rozumowań Szujskiego nigdzie się nie zapuszczają.

M. Bobrzyński.

SPIS RZECZY.

Rok.	Tytuł.	Str.
1860.	Portrety przez Nie-Van-Dyka	1
1861.	Dodatek. Jeszcze kilka portretów.	131
1860.	Z „Niewiasty“	153
1865.	Stare książki i dawni ludzie	179
1865.	Dumania samotną godziną	209
1865.	O broszurze p. Pawła Popiela	227
1866.	Z wycieczki do Lwowa	247
1867.	Kilka prawd z dziejów naszych	271
1867.	Uchwała sejmowa z 2go Marca	289
1867.	Dwie odpowiedzi	301
1868.	Niepoprawni.	325
1868.	Mowy na sejmie	339
1869.	Przed podjęciem sprawy uchwały sejmowej	353
1869.	Der Antrag des galizischen Landtages	371
1869.	O obowiązkach narodu względem ludu w sprawie oświaty	389
1869.	Wydobycie zwłok Kazimierza Wgo	401

PORTRETY

PRZEZ

NIE-VAN-DYKA.

(Drukowane najpierw w „Dzienniku literackim“, we Lwowie, 1860 r. Nr. 36 — 101. 1861 r. Nr. 23, następnie wydane osobno, jako „przedruk z Dziennika literackiego przejrzany i pomnożony“ kilku nowemi portretami, we Lwowie, nakładem Karola Wilda 1861. — W uwagach uwidoczniamy, które portrety drukowane były w Dzienniku literackim).

Coś na kształt przedmowy. [1])

If we offend, it is with our good will,
That you should think, we come not to offend,
But with good will.
Shakspeare: *Midsummernightsdream.*

Słusznie nazwano stulecie nasze stuleciem bazgrania, stuleciem, gdzie atrament jest królem a piaseczniczka królową. Pisanie i wywnętrzanie się stało się potrzebą w miarę, jak ociężały ręce do czynu a głowa do wytrwalszego myślenia. Wielki Machiawel 19go wieku powiedział o mowie, że ją Bóg dał ludziom nie do odkrycia ale do ukrycia myśli: o piśmie możnaby powiedzieć, że go ludzie używają nie do przysposobienia, ale do odwleczenia wszelkiego czynu

[1]) Nr. 36, 37 „Dziennika literac.“ z dnia 4 i 8 Maja 1860.

i pracy. Studenci piszą poezye, aby się nie uczyć gramatyki; literaci rozprawki i recenzye, aby nie napisać poważniejszego dzieła; mocarze ziemi wydają proklamacye, aby nie dotrzymać swoich obietnic. W takim stanie rzeczy pismo musiało upaść w kursie, musiało znikczemnić, i atrament, który był przódy kastalską wodą, zmienić się na wodę z magnezyą, pomagającą do spokojnego trawienia. A przecież nie tak to dawno, kiedy słowa były głowniami żarzącemi, kiedy miały siłę sztyletów i głos Zygmuntowskiego dzwonu zdolny umarłych na cmentarzach ze snu zbudzić wiecznego. Nie tak to dawno, kiedy, niby za czasów Reformacyi, mały drukowany świstek jak duch potężny przelatywał obszary ziemi, ślizgał się z ręki do ręki, kiedy go kobiety nosiły na sercu, a mężczyźni odbijali w sercu, a od Czarnego morza do Baltyku szerzyła się sława jego autora. Inne czasy, inni ludzie. Młodzieńcze czasy minęły — bohaterowie pokładli się w groby lodowatej północy albo tęsknego zachodu.... zgaśli ci ludzie z gwiazdami na czole, których białe duchy, niby Kastora i Polydeukesa, lśniały na polach poświęceń — a młódź próżno uderza w bardony, wiszące nad wodami Babilonu: bo rozparci w miękkich fotelach czytelnicy gazet nie tak łatwo rozbudzić się dadzą. Rozmazano i rozwodniono tęczowe naszych myśli kolory, zdenerwowano się pięknościami, których nie wszyscy byli godni: przyzwyczajenie długoletnie żąda coraz nowych wrażeń, a chcąc mu zadość uczynić, autorowie puszczają się na efemeryczne piśmiennictwo, które rano czyta się przy fajce, a wieczór idzie pod buleczki do herbaty. Znarowione tem umysły tracą z czasami świeżość i moc przyjmowania wrażeń, a niejeden poważniejszy, serdeczny głos odbija się o nie bez echa i współczucia.

— Czemuż więc ty piszesz, szanowny autorze?... wycedzi przez zęby zniecierpliwiony reprymendą czytelnik.

Nic łatwiejszego, jak odpowiedź na to. Piszę, bo ty czytasz, piszę, bo wszyscy piszą, bo jestem synem stulecia z powalanemi atramentem palcami. Piszę, bo działać nie mogę lub nie chcę: mówię ci to dyplomatycznie, bo mnie nie znasz. Piszę wreszcie, bobym chciał się dopisać do sposobu pisania, któryby cię obudził z twojej wygodnej pozy na fotelu; gniewającej mnie tem bardziej, że ja, nieszczęśliwy śmiertelnik, nigdy nie spałem spokojnie, myśląc o wielu, wielu rzeczach, o których i ty myślisz ale bez uszczerbku twego spokoju i wygody.

Tak jest, łaskawy czytelniku, imię moje, które ukryłem przed tobą pod negacyą: Nie-Van-Dyka, nieraz może wpadło ci w oko

chociaż nie utkwiło w pamięci. Stało ono u spodu erotycznych i nieerotycznych poezyi, powieści, fantazyi, które dziś spoczywają w pyle twojej biblioteki. Sługa twój powolny, czytelniku, dosiadał kolejno wszystkich biegunów z wspaniałej naszej masztarni rycersko-poetycznej, na których jeździli sławni nasi hippogryfowi kawalerzyści. Miłość własna i krew szlachecka nie pozwala mu wyznać, że jeździł po łacinie; woli on winę zwalić na ciebie, godny czytelniku, że ty, idąc za prądem czasu i doświadczeniami ostatnich wojen, przekładasz piechotę nad konnicę, szczególniej jeźli ta konnica nie jeździ po ziemi. Taż miłość nie pozwala mu także wyrzec się zupełnie konnych wyścigów po sferach niebieskich z spółczesną bracią, chociaż rozsądek pakuje go gwałtem w szeregi długie, jednostajne, kościane niesmacznej dla szlachcica piechoty, uzbraja bagnetem dowcipu i kładzie mu do kieszeni patrony kolofonii, z których dużo puku i huku, ale mało skutku. Słowem twoja natura czytelniku skłania mnie zostać korespondentem, donoszącym o balach i toaletach panien, o pięknej łydce tancerki X. i pięknej improwizacyi panny Y., o steeple chase u hrabiego Z., o zabawnym skandalu baronowej Q.

Pfu! do stu beczek furgonów! to za wiele na starego kawalerzystę. To wiarusowi napoleońskiemu kazać, aby był paziem i ogon damskiej sukni nosił. Jeżeli już mam postradać mego poczciwego deresza i moją lancę ułańską, to mnię przynajmniej nie pakujcie do liniowej piechoty korespondentów i plotkarzy. Słyszałem u diaska, komendę naszego Napoleona-Adama i jeździłem z raportami do naszego młodego hetmana Zygmunta! Jeźli już mam być infanterzystą, to mi dajcie sztuciec strzelecki, a jak się położę gdzie za krzakiem i pif, paf strzelę z za krzaka, to ubiję przynajmniej jaką zwierzynę szlachetniejszą na wasz stół literacki. Mam dobre oko i lancą trafiałem w każden guzik u zielonego munduru — to i sztućcem potrafię!

Zaniosłem niedawno pewnemu znakomitemu literatowi pęk moich poezyi, pełnych messyanicznych inwokacyj. Jak nieboszczyk Kromwell przed parlamentem, tak zapewniałem sędziego Parnasu, że to były owoce mojej prawdziwej inspiracyi. Ba! nie zdurzyć starego ćwika: powiedział mi krótko i węzłowato — że to nudne! Co więcej, uczynił po tym debilitującym wyroku zwrot nagły, jak dzielny taktyk wpadający w flankę. Zapytał mnię — Czemu pan nie piszesz komedyi? Zgłupiałem — *vox faucibus haesit.* Ale wszedłszy w siebie, otrząsnąwszy się z pierwszego przykrego wrażenia, jak nowicyusz ułan

po febrze armatniej, musiałem się zapytać samego siebie: Czemu jegomość nie piszesz komedyi?

Przypomniałem sobie, że ilekroć odłożyłem na bok koturn tragiczny i zdjąłem opiętą zbroję rycerską, ilekroć w prostym paletocie i ceratowej czapce wyleciałem na ulicę, gapiłem się na ludzi i przypatrywałem się przeróżnym facyatom, ilekroć uczułem pod sobą gładką posadzkę salonu, lub zadymioną atmosferą pokoju męzkiego oddechać zacząłem, ilekroć wreszcie z kolegami i przyjaciołmi włóczyłem się po rozmaitych sferach społeczeństwa: tylekroć stawałem się i innym człowiekiem, inne miałem oko i twarz inną, a nadewszystko inny język i słowa. Przypomniałem sobie, że już w szkołach normalnych brałem w łapę za przedrzeźnianie się ś. p. profesorowi Nesnadal, którego niech Bóg ma w swojej opiece, jak on miał w opiece naszą szlachecką skórę. Przypomniałem sobie, że moje seksterny napełnione były karykaturami profesorów i uczniów, które były pociechą wszystkich podczas długich godzin matematyki i potężnemi przyczynami moich złych not w katalogu. Przypomniałem sobie, jak siedząc pod piecem w domu, słuchałem dyalogu mojej starej ciotki i starego notaryusza, a oddawszy go potem dramatycznie w kuchni, nie dostałem za karę huzarskiej pieczeni, której smaczny zapach dodawał mi talentu. W późniejszych czasach, kiedym wyrósł na pietnastoletniego chłopca, zacząłem być postrachem panien i przedmiotem nienawiści ich adonisów, myszkując po pokoju i łapiąc mimochodem ich sekreta. Nieszczęśliwe zapały miłośne odebrały mi atoli tę swobodę kobolda, pogrążyły mnie w patetyczność i ubrały świat w te cudne barwy illuzyi, która wybija nieśmiertelne piętno piękności nawet na trzydziestoletniem obliczu starej kokietki. Na seksternach moich zastąpiły sonety miejsce karykatur, a moi szczęśliwi koledzy, oddając wet za wet, uwieczniali moją melancholiczną postać na tablicy matematycznej. Kilka lat tak upłynęło, poszło za mąż kilkanaście anielic moich, poszło z dymem kilkanaście skryptur pełnych żalów Petrarkowskich! Dostałem złe klasy — zacząłem się uczyć: serce moje jak fenix odrodziło się do innej miłości, i do nowych, ale szczytniejszych, zawodów. W miarę, jak te zawody niecierpliwiły biednego Don Quichota, odezwał się stary Sancho Pansa, mój przyjaciel z ławy szkolnej, który mnię uczył rysować karykatury i przedrzeźniać profesorów. Ten Sancho Pansa dowodził mi jasno, że olbrzymy, z któremi na Rosinantym się uganiałem, są tylko wiatrakami, iż Dulcinea de Toboso, zaczarowana księżniczka, dawno odczarowaną osobą. Były chwile, kiedy poczciwy Sancho, beczącemu

w cichej izdebce kawalerskiej nad wiarołomnością panny X. lub odstępstwem od przyjaźni pana Y., pokazywał się z uśmiechniętą twarzą i swoim chłopskim głosem takie mi gadał rzeczy, żem mu dał w papę i za drzwi wyrzucał. Ale przywiązany fagas, wypchnięty drzwiami, właził oknem lub kominem, a wlazłszy, tak pocieszne ciął koziołki, tak wyborne palił sentencye, że, mimo wewnętrznego smutku, rozśmiałem się i nie wypędzałem go więcej.

Raz zostawszy moim błaznem nadwornym, wstydził mnie wielekroć swojemi uwagami nad światem, brał mnie powoli pod pantofel swego dowcipu i poznałem, że prostaczy Sancho mieści w sobie potwornego dyablika tej demonicznej siły, która się ironią nazywa.

Zaczęła się między nami walka tajemna, walka o berło w świecie ducha mego: on walczył codziennem doświadczeniem, przykładami przeszłości, całą armią komicznych postaci świata, walczył dziejami całemi, które umiał ubierać w swoją szachownicę błazeńską: ja stałem przeciw niemu z moją wiarą i egzaltacyą, z tem tajemniczem „coś", co potężną ale niewidzialną stopą gniotło jego uśmiechniętą, cyniczną głowę Wyexpensowałem amunicyą moich syntementów, i brawur na żelazne mury jego materyalnych dowodów: każdą strzałę moją, kutą w świętym ogniu zapału, łamał i ostrzem jej w pierś moją rzucał -- ba! wśliznął się jak Eros Anakreona nawet w własną duszę moją i począł mi przedrzeźniać strasznem słowem: Jesteś patetyczny, dramat układasz. Poszarpał na mnie żarłocznym zębem ornat mego mniemanego kapłaństwa, i rzucając mi w twarz grzechy moje wołał: Nie kłam sobie i niebu, tyś taki jak inni, tylko się bawisz w obłudnika.

Moje szlacheckie sumienie nie mogło wytrzymać tego ataku — chciałem uratować część mego wojska od nieuchronnej zguby: zawarłem zawieszenie broni i pozwoliłem sobie oberznąć poły idealności, kontentując się półśrodkiem humoru, tego fantastycznego dziecka ironii i exaltacyi, poezyi i prozy. Ale natura ciągła wilka do lasa: chciałem odzyskać com stracił; rzuciłem się na moje dawne państwo i omal, omal, żem się zupełnie pod władzę Sancha nie dostał. Wtedy domowe Bogi, których kolana ująłem, błagając o zwycięztwo, domowe Bogi zmiłowały się nademną i pomogły mi odnieść walny tryumf nad dyablikiem.

Domowe Bogi zesłały na moją drogę ludzi i czasy, które mi otworzyły oczy na powagę i grozę życia, dotknęły mnie ciosami, przy których znikły te idealne nieszczęścia, panujące między szafką na książki i szufladką na listy, i w piersi mojej rozkołysały ten

dzwon poważny, smętny, barytonowy, który woła do męskiego żywota, do kościoła obywatelskiej pracy; który każe zrzucić tunikę chłopca a wdziać togę Rzymianina, i służyć w tej todze w legionach narodu, służyć aż do owej chwili, kiedy pocisk śmierci w sercu ugrzęźnie, a kraniec togi przykryje konającą głowę.

Wszystkie siły mej duszy ruszyły się z procesyą na ten dzwon uroczysty: czułem jak ironiczny Sancho pobladł, zadrżał i wyszepnął szlachetne słowo honorowej kapitulacyi, przyłączając się do pochodu, czułem jak na czoło tego orszaku wyniesiono świętości duszy mojej: tę urnę wspaniałą, na której napisano stoi: Naród! Wrogie stronnictwa mego ducha, ukochały się, uściskały po drodze, moja idealność wpadła w ramiona ironii i wołały obie:

Praca nasza wspólna, zapomnijmy o niechęciach naszych! Połączmy broń naszą, a co ty ironio zaszarpiesz w sercach współbraci, co ty rozpłatasz twym anatomicznym nożem, nad tem ja powiem słowo „anielskiej i miłośnej pogardy", i zaświecę gwiazdą prawdy mojej, aby rumieniec wstydu zapłonął na ich twarzy, i aby się odrodzili w jego gorącu. Rozum pobratał się z fantazyą i uczuciem, z natchnieniem i poezyą, i powiedział: Pracujcie ze mną siostry moje i dajcie mi skrzydła wasze, a co wy zdobędziecie w legionach gwiazd, to ja uorganizuję, jako gospodarz rządny i staranny. Grzechy nawet moje, słoniąc twarz swoją, jak Klitemnestra starożytna, jąkały z rozbitej piersi: I my służyć będziemy, my siostry potępienia, i stać będziemy nad tobą, aby spłoszyć szatana dumy, aby wołać za tobą jak za tryumfatorem rzymskim: Tyś śmiertelny! aby ci otworzyć otchłań złego, jako kopalnię prawd w własnej piersi twojej.

I szła ta procesya do kościoła narodowego trudu, wiodąc nowego rycerza przed krwawe krwią niewinnych ołtarze, przy których spały pokolenia przeszłe w ciszy Bożej. Wyszły przeciw nam owe duchy zamierzchłej przeszłości, duchy z czasów Zygmuntów, Wazów — a Sancho mój uściskał Stańczyka, siedzącego przy trumnach Jagiellonów z trzepaczką w ręce.

Wyszli owi mężowie w kontuszach i kołpakach, pełni pogody i mądrości na twarzy, którzy wybili na piśmiennictwie naszem to chrześciańskie, wspaniałe piętno obywatelstwa, czyniąc z niego husarski zastęp na zewnętrznych wrogów narodu, zbrojny koncerzami dowcipu i kopiami prawdy, a szumiący orlemi skrzydły polotu w niebo. Widziałem Reja i Modrzewskiego, widziałem Górnickiego i zuchwałego Orzechoviusa, a poważnym krokiem szedł smutny Skarga i kanonik Starowolski, mężę, którzy widzieli rysujące się

sklepienie kościoła chwały, męże z których jeden widział krwawe pole Guzowa, a drugi Karola Gustawa bezczelną głowę, nakrytą kapeluszem w przybytku narodowych pamiątek. Za nim szedł żółty Acernus wlokąc za sobą worek Judaszów i spiekłemi usty wołając:

— Vicisti! Dea admirabilis Virtus!

i Krzysztof Opaliński, ostatni głos w tej ogólnej pękaninie moralnego bytu. Bledsi i mali stali za nimi męże ośmnastowieczni; tylko Konarskiego i dobroczynnego króla postać dorastała olbrzymich postaci dawnych szermierzy — przykro odbijała się ich elegancya przy poważnym stroju przodków, a Warmijski biskup w fioletach w parze z bezbożnym szambelanem, którego skażone ale patryotyczne serce pękło pod francuskim frakiem na obcej ziemi, pod uraganem burzy strasznego czasu.... Ale wszyscy wołali do mnie głosem zgodnym, niby szum wiatru po ojczystych cmentarzach:

— Oto skończyły się młodzieńcze lata wasze i muzy wasze i krwawe walki wasze! Oto Prometeusze wasi znieśli wam ogień z niebiosów, i wyprosili wam palmę zwycięstwa w świecie duchów: baczcież więc, aby dary niebios nie odbiły się o was, jak groch o ścianę rzucony, aby nie zginęły jak gwiazdy niebios w pomąconem jeziorze, abyście dali świadectwo światłu Bożemu i owocom krwi waszej wobec nieba, piekła i narodów Chrześciaństwa. Baczcież więc, abyście się dobrze rozmierzyli w sprawach i uczynkach waszych, bo na co się człeku przyda, choćby miał niebo i ziemię rozmierzać, jeżeli się w sprawach swoich rozmierzyć nie umie? [1]) Albo na co się zdadzą piękne słowa, jeźli czyny wasze będą sprosne a wszeteczne? Więc pilnujcie duszy i żywota waszego, a nawzajem umacniajcie się w dobrem i cnocie, aby poczciwość i błogosławieństwo Boże osiadło na ziemi waszej. I nie mówcie, że ten albo ów jest szlachcic i dobrego pochodzenia, a pilnujcie waszego klejnotu i nie zazdrośćcie go nikomu: boć na tem wszystko zależy, abyście wszyscy byli szlachtą i dostąpili klejnotu szlachetności. A kiedy na nas wrogie napierają siły, to okopcie się taborem zgody i jedności i słuchajcie hetmanów waszych, na których czole widno Boże posłannictwo. Tak niech po onym dniu kary nastąpi dzień zadość uczynienia, aby wy, albo wnuki wasze doczekali się dnia trzeciego, dnia nagrody Pańskiej! [2]).

Nie trzeba wam mówić czytelnicy moi, że beczałem podczas tej oracyi wielkich ludzi. Domyślcie się także, że postanowiłem

---

[1]) Słowa Reja w Żywocie poczciwego człowieka.

[2]) P. Skarga, Kazania Sejmowe.

pracować, co sił, aby pomagać temu przez nich wytkniętemu dziełu, że społeczeństwo w którem żyję, stało się odtąd przedmiotem mojej szczególniejszej uwagi i pieczołowitości, i że każdy jego objaw chwytałem z łapczywością gazeciarza, który ciekawą depeszę telegraficzną uchwycił. W pokorze ducha pozbyłem się ambitnych marzeń namiętnego współzawodnictwa z nieprześcignionymi, pozbyłem się gwałtownego szturmowania tych fortec narodowego ducha, których kasztelanowie nie tak łatwo otwierają wrota pierwszemu lepszemu pisarzowi. Rozlałem się współczuciem na innych, zacząłem atoli od badania samego siebie.

Biorąc się następnie do dokładniejszych studyów społeczeństwa, które pierwej więcej z wrodzonego pociągu wyszukiwania typów, niż sumiennego powołania badałem, porachowawszy się z siłami, postanowiłem iść drogą malarzy, którzy zrobiwszy fiasco na historycznych i rodzajowych obrazkach dla braku techniki, biorą się do portretu i szukają w twarzy człowieka tego, co się potem roztacza w tysiącu twarzach, co stanowić ma nakoniec znowu twarz jednę, twarz prawdy i natury.

Tutaj spotkał mnie fantom z lat przeszłych, burzliwej pamięci fantom Parafiańszczyzny, ale się go nie uląkłem, bo miałem inne pojęcie portretu. Myślałem o portrecie społecznym, ogólnym, zbierającym rysy z tysiąca oryginałów, kompilującym tysiąc osób w jednę, chciałem wybitnych typów, nie odbić zwierciadlanych. Chciałem nadto typów historycznych, jak je czas przyniósł, a nie portretów osób żyjących.

W zajęczych potach, aby na tej trudnej utrzymać się pozycyi, przyszła mi pomoc z czasów dawnych, z czasów satyry Zygmuntowskiej, na której złotem tle prawdy rysują się poważne postacie naszych ojców, w całej różnolicowości ich żywota, ale na żadną nie może powiedzieć choćby najbieglejszy archeolog: to jest wojewoda poznański, a to starosta żmudzki. Czułem nad to, że jestem wolny od wszelkiej prywaty, że postacie współczesne przesuwają się przedemną, jak przed szkiełkiem posmarowanem jodkiem srebra: nikogo nienawidzę, do nikogo nie mam żalu, bo mi Pan Bóg dał serce, które się tylko do zachodu słońca gniewa — a po zachodzie idzie spać, jak kura na szczebel. Bóg więc pozwoli, że nikogo nie dotknę i nieobrażę — i że nikogo palcem wskazywać nie będę.

Inaczej się ma z tonem, w którym podobne pismo trzymać należy. Ani okoliczności, ani stan nasz moralny nie uprawniają nas do tej prześlicznej swobody, do tego rubaszno-dobrodusznego dowcipu, do tego nieporównanego, wpół bawiącego a wpół uczącego humoru,

który jaśnieje w czasach Zygmuntowskich. Bóg niech nas obroni od wolterowskiego dowcipu wieku Stanisława Augusta, co-by, jak to mówi chłopskie ale dobre przysłowie, wolał żyda zabić, niż opuścić jaki koncept, choćby ten koncept najświętsze obrażał rzeczy, od tego dowcipu lekkomyślnego, kąsającego jak natrętna osa, jak dyablik dokuczny, który nie patrzy, na co się rzuca, czy to rzucanie się przyda się na co, dowcipu, od którego, niestety, i nasz autor Monachomachii nie jest wolen.

Nie mniej należałoby sobie zamknąć usta kagańcem niedźwiedzim, gdyby podleciał nas humor dzisiejszy, polegający na tem, aby wszystko przewrócić do góry nogami, wszystkiemu przyprawić karykaturalny nos lub brodę, ten humor fałszywy, tak, niestety, zakorzeniony u naszej młodzieży, a podlegający tylko na przedrzeźnianiu wszystkiego, na swawolnem bluźnieniu prawdzie, przed chwilą wyrzeczonej, i na obrzuceniu błotem postaci, uwielbianych przed chwilą.

Ten humor karlikowaty, stosowny na deski prowincyonalnego niemieckiego teatru, dla poruszenia tłustych twarzy woniących bockbierem i kwarglami, widzący w każdej wielkości małe pobudki i w każdym posagu klasycznym rysy i plamy marmuru. Ale unikając tych niegodnych nas rodzajów satyry — boimy się również kaznodziejstwa świeckiego i moralnej sztywności, która czyni, że książka, odebrawszy należyte pochwały, leży na biórku, omijana jakby była zapowietrzoną.

Mój Boże, czyż było piękniejsze kazanie na świecie, jak Wieczory Pielgrzyma, a dziś, dziś właśnie mam doświadczenie, że przeczytano i oddano mi dziesięć romansów francuskich i polskich, a Wieczorów doczekać się nie mogę! Czyż było piękniejsze kazanie jak „Wieczory Wołyńskie“, a sam byłem świadkiem, jakeśmy męczyli je kilka wieczorów, i zawsze chwytali się czego innego! Niech nam zatem narodowe Muzy pozwolą szczęśliwie przejść Scyllę i Charybdę morału i fałszywego humoru, niech nam pozwolą tak wymieszać cukier z chininą, aby nie było czuć goryczy i żeby nasz czytelnik się nie skrzywił! Niech nam zeszlą kosztowny słój tego nieoszacowanego miodu dowcipu, który się wylęgał w głowach naszej szlachty prowincyonalnej, o których dotąd krążą tradycye: „Ach ten pan Tomasz, ten pan Mateusz, co to był za dowcipny człowiek, jaki facecyonista! Nie obraził nikogo, a każdy miał za swoje. Lgnęły do niego kobiety, te najpotężniejsze dźwignie reputacyi i popularności, a gdzie przyjechał, to był upieczony i uwarzony!“

O w tysiącznej chociaż części daj to mojej książeczce, słowiańska Muzo, inspiratorko Borowskiego i Albańczyków, Księcia Radziwiłła i hrabiego Alexandra Fredry! Amen.

Szlachta i inteligencya. [1]

Szlachcic ma być jako szkło zawdy przezroczysty,
A od każdej makuły jako krzyształ czysty.
Rej.

Jeden tylko, jeden cud,
Z szlachtą polską — polski lud.
Z. Krasiński.

Szlachta jest niezawodnie historyczną i faktyczną alfą i omegą narodu.

Badania naukowe świadczą, że szlachta stanowiła właściwy stan wolnych obywateli, obywateli poczuwających się do obowiązku obrony i utrzymania kraju i narodowości. W Piastowskich czasach widzimy jak z wojennych czynów powstają herby i odznaczenia szlacheckie, jak rolnik przekuwając lemiesz na kord i oszczep, z ziemianina staje się rycerzem. W miarę atoli jak się powiększało koło szlachty (co się szczególniej w czasach podziału Polski dziać musiało), jak to koło czuło dostateczność swoją dla przedstawiania potęgi narodowej i zabezpieczenia jej samodzielności, zamykało się ono coraz zazdrośniej w swym przywileju i utrudniało przystęp do siebie. Kazimierz W. czuł gwałtowną potrzebę obrony ludu i stał się królem chłopków, ale po jego śmierci, za niedbałych rządów Ludwika, przy potrzebie wytargowania następstwa dla córek Ludwikowych, świadomość udzielności szlacheckiej wzrosła do wysokiej potęgi. Odtąd naród uosobił się w szlachcie, i jako szlachta żył i upadł politycznie.

Hipoteza innoplemienności Lachów, tłumaczona w najrozmaitszy sposób (świeżo w znakomitem dziele Karola Szajnochy), hipoteza ta w niczem nie osłabia charakteru szlachty polskiej ściśle demokratycznego. Rewolucya Piastowska, słowiańska, gminowładna zwyciężyła w przedhistorycznym już czasie ten obcy feudalny

[1]) Nr. 49, 50 „Dziennika literac." z dnia 19 i 22 Czerwca 18, 60.

pierwiastek, tak dalece, że w Bolesławowych czasach bardzo nieliczne już pozostają ślady. To pewna atoli, że tradycya tego obcego pierwiastku, uchowana w pojedyńczych rodzinach, wzmocniona potem wpływem niemieckim, podobnym do niej co do zasady, wzmocniona zapatrzeniem się na średnio-wieczną hierarchię kościelną, tradycya ta, mówię, wywołała w gminowładnej szlacheckiej rodzinie zawsze owo koło osobne, trudne do oznaczenia, raz ginące w szlachcie, to się znów ostro w niej rysujące, koło możnowładcze.

To koło możnowładzcze, występujące pod nazwą stanu senatorskiego, karmazynowych i tym podobnie, wyznawało zawsze ściśle braterstwo z stanem rycerskim, opierało swoje znaczenie na tem braterstwie, czerpało z niego i siłę i potęgę: ale pomimo tego lubiło zawsze dążyć do wyosobnienia oligarchicznego, (Kmita—Tarnowski), z zazdrością spoglądało na ludzi nowych (jak Zamojski, Czarniecki) i dążyło zawsze do pewnego rozłamu z demokratycznym pierwiastkiem szlachty. Ten żywioł począł się od czasów wolnej elekcyi oglądać za podstawami bytu za granicą, intrygować na dworach obcych i odszczepiać się od uznania samorządu narodowego: słowem objawiał zawsze dążenia wręcz przeciwne polityce szlacheckiej a przypominające żywo politykę arystokratycznych rodzin zagranicy. Zborowscy, Lubomirscy, Sapiehowie ciągnęli ku Austryi, Pacowie i Wielopolscy ku Francyi, Czartoryscy czepiali się Rosyi. Rzecz atoli godna uwagi, że najdumniejsze przedsięwzięcia możnowładców kończyły się zawsze obroną praw i swobód szlacheckiej Rzpltej, że się kończyły nie wywróceniem ale umocnieniem *status quo:* że np. arystokratyczne tendencye Zborowskich, wymierzone przeciw Batoremu i Zamojskiemu, emancypantom szlachty na niekorzyść panów, zmieniły się po śmierci Samuela w demokratyczno-szlachecki ruch przeciwko naruszeniu praw szlachcica (a nie pana!), że rokosz ambitnego Zebrzydowskiego był wysoce popularnym tylko przez obronę swobód szlacheckich i reakcyą przeciw kamarylli tronu, że Lubomirski, posądzony o chęć panowania i w postępowaniu z Czarnieckim jawnie swoją dumę arystokratyczną odsłaniający, opierał się na szlachcie i obronie wybieralności króla. Panowie, którzy Sobieskiego karyerę zgubili, zgubili ją tylko czernieniem jego szlacheckiej wolnomyślności, pokazywaniem, że on już nie szlachcic, ale pan z dążeniami do monarchii absolutnej.

Z tego wszystkiego widać, że możnowładztwo czuło zawsze, iż szlachta jest wszystkiem, że nie nosiło w sobie życiodajnego zarodku innej myśli, jak myśl szlachty — że nie miało nigdy tyle energii, aby się połączyć z tronem i utworzyć dziedziczne królestwo z barwą

arystokratyczną, że się więc zgadzało z duchem wszechwładzy narodu, w szlachcie uosobionej, chociaż namiętności i ambicya do innych pchała je celów. Toż samo widzimy za czasów Stanisława Augusta. Wszystkie ruchy prawdziwe narodowe były ściśle szlacheckiemi: konfederacya Barska, konstytucya 3. maja, powstanie Kościuszki. Nawet obrzydliwa Targowica była arystokratyczną zbrodnią, zamaskowaną duchem tradycyi szlacheckiej.

Pod ten czas to możnowładztwo o tyle było cnotliwem, o ile było szlachtą. Z miłością wspominamy imiona karmazynowe Zamojskich, Małachowskich, Sapiehów, Sanguszków, Ogińskich, których znajdujemy w obozie ludzi poświęcenia: ale nazwiska Szczęsnych, Korczaków – Branickich, Ponińskich, zapisane są w duszy narodu ognistemi głoskami hańby, bo ci ludzie przenieśli myśl i pozycyę możnowładczą nad święte imię ojczyzny. Z boleścią zawsze wspominać będziemy, że separatyzm możnowładzki, jego prywata i duma paraliżowały ruch konfederacyi, zniszczyły błogie owoce konstytucyi, stawały na zawadzie powstaniu Kościuszki: że możnowładzcy polscy byli zawsze gotowi narzucać się, gdy już nie potrzeba było się poświęcać, a usuwać się i paraliżować, gdy głową nałożyć należało.

Jeżeli mamy wiernie stanąć na przeszłości, to tylko na szlacheckiej stanąć możemy, bo szlachecka przeszłość jest jedynie i wyłącznie przeszłością narodu. Wiele w niej było grzechu, ale w niej tylko było sumienie prowadzące do poprawy i przetworzenia się, w niej duch niesamolubnego poświęcenia, w niej patryotyzm nie kasty, lecz narodu.

Ale silniejszym dowodem, niż wszelkie historyczne dedukcye, jest sama natura szlachty dzisiejsza....

Szlachta jest alfą i omegą narodu, bo ona jedna posiada tajemnicę przypodobniania sobie nieszlacheckich a nawet obcych żywiołów, bo ona sama jedna daje rękojmię przyszłości, garnąc do siebie i podnosząc do swojej sfery nieszlachecką inteligencyą, bo jej idea jest ideą podniesienia wszystkich żywiołów krajowych do godności i uczestnictwa w obywatelskim życiu.

W Zygmuntowskim wieku pisarze moralno-polityczni jednogłośnie dedukowali szlachectwo od szlachetności. W Piastowskich szlachta powstała z chłopów w skutek zasług wojennych. Jest to zupełnie inna geneza jak szlachty germańskiej. Ztąd owo wysokie rozumienie o klejnocie szlacheckim, rozumienie nietylko społeczne ale moralne: bo szlachectwo było stanem podniosłości socyalnej i moralnej. Ta moralna, ogólno-ludzka strona szlachectwa, podnosząca

jego ideę nad ideę kasty, nad attrybucye ziemskiego dobytku i pozycyi społecznej, stanowi jego wysoką siłę magnetyczną, czyni, że szlachta jest duszą narodu. Czują to bardzo dobrze nieprzyjaciele narodu, bo ich pociski od wieków nie przeciw możnowładztwu, nie przeciw niższym klasom, ale przeciw szlachcie były obrócone.

Zniszczyć szlachtę to jedno, co wygubić naród. Możnowładztwo wynaradawia się z łatwością, możnowładztwo przyjmuje obcy obyczaj i obcym celom służy, skoro te cele odpowiadają jego górnolotnym myślom, możnowładztwo w każdej chwili ma gotową myśl emancypacyjną, myśl, że jest czemś więcej, jak szlachtą.

Chęć kierownictwa przeradza się u możnowładztwa w szyderczy humor tyrański, w kapryśne teranie głupią i zapleśniałą szlachtą. Dla tego możnowładztwo jest gotowym wrogiem narodu, ilekroć umna dłoń użyć go potrafi. Szlachta jedna, sama szlachta tylko do ostatniego tchu umie wytrwać przy swoich świętościach domowych, ona jedna trzyma się ziemi i gdzie pies nie wytrzyma, tam jeszcze szlachcic dotrzymuje placu.

Szlachta znosiła wszystko i poświęcała się bez granic. Szlachta jedna umie przygarnąć do siebie każdego nieszlachcica, każdego obcego nawet, a otoczywszy go miłością, zmagnetyzowawszy go duchem narodowym, uczynić swoim. Szlachta jedna potrafi wznieść się nad swój przywilej i przyjąć w koło swoje każdego, który jej serce szlachetne pokaże, szlachta wreszcie jest jedyną dziedziczką i właścicielką tradycyi historycznej i uobyczajenia polskiego.

Ktoby temu dowodowi wprost uwierzyć nie chciał, uwierzy może dowodowi *per absurdum*. Przypuśćmy, że szlachta nie jest narodem, że tym narodem jest możnowładztwo albo lud. Wtenczas otwarta droga do dekretu preskrypcyjnego, wydanego w r. 1848 przez przemądry sejm Frankfurcki. Olbrzymia większość mieszkańców Polski nie ma poczucia narodowego: bo poczucie to miała tylko szlachta. Oczywista więc, że szlachta upada z swojemi pretensyami.

W taki to sposób dziwaczny i fatalny plączą się często myśli ultraliberalne z myślami ultraazyatyckiemi: idea rządu mas z ideą rządu masami.

Ale ja myślę, że na moje pojęcie szlachty zgodzi się każdy, kto czuje w sobie żyłę polską. Szlachta to patryarchalna, demokratyczna rodzina słowiańska, powstała przez ciągłą i czynną zasługę około dobra publicznego, nieznająca ich wyszczególnień i wyższości prócz nabytych temiż zasługami: przygarniająca do siebie wszystko, co do obywatelskiego życia dojrzało, co się z narodowem życiem

zespoliło i zlało. Ruch narodowego życia zaś: to uszlachcenie narodu, to podnoszenie sfer niższych do podniosłości obywatelskiego działania; to wzajemne działanie wyższych i mocniejszych na niższych i słabszych.

Idea szlachectwa polskiego to nie samolubny przywilej, nie separatyzm kasty: to synteza arystokracyi z demokracyą, synteza tradycyjna zarazem i postępowa! Idea szlachectwa polskiego to wielka chrześciańska idea cywilizacyjna, którą świat prześladował, bo jej nie pojął, którą szarzali zarówno wielcy i mali, bo pierwszym brakowało dosyć abnegacyi własnej, drugim dosyć podniosłości moralnej, aby ją zrozumieć.

Że ten ideał nie urzeczywistnił się w dziejach Rzeczypospolitej, temu winien czas i okoliczności ówczesne. Dzieje Rzeczypospolitej są ciągłą, straszną walką o ten ideał, walką która udaremniła zwrócenie myśli narodowej ku tym właśnie drogom, którym go dosiądz było można. Walka z królem i możnowładztwem napełnia wszystkie karty historyi naszej od czasów Zygmuntowskich.

Bojaźń o utratę swobód szlacheckich dochodzi do tak bajecznych rozmiarów, że szaleństwo Sicińskiego było cierpianem. Takie zamiłowanie ideału szlacheckiego, prowadzi do zupełnego nierządu i swawoli bez końca. W przededniu upadku Polski dopiero odzywają się pierwsze głosy, otwierające nowe drogi: konstytucya i ruch ogólny w r. 1794. Historya ducha polskiego od owych bolesnych czasów, to znowu cały dramat sprawiedliwości Bożej, która nas wychowuje i kształci, która nas prowadzi do ujęcia i zapraktykowania wielkiej idei szlachectwa.

Nemezys dziejowa przedziesiątkowała nasze szeregi, zburzyła nasze szańce przywileju kastowego, wywołała ludzi nowych na widownię życia. Nemezys dziejowa zapłaciła sowicie wszystkie grzechy swawoli, zbytku, dumy, niemiłosierdzia, obróciła na nas wszystko, co od dawna było przeciw nam wobec głosu sumienia. Ostateczności możnowładztwa i demokracyi zarówno obróciły się przeciwko nam: możnowładztwo sprzedało nas tylekroć chwale ziemskiej a ultraliberalizm filozofom socyalnym; jedno i drugie spotkało się z temi, z któremi zapewne nie spodziewało spotkania. Wyłączenie stanu włościańskiego z organizmu politycznego zemściło się na nas krwawemi konsekwencyami, zemściło się dzisiejszą materyalną zależnością od tegoż stanu. Starowierczość i racyonalizm postępowy zarówno zgubne wydały owoce, starowierczość i racyonalizm zarówno sprzeciwiają się najszczytniejszej idei narodu — idei szlachectwa.

Oto drogi, któremi Opatrzność wiedzie naród do moralnego i społecznego odrodzenia, do obleczenia sukni nowej, czystej, wolnej od plam przeszłości. Chce ona mu widocznie pokazać, że chcąc istnieć, trzeba gonić za ideałem narodowym, drogami abnegacyi osobistej, wyjściem z ciasnych granic przeszłości a pomimo tego zachować cześć dla jej tradycyjnych świętości. Trzeba wobec szalonego prądu czasu zachować energią dawnych husarzy, trzeba wyjść z przeszłości, ale żyć w obecnym czasie i mieć baczne oko na przyszłość. Trzeba, wreszcie, pamiętać, że ruch każdego społeczeństwa jest ruchem do góry a nie na dół, że ten ruch odbywać się powinien nie w sposób starcia się przeciwieństw, ale przypodobniania niedojrzałych soków sokom już dojrzałym, w drodze powolnego wychowawczego podnoszenia warstw niższych do wiadomości narodowej.

Niejeden z czytelników zapewne pomówił nas o paradoxa idealne. A przecież autor się do nich nie poczuwa; autor twierdzi, że to co powiedział jest jaśniejszą lub ciemniejszą myślą w duszy każdego Polaka. Autor pochlebia sobie, że ideą szlachectwa, tak ujętą, potrafiłby pogodzić sprzeczne zupełnie zdania socyalne.

Któż z nas nieszanuje przeszłości? Któż z nas, choćby najzaciętszy utopista socyalnych doktryn, nie powiedział sobie, że w uszanowaniu i pamięci przeszłości, leży cała siła narodowego życia? Któż z nas śmie już dziś pozować w ciasnych foremkach staroszlacheckiego przywileju? Któż, chociażby z pewnym wstrętem może, nie wyciągnie ręki ku każdemu, choćby z najniższego stanu pochodził, jeżeli do nas duszą i sercem należy? Któż odezwie się głośno z żądaniem, aby wróciły dawne grzechy pańszczyzny i jarzmienia ludu? Któż w chwili, gdy w nim dzwon sumienia bije, nie uzna równouprawnienia ludzi? Któż zaprzeczy, że lud nasz należy kształcić, wychowywać i podnosić go do wiadomości, że jest ludem polskim?

Któż? któż? Na to odpowie mi chór cały alfabetem nazwisk rozlicznych. Ten alfabet mnie nie zastraszy: bo wszystko, com powiedział jest w ustach naszego społeczeństwa, jest artykułem jego opinii publicznej. Każda chwila wprowadza na widownię społeczną symptomata świadczące prawdzie moich spostrzeżeń. Tysiące członków dawnych rodzin zginęło w chaosie wieku, i tysiące ludzi nowych zajęło ich opróżnione miejsca. Potężny magnetyzm narodowy, zgromadzony w starej szlachcie, magnetyzm prawowitości, przyciąga całe szeregi nowych szermierzy. Karykaturalni dorobkiewicze,

przechrzty, innonarodowce zmieniają się albo sami, albo w następnej generacyi w dobrych obywateli narodu.

W literaturze naszej mamy cały szereg imion podobnego początku. Inteligencya zatem jest ciągłem źródłem, z którego płyną nowe siły narodowe.

Chociaż cenię wysoko historyczny przywilej szlachecki, nie waham się ani chwili nazwać ten przybytek nową szlachtą, szlachtą zasługi, w obec której stara powinna się trzymać dobrze na nogach. Nie waham się, podobnie jak się nie waham odmówić szlachectwa najznakomitszemu familiantowi, jeźli, jak to mówią, że wart torby sieczki.

Że zaś „nowa szlachta“ nietylko u mnie uznanie znajduje, niech świadczą poczciwe domy szlacheckie, gdzie nie pytają o antenatów, tak jak o osobistą godność; niech świadczą nawet ci prawdziwi arystokraci, co koniecznością przynagleni, muszą uchylić czoła przed potęgą ducha; niech świadczy duch naszego piśmiennictwa, które, z małemi i niepopularnemi wyjątkami, z zapałem wita wszystko, cokolwiek nosi w sobie życie narodowe, w jakiejkolwiek urodziło się piersi.

Łamano sobie nieraz głowę nad fenomenalną utopią polskiego szlachectwa. I było nad czem, bo szlachectwo nie dało się podsumować pod żadną formę kastową starożytnych i średnich wieków. Ojcowie nasi sami lubili się porównywać to z Greki, to z Rzymiany, a formę rządu u siebie nazwali Rzecząpospolitą.

To pewna, że szlachectwo polskie jest ideą zupełnie oryginalną i narodową. W szlachcie gromadzi się cała udzielność Rzeczypospolitej: stan rycerski nie jest stanem, ale narodem.

Stanisław Karnkowski pierwszy podobno chciał rozróżniać trzy stany, o co wielkie były hałasy. Wielhorski w ciekawem dziele: „O przywróceniu dawnego rządu“ (1775) dopomina się gwałtem o usunięcie tego nadużycia. Ta udzielność szlachty znalazła punkt kulminacyjny w *liberum veto*. Ilekroć chciano Polskę zamieszać, zawsze o udzielność stanu rycerskiego zaczepiano.

Ta udzielność to oczywista demokracya — ale ponieważ tylko szlachecka — więc jakiś pisarz ochrzcił ją mianem, pełnem nonsensu, mianem demokracyi-arystokratycznej.

Była to atoli demokracya zupełna, demokracya w duchu słowiańskim, ale demokracya, ogarniająca tylko tę część ludu, która w skutek historycznych wpływów stała się narodem.

Zaczepiamy znowu o zwykły zarzut niemieckich cywilizatorów. — Skoro tylko szlachta była narodem, więc byt jej ustępuje przewadze większości.

Pytamy się, gdzie w 18tym wieku lud był narodem? W prototypie wszelkiego selfgovernementu, w Anglii, która o dwa wieki ubiegła rozwojem resztę świata, na ruinach feudalnych powstała tymokracya, czyli panowanie podług cenzusu.

Demokracya Rzeczypospolitej polskiej wyprzedziła swoją samorodnością słowiańską najliberalniejszą Anglię, zaprowadzając samorząd narodu nie na cenzusie, ale na zasłudze i wykształceniu obywatelskiem oparty. Szlachectwo toć było znamię tej kompetentności obywatelskiej, tego powołania publicznego, znamię nieprzywiązane do majątku, ale do tradycyi rodowej, nie do godności i honorów, ale do zasługi przodków i własnej. Otóż mamy ideę rządu najliberalniejszego, bo nadającego udzielność nie majętnym lecz dojrzałym, nie zaszczyconym ale zasłużonym.

Jeden krok dalej w opinii publicznej, a mamy społeczność najwyżej moralnie położoną w świecie. Ten krok dalej to otwarcie wrót szlacheckiego obozu, to przyjmowanie otwartemi i miłośnemi rękami wszystkiego, co do dojrzałości socyalnej przychodzi, to rozszerzanie koła wybranych tymi, którzy rzeczywiście położyli zasługi.

Ten krok, zdaje się nam, już oddawna zrobiony. Szlachectwo i możnowładztwo, jako przywilej, upadło dziś faktycznie; w dzisiejszych okolicznościach, materyalnie rzecz wziąwszy, lepiej być chłopem jak szlachcicem. Ale moralnego szlachectwa nic zniszczyć nie potrafi.

Szlachectwo moralne to urząd heroldyi niewidzialny, w opinii publicznej rezydujący. Ten urząd wydał dyploma szlacheckie tysiącu ludziom nieszlachcie, i odebrał go niejednemu staremu familiantowi. Jestto fakt, którego nie potrzeba wywoływać, bo on w każdej chwili się dzieje.

Reasumując nasze zdania, powtarzamy: że szlachtę polską uważamy za alfę i omegę narodu, jako przechowującą w swem łonie ideę narodową zasługi....

że arystokracya i demokracya w obec idei szlachectwa są dwoma antinarodowemi biegunami, pierwsza dla tego, że uzurpuje zasługę wyłącznie dla siebie, druga, że ściąga zasłużonych i dojrzałych w masę niezasłużonych i niedojrzałych;

że szlachectwo uważamy za zakon moralny tej podniosłości poczucia narodowego, która usposabia do uczestnictwa w życiu narodowem;

że go nie pojmujemy bynajmniej jako stan, jako kastę, ale jako obóz poświęconych już, w obec obozu dobijających się poświęcenia.

że za główne dążenie podajemy wyrobienie i rozpowszechnienie tych zasad zakonu szlacheckiego, które są probierczym kamieniem godności każdego syna narodu.

Zapyta kto, jaki nasz stosunek odnośnie do przeszłości historycznej. Odpowiedź na to pytanie płynie sama z rozumowań naszych. Tradycya familijna jest świętością, godną czci każdego potomka i każdego innego człowieka; tradycya jest świętą, choćby ją ktokolwiek z rodziny pokalał. Szlachectwo stracone w opinii publicznej przez spodlenie, wraca do potomka, bo ten potomek może dać expiacyą za winy przodka. Dawna Rzeczpospolita nigdy infamii na dzieci nie rozciągała. Ale ten, co szanuje tradycyę własnego domu, niech czci protoplastę nowego, którego życie stało się znowu żywą tradycyą dla potomków....

Chaque parvenu n'est il pas ancètre?!

Wypowiedzenie tej fundamentalnej prawdy narodowej zdało nam się potrzebne wobec trzech opinii, a raczej usposobień obecnych, zarówno duchowi narodu przeciwnych. Dwie przeciwnożne zupełnie, bo arystokratyczna i ultrademokratyczna opinia uważają szlachtę polską za spleśniałą, schodzącą z pola i cieszą się złośliwie z jej materyalnego upadku. Przykłady podobnych dążności ultrademokratycznych atoli upadły z rozbiciem tego obozu, i zaledwie tu i owdzie dogorywają ostatki tych radykalistów, którzy chcieli wyrwać wszystko co było, a stworzyć wszystko, czego nie było.

Smutno powiedzieć, że dzisiaj antypodowie brodatych i rozczochranych demagogów, przechodzą na te ich nieprzyjaźne szlachcie opinie, że z wysokości swego dobrego bytu, często z grzechów narodowych powstałego, patrzą z tajemną, złośliwą rozkoszą na upadek materyalny braci szlachty i marzą naprzód o oligarchiach majątku i imienia, trzymających za łeb zniwelowaną z chłopem szlachtę.

W naszej prowincyi widzieliśmy niedawno jawne dowody podobnych antinarodowych dążności. Niechaj ci wielcy panowie wejdą w siebie i zrobią obrachunek między swoją ambicyą a zasłu-

gami, niech popatrzą się jasnem i nienamiętnem okiem w przyszłość, o której marzą, niech rozważą znaczenie tymokracyi u nas i niech zadrzą przed fantomem Moszków i Herszków, którzy po ogólnym kataklizmie, gdzie szlachta ma zginąć, podadzą zapewne lichwiarskie ręce pozostałym hrabiom oligarchom i odwiedzą ich w pałacach feudalnych. Niech półpanki i lizacze, którzy wypierając się swego szlacheckiego obozu, wolą chodzić gęsiego za naszymi oligarchami, znosić ich impertynencye i powtarzać *bon mot'y*, niech te półpanki zastanowią się, niech się zastanowi szlachta słabsza na duchu, olśniona majątkiem tych panów, czy oni potrafią utrzymać tradycyę polską, oni wychowani na gazetach i romansach francuskich, oni wędrowni ptacy całego świata, którzy tyle rozumieją z naszych stosunków, co dawni demagogowie, a może mniej jeszcze, bo mają interes kasty przed sobą. Smutne te dążenia byłyby śmiesznemi, gdyby wielce grzesznemi nie były.

Trzecim wrogiem idei szlachectwa jest niewczesne i sentymentalne zamknięcie się w niem jako w kaście. Widzimy to usposobienie rozpaczne u ludzi starych, zrozpaczonych, wychowanych w foremkach arystokratycznych. Ale i cała szlachta jest pochopną do tego usposobienia. Lada chwila namiętna obudza w niej dawną butę, obudza w niej chęć rzucenia swej tarczy herbowej jako egidy przeciw nieszlachcie i cofnięcia się pogardliwego od tej nieszlachty.

Lada chwila z człowieka najpatryotyczniejszego zresztą robi starego feudalistę, rzucającego pogardliwemi słowy: dorobkiewicz, mieszczuch, przechrzta! Niech ci, co mają podobne usposobienie w napadach staroszlacheckiego humoru przypomną sobie Targowicę i sejm Niemy, Grodzieński, niech sobie przypomną, że tam ich staroszlacheckość popchnęła w ramiona Carycy. Niech sobie przedstawią, że w tej chwili schodzą się z arystokratą, co się cieszy z upadku szlachty, i z demagogiem, który chce się w ludzie utopić. Miłością stoi polska narodowość, w miłości cała jej nadzieja — a więc, o! szlachto polska, szlachto z rozdartą piersią, szlachto rozkrzyżowana cierpieniem i nędzą, święta i ponętna twojem męczeństwem — szlachto polska, coś walczyła lat tysiące w sprawie wiary i narodu — trzymaj otwarte ramiona szerokie i zawołaj do wszystkich, co czyści i biali, co prawość przenoszą nad potęgę i byt dobry, na wszystkich zawołaj słowem dawnego twojego toastu:

Kochajmy się!....

Wiejski polityk. [1])

Każdy Polak jest urodzonym politykiem — i to dobrym, z przyczyny, że lepiej niż wielu francuskich publicystów i ministrów zagranicznych wie, czego światu potrzeba — ale i złym, bo ta idea ogólna, daleka, idealna, robi go niepraktycznym politykiem, gotuje mu tysiące zawodów i dezilluzyi — a w skutek tego usposabia go często do zupełnej wsteczności wobec ruchu świata.

Portret zatem niniejszy będzie może najbardziej zbiorowym portretem w całej galeryi — nie trzeba więc w nim szukać wybitnej indywidualności.

Nasza szlachta, tworząca niegdyś wolną i burzliwą Rzeczpospolitą pośrodku narodów chrześciaństwa, przywykła od wieków do dyskusyi o sprawach państwa, o sprawach sąsiedzkich krajów i całej Europy. W szesnastym wieku widzimy ją na szczycie tego parlamentarnego wykształcenia: widzimy ją obejmującą orlem okiem świat i państwo, płodną w zbawienne pomysły i wrzącą życiem ścierających się zdań.

Owa publicystyczna wiedza, która dopiero w 17—18 wieku wystąpiła w pełni w Monteskiuszu, ów eklektyzm najlepszej formy rządu z historycznych doświadczeń, był właściwością szlachty polskiej i pozostawił ślady swoje w dziełach Modrzewskiego, Górnickiego, Orzechowskiego, Wereszczyńskiego — w mowach licznych biskupów i senatorów owego czasu. Reformacya była niezawodnie głównym bodźcem tego ruchu; jakoż skoro się pokazało, że się w gruncie narodu nie przyjęła, skoro reakcya jej objawiła się za czasów Zygmunta III — milkną nagle owe głosy sprzeczne, na widownią występuje katolicki monarchizm Skargi, a miejsce polemiki politycznej, miejsce projektów reformacyi państwa, zastępuje kazanie moralne, kazanie wołające do wewnętrznego przetwarzania się.

Takiem kazaniem nie była sama mowa Skargi, ale pisma Starowolskiego, wiersze Miaskowskiego, satyry Klonowicza i Opalińskiego. Rozum stanu, odzywający się za czasów Zygmuntów, Walezyusza, Batorego, w pierwszych latach Zygmunta III., rozum wołający owo wieszcze słowo: Ratujcie Rzeczpospolitę! umilkł na sejmach, a podczas gdy jedni podnosili ciągłe głosy pełne bojaźni o statusquo wolności szlacheckich, inni, widząc coraz większe

[1]) Nr. 44 i 45 „Dziennika literac." z dnia 1 i 5 Czerwca 1860.

zamieszanie zewnętrzne, wzywali do poprawy obyczajów, nie śmiejąc wzywać do poprawy ustaw.

To błędne koło pojęć było przyczyną daremności wszelkich kazań moralnych, bo urządzenie Rzeczypospolitej było szlachetną utopią, niepraktyczną dla ludzi grzesznych, a praktyczną chyba dla świętych. Urządzenia te same sprowadzały upadek, same otwierały wrota wszelkiej intrydze i obcym wpływom a udaremniały wszelką naprawę.

W tej drugiej epoce upadł zupełnie świetny szlachecki rozum stanu, upadł, bo się wplątał w owo fatalne błędne koło. Konserwatyzm, uświęcony religijną tradycyonalnością, który przez wpływy Jezuitów doszedł do fanatyzmu, konserwatyzm ten pogrążył szlacheckich polityków w apatyą statusquo, napełnił ich ciągłą, małoduszną obawą o zmiany niebezpieczne sobie, ścieśnił ich pogląd na interesa państwa i świata: otworzył wreszcie szerokie pole prywacie i egoizmowi. Przez dwa wieki widzimy szlachecką politykę coraz malejącą i ściągającą się: z interesu chrześciaństwa w interes państwa, z interesu państwa w interes województwa — i tak na dół aż do interesu pojedyńczego domu i ludzi.

Fatalizm ten oderwał od Polski wspaniałe prowincye, zniechęcił i oddalił kozaków, odebrał wielkie posłannictwo bronienia Chrześciaństwa przed pogany, rozbił wreszcie Rzeczpospolitę, która nie znając żadnej polityki, musiała zniszczeć wśród państw, mających bardzo wyraźną. Fatalizm ten paraliżował wszystkie wielkie przedsięwzięcia narodu: sprowadził na niego Szwedów i Moskali, zmarnił ostatniego wielkiego króla Polski: Jana IIIgo. Historya polska tych dwóch wieków przedstawia nam smutny dramat ogólnej nieufności — zamętu dążeń politycznych i osobistych, które jak *Deus ex machina* zakończył podział.

Z owego to czasu datują się wszystkie prawie błędy dzisiejszych wiejskich polityków; owe spuszczanie się na sympatyą tego — albo owego dworu, owe złote bańki mydlane niedowarzonych marzeń, owa apatya dziwna przy niezgodzie wewnętrznej, charakteryzowanej owem przysłowiem: Co głowa to rozum. Moralne kazania musiały bezsilne przebrzmieć w tym coraz groźniejszym hałasie: były one zresztą często niesłuszne, bo dobra wola do ostatka nie opuszczała nikogo, wyjąwszy nielicznych łotrów, brakowało tylko rozumu stanu, brakowało wglądu w stosunki, brakowało zgody w działaniu; słowem, brakowało reorganizacyi zupełnej, a ta reorganizacya była niemożebnością.

W dniach konania Rzeczypospolitej wszystkie te symptomata wystąpiły widocznie raz jeszcze. Za Sasów apatya doszła do szczytu: Polska stała się karczmą wojsk obcych i niepotrzebną zawalidrogą polityki świata, która wystąpiła jawnie w postaciach Fryderyka W. i carów moskiewskich.

Podczas wojny siedmiolotniej wojska rossyjskie maszerowały przez neutralną Rzeczpospolitę i carowie musieli uznać, że Polska mogłaby dla nich bardzo przyzwoitą być kwaterą. Apatya Polaków podczas wielkich europejskich wypadków musiała zrodzić poczucie słabości i wprowadzić tę nieszczęsną politykę interwencyi obcej, to spuszczanie się na tego lub owego, która polityka, niestety, przetrwała podział Rzeczypospolitej. Od tego to czasu zagnieździły się w Polsce te apatyczne marzenia, że ten albo ów nam pomoże, że Europa się oburzy, że Francuzi, Anglicy, Turcy, i Bóg wie kto jeszcze wdadzą się w sprawę naszą. Partya Czartoryskich uchwyciła się gwarancyi Imperatorowej; rycerze Baru negocyowali z Francyą i Turcyą; konstytucyonaliści 3go Maja zasłaniali się liberalizmem Prus i poklaskiem Europy. Było to milczące zeznanie, że naród jest żebrakiem.

Obok tego symptomu, który paraliżował samoistne działanie narodu, widzimy niezgodę obozu starowierców i nowowierców, której zaciętość zagłuszyła nawet wszelki patryotyzm, prowadziła na sejm Targowicki i w objęcia Rossyi.

Ta niezgoda zmniejszała wrażenie strasznego ucisku obcego; a podczas, gdy jedni woleli upaść politycznie, niż wyrzec się dawnych swobód — drudzy przekładali rząd nowy nad stary bezrząd, napełniwszy sobie głowę libertyńskim kosmopolityzmem europejskim. Suchorzewski, który brał od Rossyi pieniądze, i wyprawił ową sławną scenę z synem przed stanami dekretującemi konstytucyą 3. Maja, Suchorzewski, nie był komedyantem, opierał się z przekonania, jak z przekonania opierał się Rzewuski, który patryotyzm swój odsiedział w Kaludze. Było to znowu błędne koło fatalizmu, w którym się naród poruszał. Patryotyzm był zwikłany z trzymaniem się przeszłości tak daleko, że prowadził między wyraźnych łotrów i Judaszów Rzeczypospolitej — a owo straszne milczenie sejmu Grodzieńskiego jest wiekopomnym tego dowodem. Brak rozumu stanu, brak pojęć jasnych i wybitnych, namiętności partyi, partykularyzm i prywata, skutki przeszłości, która zamiast iść z Europą stała się mumią między ludami żyjącemi i nie mogła znieść powietrza ośmnastego wieku: to wszystko przyprowadziło nieodwołalną, niechybną zgubę, której ani ostatni krok postępowości, kon-

stytucya trzeciego Maja, ani ten drugi, ogólnonarodowy ruch powstania Kościuszki zażegnać nie zdołał.

Jeżeli podczas bytu Rzeczypospolitej udział w sprawach wewnętrznych i zewnętrznych państwa był prawem każdego obywatela, to po podziale stał się jego potrzebą. Każdy Polak jest urodzonym politykiem i to na większą skalę, jak każdy innego narodu obywatel — bo tym politykiem czyni go położenie kraju, w którym żyje.

Nie ma takiego kąta na ziemi polskiej, gdzieby nie rozumowano o polityce, nie ma tak nieprzyjaźnego czytaniu Polaka, któryby z łapczywością nie chwytał gazety. Od wieku żyjemy tylko wieściami i nadziejami, snujemy marzenia i szeptamy sobie nowiny i domysły: a staropolskie sejmiki odnawiają się za każdą razą, skoro się w większej liczbie zjeżdżamy. Ileż tam zdań sprzecznych i niesfornych, ile wyobrażeń odmiennych! jak się nie mogą pogodzić starzy z młodymi, uczeńsi z mniej wykształconymi, idealiści z ludźmi rzeczywistości!

Dziwne zrządzenie losów rzuciło naród polski na drogi, których nie mógł nigdy przeczuwać. Podział Polski oświeciła krwawa łuna rewolucyi, niby Nemezys historyczna. Polecieli ku temu pożarowi, bo on jeden zdawał się groźnym mścicielem krzywdy.

Naród, mający najprawowitszą sprawę, arystokrata i legitymista od stóp do głów, naród średniowiecznych rycerzy przyłączył się do orszaku tryumfalnego rewolucyi i zamalgamował prawo swoje z autokratycznym ruchem ludów, postępowym, destrukcyjnym, ruchem, który jemu samemu był najnieprzyjaźniejszy. Bohater tego ruchu, Napoleon, owo bożyszcze Polaków, pierwszy rzucił narodowi w oczy ten zarzut rewolucyjnego ducha i całem postępowaniem swojem powiedział: że Polaków uważa za niedojrzałych do obecnej epoki. Znaleźli się więc w smutnym dylemacie między rewolucyonistami i ludźmi wstecznymi: pierwsi zarzucali im wsteczność, drudzy rewolucyjność i w tym dylemacie rozpadała się wiecznie jedność narodu na hamujący i szturmujący kierunek. Od r. 1815 do 1830 walczyły te dwa kierunki ustawicznie; ich niezgoda sparaliżowała 1830 rok; 1846 był smutnym pomnikiem przewagi drugiego, a dwa lata później odbyła się taż sama walka, niby tragikomiczny epilog wielkiego dramatu. Obóz pierwszy opierał się na przeszłości, bronił legitymizmu, ale osłabiał naród w stanowczych chwilach oglądaniem się na pomoc obcą, obieraniem półśrodków, umiarkowaniem, graniczącem z bojaźliwością, i otwierał szerokie wrota apostazyi i egoizmowi pod pozorem dobra publicznego: drugi obóz

wyścigał się w ostatecznościach, aby zadość uczynić rewolucyjnej idei europejskiej, zanegował przeszłość, wyparł się drogich po ojcach pamiątek, odstąpił od natury i rzeczywistego stanu kraju, chwytając się teoremów niezastosowalnych i niewczesnych.

Powiedzieliśmy już gdzieindziej, że do pierwszego obozu należała głównie arystokracya i wszyscy, którzy przeszli zaklęte koło arystokracyi: do drugiego szlachta i intelligencya, która to pierwsza niezawodnie najwięcej cierpiała, działała i poświęcała. Ostre kanty tych stronnictw, przytarły się wskutek srogich doświadczeń: stronnictwo drugie odniosło stanowczą klęskę i żyjemy w chwili, gdzie reakcya pierwszego zdaje się opanowywać naród.

Nie trzeba atoli przypuszczać, że się tak stanie. Byłoby to kapitulacyą wobec Europy, powrotem powtórnym do siedemnastego wieku. Wierzmy raczej, a mamy przyczyny temu wierzyć, że z walki przeciwnożnych stronnictw wychodzi zgoda dojrzałości, że te stronnictwa zawierają każdej chwili milczący traktat między sobą, robią sobie wzajemne koncessye i składają na ołtarzu spólnego dobra swoje przesądy, obłędy i nienawiści wzajemne, że przychodzą do odkrycia tajemnicy swego posłannictwa historycznego, posłannictwa mającego zawstydzić zarówno fałszywy legitymizm świętym legitymizmem swojej sprawy a rewolucyjną extrawagancyą — prawowitą i rozsądną ideą narodowości. Ruch obecnego świata coraz bardziej nasuwa myśl pogodzenia. W dzisiejszej gmatwaninie pojęć i zasad widzimy fałszywe i zgubne ideje rewolucyjne, walczące pod sztandarem fałszywego legitymizmu, i widzimy narodowości poczuwające się do prawowitości świętszej i starszej, niż ów fałszywy legitymizm.

Pokazało się, że rewolucya nie datuje się od społecznej rewolucyi francuzkiej — że przeciwnie, ta rewolucya była tylko reakcyą rewolucyi tych niby legitymistów, którzy zdeptali wszystkie prawa świata a dla siebie uzurpowali świętość i nienaruszalność potęg od nieba zesłanych.

Dzisiejszy ruch umysłów u nas zapowiada nam, że ta idea rzeczywiście się przyjmuje. Przeczuwa ją każdy wiejski polityk nieuczony, przeczuwa ją intelligentna masa narodu. Nikt nie zaprzeczy, że jesteśmy spokojniejsi i pewniejsi siebie: że exaltacyą dni minionych zastąpiło u wielu ciche i charakterowe przekonanie. Bóg by dał, aby to przekonanie dało nam z czasem niewzruszoność i konsekwentność ludzi dojrzałych, ludzi charakteru, dało nam ten rozum stanu, do którego nie trzeba erudycyi, tylko pewnej opinii i silnej woli.

Z boleścią wyznać musimy, że nasi wiejscy politycy wiele mają jeszcze dawnych grzeszków i narowów. Wyliczymy je tu w porządku, w jakim robiliśmy nasze spostrzeżenia.

Otóż wiejscy politycy nie mają pewnych i niewzruszonych zasad. Jesteśmy sangwiniczni i wrażeniowi — nie mamy siły odparcia jaskrawo nam w oczy bijących objawów. Znam ludzi znakomitych zdolności i wykształcenia, którzy w jednym i tym samym dniu sprzeczne objawiają zdania. Rano są demokratami, wieczór chylą się do arystokracyi; rano wierzą, wieczór rozpaczają; wieczór palą się, rano chłódną. Jaka ztąd demoralizacya dla młodszych, łatwo poznać.

Zaradzić temu można sformułowaniem opinii swoich, pilnem baczeniem na swoją naturę unośliwą, a nadewszystko wyrobieniem sumienia swego. Widzieliśmy ludzi, ulegających często z fałszywego wstydu, z wygórowanej dobroci serca, z przyzwyczajenia gęsiego postępowania za innemi, widzieliśmy, że zaszli często tam, gdzie się oglądali za mysią jamą, aby w nią wleźć. Bóg by dał, abyśmy dostali zkąd tego zimnego amerykańskiego rozumu, graniastego jak geometryczna figura, który nie ustąpi ze swego terrytoryum opinii, póki żyje.

Wręcz przeciwnym błędem naszych wiejskich polityków jest wygórowana chęć postawienia na swojem, nieustąpienia drugiemu, smutna sukcessya czasów *liberum veto*, kuzynowstwo z owym szlachcicem, co się sam jeden opierał wyborowi Władysława IV. Tylko w tak bogatej naturze, jak polska, mogą istnieć podobne sprzeczności. W najmniejszej bagateli nie bywa trzech Polaków, co by się na jedno zgodzili: bo taka zgoda byłaby dyshonorem dla każdego.

Polak da się unieść słowom zapału, krzyczy, gdy inni krzyczą, ogląda się chętnie za sąsiadem: ale gdy przyjdzie do rady, do dyskussyi — to już tyle rozumów i zdań, ile głosów. Namiętność, która go unosi za innemi, taż sama namiętność stawia go wbrew innym, a rozum, którego przed chwilą nie słuchał, staje się po chwili sługą namiętności, i bogaty w jej logikę fałszywą, przewyższa samego siebie w dowodzeniu swego widzimisia.

Podczas gdy ktoś inny najrozumniejsze czyni uwagi, namiętny opozycyonista nie słyszy i nie uważa i odzywa się ciągle własną myślą jak trąba o jednym tonie, jak lutnia o jednym dźwięku. Można widzieć ludzi najsprzeczniejszych zdań, powiązanych na chwilę jedną namiętnością oporu — można widzieć najzgodniejszych dysputujących *de lana caprina*.

I znowu należy prosić Boga o trochę zimnej krwi, o trochę parlamentarnego rozsądku — należy życzyć, aby nasi wykształceni ludzie wzięli przykład z naszych niewykształconych chłopków, którzy na radach gromadzkich nierównie więcej mają tej powagi zgromadzenia deliberującego, niż my w naszych pogadankach i dyskussyach.

Trzecim wielkim grzechem polityków-szlachty jest wygórowana łatwowierność, której, jako równie dziwaczna sprzeczność, odpowiada nieufność, opuszczanie rąk, narzekania na tego albo owego, szykanowanie się wzajemne. Pozyskać przychylność Polaka jest równie łatwą rzeczą, jak ją stracić: pozyskuje się ją złotemi górami, pięknemi słówkami, czasem kilkoma kieliszkami wina i powiedzianym przy nich dwuznacznym toastem: traci za jedną dezilluzyą tych marzeń, za jednym czynem rzeczywistym, który im nie odpowiedział. Dzieje polskie przedstawiają nam tysiące tego przykładów. Polacy hołdowali tysiącu bożyszczom, które po chwili potłukli w kawałki. Pochopny do złotych czynów umysł, widział tysiące mężów przeznaczenia, zesłanych od Boga, widział ich w ludziach, których stanowisko wręcz się podobnemu posłannictwu opierało, widział ich nawet w moskiewskich carach, nawet w Katarzynie II.

Dziś jeszcze można znaleźć ludzi, którzy z płaczem spominają sentymentalno-zdradzieckiego Alexandra, którzy z rozkoszą opowiadają sobie o dobrych chęciach takiego zwierzęcia, jakiem był Wielki Książe Konstanty. Skoro się pojawi takie nowe bożyszcze nadziei, telegraficznym pędem latają o nim anegdotki, *bonmoty*, wiadomości o uściśnieniu ręki panu X. i o allokucyi obywateli miasta Y. i z tych, kłamanych często, improwizowanych nowinek, rosną bańki mydlane marzeń na przyszłość, słabnie siła narodowa! Co dziwna, to, że takie bożyszcza dłużej zatrzymują kredyt, dłużej odbierają hołdy od tłumaczących ich przeciwne kroki ludzi — niż męże pełni poświęcenia i dobrych chęci, których wydał sam naród.

Nieufność jest szkaradnym błędem narodowym, błędem powstającym z tej wygórowanej miłości własnej, która w każdym człowieku czynu żąda uosobienia swojego widzimisia, a jeźli go nie znajdzie, rzuca błotem na najczystszą osobistość. Najświętszy człowiek narodu, człowiek tradycyi i postępu zarazem, szlachcic i posłannik ludu, Kościuszko sam doświadczył tego bolesnego symptomu. Działalność jego paraliżowała obojętność panów, duma i ambicya Mokronowskiego, niewczesność myśli Kołłątaja.

Dziś Kościuszko jest po za obrębem wszelkiego namiętnego sądu: ale widzimy z boleścią, że nie wszyscy uznają jego wielkość narodową, że dzisiejsi reakcyoniści nie czują dla niego tej miłości,

na jaką zasługuje. W roku 1830 i później nie było człowieka, na którego-by nie rzucano błotem, nie nazywano zdrajcą, któremu by nie imputowano, że jest rossyjskim posłannikiem. Historya emigracyi jest pod tym względem ciągłym skandalem. Dzisiaj ta zła wola, ten brak ufności uderzył na dawnych kalumniatorów (bo demokratyczna partya niezawodnie najbardziej grzeszyła kalumnią); nie przesadzimy podobno mówiąc, że dzisiejsi krzykacze przechodzą do ostateczności tak dobrze, jak dawni, w bezgłędnem potępianiu tych ludzi, którzy przed kilkunastu laty cierpieli, myśleli i działali.

Nie przeczymy wcale, że ci ludzie mieli często przewrócone i zgubne dążenia, że nas zaprowadzili tam, gdzieśmy musieli na nich wyrzekać: ale pamiętajmy zawsze, że obłędy tych ludzi były najczęściej skutkiem ich nieszczęśliwego położenia, że największa część ich miała dobrą wolę, poświęcenie, że byli między tymi ludźmi tacy, którzy wszystko złożyli na ołtarzu swojej idei, odbiegli bogactw i spokoju — i poszli, ginąc w szalonem, ale szlachetnem przedsięwzięciu.

Pomnijmy, że ci ludzie zawstydzili nas nieraz swoją energią, niewzruszonością w zasadach swoich. Odpierajmy więc ich błędy, ale mówmy nad nimi słowo przebaczenia, i nie obrzucajmy błotem tych, co cierpieli.

Toć jest jedyny sposób zużytecznienia wszystkich sił narodu, i pogodzenia stronnictw przeciwnych. Są tysiące ludzi, którzy nie wierzą już w swe ideje, ale trzymają się ich z fałszywego honoru przeciwko tym, którzy spotwarzają ich przeszłość. Nie zamykajmy się więc w drewnianych foremkach swej nieomylności; bo przeznaczeniem każdego nie jest wyznawać tylko i odpychać przeciwieństwa, ale zbierać współwyznawców i godzić zdania przeciwne. [1])

---

[1]) *W pierwszym wydaniu (Dziennik literacki z d. 5 Czerwca 1860) artykuł ten kończył się następującym ustępem, opuszczonym w wydaniu portretów zbiorowem:*

Niech nam wolno będzie przedstawić kilka żywych postaci, między politykami naszymi. Wprowadzamy czytelnika w zebranie, gdzie się toczy ważna kwestya, czy to wewnętrzna, społeczna, czy odnosząca się do zewnętrznych wypadków. Inicyatywę daje przystojny mężczyzna w średnim wieku, wyrazistych rysów i wielkiej jak mu to wszyscy przyznają, swady. Brał on czynny udział w wypadkach krajowych, wszędzie lubił podawać radę, toczyć dyskussye rozkładać rzecz na półmiski i przedstawiać ją w okrągłych okresach. Powiadają o nim atoli, że w chwilach stanowczych niknął jak kamfora.

Jestto wiejski polityk-orator, jasnych pojęć ale słabej woli, dobrych, chęci ale wielkiej próżności. Zalecić go można do stanowienia ustaw prawodawczych.

Słabe duchy – Lekkie duchy – Rycerze mgły – Gorący.

Nature! thou are my goddess.
Shakspeare.

Chciałbym w niniejszym portrecie przedstawić nie charaktery, nie opinie, ale że się tak wyrażę, temperamenta naszej społeczności, wpływające stanowczo na charakter i opinie. Idę tu za wzorem Reja, który w Żywocie mistrzowsko skreśla te odmiany krwi polskiej, idę za M. Fredrą, którego *Icon ingeniorum*, umieszczony na końcu jego „*Monita politico-moralia*“ napisowej prawdziwie treści, w tym przedmiocie mieści spostrzeżenia.

Temperamenta społeczne są ogromnej wagi. Można być pewnym, że jakąkolwiek będzie siła przekonania rozumowego, jakiekolwiek wyznanie wiary socyalnej, temperament wykluje się przez niego w stanowczej właśnie chwili.

Gdybyśmy mogli rozgatunkować ludzi naszych, zamieszkujących Koronę i Litwę, ustawić ich w koła podług barwy ich mo-

---

Ten drugi, który mowę oratora przerywa co chwilę exklamacyami zarzutami, który co moment poprawia i bardzo często używa słowa: *ja;* ruchawy, cienki, z przenikliwemi oczami i donośnym ale krzykliwym głosem, jest wiejski polityk-wszystkowiedz, wieczny malkontent ze wszystkiego, który ma w zapasie obfity strumień trenów nad upadkiem narodu i passymistycznym zwrotem czasu.

Taki samusieńki, tylko w innej postaci jest milczący mężczyzna, stojący za oratorem, uśmiechający się szyderczo i kiwający głową. Nie wypowiada on swego zdania, ale go powie albo napisze, kiedy już będzie zapóno. Jest zwykle hrabią albo innym luminarzem.

Ten poważny mężczyzna, z myślącą twarzą, kościanemi trochę ruchami, mówiący mało, dobitnie, wyraźnie, pewnym tonem profesorskim, jest to polityk dyktryner, mający mocną wiarę w swoją nieomylność, trzymający się kilku pojęć jak pijany płotu i naginający wszystko do tych ufixowanych idei. Ma on swoje ulubione materye i swoje bożyszcza, najczęściej Anglią a wtenczas mowę do frazesu: W Anglii, jak ów jegomość od słów: Jakem był w Kalisbacie. Nieprzepartego jest oporu, tem bardziej, że się nie unosi nigdy.

Obok niego stoi kilku z gęsią naturą, którzy chodzą za innymi szeregiem. Naprzeciwko dwóch gorących, negujących wszystko systematycznie. Basem w tej operze zdań jest majestyczny mężczyzna, stojący w oddaleniu, który odważa zdania *pro* i *contra*, ale nigdy zdecydować się nie może. Jeźli go o zdanie zapytają, zaczyna dyskussyę, ale jej nie kończy. Jest to bojaźliwy wiejski polityk.

ralnej, podług ich sił duszy, wypadło by nam zapewne postąpić na wzór Dantego, t. j. spędzić w jeden ogromny, najogromniejszy pierścień milionowy duchów lekkich.

Duchów lekkich jest wiele, bardzo wiele! należą do nich młodzi i starzy, bogaci i ubodzy, znakomici i nieznani, uczeni i głupi. Sangwinicy ci społeczni zrywają się; jak powiędłe liście za lada powiewem wiatru, i za lada ciszą przypadają do ziemi. Kwitną i przekwitają, wierzą i rozpaczają, kochają i nienawidzą, nie zdawszy sobie sprawy z tego, co się z nimi dzieje!

Oto młody człowiek, bystrego pojęcia i obszernych ale pobieżnie nabytych wiadomości, dobrych chęci i rozsądnych opinii. Gdy z nim mówisz, zdaje ci się, że z niego prawdziwa dla kraju pociecha urośnie. Potrafi albowiem rozmawiać poważnie i z znajomością rzeczy, potrafi ująć ujemne strony społeczeństwa i entuzyazmować się do ich naprawy. Ale w chwilkę potem zacierają się szlachetne wzruszenia w jego sercu, bo już inne wrażenie je spędziło; idealny młodzeniec uśmiecha się cynicznie i mówi o pieniądzach i użyciu świata.

Obiecał ci przyłożyć się do jakiegoś szlachetnego przedsięwzięcia i zentuzyazmował się do niego; aliści przeszkodziły mu zabawy, hulanka, sparaliżował go jeden sardoniczny uśmiech materyalisty — i podpisał kapitulacyą z chwilowej wyższości.

Dziś rano jeszcze wielkie nadzieje szumiały mu po głowie: wieczór zapomniał o nich i poszedł się — bawić. Uniesiony zapałem wysunął się raz naprzód, obejrzał się i ujrzał że sam stoi — przelękniony „buchnął w tłum napowrót, jak Protazy w kapustę". Prześladuje go widmo śmieszności, prześladuje go wieczna obawa, aby nie być czułym, bo to nie modnie, nie być ognistym, bo się to sprzeciwia dobremu tonowi. Potrafiłby się wyprzeć ojca, matki, narodu, gdyby mu widmo śmieszności nakazało. Dobry to chłopiec — ale lekkoduch.

Oto literat i uczony, człowiek niepierwszej już młodości, znakomitych zdolności i zasług. Cóż z tego, kiedy nie wie nigdy, czy głowa na jego karku jego głową jest, czy dobrze siedzi i czy ktoś jej nie ma co zarzucić. Jak pijany płotu, trzyma się kilku bożyszcz, podsłuchuje skrzętnie, co mówią, czego chcą w otoczeniu jego, do opinii tej efemerycznej stosuje wystąpienie swoje.

Zamiast wychodzić z samotności ducha, wychodzi z gwaru świata, a gdy nareszcie wejdzie na swoją trybunę autorską, to modeluje i kręci swoje zdanie tak, aby nie stracić na chwilę najdroższej rzeczy, poklasku i zaufania chwili. W każdem jego zdaniu

jest mysia jama, którą zdoła się cofnąć i wyślizgnąć, jeżeliby świat co innego myślał. W ciągłych zajęczych potach o swoją popularność nie śmie nic nowego pochwalić a nic starego potępić, martwi się nowemi objawy, jako ciągłem źródłem nowych kłopotów dla siebie, i radby z duszy, aby po nim już potop nastąpił. I to znowu lekkoduch.

Oto człowiek dojrzały, człowiek czynu, człowiek dobrej woli. Ma gorące pragnienie odznaczenia się i przysłużenia się krajowi: ambicya atoli może oskrzydla patryotyzm.

Żyjąc w szklannej bani ambitnych marzeń, nie zapytał się nigdy sumienia, jakich środków użyć, aby je urzeczywistnić, co wymaga kraj, co wymaga dusza narodu. Kodexem jego moralnym stało się jego widzimisię, jego popęd chwilowy, na gruncie wrażeń nieprzetrawionych wybudował swoje plany.

Z pierwszej idei, podanej mu przez wytrawniejzego a przewrotnego ducha, wydobył karyerę dla siebie, uczepił się jej jak pijany płotu i wlazł w błoto, z którego cofnąć się ambicya mu nie pozwala. Wlazłszy raz, wyleźć już z niego nie może, a choć się wydobędzie na chwilę, to przeszłość wtrąca go weń na nowo.

Żywym takim lekkoduchem był nasz Stanisław August, było i jest wielu naszych panów. Nie mając zasad, chwycili się dla dopięcia swych zamiarów tego, co było wręcz przeciwne narodowym zasadom — i to było tą kałużą, z której już wybrnąć nie mogli.

Drugiem kołem, jest koło s ł a b y c h d u c h ó w.

Duch słaby tem się różni od lekkiego, że może mieć stałe zasady, podczas, gdy lekki ich nie ma. Ale te zasady, choćby najobszerniej rozwinięte, choćby ułożone w jeden zgodny system, umocnione uczuciem, są u niego bezowocnemi, bo słabość wrodzona odcina je od życia.

Słaby duch nie ma odwagi indywidualnej, nie ma poczucia tego punktu honoru, który człowiekowi każe stać, żyć i konać na jednem stanowisku. Wrażenia świata nie niszczą jego zasad i przekonań, ale im odbierają wszelkie zastosowanie: usuwa on się przed ich nawałem i paraliżuje tak, że się staje obojętnym dla swego zdania wyznawcą. Nie mając woli silnej, nie ma wiary w siebie, nie mając wiary, nic zrobić nie potrafi, coby było stanowczem i otwartem.

Idzie więc za prądem czasu, często zupełnie mu niechętny — ale idzie: obojętnieje wśród obojętnych, płonie wśród płonących, krzyczy wśród krzykaczy. Nie wierząc w siebie, nieśmiały i drżący, szuka zawsze podpory w ludziach, a znalazłszy ją, lubi często

przodkować i to jest jego najnieszczęśliwsza rola, bo od chwili, kiedy się samotnym uczuje, kiedy ujrzy wszystkich oczy zwrócone na siebie, zbłaźni się i sprawę swoją skompromituje.

Słabi ludzie nie mają wielkich namiętności, i z tej przyczyny nie mają ani energicznych nienawiści ku złemu, ani silnej i czynnej dla dobrego miłości. Nie śmieją nieprzyjacielowi spojrzeć oko w oko, z gniewem stanowczym i łamiącym: ale radzi by wszędzie znaleść półśrodek, półczyn, jakiegoś *deus ex machina*, który by ich z kłopotliwego wybawił położenia.

Gdy namiętności rozgorzeją, słabi ludzie lubią być medyatorami, godzić to, co się pogodzić nie da, a garnąc do kupy palne żywioły, przykrywają je kapeluszem, aby razem z niemi spłonął. Słowa prawdy nabierają w ich ustach dziwnej łagodności i bezbarwności: obwijają w bawełnę wszystko, aby tylko młotem w gwóźdź nie uderzyć.

W momencie, gdzie nie ma już żadnych względów, oni widzą jeszcze tysiące względów, warunków i okoliczności. Słabość prowadzi ich często tam, gdzie się czują celem pogardy wszystkich i sami sobą gardzą. Słabość nie dozwala im stawić oporu energicznego w chwilach gdzie idzie o cześć i honor narodu.

Słabość nareszcie wplątuje ich w przedsięwzięcia, które są przeciwne wszystkim ich zasadom.

Mamy, niestety, bardzo wielu słabych ludzi. Przewaga ich ciężyła na narodzie w najważniejszych chwilach, jako płaszcz ołowiany, tem bardziej, że zawsze na wierzch wyłazić lubili, że po spełnionym czynie przychodzili go paraliżować swemi względami i okolicznościami. Rok 1830 był tragiczną areną tych ludzi. W następnych latach iluż to widzieliśmy wplątujących się w sprawy, w które nie wierzyli, które za zgubne uważali, które potem nazywali szaleństwem i głupstwem: zamiast wystąpić z energicznym oporem, którego po nich zasady i patryotyzm wymagał. Byliby oszczędzili tyle krwi i tyle łez, gdyby nie słabość, nieszczęsna ta słabość!

Iluż to ludzi widzieliśmy idących gęsim pochodem za przewrotnemi i podłemi — dla względów, dla okoliczności, dla tak zwanej potrzeby, ludzi szlachetnych i poczciwych! Byliby oszczędzili tyle hańby, gdyby nie słabość! nieszczęsna słabość!

Iluż to ludzi widzieliśmy niezdecydowanych i niepewnych w chwili, gdy na nich wszyscy patrzyli. Byliby oszczędzili tyle demoralizacyi, gdyby nie ta słabość, i znowu ta słabość!

Rycerzem mglistym nazwaliśmy usposobienie społeczne, które przez analogią z temperamentami możnaby oznaczyć, jako

melancholię społeczną. Jest to usposobienie nam tylko właściwe i bardzo ciekawe w swoich objawach.

Przez długoletnie nasze boleści i cierpienia moralne, wyrobił się w niektórych duchach rozbrat z rzeczywistością, wiodący w mgliste sfery idealizmu.

Ten rozbrat z rzeczywistością, z chwytalnemi nadziejami i widokami życia — wypróżnił ich duchy i zamiast wrażeniami, napełnił je mgłami uczuć, przeczuć, prawd niejasnych i dążeń niewyraźnych, które czynią, że ci ludzie obumierają dla narodu i przyszłości.

Pamiętnym tego przykładem pozostanie na zawsze Towianizm. Powstały z gorącego pragnienia i gorącej tęsknoty wygnańczej, jako cud Boży, który miał zadość uczynić rozbujałym uczuciom narodowym, Towianizm rozpadł się z czasem z wszelkiem życiem narodu, przywiódł swoich wyznawców do bramińskiej obojętności, a skoro w tem mglistem medium znikły wszystkie barwy ziemi, nieba i piekła, zniknęła czerwoność krwi wylanej i świetne blaski przeszłości — zaprowadził ich do zgody ze wszystkiem, nawet z Carem i knutem moskiewskim. (Patrz: „Powody, dla czego Amnestya przyjętą być nie może").

Rycerze mgliści, tracąc posadę rzeczywistości, muszą koniecznie, z czasem, stawać się martwymi członkami narodu, chociażby w samotność swą ascetyczną wzięli z sobą największe prawdy narodowe, najgorętsze serce i najbujniejszą fantazyę. Zabraknie im nakoniec ciała, tego koniecznego warunku wszelkiego istnienia na ziemi, zabraknie im tej codziennej, domowej, najpotrzebniejszej zasadowości, którą należy wpływać na otaczających nas ludzi, aby ich kształcić i pracować dla jutra.

Kto chce widzieć tysiące lat naprzód, ten nigdy nie ujrzy tego, co ma pod nosem. Otóż nasi mistyczni dalekowidze nie byliby nigdy na konto przyszłego chrześciańskiego połączenia narodów godzili się z Carem i knutem, gdyby widzieli, że krzywdy narodu są za wielkie, za ciągłe, aby sam Pan Bóg mógł nam miłość i zgodę z Moskalami nakazywać.

Ale nie sami Towiańczycy są rycerzami mgły. Są niemi przyjaciele ducha Przeglądu poznańskiego, autorowie broszur wołających: Baczność! są wszyscy ci, co uchwyciwszy kilka wrażeń, czy to z przeszłości, czy z obecnej chwili, zamykają się w nich, i o niczem więcej wiedzieć nie chcą.

W mglistość bezbożną zapadł nawet nasz wielki Zygmunt w swoim: *Resurrecturis*! Jesteśmy i powinniśmy być dobrymi ka-

tolikami, ale Pan Bóg od nas ascetyzmu nie żąda! Pan Bóg nie żąda, abyśmy roztapiali się w ducha męczeńskiego, bo nas z ciałem i duszą potrzeba na ziemi, właśnie dla Pana Boga, właśnie dla Jego celów!

Ascetyzm religijny nie powinien nas prowadzić do tego, abyśmy zapierali się dlań, dla celów ogólnych, naszych własnych celów, i odstępowali naszej narodowej myśli!

Żaden duch zdrowy nie wytrwał w mglistych sferach. Poznał się na Towianizmie szlachecki rozsądek Witwickiego, odrzucił go od siebie nasz genialny Mickiewicz, odgadł jego istotę przeczuciowy Bohdan. I w ostatnich czasach mieliśmy sposobność widzieć z rozkoszą, jak najreligijniejsze dusze miały na tyle natchnienia, aby się nie dać złapać na pusty, martwy, antinarodowy ascetyzm. P a m i ę t a j m y ż e n i e d l a n a s d u c h ó w ż y c i e!

Do rycerzy mglistych wliczyć należy ślepych ubóstwicieli przeszłości. Ci ludzie mają oczy w tyle głowy — z przodu ich nie mają. Kiedy tak bezwarunkowo chwalą przeszłość, zapytać by się ich można, co myślą o przyszłości? Czyli ma wrócić ta przeszłość? Czyliż się godzi ubóstwiać tak przeszłość narodowi, który łaknie przyszłości? Czyliż nie jest grzechem przedstawiać mu ją tak, że o teraźniejszości zapomina, że mu ona cięży, że mimowolnie musi efektować życie ubiegłe, aby sobie ulżyć? Czyliż się godzi przedstawiać mu tę przeszłość fałszywie, bez wykazania dobrego i złego, bez wykazania tej myśli Bożej, która się z niej snuje i nas z nią połącza? Czyliż się godzi wystrychać naród na mazgaja Orcia z Nieboskiej komedyi, który na grobie matki składa wiersze i miewa wizye!

Przechodzę nareszcie do gorącego temperamentu społecznego. Podciągam go pod krytykę, jako szczery przyjaciel prawdy i otwarty wypowiadacz moich przekonań. Podciągam go w czasach, kiedy krzyk lekkich i słabych duchów najmocniej się na gorących podnosi, kiedy kredyt gorącości zachwiał się u starej generacyi.

Nikt jednakże niechciałby zrezygnować na przydomek gorącego. Każdemu, co się czuje Polakiem, chodzi o to, aby go nie poczytano za obojętnego, za wodnistego człowieka, aby umiarkowania jego nie wzięto za bezbarwność.

Zkądże więc te okrzyki na gorących? Czy z różności zasad? Ależ i to nie. Zgoda co do głównych kwestyi narodowych jest dziś większą, niż kiedykolwiek. Któż się nie zgadza na podniesienie ludu do godności obywatelskiej, któż nie czuje potrzeby kształcenia go?

Któż się nie zgadza, że trzeba szanować przeszłość, czcić jej pamiątki? Któż się nie zgadza, że trzeba stać niewruszenie, broniąc narodowego ducha? Że nie trzeba widzieć w Romanowach sukcesorów Jagiellońskich?

O cóż więc spór zachodzi? O cóż te szykany obopólne, dochodzące do poniżającej literaturę płaskości? O cóż to rozerwanie ludzi, którzy się w głównych kwestyach ze sobą zgodzić muszą? O cóż to szermowanie ironią i paszkwilami, ta zawiść małostkowa, niegodna, przenosząca się z pism na osobistości, zaślepiona na wszelką wartość obopólną, to krzywienie sejmikowe, zgodnie z obu stron się odzywające: To zdrada! to zbrodnia! Wielka to boleść — takie objawy społeczne!

Każda partya naturalnie radaby winę zwalić na drugą. Gorący również gorąco krzyczą na umiarkowanych, jak umiarkowani na gorących! Może głos daleki, głos nieporuszony żadną namiętnością miejscową, potrafi bliżej stanąć złotej prawdy.

Gorący temperament jest jednym z najniebezpieczniejszych przekazów przeszłości, przekazem czasów sejmikowych, czasów *liberum veto*, czasów systematycznego oporu indywidualnego przeciw wszystkiemu, co słusznie, czy niesłusznie, nosi nazwisko przeciwnika.

Z drugiej strony jest gorącość tradycyjną sukcesyą tego ognia do czynu, tego prądu dzielnego, któremu Polska zawdzięcza wszystkie dni swej chwały i tryumfu swojego, który ją parł do szlachetnych, choć nieszczęśliwych, walk z wrogiemi żywioły, do przeniesienia heroicznego upadku nad spodlenie. Gorącość wiodła na pole świetnych zapasów, aby za powrotem kłócić spokojność obozu, gorącość szła zwyciężać z wodzami, na których po chwili rzucała obelgą, gorącość stawiała i niszczyła, podnosiła i demoralizowała, naprawiała i psuła.

Gdyby w chwili jednej można było naród największym w świecie narodem uczynić, gorący temperament byłby w stanie to wykonać. Z tej to przyczyny w polskim charakterze tak blisko graniczy z sobą wzniesienie z upadkiem, zapał z namiętnością, publika z prywatą, wzniosłość z małością. W niepowstrzymanym pędzie polskiej natury lada chwila decyduje o przejściu jednego w drugie.

Mały cień nieufności przeradza się w olbrzyma, w drobne przeciwieństwo, w wrogie dążenie, niepewna pogłoska w alarm, a w krzyku ztąd powstałym ginie wszelki rozum, wszelki wzgląd na przyczyny i skutki. Mamy tego liczne i smutne przykłady.

Z boleści, wznieconej upadkiem powstania 1831 roku, powstała gorąca partya emigracyjna. Nie było nic słuszniejszego jak zasady,

które taż partya z doświadczeń narodowych wyczerpnęła: zasady podniesienia i wykształcenia ludu, zasady polityki narodowej, niewierzącej jeno w własne siły. Ale na jakież bezdroża wpadła następnie ta partya gorącego temperamentu? Przyjaciółka ludu stała się śmiertelną nieprzyjaciółką szlachty, wyznawczyni polityki narodowej wplątała się w socyalne i komunistyczne utopie zachodu, nosząca niegdyś chlubnie szablę na polach Grochowa i Ostrołęki, zapragnęła narzędzia hajdamaków — noża! Na kogoż się ona nie rzuciła, kogo nie nazwała zdrajcą? Któż, jeżeli się trochę różnił w zdaniach, jeźli jej ślepo nie uwierzył, uchronił się od jej zaciekłości? Obalając przeszłość burzliwą i niezgodną, ludzie tej partyi byli żywymi jej odnowicielami. Tak-to gorącość przechodzi w terroryzm, wolnomyślność w tyranią, patryotyzm w namiętność fakcyi....

Gorący duch ma pewne i niewzruszone zasady, ale nie ma polityki i taktu postępowania, nie ma tej roztropności koniecznej do pojęcia celu, bez której najlepsze zamiary chybiają, bez której trudno odgraniczyć ruch od burdy, wołanie od krzyku, walkę zdań przeciwnych od szkandalu. Party jedną myślą, dominującą, opanowany nią, jak młody człowiek ideałem, leci ku niej, tratując i niszcząc wszystko, co na drodze spotyka, co mu się na drodze sprzeciwi.

Pięknie to być tak niewzruszonym i nieugiętym, pięknie tak umieć wytrwać do końca, nie zastraszyć się niczem, i nie cofnąć kroku przed niczem: ale trzeba pamiętać, że miłość ku jakiejś idei wymaga po nas często większej jeszcze ofiary: wymaga po nas poświęcenia heroizmu, jeżeli ten heroizm zamiast pomagać, jej tylko szkodzi. Trzeba pamiętać, że ta gorącość nie usprawiedliwia bynajmniej tych skutków złych, które sprawia zwykle gwałtownem przeprowadzeniem zasad, krzyczącem przeciwstawieniem ich obecnemu stanowi, zuchwałem wywoływaniem do boju nierównego przeciwników.

Trzeba pamiętać, że zaprzanie siebie samego jest głównym warunkiem społecznej cnoty, że panowanie nad sobą jest *conditio sine qua non* szczęśliwego skutku przedsięwzięć, że wzgląd na stan rzeczywisty, na przeszłość i teraźniejszość, jedynie może zapewnić zwycięstwo każdej reformatorskiej myśli.

Jątrzenie, poniewieranie, bezczeszczenie, jest najfatalniejszym systemem eudukacyi narodu: bo to jest edukacya boćkowskiego bizuna. Chcąc myśl jakąś przyswoić społeczeństwu, wsadza się ją i pielęgnuje, a nie wbija w ranę otwartą: chcąc poprawić złe, nie przedstawia się widoków strasznego upadku, nie przywodzi się do roz-

paczy negacyą wszystkiego co jest, ale garnąc i przedstawiając wszystkie dobre objawy, mówi się nad złem gromowe słowo sądu — a potem anielskie przebaczenia słowo.

Ta niepowstrzymaność, ta nieroztropność, ten niewzgląd na naturę i rzeczywistość prowadzi gorących duchów do smutnych konsekwencyi. Więc najprzód do wygórowanego indywidualizmu, który z nieufnością patrzy na wszystko, co po za nim wyrośnie, chociaż przecie nie jedna droga do nieba prowadzi. Po drugie: do negacyi i wiecznego malkontentyzmu, który społecznością wichrzy, zamiast ją organizować. Po trzecie: (a to najgorsze) do chwytania się środków ostatecznych, środków wybujałego radykalizmu, które z potopu ogólnego chcą wywieść swoją ideę całą i świecącą.

Zagalopowawszy się zbytecznie, gorący duch widzi się coraz samotniejszym, coraz bardziej prześladowanym i omijanym: wtedy gorycz duszy, która życzyła dobrze narodowi, życzyła gorąco, goręciej niż miliony słabiutkich i leciuchnych duchów, które na niego krakają, ta gorycz duszy, która się umiała poświęcać i cierpieć, popycha go do ostateczności, do coraz większej niewiary w otaczający świat, do coraz większej zuchwałej wiary w siebie i podaje mu w ręce — straszna powiedzieć — znowu to mordercze narzędzie, które odrzyna przeszłość od przyszłości, rzeczywistość od idei, podaje mu, aby pogrążyć wszystko w chaosie i bezładzie.

Okropna to tragedya, która już raz u nas się odegrała, aby stać się przestrogą, nauką na przyszłość! Biada! kto tej nauki nie pojmie! Biada tym, którzy w tę ostateczność pchają umysły swoich współbraci! Biada Sicińskim! Biada temu, co pędzi do apostazyi Sicińskiego!...

Niestety! jest wielu takich pędzonych i pędzących!... Gorączka demokracyi, która nas przed 1846 r. trzymała, zamieniła się wnet w gorączkę antidemokracyi, gorączkę potępienia gorących. Nie zostawiając przed kilkunastu laty całej nitki na tak zwanych arystokratach, przerzuciliśmy się w równie zgubną ostateczność prześladowania bezwzględnego tak zwanych demokratów. Ogłosiwszy tolerancyą i umiarkowanie, wyjęliśmy z pod tego ogólnego prawa tych, którzy zasługiwali na tolerancyą, chociaż dla tego, że ich obłędy były skutkiem ich wyjątkowego położenia. Zamiast z zasad ich odłączyć zdrowe ziarno od plewy, rozum od szaleństwa, narodowy pierwiastek od zagranicznego radykalizmu, odrzuciliśmy wszystko ryczałtowo, potępili dobre i złe zarazem, zaczęliśmy w najrozsądniejszych zasadach upatrywać ślady demagogii i wynieśliśmy

z doświadczeń historycznych wsteczność zamiast postępu, nową analizę zamiast syntezy.

Przypomnijmy sobie kołowaciznę przed kilką laty w modzie będącą, a i dziś potężną jeszcze, kołowaciznę ślepego efektowania niepostępowych opinii, estetycznego, rozlubowania się w przeszłości, systematycznej nienawiści ku temu wszystkiemu, co się głośniej odezwało, co ruszyło jakąś kwestyę drażliwą. Przypomnijmy sobie choroby wzajemnej admiracyi, chorobę dobrych chęci słabiutkich i niewyraźnych, chorobę nareszcie legitymizmu i bigoteryi, które u nas grasowały tak powszechnie. Nie zapadlibyśmy byli zapewne w wszystkie te denerwujące wsteczności, gdyby nas w nie nie popchnęła ślepa i nie krytyczna nienawiść ku dawnej demokracyi, gdybyśmy nie byli widzieli w każdym wolniejszym objawie myśli widmo Robespiera, a w każdem słusznem ograniczeniu naszego stanowiska narodowego, nie obawiali się przekleństwa religii. Nie byłby natenczas „*un gentilhomme polonais*“ napisał swojego listu do Napoleona, który nawet najumiarkowańszym musiał się wydać grzesznym przeciw narodowi krokiem. Nie bylibyśmy nareszcie pchnęli wyznawców dawnych zasad do tem zapalczywszego ich zachowania a raz na zawsze odjęlibyśmy kredyt tym, którzy bez dobrej wiary głoszą i propagują ekstrawaganckie zasady.

Nie mieliśmy, niestety, tyle rozumu społecznego. Jak już raz w „Wiejskim polityku“ wypowiedziałem, uroniliśmy na konto nienawiści ku demokratom, wiele sprężystości i energii narodowej, wiele precyzyi myśli, wiele zdrowego sądu o przeszłości i obecności. Strata to wielka: a jeźli ją mamy powetować, musimy ostatecznie odrzucić wszelką prywatę, wszelką drażliwość i przyjąć wszystko dobre, które nam gorące przynoszą duchy, musimy oddać słuszność komu się ona należy, i wycofać się z tej bojaźliwej wsteczności, z tego sybaryckiego zasklepienia się w *status quo*, z koteryjnej admiracyi wzajemnej. Biada tym, co łamią przedwcześnie laskę sądu, bo Bóg sam laskę sądu nad nimi trzyma!

Nie bądźmy faryzeuszami, mówiącymi przed narodem:

— Patrzcie, my nie jesteśmy jako oni!

Nie strójmy się w przymioty, które nam pogarda bratem naszym i nienawiść ku niemu podała, nie głośmy pięknych uczuć, pod któremi się kryje zajadłość stronnictwa! Bo póki brat nasz nie został zdrajcą, dopóki on to samo kocha, co my nadewszystko kochać powinniśmy, jest on bratem naszym a nie wrogiem!

Nie przenośmy nienawiści naszej z nieprawdy na prawdę, jeźli ją też same wymówiły usta. Nie zarzucajmy, że brat nasz wszczyna kłótnie i niesnaski, jeźli postępowaniem naszem nowy tworzymy rozłam, utrudniamy zgodę i połączenie! Nie pchajmy w ostateczność nikogo, póki od ostateczności ochronić go można! Nie przypisujmy płaskim powodom tego, co jest objawem chorobliwym radykalizmu i zapalczywości, wywołanych przez nas samych!

Tartuffe. [1])

Nieśmiertelny Molière, pisząc swego świętoszka, nie przeczuwał zapewne, że po dwu wiekach użyję tytułu jego komedyi na tytuł typu umysłowego w kraju, o którym zapewne tyle wiedział co Szekspir t. j.: że Polska jest przysypana śniegiem i że po niej jeździ się na łyżwach.

W dawnej naszej Polsce nie było Tartuffów. Żadna historyczna osobistość nie miała tej obrzydliwej cechy na sobie Nasi praojcowie osiadali na starość na dewocyi w klasztorach, dnie i noce przepędzali na modlitwie, ale świętoszka u nas nie znalazł. Ojcowie nasi byli złymi jak czarci, albo dobrymi jak anieli, ale nie znali tej sinawej cery obłudnika, co wzdycha a oszukuje, co się modli a przeklina. A jeźli się może kiedy taki nawinął, to go zgromili tem malowniczem, pięknem przysłowiem:

— Modli się pod figurą, a ma dyabła za skórą.

Z królów jeden Jan Kaźmierz, wyuczony za granicą, zmiennik całe życie, miał rys hipokryzyi i dla tego rysu był nienawidzonym. Hipokryci zaczęli się u nas dopiero wtenczas, kiedy krew nasza zwodniała, potęga ducha osłabła, kiedy charakter narodowy zatrząsł się w swoich świętych, tradycyjnych zasadach. Wśród burzy czasów, wśród zmian opinii pojawiły się najprzód postacie, które szybowały wśród ogólnego zamętu podług potrzeb i widoków swoich osobistych, a napełnieni wewnątrz cynizmem i egoizmem, oszukiwali innych powierzchownością ludzi poświęcenia, powierzchownością posłanników wyższych idei. Pojawili się ludzie mający na ustach najświętsze

[1]) Nr. 54. „Dziennika lit." z dnia 6 Lipca 1860.

imiona, walczący pod najchwalebniejszemi sztandary, którzy pomimo tego jako nieprzynoszący dobrej woli i czystej duszy, oszukiwali drugich. Typ Tartuffa zatem nie jest u nas typem li religijnym, ale politycznym i socyalnym: typ ten ogarnia wiele osobistości, które wszystkie razem wzięte mają jednę cechę wspólną: brak czystych i niesamolubnych zamiarów.

Oto pan możny, znakomitego pochodzenia, który zaciągnąwszy się pod sztandar jakiegoś wymarzonego legitymizmu, uczepiwszy się jakichś ultramontańskich opinii, pozuje się na świętego, przewraca oczami i klęczy cały dzień w kościele, fanatyzuje otaczających i sztucznym zapałem, fałszywemi deklamacyami chce innych pociągnąć ku sobie — a w duszy jego pali się myśl dumna, fantastyczna, pozowania się na hrabiego z Nieboskiej, w duszy jego święci się ambicya odróżnienia się od tłumu i pogarda tym tłumem, goreje nieubłagana, feudalna nienawiść. On święty, katolicki pan, przeklina w każdej chwili i nie szczędzi sowitych słów obelgi dlá niepoświęconych. Czyż to nie Tartuffe przed Bogiem i przed ludźmi?

Oto człowiek pełny intelligencyi, słynny autor i myśliciel, który odstąpiwszy obozu walczących i prześladowanych, uchwycił się obozu używających i tryumfujących i nie dość że sam przeszedł, pracuje jeszcze nad tem, by wmówić w innych, że dobrze zrobił. Ulepia sobie zatem jakąś filozofijkę misterną, chrześciańsko-rezygnacyjną, filozofijkę, która nawet z szyzmą zgodzić się potrafi, ubiera ją w zasoby swojej szlacheckiej fantazyi, przynęca wdziękiem swoim z lat dawnych, z lat czystych, i udaje spokój, pobożność i wszystko, co mu tylko potrzebne. Czyż to także nie Tartuffe?

I znowu ten demagog, szeroko rozprawiający i krzyczący, tem szerzej i głośniej, im mniej wierzy w swoją sprawę, ten człowiek, który z ironią Pankracego patrzy na tysiące głupców, patrzących się nań z nabożeństwem, ten człowiek który w zasadach swoich trwa nie przez przekonanie ale przez patetyczność, nie przez dobrą wiarę ale przez spekulacyę, czyż to także nie Tartuffe?

Dobra wiara, sumienność, ta naiwność duszy która chwyta się jakiejś zasady, ale chwyta z ręką na sercu, z wylaniem dziewiczem, oto właściwa miara wartości człowieka. Najmniejszy i najsłabszy duch, mający tę dobrą wiarę, godzien poszanowania, czy on arystokrata, czy szlachcic, czy demokrat. Jeżeli ma fałszywe zasady można na niego rachować, że je zmieni, że mu prawda w oczy zaświeci: ale jakże rachować na tego, któremu wszystko jest błędnikiem na błocie duszy, służącym do tego, aby ludzi zwodzić? Jakże rachować na tego, któremu zasady są encyklopedyą otwartą, gdzie alfabetycznie

ułożone leży zle i dobre? któremu patryotyzm, religia i inne święte słowa są tylko klawiszami fortepianu, gotowemi do posłuszeństwa na uderzenie mistrza? Jakże użyć takiego człowieka, jak mu zaufać, kiedy w głębi jego myśli jest zawsze brud i błoto?

Tartuffe jest atoli łatwym do odgadnięcia i poznania człowiekiem. Czy on ultramontan, czy panslawista, czy demagog, zawsze on jednaki bo zawsze komedyant. Pan Bóg odebrał mu cechę człowieczeństwa: bo mu odebrał prostotę, odebrał tę jasność czoła, patrzącego w niebo, tę potęgę prostoty, która nie potrzebuje sztuki, aby przekonać, bo chce przekonać, a nie omamić. U Tartuffów wyrobiona jest nieskończenie zewnętrzność człowieka, wszystko tam wylazło na wierzch, aby zakryć wewnętrzne ubóstwo, wszystko przybrało postać sceniczną, świętalną, urzędową. Fałszywy zapał pobożny, ewaporuje się w tysiącznych oznakach powierzchownych, zapał patryotyczny grzmi i huczy, pryska potokami słów bez celu i związku, o których powiedzieć można: z wielkiej chmury mały deszcz! Drugą cechą jest brak namaszczenia, objawiający się w używaniu wszelkich środków podług szkaradnej zasady: Cel uświęca środek. Tartuffowie pobożni mają gotowe baterye przekleństw, ironii, fałszów i naciągań historycznych, cynicznych wyrażeń: niepobożni ubierają w szaty demagogiczne religią i najświętsze tradycye narodu. Jak pierwsi gotowi z kościoła zrobić kordegardę, tak drudzy z kordegardy zrobić kościół. W braku miłości, wielkim, srogim braku, jedni i drudzy tchną nienawiścią bez granic i na rozkazy swych mniemanych zasad mają wszystkie sposoby, jakie się w czarnej czeluści piekielnej wyrodziły. Pierwsi z dogmatu robią miecz katowski, drudzy z zasady — jedni i drudzy zarówno są terrorystami; jak terrorystą jest tak dobrze książe Alba jak Saint Just i Robespierre. *De Maistrowskie dictum acerbum:* że kat jest wykonawcą sprawiedliwości Bożej na ziemi, podaje delikatną, arystokratyczną rękę do grubej dłoni Kordeliera śpiewającego: *ça ira.*

Nic łatwiejszego, jak zostać Tartuffem. Droga najprostsza: ukochać coś więcej, jak naród, splątać się z jakąś myślą osobistą, pochlebiającą miłości własnej — odpowiadającą widokom samolubnym — splątać się z nią, a pomimo tego chcieć się utrzymać w aureoli narodowej, szukać stronników i współwyznawców, udawać zapał i chęci poczciwe — a oto Tartuffe gotowy. Wyznawać, w co się nie wierzy, wyznawać tylko dla tego, że ta opinia jest popularną, chwilowo *en vogue* będącą, że ta opinia przynosi momentalny poklask lub może i inne materyalniejsze korzyści — i oto znowu

hipokryzya i oszukaństwo ludzi. Wobec sądu Boskiego, łatwiej będzie najprzewrotniejszych zasad wyznawcom, niż wyznawcom tej najgorszej bezzasadności.

Mąż zaufania. [1])

W każdem społeczeństwie są punkta, osobistości, około których żywiej i rojniej rusza się życie; osobistości, do których garną się słabsze i poziomsze duchy, którzy jakimkolwiek swoim przymiotem pozyskali sobie rozgłośność i popularność. Po tych osobistościach, niby Cuvierowi po zębie przedpotopowym, łatwo badaczowi społeczeństwa rozpoznać samoż społeczeństwo: boć to niby jego deputowani moralni na sejmie umysłowości narodowej, deputowani, tem lepiej stosujący się do instrukcyi ziomków, że nie wyszli z kreskowania.

W każdym cyrkule, w każdym powiecie jest taka dominująca osobistość. Jestto mały dyktator umysłowy, na którego się wszyscy patrzą, którego zdania wszyscy oczekują. Nie starał on się jednak o dyktaturę, ona sama do niego przyszła. Poznasz go po pewności w mowie i twierdzeniach, po bojaźliwem oglądaniu się na niego tych, którzy przeciwne od niego zdania rozszerzają. Rozróżnić go atoli należy od cyrkularnego nadawacza tonu i jego satelitów półpanków, którzy stanowią osobne lenne księstwa pod feudalną opieką jego, bo mąż zaufania, mąż popularny należy do arystokracyi duchownej, inteligentnej, podczas gdy tamci przewodniczą tylko obudzaniem namiętności najniższych człowieka, współzawodnictwa majątkowego i próżności.

Mąż popularny ma wielką odpowiedzialność przed Panem Bogiem. Znaczy on więcej niż tysiąc zwykłych ludzi. Stanowisko jego podobne do owych posłów dawnej Rzeczypospolitej, w których ręku spoczywała jej udzielność a z udzielnością życie i szczęście. Słowo jego posiada potęgę lawiny alpejskiej, potęgę iskry, która ogromny pożar wzniecić może. Niestety, nie wielu jest takich, którzyby pojmowali jaśnie swoje królestwo duchowe. U wielu zmienia się ono w despotyzm kaprysu, w gibkość i giętkość prywatnej

---

[1]) Nr. 39 „Dziennika literac." z dnia 15 Maja 1860.

ambicyi, w politykę bojaźliwą i frantowską, która zawodzi zaufanie publiczne. Wielu dysmoralizuje swych umysłowych poddanych lekkomyślnie wyrzucanemi zdaniami, ślepem postępowaniem za innymi wyższych sfer ludźmi, politycznem pozostawianiem ich w niepewności co do najważniejszych kwestyi, brakiem energii w szerzeniu tego nawet, co za dobre uznali. Wielu poświęca swemu uporowi i widzimisiom najświętsze zasady, i zamiast prowadzić naprzód, prowadzi wstecz. Możnaby przy dokładnej znajomości obywatelstwa podzielić kraj na królestwa umysłowe i oznaczyć je kolorami prowadzicieli. Widzielibyśmy wtedy, ile wodnistych i bledziutkich byłoby wtenczas kolorów!

Są mężowie zaufania de jure i de facto. De facto są nimi ludzie wysoko położeni, wielcy panowie, panowie mający rozległe wpływy. Wszyscy zwracają na nich oczy, wszyscy patrzą, jak sobie w tym albo owym przypadku postępują. Zaufanie to nie jest atoli popularnością, nie polega na zasadach, na racyonalnej przyczynie: jest to wypływ natury ludzkiej, patrzącej ku wyżynom społeczeństwa. W najdemokratyczniejszych czasach chciano zawsze zjednywać tych wielkich i bogatych, i patrzono pilnie, co zrobią ze sobą. Dzisiaj to oglądanie się na możnych spotęgowało się i doszło do bajecznej, zgubnej wysokości Zgubnej powiadamy, bo panowie rzadko się starają o prawdziwą popularność, rzadko szczerze i otwarcie postępują ze szlachtą, a nic więcej od nich nie jest oddalonem, jak spólność interesów z niższą podług nich socyalnie warstwą. Gdzie zamiast szczerości jest takt i polityka, gdzie zamiast moralnego przodownictwa jest uzurpacya, gdzie chodzi o to, aby zyskać narzędzia a nie świadomych stronnikow, tam nie może być spólnych interesów. Jeżeli zatem szlachtę uważamy za jądro narodu, w którem się wszystko zlewać powinno, do którego podnosić się mają niższe warstwy, a od której panowie odosobnić się powinni: pojmiemy łatwo, jak ślepe postępowanie za panami jest zgubnem i świadomość narodu zabijającem, jak obawiać się należy powrotu dawnych czasów, gdzie masy szlachty grupowały się koło dworów możnych, i dzieliły kraj na oligarchie z wręcz przeciwnemi często politykami. Przez to jednak nie przeczymy bynajmniej znakomitym rodzinom prawa przodownictwa a nawet kierownictwa, nie odbieramy im prawa, które im historyczna przeszłość i materyalne stanowisko nadaje, nie unosimy się bynajmniej do tego stopnia abyśmy zasługiwali na zarzut Stanisława Jabłonowskiego (w Skrupule bez skrupułu): Szlachcie wolno, a panu nie? Chcielibyśmy, owszem, z całego serca, aby panowie, mający de facto zaufanie

ziomków, zwracając ich oczy na siebie, stali się rzeczywiście starszą ich bracią, naczelnikami ich, przez reprezentowanie ich myśli i dążeń, naczelnikami przez używanie swojego stanowiska do wypełnienia życzeń narodu. Chcielibyśmy, aby byli znowu tą starą izbą senatorską w społeczeństwie naszem, w której gromadziło się wszystko, co było najlepszego w kraju. Toć jest jedyna i cnotliwa droga wielkości, wielkości, jaką dzisiejsza społeczność uznać i znosić może. Każde inne dążenie, polegające na chęci odsuwania szlachty i inteligencyi, zniżenia jej do narzędzia, odszczepienia się od niej, jest uzurpacyą, która musi obudzić nieufność, rozstrój, rozłam w społeczeństwie. Najlepszym sposobem, aby pociągnąć za sobą wszystko co dobre i szlachetne, jest: iść samemu zawsze dobrą i szlachetną drogą.

Popularnymi de jure są wszyscy ci, którzy wyższością wykształcenia, dzielnością charakteru lub innym jakimś wysterczającym przymiotem zyskali aplauz powszechny. Pokaż mi męża popularnego jakiejś strony, daj mi go poznać a powiem ci, jakie jego otoczenie. Są okolice, gdzie głośni oratorowie, gdzie facecyonaci tuzinkowi, gdzie zwykli brudni materyaliści trzymają całe sąsiedztwo w kleszczach swoich argumentów: taka okolica niezawodnie nie wielką ma wartość. Gdzie na czele obywatelstwa stoi człowiek godny ale wsteczny, tam paraliżuje się wszystko, co nosi nazwę postępu, rozwoju kroku naprzód. Gdzie przewodniczy człowiek o niepewnych zasadach, tam gibkość i wiotkość opinii jest naturalnym skutkiem. Są nareszcie miejsca, gdzie ludzie popularni są popularnymi — milczeniem, apatyą, gdzie świetną przeszłością swoją jakaś osobistość trzyma wszystkich w zawieszeniu i zatrzymując duchowe naczelnictwo, nie chce czuć obowiązku wykonywania powierzonego mu moralnego urzędu i całe otoczenie w podobną swojej apatyą ponurza.

Mężowie popularni są potomkami dawnych posłów Rzeczypospolitej, dawnych marszałków trybunalskich i sejmowych. Życzyć by należało, aby pamiętali o tem, aby wiedzieli co było dobrego i złego w ich moralnych protoplastach. Nie tak dawno, bo jeszcze w przeszłej generacyi, widzieliśmy owych sędziów polubownych, owych czczonych powszechnie starców, których jedno słowo serdeczne więcej znaczyło, niż wszystkie argumenta fachowych ludzi. Dzisiaj życie między obywatelstwem osłabło i te drogie typy wyginęły prawie ze szczętem. Pewne zamknięcie się osobiste opanowało umysły i brak porozumienia się coraz widoczniej czuć się daje. Chcielibyśmy zatem:

1. Aby mężowie, zaszczyceni ogólnem zaufaniem, nie ociągali się w utrzymywaniu się ciągłem na swojem stanowisku, nie zamykali się w sobie, ale owszem szerzyli zasady, które sami wyznają.

2. Aby w tym celu starali się o pewność i systematyczność tych zasad, pomni odpowiedzialności, którą na nich wkłada ich stanowisko.

3. Aby podnosili w ten sposób i jednoczyli życie obywatelskie, krzepili słabych, podnosili upadłych i stali się prowadzicielami swych kółek do tych celów wyższych, które im świecą.

Czczość towarzyska jest najzgubniejszym symptomatem każdego społeczeństwa. Widzimy ją atoli na wielkie rozmiary u nas zagnieżdżoną. Gdy nie ma kieliszka i preferansa, tych dwóch remedyów na nudę, ziewają wszyscy i patrzą na zegarki, aby się wynieść co prędzej. Niechżeby ludzie wyżej umysłowo uposażeni pojęli każdą wizytę w sąsiedztwo nietylko jako sposób zabicia czasu albo spłacenia długu przyjaźni, niechby ją pojęli jako środek skupienia się i wykształcenia wzajemnego, a ręczę, żeby nie było więcej czczości. Widzimy odżywające towarzystwa, skoro się zjawi dowcipniś i facecyonat, czemużby to towarzystwo nie miało się poruszyć, gdyby człowiek z głową i sercem zawsze chciał przynieść na stół kwestyę, któraby wszystkich zajęła?... Z małych kółek wyszłaby natenczas nie jedna rzecz znakomitej wagi. Zamiast kieliszka i preferansa, których zresztą zupełnie usunąć nie radzę, bo nie jestem rygorystą, czyżby nie było lepiej, naprzykład w pojedyńczych kółkach obywatelskich, kupić się około stolika gazet krajowych, trzymanych wspólnym kosztem? Niechaj tylko mężowie popularni zechcą pojąć swoje stanowisko, niech poczują, że ich świętym obowiązkiem jest ciągłe używanie tego wyższego uposażenia umysłowego, niech dają ciągły implus życiu towarzyskiemu, a Bóg da, że będziemy zgodniejsi i silniejsi, my co dziś tak słabi i rozstrzeleni jesteśmy.

Szlachcic postępowy. [1])

Piękna to rzecz ta postępowość. Być postępowcem, to jedno, co być godnym synem wieku, pojmującym swoje stanowisko społeczne i sumiennie wypełniającym obowiązki z niego płynące. Być postępowcem, to wyrzec się zgubnych przesądów, to odepchnąć

[1]) Nr. 53 „Dziennika literac." z dnia 3 Lipca 1860.

choćby najpiękniejsze mamidło przeszłości, jeźli z niego nie ma korzyści rzeczywistej, powszechnej, to być rycerzem a nie *Don Quixotem*, człowiekiem życia a nie śmierci. Być postępowcem, to być wrogiem wszelkiej apatyi i stagnacyi, nie spoczywać na laurach zdobytych, nie zamykać się egoistycznie w ideach minionych, dla tego, że nam reputacyą przyniosły! Ach! obyśmy wszyscy byli postępowcami!

Aleć goniący za ideałem postępu nie wszyscy dochodzą do niego. U wielu postęp jest materyalizmem, cynizmem, czczym frazesem, modnym frakiem, zewnętrznością form bez ducha. U wielu jest on dążeniem do jakiegoś fashionu angielskiego, z wysokości którego da się tak wygodnie na świat spoglądać sztecherem i — próżniaczyć. Niechże nas Bóg uchowa od takiego postępu.

Szlachcic postępowy ma zimny, prozaiczny, kościany rozsądek, wiele ambicyi a mało cnoty obywatelskiej. Słodkie węzły familijne, tradycya ojców, święta i tyle potęgi duszy dodająca, niezdołały nigdy przytulić się do jego graniastej duszy: serce zostało zamkniętem....

Patrząc na świat biernem okiem urodzonego materyalisty, tem okiem, które nigdy wnętrznym ogniem zabłysnąć nie może, które tylko jest kamerą obskurą dla wrażeń świata, poznał on, że to, co było świętem i nietykalnem dla naszych przodków, dzisiaj już nie ma swego rzeczywistego, chwytalnego waloru, że szarańcza pieniężników dzisiaj włada światem i trzyma go w żelaznych szponach swoich, że gruntem wszystkiego na świecie dzisiaj pieniądze. Nie zabolało go serce od tego spostrzeżenia, owszem: akkomodował się on z łatwością do tego stanu rzeczy, a pierwszy cyniczny uśmiech zadowolenia wewnętrznego, że świat poznał i doń się zastosować umiał, inaugurował go w rzeszę tych milionów, co jak mrówki roją się po ziemi, nie spojrzawszy ani raz w niebiosa.

To poznanie się na świecie przyprowadziło go do wszystkich oznak postępowości. Pan Alfred jest demokratą i śmieje się ze starych pergaminów; pan Alfred jest racyonalnym gospodarzem i śmieje się z ugorowania; pan Alfred jest politykiem, i, śmiejąc się znowu dowcipnie, widzi w każdym historycznym człowieku takiego karzełka jak sam, przypisuje mu swoje myśli, i powiada: ho! ho! przepowiadam państwu, że się to a to stanie, że to rzecz zakrojona na zabór tej a tej prowincyi.

Przestrzegamy każdego, aby omijał konwersacyi pana Alfreda, bo nie masz większego nudziarza jak on. Napuszony swoją mądrością, niezbity w swoich twierdzeniach, wyjeżdżający na targ ze

wszystkiem, co wie a nawet z tem, czego nie wie, postępowy Alfred zabija nieszczęśliwą ofiarę opowiadaniem o fabrykach, wystawach, polowaniach, balach, operach zagranicznych, w których to opowiadaniach nieszczęśliwe „ja“ brzęczy ciągle, jak natrętna mucha, niczem nie pozbyta.

Z jakiejkolwiek zaczniesz z nim beczki, możesz być pewny, że ci wpadnie w mowę długim szeregiem słów, stojących pod komendą tego nieszczęśliwego: ja. Cokolwiek mu zarzucisz, cokolwiek poprawisz, daremnieś się fatygował; przyskoczy do ciebie, urwie guzik od surduta, opluje porwany ferworem polemicznym, bo nie przypuszcza, aby w czem się mógł omylić —on, człowiek postępowy. Próżność i samochwalstwo tak dalece opanowały jego naturę, że stracił wszelkie czucie niesmaczności swego postępowania, że w każdej chwili rozpływa się nad sobą, dumnem okiem patrzy na swoje dzieła, a jeszcze dumniejszem na innych, niepostępowych ludzi. Jest szczęśliwym. Ale szczęście, które wszędzie jest niebezpiecznem, a u nas najniebezpieczniejszem, to szczęście samolubne i cyniczne czyni, że postępowiec obumiera dla wszelkiego społecznego życia, żo mimo swojej postępowości staje się wrogiem wszelkiego postępu. Stając na wyżynie teraźniejszości, obejmując umnem okiem materyalne dążenia świata, nie pojmie nigdy żadnych wyższych, nazywając je z głupowato-frantowską miną fatałaszkami, ideałami i rzucając błotem na wszystko, co wymaga, aby zejść z piedestalu szczęścia, puścić na wolę losów swój *statusquo* i walczyć w szlachetnem spółzawodnictwie z tymi, których raz na zawsze za zwyciężonych uważał.

Trudno doprawdy pojąć, jak postępowa jego dewiza, wtedy elastyczną się staje, z jaką łatwością przechodzi wtenczas do obozu wstecznych, jak zręcznie przenosi swoją postępowość gdzieindziej, gdzie mu wygodniej i bezpieczniej. Równie mu łatwo wtenczas zostać poważnym arystokratą rodowym jak pieniężnym, ba nawet i czemś gorszem jeszcze. Łatwo, mówię, bo w gruncie duszy jest tylko jedna zasada: egoizm, a tej zasadzie służą wszystkie inne zasady. Dla tego życie jego jest ciągłą niezgodą idei i rzeczywistości, słowa i czynu. Mówi pięknie o równości ludzi, o potrzebie wychowania ludu, a nie dał grosza na szkołę i nieraz wzdycha do dawnego bata ekonomskiego; mówi o bankach rolniczych, pomocy wzajemnej, ale sąsiadowi by nie dopomógł, choćby mu się przelewało. Mówi o patryotycznym obowiązku trzymania się ziemi ojców, ale pierwszy, porachowawszy bilans wydatków i przychodu, sprzedał wieś niem-

cowi i wyniósł się na kapitalistę do miasta. Tam rezyduje obecnie i śmiejąc się z całego świata, mówi:

— Co za rozkosz mieć ostre nożyczki i odcinać kuponiki od obligacyi!...

Takie to są skutki źle pojętego postępu. Podziwiamy w naszych przodkach ich granitową naturę, ich jednolitość życia, słowa i myśli, ich zasadność i konsekwencyą.

Idea fałszywa postępu nam odebrała te przymioty. Jako ruch, pospiech, zawrót — postęp odebrał nam prostotę duszy, krzyształowe dno jej zamącił, tak, że się obrazy świata w niej złamały, że to, co święte i nieśmiertelne nie miało czasu zostawić na niej piętna niezatartego niczem. Uczucie nie miało czasu ukochać tych świętych i nieśmiertelnych zasad, rozum ująć ich w całej donośności, rozsądek tylko zasypany ogromem materyału wrażeń podsumował je razem z innemi. Tym sposobem wyrodziła się ta podła, głupowata, karla roztropność życia, ta filozofia ciągłej i statecznej małości, tak dziwnie i brzydko odbijająca przy życiu przodków, z których choćby ostatni miał przecież wielką i szlachetną chwilę w życiu.

U takich ludzi postęp to jedno, co niwellacya, co zabicie jednostki, co samobójstwo.

Śmiesznym u nich jest żal za tem, czego nie ma, śmiesznem pragnienie tego, czego nie ma, śmiesznem każde uczucie wychodzące nad poziom, każde przedsięwzięcie wznoszące się nad codzienność. Przecięli oni węzły tradycyi, a sami, niestety, bardzo zgubną synom zostawią. Są to ludzie tak nieskończenie porządni, że człowiek sobie mimowoli troszkę mniej porządnych życzyć musi....

Przerażającą jest rzeczą, jak wiele, szczególniej między młodymi ludźmi, mamy postępowców i porządnych. W dwudziestym roku życia nie ma już iskry zapału, nie ma jednego niewinnego i nieuprzedzonego spojrzenia na świat, nie ma jednej chwili uznania, że jeszcze czegoś więcej do zbawienia duszy potrzeba, prócz pieniędzy. Mówić im o poświęceniu i służbie dla dobra kraju — kiwają głowami, mówić o najmniejszej abnegacyi dla celów ogólnych, kiwają znowu i mówią: ja nie bocian, ja nie zacznę. Gdy im nie dasz wina, nie będą się bawić, gdy im nie pokażesz kabanosa, ziewają. Panien nie lubią, bo z niemi mówić nie umieją, panna jest u nich cyfrą posagową. Pozycyi pieniężnej poświęcą wszystko....

I cóż do stu katów z tych postępowych ludzi będzie? Cóż ich poruszy, tych trupów obrzydłych? Ale dość sermonu — *requiescant in pace*!

Szlachcic podupadający i szlachcic robiący pieniądze. [1])

Proroczym duchem widzę w historyi literatury polskiej napisanej za kilka lat osobny rozdział p. t.:

Literatura biedy galicyjskiej.

Literatura ta jest obfitą. Gdyby z dzienników przedrukować wszystko, co o tej biedzie pisano, powstałaby z tego szafka pełna książek. Gdyby czas obrócony na te zawsze podobne do siebie lamenta obrócić na gospodarstwo, niezawodnie mniejby było powodu do lamentów.

Ale co ja mówię! literatura ta jest rzeczywiście potrzebną. Mamy naturę, że się nie lubimy przyznać do biedy, jeżeli to przyznawanie nie jest w modzie. A przyznać się do biedy i postępować odpowiednio do tego przyznania się, jest konieczną, gwałtowną, palącą potrzebą!

Literatura biedy galicyjskiej podała tak liczne sposoby zaradzenia tej biedzie, że nas mocno dziwi, że ona dotąd istnieje! Podała projekta spółek, ajencyi, ulepszeń gospodarskich wszelkiego rodzaju, banków rolniczych, wszystkiego możebnego aż do nonsensu wypuszczania ryczałtowego gruntów. Ale cóż z tego, kiedy spółki oporem idą; Moszki po staremu handlują, na ulepszenia gospodarskie nie masz pieniędzy, banku rolniczego nie chcą założyć ci, którzy go nie potrzebują, a którzy jedynie założyć go mogą, a ryczałtowo gruntów wypuszczać nie chcą ci, którzy doświadczyli, że wiejscy posesorowie rozumieją tylko ryczałtowe przywłaszczanie sobie cudzej własności.

Nie znamy się na gospodarstwie, dla tego nie myślimy podawać amelioracyjnych projektów. Widzimy tylko, że te sposoby są trafne i bijące w oczy koniecznością swoją. Prosimy Boga, aby jak najprędzej weszły w życie. Bijemy czołem przed p. W. W. i spółką, dziękujemy z całego serca wszystkim, którzy się przykładają do materyalnego bytu kraju. Bo jużcić kwestya własności, to kwestya życia i śmierci. Jak wszyscy osiędziemy na bruku, to możemy ambarkować się do Ameryki....

---

[1]) Nr. 47 „Dziennika literac." z dnia 12 Czerwca 1860.

Jako moralista, przedewszystkiem zwrócimy uwagę naszą na fenomen, dziwny wśród powszechnej biedy galicyjskiej, na fenomen, że i dzisiaj jeszcze, gdy ziemia podobno żadnego procentu nie niesie, gdy praca i wkłady daremne, na stu podupadającej szlachty jest zawsze jeden, który robi majątek.

Drugą okolicznością jest, że w pośród upadającej szlachty rosną dorobkiewicze, ekonomczuki etc., którzy także robią majątki.

Zkądże ten fenomen? Gdyby u nas było tak bajecznie źle, jak powiadają, to niktby nie zrobił majątku. Zatrzymanie więc, chociaż już nierobienie majątku, musi koniecznie zależeć od pewnych względów nie materyalnych, ale moralnych.

Bieda galicyjska jest Nemezą za dawne czasy. To jest prawda, którą przesiąkniętym być potrzeba, aby z niej wyleźć.

Bieda galicyjska jest naturalną konsekwencyą dawnego bezrządu, dawnego niepostępowego gospodarstwa i niedawnych, bo istniejących dotąd, zbytków. Bieda galicyjska jest skutkiem wyścigów półpankowskich, fałszywego wstydzenia się własnej pozycyi materyalnej, bieda galicyjska nasza jest skutkiem próżniactwa szlacheckiego, które woli lamentować jak radzić sobie, spychać przyczynę na innych, zamiast uczuwać ją w samym sobie.

Z tego wszystkiego wynika w społeczeństwie naszem fatalna, i bodaj czy niczem nieodwołana konieczność, że szlachta kilkuwsiowa, mająca pretensyą do lepszego bytu, zaszargana na zbytnie wydatki, a niechcąca się nigdy przyznać do rzeczywistego stanu majątku, niechcąca powiedzieć sobie: tyle mi zostało, do tego się zastosuję — przedłużając swój sztuczny byt, traci z czasem wszystko naraz i umiera w rozpaczy —

że szlachta mniejsza, o jednej wiosce, pragnąc koniecznie równoważyć się z zrujnowanymi kilkuwsiowymi, wylatuje w najkrótszym czasie ze wsi, jak kamień z procy — że w najbliższym czasie grozi nam podział społeczności na wielkich właścicieli i na drobnych dorobkiewiczów. Kto się zgadza z naszemi opiniami względem szlachty, ten pojmie całą rozpaczność tej sytuacyi.

Trzymanie się przeto szlachty przy ziemi, jak to mówią rękami i nogami, to najświętszy obowiązek. Ale żadne materyalne środki na to wyłącznie nie pomogą, tylko moralne przetworzenie może sprowadzić ich skuteczność. To moralne przetworzenie zaś polegać tylko może na świętej, religijnej wierze, że dzisiejszy opłakany stan jest wynikiem dawnego złego, że każdy ma obowiązek expiacyi tegoż złego.

Na pierwszym planie stoi tu oszczędność, a raczej zastosowanie się najściślejsze do swego dochodu. Rodzonym wrogiem tego przetworzenia jest ton towarzyski, małostki kobiece, jest znowu półpankowstwo. Dla tego obowiązek oszczędności należałoby podnieść do exaltacyi czynu obywatelskiego, wprowadzić współzawodnictwo exaltacyi! Tym jedynym sposobem odbierze się broń wspomnianemu nieprzyjacielowi. Należałoby z oszczędności zrobić hasło patryotyczne, rozkaz przez opinię publiczną wydany, którego niewypełnienie pociąga za sobą potępienie tej opinii. Korespondent do Przeglądu z nad Strypy podał myśl Towarzystwa oszczędności, w którem uczestnictwo podawałoby prawo do banku rolniczego. Ja bym dodał, że towarzystwo oszczędności, należycie rozpowszechnione, zdołałoby samo utworzyć bank rolniczy. Pan W. W. w Ognisku daremnie kołace do żelaznych serc kapitalistów; były kilkakrotne doświadczenia, że możnowładztwo pieniężne, czy herbowe czy nieherbowe, milczało hermetycznie na wspomnienie banku rolniczego. Bank rolniczy powstać tylko może przez składki szlacheckie i powstanie łatwo, jeżeli szlachta, wstępując do Towarzystwa oszczędności, dziesiątą część tylko zaoszczędzonych przez moralny rozkaz Towarzystwa pieniędzy złoży w banku rolniczym.

Zarzuci ktoś, że takie wstrzymanie potrzeb ludzkich jest nienaturalnością. Zarzuci ktoś, że zbytek i wygody podbudzają ducha pracy i przemysłu. Na pierwszy zarzut odpowiadamy, że nienaturalnością nie można nigdy nazwać tego, co jest wpływem szlachetnej strony natury ludzkiej, żeby było bardzo źle, gdyby zbytki i sybarytyzm stał się naszą drugą naturą. Co do drugiego, byłoby dobrze, gdyby zbytek wiódł do pracy: zwykle atoli wiedzie on do próżniactwa, bo próżniactwo jest także zbytkowną rzeczą. Nierównowaga między przemysłem i rolnictwem jest zanadto wielką, aby mnożeniu potrzeb przemysłowych mogły dochody z rolnictwa wystarczyć. Jedyny więc środek jest ograniczenie potrzeb do lepszych czasów.

Towarzystwo oszczędności powinno by mieć nieledwie formę bractwa religijnego. Pan Rychlicki w Czasie natrącił o potrzebie Towarzystwa wstrzemięźliwości od zbytków, my to bierzemy zupełnie na seryo, my powiadamy, że takie Towarzystwo jest warunkiem *sine qua non* przetrwania tych klimakterycznych czasów. Pomyślmy tylko, że takie Towarzystwo podniosłoby świadomość i moralność obywatelską, żeby zabiło koterye i półpanków, żeby powiększyło zaufanie powszechne i moc opinii publicznej, żeby, nareszcie, podniosło nieskończenie nasz byt materyalny. Tylko odrobiny

wiary w siebie, trochę abnegacyi, trochę podniosłości ducha, trochę sumiennego rozstrząśnienia doli własnej i kraju!!

Ale do portretów, do portretów. Tą razą połączyliśmy dwa tak różnorodne i w takiej sprzeczności z tytułem zostające, że pod każdy portret trzeba kłaść podpis, aby się widz nie pomylił. Szlachcic podupadający ma minę gęstą, dumną, pewną siebie, ironię i dowcip na ustach; chodzi w paletocie najmodniejszego kroju, jeździ w eleganckim, wiedeńskiem powozie i ma liberyą zgalonowaną; dom jego, a raczej pałac umeblowany bogato, córki strojne, a synowie wykrojeni z żurnalu.

Szlachcic robiący pieniądze, to mężczyzna o wiecznie kłopotliwej minie, często skurczony i pochylony, ubrany bez pretensyi i elegancyi, jeżdżący starą telegą, mieszkający w dworku niepokaźnym, stojącym atoli wśród okazałych stodół i stajen. Widoczna rzecz, że pierwszy nie mając pieniędzy, chce pokazać że je ma, drugi mając je, że ich nie ma. Dziwne sprzeczności natury ludzkiej.

Szlachcic podupadający posiada znaczny ziemski majątek. Wszedł do niego z długami kawalerskiemi, których ojciec zapłacić nie chciał, które zatem po jego śmierci z olbrzymiemi procentami osiadły na wsi. Aby je spłacić, zaciągnął szlachcic dług z banku kredytowego, któren jednakże nie wydał mu się długiem, bo bank nie żąda od razu zwrotu sumy. Pieniądze się rozeszły, wierzyciele zostali.

Przy znacznej pańszczyźnie gospodarstwo szło śpiewająco, pan o niem wiele nie wiedział, bo jeździł i bawił się. Przyszły klęski krajowe i zniszczyły zabytki i zamożność domową: zniesiono pańszczyznę, a pan na rozpoczęcie nowego rodzaju gospodarstwa musiał dług nowy zaciągnąć. — Przyjdzie indemnizacya — powiedział sobie, i na konto indemnizacyi zaciągnął znowu dług, aby pokryć deficyt z nowego systemu gospodarstwa wynikły.

Przyszła nareszcie upragniona indemnizacya, pan X. dołożył wszelkich starań, aby mu jej wierzyciele nie zatrzymali. Z pieniędzmi wrócił podupadły rezon: odżyły potrzeby, rozwielokrotniły się zachcenia. Pan postawił dom, pojechał do wód za granicę, przyjmował sąsiadów w karnawał z staroszlachecką gościnnością i nowoszlacheckim zbytkiem. Gospodarczych ulepszeń robić nie było czasu — nieszczęściem zboże dobrze stało: ulepszenia miały się porobić ze zboża. Obecnie trudni się pisaniem i mazaniem; wexel grudniowy pokrywa kwietniowy wexel, grudniowy spłaca się w lutym następnego roku nowo pożyczoną sumką. W cieniu kryje się zwykle spekulant,

niby pająk czatujący na muchę, który rachuje sumy pożyczone i, skupiwszy je, licytuje posiadłości pana X.

Pomimo tej pracy Danaid, pracy wiecznego przelewania wody, pan X. trzyma się jak dobry żołnierz na wysokości swego socyalnego stanowiska. Mantyla jego żony kosztuje tyle, ile kosztuje brakująca w jego gospodarstwie młocarnia, ubranie jej głowy równoważy wartości dwóch pługów Zugmejera, a trzewiki córek opędziłyby wartością kilka dni żniwa. Ale ani panu X., ani pani, ani pannom nigdy to na myśl nie przyjdzie.

Szlachta podupadająca najwięcej lamentuje, mianowicie od czasu kiedy lamentowanie w modę weszło. Ale zdarzają się wypadki, że świeżo po jeremiadzie idzie do najpierwszego hotelu w mieście, na wykwintny obiad, albo do najdroższego sklepu po zbytkowny sprawunek. Niejeden Jeremiasz biedy galicyjskiej, który najmalowniczej ją przedstawiał, najlepsze podawał środki zaradcze, nigdy nie mógł zacząć od siebie! Cóż mu przeszkadzało? O to że nie miał tyle siły, aby się oswobodzić od nawyknień lepszych czasów, od utrzymywania się na równej stopie z tymi, którzy szczęśliwsze mieli warunki życia.

Przypatrzmy się teraz życiu szlachty robiącej pieniądze i dorobkiewiczów. Przypatrzmy się, bo jużcić oni są ludźmi przyszłości, oni pozostaną w posiadaniu drogiej ziemi ojców naszych. Na pierwszy rzut oka spostrzegamy u nich przeważnie materyalny kierunek. Gospodarstwo ich jest dobrze urządzoną machiną, w której każde kółko ma swoje przeznaczenie, swoją celowość. Biegli w tej najprostszej arytmetyce *plus* i *minus*, nie wydadzą nic, coby się nieopłaciło, a nadewszystko omijają tego, co się nie opłaca.

Dziwny u nich rozsądek w każdym kroku, rzekłbyś, że przez metampsykozę weszły w nich duchy dawnych naszych rządnych pradziadów, te duchy jasnowidzące, ujmujące wszystko z praktycznej, zastosowalnej strony. Ludzie ci budują pierwej spichlerz niż dom, kupują pierwej futro niż frak modny, zagospodarowują się pierwej, nim dom otworzą.

Gdyby przez ten kierunek materyalny obumierali celom wyższym, można by ich potępić, jak to często szczególnie dorobkiewiczów z całą słusznością spotyka, jeżeli się atoli to z nimi nie dzieje, można ich poczytać za najpatryotyczniejszych obywateli kraju. Bo co najważniejsza, ci ludzie pracują, ci ludzie od świtu do zmroku stoją w polu, jako prawdziwi rycerze strzegący własności narodowej. Daj nam Panie Boże takich najwięcej....

Jeszcze jeden typ godny schwycenia. Jesto szlachcic skąpiec. Przerażony ruiną majątków, przerażony fantomem biedy, która się przed laty kilkunastu wkradła przez rozbite okna naszych dworów, szlachcic-skąpiec skurczył się w dziesięcioro, schował rogi jak ślimak i przycupnął do ziemi, aby się uratować przed huraganem złych czasów. Oszczędza się okropnie, rachuje się, truchlejąc cały nad ogromem wydatków, i obejrzy dziesięć razy banknota nim go wyda. Dobrze by to było, gdyby skąpstwa nie przenosił na wszystko, na obowiązki obywatelskie, na własne gospodarstwo. Ale on na wszystko swój system przenosi. Szalona bojaźń zamyka mu rękę, gdzie nawet oczywisty zysk widzi, boi się forsy gospodarskiej, boi gry handlowej, boi przedsięwzięć przemysłowych. Wierzy tylko w uciułany kapitalik, jeżeli *notabene* w zapleśniałych talarach leży w jego skrzyni.

Nie straci on majątku, ale go nie zrobi. Gospodarstwo za niedbane pogorsza się od roku do roku, traci on i kraj traci. Ale skąpiec tego nie widzi. *Beatus, qui tenet* powiada, spoglądając na leżący kapitał....

Powtarzamy raz jeszcze, że kierunek materyalny uważamy za przeważną, patryotyczną służbę w obecnych czasach. Ale jest on wtedy tylko chwalebnym, jeźli się opiera na moralnych podstawach i obywatelskiej myśli. Jeżeli się na tych podstawach oprze, wtedy i praca będzie lekką, i abnegacya łatwo przyjdzie. A na pracy i abnegacyi wszystko polega....

Odcienia półpanków.

Jak siłą moralną narodu jest szlachta, i to wszystko co ideą narodową tak samo jak szlachta jest przejęte, i tem uszlachcone, tak źródłem wszystkiego złego w szlachcie są półpanki.

Półpanek jest bardzo starym typem. O wyścigach szlachty z panami czytamy w P. Mikołaju Reju, czytamy w Skardze, czytamy w satyrze Miaskowskiego, p. t. Mięsopust, czytamy w Worku Judaszowym Klonowicza. Szlachcianki 16go wieku chciały „sumptem wyrównać wielmożnej pani“ szarpały majątek męża na knefliczki i bryżyczki, jak dzisiaj na krynoliny i bareże. Utrzymywały one szlachetną emulacyą nawet z mieszczankami krakowskiemi, które,

zbogacone na łokciu i kwarcie, tak impertynencko paradnie się ubierały, że aż sam król Jegomość w to wejść musiał. Szkoda, że nie było prawa przeciw zbytkom dla braci szlachty.

Ale niebezpieczeństwo grożące narodowi od półpanków, nie polega na tak błahych powodach. Nie chodzi tu o to, że pan ten lub ów stara się ubrać i utrzymać jak hrabia X lub Y, ale chodzi o to, aby tenże nie wyosobniał się a konto swego utrzymania z swojej sfery, nie obczał dla tradycyi swego domu, nie obumierał dla swego kółka towarzyskiego i nie tracił swej godności osobistej, stając się z człowieka małpą naśladującą.

Chodzi o to, aby ten pan nie kompromitował swego nazwiska i swej osoby przypinaniem się do osób, z któremi nie wyrósł, nie stawał się ich błaznem i poturadłem i nie usprawiedliwiał swojem postępowaniem tej pogardy, którą ludzie wyżej położeni przenoszą często na cały stan jego.

Każde ciało bezwładne dąży do ziemi, każda dusza od ziemi w górę. Jest to rzeczą zupełnie wytłumaczyć się dającą, że każdy człowiek pragnie świetniejszej pozycyi, obszerniejszego zakresu działania, większego poważania, zaszczytów i honorów. Największy demagog jest jeszcze wielkim arystokratą.

Chodzi tylko o to, jak dojść do stanowiska, gdzie człowiek szerzej świat widzi i więcej na siebie ócz ściąga.

Drugiem wielkiem prawem każdej duszy żyjącej jest, aby zachowała swoją indywidualność, swoją dumę osobistą, swoje znamię Boże godności człowieczej. Inaczej, choćby się przyczepiła do największego olbrzyma, będzie zawsze bluszczem bez posady, pasożytem, muchą ową w bajce, co usiadłszy na wozie chlubiła się, że sama powozi, szczurem na ołtarzu, który kadzidła ofiarne brał za dowody cześci ofiarników.

Niestety, ileż dzisiaj takich bluszczów!... Ileż dzisiaj ludzi, którzy, zamiast utrzymać się w swej godności osobistej i społecznej, drapią się do góry, a dostawszy na wysokości zawrotu słabej zwykle głowy, zapominają czem są, przestają być samemi sobą i żyją tylko ochłapami tego innego życia, którego nie rozumieją, ale które im się dla tego tem lepiej podoba! Jakież karykaturalne przybierają oni wtenczas postacie, co za bajeczne czynią natężenia, aby się raz tak ruszyć, tak coś powiedzieć, bodaj powtórzyć, jak przedmioty ich adoracyi! Jak starają się gwałtownie wgryźć w to kwaśne jabłko wielkości, aby raz się dostać do jego jądra! Ileż ich strawne żołądki polkną gorzkich pigułek, ile doznają uchybień

i szyderstw, które w mniej dowcipny sposób oddają dawnym swoim znajomym!

Biedne, biedne to figury! Stracili zupełnie organiczny porządek i ciała i duszy. Powiedziawszy sobie, że wszystko co ich za młodu otaczało było zwyklem, podłem, złego tonu, rumieniąc się na wspomnienie ojca i matki! biedne te ludziska, całe życie pracują nad wyrobieniem sobie nowej rutyny życia, nad wmówieniem w siebie jakiejś podniosłości socyalnej, która żadną miarą do nich przystać niechce. Porównałbym ich do człowieka, któremu wyjęto wszystkie kości, a który przecież żyje: żyje i struże sobie z patyków nowy szkielet, aby na nim swoje muszkuły porozciągać. Ten nowy szkielet nigdy jednak nie może naturalnego zastąpić.

Półpanek powstaje z szlachcica, z dorobkiewicza, z przechrzty, słowem z każdego stanu, jeżeli ma trochę pieniędzy, wiele pretensyi a mało rozumu. Najzwyklejszy jego i najcharakterystyczniejszy typ jest półpanek-szlachcic. Ojciec jego był człowiekiem starej daty, sprzedawał konie swego chowu na jarmarku, albo barany i woły, i na tem zrobił majątek. Był oszczędnym, nawet skąpym. Żona jego, szlachcianka również jak on, prostoduszna i pracowita, pierwsza dała się skusić wężowi. Wąż ten był to język zły sąsiadek, zazdroszczących panu Mateuszowi jego dukatów i śmiejących się z perkalikowego szlafroczka jego żony. Owoce pokusy wystąpiły atoli dopiero w synku.

Młody p. Remigiusz zapoznał się w szkołach z panięty arystokratycznych rodzin, przypiął do nich, a pierwszy policzek szyderstwa, odebrany od nich, inaugurował go na półpanka. Pan Remigiusz był słabą głową, ale instynktowo przeczuł, że nie herb jego, nie rozum, nie charakter potrafią mu patent na półpanka wyjednać, tylko dukaty ojcowskie. Młodość jego upłynęła więc w krwawych zapasach o te dukaty, w których naturalną aliantką była matka, wchodząca czułem i stałem sercem w ambitne plany synalka. Naturalnemi aliantami byli następnie usłużni żydkowie, biorący procent *al pari* od długów, po najdłuższem życiu najzdrowszego ojca wypłaconych.

Summy znakomite, które urosły z pomocy starozakonnych aliantów, szły całkowicie na wydatki, płynące z honoru należenia do złotej młodzieży. Ależ to nie mały honor! Pan Remigiusz wchodził w pierwsze towarzystwa, tańczył z hrabiankami, księżniczkami i mógł z góry spojrzeć na wszystkich sąsiadów i sąsiadki pana Mateusza.

Śmierć rodziców, którzy pod koniec życia mieli tysiące przyczyn skarzenia się na syna, rozcięła ostatni sznur, który balon

dumnych myśli Remigiusza trzymał przy ziemi. Pan Remigiusz pojechał za granicę, pan Remigiusz postawił pałac, pan Remigiusz założył park angielski, pan Remigiusz posunął w konkury po hrabiankę X., pan Remigiusz ubiega się o baronostwo.... Cuda pan Remigiusz robi. Przyszłość jego atoli zależy od tego, czy mu z natury ojca został rozsądek szlachecki i rządność, czyli nie. Jeżeli został: półpanek utrzyma się; jeźli nie, zginął.

Większą częścią atoli półpankowie, zaparłszy się całej przeszłości szlacheckiej, nie zaparli się żądności i talentu robienia pieniędzy. To im daje niebezpieczną nieśmiertelność. Rządność ojca uczciwa, prosta, staropolska, zmienia się u syna półpanka w skąpstwo, chciwość, brudotę, żydowskiego ducha szachrajstwa i spekulacyi, w nieużytość i niesumienność.

Nowomodne te sposoby robienia i utrzymania majątku są tem potrzebniejsze, im więcej potrzeba dla zrównania panom. Ztąd to owe świetne obiady, z których goście wychodzą głodni, jak wilki, owe bogate liberye, kryjące skurczone i wygłodzone żołądki służących, owe szory złociste i kutaciaste, zakrywające żebra cugowców, owe pałace osobliwego gustu, po za któremi w półzwalonej oficynie mieszka jaka uboga krewna, która półpankowi swój kapitalik powierzyła.

Półpanek jest straconym dla obywatelstwa członkiem. Straconym, bo ma tylko jedną zasadę: nie trzymać się nikogo, tylko panów. Często głupi, jak sandały króla Salomona, ma przecież gotowego ducha krytycznego, aby się sprzeciwić wszystkiemu, co bracia szlachta uradzą, aby podejrzywać we wszystkiem myśl spoliacyjną proletaryatu. Niedosięgnionym ideałem jego dążeń jest arystokratyczny *bon sens*, ten zuchwały, wolny, a ztąd często lekkomyślny sposób sądzenia wszystkiego, ten ironiczny a często trafny krytycyzm, nie z zasad, ale z swobody socyalnego stanowiska pochodzący. Płaski, próżny umysł półpanka nie może nigdy dojść do źródła tego bon sens, bo chcąc go posiadać, trzeba się z nim urodzić i w nim wychować — bo bon sens arystokratyczny jest atrybucyą tego samego rodzaju co dla szlachty jest szlachecki rozsądek, z tą różnicą, że daleko niżej stoi moralnie od ostatniego.

Nie doszedłszy do jądra bon sens i bon ton'u, półpanek łapie powierzchowne jego oznaki i to go czyni nieoszacowaną karykaturą. Swoboda, nonchalance arystokratyczna przechodzi u niego w rubaszność, śmiałość w zuchwalstwo i impertynenckość, pewność siebie w błazeńską zarozumiałość. Co pan powie, to półpanek krzyczy; nad czem się pan uśmiecha, nad tem półpanek śmieje się do

rozpuku; z czego pan szydzi, to półpanek depce nogami, jak osioł w bajce. Jak kameleon, tęczową łuską odbijający grę kolorów, półpanek zmienia się podług modelów swoich w nieskończoność: przykraja podług mody wielkiego świata frak i opinią, uczucia i myśli. Da się użyć do wszystkiego byle gęsim pochodem: podpisuje znakomite summy na składkach obywatelskich, wzmacnia kreskami wybór wielkości *en vogue* będących, byle tylko ruszono się przed nim. Zapisałby nawet dyablu duszę, gdyby wielki świat bawił się w Twardowskiego.

Na fetowanie możnych nigdy mu nie zbywa, ani woli, ani pieniędzy; choćby miał podagrę, gotów jechać na *steeple chease* i połamać nogi dla kompanii.

Smutna to atoli rzecz, że półpanek całe życie jest Tantalem, niemogącym zerwać owoców wielkości. Szlachta go nienawidzi, panowie nim gardzą i w każdej chwili lubią mu pokazać przestrzeń tę ogromną między nim i sobą, której jego lakierowane ciżemki zmierzyć nie mogą. Kamienowany impertynencyami, prześladowany drwinami, których szczęściem całej donośności nigdy nie rozumie, półpanek jest nieszczęśliwym, nieidealnym myśliwym za ideałami. Konnexye z wielkiemi domami mu się nie udały, do godności społecznej swych świeczników nie doszedł. Całem szczęściem była mu sytuacya, wręcz przeciwna życzeniom Cezara nieboszczyka, być ostatnim między pierwszymi, oblizywać się, gdy im kadzono, i uśmiechać, gdy im prawiono pochlebstwa. Ależ bo półpanek nie miał wcale Cezarowego usposobienia!

Nie schodź tam, gdzie cię nie posiano! oto moral godzien, aby go złotemi litery napisać w każdym domu. „Każda droga prowadzi do Rzymu", oto drugi nie mniej szacowany. Jeźli chcesz być człowiekiem po Bogu i ludziach, nie czepiaj się jak bluszcz drzew obcych, żyj sokami własnemi. A jeźli się zejdziesz z koryfeuszami społeczeństwa, to szanuj swoją godność i patrz im oko w oko! Kto zostaje półpankiem, ten niezawodnie staje się ćwierć człowiekiem!

Arystokraci. [1])

Jak autor „Fotografii demagogów“, tak i ja, kochany czytelniku, szukałem arystokraty czystej krwi, arystokraty, coby w naszym wieku niwelacyi i *pêle mêle* społecznego, stał nieruchomy i uroczysty jak kolumna dawnego pałacu pośród lepianek nowoczesnych, arystokraty, coby lekkomyślnemu i wichrowatemu światu wieścił wielkie prawdy tradycyonalne, prawdy zapoznane i zdeptane nogami, a gardząc pokoleniem wekslarzy, spekulantów i literatów, spozierał smętnie ku grobom przodków, czekając, rychło się dla niego otworzą.

Bo trzeba ci wiedzieć, czytelniku, że, jako kawałek filhellenisty i filologa, miałem etymologiczne przywiązanie do słowa: arystokrata, i życzyłem sobie zawsze, aby najlepsi (ἄριστοι) panowali. Stali mi przed oczyma wielcy arystokraci greccy, Milcyades i Aristides, Aristofanes i Aischylos, Focyon i Filopoimen; stali wielcy patrycyusze Rzymu, którzy z ludem walczyli wielkiemi o pierwszeństwo czynami; wspomniałem wreszcie naszych Tarnowskich i Ostrogskich, Radziwiłłów i Koreckich, których mitry i korony otacza wawrzyn, wiecznie zielony. Zatęskniłem za temi postaciami, które uległy się w orlich gniazdach i czuły obowiązek być orłami i wyhodować orłów. Gotów byłem darować im wiele, wiele tak zwanych przesądów i wsteczności, byłem zobaczył tradycyą cnót, obok tradycyi dumy rodowej, tradycyą patryotyzmu, obok tradycyi przewodniczenia.

Niestety! z małemi bardzo wyjątkami zawiodłem się w moich poszukiwaniach. Przedewszystkiem zaś ujrzałem, że w skutek wpływów, czy to wieku, czy starości, zmienił się grunt tak zwanej arystokracyi. Pomieszała się ona z arystokracyą pieniędzy z jednej, z arystokracyą chwilowego znaczenia z drugiej strony.

I z owej to nieczystej arystokracyi zdjąłem był dwa portrety: pan finansista i pan dekorowany.

Dzisiaj siadam do pisania pod wpływem świeżo zrobionego odkrycia, które w braku innego nazwiska, także arystokracyą nazwać musiałem.

---

[1]) Nr. 100 „Dziennika literac.“ z dnia 14 Grudnia 1860.

Otóż w bogatej naturze naszego polskiego społeczeństwa jest obok niepospolitej porcyi demokracyi, ogromna doza arystokracyi wszędzie — wszędzie gdzie jeno tknąć palcem.

W dawnych czasach chełpił się każdy szaraczek, że jest równym wojewodzie. Była to oczywista demokracya. Ale popatrzeć jeno z drugiej strony, a odkryjemy w tem napowietrznem tylko przekonaniu wielką arystokratyczną pretensyę, pretensyę wzniesienia się do wojewody.

Po upadku Polski zmieniły się stosunki. Karmazyny wśród ogólnego nieszczęścia mieli czas pomyśleć o tem, aby żaden szlachcic nie śmiał powtórzyć dawnego przysłowia. Powdziewali więc mitry, hrabskie i baronowskie korony, i zbudowali mur chiński między szlachtą i sobą.

Przewrócenie przysłowia do góry nogami sprawiło wielką odmianę w szlachcie i wszystkich, którzy się wydobywali na wierzch do stanu cywilizowanych a czujących swoją narodowość. Potworzyła się ogromna massa odcieniów arystokracyi w demokratycznym przed chwilą narodzie.

I dzisiaj widzimy toż samo w całej pełni, mimo krzyków tak zwanych demagogów, mimo „demokratycznej“ literatury, mimo licznych ze wszech stron zapewnień o postępowości i stosowaniu się do ducha czasu.

Weźmy pierwszą lepszą okolicę. Ileż tam kółek odrębnych?!

Na kluczu kilkuwsiowym siedzi hrabia lub książę, mieszkający w pałacu z parkiem angielskim. Hrabia nie żyje z nikim, a najbliższem jego sąsiedztwem jest hrabia lub książę z drugiego cyrkułu, mieszkający o mil kilkanaście. W lecie jest w kąpielach, w zimie w Paryżu albo innej stolicy, chyba że zachciałki oligarchiczne powołują go do kraju.

Obok niego na kilku wsiach mieszka w cudownie zbudowanej willi bogaty pan baron W., niepewnego pochodzenia, który atoli bywa u księcia ile razy z zagranicy przybędzie. Żyje on z kilkoma obywatelami z sąsiedztwa, ale z zachowaniem wszelkich prawideł etykiety, bo „są to ludzie, ale to nie on“.

W koło barona mieszkają obywatele jednowsiowi, trzymający się jeszcze jako tako na nogach, prześcigający się wzajemnie w utrzymywaniu żon, powozów i liberyi, i patrzący ciekawem okiem na zaszargany majątek jednego ze swojego grona. Ci obywatele są jądrem kraju, oni myślą jeszcze o dobru publicznem; cóż kiedy często o własnem zapominają. Jeżeli się który z nich dostał na pokoje hrabiego, zgubiony. Wychodzi ztamtąd półpankiem i stanowi osobny

pododdział arystokracyi. Inni śmieją się z niego, bo z hrabią i jego satellitami są nieszczerze.

Po górach, parowach, ku stronie, gdzie świat deskami zabity, rozsiadła się biedniejsza szlachta, na częściach wioski. Klepie biedę jak może, nie wie o bożym świecie, chyba z tego co się dowie na jarmarku. I między nimi jest współzawodnictwo majątku i utrzymania. U niej gromadzą się bajki potworne o obywatelach arystokratach, którzy nie chcą żyć z biedakami. Żyją za to z posesorami, dorobkiewiczami, komisarzami hrabiego, i ściskają się z aktuaryuszami powiatów.

Posesorowie-dorobkiewicze i komisarze hrabscy lubią atoli odłączać się od nich i stanowić odrębną kastę pieniężnej arystokracyi.

W ten sposób grupuje się nasze społeczeństwo w nieskończone odcienia arystokracyi wyższej i niższej. Kasty indyjskie odrodziły się w Polsce. Podczas gdy atoli różnica kast indyjskich polegała na różnicy pochodzenia z różnych części ciała wielkiego Brahmy, u nas różnica ta polega na cudownej mieszaninie pojęć o wyższości lub niższości człowieka podług jego pochodzenia, stosunków, a nadewszystko — pieniędzy.

— Pfu! — mówi jednowsiowy! — ten głupi baron mi dmie, a czy zapomniał jak go mój ojciec do chrztu trzymał!?

— Pfu! — mówi dorobkiewicz — co mi za pan? A do miasta jeździ tylko w Sobotę, żeby go żydzi nie napastowali!...

— Pfu! — mówi szlachcic chudeusz — jakie ten komisarz miny stroi?! Wolę ja moją chudobę, bo nie kradziona.

Jakoż rzeczywiście heraldyczna strona bardzo jest słabą dzisiejszej arystokracyi podstawą. Arystokracya dzisiejsza odrodziła się i ukonstytuowała na ruinie wielkich rodzin, to też hierarchii wielkich rodzin nie widzimy więcej. Historyk nie potrafi sobie wytłumaczyć, dlaczego dzisiaj hrabia P. B. lub W. ma więcej znaczyć od hr. T., dla czego książe S. lub L. ma mniej mieć znaczenia od księcia H., dla czego baron X. ma dąć pod nosem starożytnej rodzinie Z?

A między szlachtą samą, ileż to rodzin najczystszej krwi wala się w nędzy i opuszczeniu, a nikt ich nie uczci, nikt im ręki nie poda?! Pan W, który żyje z zbogaconym na niecnych spekulacyach panem U., synem rymarza czy szewca, odkłoni się zaledwie, gdy koło niego przejdzie siwy M. legionista i familiant, klepiący biedę na jednym folwarczku! Bo on wobec niego jest arystokracyą nowomodną, arystokracyą rękawiczek glacé i wiedeńskiego powozu.

Otóż, „*late patet*“ — jak mówi Cicero — że trzeba rozróżnić dawną arystokracyę od nowej. A rozróżniwszy, trzeba albo przywrócić starą, poważną, świętą hierarchię krwi i zasługi — albo ile możności poobalać ściany, dzielące społeczeństwo nasze na kasty niższej i wyższej sfery. Trzeba albo *Kremą* zostać od wierzchu do spodu, albo wziąść mątewkę i dać się rozbić z mlekiem, aby to mleko lepsze było na przyszłość.

My wychodzimy z tej samej zasady, którąśmy w szlachcie i inteligencyi wypowiedzieli. Szlachectwo upadło jako stan, zostało jako idea narodowa. Chcąc ją w życie wprowadzić trzeba uszlachcać, to jest, przyjmować do szlachty wszystko, co się do niej garnie.

Arystokracya nowomodna majątku, utrzymania, tonu, jest najzjadliwszą tego nieprzyjaciółką. Arystokracya ta rozbija cywilizowaną warstwę, warstwę garnącą się do świadomości narodowej na części, i przeszkadza jej spółdziałaniu z warstwami na górze stojącemi.

Popatrzmy na naszych sąsiadów. Potęga opinii publicznej powiązała tam chłopa, mieszczana, szlachcica i magnata, ba nawet żyda, w obóz jednomyślny. U nas szlachcic zaściankowy boi się być wyśmianym od jednowsiowca, jednowsiowiec nie ma zaufania do pana. Małe zawiści i zazdrości przeszkadzają połączeniu się stanów, a nawet jednego stanu, pod sztandar wspólny. Rękawiczki glacé rozdzielają dłoń delikatniejszą od ostrzejszej i spracowanej, dowcip głupi z niemodnej toalety szlachcianki uboższej kładzie wieczysty rozłam między jej mężem a mężem lorynetującej pani. I masz to być dobrze?

Zaiste, jest to czystem niepodobieństwem.

W dawnej Rzeczypospolitej znajdujemy pod tym względem prawdziwie budujący fenomen. Ostatni szerepetka w wytartej kontusinie, byle szlachcic, znajdywał miejsce za stołem pana i pan go bratem tytułował. Dzisiaj przemażmy „szlachcic“ a napiszmy: „Polak“, a postąpimy godnie przeszłości i teraźniejszości. Idea narodowa niech będzie tem miejscem neutralnem, na którem zejdą się wszystkie wychowania, tony i pozycye socyalne.... A wtedy — wtedy będzie dobrze.

Wielcy panowie. [1])

Góry spuszczajcie ludom spokój, pagórki dajcie im sprawiedliwość.
Skarga.

They, that stand high, have many blast to shake them
And if they fall, they dash themselves to pieces.
Shakspeare.

Mieliśmy już sposobność mówić o wielkich panach w portrecie: Szlachta i inteligencya.

Powiedzieliśmy, że w polskiej szlachcie było jakieś tajemnicze koło, za które przechodząc, szlachcic stawał się panem.

Powiedzieliśmy, że panowie nurzali się zawsze w krynicy szlachectwa, ile razy nowych sił zaczerpnąć chcieli.

Powiedzieliśmy, że panowie zawsze byli pochopni do chwytania się ołtarzy obcych, aby się podnieść i zwielmożnić.

Otóż to wszystko z małemi odmianami i dzisiaj znajdujemy. I dzisiaj istnieje to tajemnicze koło, które szlachcica od pana odgranicza. To atoli stanowi różnicę, że dzisiaj koło to jest nie czem innem, jak wyższością materyalnego bytu.

Na sto rodzin znakomitych znajdziemy dziewięćdziesiąt, które się podniosły w ostatnich czasach i mieszają się do koła panów na fundamencie pieniędzy. Natomiast znajdziemy w kole zubożałej szlachty nie jednego karmazyna, który wykluczony już został z koła panów, dla tego, że się z nimi materyalnie na równi nie trzymał.

Solidarność wielkich rodzin naszych upadła. W wieku pieniężników i wekslarzy, panowie nasi truchleją przed materyalnym upadkiem i znakomitość swoją zidentyfikowali z bogactwem. Krzywią nosem na bogatego dorobkiewicza, ale prędzej przypuszczą go do siebie niż podupadłego familianta.

Zamiast dawnej, drogocennej tradycyi historycznej podstawili sobie większą częścią dobry ton, którego jedną podporą jest różność życia konwencjonalnego, drugą lokaje w przedpokoju.

Z tego egoizmu familijnego wypływa druga, wielka wada naszych panów: ich martwość i nieruchawość wobec narodowego życia. Ambicya ich nie wybiera w środkach i nakoniec wiedzie do

---

[1]) Nr. 78 „Dziennika literac." z dnia 28 Września 1860.

apostazyi. Wyznawając się przez dziewięć wieków jako szlachta polska, jako głowy narodu, poszli pod koniec Rzeczypospolitej po tytuły i dekoracye gdzieindziej, i wyemancypowali się z szlacheckiego koła złączeniem się z kosmopolityczną arystokracyą. Zapisali się w almanachach gotajskich i zauważyli, że w ten sposób najłatwiej będzie przetrwać czas przykry dla narodu. Kazali sobie potwierdzić tytuły książęce, hrabiowskie, baronowskie; poszli po wstęgi, klucze i ordery. Wielkie panie szukają za granicą mężów dla córek, bo każdemu choćby najznakomitszemu szlachcicowi, progi za wysokie. Syna w ostatnim razie można i z bankierówną ożenić, bo się jej nazwisko ukryje. W ten sposób rozpadli się panowie z dziejami i losami narodu.

Pomimo tego zachowali chęć przodownictwa, nie w chwilach stanowczych, ale przy rezultatach. Z rzadką gibkością przywdziewają wtenczas swoje starożytne prawa. Niestety! mamy już nowych karmazynów, karmazynów prawdziwych, bo krwawych!

Bylibyśmy jednak w wysokim stopniu niesłuszni, gdybyśmy panom naszym odmawiali uczestnictwa w narodowych sprawach. Nie wolno nad nikim laski sądu złamać. Znajdujemy pomiędzy nimi tyle dusz poświęcenia pełnych, tyle dusz z starej polskiej stali. Znamy domy, gdzie się przechowała tradycya cnót dawnych. Chcemy tylko, aby panowie nasi wiedzieli, że ich imiona i majątki nie dają im żadnego prawa przewodnictwa, jeśli zasługa im go nie zapewni.

Chcielibyśmy, żeby wiedzieli: że blask ich tylko z kraju i opinii publicznej może pochodzić, że świetność obca jest plamą wobec narodu.

Chcielibyśmy, żeby pamiętali: że jak za dni dawnych, krynicą ich siły jest naród sam, którego się tylu tylekroć zaparło.

W ręku możnych panów są wielkie majątki, jest urok znakomitego imienia. Bóg by dał, aby coraz większa liczba go na dobre używała. Bóg by dał, aby w tem używaniu było więcej poczucia narodowych potrzeb, niż próżności osobistej, więcej poświęcenia a mniej ambicyi! Wiele mają grzechów do zmycia, niechaj nie myślą, że je blask i bogactwo przed okiem sądzącego narodu zakryje!

Pierwszym i ostatnim sposobem zużytecznienia panów jest zmiana ich wychowania. Dotąd było ono zupełnie obcem. Patrzali na kraj okiem guwernerów i gazet zagranicznych, widzieli go z okien pałaców i powozów swoich. Znają lepiej zagranicę niż własne dobra.

Z tej przyczyny, choć najwyżej wykształceni, nie pojmują narodu, narzekają na jego głupotę i utwierdzają się w zuchwałej chęci przewodniczenia...

A wolno przewodniczyć księciu Pawłowi i chłopu Gawłowi, byle jeden i drugi wyszedł z narodu.

Rois fainéants. [1]

Każdemu wiadomo, że tę nazwę noszą Merowingowie, którzy dostali się pod pantofel marszałków dworu, a prócz koronacyi i pogrzebu w S. Denis, nie dali innego znaku swego istnienia na świecie. Mazgajskie ich rysy można oglądać w Mezeraya Historyi Francyi, a charakterystykę czytać w wybornem dziele Augustyna Thierry.

Królów próżniaczych napotkać można w historyi każdej wielkości ziemskiej. Potomkowie owych marszałków dworu, którzy próżniaczym Merowingom kazali klepać pacierze i chodzić na polowanie, doznali tego samego losu i ustąpili Kapetyngom. W wielkości graniczy potęga ducha z idyotyzmem. Po latach natężonej pracy, energicznego działania, potężnego dobijania się chwały, przychodzi moment apatyi, stagnacyi, lubieżnego użycia wielkości, próżniactwa. Ostatni nasi Piastowie doznali tego losu. Mazowieccy zginęli bez sławy za czasów Zygmunta, Szląscy wymarli dwa wieki później w zapomnieniu i nędzy. W ośmnastym wieku widzimy na wielu naszych rodzinach te skazy zepsucia, widzimy ludzi upojonych swoją oryentalną niezawisłością, wpadających w dziwactwa, okrucieństwa, obłąkanie. Taką figurą był pan starosta Kaniowski, taką poniekąd, mówimy to z obawą obrażenia jego wielbicieli, Panie Kochanku; takich figur mieliśmy pod dostatkiem w Galicyi na początku owego wieku. Owi ludzie, co wybijali zęby księżom, palili żydom brody i strzelali baby po drzewach, owi ludzie co powiedzieli tyle dowcipnych facecyi, nie odznaczyli się żadnym czynem Rzeczypospolitej korzystnym, nie zrozumieli grożących jej niebezpieczeństw i zamykali się w małym światku swojego wszech-

---

[1]) Nr. 48 „Dziennika literac." z dnia 15 Czerwca 1860.

władztwa, marnując dobytek ojców i sławę ojców. Panie kochanku, chociaż zresztą taki poczciwy i miły człowiek, był całe życie piłką stronnictw i całe życie grał rolę oszukanego przez wszystkich. Ani się spodziewał, kiedy mu Moskale podali przyjacielską rękę, ani się spodziewał, kiedy go zbili pod Słonimem. On zaczął wielką ruinę Radziwiłłowskiego domu, a zamiast jej zapobiedz, mawiał tylko, jak autor w komicznej roli wystrychniętego na błazna: Panie kochanku! mnie wszyscy drapią. —

Inny rodzaj tych *rois fainéants* ma swój prototyp w królu Michale Wiśniowieckim i ciągnie się długim szeregiem zer moralnych aż do naszych czasów.

Król Michał nie chciał korony, ale się nie dziwił, że ją dostał, nie chciał jej, bo czuł, że jego siły nie po temu, że jest za wygodny i apatyczny, aby ją nosić. Przez całe panowanie był popychadłem najbliższych, cierpliwym, apatycznym: całe noce wysiadywał, aż do omdlenia w sali sejmowej, a kiedy mu energiczna matka po elekcyi morały prawiła, usnął. Pod tą powłoką miał przecież dumę królewską i arystokratyczną, nienawidził Sobieskiego i nie chciał abdykować. Aby nie użyć ramienia hetmana, podpisał haniebny traktat Buczacki — i dał się wciągnąć do konfederacyi Gołębskiej, która rzuciła kaduk na hetmana i prymasa. Umarł nareszcie w skutek przebrania miary w jedzeniu. Tego rodzaju ludzie byli zapewne i owi pierwsi hetmanowie, wysłani przeciw Kozakom, którzy się wybierali na wyprawę z karetami, kuchnią i tysiącami sług, jak marszałek Soubise pod Rossbach — tego rodzaju ludzie wzniecali skargi w pomnych dawnych czasów i ludzi pisarzach, którzy jednogłośnie narzekają nad upadkiem wojennego ducha Polaków.

Z pamiętników Albrychta Stanisława Radziwiłła, kancl. lit. za Władysława IV. i Jana Kazimierza, dowiedzieć się można, ile to ludzi ospałych i niebacznych było między luminarzami Rzeczypospolitej, jakie skąpstwo panowało, jeźli przyszło zaradzić powszechnej potrzebie: bo i sam autor dosyć naiwnie te same w sobie pokazuje wady.

Ten rys moralnego stanu Polski, tłumaczy jedynie apatya, która widoczną była podczas rozbioru. Imiona historyczne, słynne od wieków, głuchną podczas tragedyi, liczni możni panowie siedzą na wsiach w obojętności zastraszającej, a inni, którzy działają, są albo ślepymi na rzeczywisty stan rzeczy, albo wręcz sprawę za straconą poczytują.

Pod tą apatyą tkwił ból głęboki, ale ból słaby, mdlejący, próżny. Wielu z rozpaczną jakąś radością rzuciło się w objęcia spokoju, który im przyniósł rząd nowy, aby żyć i płakać nad sobą. Wielu zepsuci egoizmem i libertynizmem wieku zgodziło się z losem i leciało po złote kołnierze i wstęgi orderowe, ba, niestety, i po pieniądze.

Panowie próżniacy przeżyli naturalnie śmierć Rzeczypospolitej. Przeżyli ją z kamiennością głazu, z usposobieniem człowieka, na którym więcej ciała niż duszy. Prowadzili dalej żywot materyalny, zewnętrzny, niechętni każdemu wstrząśnieniu ich bramińskiego spokoju, pragnący wiecznego *status quo*, pozwalającego im mierzytelnie suwać nogami po woskowanych posadzkach i odbierać pokłony od niższych.

Pozostała im jednakże mandaryńska duma arystokratyczna i pobożna wiara w własną wielkość, której potrzebowali tem bardziej, im mniej ich własne życie i czyny godne były tej wielkości. Inni, którzy zachowali krew gorącą, prowadzili życie azyatyckich satrapów w swych dobrach, w pośród nadużyć i szalonych wybryków swego humoru, który ich czasem zawikływał w kryminalne procesa z rządem.

Wtedy wzdychali za wolnością dawnej Rzeczypospolitej, która podobne czyny, niestety, przy ogólnem rozprzężeniu swojem, bezkarnie puszczała.

Dzisiaj prawie wyłącznie spotykamy tylko spokojnych królów próżniaczych. Jest ich nie wiele, bo jedni przyszli do ruiny, drudzy zostawili synów niepodobnych do siebie. Prąd czasów musiał zniszczyć, co żyć nie mogło, a odżywić, co miało warunki życia.

Pan próżniaczy, *Roi fainéant* dzisiejszy, jest to flegmatyczny, powoli i majestatycznie ruszający się człowiek, pięknych arystokratycznych, ale posągowych rysów. Mówi zwolna, albo nie mówi wcale, chyba przy gwałtownej potrzebie. Ma twarz zdrową i rumianą często z melancholijnym wyrazem. Myśli powoli, systematycznie, a działa jeszcze powolniej i systematyczniej, zwykle wtedy, kiedy inni kończą i kiedy gaszą świece w kościele. W każdym jego ruchu widać piętno wygodności, ogólnie nie lubi się ruszać. Ma smutną dewizę: *si fractus illabatur orbis* — ja się pod ruinami położę. Jeżeli świat naprze go przeciwnemi zdaniami, jeżeli burza nieprzyjaźna około niego powstanie, on stoi nieustraszony i milczy, bo się sprzeciwiać nie lubi, bo to mąci jego spokój apatyczny, który nad wszystko ukochał. Jest upartym do najwyższego stopnia, a gdy burza przeminie, on powoli wyciąga z kieszeni swoje zdanie i po-

wiada na pobojowisku; Ja tak myślałem. Pomimo swego uporu da się pociągnąć do wszystkiego, byleby go ciągnęła umiejętna ręka, która mu pokaże czarne na białem, że postępując podług jej woli, postępuje podług własnej. Ma on swoje wielkie cnoty. Czuje swoją godność arystokratyczną i nie splami jej lizaniem się i pochlebstwem, brzydzi się brudotą i pelzaniem, nie lubi handlarstwa i spekulacyi, krzywi się na tych, co familijny klejnot brukają kupiectwem. Pomimo tego jest popularnym i miłosiernym dla biednych: a ta popularność jest wypływem dobrego serca. Czuje swoje obowiązki i idzie za niemi, ale nim je wypełni, już przeszedł czas ich wypełnienia. Należy do wszystkich spółek krajowych, ale bojaźliwie i ostrożnie.

Przestraszony przykładami upadku wielu domów, stał się skąpym, oględnym, nieśmiałym w przedsięwzięciach pieniężnych — jest podejrzliwym na tych, co go nie drapią, a nie widzi tych, co go okradają w każdej chwili. Ma swoich ulubieńców i zauszników — a najczęściej siedzi pod pantoflem żony. Gniewa się rzadko, ale bardzo — mścić się atoli nie umie. Ma swoje specyalne gusta, albo kwiaty, albo konie, albo obrazy, albo jakiego ćwieka gospodarczego lub przemysłowego, który go zajmuje.

Powiadają o nim oficyaliści, że dobry pan, współkasowi, że dobra nulla, a opinia publiczna, że nie zrobił nic, coby na uwagę zasługiwało. Ponieważ atoli nie zrobił nic stanowczo złego, ponieważ nie zbrukał swego nazwiska, możemy nad nim powiedzieć ewangeliczne słowo: Mało mu dano, mało od niego żądanem będzie.

Pan wichrowaty.

Patrzaj tylko jeno na ty,
Co mają łeb wichrowaty,
A nic nie poczną statecznie,
Jako sprawa ich zła wiecznie.
M. Rej.

Pod tym Rejowskim przymiotnikiem chcielibyśmy schwycić typ nieczęsty może, ale bardzo charakterystyczny. Ten typ jest tak smutnym, jak *Roi fainéant*, ale podnioślejszy i tragiczniejszy.

W nagłych i niszczących zwrotach społecznych, w bolesnem ścieraniu się starych form z nowemi — ludzie starego obozu rozmaicie się zachowują. Jedni nie chcą się mieszać w spór — kapitulując właśnie przez swoją bezczynność i odosobnienie, inni ratują formy a tracą ducha, a inni jeszcze drgają między oboma walczącemi światami, nie wiedząc co czynić, nie umieją wytrwać na stanowisku wstecznem, a nie śmieją oddać się tak zwanemu postępowi. Nic nie poczynają statecznie — z czego wynika, że się do nich stosuje epitet Rejowski: wichrowatości.

Panowie wichrowaci objawiają się pod najrozmaitszemi postaciami — i to nie tylko panowie, ale każda pojedyńcza jednostka. Biografie ich dostarczyłyby obfitego materyału do wewnętrznej historyi ludzkości — bo odbywają oni wszelkie przechody opinii, wszelkie burze wewnętrzne świata — z tą różnicą od plebejuszów, że je odbywają w aksamitnym szlafroku, rozparci na adamaszkowym szezlongu, paląc lancasy i manille. Jeden i ten sam człowiek był cichym, pod jezuickim rygorem wychowanym chłopcem, rozpasanym młodzieńcem, demokratą z komunistyczną barwą, racjonalistą niemieckim, po chwili anglomanem i członkiem Jockeyklubu, a obecnie jest legitymistą, ultramontanem i ma pociąg do mistycyzmu. Przed dwudziestu laty modlił się, przed ośmnastu wywracał świat cały, przed dziesięciu jeździł na wyścigi konne do Londynu, przed pięciu całował kornie pantofel Papieża, teraz czyta św. Augustyna: *De civitate Dei*. Był na piramidach Egiptu i biwakował z Arabami, walczył na barykadach paryzkich i nosił bluzę *ouvrier'a*, zakładał się z lordami o koguty walczące, a wróciwszy do domu reformował gospodarstwo na sposób amerykański, teraz chętnie poszedłby na krucyatę, gdyby 19ty wiek wydał Gotfryda de Bouillon.

Pomimo tych zmian różnorodnych zawsze pozostał tym samym księciem czy hrabią, a krew i idea w komiczne często plątały go scysye. Możnaby mu przypisać dobrą wiarę, a odmówić nie można szlachetności: ale fatalizm jakiś zniweczył cały pożytek jego walk i przejść wewnętrznych, fatalizm jakiś przeszkodził mu ustalić się i zostać charakterem — a więc człowiekiem. Burza nowego czasu nie dozwoliła mu zostać starowiercą, arystokratą kutym z jednego granitu: krew i tradycya przeszkodziła, że nie potrafił stać się nowej epoki człowiekiem.

Zdolności jego zmarniły się brakiem intenzyi ku jednemu przedmiotowi: myślał za wiele, aby zostać poetą, marzył za wiele aby być rzeczywistym człowiekiem. W postaci jego jest coś cezarów

rzymskich, wiecznie głodnych wrażeń, wiecznie rozbijających się o własne, wysokie stanowisko. Smutna jego postać, ale nikt mu nie odmówi wzniosłości i piękności w obłędach.

Pan wichrowaty zwykle złe odebrał wychowanie. Zamknięto go w ciasne foremki dawnej arystokratycznej edukacyi — a miał pierś pełną życia i płonącą głowę. Uczył go Francuz emigrant, w pończochach i żabotach, uczył Niemiec w pastorskim surducie, uczył Anglik i wszystkie ucywilizowane narody, które nas nieszczęśliwych śmiertelników cywilizowały. Przy drewnianej systematyczności tej edukacyi, znalazł młody elew pomimo tego czas, aby się rozbujać i rozmarzyć, jeżeli gorszego sposobu wywnętrzenia swego ognia nie znalazł. Wysłano go potem za granicę i tam bujał, jak ptak puszczony z klatki, bez celu i końca, szukając wrażeń. Był wszędzie i widział wszystko, ale nie tem czystem okiem dawnych, rycerskich naszych podróżników, wyprawionych z instrukcyą ojca, błogosławieństwem matki: widział wszystko mętną źrenicą namiętności młodej, czuł piersią pragnącą czynu i ruchu, a świat wrzał przed nim chaotyczną swą różnorodnością — a nie było już owej nici złotej, nici tradycyi przodków, aby wrażenia na niej ponizać.

Chaotyczność ta przeniosła się więc w głowę jego i odtąd stała się wybitną cechą jego umysłowości. Został wichrowatym. W przodkach naszych podziwiamy ten zdrowy rozsądek, który bym raczej nazwał inspiracyą dusz czystych i dobrze wychowanych, rozsądek swojski, sądzący wszystko z ojczystego stanowiska: u niego tego rozsądku nie było. Ku każdemu imponującemu wrażeniu leciał, jak ptak ku słońcu, pędem duszy szlachetnej, pędem krwi dobrej, co rumaka pędzi ku ogniu i bojom, ale wrażenia tego nie zwalczył, owszem, dał się wnet oderwać od niego drugiemu, co mu zabłysło.

Długi czas rozkoszował pod niebem Italii — nagle przepadł i zginął w objęciu tajemniczej jakiejś kobiety — po niejakim czasie widzimy go walczącego za wolność ludów, i znowu zniechęcony, czy obrażony w dumie swej, która w nim tkwi głęboko, leci zagrzebać się gdzieś w ciszy.

Czasem cnotliwa żona wróci na chwilę spokój jego duszy, ale nieszczęśliwe *perpetuum mobile* jego serca odrywa go z jej ramion; spokój i rzeczywistość wyda mu się brudem i codziennością — i jak ów hrabia w Nieboskiej komedyi, leci za fantomem dawnej kochanki od kolebki dziecięcia i łoża małżonki. Szusowaty we wszystkiem, traci majątek na fantastyczne ulepszenia i zmiany systemów,

i wpada w ręce pierwszego oszusta, który mu świecącą myśl poda. Niebezpieczny on do przedsięwzięć obywatelskich i dzieł patryotycznych, bo chociaż poczciwy i najlepszych chęci, nie można ręczyć za jego wytrwanie i stałość, a bać się należy produkcyjności nowych pomysłów, których się czepia zawsze z gorącością sangwinika. Na starość nachodzi go często nuda, nienawiść ludzi i świata, pogarda wszystkiego, mistyczne usposobienie, a często nawet prosta fiksacya i dziwić się temu nie trzeba — żałować tylko. Wybladła twarz jego i nieugaszony żar źrenicy, moralne wyniszczenie a nieustający głód czynów i wrażeń: to smutne tylko skutki pozycyi narodowej i społecznej, skutki czasu ale nie winy jego. Za świetnych dni Zygmuntów byłby hetmanem zwycięzkim, mądrym kanclerzem: dziś siły jego rozbiły się o ciasne ściany klatki, upadły pod gromem Nemezy historycznej. Postać jego podobna wielkiej ruinie — a dla ruin cześć i miłość!

Portret nasz przedstawia najszlachetniejszy typ wichrowatości. Nie wszyscy dochodzą do jego podniosłości tragicznej. Dzieje naszych rodzin, wielkich i mniejszych, mogłyby wyliczyć niemało innych, mniej szlachetnych, mogłyby wskazać postacie smutniejsze, bo grzeszne. Mało się zastanawiano nad tradycyami rodzin, a powieściarstwo nasze bardzo pobieżnie tylko chwyta typy nasze i extrawagancye społeczne. Nie ma prawie familii, któraby nie miała takiego smutnej pamięci członka, jakiegoś zmarniałego człowieka wielkich nadziei, którego przedwczesny często grób przykrył. A przecież historya tych urojeńców, tych poronionych dzieci, wystawiona z należytem motywowaniem przyczyn ich upadku, byłaby nieskończenie ważną. Wszędzie, gdzie nie ma chwytalnych celów życia, gdzie społeczność w bolesnych zwrotach jęczy, muszą być takie objawy. Dzisiaj ich mniej, i Bóg da, że się już rodzić nie będą, bo pogodzenie zbliża się olbrzymiemi krokami.

Pan finansista.

Ojcowie nasi dbali wielce o majątek i byt materyalny. Wiedzieli oni, że chcąc służyć dobru publicznemu, trzeba przechować dobytek odziedziczony po ojcach, a chcąc utrzymać świetność domu, trzeba go przysporzyć. Rządność była wielką ich cnotą: bo pomimo oszczędności umieli poświęcić wszystko pospolitemu dobru.

Później chciwość zastępować zaczęła miejsce rządności a hojność marnotrawstwa, zamiłowanie zbytku szło w parze z skąpstwem dla Rzeczypospolitej. Takie skąpstwo nie uratowało majątków od zguby, będącej skutkiem marnotrawstwa i zbytku. Bogacze na końcu ośmnastego wieku, którzy miliony zyskiwali i miliony za granicą tracili, a nie mieli nigdy grosza dla sprawy narodowej, ci bogacze umierali często w nędzy.

Ogólna ruina majątków, przyprowadzona temi grzechami i wpływem zewnętrznym, umiała naprowadzić wszystkich bacznych i myślących na środki zaradcze. Oto początek rodzaju panów, których finansistami nazwaliśmy.

Już w końcu ośmnastego wieku spostrzeżono, że chcąc utrzymać krajowe bogactwo i nowe mu źródła otworzyć, trzeba pozbyć się przesądu szlacheckiego, jakoby kwarta i łokieć były hańbiącą dla niego rzeczą. Wtenczas to powstały liczne projekta podniesienia handlu i przemysłu krajowego, zakłady Tyzenhauza i kanał Ogińskiego, wtenczas owe liczne fabryki, których produkta znakomitą odznaczają się wartością. Puszczono się na hazardowną grę banków, a niejedna polska familia straciła znaczne summy nawet na szarlatanizmie Lawa, którego efemeryczne zjawisko właśnie wtenczas przypadło. Chciano gorączkowo robić fortunę, bo fortuny trzeba było na tyle, tyle złych i niegodziwych rzeczy.

Ta gorączka finansowa ucichła z rozbiorem kraju, z idącą za nim wielką majątków ruiną. Największa część panów i szlachty chwyciła się administracyi, jaką „królom próżniaczym“ w jednym przypisaliśmy rozdziale, administracyi zgubnej, bo nieczynnej, bojaźliwej i skąpej, której rezultata nie mogły wystarczyć na ogromne wydatki w kraju i za granicą. Bogacili się tylko na niej ekonomowie i komisarze, zausznicy pańscy od sekretarza do lokaja, i kupując wioski sąsiednie, albo samegoż pana, otoczyli go łańcuchem sąsiedztw, których się pewnie nigdy nie spodziewał.

Pan, gdy niestało pieniędzy, pożyczał od podwładnych i niskiej szlachty, niosącej mu z uciechą uciułane kapitaliki, i dzień nowej ruiny zbliżał się coraz widoczniej. Dodajmy do tego, że się panowie nie trzymali ze sobą, że jeden drugiego nie wspierał w upadku z skąpstwa, któreśmy wyżej wskazali, a wytłumaczymy sobie jak ta ruina szła szybko, jak licznym domom nic prócz tytułu nie zostało, jak ich podupadłe głowy tułały się po domach krewnych, niby średniowieczni rycerze, *sans terre et sans avoir*.

Zmiany społeczne, zaszłe w ostatnich dwunastu latach, obudziły nareszcie panów i szlachtę. Ujrzano wreszcie, że to chodzi

o śmierć lub życie, że upadek materyalny pociągnie za sobą upadek narodowy i moralny, że się rozchodzi o to, czy ziemia polska ma być obcą czy naszą.

I otóż znowu zbudzili się owi dawni panowie finansiści.

Pan finansista nie jest tak osobowym, zamkniętym typem jak *roi fainéant*. Trzeba go chwytać z wielu panów, bo każdy prawie czuje, że trzeba być finansistą, że trzeba utrzymać swój majątek i wytrwać w trudnych okolicznościach. Cały kraj żąda tego od panów, bo oni powinni być filarami ogólnego narodowego bytu i majątku, pomocą upadającej mniejszej braci, rozkrzewicielami postępu gospodarskiego i przemysłowego, od którego ten byt zależy.

Jak wszędzie, tak i tutaj, przedstawiamy ujemną, cienistą stronę. Pan finansista ujął znamiona czasu, poznał potrzeby domu własnego i kraju, i do nich się stosuje. Poczucie to atoli zrodziło w nim rodzaj cynizmu materyalnego, tak niestosownego wobec jego arystokratycznej podniosłości, cynizmu, który go owłada tak silnie, że przy nim niknie wszelki wzgląd na szlachetniejsze i duchowniejsze strony dążeń ludzkich. Widząc materyalny kierunek świata, zanegował samemu sobie wszelki niematerialny — a ta negacya przerodziła się w nim w egoizm kasty, albo egoizm domu. Uczyniwszy sobie z pieniędzy cielca złotego, któremu się kłania, skamieniał w sercu i obywatelskiem poczuciu i nic go poruszyć nie zdoła prócz tego, co mu pieniężne niesie korzyści. Jeżeli szlachta okoliczna bankrutuje, cieszy się cicho i mówi do swego rządcy, pana Y:

— Panie Y, możnaby tanio dobra kupować; szlachcic X. ma wieś wystawioną na licytacyą, a szlachcic Z. ostatkami goni. Niech-no pan stara się kupić ich wioski za tanie pieniądze.

Jeżeli przedsiębierze jaką spekulacyą, zakłada jaką fabrykę, tworzy jakąś korporacyą, patrzy zawsze, aby sam na niej dobrze wyszedł, nie zważając czy zaszkodzi drugiemu. Jeżeli mu chodzi o potrzebne względy czyjeś, szarza swoje poczciwe nazwisko tam, gdzie go nie powinien szarzać i pełza tam, gdzie dumnie chodzić powinien. Ale zawsze mówi, że to dla publicznego dobra.

Jedna tylko rzecz przeszkadza mu, że wielkich nie odnosi z tych wszystkich zabiegów korzyści, niby przekleństwo za brak obywatelskiej cnoty: skąpstwo. Skąpstwo każe mu się targować o kilka reńskich i wydziera mu za te kilka reńskich korzystne kupno z ręki, skąpstwo broni mu ryzykować summy znaczniejszej na pewny zysk, gdy go czasem oślepia, że traci w dwójnasób większą

przez chciwość. Skąpstwo sprawia, że mu wspólnicy nie ufają, że jego projekta upadają, że jego fabrykaty nie są poszukiwane.

Pan finansista używa swej arystokracyi, jak Ryszard III. Szekspira używał biblii. Jest on popularny w wysokim stopniu i chętnie za pan brat przestaje z hałastrą demokratycznych finansistów: ale gdy mu do dobicia targu, albo dokończenia korzystnego interesu potrzeba majestatyczności, to ją ma na zawołanie i z maleńkiego rachmistrza z kredką w ręku przemienia się w wspaniałego potomka historycznej rodziny. Konserwatysta do głębi duszy, a to z obawy gwałtownego przerwania swych spekulacyi, radby na wzór X. Lubeckiego przeperswadować narodowi, że, jeżeli będzie miał dobry byt, niczego mu więcej nie trzeba. Jego ród nie przeszkadza, że go nawet obcy nazywają żydem, a opinia publiczna nie ma dlań sympatyi.

Nakreśliliśmy ten portret ostremi farbami, bo z grzechów narodowych najbardziej nienawidzimy samolubstwa, bo mamy nadzieję, że ten portret jest tylko fikcyą, opartą na pojedyńczych fenomenach, któreśmy tu i owdzie spotykali. Larwa podobna zawsze przydać się może. Musimy nakoniec wyznać z radością, że imiona krajowych naszych panów z małemi wyjątkami usprawiedliwiają zupełnie naszą nadzieję, że antypody naszego ideału ujemności w niejednym exemplarzu u nas istnieją. Kierunek materyalny szlachetnieje w tym samym stopniu, w jakim inne duchowe kierunki siły nabierają, aby mu się nie dać przerość, ale go podług odwiecznej różnicy rzeczy podporządkować.

Kierunek ten, jeżeli wyłącznie zajmuje jaką osobistość, wtenczas tylko da się usprawiedliwić, kiedy mu świeci szlachetna myśl o ogóle: bo cóżby przyszło z największych bogactw, jeźliby już nie było tego koła znajomych twarzy rodaków, jeźliby przyszło używać ich razem z obcymi i meklerami zagranicy!...

Pan dekorowany. [1])

Voilà ce vieux marquis,
Nous traiter en peuple conquis,
Chapeau bas, chapeau bas,
Gloire au marquis de Carabas!
Béranger.

Tak jest — *chapeau bas* — wypada stanąć przed osobami tak znakomitemi, tak ważnemi, jakiemi są panowie dekorowani. Wpływ ich wielki może decydować o losie biednego człowieka.

W dawnej Rzeczypospolitej nie było dekoracyi i tytułów. Gdy cudzoziemska polityka Wazów chciała je wprowadzić, stan rycerski oparł się stanowczo i order ś. Ducha, ustanowiony przez Władysław IV., zrobił *fiasco*. Zabroniono nosić tytuły hrabiów i margrabiów, bo te tytuły niezgodne były z równością szlachecką.

Polacy niechętnie patrzyli na samych królów, przyjmujących dekoracye obce, a Jakóbowi Sobieskiemu order Złotego runa bardzo dwuznaczny przyniósł zaszczyt. Nie było to skutkiem samej obawy, aby orderowi panowie nie utworzyli kamarylli dworskiej, było to raczej szlachetne poczucie, że zasługi u narodu nie potrzebują orderów, że wypełnienie powinności obywatelskiej nie powinno być wywołane żadną ambitną gorliwością, żadnym dwuznacznym zapałem, powinno być tylko wypływem obywatelskiego sumienia.

Kołowacizna orderowa zaczęła się dopiero za czasów Stanisława Augusta. Ordery Orła Białego i ś. Stanisława miały cechować stronników postępu i reform, miały ubrać niebieskie fraki postępowców, którzy, składając kontusz, złożyli i przesądy kontuszowe.

Niestety, zapał królewski poszedł za daleko, a kiedy ordery polskie zabłyszczały na piersiach rosyjskich Stopałkowów, mniej czułe nawet serca oburzyły się — a pan Chreptowicz odesłał dekoracyę.

Ordery te smutny miały koniec: sprofanowano je sprzedawaniem, jak sprzedawaniem sprofanowano stokroć większą świętość, herby szlacheckie, a chociaż błyszczały na niejednej zasłużonej piersi, kryły przecież także niejedno brudne i zbrodnicze serce, i dla tego straciły kredyt powszechny.

---

[1]) Nr. 80 „Dziennika literac." z dnia 5 Października 1860.

Nie wiem jak komu, mnie widok owych orderów, przechowywanych w aksamitnych pudełkach, najprzykrzejsze zawsze robi wrażenie, niby twarz starej kokiety ośmnastowiecznej, pod szychem fałszywych klejnotów kryjącej zmarszki wytartego czoła, a pod różem i blanszem chorobliwą cerę rozpustnicy.

Za panowania Stanisława Augusta zaczęło się u nas gonienie za karyerą. Generacya postępowców powiedziała sobie: Trzeba mieć znaczenie, pieniądze, tytuł, order itp. rzeczy, bo trzeba użyć świata, trzeba błyszczeć, trzeba się ożenić dobrze, trzeba jeździć zagranicę, trzeba trzymać metresy, trzeba pokazać, co to jest polski rezon.

Przy tej libertyńskiej dewizie Rzeczpospolita musiała bardzo źle wychodzić, bo w środkach do zrobienia karyery nie bardzo wybierano. Sam Stanisław Poniatowski i jego familia najlepiej o tem świadczą. Stolnik Alcybiades szlachecką brawurą pozyskał deputactwo na sejm, a dworsko-pasterską czułością względy Katarzyny drugiej; jeden jego brat był jenerałem w tem wojsku, drugi w owem. — Czartoryscy krewni jego również giętką mieli naturę — a Opatrzność tylko Boża sprawiła, że bratanek królewski narodowi wyrósł na pociechę.

Zfrancuziałe matrony wysyłały synków swoich na adjutantów i szambelanów rosyjskich, wydawały córki za jenerałów i obersztów, którzy potem w najlepsze panoszyli się na polskim chlebie i nogami deptali pamiątki krwawej i chlubnej przeszłości. Postępowi młodzieńce umieli utrzymywać się w łasce posłów rosyjskich i króla, i zbogacać się pensyami zagranicznych dworów, potrzebnemi na rozpustę i zbytki. Jeżeli kierunek robienia wielkich majątków, bezwzgląd na ogólne dobro był skutkiem cynizmu materyalnego, to gonienie za karyerą tam, zkąd zguba Rzeczypospolitej wychodziła, było skutkiem szkaradniejszego stokroć cynizmu, cynizmu libertynów bez Boga i poczucia narodowości, kosmopolitycznego usposobienia sybaryty, który obrany z czucia honoru, obowiązku i godności rodowej, wszystko, co najdroższe, poświęca najbrzydszym swym chuciom.

Przed kilku laty publiczność oburzyła się czytaniem pięciotomowego dzieła sławnego i osławionego słusznie pisarza: Pamiętników Bartł. Michałowskiego. Ta mityczna postać tak obrzydliwa i niecna, łudząca mimo tego szlachecką prostotą i otwartością, ta postać podłego, bez czci i wiary sybaryty herbowego, któremu wszędzie było dobrze, byle mu jego zegarków, tabakierek i chińskiej porcelany nie potłuczono, ta postać, mówię, była, niestety, z wielu stron prawdziwą i historyczną. Pan Bartłomiej

służy za młodu w armii Fryderyka Wielkiego — a dosłużywszy się rangi i pensyjki, spi odtąd na laurach podczas dni Humania, podczas konfederacyi Barskiej, sejmu konstytucyjnego, ba, podczas Targowicy, Grodna, podczas dni Kościuszki — w dniu Maciejowickiej bitwy — podczas trzeciego rozbioru.

Poczciwy ten człowiek żyje w przyjaźni z całym światem, z posłami i jenerałami rosyjskimi, szczyci się łaską króla polskiego i carów, przypomina się w Berlinie i w Wiedniu — a jego pokoje kawalerskie pełne upominków, tabakierek z portretami i t. p. rzeczy.

Skoro ruch jaki w kraju powstanie, on leci porządkować i ratować swój majątek, a kiedy się w domu sąsiada pali, on zamiast biedz na ratunek, ratuje swoje graty.

Zręczny autor pomimo tego umiał zafarbować jego samolubstwo i podłość, jakąś chrześciańską rezygnacyą, jakiemś uznaniem kary Bożej, i kazał mu opłakiwać upadek szlachectwa, którego upadku tacy ludzie, jak właśnie pan Bartłomiej, główną byli przyczyną.

Kosmopolita chrześciański, pan Michałowski, cały bieg swego życia przypatrywał się w szlafroku krwawemu konaniu narodu, a kiedy naród skonał, on napisał panegiryk kosmopolitycznego, wygodnego swego usposobienia, kontent, że mógł odtąd spokojnie spominać sobie czasy, kiedy służył wojskowo w pułku Szybilskiego.

Możnowładztwo ówczesne i wszyscy, którzy jego zaklęte koło przestąpili, głównie splamili się hołdami oddanemi cielcowi złotemu przemocy i potęgi. Nasz wielki Zygmunt, dotkniony najboleśniej tym symptomatem, kreśli w Nocy letniej przerażającemi kolorami wewnętrzne usposobienie i los starca, który poślubiał córę książęciu południa Ów młodzieniec rozpaczny, patrzący z wzgórza w oświecone godowo okna pałacu, ów młodzieniec należy do szlachty. W Epilogu Nocy letniej, w Pokusie, straszliwszych jeszcze kolorów używa wielki poeta, ale na końcu jego prosi zmarłej, aby nad hołdownikami przemocy wyrzekła anielskie słowo przebaczenia. To pewna, że narodowi samemu najtrudniej je będzie powiedzieć! Pojmujemy, że wielkość rodową potężnie nęci blask każdej wielkości, pojmujemy, że najtrudniej pozbyć się zewnętrznego blasku temu, który do niego przywykł — ale czyż ten blask nie palił jak koszula Dejaniry, skoro oświecał tryumf obcy!! Czyż w piersi tych ludzi nie powstał głos, głos owych, co siedzieli nad rzekami Babilonu, odpowiadający wzywającym do śpiewu zwycięzcom: Jakże pieśń zanucimy, pieśń starej naszej chwały, aby ją wzgórza obczyzny, doliny niewoli słyszały?!

Przyznamy się, że jako piszący prozą, apostazyą podobną w mniej patetycznych widzimy zarysach. Apostaci zwykle nie bywają ludźmi wielkiej duszy ani wielkich namiętności — przeciwnie są to zwykle materyaliści. Nie lubią pływać pod wodę, więc płyną za wodą; nie lubią mieć nieprzyjemności, wolą mieć wzięcie u tych, co by mogli nieprzyjemność sprawić. Kiedy ktoś w rozpacznem przedsięwzięciu kark skręci, macają swój własny, bernardyński kark i powiadają sentencyonalnie: Nie powiedziałem? głupstwo!

Są tacy, którzy lubią się bawić w protektorów i orędowników narodu, i wyrobili sobie stanowisko Estery u króla Ahaswera, a zbudowawszy doktrynę chrześciańsko-rezygnacyjną, wzdychają i płaczą, płaczą jak bobry i znowu mówią pobożnie: Nie powiedziałem? głupstwo! Tacy są niebezpieczniejsi jeszcze, bo doktryna ich podobną jest do elastycznej bani, która się da rozepchać w nieskończoność.

Są i legitymiści z tych zasad wychodzący, którzy posuwają się do efronteryi otwartego ogłaszania swego legitymizmu. Dla swego legitymizmu czynią zwykle więcej, niż on sam nawet żądać może: legitymizm więc rusza ramionami i śmieje się. Ponieważ to są ludzie słabych głów i słabego serca, ludzie bardzo wrażliwi, stanowisko ich coraz łatwiejszem dla nich się staje: obiad u hrabiego Piąćsetpałkoff i śniadanie u jenerała Sukinsyna, przyjazne względy gubernatorowej Knucińskoj wprawiają ich wkrótce w ten stan błogiego upojenia, które im tak potrzebne.

Przejąwszy z czasem wyobrażenia swych znakomitych przyjaciół, stymulowani od nich do coraz większych zasług, szli drogą ś. p. króla pergameńskiego, który, umierając zapisał swoje państwo Rzymianom, z tą różnicą, że oni żyjąc jeszcze zapisują duszę. A jeżli przypadkiem jaki honor na nich zleci, mój Boże, któż ich radość i wdzięczność opisze? Któż opisze ich radość, jeżeli przejeżdżający książę do nich wstąpi i pochwali ostrygi, sztrasburskie pasztety i wino szampańskie! Gotowi natenczas, nakształt historyografów chińskich, zapisać każdy ruch dostojnej osoby i podać potomności w pamiętnikach swoich! Dla tego polecić ich można na szambelanów, marszałków, mistrzów ceremonii, kuchmistrzów i krajczych — a jeźli umieją wiersze składać, na nadwornych poetów.

Życie podobnych panów nikomu nie przynosi korzyści. Nie przynosi krajowi i narodowi, bo się od niego oderwali; nie przynosi tym, którym służą, bo zbytnią gorliwością własną kompromitują swoich feudalnych panów.

Apostazya prowadzi ich do zupełnej strupieszałości: bywają to ludzie skąpi, nieużyci, podobni do owego strasznego kasztelanica w Interesach familijnych.

Biedna familia się u nich nie pożywiła — majątek rozdrapują czyhający na śmierć pana sługy, a często nie ma nawet nikogo, coby oczy zamknął.

Nemezys przeszłości zabija często wszystkie ich dumne marzenia, synowie giną na Kaukazie a córki umierają w ramionach brutalskich mężów, którzy naturalnie są jenerałami. Ale cios śmiertelny przychodzi zkądinąd. Niełaska dworu, zawód w zaszczytach — to więcej, niż znieść potrafią. Wtenczas umiera *Marquis Carabas!*

Jeunesse dorée. [1])

Spotkałeś, łaskawy czytelniku, nieraz zapewne młodzież złotą naszych salonów, a może nawet widziałeś jej exemplarz w zwierciadle twojej toalety. Ponieważ pisarzy mego rodzaju pomawiają zwykle o złośliwość, chciałbym przeto dać ci jakąkolwiek definicyą młodzieży złotej na wytłumaczenie, dla czego umieściłem ją w galeryi moich portretów.

Nie myśl najpierwej, mój czytelniku, abym młodzież złotą uważał za coś złego. Jak dawno świat istnieje, istniała i młodzież złota; jak długo będą powstawać arystokratyczne kółka, tak długo będzie i arystokratyczne kółko młodzieży.

Mogę zaręczyć, że Alexander Wielki, Cezar i t. p.. ludzie, mieli około siebie młodzież złotą, która z czasem wyszła na dzielnych pomocników ich chwały. W naszej historyi widzimy ją, jak otacza Zygmunta Augusta i Władysława IV. za młodych lat, o co nie mało wszakże było w Polsce hałasu. Ba! nawet po rewolucyi francuzkiej, w dniach dyrektoryatu, reakcya natury ludzkiej, natury niedemokratycznej, objawiła się całą czeredą młodzieży *ci-devant* rewolucyonistów, którzy przesadzali się w elegancyi i dobrym tonie, przeładowywali galonami swoje fraki i wonieli pachnidłami o pół

---

[1]) Nr. 40 „Dziennika literac." z dnia 18 Maja 1860.

mili. Nie mamy przeto nikomu za złe, jeżeli należy do młodzieży złotej, pilnuje starannie paznogcie i fryzuje włosy, bo i nieboszczyk Cezar to samo robił, a przecie był największym człowiekiem pogaństwa; nie mamy za złe, że pamięta o swojej hiszpańskiej bródce i świecących lakierach: żądamy tylko, aby nie zapomniał o stokroć ważniejszych interesach, interesach wykształcenia swego, od którego zależy przyszłe jego znaczenie obywatelskie...

Znam osobiście wielu członków młodzieży złotej. Z tych, których znam, mógłbym wyciągnąć pocieszające spostrzeżenie, że nierównie lepiej się rzeczy mają z narybkiem przyszłości, niż przed kilkunastu laty. Przed kilkunastu laty młodzież złota mówiła przeważnie po francusku, umiała bardzo mało, ale tem więcej miała zarozumiałości — dzisiaj język ojczysty przeważa, młodzież złota umie nierównie więcej i wie że:

Trzeba się uczyć, bo minął wiek złoty.

Znam w jej gronie wielu młodych ludzi z najlepszemi chęciami, i obszernemi, choć niestety bez systemu, wiadomościami. Są jednakże jeszcze monumentalni, dawni kawalerowie złoci, zachowujący nieszczęsną niechęć do tego, co ojczyste, krzywiący regularnemi noskami na naukę i pracę, i uciekający co moment do Eldorado wszelkiej doskonałości i rozkoszy, do Paryża.

Przypatrywałem się zawsze z szczególniejszem zajęciem życiu tej młodzieży, bo wszakże przyszłość ich donośna w skutki dla kraju, wszakże stanowisko ich bardziej wpływowe, niż tysiąca szlachty. Osiędą niebawem na swoich dobrach, zajmą de jure miejsce przeważne w obywatelskiem życiu, a mając na rozkazy majątek i znaczenie przodków, mogą je utrzymać i spożytecznić, albo stracić.

Uznaję, że im trudniej niż komukolwiek dojść do doskonałości obywatelskiej, a to z bardzo prostych przyczyn. Świetne materyalne i socyalne położenie usposabia do próżniactwa i używania, brak dolegliwości, połączonych z pozycyą niższą, woła do zabaw i rozkoszy, ułuda świata kusi ich bardziej niż kogo innego, a tytuł i majątek nadaje znaczenie bez zasługi.

Wiedzieli o tem nasi ojcowie, trzymając synów krótko i w żelaznym rygorze, utrzymując ich skromnie i posełając do szkół z szlachtą niższą, wpajając w nich wreszcie uszanowanie dla niższych, jeżeli tego byli warci.

Instrukcya Jakóba Sobieskiego, dana Osuchowskiemu, wychowawcy jego synów, Marka i naszego wielkiego Jana, jest wiekopomnym tego dowodem. Wielcy panowie nie wstydzili się wysyłać

synów na dwór obcy, aby się tam pokory i uszanowania dla starszych uczyli. Dzisiaj, z małemi wyjątkami, inaczej się dzieje. Mamy wielkiego świata wpajają w synów wiarę w ich wielkość pierwej, nim wpoją obowiązek osobistej zasługi. Synek dowiaduje się pierwej, że jest hrabią, niż że jest Polakiem. Powtarzamy atoli, że są wyjątki — że najstarsze domy zachowały po części tradycyą dawnego wychowania, podczas gdy młodsze, a nadewszystko domy świeżopieczonych wielkości, chwyciły się przeważnie drugiego systemu.

Młodzieży złotej zarzucamy głównie, że nie pojmuje życia na seryo, a nie ma narodu, coby więcej takiego pojmowania potrzebował, jak nasz. Życie jej płynie bez jutra — od zabawy do zabawy, od herbaty u pani X, do śniadania kawalerskiego u pana Y, od śniadania do polowania. Jeżeli przytem uczą się, to ta nauka jest także dla nich igraszką, spokojnem użyciem po dniach burzliwszych, bo nauka nigdy nie jest ich żywiołem. Systematyczności, celowości, żelaznej woli w przeprowadzeniu jakiegoś zamysłu kształcenia się u nich nie znajdziesz: ukształcenie przychodzi im lekko, pobieżnie. Czytają nowości literackie, bo mogą; są *au courant* obecnego czasu, bo im majątek to ułatwia; rozumieją o wszystkiem śmiało i apodyktycznie, ale głębokości, ale przekonania czerpniętego z pracy u nich nie znajdziesz.

W latach szkolnych ułatwiali im guwernerowie, w latach poszkolnych ułatwia im wykształcenie, ta atmosfera salonu, gdzie inteligencya jest meblem przyozdabiającym, jest kadzidłem wonnem, ale niezdrowem.

Ten brak grozy życia przeszkadza ich wyrobieniu się na charakter, przeszkadza ugruntowaniu się pewnych zasad i opinii: bo kółko, w którem się obracają, nie żąda tego po nich i pozwala im użyć tuzinkowego surrogatu arystokratycznego *bon sens* i taktu w postępowaniu.

Ten *bon sens*, ta estetyczność, która jest ich ostatecznym kodexem, jest materyą nieskończenie rozprężliwą, nieskończenie elastyczną, a takt, który ma zastąpić pewne i niewzruszone postępowanie z zasad, takt ten prowadzi ich z czasem do zupełnej próżni moralnej, do pozowania i nadstawiania dowcipem i kontenansem tam, gdzie trzeba pokazać siłę woli i przekonania.

Słyszałem obnoszone z zapałem *bon mot'y* młodzieży złotej, niby owe dyplomatyczne *repartie's*, które nic więcej nie malują, jak tylko próżność wewnętrzną! Ten brak zasad, zastąpiony zmysłem dobrym i taktem, czyni, że tym młodym ludziom bardzo trudno

dojść do filozoficznego kamienia życia, do obowiązkowości z zasad, Bo obowiązkowość jest wyrobem silnej woli i mocnego przekonania, a gdzie tych dwóch czynników nie ma, tam ją zastępuje przypadkowość w wypełnieniu obowiązków.

Jedna chwila zapału czyni wtenczas bohatera, jedna chwila sybarytyzmu, apatyi, człowieka bez cnoty obywatelskiej. Widzieliśmy przecież młodzieńców patryotycznych, młodzieńców znakomitych domów, uniesionych kołowacizną dobrego tonu i taktu tam, gdzieśmy się za nich rumienić musieli.

Nic łatwiejszego, jak taktowej młodzieży złotej nazwać roztropnością to, co w języku ludzi charakteru, w języku ludzi seryo, nazywa się upodleniem.

Nie zaprzeczamy młodzieży złotej szlachetnych uczuć i poczciwego zapału. Wiemy, że u niej bije toż samo serce, które bije w niezłotej młodzieży. Ale uczuciowość młodzieży złotej cierpi w ten sam sposób na brak szczerości, śmiałości i jawności, jak jej charakter cierpi na brak grozy moralnej. Pomiędzy nią to grasuje potwór najzgubniejszy dla uczucia, potwór ironii i fałszywego humoru, potwór karykatury.

Arystokratyczna zuchwałość, ta buta rodowa, która dobrze użyta piękne nosi owoce, służy tutaj do bardzo złych celów: bo przenosi się na teranie i przedrzeźnianie najszlachetniejszych często uczuć, jeźli te uczucia za obozem złotego koła istnieją. Ironia młodzieży złotej, zostawszy codzienną atmosferą, w której się taż sama młodzież rusza, przejęła do tego stopnia jej duszę, że nic od niej wolnem być nie może.

Ileż to razy można widzieć złotego młodzieńca, ruszającego pogardliwie ramionami na słowa starszego, chociaż taki młodzik nie może być pewien, czy mu Pan Bóg siwych włosów doczekać pozwoli? Ileż to razy można go słyszeć mówiącego z lekceważeniem o ludziach, których przeszłość tylko do uszanowania usposabia? Ileż to razy młodzież złota wyszydziła najlepsze chęci i najszlachetniejsze zapały braci mniej znakomitej, zraniła ich serca brakiem współczucia, zamiast ich pocieszyć podaniem przyjacielskiej ręki i zentuzjazmować odkryciem serca, równą płonącego miłością? Ileż to razy przeżartowała najpiękniejszy nabytek w młodem społeczeństwie, popularność swoją, dla jednego dowcipnego konceptu? Mniejsza już zresztą o te rany serca — ale czyż młodzież ta nie wie, że tym sposobem otwiera się nowa przepaść między stanami i nowa scyssya w przyszłem pokoleniu się robi!

Najlepszą podobnoś radą na te usterki młodzieży złotej, byłoby: kazać jej przechodzić z trudem i w pocie czoła lata nauki, które dotąd z uśmiechem sardonicznym na ustach, w błogiej wierze w swoich guwernerów i uszanowanie profesorów dla majątku i pozycyi przechodziła; napędzać do pracy i wcześnie zaprzęgać do pługa obowiązków obywatelskich. Jeden rok natężenia sił umysłowych więcej nauczy, niż dziesięć podróży za granicę i zwiedzenie wszystkich salonów świata.

Kawaler „comme il faut". [1])

Kawaler *comme il faut,* jest typem bardzo częstym. Znacie te twarze młode, stereotypowego kroju, podobne do siebie wyrazem jak nic do siebie podobnem nie jest, te twarze nie piękne i nie brzydkie, nie mądre i nie głupie, te głowy z modną fryzurą, gładko uczesaną brodą hiszpańską i wyfixatuarowanemi wąsami — te postacie wreszcie, przystrojone w tużurek z ostatniego żurnalu, w krawatę świeżą i elegancką.

Jeźli ich znacie bliżej, nie słyszeliście zapewne, aby kiedy co głupiego powiedzieli, wiecie, że umieją wszystko, co świat wymaga, tańczą *lansiera* i nowe polki, grają na fortepianie, mówią po francusku i angielsku, czytają gazety, że jeżdżą na koniu, strzelają, fechtują się: słowem są wzorem wszelkiej doskonałości. Co więcej, nie marnują pieniędzy, nie robią długów, rządzą się dobrze a miewają nawet obligacye, od których starannie odcinają kupony.

Mamy, które mają córki na wydaniu, unoszą się nad nimi i one to wynalazły epitet *comme il faut,* nadzwyczajnie trafny, bo wobec opinii mass, są oni rzeczywiście nieskończenie przyzwoici. Pomimo tego autor niniejszych portretów nie lubi kawalerów *comme il faut,* a i pomiędzy wami, kochani czytelnicy, jest wielu, którym oni nie są sympatyczni.

— To oczywista szykana — powiedzą mamy.

— To oczywisty idealizm — powiedzą ruszając ramionami kawalerowie *comme il faut.*

---

[1]) Nr. 42. „Dziennika lit." z dnia 25 Maja 1860.

Kawalerowie przyzwoici są dwojakiego rodzaju; jedni się urodzili nimi, drudzy stali z czasem.

Urodzony kawaler przyzwoity, był posłusznem dzieckiem i ulubieńcem rodziców na korzyść innych dzieci. Wcześnie rozwinął się w nim duch egoizmu, poczucie swej nieskończonej doskonałości, której towarzyszy brak miłości do drugich. Kułakowali go rozpustni bracia: on skarżył — a mama nagradzała go cukierkami. W szkołach dobrze się uczył i był ulubieńcem profesorów, bo chwytał się zawsze partyi mocniejszego. Nie należał do żadnej burdy i bywał cenzorem. Koledzy go zawsze nie cierpieli i nazywali szpiegiem. Jako młodzieniec, nie znał innych marzeń prócz samolubstwa i nieszlachetnej emulacyi. Zamiast zapału rozwinęła się w nim złośliwość i usposobienie cieszenia się z upadku drugiego.

Biografia jego jest ciągiem powodzeń, bo świat takich ludzi chętnie uszczęśliwia. Jeżeli się chciał ożenić, ożenił się z panną z majątkiem i znaczeniem; jeżeli się poświęcił zawodowi publicznemu, wnet dostał intratną posadę. Robi majątek, a utrzymuje się odpowiednio swojej godności. Jest atoli zimnym, skąpym, nieużytym człowiekiem. Żadna myśl wielka go nie porwie, żaden zapał nie ogarnie.

Pomimo tego jest obowiązkowym i regularnym w wypełnianiu powinności, jak bregetowski zegarek: chodzi mu o opinią. W duszy jego wieczna próżnia, ale i wieczna harmonia — na wszystkie wyższe uczucia ma głowę kołkiem zabitą. Między nim a człowiekiem cnotliwym jest tażsama różnica, co między prawem a sprawiedliwością, co między charakterem dobrym i przyzwoitością. Może on być przedmiotem podziwu każdego płytkiego człowieka: ale będzie zawsze obrzydliwym w obliczu ludzi z sercem i głową.

Inny rodzaj jest kawaler *comme il faut*, który z czasem przyszedł do tego epitetu. Taki bywał przódy lampartem, szulerem a czasem i niegodziwym człowiekiem. Przyszła na niego chwila opamiętania, ale nie z wyższej, szlachetniejszej, moralnej pobudki: przyszła z względu na świat, z porachunku finansów ciała i kieszeni. Stał się więc nim, odpędził od siebie przeszłość zewnętrznie, ale wewnętrznie pozostał z jej całkowitym rezultatem.

Pozostał szulerem, lampartem, spekulantem, materyalistą w duszy, tylko wyrafinował te wszystkie przymioty w rafineryi roztropności, umiarkowania, ekonomii rozsądnej i brudnej. Jest to tylko dalszy stopień złego, polegający na usunięciu jedynego wytłumaczenia dawnego życia, namiętności młodej. Pozostał on szulerem,

tylko postanowił nie przegrywać więcej, pozostał lampartem, tylko szanując siły swoje.

Z dni zepsucia wyniósł cynizm i egoizm, serce przegniłe i zimno lodowe człowieka, który świat poznał tylko z brudnej, odwrotnej strony. Świat powiada o nim: ustatkował się, wyburzył, i teraz bardzo porządny człowiek. Osiadł na jednem miejscu, pozapłacał długi, uporządkował interesa, porobił znajomości z przyzwoitymi ludźmi. W rozmowie przyjemny i wykształcony, zdrożnego słowa nie powie, starszych szanuje, dla pozycyi socyalnej ma cześć należytą. Nie unosi się nigdy, zdanie jego pełne umiarkowania, o nikim źle nie gada, chyba że mówią w towarzystwie. Że pannę X opuścił, dowiedziawszy się, że majątku nie ma, nic słuszniejszego, chce żyć z komfortem. Że dotąd pyta się o extrakt tabularny więcej, niż o pannę samą, stosuje się do ducha czasu. Że się nie wdaje w przedsięwzięcia krajowe, chyba że zysk w nich oczywisty widzi, znać, że umie szanować grosz i nie unosi się patryotyzmem niewczesnym. Że powiadają o jakiejś ładnej gospodyni w domu, cóż się o to gniewać, jak się ożeni, to ją wypędzi.

Takie to sądy wydają ludzie! Stateczność zrujnowanego moralnie człowieka, milsza im niż burzliwość zapaleńca, który w salonie słów nie rachuje i zapłonie świętym ogniem zapału, jeżeli uderzą w struny złote jego serca.

Mama z bojaźnią patrzy, jeźli się przysiędzie do córeczki, a ojciec żąda od niego, aby się przódy wyszumował na kawalera *comme il faut*. Jeżeli lekceważące słowo powie o pieniądzach, które nad inne świętsze rzeczy przekładać się nie nauczył, sąsiedztwo wrzeszczy jednogłośnie, że nie będzie umiał się rządzić.

Jeżeli zaś kawaler *comme il faut* wyruszy się nareszcie z swego wygodnego szlafroka, a, odebrawszy pewne wiadomości o posagu panny, podejmie fatygę ufryzowania głowy i posuwistemi krokami zwróci się do panny, to mamie z radości serce skacze. A choćby panienka szczęśliwem przeczuciem wiedziona niecierpiała wymuskanego kawalera, to mama umie tyle pracy dołożyć, tyle kołków pannie na głowie uciosać, że ta nareszcie decyduje się iść za przyzwoitego kawalera — decyduje — aby przepłakać lat kilka — potem urządzić się z nim na stopie konwencyonalnej — zlodowacieć, jak on, i córeczkę swoją znowu wypchać za podobnego mężulkowi!...

Na końcu tego krótkiego portretu musimy umieścić pokorną modlitwę: Niech nas Bóg broni od kawalerów *comme il faut*! Niech nas Bóg broni od ludzi, którzy potrzebują wprzódy przejść kałuże

brudu, aby stać się porządnymi ludźmi! Niech nam raczej daje młodzież z gorącą duszą i sercem płomiennem, niech zwraca ogień ku świętym celom, abyśmy mieli nie ruiny i groby pobielane, ale mężów, z granitu kutych. Amen.

Tancerz prowincyonalny.

Ilekroć obywatel wiejski na usilne prośby córeczek zamyśla dać zabawę w swoim domu, tylekroć rozchodzi się o danserów. Panny w rozpaczy liczą zdatny do tańca kontygens i z rozpaczą widzą, że na pięć tancerek jeden tancerz przypada, że syn pana A. jest na politechnice w Wiedniu, pana B. na uniwersytecie, pana C. w urzędzie, a pana D. przy kolei.

Ten kłopot jest wcale nowym. Przed kilkunastu laty go nie było; czereda wyfrakowanych młodzieńców zajmowała kąty pokojów bawialnych, długim sznurem sunęły się pary mazura, a piwnica Jegomości trzeszczała pod szturmem młodzieży, którą nazwaliśmy typem tancerza prowincyonalnego, *alias* inwentarskiego tancerza prowincyi.

Ratując konający dzisiaj typ, kreślimy jego nekrolog, trzymając się zasady: *De mortuis nil, nisi bene.*

Tancerz prowincyonalny jest synem obywatela starej daty i pieszczochem matki, która była trochę sentymentalną i słabą dla jedynaka.

Dla przeszkód rozmaitych, najpewniej zaś z opieszałości wrodzonej, oddano syna późno do szkół, jak ś. p. Mikołaja Reja, który za chłopięcych lat wolał strzelać bąki i wronom do ogona proporczyki przywiązywać, niż się uczyć abecadła.

Wiadomo każdemu, jakie były szkoły u nas przed kilkunastu laty. Przypominamy sobie wszyscy karykaturalne postacie naszych profesorów, którzy z wysokości katedr swoich rządzili jak maleńcy tyrani wesołą rzeczpospolitą szlacheckiej młodzieży i prowadzili całe życie zaciętą wojnę z samorodnym dowcipem niesfornych polskich chłopców Przypominamy sobie owe burdy i rewolucye studenckie, które pana profesora przyprowadzały do drakońskiej jurysdykcyi, owych cenzorów i szpiegów, kamarylę przyboczną

wielkich pedagogów gimnazyalnych, którzy brali od nas sowite cięgi i mścili się zapisywaniem nas w czarnej książce. Przypominamy sobie owe klasyfikacye drukowane, gdzie liczne trójki i dwójki stały w rubrykach „*E morum cultura*“ „*ex lingua graeca*“ i „*latina*“.

Do takich to szkół odwieziono przyszłego tancerza prowincyonalnego. Odwieziono go w tragicznem usposobieniu, patrzącego rzewnie na rodzinną wieś, na paszącą się stadninę, którą ujeżdżał, odwieziono z sutym prowiantem specyałów z apteczki maminej i licznemi admonicyami ojcowskiemi. Pierwsze długie godziny szkolne spędził młody chłopczyk w osłupieniu zupełnem, nie wiedząc co się z nim dzieje: ale niebawem rozruszał się, widząc kommilitonów swoich, uśmiechających się szyderczo, i czując pierwsze inauguracyjne kułaki od najbliższych sąsiadów. Za kilka dni zrozumiał on, że szkoła jest areną ciągłej walki, ciągłego popisu brawury studenckiej, że się dzieli na obóz profesora i jego kamaryli, i na obóz studentów, że popularność i reputacya polega na tem, aby panu profesorowi jak najwięcej figlów spłatać, aby ile możności oszukiwać jego policyą.

Z natury szlacheckiej, polskiej, przyłączył on się do wojującej i cierpiącej partyi w szkole, znienawidził cenzorów i potulnych, znienawidził szanownego pedagoga, i stał się tak zwanym: *Trotzbubem*, *Hallunkiem*, *Taugenichtsem* i t. p.

Ojciec przyjeżdżając do syna, dowiedział się z smutkiem o złych jego postępach w nauce, i szlachecka skóra chłopca za każdą razą była w robocie; mama natomiast kochającem sercem zwalała całą winę na profesorów, płakała nad biednem dzieckiem, podtykała mu za każdą razą jakieś pocieszające artykuły swojej spiżarni i napełniała dziecinną kasę białemi jak śnieg cwancygierami.

Częste przejażdżki małego kawalera na święta, wakacye, imieniny, odrywały umysł jego od suchej, niemieckiej gramatyki: a owe cwancygiery matki i przesyłki prowadziły go w towarzystwo kolegów, którzy mieli wyrobiony węch jego kieszeni i kuferka. Kiedy się kawaler dostał do gimnazyum i repetując każdą klasę, doszedł do naukowej wysokości syntaxy lub poetyki, okoliczności pogorszały się coraz. Wąsy zaczęły się wysypywać, towarzystwo wesołych koleżków coraz obfitsze znajdowało resursa zabawy, a kawaler coraz bardziej uczuwał, że już umie bardzo dosyć i do dalszych nauk nie ma wokacyi.

Wiedząc, że mama w skrytości serca to zdanie podziela, pisywał wielekroć listy w tej materyi, przyłączając zawsze pobożne westchnienie do białych cwancygierów w czerwonej sakiewce ma-

minej, i kreśląc w żywych kolorach prześladowanie profesorów i sążnistość zadawanych lekcyi. Otóż jeden z takich listów, który znalazłem na strychu:

„Kochana Mameczko Dobro dziko!“

„Do noszę Mameczce, żemi coraz trudni idzie. Powiadają wszyscy że poetyka najtrudnisza klasa i sam widzę żeto prawda. Profesur Wicherek, coto mamie opowiadałem żetaki zły, zadajenam po pięć kartek stylu łacińskiego któregoja wcalenierozumiem. Greki także zadaje po trzy kartki i tentamen co tydzień daje i pensum ciągle. Jajusz siedzę pocałych nocach i głowa mi pęka od tego uczenia sie. Muj Instruktor sam sobie poradzić nie może z zadaniami, takie trudne. Pan Żarski synuw swych jusz odebrał, i jeszcze pana Wicherka wykpał, z czegośmy sie wszyscy tutaj bardzo cieszyli. Niech tysz mama będzie tak łaskawa przysłaćmi 5 fl. na książki, bo nimam wszystkich a tacie muwić niechce bo sie gniewą że wielka expens. Także prosze mamy o ty kilka ryńskich dla praczki, bo mi sie upomina. Nic mi tesz mama niepisze, czy mój kasztanek jusz wyzdrowiał, co to był chory na zołzy i czy bedzie u rodzicuw zabawa i czy panna Amalia będzie, żeby tata przysłał po mnie tobym przyjechał. O moim Grzmilasie czy tysz Mateusz pamięta, boje się, żeby mi psa nie zepsuli bo dobry. Jest tu teraz tyjatr i moi koledzy chodzą — aja jeszcze niebyłem, bo niemam nic, sztuki także są alem niewidział. Całuje rączki i noszki mameczki kochanej i Rózię całuję i Anielcie niech tysz tam Anielcia przygotuje dla mnie tych pierników co to ma przepis. Tylko niech Mama Tacie listu niepokazuje od

posłusznego syna“
Bolesław M.

Takie listy przekonywały mamę, że syn bardzo dość już umie, że profesorowie są istnymi katami młodzieży, że jest obawa, aby synek nie dostał zapalenia mózgu, że nareszcie można go odebrać ze szkół, skoro pan Ten lub Ów także swoich synów odebrał.

Toczyła się więc kilkutygodniowa żywa dyskusya między rodzicami, gdzie mama dowodziła jasno, że syn będzie miał majątek i może się dobrze ożenić, choć nie będzie umiał po grecku; gdzie tata obstawał za dalszem kontynuowaniem szkół i dojściem do fakultetu prawnego, który mu się wydawał ostatnim celem wszelkiego szkolnego wykształcenia.

Tę żywą dyskusyą przerwał nareszcie syn nagłem zjawieniem się, często bardzo awanturniczem. Zrobiwszy burdę w szkole, uciekł

on przed karceresem, ale, obawiając się taty, udał się do leśniczego, z którym miał dawną zażyłość, i zawiadomił mamę o przybyciu.

Dramatyczna scena, którą ten *coup d' Etat* wywołał, rozmaicie się kończyła: często tata dał się przebłagać, częściej odwiózł syna do miasta, który raz nabrawszy energii oppozycyjnej, za miesiąc powracał pieszo na wieś, zdecydowany znieść wszelkie plagi, byle klasy więcej nie widzieć. Ojciec przekonał się powoli, że wina nie była po stronie syna, ale po stronie pedagogów gimnazyalnych, zgniewawszy się więc na system edukacyi krajowej, zatrzymał go w domu i powiedział sobie pod nosem:

— Byleby był poczciwym człowiekiem i dobrym gospodarzem, to się obejdzie bez waszej łaciny i greki!

I miał pod pewnym względem racyą. Z ludzi, którzy szkół nie pokończyli, wyrosło wielu dobrych i światłych obywateli, a z tych, którym dawni profesorowie dwójek i trójek nie szczędzili, mieliśmy nieraz mężów pełnych energii i cnoty obywatelskiej. Ale ten zły stan edukacyi publicznej, niestety, najczęściej nie znajdywał żadnego środka zaradczego u rodziców-gospodarzy: odbierano synów ze szkół, ale nie myślano o dalszem ich kształceniu, i ztąd urośli owi kawalerowie prowincyonalni, danserowie inwentarscy, tak podobni do owych junkrów z niemieckich komedyi.

Dobrze to było, jeżeli synek powrócił ze szkół z przeczącym przymiotem niewiadomości zupełnej, jeżeli powrócił nie umiejąc konjugacyi słowa τίθημι i tłumaczenia Corneliusza Neposa, jeżeli nie umiał ortografii polskiej i gimnazyalnej *Staatengeschichte*. Najczęściej umiał on natomiast wiele rzeczy, których lekcye po za szkołą dawano: umiał grać w karty i robić długi, umiał dawać kawalerskie biesiady i umizgać się do dziewcząt, umiał oszukiwać mamę i w pole wyprowadzić ojca.

Jeżeli z temi wiadomościami powrócił do domu, a przytem miał lat dwadzieścia, przyłączał się niebawem do czeredy kawaleryi prowincyonalnej. Mama wyprosiła u ojca parę koników i bryczkę, napełniła zrobioną misternie od sióstr sakiewkę cwancygierami, i kawaler prowicyonalny zaczął życie tułacze po cyrkule, a z czasem na rozległość kilkudziesięciu mil. Podczas gwałtownych robót w polu zostawał on wprawdzie w domu, i z kawalerską gracyą dowodził szeregiem żniwiarek: ale potem — potem:

zginął — w szerokim stepie nikt go nie dogoni.

Z śniadania od Kostusia pojechał na karteczki do Szymcia, od Szymcia na polowanie do Antosia, od Antosia na koński jarmark

do Dąbrowej, z Dąbrowej na zabawę u państwa W, z zabawy do miasta na bal maskowy, z balu maskowego na kulig do Gajowic, z Gajowic do Szymcia i t. d. bez końca jak żyd wieczny, jak Hollender latający. W tem koczującem życiu nie miał naturalnie czasu do kończenia swojej edukacyi: czytać nie lubi, chyba romansidło jakie, tłumaczone z francuskiego, i to kiedy zaspy na dworze lub deszcze, że źle psa gnać; natomiast umie tańczyć *nec plus ultra*, strzela nieźle i pije „jak stary".

Ojciec rusza ramionami, ale spomniawszy sobie młode lata powiada: Hm! wyrobi się — mama przypisuje jego niestałość i wichrowatość temu, że jeszcze nie trafił na swoją. Rzeczywiście, ostatnim celem koczowniczego życia bywa zwykle korzystny ożenek: o nim to toczą się długie rozmowy między kawaleryą. Kawaler prowincyonalny zna doskonale extrakt tabularny, jego activa i passiva. Wierzy on mocno w pewność swego zwycięztwa i nauczywszy się patrzeć na kobietę z cynizmem, nie szuka zalet serca i rozumu, któreby dla niego niebezpiecznemi być mogły.

Pomimo tej pewności siebie, ożenienie się jakoś nie prędko mu idzie, częścią dla tego, że nie chce tanio sprzedać swojej złotej wolności, częścią, że i panny nie chcą jej tanio sprzedawać. Kiedy się nareszcie zdecyduje do tak ważnego kroku, odbiera zwykle kilka koszyków, póki nareszcie nie trafi na swoją...

Ta swoja bywa albo gąską, która z cierpliwością patrzy na kontynuacyą jego kawalerskiego żywota, albo staje się babą-Herodem, która go bierze pod pantofel. W tym ostatnim razie biedny ex-kawaler, stojący z rozkazu pani domu przy żeńcach, z głębokiem westchnieniem wita przejeżdżających kolegów, którzy na niego wołają:

— Bolciu! Boleczku! jedź z nami na polowanie.

— Nie mam czasu, ludzi dużo.

— Bolciu, Boleczku! ubrała cię Jejmość w spodnicę.

— Cicho! cicho! odpowiada tragicznie Bolko.

— Bolciu! Boleczku! przyjedziemy do ciebie na herbatę.

— Nie będzie mnie w domu — jąka bojaźliwie Bolko.

— Stracony! stracony na zawsze — mówi sentencyonalnie pan Seweryn, czterdziestoletni arcy-kapłan bractwa.

Kawaler prowincyonalny w rozmaitej okazuje się postaci. Najniższy stopień są to kawalerowie cynicy, nielubiący fraka i białych rękawiczek, i chodzący zwykle w długich butach i strzeleckim kapeluszu, sążniści, inkarnatowi, wygodni i bez żeny w każdym

ruchu. Polują, piją, grają w karty, ale już nie tańczą i nie bywają w towarzystwach dam. Mają w domu wiejskie gospodynie.

Wyższy stopień ubiera się podług ostatniej mody, z pewną jednak niegustowną affektacyą, tańczy do upadłego i sentymentalizuje z pannami, obznajomiony jest z bajeczkami całej okolicy i dla tego cieszy się łaską pań starszych, które obdarzają go przydomkiem: chłopców przyzwoitych.

Najwyższy zachlipnął atmosfery salonów eleganckich, ma wygórowaną pewność siebie i bardzo niegracyjną *nonchalance* w towarzystwie. Mówi wiele, głośno i apodyktycznie i nienawidzi mądrych panien.

Wzdychają do niego niezliczone istoty płci żeńskiej, bo ma ładną twarzyczkę i gładką bródkę hiszpańską. Mówi, a jeźli nie mówi, to zatrąca po francusku.

Dzisiaj, jakeśmy powiedzieli, generacya kawalerów prowincyonalnych ginie (*?*). Edukacya publiczna się polepszyła, oświata stała się dla młodych ludzi potrzebą, bo opinia publiczna jej żąda. Przesądy szlacheckie ustępują rozsądkowi szlacheckiemu, i dzięki temu objawowi, mamy szlachtę doktorów, techników, urzędników itp.

Panny, chociaż się może tak nie wytańczą, mogą się pocieszać nadzieją, że będą mogły uszczęśliwić miłością swoją ludzi, dla których nie będzie potrzeba zostać pobłażliwą gąską, albo babą-Herodem.

Literat młody. [1])

Quod felix faustumque sit, mamy dziś więcej literatów jak czytelników. Dwa dragany a cztery kapitany.

Któż dziś nie pisze?

Piszą starzy, nie z potrzeby już i chęci oświecania i prowadzenia narodu, ale z przywyknienia, ze zrzędziarstwa, z areopagicznej powagi, do której przywykli.

Piszą młodzi, nie z natchnienia, nie z zapału, ale z źle zrozumianej ambicyi, z lekkomyślności, z chęci łatwego zarobku, z nie-

---

[1]) Nr 56 „Dziennika literac." z dnia 13 Lipca 1860.

chęci uczenia się dłużej, z źle zrozumianej nareszcie i dwuznacznej gorliwości oświecenia ogółu.

Piszą wielcy panowie, pewni podziwu tej koteryi w której żyją — piszą kobiety masami, ufne w galanteryą płci męzkiej.

Nic łatwiejszego, jak dziś zostać literatem. Nie potrzeba do tego ani głębokiej nauki, ani wielkiego talentu, ani posłannictwa: trzeba mieć trochę protekcyi, trochę wiadomości, trochę znać styl i najkonieczniejsze warunki pisania. Ortografią nie koniecznie potrzeba umieć.

Najlepszym i najpraktyczniejszym sposobem, aby zostać literatem są konnexie. Dzisiejsza literatura, mianowicie dziennikarska, jest to salon kobiecy, pełny bajek, komerażów, osobistych zawiści, zawiści, które kryją się zgrabnie za aprosze zasad i strzelają bombami powag niezrozumianych i kartaczami twierdzeń nieudowodnionych.

Ma ona wielką analogią z czasami przed-Mickiewiczowskiemi i to bardzo łatwą do pojęcia, bo składa się z weteranów i młodego pokolenia, które niepokoi ciągle starszych, chcących jak wszyscy starzy, na świecie być ostatnimi.

Chcąc tych przykrości uniknąć, powinien młody literat, który już nic lepszego robić na świecie nie chce, tylko pisać i koniecznie pisać, udać się w protekcyę jakiejś wielkości, nie w protekcyjny stosunek ucznia do mistrza, patrzącego się w jego wielkie, jenialne oko, jak młode orlę w słońce, ale w stosunek skromnego i potulnego młodzieńca, który chce być wprowadzonym w salon JMCPani Literatury, najkapryśniejszej niewiasty świata.

Dostawszy się raz w protekcyę taką, może być pewny, że po niejakim czasie zaczną go mile wspominać pisma peryodyczne, może być spokojnym, że nikt go nie szarpnie, nikt błotem nie obrzuci, a znajdą się zawsze tysiące takich, którzy go będą mieli za gwiazdę pierwszej wielkości.

Z samotności wychodzą wszystkie znakomite talenta, wszyscy ludzie, którzy coś zrobić potrafią. Samotnemi i odosobnionemi zostają wszystkie większe siły nawet wtenczas, gdy je największy gwar otacza, bo się nie dadzą zagłuszyć żadnemu gwarowi.

Dzisiaj, niestety, siły młode zapominają o tem wielkiem prawie ducha, o powstaniu z samotności. Efemeryczność cechuje wszystkie ich myśli — bo te myśli nie wstały z pracy ducha, ale pobudziły się wtedy dopiero, kiedy jakieś wrażenie padło kamieniem między nie, jak pomiędzy stado wróbli.

Nigdy nie rozprawiano tak o dobrych chęciach, jak dzisiaj. Tysiące młodych ludzi wchodzi w świat literacki z dobremi chęciami. Nie pokończyli często studyów gimnazyalnych, cóż dopiero uniwersyteckich, a niezdawszy examinu dojrzałości, zapoznani od profesorów, przedsięwzięli być literatami.

Takie drobniuchne literaty obierają sobie w obszarze wiedzy ludzkiej jakiś miniaturowy przedmiot, będący właśnie *en vogue* obrabiają go z ambitną skrzętnością, i skromniuchni, jak pensyonarka, wyruszają z nim na arenę literacką. Arena ta zwykle bywa jakimś salonikiem literackim, salonikiem jakiejś filantropicznej damy, która chce się bawić w mecenasa literatury. Pod jej macierzyńskiem okiem rosną poeci wielkich nadziei, archeologowie, naturaliści etc. etc., którzy w eleganckich tużurkach przynoszą co wieczór świeże płody swej muzy, podobnie jak Mecenaska co dzień świeże podaje andruciki. Wizytatorowie-literaci są nieskończenie grzeczni dla siebie, podziwiają się i chwalą: jedna pani domu pozwala sobie czasem jakieś uważki nad stylem i kolorytem płodów, które osłodzone pochwałami, wydają się tylko dowodami znawstwa i uwagi. Taka to nieoszacowana dama zapoznaje młodych literatów z dobremi chęciami z jakąś znakomitością prawdziwą i oddaje ich pod ojcowską protekcyę.

Znakomitości zaś mają to do siebie, że mają nieskończenie wygórowany indywidualizm i rzadko, bardzo rzadko, stają się mistrzami i przewodnikami młodszych. Zamknięci w swoich studyach lub ideałach, pojmują tylko własną drogę, a innej widzieć i rozumieć nie chcą, rzecz, która wcale złą nie jest i potwierdza tylko nasze wyrzeczone już zdanie, że samotność jest jedyną szkołą dla wyższego talentu. Słabsze duszyczki atoli przenoszą się wprost pod pantofel znakomitości, albo, jeżeli mają zmysł praktyczny, umieją jej użyć do swoich ambitnych celów. W krótkim czasie dostają korespondencyę do tej, albo owej gazety, pracują w fejletonie jakim, póki nie dosłużą się przydomku „znany“, po czem otwarta droga do drugiego: „zasłużony“.

Dzisiaj tak dużo zasłużonych, żebyśmy przynajmiej połowę mogli wysłać na emeryturę. Są zasłużeni, o zasługach których nikt nie wie. Mamy osobistości literackie, zaszczycone licznemi tytuły członków towarzystw naukowych, które Bóg sam jeden wie, jak do tych zaszczytów doszły. Najprędzej przez to, że się publiczność przyzwyczaiła widzieć ich wszędzie krzątających się, hałasujących, nieskończenie zajętych a nieskończenie próżnujących.

Psim węchem umieli oni chwycić sposobność przylepienia się do tej, albo owej kwestyi, jak ów szczur, co wylazł na ołtarz, aby mu kadzono. I oto to maszerowanie naprzód, to głębokie poczucie swej znakomitości, to wschodzenie wszędzie, gdzie go nie posiano; jest to druga faza literata efemerycznego, który skromniuchny, cichy, barankowaty wyjeżdżał na harc z dobremi chęciami. Jest to Bottom z Snu nocy letniej Szekspira, w którym się rozkochała królowa Elfów, Tytania. Ma on relacye ze wszystkimi, stał się koniecznością potrzebną dla każdego zebrania literackiego, nie dla swej wewnętrznej wartości, ale dla swej nieskończonej ruchawości. Z ważną miną traktując każdy przedmiot, zabsorbowany w nim najzupełniej, efemeryczny literat podziwia każdej chwili swoją siłę Atlasa, że tyle, tyle unieść potrafi.

Wewnętrzne szczęście, które go z przyczyny tego wysokiego rozumienia o sobie napełnia, wewnętrzne to szczęście czyni go nawet miłym, uczynnym, dowcipnym, czyni go wreszcie nieskończenie patetycznym. Nie mówi o niczem, tylko o wielkich kwestyach bieżących — i zawsze, zawsze jest literatem.

Literat efemeryczny wydał niemało rozmaitych rzeczy. Pisał wiersze i w skromności duszy posełał je do „Gwiazdki Cieszyńskiej“ i do „Przyjaciela domowego“. Pisał wiele korespondencyj, chwalących wszystko i wszystkich, bo literat taki nie może mieć nieprzyjaciół. Poświęcał się jakiś czas szczegółowemu fachowi fizyognomiki, i wydał w tym przedmiocie broszurkę. Przerzucił się potem w historyą polską i napisał monografią „O mieście Dobczycach“. Badał runiczne napisy na kościelnym murze w X, o których się potem pokazało, że były dziełem swywolnych chłopców, bawiących się dłutem kamieniarza. W ostatnich czasach gwałtowny ruch literacki pozbawił nas obszerniejszych prac jego.

Jeszcze jedno znamię: literat efemeryczny ma znakomite zdolności handlowania z księgarzami. Nikt lepiej nie wie, ile wart wiersz druku, ile księgarz za to dzieło zapłacić może. Umie zawierać ugody kapitalnie. Dla wydawców jest grzeczny, ale z taktem. Takim sposobem odnosi wszystkie korzyści z literatury, jakie przed czterma deskami odnieść można.

Inaczej wypadnie odpowiedź, jeźli zapytamy jakie literatura z niego odnosi korzyści?...

Ale skończmy na pytajniku.

Uczeni i niedouczeni. [1])

Nie pamiętam się w tak złym humorze, jak gdy się dowiedziałem o wydawnictwie warszawskiem Encyklopedyi powszechnej. „Teraz będziemy mieli kupę mędrców!“ powiedziałem sobie i potargałem prospekt na kawałki. Rodzaj uczoności jakiegoś narodu jest to rzecz niepospolicie ważna. Widzimy, że inaczej służy uczoność Niemcom, inaczej Francuzom, inaczej Anglikom. Były narody które póty były potężne, póki jednę tylko znały książkę. Są narody, które dla tego bardzo mocno upadły, że co moment, zamiast czynu, książka z nich wypada. Uczoność podług źródła swego, podług okoliczności podług związku z resztą życia jest potrzebą lub zbytkiem, pożyteczną rzeczą lub szarlatańskwem, potęgą moralną lub słabością.

Przyzwyczaiwszy się wglądać w przeszłość, nie możemy się wstrzymać, aby i tu się do niej nie odwołać. Otóż wiemy wszyscy, że przodkowie nasi lubili książki, że się wozili z niemi nawet po obozach, że w wolnych chwilach pisali dla potomności. Pisma ich dzisiaj jeszcze zdziwiają ogromem erudycyi, zdrowiem sądu, harmonią układu a nadewszystko sumiennością i celowością, która je czyni monumentalnemi dziełami. Co więcej: są to pisma na wskróś narodowe, bo czy przedmiot wzięty z rzeczy swojskich, czy zagranicznych, zapatrywanie się wszędzie polskie, wszędzie do Polski skierowane. Charakterystyczną jest rzeczą np., jak dawni Polacy na klasyczną patrzali literaturę. Niemcy, Francuzi wyssali z niej jad pogański; wyssali rozum, który ich przeciwko wierze zbuntował: Polacy, niemniej z nią obeznani, ujęli ją z strony zastosowalnej, praktycznej, eklektycznie może, ale za to stokroć zbawienniej dla siebie. Szukali oni w dziełach starożytnych, pięknych przykładów, mądrych maksym, zbawiennych urządzeń. Spekulacya filozoficzna, fantastyczne mrzonki obcemi im były: z filozofów jeden rdzenny Arystoteles przypadł im do smaku, a z platońskich dyalogów utkwiła im w pamięci tylko pogańsko-święta postać Sokratesa.

Pomimo tego powierzchownego, na pierwszy rzut oka sądu o klasykach, kto wie, czy nasi ojcowie i literaci zygmuntowscy nie wniknęli głębiej w istotę rzymskiego szczególniej ducha, niż dzisiejsi

---

[1]) Nr. 55 „Dziennika literac.“ z dnia 10 Lipca 1860.

niemieccy filologowie, którzy wszystko widzą przez szkła swego rozumu. Kto wie, czy nie lepiej poznali te hartowne dusze dawnych synów wilczycy nadtybrzańskiej, lepiej, bo właśnie z życiowej i moralnej strony.

Wobec tego przesiąknięcia ideą narodową, tendencyą obywatelsko-utylitarną, przodkowie nasi nie odrywali nauki od życia, z czego wypadł bardzo zbawienny skutek: że nie czytali, aby tylko czytać, i nie pisali, aby być w szeregu literatów. Waga słowa była u nich jeszcze wielka i potężna, a chociaż nigdzie nie wypowiedzieli idei kapłaństwa, przywiązanego do piśmiennictwa, pokazywali jawnie, że go pojmują. Nie było w nich jeszcze przepaści między pismem i życiem, nie pojmowano jeszcze, że autorstwo może być szaleństwem i łotrostwem tak dobrze, jak bywa apostolstwem i cnotą; nie słyszano nareszcie o nowomodnym wymyśle oderwania nauki od życia, nazwanym umiejętnością.

Z tych to przyczyn nauka żywiła a nie osłabiała, godziła a nie rozrywała, dodawała sprężystości a nie niszczyła muszkularności duszy. Nie stawała w sprzeczności z tradycyą, z domowemi bóstwami, bo silny organizm nie pozwolił jej wybujać i zwrzodowacieć, bo niezmęczone niczem oko duszy nie przestało widzieć, że są inne, świętsze prawdy, nie zapisane w książkach, ale wyssane z mlekiem matek, podsłuchane na kurhanach ojczystych i czytać się dające na niebie gwieździstem. Słowem, u naszych przodków nie było tego rozpadnięcia się ducha, który indziej od czasów reformacyi w Europie widzimy, nie było tego rozstrzelenia się sił człowieka, które odłączone od siebie chciały żyć życiem osobnem, jak członki ciała ludzkiego w boju Meneniusza Agryppy.

Upadek narodu odebrał mu tę czystość i niezmąconość ducha to rycerskie oko, w którem W. Pol w Mohorcie opowiada. Musieliśmy przejść tę gorączkę, którą przeszedł świat cały, ale w tem właśnie żeśmy ją przeszli w ucisku i boleści, żeśmy ją przeszli bliscy tradycyi przodków, żeśmy ją przeszli z przewodniczącą myślą praktyczną i narodową, leży cała przyszłość naszej umysłowej pracy. Piętno obywatelskie naszej literatury zostało jej do dni naszych: a to piętno czyni ją wpływowszą i znakomitszą od niemieckiej, francuzkiej i angielskiej, które często zamykały się w umiejętności oddzielonej od życia, marniały w szkodliwym indywidualizmie i pedantyzmie uczonym (szczególniej niemiecka).

Najważniejszą cechą naszego wykształcenia naukowego jest dążenie do wszystkowiedztwa. Z. Kaczkowski dobrze zauważył, że umiemy wszystko, a wszystko pobieżnie. Nie trzeba atoli tego dą-

żenia brać pesymistycznie. Wszystkie młode narody mają podobne dążenia. Umysł młody, silny, pełny życia, nie może się przywiązać do szczegółów, bo wszechstronność życia wiedzie do wszechstronności nauki. Stare i zużyte narody lubią fachowość, zupełnie wykształcone łączą jedno z drugiem. Niemcy są ludźmi fachu, Francuzi i Anglicy łączą fachowość z uniwersalizmem, Polacy i Rosyanie są uniwersalistami. Ciekawą jest rzeczą np. porównać naszego chłopa z chłopem niemieckim. Chłop niemiecki zamyka myśl swoją w swojem obejściu gospodarczem i nic prócz niego nie widzi; nasz włościanin wyrabia sobie pojęcie o wszystkiem i z jakiejkolwiek beczki z nim zaczniesz, odpowie ci rozsądnie po swojemu. Najważniejsze kwestye religijne nie są mu obce. Toż samo widzimy w wykształceniu stanów wyższych. Ludzie, którzy się prawie nic w rygorze szkolnym uczyć nie mogli, tworzą sobie wrodzonym talentem do wszechstronności — z książek, z wrażeń, z rozmów, sąd o rzeczach najróżnorodniejszych, uderzający trafnością mimo swej autodydaktyczności. Ten wrodzony talent, prawdziwy dar boży, naszemu narodowi dany, czyni, że w teoryach ciemnych choćby najuczeńszych długo nie bawimy, że się nie zamykamy w żadnej mniemanej nieomylności, że najzawikłańsze często systemata uderzamy trafnie w ich piętę achillesową, że z ogromu wiedzy zachodniej wyjmujemy z prawdziwą intuicyjną dokładnością to, co najżywotniejsze i najlepsze. Tryumfalnym dowodem tej strony naszej umysłowości pozostaną na zawsze prelekcye Mickiewicza i listy Krasińskiego. Ale są bardzo złe strony tego daru już z tej samej przyczyny, że nie ma Mickiewiczów i Krasińskich tylko dwóch. Znamy ludzi zresztą bardzo znakomitych i wziętych, którzy przez brak dosadnej nauki, przez brak gruntowności są wiecznie chwiejnemi wierzbami, idącemi za powiewem wrażeń, którzy ubóstwiają rano to, co wieczór ganili, którzy wieczór rozpaczają a rano wierzą. Ludzie ci mają właśnie to uniwersyalne, samorodne, polskie wykształcenie. Nie pracowali wiele, jeno zbierali wrażenia; te wrażenia, nie ujęte nigdy z biernością potrzebną, przekształciły się w nich samowolnie, przez wpływ ich twórczości potężnej, i ztąd to powstały owe dziwolągi opinii, które okraszone całym blaskiem ich bogatej natury, zwodzą jednych, a drugich w zgorszenie wprawiają. Prototypem takich ludzi jest niezawodnie Henryk Rzewuski. Kto czytał jego Mieszaniny, Kalejdoskop, Głos na puszczy i Teofrasta, wie dobrze ile tam niesłychaności, ile fałszu i prawdy, ile nauki i niewiadomości, ile przesądów i rozsądku, ile w ostatniej instancyi podłości obok intuicyjnych prawie zdobyczy na polu narodowego myślenia. Ten symptomat

potwierdza się i u innych ludzi z tą odmianą, że ich Stróż Anioł ochronił od apostazyi. Niedostateczność wykształcenia naukowego odbiera im wszelką przewagę zasad: łączy w nich idee, które się żadną miarą pogodzić nie dadzą, napełnia ich bzikami, które niewiedzieć jak istnieć mogą przy myślach, pełnych prawdziwej mądrości.

Ileż to razy spotykamy ludzi, którzy są niby ultramontanami, a obok tego mają demokratyczno-radykalne myśli, którzy nienawidzą terroryzmu a gotowi go używać, którzy, rozlubowawszy się w przeszłości, żądają kapryśnie jej powrotu i szukają tradycyonalnego życia tam, gdzie ono istnieć nie może!... Pomiędzy takimi najciekawsi są zaiste tak zwani nieprzyjaciele zachodniego postępu. Wychodząc to niby z tradycyi, katolicyzmu i t. p. zasad, nie wiedzą co mają zrobić z tem wszystkiem, co świat od trzech wieków z natężeniem ducha zrobił: wpadając więc w fanatyzm, rzucają na to wszystko anatema, nie chcą widzieć nic dobrego a najkolosalniejsze postacie chrzczą nazwiskiem karłów i oszustów, sprzeciwiając się głosowi powszechności, który na nie z ubóstwieniem patrzy. Zapędziwszy się tak w ogromną negacyą, nie dziw, że często do bardzo ultrawaganckich dochodzą twierdzeń! A wszystkiemu znowu winien brak systematycznego wykształcenia.

Drugim błędem naszej krajowej uczoności jest fragmentaryczność. Zdarza się widzieć często ludzi, szermujących wiecznie kilkoma zdobyczami w krainie wiedzy, gadającemi o tej albo owej partyi historyi, którą obrobili, a w skutek dążenia do uniwersalności przenoszących wrażenia te nieliczne na wszystko inne, czego nie znają. Są dziwaki, którzy przeczytawszy jednę książkę, czują się obowiązani wszystko z tej książki sądzić. Znałem n. p. człowieka, który Chowannę brał za alfę i omegę mądrości. Przypomniał mi on mego starego Mateusza, który znowu czytał tylko Rynaldyniego i mówił wiecznie: jak Rynaldyni!

Brak podobny czuć się daje szczególniej pod względem historyi powszechnej. Nie mamy w tym przedmiocie żadnej prawdziwie narodowej książki: a przecież każda historyografia jest tylko narodową, choćby się w najumiejętniejsze odziewała piórka. Bez znajomości historyi powszechnej nie podobna pojąć stanowiska Polski, nie podobna czuć się jako naród w ludzkości. Nie ma nieszczęśliwszej kołowacizny, jak zamknięcie się w czterech ścianach swego kraju, jak egzaltowane patrzenie się na wszystko polskiemi oczami. Trzeba stać nad narodem i nad światem...

Ale otóż o mało nie zapomniałem, że my przecież bardzo jesteśmy uczonymi. Oko moje padło na mapę i ujrzało Warszawę. Przypomniała mi się Deotyma, idąca z duchem góry, szukając filozoficznego kamienia, przypomnieli mi się mnodzy naturaliści, filozofy, krytycy, archeologowie, przypomniały mi się uczone panny królestwa, przed któremi trzeba się trzymać na wszystkich czterech kopytach, aby chronologicznego błędu nie ustrzelić. Przypomniała mi się encyklopedya polska, którą wydaje protektor uczoności narodowej, pan Orgelbrand, a od której zacząłem niniejszą rozprawkę.

Warszawa niezawodnie najwięcej żyje i rusza się literacko. Jest to rezydencya uczonych z profesyi, uczonych zaprzągniętych do pługa codziennej roboty, uczonych urzędowych. Ma ona pod tym względem ogromne zasługi. Co jednakże zadziwia, to ta okoliczność, że Warszawa zawsze grała rolę tych uczonych sędziów Kolumba, którzy nie wiedzieli, jak postawić jajo na stoliku. W pseudoklasycznej epoce dała ona umrzeć z głodu Malczewskiemu, wystosowała do Mickiewicza wiersz:

„głupio wszędzie"

taż sama Warszawa, która w dwadzieścia lat później zaprzągła się do tryumfalnego rydwana Deotymy i okrzyczała, że ona jest poetką trzeciej ery, taż sama Warszawa, która teraz kamienuje Kraszewskiego, że z Żydów, którzy pochłonęli ogromną część majątków krajowych, chce zrobić patryotycznych obywateli i wynagrodzić w ten sposób szkodę krajowi. Pokazuje się ztąd, że można być uczonym a nie rozumieć potrzeb narodu, że można posiadać formalną uniwersalność, a nie mieć rzeczywistej. Uczoność podług swego stosunku do życia i dziejów jest czynnikiem życiodajnym, lub rzemiosłem mechanicznem, zbytkownym przyborem lub spekulacyą, pegazem lub „dojną krową". To pewna, że naszem całem szczęściem jest, żeśmy się dotąd nie zamienili w książki, a raczej, że książka jest u nas czemś więcej, niż zeszyciem kilkunastu arkuszy razem, aby czas zabić. W wyjątkowem naszem położeniu fachowość i gruntowność jest potrzebną; zda się nam chemia, technologia, matematyka, zda historya i filozofia, byle te wszystkie umiejętności nie były dla nas tylko artykułem kuchni intelektualnej, służącej do zaspokojenia naszego duchowego smakoszostwa. Niech nas Bóg broni przed przekleństwem, jakie rzucił Börne w listach paryskich na naród niemiecki.

„Niemiec, gdy mu się plama zrobi na surducie, bierze się do studyów chemicznych i poświęca się im tak długo, aż surdut w łachmany rozpadnie. Z tych łachmanów atoli zrobi papier a na papierze napisze rozprawę: O wywabieniu plam z surduta".

A przecież w literaturze naszej umiejętnej mamy wiele grzechów podobnych. Mamy liczne dzieła o początku Polski, a nie mamy żadnego o jej końcu, chociaż to dla nas tak ważna kwestya, jak dla Francuzów dzieje rewolucyi i cesarstwa. Mamy dzieje odległych epok, a nie zdobyliśmy się na historye bliższe, np. od czasów wolnej elekcyi. Mamy obszerne poszukiwania archeologiczne a brak nam studyów statystycznych i etnograficznych nad obecnym stanem kraju. Rozpisujemy upokarzające poezyą konkursa na komedye i dramata, podczas gdy pieniądze na nie obrócone możnaby nawet zaliczyć jakiemu sumiennemu literatowi na poszukiwania prawdziwie korzystne, czy to geograficzne, czy statystyczne. Towarzystwa naukowe podają przedmioty podobne do gimnazyalnych penzów, nie stojących w żadnym stosunku z obecną chwilą. Brak nam dzieł edukacyjnych dla dzieci, dla młodzieży, dla rzemieślników, dla ludu, dzieł, któreby uzupełniały braki edukacyi publicznej pod względem narodowym. Czyż wobec tych braków wolno nam zaspakajać się w badaniach umiejętnych, czytać Wedy i Purany, albo wynajdywać podobieństwa języka francuskiego z naszym? Czyż nie można zastosować tutaj złotego ustępu z Rejowego żywota: Abo na coć się przyda ziemię i niebo rozmierzyć, jeźli się w własnych sprawach rozmierzyć nie umiesz!

Poetyczni młodzieńce.

Passe in die Welt hinein,
Denn dein Kopf ist viel zu klein,
Als dass die Welt passe hinein.

Göthe.

Nowi poeci rodzą się jak grzyby.

Słowacki.

Poetyczność stała się udziałem naszego narodu, od czasu politycznego upadku. Od owej chwili powlekła się ziemia nasza kirem tęsknoty i smutku, ponurzej zaczęły szumieć drzewa, ponurzej wicher świstać, posmętniała zieloność i kwiaty: do każdej radości domieszała się łza, do każdego uniesienia westchnienie. Zerwaliśmy z rzeczywistością, odkąd ta rzeczywistość stała się dla nas źródłem utrapienia.

Za nami, znękanemi i odartemi z blasku, pozostała przeszłość obfita w chwałę i świetność, szumiąca zdobytemi sztandary i błyszcząca od złota rycerskiej zbroi: pozostała jak wspomnienie dnia pogodnego w dniach burzy, jąk wspomnienie raju w dniach czysca.

Przed nami, pokłóconymi z chwilą teraźniejszą, mgliła się przyszłość, zasłoniona chmurzyskami obecności, pełna przewiewnych nadziei i błędnych światełek, ale pełna uroku, jak ląd stały na widnokręgu dla skołatanego burzami żeglarza.

Jako dzieci słyszeliśmy powieści dziada o przeszłości, pieśni teorbanisty o kozaczyźnie, opowiadania wiarusa o legionach, nutę nadkolebną matki o czwartakach — a ze snu budził nas przejeżdżający feldjegier z dzwonkiem.

Nie takie bywają tradycye dziecinne innych narodów. Oczy ich bawi widok musztry wojskowej i parady kościelnej, a ojciec wracający z miasta prawi im o festynie dworskim. Matka nie płacze nad ich kolebką, za mężem na Sybir porwanym, ani nie śpiewa pieśni smutnej o wygnańcach: bo pieśni innych narodów tchną weselem życia rzeczywistego.

Z tej zroszonej boleścią poetyczności, rozlanej po całej ziemi polskiej, urodziła się nasza literatura poezyjna, najpierwsza z europejskich w 19tym wieku.

Z tej poetyczności urodziły się atoli także nieszczęśliwe i zgubne natury poetyczne, dusze bez dna i spokoju, Ikary, podlatujące ku słońcu a ginące w morzu zapomnienia, ci ludzie, którzy się spalili w ogniu poezyi, jak komary w świecy, chorowici poeci życia.

Śmierć moralna przez poetyczność była jedną z licznych kar bożych, spuszczonych na nas z nieba. Z gniazd sławnych siłą męskiego żywota, powychodziły blade postacie, mające w sercu śmiertelnego móla poetyczności, tęsknotę trawiącą, odrywającą od życia rzeczywistego, odrywającą od obowiązków, praw rozumu, tradycyj domowych, słowem wszystkiego, co się mogło stać treścią istnienia na ziemi.

Lunatycy ci nie mogli zostać niczem, bo nie mieli daru Bożego, aby zostać artystą, i nie mieli daru Bożego aby zostać zwykłym, porządnym człowiekiem. Poezya kazała im się kochać i szaleć z miłości, aby potem żonę unieszczęśliwić, kazała im szukać chwały, aby się zniechęcić pierwszem niepowodzeniem, kazała im iść między ludzi, aby ich znienawidzić i wiecznie na niezrozumienie narzekać. Szczęśliwi, jeźli znaleźli śmierć na polu bitwy, szczęśliwi, jeźli śmierć wczesna życie im przecięła, i nie dała im doczekać się lat późniejszych, w których stawali się ciężarem społeczeństwa.

Prototypem takich ludzi pozostanie za zawsze Gustaw w powieści: Świat i poeta, Kraszewskiego. Ten tak nierzeczywisty typ był przecież bardzo rzeczywistym. Jego rysy spotykamy na całym szeregu mniejszych naszych poetów, dziś zapomnianych. Gustaw jest prawdziwie szpitalnym poetą, nie mającym warunków ani stworzenia czegoś, ani zostania czemkolwiek. Nie wgryzł się w żadną naukę, dla tego każdą pogardził, nie ukochał nikogo prawdziwie, dla tego nigdy nie był szczęśliwym. Źle mu być biednym, źle bogatym, źle kawalerem, źle mieć żonę. Narzeka na ludzi a sam jest pierwszym egoistą, nie z zasady ale z fatalizmu. Rozpija się biedak nareszcie. Nie wyszedł nigdy krokiem za siebie, i dla tego nigdy nie został człowiekiem.

Z tego to czasu datuje się nieufność ludzi starej daty, ludzi praktycznych, do tak zwanych poetów, pojęcie poety nie jako człowieka z pogodnem i natchnionem czołem, z gromową myślą i żelazną ręką do wykonania ideału, ale jako wielkiego malkontenta, wiszącego między niebem i ziemią a nienależącego do żadnego regyonu. I dziś, chociaż ktoś wierszy nie pisze, ale gdy rażącego przeciw praktyczności bąka ustrzeli, powiadają ludzie, że to poeta. I dziś, gdy ktoś ma dziwactwa, zamyśla się, gdy jest roztrzepany i nie bardzo pamięta o swoim surducie lub fraku, szepczą kobiety,

że jest poeta. A nawet, niestety, bywają ludzie i koterye, gdzie nazywają poetą tego, co nie wlazł w błoto rzeczywistości, co trzyma się jak może na skrzydłach szlachetności i obowiązku, co nie uchyli dumnego karku potrzebie, ale przecie jako tako osobistą i narodową godność utrzymuje. *Infandum!* i to nazwano poezyą!...

Ale to jest pierwsza epoka ludzi poetycznych. Rodzili się oni i żyli spółcześnie z naszymi wieszczami. Pierś ich nie objęła tego ogromu wrażeń i uczuć, które pierś tamtych objęła, nie zwalczyli sunącego na nich samumu świata, z którym tamci w zwycięzkie poszli zapasy, nie wyszli za poczucie swej nieharmonii, swej różności od otaczających ludzi — i serca ich pękły, mózgi się przygniotły, a na wczesnym ich grobie pozostała może łza kochanki, która ich uszczęśliwić nie umiała, może kilka tonów pękniętej lutni — a często nic nie zostało. Wielu ich zginęło śmiercią samobójczą, wielu wpadło pod koniec życia w cynizm piekielny, zginęło z przekleństwem na ustach.

Biedne sieroty! Odkąd same zostały na świecie, nie było już dla nich szczęścia i spokoju. Grzechy ojców pozostawiły im w sercu cios śmierci, robaka śmierci; świat w który weszli, nakarmił ich sprzecznościami wybujałego ideału i grubej prozy, i nie mogli w nim wytrzymać. Należy im się wspomnienie serdeczne, a groby ich powinny stać się świętością narodową, jak każde miejsce męczeństwa [1]).

Poetyczni ludzie dzisiejsi, pod inną zupełnie przedstawiają się formą.

Wyszli oni najsamprzód z obfitych źródeł naszej wspaniałej poezyi, poezyi niedoścignionej, wieszczej. W słońcu jej uwijają się jak muszki maleńkie, roją się i pozują na wielkich ludzi i w niebezpiecznem gorącu palą się znowu, jak komary w świecy.

Nic wątpliwszego dzisiaj, jak orzeczenie, co w utworze młodego pisarza jest młodym zapałem, naśladownictwem, usposobieniem gorącem — a co poezyą, mającą przyszłość w sobie. Nić trudniejszego jak oznaczyć prawdziwe źródło natchnienia młodych poetów, bo często nie jest ono niczem więcej jak szlachetnym entuzyazmem duszy młodej, ubranym w formy, których dostarczył nowożytny nasz *Gradus ad Parnassum*, wyjęty z dzieł naszych mistrzów.

---

[1]) Tutaj podaję nawiasem projekt zebrania i wydania płodów młodo zgasłych poetów. Jest tam wiele, bardzo wiele pereł prawdziwych, które się walają w zapomnieniu. Była by to wielka literaturze przysługa.

Poezya u nas nie powstaje najczęściej z głębi poetycznego natchnienia, ale z assocyacyi idei poetycznych, nie z magicznej siły tworzenia z nicości ideału, ale z usposobienia tego lub owego, wziętego z istniejących już utworów, które wiedzie do odpowiednich sobie obrazów i myśli.

Taka poetyczność naturalnie nie pociąga już dawnych za sobą skutków, bo nie jest szczerą; nie przeszkadza jeść dobrego bifsztyku i chodzić w modnym surducie; taka poetyczność prowadzi tylko do nieskończonego uzewnętrznienia uczuć w poezyi i życiu, do koturnowej, teatralnej podniosłości, która jest niebezpiecznym objawem społecznym.

Łamano sobie głowę przez rok cały nad Deotymą, poetką trzeciej ery! Ani słowa, jest ona trzeciej ery, jeżeliby obecnie innej poezyi być nie miało, jak ta, którą właśnie nakreśliłem. Deotyma jest najlepszym wyrazem poezyi kanwowej, bukietowej, mozaikowej, składającej z obfitego rogu poezyi minionej pojedyńcze kwiaty i kamyczki w jedną całość bez duszy, bez natchnienia, bez serca.

Każda jej improwizacya powstała przez assocyacyą logiczną idei poetycznych, przez wyczerpywanie wszechstronne tych szczegółów, które w encyklopedyi poezyi pod tym albo owym tytułem znalazła.

Kazano jej np. w Krakowie improwizować o Wawelu — ona zaczęła mówić o górze Sinai a kończyła na Golgocie; kazano jej mówić o kamieniach; ona zaczęła o dyamencie, czy feldszpacie, a kończyła na kamieniu filozoficznym; o sztuce, a ona wyrecytowała lekcyę estetyki.

Gdy jej kazano upoetyzować poetycznych hussarzy, musiała gadać o baśniach ludowych, o gryfach skrzydlatych i tęgich, zuchowatych, żelaznych naszych ryçerzy, nazwała poezyą wojny. Gdy apoteozowała Mickiewicza, przeprowadziła go konwencyonalnie przez dekoracyjne niebo, wspomniała całą historyą literatury powszechnej i powiedziała to, co wie każdy prozaiczny człowiek.

Ależ, do stu par fur beczek furgonów! to jeszcze nie poezya! To pensyonarskie wykształcenie, to zgrabność kobiecej robótki, ale nie poezya! A przypomnijmy sobie do tego całą patetyczność zewnętrznego wystąpienia Deotymy, uzurpacyą pityjskiego trójnoga i sukcessyi Safońskiej, pomyślmy sobie tę całą śmieszną zewnętrzność — to mimowoli musimy ruszyć ramionami i powiedzieć, że w 19tym wieku poezya prawdziwa musi nienawidzieć baletniczego występowania.

Obok assocyacyi idei poetycznych jest jeszcze drugie źródło poetyzowania: poetyzowanie z jednego tonu, maniery, usposobienia, właściwości jakiegoś autora. Do tego rodzaju należy miniona moda gawęd, moda psalmów, w których słowo wszech i słowo Panie! tak przeważną grało rolę, że mimowolnie nasuwa nam się trawestya biblii: „Nie każdy, który mówi Panie! Panie! wejdzie do królestwa poetycznego". Gawędowicze i psalmiści, nie patrząc na treść, poczęli szermować formą wielkich poetów. Pierwsi myśleli, że za należytą expensą kontuszów, pasów, wąsów, rubaszności, mospanowstwa i wtrącań łaciny wyczarują przeszłość na ziemię: drudzy, że przez czcze powtarzanie natchnionych słów zbudują natchnioną modlitwę.

Ale mniejsza o to, że choroba pisania wierszy jest tak ogólną, że każdy student uważa się za poetę, że redakcye obarczone są niedowarzonemi płodami muz, gwałconych przez smarkaczy: mniejsza o to, bo te utwory zginą w morzu niepamięci, jak ich autorowie. Ale chodzi nam o młodych ludzi.

Bo nowomodna poetyczność bardzo jest zgubną dla ich przyszłości. Nie chcąc pracować na seryo, chwytają się poezyi, jako najłatwiejszego sposobu zostania wielkimi, niewiedząc, że to właśnie najtrudniejszy ze wszystkich. Wyrabia się w nich wygórowany indywidualizm, ale nie dawny, szczery, niebezpieczny dla zdrowia i życia: przeciwnie indywidualizm wygodny, zarozumiały, pewny siebie, pozujący się w świecie na bohatera, bez moralnych do tej roli zasobów. Najszczytniejsze uczucia narodowe stają się poetycznemi kosmetykami ich toalety, środkiem kokieteryi, dumą osobistą....

w bolu kochając się pięknie,
Pierś męczą, dopóki fałszywie nie jęknie,
Z urojonem cierpieniem, wymarzoną stratą,
Żalem, czemu ta ziemia nie jest popielatą
Lecz zieloną, lub czemu niebo nie jest złote:
Pielgrzymi na zrobioną z papieru Golgotę...

W frazesach pięknych wyszastują ci poetyczni młodzieńce wszystko to, co jako święty ogień powinno tleć w głębi łona, co się powinno chować z dziewiczym wstydem duszy. Każdej chwili, gdy coś szczytnego powiedzą, gdy w poetyczne wpadną usposobienie, maleńki dyablik, siedzący za ich uchem, szepcze im: Jakiś ty piękny!... Wszędzie szukają z afektacyą niezwykłości i przez to rozpadają z wszelką naturą. Pierwszy warunek zostania czemś na świecie: poczucie własnej małości wobec ogromu świata, brakuje im

zupełnie. Niewiedzieć kiedy mieli czas wydostać się na wysoki piedestał rozumienia wszystkiego: ale to pewna, że na nim stoją. Piędzią własną mierzą wszystko, największych duchów znają i obcują z nimi — a ponieważ zdrowy rozum bardzoby im zawadzał, jako ostry i prawdomowny przyjaciel, rzucają na niego pogardę i powiadają, że oni mają więcej jak rozum: bo ducha i intuicyą....

Cóż z takich ludzi będzie? Wielkościami nie zostaną, bo wielkości cechą jest skromność, prostota, naturalność, milczenie. Zwykłymi ludźmi stać sią nie potrafią, bo nie mogą zejść z swego koturnu. Kłócąc się nieraz bardziej z rzeczywistością, giną niezrozumiani, bo świat pracujący, trudzący się i cierpiący, nie ma najmniejszego obowiązku, zajmować się nadziejami i narzekaniami: świat żąda rezultatów.

Poetyczni młodzieńce psują kredyt poezyi. Czyliżby atoli przez to poezya nie miała u nas mieć przyszłości?

Tego nie myślę. Ogrom poetyczności jest u nas za wielki, aby się mógł był dotychczas wyczerpać. Z mglistych regionów liryzmu, różnowzorowej zewnętrzności epopei pozycya nasza ma jeszcze wielką drogę rzeczywistości ujętej wewnętrznie — drogę postaci dramatycznych.

Odcięta od żywej dawnych czasów tradycyi, zapomożona zdobyczami w sferze niebios, ma ona przed sobą wielkie posłannictwo uwidocznienia w życiu przeszłości rządu Bożego, wykazania dróg, jakiemi Bóg naród prowadził. W miarę dojrzewania i pogodzenia narodu, w miarę wzrostu jego świadomości, poezya zstępować będzie w kształty dramatu i postacie owe, na które dotąd z religijną patrzała naiwnością, na ziemię ściągnie.

Egzaltowane. [1])

Zadziwi się niejeden, dlaczego kobiety egzaltowane umieściłem w galeryi ujemnych portretów. Nim mnie z tej przyczyny potępicie, posłuchajcie mego wytłumaczenia.

---

[1]) Nr. 44 „Dziennika literac." z dnia 21 Maja 1860.

— Zkąd się wzięła egzaltacya? — zapytam się i odpowiem na zapytanie.

— Egzaltacyą nazywamy zwykle usposobienie umysłu podniosłe nad sferą o zwykłej codzienności, które prowadzi do patrzenia się na świat i życia w świecie tak, jak tego nie czynią ludzie codzienni.

Dusza egzaltowana stoi ustawnie na koturnie patetyczności, i odzywa się ciągle jak lutnia, nastrojona na ton wysoki. W egzaltacyą atoli nie wchodzi ani opinia pewna, ani zasady obowiązkowego postępowania, bo egzaltacya jest tylko skrzydłem duszy, unoszącej się tam lub ówdzie mocą swoją wewnętrzną i bezpośrednią. Dobroć lub fałszywość egzaltacyi więc zależy przedewszystkiem od przyczyny, która ją wzbudziła.

Widzieliśmy kobiety egzaltowane wyuzdanym indywidualizmem Jerzego Sanda — a za dawnych czasów sentymentalnością pani Stael i pani Genlis. Dzisiaj widzimy egzaltacyą, pochodzącą z źródła wręcz przeciwnego, bo z religii i patryotyzmu.

Pytamy się więc, jakim sposobem schodzą się w egzaltacyi tak przeciwne motory?

Nasze dawne Polki nie znały egzaltacyi. Chrześciańskie męczenniczki pierwszych wieków nie znały jej także: szły one na śmierć z prostotą dusz, przekonanych o potrzebie poświęcenia swego, i nie przybierały romantycznych pozytur dzisiejszych egzaltowanych, ani nie miały sentymentalnej dykcyi naszych pań, które egzaltowane uchodzą.

Śmiemy więc twierdzić, że egzaltacya do świętych i wzniosłych z natury rzeczy, jest zupełnie niepotrzebnym gratem.

Badając źródło, zkąd się wzięła egzaltacya, znajdujemy je w czasach bardzo smutnych, bo w drugiej połowie 18go wieku.

Kiedy cynizm i materyalizm opanował młode umysły, kiedy świat cały przesiąkł zepsuciem i rozpustą, umysły szlachetniejsze ale nieczyste, a często nawet umysły nieszlachetne uchwyciły się egzaltacyi i sentymentalności, jako ostatniej oazy w tej Saharze życia, i starały się upiększyć jej wdziękami gorące i nieczyste żądze, osiadłe na dnie serca.

Wówczas to, w świecie panów La Mettrie i Casanowów powstały pasterskie marzenia, filantropiczne myśli i romanse Marmontela i Bernardina de St. Pierre — a kołowacizna egzaltacyi udzieliła się naszym polskim paniom, chodzącym w tupetach i robronach, których typem została na zawsze mdlejąca starościna w „Powrocie posła“ J. U. Niemcewicza.

I znowu, kiedy po upadku kraju francusczyzna zajrzała do każdego dworku szlacheckiego, widzimy w domu państwa Sopliców sentymentalną, wyróżowaną Telimenę, przy naturalnej Zosi, i otoczonego żokejami hrabiego de Birbante rokko, obok pana Tadeusza.

W miarę jak duch narodowy potężniał, egzaltacya przechodziła w jego usługi. Panny kładły sobie pod poduszkę Konrada Wallenroda a kawalerowie usypiali recytując IV. Część Dziadów. Albumy panien napełniły się romantycznemi zapiskami, u stóp niejednej

widziałem całe gimnazya, licea...
rozdały wiele łez, włosów, podwiązek,
żadna nie poszła z tąd w małżeński związek.

Bajronizm i exaltacya uniosła wielu młodych ludzi do zupełnego rozpadnięcia z domową tradycyą przodków, do zmarnienia życia. Zamiast ogień młodzieńczy obrócić ku pracy poważnej, rozmarnili go na szamotanie się z fantomem niepokojącej wiecznie podniosłości uczuć: co było najlepszym dowodem, że ten ogień był fałszywy, niezdrowy, trawiący. Natury silne i proste zawsze się umiały wydobyć z egzaltacyi.

Dzisiaj nareszcie widzimy egzaltacyą religijną i patryotyczną, zastępującą dawną romantyczność. Widzimy extrawagancye ascetyzmu i zbytniego nabożeństwa, które odwodzą od najlepszej bo czynnej modlitwy pracy, widzimy uganianie się za pięknościami religii i pewną elegancyą religijnego żywota, słyszymy nareszcie pewne ewaporacye tego niezdrowego usposobienia w słowach gładkich i potoczystych, za któremi kryje się pewna apatya i przezieranie się w zwierciadle wyrafinowanej próżności duszy.

Nie chcemy bynajmniej ganić egzaltacyi i egzaltowanych. Przyznajemy, że ona tysiączne usługi narodowi przyniosła: że zobczałe i zfrancuziałe umysły zjednoczyła z narodową sprawą, że zużyteczniła ludzi, którzy dotąd ugorowali się dla dobra publicznego. Chcielibyśmy tylko wykazać, że jakkolwiek egzaltacya była potrzebną konsekwencyą przeszłości, jakkolwiek nowy jej kierunek błogie przynosi skutki: życzyćby wszakże należało, aby jej już w przeszłej generacyi nie było, aby jej dalej niezaszczepiać, bo jużcić każdy przyzna, że do religii i patryotyzmu egzaltacyi nie potrzeba.

Kobiety przedewszystkiem ulegają egzaltacyi. Przychodzą one do niej w rozmaity sposób: źródło atoli ostateczne jest dążność do niezwykłości i odszczególnienia się, wygórowany indywidualizm niewieści. Ponieważ tego dążenia nie było w naszych dawnych Polkach,

ponieważ duszą ich była chrześciańska abnegacya siebie, życie w obowiązkach — to też one nie znały egzaltacyi.

Nie znają jej dotąd wszystkie proste dusze, poczciwe nasze Zosie prowincyonalne, które z czasem wychodzą mimo braku egzaltacyi, na wzorowe matki i poczciwe obywatelki.

Egzaltowana panna, nie ma jasnego i dobrego pojęcia swoich obowiązków. Marzenie jej młodej duszy, oskrzydla rozsądek i serce— zwraca się ku urojonemu światu podniosłości moralnej, czy poetycznej, i na tej wysokości egzaltowana panienka nie raczy już spozierać na padół codzienności.

Skoro ją egzaltacya ogarnęła, przyczepia się do niej jej wierna towarzyszka: próżność i wysokie o sobie rozumienie. Widzieliśmy nieraz sentymentalne Anioły, wzruszające z politowaniem ramionami nad prozaicznością mamy, taty i siostry, słyszeliśmy ich dowcipne uważki nad towarzystwem nieegzaltowanem, uważki pokryte „anielską przebaczenia pogardą".

Słyszeliśmy kobiety egzaltowane, nicujące niemiłosiernie sąsiedztwo i mieszające do swych krytycznych uwag pobożne westchnienia nad niedołężnością ludzką — połączone z głębokiem przekonaniem faryzeuszów i modlitwą: Panie dziękuję ci, że nie jestem, jako oni.

Słyszeliśmy dobrze uwagi robione wprost po powrocie z kościoła, gdzie panie egzaltowane były pogrążone w głębokiej modle a pomimo tego, przez grube tomy książek do nabożeństwa, widziały karykaturalne miny miejskich sąsiadek.

Widzieliśmy je przechodzące całą skalę egzaltacyi, jako je przyniósł czas i moda: były *esprits forts* i ubóstwiały panią Sand, były demokratkami i arystokratkami, a obecnie czytują dzieła Ś. Augustyna i Ś. Teresy.

Widzieliśmy wreszcie, że w chwilach, kiedy chodziło o byt materyalny, kiedy przyszło zrobić *coup d' Etat* małżeństwa, schodziły z tragicznego swego koturnu i brały na pomoc prosty chłopski rozum, chociaż za chwilę potem umiały to wytłumaczyć najwznioślejszemi motywami.

Z tej przyczyny oświadczamy się stanowczo przeciw egzaltacyi. Aby lepiej odznaczyć nasze stanowisko powiemy, że egzaltacyą uważamy za antypodę entuzyazmu i naturalnego zapału zdrowych natur — że uważamy za czyste niepodobieństwo, aby którykolwiek śmiertelnik mógł się utrzymać na wysokości Aniołów, zawsze jednę pieśń śpiewających, albo w męczącej pozie tragicznej bohaterki, która trwa zwykle tylko pięć aktów.

Z tejże przyczyny chcielibyśmy, aby nasza młodzież męzkiego i żeńskiego rodzaju:

1. zamiast egzaltacyi miała wpojone od dzieciństwa uczucie obowiązku, jasne, wyraźne, dokładne, wszechstronne, które to uczucie wykluczałoby potrzebę sentymentalnego rozkołysywania się do wypełnienia dobrych czynów, którym rozkołysywaniem jest rzeczona egzaltacya.

2. aby tę młodzież chroniono starannie od wszelkiej extrawagancyi, za którą kryje się próżność urojonego bohaterstwa i męczeństwa.

3. aby ta młodzież uczyła się wiele, systematycznie i w należytym rygorze trzymana była od starszych, nie na obroku sentymentów, ale na obroku rzeczywistości; aby w ten sposób przeszkodzić wyrostom chorobliwym zarozumienia, idealnego pozowania się w świecie, gdzie było już tyle ludzi zasługi, pracy i cierpienia.

Piękne panie i panienki. [1])

Gdybym był poetą, czytelniczki szanowne, napisałbym do was wiersz pochwalny: będąc prozaikiem, napiszę wam prawdę.

A więc najprzód: że bez wątpienia stoicie najwyżej między kobietami europejskiemi.

Powtóre: że macie najpiękniejsze i najtrudniejsze powołanie.

Potrzecie: że wielkiej liczbie bardzo wiele brakuje.

Nie rozwodząc się nad dwoma pierwszemi punktami, przechodzę do trzeciego, nie tyczącego się naturalnie tylko tej „wielkiej liczby".

Otóż moje szanowne panie i panienki! odbieracie i dajecie najpierw bardzo powierzchowne i zaniedbane wychowanie, wychowanie bez grozy moralnej, i bez głębokich uczuć narodowych.

Panienka dowiaduje się najpierw, że trzeba być piękną, później i z mniejszym naciskiem, że trzeba być dobrą.

Panienka umie pierwej konwersacye pani Boquel, niż poczet królów polskich.

---

[1]) Nr. 78 „Dziennika literac." z dnia 28 Września 1860.

Panienka dowiaduje się o ważności pieniędzy i o pięknych sukniach pierwej, niż o ważności wartości osobistej.

Panienka umie grać pierwej sentymentalne trele Gorii, Herza i Dreyszoka niż piosnkę narodową. Często nawet noskiem na nią krzywi, że stara i oklepana.

Wyszedłszy na pensyą panienka uczy się dużo, ale bez innego celu, jak żeby umiała mówić o tem i owem. Nie uczy się dla siebie.

Dla tego książka, fortepian i paletra po ślubie idą w kąt na zawsze, jako niepotrzebne już kosmetyki toalety.

Panienka, zostawszy panną, w r. 1860, powinna być rozsądną panną, to jest: może być egzaltowaną, sentymentalną, uczoną, ale powinna mieć rozsądek w wyborze męża. Powinna wiedzieć, że mąż ma być bogaty, z pozycyą mężczyzna, któryby pannie nie dozwolił spotkać się z walkami i przykrościami życia.

Mam nieskończenie wierzącą naturę. Wierzę nawet, że się ziemia około słońca obraca, choć się astronomii nie uczyłem, ale nie chciałem wierzyć, żeby panny myślały o pieniądzach.

Tymczasem przekonałem się.

Tak jest: panny myślą o pieniądzach! Panny mają swoje złote marzenia! Prosząc codziennie tatę o nową mantylkę, którą na wystawie u kupca widziały, przekonały się, że mąż przedewszystkiem powinien mieć pieniądze.

Przekonawszy się o tem panny, nie mają cywilnej odwagi pokochać i iść za pana X, który jest uboższy od pana Y. Przekonawszy się o tem, panny przenoszą starego pana B, który dojechał czterma anglikami, nad młodego pana C, który przyjechał zwoma fornalskiemi końmi.

Dla czego?

Wszakże pan C jest młodym, człowiekiem szlachetnym, patryotycznym, chociaż może trochę zapaleńcem. Kiedy, mówi pannie X dziwnie się koło serca robi.

Pan B, przeciwnie jest przeżytym cynikiem wielkiego świata, który zapragnął młodej żony. Patryotą nie był nigdy w życiu.

Ale z panem C trzebaby przestać na małem, i znieść ciekawe spojrzenia lornetujących złośliwych koleżanek.

Z panem B, można patrzeć na świat boży z wysokości pałacowego balkonu.

Dla czegóż jeszcze?

Bo panna X ubrdała sobie, że heroizm i zuchwałość panny polega na rozsądku, o którym jej prawią w domu.

Bo panna X zapomniała, że jedna chwila miłości warta więcej, niż całe życie przepychu.

Bo panna X nie wie, że godność osobista męża, jest jedyną gwarancyą pożytecznego dla powszechności małżeństwa.

Otóż nasza panna poszła za mąż za pana barona B. Opływa w dostatki, ale się nudzi. Nie nudziła by się nawet w tem bolesnem położeniu, gdyby miała wewnętrzny zasób moralny, gdyby umiała żyć dla drugich.

Ale pani baronowa była tylko próżną pięknością, która nie pomyślała o niczem, tylko o sobie.

Literatura i sztuki jej nie obchodzą, bo nie były nigdy jej wewnętrzną potrzebą.

Mogłaby korzystać z bogactwa: n. p. założyć szkółkę, szpital, pomagać krajowi, ale to jej nigdy przez myśl nie przejdzie.

Jeździ za granicę, bawi się, docina sąsiadkom i odcina i rządziochuje po domu.

Napada ją zwykle namiętność: chęć przysporzenia majątku. Widzi potrzeby, chciałaby im zadość uczynić. Robi się skąpą — gospodarną być, nie ma dosyć pracowitości na to.

Nadchodzi wiek starszy: pani coraz zimniejszą i nudniejszą staje się materyalistką. Czasem jej wtedy żal, że nie poszła za pana C.

Ten żal pokazał się ostatniej niedzieli w kościele, kiedy z aksamitnej ławki zlornetowała żonę dawnego swego konkurenta. Owocu tego żalu nie znać, bo córki wychowała, jak ją wychowano, wydała, jak ją wydano.

Otóż macie prawdę o wielu pannach i paniach, szanowne czytelniczki moje.

Kobieta obieżyświat. [1])

Smutny to typ, ta kobieta obieżyświat, bo w samej kognominacyi widać ogromną sprzeczność z przeznaczeniem kobiety. Kobieta powinna siedzieć w domu, być stróżem domowego ogniska, aniołem przyszłego pokolenia, powinna być po śmierci jeszcze

---

[1]) Nr. 72 „Dziennika literac." z dnia 7 Września 1860.

świętością, błogosławiącą głowy swych ukochanych: a kobieta obieżyświat nie zna innego ogniska prócz kasy kolei żelaznych, gdzie się skupiają ludzie bez domu i przyszłości, ludzie pędzący jak *perpetuum mobile* bez celu i odpoczynku.

A przecież jest to typ dosyć u nas zagęszczony, u nas, gdzie ciepło domowe przyjemniejsze niż gdziekolwiek, gdzie postacie cnotliwych prababek tak bliskie wnuków, gdzie każdy kąt domu opowiada serdeczne dzieje smutnych i wesołych lat przeszłości.

Znamy z bliska i z posłuchu tyle kobiet znakomitych domów, którym atmosfera krajowa cięży jak zmora nocna, które nie zagrzeją miejsca w swoich wiejskich domach, lecz jak ptaki wędrowne przybywają w nasze strony, aby wnet w obce kraje ulecieć.

W kraju ziewają, nudzą się, kwaszą siebie i innych: za granicą dopiero odżywają jak exotyczne kwiaty, nabierają blasku i woni, świeżości i wdzięku, nabierają dowcipu, dobroci, zalet serca i umysłu, i zadziwiają niemi cudzoziemców. Znam takie, którym dosyć jest wziąść do wagonu i posłyszeć świat lokomotywy, aby odmłodnieć o lat dziesięć.

Cóż tak pędzi za granicę te nieszczęśliwe tułaczki? Cóż im przeszkadza użyć rozkoszy domowego spokoju, czynnej jednostajności życia, która tyle rozmaitości w sobie zawiera? Cóż je odrywa od najświętszych obowiązków matki, żony i obywatelki, cóż im zamąca pojęcie szczęścia, z wypełnieniem tych obowiązków połączonego?

Jest-że to wysokie wykształcenie i gust wyrafinowany, który im nie pozwala mieszkać w naszym „barbarzyńskim“ kraju?

Jest-że to żądza zbogacenia wrażeniami chciwej wrażeń duszy, podróżomania, pochodząca z egzaltacyi poetycznej?

Jest-że to słabość piersiowa lub nerwowa, która wymaga cieplejszego klimatu?

Odpowiadamy stanowczo: nie! Nie wysokie wykształcenie i nie gust wyrafinowany, bo znam nie jeden egzemplarz kobiety obieżyświata, która była w Rzymie, a nie widziała kolosseum, która była w Wenecyi, a nie ma wyobrażenia o jej przeszłości, która przejeżdżała przez Drezno, a nie miała nigdy czasu widzieć Syxtyńskiej, i Nocy Correggia. Nie jest to podróżomania poetyczna, nie jest koczujący duch Lady Stanhope, bo nasze wojażerki nie poszukują koniecznie imponujących widoków, nie drapią się na góry szwajcarskie i nie szukają pustyń wschodu: przeciwnie, lubią one wygodę i ruch miasta lub zakładu kąpielowego. Niepodobna także podać za przyczynę niepokoje duszy, niezrozumienie jej przez naszych poczciwych pantoflów: bo te potulne umysły pracują przez

całe swoje życie, aby pochwycić w lot każdy grymas i zachcenie swoich magnifik.

Choroby fizyczne zaś z małemi wyjątkami, nie pozwalają terać zdrowia na podróżach, wymagają spokoju, a nie ruchu i hałasu. Widać więc, że choroby pań podróżujących są najczęściej nieskończenie lekkiemi chorobami, skoro pozwalają fatygować się po całej Europie i nie mszczą się na pacyentkach za tę fatygę.

Mamy w kraju zdatnych lekarzy, zbawienne i do wszelkich słabości zastosowane źródła, mamy nad to tych, którzy jako bliscy nam, chętnie nas otaczają swoją opieką troskliwą: dla czegoż nieżyczliwej, płatnej opieki szukać za granicą?

Przyczyną ostateczną, dla czego kobieta obieżyświat w domu siedzieć nie lubi, jest więc nie co innego, jak wstręt do ciągłego i systematycznego wypełniania swoich obowiązków. Ten wstręt owładnął tak dalece jej znarowioną duszę, że niepodobna jej wysiedzieć w domu, gdzie każdy przedmiot wzywa jej opieki i starania.

Dzieci żądają wychowania i pieczołowitości macierzyńskiej, ale ta pieczołowitość wymaga poświęcenia od matki, a matka go nie ma. Zastępuje więc siebie bonami i niańkami, guwernerami i pensyonami, a sama ucieka za granicę. Mąż żąda współdziałania w gospodarstwie domowem, ale do tego współdziałania trzeba chęci pracy, a kobieta obieżyświat jest próżniakiem: więc zaczyna chorować i jedzie za granicę. Podwładni wymagają kierownictwa moralnego, ale chcąc kierować kimś, trzeba mieć moralną dojrzałość: a skoro tej brak, rozprzęga się cały porządek. Od roku do roku stan gospodarstwa i familii się pogorsza: nieład rośnie, pani niecierpliwi się coraz bardziej, zwala winę na męża i kraj, i znowu ucieka za granicę.

Dodajmy do tego, że świat ma długi język, którego za zębami trzymać nie umie, że tłumaczy sobie rozmaicie podróże pani X, że pani A zrobiła jej niegrzeczność, a pani B nie przyjęła jej w swoim domu, że pani X posłyszała koło siebie szept oszczerstwa, a od pana C słowa prawdy: a oto przybyła jedna przyczyna więcej, aby kraj nasz nazwać ojczyzną komerażów i parafiańszczyzny, i z pogardą i gniewem opuścić go jak najprędzej.

Kobieta obieżyświat zwykle złe odebrała wychowanie. Pochodzi ona ze znakomitej i zamożnej familii, która atoli dotkniętą została moralnem rozsprzężeniem tradycyi domowej. Była albo zaniedbaną od rodziców, albo zepsutą: w każdym razie wychowanie, które odebrała, było wychowaniem światowem, próżnem, pełnem blichtru

i szychu, bez wszelkiej grozy moralnej i religijnej. Tańczyła i produkowała się na fortepianie pierwej, nim umiała pacierz i katechizm, paplała po francusku pierwej, nim umiała pisać po polsku, nudziła się i spazmowała pierwej, nim się nauczyła jakiej kobiecej roboty. Mama wcześnie ją wywiozła za granicę. Tam przedziwiali jej piękność Anglicy i Francuzi, Niemcy i Rosyanie! To też kiedy wróciła, zaczęła ładnym noskiem kręcić na szlacheckie koleżanki, które nie były w Karlsbadzie. W czternastu latach kochała się po raz pierwszy panna Eulalia, w pietnastu pozwoliła się kochać młodym i starym, którzy ją podziwiali.

Z pożycia domowego rodziców nie mogła zaczępnąć pojęcia o świętości małżeństwa, bo mama zwykle rozwodziła się nad tragicznością węzłów ślubnych, spazmowała i płakała, a tata kładł uszy po sobie i uciekał do gospodarstwa. Uczucie jej skrzywiło się wcześnie tym względem w domowe stosunki, a jeźli mama ją zrobiła powiernicą swego nieszczęścia, to ojciec naturalnie tracił dziecko na zawsze.

Demon emancypacyi przyczepił się do dziewczęcia, i wygnał na zawsze to naturalne poczucie bierności, które z kobiety czyni szlachetną ale dobrowolną ofiarę. Podróże za granicę powtarzały się co rok: panna zdobyła serce Lorda Worship i Marquisa Videpoche, szalał za nią sentymentalny kuzyn Wethera, a dwóch rosyjskich niedźwiedzi biło się o nią na szpady. Była na balu u księcia Salm-Reifferschied-Krautheim-Stainspach, a przejeżdżający książę Blinkenburg-Augustenburg pokłócił się o nią z dostojną swoją małżonką.

Z tego obcowania z rozmaitemi ludźmi, geniusz próżności, który w kobiecie większe czyni cuda, niż geniusz wynalazków w największym techniku angielskim, geniusz próżności mówię stworzył z niewykształconej, kobiety cudo wdzięku i uroku, czynił ją mądrą, dowcipną, uczoną, dobrą, uczynił ją smętną i pustą, poważną i wesołą na przemian, uczynił ją zwodniczą rusałką, i dał jej potężne berło nad sercami wielbicieli.

Cóż po tych wielkich tryumfach mogło znęcać pannę Eulalię do kraju? Czyż sentymentalny, ale parafiański pan Stanisław miał szyllerowską dykcyę niemieckiego poety Seufzewig, czy Lord Worship i Rosyanin Knutoff nie przewyższali stokroć pana Macieja, wdowca czterdziestoletniego, który wzdychał do panny Eulalli? Czyż którykolwiek z kawalerów prowincyi był tak salenowym jak Marquis legimista, pan Videpoche? Czyż impertynencki werydyk, stary kapitan Szlagowski, nie powiedział pannie Eulalii w żywe oczy, że się zepsuła i rozpuściła na dziadowski bat? Czyż pani

Poczciwska, która całe życie siedzi w domu i pokazuje przywiązanie ciotki do Eulalii, nie powiedziała jej z parafiańskiem westchnieniem: moja kochana Eulalciu! zawrócili ci głowę, tyś widzę już dla nas stracona!

W takim kółku żyć oczywiście nie podobna. Magnes zagraniczny ciągnie duszę, która już nie jest tak czystą, aby wytrzymała wzrok domowych bogów. W miarę jak impertynenckość języków parafiańskich się wzmagała, panna obieżyświat ubierała się w zbroję brawury, i powiadała światu: Mam moje fantazye i kwita.

Co dziwna, to że mało która wywiozła męża z za granicy. Poeta Seufzewig był biedny, jak święty turecki, Marquis Videpoche graczem z Homburga, Lord Worship odpłynął do Egiptu czytać hieroglify, a Rosyanie mieli aktorki, których się pozbyć nie mogli.

Zajął ich miejsce nowy kontyngens ziomków i cudzoziemców, między którymi były czasem osobistości europejskie *pêle-mêle* z awanturnikami całego świata, ale prócz złej reputacyi nic się do domu nie przywoziło. Trzeba było więc postarać się o męża w Polsce, tym bardziej, że interesa zagrażały ruiną.

Małżeństwo to naturalnie było konwencyonalnem. Nie mając pojęcia o przeznaczeniu kobiety, panna obieżyświat musiała wybrać rozsądnie człowieka, który jej się zdawał odpowiednim do dalszego koczowniczego życia. Ten człowiek musiał więc mieć 1mo majątek, 2do rozum gospodarski, 3tio naturę potulną jak baranek.

Znaleźć takiego, nie było trudno doświadczonej pannie. Zostawszy na moment aniołem dobroci, szlachetności, abnegacyi, ubrawszy się w szatę prześladowanej niewinnie cnoty, aby wytępić w konkurencie wszelkie wrażenie złych języków, efektując miłość z talentem aktorki pierwszego rzędu, złapała wkrótce poczciwego pana Wilhelma, człowieka dobrej, ale słabej woli.

Wkrótce po ślubie zaczął się tragi-komiczny dramat systematycznego podboju mężulka. Pan Wilhelm przestraszył się z razu, gdy mu przyjaciele o pantoflu szepnęli, ale pantofel był z razu tak miękki, z tak wybornego aksamitu, że samo jego dotknięcie było rozkoszą.

Piąty akt dramatu skończył się naturalnie zwycięztwem żony. Odegrano go na peronie kolei, słaba pani Eulalia wyjechała za granicę. Chciała ona pokazać go dawnym znajomym, widzieć rozpacz cudzoziemców i zawistne spojrzenia przyjaciółek, chciała go pokazać uszczęśliwionego jej miłością, i była anielskodobrą dla niego. Wilhelm z natury hreczkosiej, widział się skazanym na rolę turysty, i zwie-

dzając urocze okolice Włoch z magnifiką, pod kolumną ruiny rzymskiej marzył o kopach pszenicy, i drżał na wspomnienie kłamliwych rejestrów wiejskiego ekonoma.

Przyszły obowiązki cięższe, obowiązki matki. Smutno powiedzieć, ale prawda prawdą. Obowiązki te nie zdołały zatrzymać koczowniczej pani w kraju: odjechała znowu dla poratowania zdrowia za granicę, tą razą bez męża. Małżeński związek począł ciężyć zepsutej naturze pani, przedstawienia męża zdały się jej nieznośnemi, z potulnej i anielskiej wyszła impetyczna i zuchwała żona, grożąca separacyą jak papież klątwą kościelną.

Straszliwa broń zepsutej duszy, broń fałszywego męczennictwa, skarga urojonego ucisku, uderzyła w głowę poczciwego męża, a pani Eulalia tak wymownie umiała swoje nieszczęście przedstawiać, umiała płakać tak obficie, że mąż w prostocie duszy przeląkł się samego siebie i pobiegł do zwierciadła, aby się dowiedzieć, czy rzeczywiście wygląda na tak srogiego tyrana, niedbałego o szczęście i zdrowie żony, wyżej ceniącego pugilares od życia magnifiki. Znam takich którzy nawet w swoje tyraństwo uwierzyli.

Tymczasem nikł codzień główny kapitał szczęścia: piękność. Pani Eulalia musiała sobie powiedzieć, że już nie jest ową boginią wód mineralnych, przed którą klękały europejskie narody. Podróże jej nie obfitowały więcej w hołdy i awantury romantyczne, tylko dawne znajome jak złowieszcze kruki zlatywały się, krakając:

— Ach jakże pani zmieniona! do niepoznania!

Próbuje ona jeszcze ostatniego kosmetyku swojej toalety, próbuje przywdziać na siebie urok kobiety cierpiącej, kobiety zapoznanej, niezrozumianej, nieszczęśliwej. Ponieważ nikt w kraju w to zapoznanie wierzyć nie chce, więc uciekła znowu za granicę, i tam pozuje się na nieszczęśliwą. Że nią jest w istocie, trudno przeczyć, ale czy na to nie zasłużyła, temu jeszcze trudniej się sprzeciwić. Czy na to nie zasługuje, powie każdy, który zna, jak głęboko egoizm i próżność wkorzeniły się w jej serce, jak obowiązki najświętsze są dla niej obojętnemi, jak w ruinach jej dawnej chwały, wylęga się tylko złość i gniew na świat i ludzi!

Jedną ona ma tylko drogę: religią — ale niestety, religia nie wszczepiona za młodu, nie udaje się zwykle na spróchniałem drzewie.

Kobieta obieżyświat nie jest atoli zwykłą, tuzinkową kobietą. Ma ona rozsądek głęboki, rozum przenikliwy, dowcip gryzący, ma kobiecy, genialny instynkt. Przez swoje podróże przyszła do znakomitych wiadomości. Urok jej wymowy porywa wszystkich, patety-

czność jej postępowania opanowuje i zwycięża prostoduszne umysły. Ma głęboką znajomość ludzi, choć naturalnie cyniczną i pessymistyczną. Ale cóż z tego, kiedy punkt centralny życia kobiecego, serce zepsute i przegniłe? Cóż z tego, kiedy to serce tak skrzywione, że już nawet głosu sumienia w sobie pomieścić nie może? Cóż z tego, kiedy to serce tak dalece nauczyło się wiecznie grać komedyą, że ta komedya stała się jego naturą, że teraz gra komedyą przed samem sobą? Cóż z tego, kiedy to serce wyszło z karbów bojaźni Bożej, a straciwszy granice, stało się jedną otchłanią, której nic napełnić nie może, skoro raz z niego próżność wyleciała? Wszystko, co jest na tej ziemskiej kuli, było tylko wassalem tej miłości własnej, tej wyuzdanej próżności. Owoce wykształcenia, wiedza, talenta, dowcip, błyszczały w jej usłudze, jak zgalonowani lokaje; skoro pani umarła, rozbiegli się i nie wrócili więcej, bo nie byli potrzebą duszy. Dobroć, łagodność, sentymentalizm, ustąpiły złości, gniewliwości, pogardzie, bo nie były w naturze wojażującej damy.

Ale cóż dziwnego, że pomimo tego wojażująca dama wraca co rok za granicę, aby w popiołach dawnych laurów szukać dawno straconego, chwilowego szczęścia. Tam straciła wszystko, tam jej ojczyzna boleści i zawodu!

Dwie generacye.

Poruszam ważną kwestyę, która się toczy odkąd świat stoi, odkąd ludzie żyją i umierają, kwestyą, którą usłyszeć można każdej chwili w starym dworze ojca i w studenckiej izbie syna. Pierwszy mówi:

— Młodym się uczyć i milczeć, a nie wtykać się przedwcześnie w sprawy krajowe.

Drugi mówi:

— Od starych nic się spodziewać nie można, oni spią....

Dotykam kwestyi, która toczy się na pobojowisku umysłowem literatury. Stary literat powiada:

— *Fuimus Troes* — po takiej epoce nie można się spodziewać jak czasu trawienia.

Młody, ognisty pisarz chwyta się za piersi, wrzące zapałem, i mówi:

— Wiele jest jeszcze przyszłości.

Wieczna młodość dana jest tylko bardzo małej liczbie ludzi.

Wieczna męzkość jeszcze rzadziej się trafia na świecie. Wielka masa ludzi przechodzi wcześniej lub później do obozu starych, odgranicza się od obecnej chwili słowem: „my—a wy“ i z roli czynnej przewdziewa rolę spektatora. Są komiczne postacie, które zamykają się w aureoli zasługi po pierwszej bagateli, dla publicznego dobra uczynionej, i na konto tej bagateli, czują się w prawie krytykować wszystko, co się potem działo i dzieje.

Od kilkuset lat powtarzają starzy lament: Nie tak wprzód bywało! lament, który za swej młodości od ojców słyszeli. W Zygmuntowskim wieku przypominano sobie czas pierwszych Jagiellów, w Wazowskim Zygmuntów, w późniejszych powtarzano z tęsknotą za Wazami a dzisiaj nie mało takich, którzy chcą nam przeperswadować, że się w ostatnich chwilach bytu Rzeczypospolitej dobrze działo.

Gdyby tak było doprawdy, to siedzimy już w obecnej chwili w takiej przepaści, że nie ma nadziei, abyśmy się z niej wydobyli. Nasi starzy powiadają też rzeczywiście, że bardzo źle u nas, a chociaż czasem nie mogą zaprzeczyć jakiemuś śladowi postępu, to wynajdą zaraz jakiś równoważący rys swej młodości, bodaj to że młodzież wprzódy lepiej piła i hulała.

Charakterystyczną jest rzeczą, że się bardzo w czas starzejemy. Nie trzeba się temu dziwić. Wśród naszych stosunków, wśród naszego życia bez chwytalnych celów, bez samoistnego bytu, starość przychodzi bardzo łatwo, skoro praktyczność się nas czepi. Obowiązki nasze zapisane są w kodexie moralnej podniosłości, niezieмskim, ascetycznym kodexie: skoro rzeczywistość zasypie nas tumanem drobnych względów i okoliczności, słabieje poczucie obowiązków i konserwatyczna starość napada nas. Sami nie wiemy, jak względy materyalne wpływają na zmianę naszych opinii, na osłabienie naszego hartu, na wsteczność wobec ogólnego ruchu.

Wybrani tylko jaśnieją wiekuistą młodością, wybrani tylko nie zatrzęsą się *si fractus illabatur orbis.*

Walka starych i młodych kilkakroć się już w naszych porozbiorowych powtórzyła dziejach, i odbiła w literaturze. W zastępie czcigodnym, w życiu i literaturze szanownym, ale bojaźliwym, w Towarzystwie przyjaciół nauk gromadzą się ludzie smutnego czoła, zadumanych rysów, ludzie, którzy z ogólnej powodzi chcieli

bodaj pamięć dni dawnych uratować. Piszą więc o historyi polskiej, nucą o chwale minionej, boleją w głębi duszy, ale nie ma w nich najmniejszego zarodu stanowczego czynu. Chwytają się więc z rozkoszą półdobrodziejstw i półnadzieli; korzystają w chwilowej wolności, aby wylać gorący strumień długo tłumionej boleści.

Ksiądz Woronicz maluje sobie w swoim pałacu historyę polską na ścianach i na piecu, w kształcie ruiny wybudowanym, pisze słowa Eneidy: *Fuimus Troes;* Niemcewicz pisze Zygmunta III w niemem uwielbieniu dawnej świetności Rzeczypospolitej; w Puławach gromadzi patryotyczna niewiasta bogaty archeologiczny gabinet. Wszystko to piękne i smutne — ale rozpaczne i bez nadziei.

Generacya nowa pisarzów, wystąpiła wówczas do walki z tym starym elementem. Wypowiedziała ona to, co naród w głębiach boleści swojej wyhodował. Tytaniczna jej potęga zaprawiła się na nowej teoretycznej, literackiej walce, na walce romantyzmu z klasycyzmem, krytycyzmu z dawnym encyklopedyzmem.

Stara generacya przelękła się tego nowego ruchu, nazwała go szaleństwem, zgubną kołowacizną zachodu, wywrotem całego porządku. Oburzano się na Mickiewicza i jego towarzyszy, gniewano na Lelewela i nowy naukowy kierunek. „Kordyan“ młodzieniec walczył ze „starym prezesem“, aż walka owa wystrzeliła w listopadowym czynie.

Po dwudziestu kilku latach objawiły się podobniuteńkie do tamtej walki symtomata. Bohaterowie ówcześni postarzeli się także i odgraniczyli od młodych słowem: my a wy. Gromadzimy znowu archeologiczne pamiątki, piszemy dzieła naukowe o przeszłości, rozprawiamy szeroko o amelyoracyach materyalnych, etc. Kupimy się znowu w towarzystwa naukowe, gospodarcze, spółki etc., widząc w tem alfę i omegę zadań naszych. Zamykamy się przed palącemi kwestyami w forteczkach przeszłości, rozprawiając szeroko o tradycyach przodków, o tem, czemeśmy byli. Ten duch negacyi paraliżuje i usypia. A jeżeli się ktoś głośniej odezwie, wołamy: Pst! pst! i zatykamy sobie uszy oburącz.

Czyliżby dzieje nasze miały być pracą Danaid, daremnem czerpaniem wody w dziurawe sito? Czyliżby się miało powtarzać to, co się raz już działo, bez żadnego postępu!

Musimy powiedzieć po bliższem przyjrzeniu się stosunkom: nie!

Poczucie narodowe u nas ogromny zrobiło postęp, a wraz z niem rozwija się literatura.

Przypomnijmy sobie chwilę porozbiorową. Była to chwila zupełnej, strasznej bierności. Zamknięto się w czterech ścianach

szlacheckich dworów, pozatykano okna i drzwi, aby z światem jak najmniej mieć relacyi. Wielcy znaczeniem i majątkiem z małemi wyjątkami ulegli fałszywemu legitymizmowi, modnemu i wygodnemu zarazem. Nawet szlachta mu miejscami hołdowała, częścią z głupoty, częścią z interesu. Franciszek Karpiński pisał wiersze na cześć Aleksandra, i poświęcił mu swoje rozmowy Platona. Żadnej łączności, żadnego bodaj tylko honorowego oporu. Burda często bardzo niedorzeczna nosiła nazwisko heroizmu, dowcipne usunięcie się od jej skutków, rozumu. Popędy ruchu szły wyłącznie zewnątrz.

Przed laty trzydziestu cóż za stanowcza nastąpiła zmiana? Pierwszy raz występują jawnie czarni i biali, pierwszy raz stanowczo się dzieje rozbrat między przewrotnymi i cnotliwymi. Nie wolno być dwuznacznym, aby się nie nazywać łotrem. Silny ruch umysłowy porusza kwestye żywotne.

W lat szesnaście później sparaliżowano stanowczo ten postęp narodowego rozwoju. Wszystkie symptomata starości, któreśmy wyłuszczyli, mają swoją przyczynę w owych wypadkach. Szala dziejów została wstecz cofniętą, jak powiedział poeta. Tysiące ludzi padło w zwątpienie, tysiące opanował strach paniczny przed wszystkiem, co się radykalnem zdawało. Potworzyły się stronnictwa w samej myśli narodowej, nienawidzące się i przeklinające wzajemnie.

Chwycono się półśrodków, umiłowano zmierzch zamiast światła. Dziwna apatya paraliżowała wszelkie postępowe działanie. Widząc, że zachodnia cywilizacya wrogie nam wnosi żywioły, zapomniano o tem, że je zwalczyć możemy, nie średniowieczną ale nowowieczną bronią.

W gruncie duszy brzmiało nam smutne przeczucie, że nas nie długo na świecie... Takie zdania słyszałem z ust znakomitości krajowych...

Generacya nowych pisarzów występuje z świeżą siłą. Chciałbym, aby pamiętali, że ich wystąpienie powinno w sobie mieć wszelką s i ł ę, zaczerpiętą w przeszłości, kierowaną r o z u m e m, z niej zaczerpniętym.

Na tem polega prawdziwy postęp i dojrzewanie narodu. Generacye młodych dwóch następujących po sobie pokoleń, nie mogą i nie powinny być podobne do siebie: młodzieniec dzisiejszy powinien się wydać mężem przy postaciach młodzieży przeszłej generacyi. Z tej przyczyny świętym obowiązkiem młodego pokolenia pisarzów jest: stanąć na rezultatach doświadczeń narodowych, stanąć na nich

teoretycznie i praktycznie, bo takim tylko sposobem potrafią sobie zdobyć stanowisko godne przeszłości i skuteczne na przyszłość.

Na młodem pokoleniu pisarzów cięży wielka odpowiedzialność przerobienia w krew i czyn tego, co dla niego przeszłość uczyniła. Ma ono za sobą tylu wielkich i świętych ludzi! Dla niego śpiewał Adam, Zygmunt i Juliusz, dla niego myślało tylu potężnych i głębokich duchów. Dla niego są doświadczenia bolesne strasznych chwil narodowych!

Literatura dzisiejsza młodej generacyi powinna sobie przyswoić wszystkie gorzkiem doświadczeniem ojców i dziadów zdobyte prawdy. Pozna ona wtedy, że nie ma cnoty obywatelskiej w fałszywym i nieobrachowanym heroizmie! Od piękności szlachetnego upadku droższa ma być idea nasza!

Nie ma cnoty obywatelskiej w zajadłem stawaniu przy idei jakiejś socyalnej! Od wszelkiej idei droższą ma być idea nasza!

Nie ma cnoty obywatelskiej w bezwiednem uniesieniu i zapale. Grzechem jest wywnętrzanie się o tem, co powinno być chlebem powszednim, powinnością, poczuciem się żołnierskiem na posterunku! Rozteranie się przedwczesne jest występkiem. Nad wszelką krewkością powinna panować idea nasza!

A poznane te prawdy powinny przewodniczyć literaturze i narodowi.

Mądrzy doświadczeniami, idźmy w szermierkę życia. Zachowajmy w duszy święte *palladium* nasze a wszelkiemi siłami rozumu, roztropności, wiedzy, woli, służmy mu bezprzestannie. Zatraćmy naszą indywidualność a patrzmy na to, co jest. Nie wymagajmy raptownie excentrycznej zasady, póki ziemi pod nią nie przygotujemy, nie odcinajmy nikogo od ciała powszechnego, póki jest najmniejsza nadzieja spożytkowania go. Uzbrójmy się w głęboką znajomość ludzi, okoliczności, i strzeżmy się hazardu idei, której służymy. Oto jest święta i wielka nasza powinność.

Nie ma podobno prostszego na świecie wyznania wiary, jak to, które każdy Polak mieć powinien. A przecież tyle jest u nas nienawidzących się stronnictw i to więcej w literaturze niż w życiu. Szukając powodów tej nienawiści, musimy przyznać, że ona często z prostego nieporozumienia powstaje, powstaje z pogmatwanych obustronnie pojęć. Dla tego też Polska jest ojczyzną dysput: *de lana caprina.*

Któż naprzykład wątpić może, że cały ruch umysłowy u nas powinien się kupić koło piekących kwestyj narodowych? że nie

powinniśmy zatapiać się w dzieje przedpotopowe i pisać o krajach podbiegunowych, żyjąc pod 50tym stopniem geograficznym?

A przecież toczyła się o to niedawno walna polemika.

Któż nie uzna, że naszemu ludowi trzeba narodowego wychowania, że obowiązkiem każdego z nas jest patrzeć na lud, jako na uczestnika narodowych losów?

A przecież są tacy, którzy to nazywają demokracyą!

Któż nie uzna, że nam potrzeba jedności celów i zasad, nie nominalnej, tynkującej białe i czarne na jeden kolor, ale jedności, wychodzącej z porozumienia?

I o to była polemika.

Cóż z takiej polemiki wychodzi? Stronnicy obopólni jedności rozpadają coraz bardziej. Smutna doprawdy rzecz, że potrzebujemy katechizmu, z którego byśmy mogli się nauczyć głównych prawd narodowych, mających kierować życiem i literaturą.

Czyliżby nie miało być sposobu obustronnego porozumienia się?

Chcąc dwie bryły stereometryczne przystawić do siebie, niepodobna wciskać jednę w drugą ostremi ich kantami, ale trzeba spilować je i utworzyć płaszczyznę, którą by do siebie przystały.

Tą płaszczyzną w głębi ukrytą, powinna być idea narodowa. Dla niej powinniśmy uczynić koncesye ze wszystkich choćby nam najmilszych myśli stronniczych.

Pamiętajmy, że nie wolno nam nikogo odpychać od czynnego uczestnictwa w pracach dla tej idei.

Pamiętajmy, że nie wolno nam nic przenieść nad ideę. Pamiętajmy, że ta idea jest ołtarzem, zlanym krwią stuleci, krwią świętą, że zatem należy przystępować do niej po komunii zgody i przebaczenia!

Pamiętajmy, że każda opinia, uporczywie i przez przekorę jedynie broniona, jest grzechem w obec idei!...

Pamiętajmy, że każde podsycenie w bracie naszym przesądu i wsteczności, jest występkiem wobec idei!

Pamiętajmy, że każde utracenie choćby jednej duszy powołanej, przez namiętność, prywatę, stronniczość, jest zbrodnią przeciw idei....

Zakończenie. [1])

Fool, ef thyself speak well, fool, do not flatter.
Shakspeare.

Zamykamy naszą galeryę portretów. Wiele mniej brakuje, wiele by się dodać godziło. Ale zostawiamy to późniejszemu czasowi, zwłaszcza że Fotografia i tak nam chleb odbiera.

I oto dopisując ostatnich kart naszej teki portretów, wzrok nasz goni po szerokiej fali naszego społeczeństwa, pełny obawy i troski, ale nie bez błysków pewnej otuchy wewnętrznej. Wzrok nasz sięga po za granice naszego kraju, i stawia naszą społeczność wobec chwili dziejowej.

Wielka to chwila zaiste, jakiej dawno nie było na świecie. Ideje urodzone w boleściach kilkuwiecznych uciśnionej ludzkości, przeczucia i marzenia, które przez tyle lat męczarni krzepiły wytrwałych w walce, jak perły widome schodzą same w ręce narodów.

Czarodziejska potęga tych idei, gruchocze potęgą tytańską wszystko co stare, zużyte i zbeszczeszczone, zdziera maskę hipokryzyi z faryzeuszów świata, wciska się jako niepowstrzymana siła rozkładu w automata mechaniczne, udające żyjący organizm.

Czarodziejska ta potęga stwarza z nicości bohaterów, paraliżując rycerzy przeciwnego obozu. Jak słońce skwarnego lata, szybuje ona na zenity niebios, by rozświecić wszystko, aby pokazać, w czem jest śmierć lub życie.

Wobec niej, wielowładnej córy niebios, nie utrzyma się żaden fałsz i żadna obłuda, żaden egoizm i żadna siła brutalska, wobec niej padają na twarze ci nawet, co przed chwilą zamykali ją w więzieniach i ciemnościach. Wspaniały dzwon opinii publicznej, dźwięczy tryumfalnym hymnem od krańca do krańca Europy, a na głos jego drżą synowie samowoli i swawoli. Czego najśmielszy umysł nie marzył, to się zbliża i urzeczywistnia. Burz jeszcze może być wiele: ale słońce idei nowej żadnym się nie da przykryć całunem.

---

[1]) Artykuł ten zamykał seryę Portretów w „Dzienniku lit." z dnia 18 Grudnia 1860 r., nie ma go zaś we wydaniu portretów zbiorowem.

Wobec tej chwili dziejowej, my Polacy stoimy zdziwieni i odurzeni, strupieszali długą boleścią, słabi od systematycznego ciśnienia. Rozglądając się w stosunkach naszych, ruch świata wydaje się nam jak oddalone brzęczenie pszczół, nadlatujące gdzieś od krain światła i ciepła.

Toż w gruncie duszy smutni jesteśmy i boleśni, niby ów „ostatni", którego zapomnieli bracia w lodach sybirskich.

Dziwneż bo przeszliśmy koleje. Świat sądzący porywczo, nie zdoła ich wyrozumieć i pojąć. Świat gotów nas potępić przedwcześnie.

W gorączce rozpustnej ośmnastego wieku, w przedchwili rewolucyi, postradaliśmy byt nasz samoistny, i słyszeliśmy zewsząd słowa klątwy: Anarchiści to i arystokraci, feodalni rycerze ciemięzcy, upadają jak upadnie wszystko, co trąci barbarzyństwem wieków średnich.

I znowu: Demokraci to i jakobini, gotowi zostać północną Francyą rewolucyjną, zniszczmy ich, aby od nich nie pozapalały się domy nasze.

I upadłszy uwierzyliśmy nowej idei — poszliśmy bić się za nią w legionach, i nad Berezyną, ale człowiek, co ideę nosił w łonie swojem, powiedział żeśmy niedorośli jeszcze.

Wtedy czyniliśmy wszystko, aby dorość i zmężnieć. I biliśmy się na polach Grochowa i Ostrołęki, ale świat opuścił nas. Bracia nasi poszli uczyć się jego mądrości na zachodzie, aż ta mądrość wystrzeliła szaleństwem. Idea zwróciła się na nas i powiedziała nam znowu: Jesteście arystokraci i ciemięzcy, i zginiecie z wiekami średniemi.

Wtedy duch nasz opuścił skrzydła i chwyciły się nas myśli stare, wsteczne, któremi rozważyliśmy własną dolę i dolę świata.

Jedni z nas rzekli: Idea nasza przeciwną jest ruchowi świata, dla tego zginiemy i pomrzemy z wszystkiem starem na świecie.

Drudzy rzekli: Idea nasza jest kamieniem, o który świat uderzać będzie tak długo, aż się jej sam chwyci dla spokoju swego. Czekajmy i milczmy.

Inni jeszcze rzekli: Idea nasza jest ideą sprawiedliwości Bożej. Bóg ją podejmie, gdy przyjdzie królestwo Boże. Módlmy się i czekajmy.

Wśród tysiąca względów i roztropnych uwag, które nas opadły, wśród licznych skrupułów i obaw, którym podaliśmy na pastwę serca nasze, wśród strachu przed demokracyą i postępem zarówno jak przed wstecznością moralną i materyalną, hart nasz

osłabł i znikczemniał, rozpadliśmy się jak posągi strącone z wysokości, a myśl nasza podstawna, myśl nasza święta, zbladła jak płomień z lampy, której olej rozlał się na wszystkie strony. Toż chwyciliśmy się półśrodków i półzbawień, ubóstwialiśmy półczyny i półmyśli, i zakochaliśmy się w dobrych chęciach. I rzucaliśmy się jak spazmatyczna kobieta na każdy dźwięk głośniejszy, przyzwyczaiwszy się do szeptu admiracyi wzajemnej.

Omijaliśmy starannie wszelkie stanowcze kwestye i wszelkie silniejsze wystąpienie, i ukochaliśmy oppozycyą, oppozycyą milczenia, choćby nam ciosano kołki na głowie. Nabraliśmy giętkości trzciny i wiotkości wierzby, i obracając się od jednego do drugiego obozu europejskiej opinii, szeptaliśmy: my jesteśmy konserwatyni — my jesteśmy radykalni — my jesteśmy ultramontanie.

Wrażenia świata działały na nas słabiuchno, jak na omdlałego, lub pogrążonego w letargu. Postawiliśmy ołtarze półzasługom i ćwierćcnotom, a w wiadrze bezbarwności chcieliśmy topić krwią okupione prawdy i doświadczenia narodu, aby tylko przyjść do chwały ludzi spokojnych i łagodnych. Rozczulaliśmy się przy toastach na obiadach składkowych nad staropolskością przemówień, a gdy nie było co innego, to kulig karnawałowy braliśmy za śmiały objaw narodowego żywota.

Te symptomata mieliśmy sposobność rozwinąć w Portretach.

Podczas gdy *Roi faineant* spał, lub swoje wsteczne zrzędy wygłaszał, *pan finansista* robił pieniądze, nie dbając o resztę. „*Wichrowaty*“ szamotał się z wielkiemi myślami osobistej dumy, a *dekorowany* zarabiał na nowe zaszczyty.

Chmara półpanków urangutanów, małpowała ruchy kremy społecznej, „*jeunesse dorée*“ kręciła nosem na wszystko, i zamykała się w kółku swojem. „*Mąż zaufania*“ deklamował szlachcie oracye, w których dla dowcipu prawdę poświęcał, a „*wiejski polityk*“ brnął w swoje odwieczne błędy społeczne. „*Postępowiec*“ ubóstwiał materyalizm z „*szlachcicem robiącym pieniądze*“. „*Upadający*“ nadstawiał ostatkami polskiego rezonu. „*Tartuffe*“ uważnie stojący na boku, trzymał w ręku bussolę i kierował się podług wiatru z demagoga na katolika, z katolika na ekonomistę. „*Uczony*“ zatapiał się w przedpotopowych dziejach, aby się z nowszemi nie spotkać, „*niedouczeni*“ mówili *de omnibus rebus et quibusdam aliis*. Dobre chęci i tolerancya utworzyła hurmę *literatów młodych*. A samiż *młodzi* niestety, zgangrenowani materyalizmem, wychodzili na „kawalerów *comme il faut!*

Idea „szlachectwa“ upadła pod naciskiem arystokracyi paletota, powozu i sukni jedwabnej, upadła przed wyścigami panów, półpanków i dorobkiewiczów.

„*Lekkie duchy*“ rozmarnowały powagę, „*słabe*“ potęgę narodowej myśli. *Rycerze mgły* rozpuścili ją w gaz i rzucili wiatrom na ofiarę. Nieliczni *gorący* zgorzknieli i dostali żółtaczki, a hurma *słabych* pędziła za niemi z krzykiem: Wściekli! wściekli! pokąsają nas demokratycznemi zębami!

Najnowszy czas potężną siłą rozbudzającą, popchnął w ruch tę massę różnorodnych żywiołów. Kilka wypadków krzyczących obudziło opinią publiczną i zgodzono się powszechnie, że przeszedł czas „ciepłej wody“. Wielkie kwestye świata obudziły ruch zaskrzepłej myśli, myśli która bluszczem obwijała się o przeszłość, i rachowała skrzętnie skorupy starych popielic.

Postanowiono krzątać się około powszechnego dobra, i u ołtarza jego zgromadzić rozstrzelone siły.

W samym zawiązku tego przedsięwzięcia, które miało zatrzeć niejedną plamkę z czasów „ciepłej wody“ i cytrynowym sokiem wywabić niejednego arendarza, na niewłaściwym osadzonego papierze, objawił się atoli rozłam stanowczy, który przestraszył spazmatycznych ludzi naszej epoki.

Chorujący na żółtaczkę przez długi przeciąg panowania „ciepłej wody“ postanowili powiedzieć wszystko, co mają na wątrobie.

Ludzie łagodnego lica i obyczajów, którzy przez kilkanaście lat pracowali nad zatarciem swej drażliwości, pierwszy raz srogim zapłonęli gniewem i rzucili klątwę na żółciowych i gorących, rzucili ją w imieniu jedności absolutnej, abstrakcyjnej, jak logika Heglowska [1]).

Chór liczny zawtórował tej klątwie. Nie badając zasad i dążeń przeciwników, rzucono się na gorących z zapalczywością prawdziwie radykalną. Cokolwiek powiedzieli, było odtąd złem i przewrotnem, bo pachło demokracyą.

Równocześnie wielcy panowie szybując naprzód w ogólnym ruchu i sięgając po berło naczelnictwa, powtórzyli alarmowe słowo. Każdy mimowoli obraca się po za siebie i patrzy, zkąd idzie grożący nieprzyjaciel. Panslawista'ż to, pragnący roztopienia narodu

---

[1]) Autor w portrecie: „Gorące duchy“ — odznaczył dobitnie swoje stanowisko do gorących. (Pr. Aut.)

w carstwie, cywilizator zachodni, żądający niwellacyi kosmopolitycznej, czy radykał w guście Robespierra, mówiący o gillotynie i szubienicy?

Gdzież tam? O tem wszystkiem mowy nie ma. Nikt się nie rzuca na własność niczyją, nikt nie chce obalać społecznego porządku. Chęci są wspólne, idea narodowa taż sama.

O cóż więc ta wielka „*disputatio de lana caprina?*“ O cóż te zabiegi gorące, aby walczyć jak Donkiszot z młynami? O cóż te polemiki, które nie wychodząc z różności zasad, muszą naturalnie schodzić na osobistości?

Długo zastanawiałem się się nad temi kwestyami, nad gorącością obustronną, której nie podzielałem, nad wykroczeniami obopólnemi, nad któremi cierpiałem. Zastanowienie się moje przyprowadziło mnie wreszcie do odkrycia przyczyny i do dokładnego oznaczenia stanowiska, które mimo krzyków i alarmów gorący zająć powinni.

Czujemy wszyscy potrzebę ruchawszego życia, czujemy potrzebę przełamania dotychczasowej letargii, która nas w żelaznych trzymała ramionach. Ale jak to zwykle bywa, w chwili przebudzenia, jedni ziewają, drudzy przecierają sobie oczy, trzeci tulą się jeszcze do wygodnej poduszki, leniąc się do pracy i czynnego życia.

W epokę rozbudzenia wnieśliśmy liczne przywyczki stanu apatyi moralnej. Chcielibyśmy wszystko uskuteczniać powoli i dylacyjną procedurą a wśród rwących wypadków ukochaliśmy półśrodki i półczyny, z któremiśmy się spać pokładli.

Ztąd owe dążenia do zacierania wszelkich jaskrawszych kolorów, ztąd owa niwellacya zasad wobec abstrakcyjnej jedności, ztąd ów konserwatyzm wsteczności wobec potrzeby postępu. Ztąd owo absorbowanie najlepszych sił i sentymentów na jakieś półpatryotyczne cele, podczas gdy najważniejsze kwestye zostają w zaniedbaniu. Ztąd ta obawa przed energią i stanowczością, która nam szkodzi pod każdym względem, nawet wobec nieprzyjaciół. Ztąd wreszcie ta pobłażliwość i stępienie na grzechy, do Boga o pomstę wołające, na lenistwo i egoizm, na tchórzostwo i nikczemność.

Ztąd w obozie gorących ta irytacya i gniew — powiększający rozłam między oboma obozami.

Wobec takiego stanu rzeczy wyjaśnia się wielkie i święte posłannictwo gorących. Mówcie na nich i narzekajcie, alarmujcie świat cały i szańcujcie się, ale słuchajcie tej prawdy, którą wam podawają!

Krzyczcie, że to demogogi i radykały, ale dozwólcie, aby oni szli koło was jak główna jarząca i przypominali wam to, co powinno być najbliższem myślom i czynom waszym.

Potępcie gorących i wyklnijcie, aby dogodzić miłości własnej, ale pokażcie po sobie, że niedaremno uderzali w serca wasze tem, co powinno wiecznym sztyletem tkwić w łonie waszem i być wam Dejaniry palącą koszulą!

Nie! nie! póki wam sił stanie! nie przestaniemy wołać, że wam wiele, wiele brakuje, bracia i współrodacy nasi. Nie przestaniemy, bo nam przed oczyma świeci ideał narodu, któremu Bóg dał najwięcej na ziemi, bo mu dał wawrzyn bohaterów i palmę męczenników.

Bo nam świeci ideał narodu, któremu Bóg pisał w sercu najświętsze prawdy i wiódł go na pasku krwawych doświadczeń.

Bo nam świeci ideał narodu, który stanął na całej przeszłości, na mogiłach pełnych kości, i strumieniach, pełnych krwi i łez; narodu, który poświęcał się lat tyle, narodu, który niebo samo zmusza do oddania mu sprawiedliwości.

Dla tego nie przestaniemy rozdrapywać ran waszych przyschniętych, nie przestaniemy powtarzać, czemśmy byli, czego Bóg i przeszłość po nas żąda, czego się świat po nas spodziewa.

Nie przestaniemy mówić nam: To za mało! niegdyś dawano więcej! Nie przestaniemy grzmieć wam w uszy lutnią o jednym tonie, bo jeden tylko ton powinien być na lutni naszej.

I dla tego powiadamy wielkim: Wygnajcie myśl o sobie a muzgów waszych, wygnajcie miłość własną z serca waszego, a zapatrzeni w lico narodu, roztopcie się w jego usłudze, a on wam wynagrodzi. A jedną ręką wskazując im dawnych karmazynów, drugą rzućmy im w oczy prochem Szczęsnych i orderami dekorowanych.

I dla tego powiadamy szlachcie: Zbudźcie się z snu fałszywej arystokracyi, opuśćcie bezmyślną powolność i bezmyślną kłótliwość, na którą chorujecie. Rzućcie półśrodki i półczyny, zrzeczcie się pochlebstw i samołówek, a otwórzcie ramiona każdemu, co ukochał ideę waszą i ojców waszych.

I dla tego powiadamy każdemu rodakowi: Ukochaj nadewszystko ideę naszą, a walcz za nią pomimo trudów i prześladowań od swoich i obcych. I nie buduj sobie stronnictwa, ani klubu, ale bądź rybakiem ludzi w narodzie twoim.

A całemu społeczeństwu nie przestaniemy powtarzać i dzwonić: Brakuje wam łączności i spójności, brakuje ślepego posłuszeń-

stwa i karności dla rozkazów ducha narodowego. Jesteście jako rozstrzelone owce, a głos natchnienia narodowego nie faluje w was jednostajnym prądem, bo nie tworzycie łańcucha. I dla tego ślizga się między wami głupstwo i lenistwo, pełza nikczemność i podłość, dla tego juryzdykcya opinii nie ma u was wykonawczego ramienia.

Pragniecie jedności i zgody i za sposób osiągnienia jej podajecie tolerancyą, a nie pomnicie, że między lwami i lisami, między orłami i sowami jedności i zgody być nie może. Pragniecie pracy patryotycznej, a nie pomnicie, że bez przymusu opinii publicznej, nie można żadnego większego przewieść przedsięwzięcia. Zamknięci w domatorstwie opinii i widzimisiów, zapominacie, że tylko z starcia się z sąsiadami wypływa opinia powszechna, zapominacie, że słowo prawdy i dobrej woli jest płomieniem, stającym się przekleństwem piersi, która go zachowa i nie udzieli drugim.

Boicie się szaleństw i wybryków, a rozstrzeleni nie macie tyle siły, aby je stłumić w zarodzie, i naród od kompromitacyi uchować. A gdy godność narodowa wymagać będzie silnego wytrwania na stanowisku, nie pomnicie, że przy rozstrzelaniu waszem będziecie jak w rogu, opuszczeni i samotni.

Na ospałych i bezpiecznych może wtedy przyjść chwila stanowcza, a wy nie poznacie jej i nie zrozumiecie!

Umocnijcie i rozszerzcie władzę królowej 19go wieku, opinii publicznej, opartej na narodowych zasadach. Jej miecz potężny niech rozdzieli dzielnych od słabych, poczciwych od nikczemnych, stopnie jej tronu niech się roją ludźmi, pnącemi się do góry w wielkiem i szczytnem współzawodnictwie!

Przed twarzą jej jasną jak słońce niech upadają nikczemni a weselą się godni i zasłużeni.

Wobec jej wszechwładnego tronu, podajcie sobie ręce: panowie, szlachto i nie szlachto!

Wobec jej wszechwładnego tronu, złóżcie zawiści i niezawiści wasze, połączeni pod sztandarem publicznego dobra!

Wtedy gorący i żółciowi złożą ręce w modlitwie, upadną na kolana i wyrzekną: Chwała Bogu! a wam — wam nie powiedzą nic więcej.

DODATEK.

JESZCZE KILKA PORTRETÓW.

Gdym przeszłego roku pierwsze moje Portrety w świat puścił, znajdowaliśmy się w chwili, w której żywioły nasze społeczne przekrążał prąd nowego życia, w której atoli te żywioły nie wystąpiły jeszcze otwarcie i wyraźnie na widownią publiczną. Oryginały moich Portretów poczęły już wprawdzie budzić się ze snu zamkniętego w sobie indywidualizmu, ale nie spojrzały sobie jeszcze oko w oko, nie wystąpiły w spólnem dla idei działaniu.

Ale wypadki zewnętrzne i wewnętrzne pospieszyły z gwałtownością grzmotu, przelatującego z hukiem szerokie sklepienia niebios. W kilku miesiącach zmieniło się tyle, tyle weszło w życie, że z boleścią czysto autorską musiałem przyznać preskrypcyą wielu zdań, narzekań i oskarżeń moich, wypowiedzianych w Portretach. Z radością zaś także czysto autorską sprawdziłem podobieństwa między niemi i zbiorowemi oryginałami a z obywatelską pociechą w duszy ujrzałem, że kilka podstawnych zdań moich przeszło ogniową próbę doświadczenia.

To mnie skłoniło do wydania osobnego: Portretów. Chwila zaś dzisiejsza, chwila tak dla nas ważna, przymusza mnie dorzucić kilka uwag, kilka rysów powtórzyć i rozszerzyć kilka zdań zasadniczych, którebym rad wyryć w piersi każdego. Jeżeli one nie będą portretami w ścisłem tego słowa znaczeniu, nie moja w tem wina, dzisiaj tacy wszyscy ruchawi, że nikt nie chce usiedzieć do malowania.

W Marcu 1861.

Jedność i stronnictwa. [1])

Nie ma podobno ogólniejszego pośród nas głosu, powszechniejszego życzenia, jak głos wzywający jedności. Przelęknieni przykładami dawnej niezgody, sterroryzowani różnością zdań i opinii obecnych wołamy jedności! wołamy jej w niebogłosy, bojąc się, aby nam chwila obecna nie uciekła przed straszydłami dawnego wewnętrznego niepokoju.

Dusza narodu, na klęczkach przed Panem modli się o jedność każdej chwili. Modli się o nią i mówi o niej każde stronnictwo, każden odcień opinii krajowej. Wszyscy występują w jej imieniu, wszyscy adwokatują jej sprawie, wszyscy zasłaniają się jej dewizą. Niestety! nie wszyscy ją rozumieją. Największa część ludzi między nami bierze jedność za jednomyślność, a przez to właśnie szerzy niezgodę i rozłam.

Powiedzieliśmy już na innem miejscu o wybujałości indywidualizmu naszego. Wybujałość to sprawia, że uchwyciwszy się zdań i opinii pewnych z niesłychaną miłością własną, trzymamy się ich jako punktu honoru, nieprzypuszczając, aby inna droga prócz naszej do nieba prowadziła. Dobrze to bardzo, gdy o przeciwstawienie się obcemu żywiołowi chodzi, ale bardzo źle w stosunku z swojskim wewnętrznym żywiołem. Siedząc ciągle w dramatycznym monologu nie możemy nigdy przyjść do właściwego dramatu obywatelskiego życia, do dyalogu, do dyskusyi, do spojrzenia drugiemu zdaniu oko w oko, do zgłębienia i zmierzenia tego zdania. To sprawia, że się ludzie rozchodzą, którzy by się porozumieć i spólnie działać mogli, że się rozchodzą z uprzedzeniami ku sobie, narzekając obustronnie na brak jedności dla tego, że jej istoty nie zrozumieli, że ją wzięli na jednomyślność. Rozchodzą się pojmując tylko jedyną jedność, przystanie bezwzględne wszystkich na zdanie swoje osobiste.

---

[1]) Nr. 23, 24, 25. „Dziennika literac." z dnia 19. 22. 26. Marca 1861.

Jest-to wielki i bolesny brak społeczeństwa naszego. Brak ten czyni, że najlepsze siły narodowe istnieją obok siebie, bez spójni, bez porozumienia się, tylko dla tego, że żadna strona nie chce uczynić koncesyi drugiej, żadna nie chce wdać się w właściwą dyskusyą, stawiając siebie jako axiomat. Mieliśmy niedawno przykład, że program pisma, które miało pretensye zabsorbowania wszystkich sił krajowych, program, którego myśli podstawne mogły się zgodzić z myślami każdego dobrze myślącego, że program ten mówię doznał jak najgorszego przyjęcia, tylko dla tego, że chciał być sztandarem i prowadzicielem, nieuwzględniając pracy i myśli poprzedników, że się rzucił z niesłychaną zarozumiałością na czoło prowincyi, jak gdyby pierwszy był te myśli wynalazł, że zresztą pominął milczeniem wszystkie inne myśli, jak gdyby były niegodnemi wspomnienia. Nauka, którą to pismo do kieszeni schowało, powinna być nauką dla nas wszystkich, powinniśmy sobie zapisać na białej karcie obywatelskiego sumienia: że najprostszą drogą do jedności jest miłość ku braciom, porozumienie się, podjęcie i roztrząśnienie łagodne i tolerancki e każdej myśli, uwzględnienie każdego dążenia uczciwego, bo taka tylko droga nie obraża idei naszej narodowej, idei wolności.

Gdzie tylko ludzie myśleli nad społecznym porządkiem, tam musiały być stronnictwa. Jedność wystąpienia na zewnątrz, nie sprzeciwia się istnieniu stronnictw wewnątrz, bo stronnictwa narodowe są tylko słupami przeciwstającemi w gotyckim tumie narodowym, które się wiążą w górze, w sklepieniu tego tumu, wiążą się spólną myślą ogólnego dobra.

Stronnictwa są wypływem natury rzeczy, położenia i przeszłości narodu, położenia i przeszłości pojedyńczych warstw społecznych. Ich wzajemny stosunek do siebie daje ruch życiu wewnętrznemu, utrzymuje jego barwność i świeżość, jego dobroczynną płodność myśli i czynów narodowych.

W jednym tylko przypadku mogą stronnictwa stać się niebezpiecznemi, a to jest: jeżeli nie szanują przywileju, prawa, na którem powstały, prawa wolnego objawu myśli i dążeń swoich, jeżeli uzurpują go dla siebie odmawiają go drugim, jeżeli po za sobą nie chcą przypuścić nic, co ma dobrą wolę i chęci dobre. Nieszanując innych zasad i stronnictw, stają się wtedy wichrzycie-

jami i burzycielami, terrorystami i uzurpatorami, bo amalgamują naród w sobie, zamiast poczuwać siebie w wielkiem ciele narodowem.

Jest-to prawda, którą nigdy zadosyć często powtórzyć niemożna. Jest-to prawda, która sama jedna może nam zapewnić spokojność wewnętrzną, której zaniedbanie było wieczną chorobą naszego polskiego społeczeństwa. Jest-to prawda, trafiająca zarówno demagogią jak i oligarchią, słowem każde dążenie, które wrzodowacieje na ciele narodowem na niekorzyść jego zdrowia i życia.

Najfałszywszym środkiem jedności jest negacya stronnictw. Nikt temu wierzyć nie może, a najmniej ten, który o tej negacyi mówi. To negowanie atoli stało się u nas modą. Powtarzamy bezprzestannie czułe frazesa o jednem narodowem stronnictwie, ale zaledwieśmy je wypowiedzieli, dodajemy coś z naszego własnego własnego wyznania wiary. Negacya stronnictw jest to zdmuchanie dwóch świec palących w celu, aby się równo paliły. Zgasną i ciemność nastąpi.

Również fałszywym środkiem jest ukrywania swoich zasad po za parawanem narodowego stronnictwa, elastyczne ich wypowiadanie z zachowaniem myśli podstawnej. Jest-to rodzaj krzywoprzysięztwa przed opinią publiczną, bo to jest przysięga z ukryciem jakiegoś „*reservatum*“ osobistego. Jawność i wolność są to owe cudowne słowa, które przeszkadzają wszelkiej szkodliwości stronnictw, które pozwalają porozumieć się obopólnie najsprzeczniejszym zdaniom, skoro tego żąda dobro powszechne, które wyganiają raz na zawsze wszelkie ciemne strachy podejrzliwości i kalumniowania obustronnego i zdzierają maski z twarzy, aby nie domina, ale ludzie w szranki publicznego życia wystąpili.

Dotąd, niestety, nie widzieliśmy tej jawności i sformułowania stronnictw. Przypisalibyśmy to chętnie małym różnicom zdań u nas w kraju, poczytalibyśmy na karb zgody, gdyby nas każda chwila nie przekonywała o innej przyczynie. U nas jedni oscyllują wiecznie pomiędzy zasadami i dla tego nie mają żadnej wyłącznej barwy, żadnego sformułowanego wyznania wiary, drudzy mają sobie za pierwszy warunek mądrości, aby swoich zasad jawnie nie wypowie-

dzieć. Wszedłszy na zgromadzenie jakieś obywatelskie, możnaby roztopić się z radości słysząc, jak wszyscy jednego są zdania, jak występują w świętalnej sukni najpopularniejszych frazesów, tak, że niepodobna o co zaczepić, sprzeciwić się czemu. Ale trzeba znać zakulisowe myśli i dążenia: wtenczas wartość tych blag i frazesów ginie, spada do zera, bo się pokazuje, że one ukrywają jeźli nie walkę zasad, to walkę osobistości. Napoleon III, zrobiwszy ludzkości nie mało dobrodziejstw, wyrządził jej jedno wielkie zle, a szczególniej nam: zbudził albowiem tysiące malutkich Napoleonków, bawiących się w politykę tajemniczą, ważącą słówka, palącą oracye przykrojone do chwili, kokietujące sentymentami i szmermelami, na którą łapią się wróble dobroduszne, parafiańskie kwiczoły, a często i większe ptactwo. Miałbym wszelką przyczynę, politykę podobną nazwać niesumiennością i grzechem, tumanieniem i bałamuceniem, bo ona nie rozwija ale oślepia ludzi, nie kształci ale przytępia zmysł polityczny, nie robi obywatelów ale służalców. Ale wstrzymuję się od tego i wolę ją raczej demaskować jak sądzić. Powtarzam tylko, że obowiązkiem każdego dobrego i rozumnego obywatela jest stanąć jako zamknięta, sformułowana, pewna siebie indywidualność w oczy każdemu, co w bawełnę słów stereotypowych obwija jakąś swoją politykę. Boć to jest jedyny sposób przeszkodzenia, aby koleje życia narodowego nie dostały się w ręce niewłaściwe. Obowiązkiem jest żądać od każdego jawności i wyraźności zasad, a jeźli tej jawności wymódz nie można, uważać go za człowieka, którego każdy krok pilnego wymaga baczenia.

Trudną niepomału jest rzeczą oznaczyć i sformułować stronnictwa nasze krajowe, trudną dla tego właśnie, że one się same nie lubią formułować, ukochawszy frazes o jedynym narodowym stronnictwie. Jest-to frazes tem większy, że stronnictwa narodowego być nie może, jest tylko naród i jego przeciwnicy. Pomimo tego nie miniemy się, ile nam się zdaje, z prawdą, gdy oznaczymy w wielkiem ciele narodowem dwa główne prądy skrajne i jeden — pośredni — drgający między skrajnemi, zasilający je, ale stanowczo do żadnego nienależący.

Te skrajne stronnictwa mają swoje głębokie motywy historyczne, bo powstały z odwiecznego dualizmu polskiej natury, z dążenia arystokratycznego zamknięcia się z jednej a demokratycznego zniwelowania z drugiej strony. Z tych jedno tj. demokratyczne, wy-

powiada wyraźnie swoje zasady, bo ono stoi i zmacnia się jawnością i wolnością zdania, ruchem naprzód, obsorbacyą indywiduów pod standar swój jawnie wywieszony, drugie utrzymuje się i prosperuje właśnie negacyą jawności, negacyą widoczności, utrzymuje się przynęcaniem i powolnem wtajemniczaniem w swoje myśli. Demokratyczne stronnictwo werbuje do szerokiego obozu, przeciwne do świątyni z licznemi przysionkami i zaułkami, prowadzącemi katechumena do utajonego sanctissimum.

Dalecy jesteśmy od zdania tych, którzy dyskredytują jedno lub drugie z tych stronnictw zarzutami osobistości i prywatnych ambicyi i nienawiści. Szanujemy zanadto naród nasz, abyśmy mogli przypuścić, że dążenia osobiste jakąkolwiek mogłyby uzyskać popularność. Nie! my przypisujemy skrajnemu stronnictwu arystokratycznemu (chociaż tę nazwę za najzupełniej fałszywą uważamy), przypisujemy mu przyszłość w dziejach naszych i widzimy się tylko, że nie ma dosyć odwagi, dosyć wiary w sobie samem, aby wystąpić jawnie i wyraźnie, a przez tę wyraźność stać się korzystnem, bo budzącem ruch umysłów, zamiast je niepokoić. Wystąpienie takie wybawiło by naród od dzisiejszej Donkiszotady walczenia z fantomami, od podejrzywania i kryminowania, tak pospolitego w zakulisowem naszem życiu pomimo wszystkich pięknych frazesów.

Gdyby nam przyszło szukać genezy wspomnianego stronnictwa, musielibyśmy daleko zajść w historyą, może w Zygmuntowskie gdzieś czasy. W dziejach naszych widzimy od najdawniejszych czasów istnienia wolnej rzeczypospolitej ruch między możnymi, wywołany strachem przed gminowładztwem szlacheckiem, widzimy prawie tęż samą politykę, którą dzisiaj widzimy. Jest to polityka owładnięcia demokracyi szlacheckiej, czy to przez oligarchią możnowładzczą, czy przez pojedyńcze domy możnowładzcze, polityka mająca na ustach braterstwo dla szlachty, zasilająca się tem braterstwem, a w gruncie duszy chęć owładnięcia żywiołu wolnej szlachty.

Niebezpieczeństwa demokracyi szlacheckiej dają tej polityce uprawnienie. Siła tego uprawnienia niknie zaś, skoro te dążenia przyczyniają się do coraz większego rozkładu społecznego, skoro wyzyskują wolność dla celów prywatnych, skoro używają jej na niekorzyść tronu. Nie powiedzieliśmy nic zdrożnego, twierdząc, że demokracya szlachecka, porozrywana polityką oligarchiczną, Polskę zgubiła.

W bliższych nam czasach oligarchiczne myśli wystąpiły pod panowaniem trzech Augustów z większem niż kiedykolwiek uprawnieniem. Wobec rozdarcia kraju na drobne satrapie możnych,

powstali ludzie, posiadający skarby wiedzy politycznej zagranicznej, mający szczerą, chociaż ambitną chęć zreformowania Rzeczypospolitej. Dążenie to przebija się w pismach króla Leszczyńskiego i Stanisława Jabłonowskiego, przebija się w wystąpieniu Czartoryskich. Niestety! przykład ten wywołał innych oligarchów, których usiłowania skończyły się sromotną Targowicą. Jak tamci wyszli z negacyi ducha nieporządku szlacheckiego, tak ci z negacyi nowej epoki porządku, poczynającej się z dniem 3 Maja.

Naród odtąd ma zupełne prawo z podejrzywaniem spozierać na oligarchiczne dążenia. Wie on, jak blisko w nich namiętność graniczy z sprawą dobra publicznego. --

Powiedzieliśmy już gdzieindziej jak w nowej smutnej epoce bytu zachowało się możnowładztwo. Przyjęło ono na siebie rolę konserwatywną, hamującą i nowych dopuściło się przeciw narodowi grzechów. Wpadło też w niepopularność, która za daleko zaszła. Żywioł demokratyczny wybujał, wybujał do drugiej groźnej ostateczności, ideje jego rozgalopowały się tak dalece, że uprawnienie przeciwnych mu wprost myśli nabrało nowej sankcyi w opinii publicznej. I to była chwila, gdzie się rehabilitowało stronnictwo konserwatywne, możnowładzcze, arystokratyczne, czyli jak go tam nazwać chcemy, gdzie uznało za rzecz stosowną wystąpić znowu przed światem, który potępił extrawaganckie przeciwników dążenia.

I nigdy przyjaźniejszej ku temu nie było chwili. Postrach demagogii roku 1846 i jej nieszczęśliwych skutków, tkwił żywo we wszystkich umysłach i nie dozwolił rozróżnić demagogicznych zabiegów od uczciwych demokratycznych i postępowych usiłowań. Obrażona tradycya rodzinna, obrażony duch narodowy, całą prężnością swoją cofnął się przed destrukcyjną dawnej demokracyi ideą; cofnął się, aby z podwójną miłością ukochać swoje świętości domowe. Dezilluzye marzeń liberalnych spotęgowały jego niechęć ku apostołom nowej myśli, osłabiły jego wiarę w doktryny zachodu. Było to jakby przygotowane terrytorium dla działań ludzi, których opromieniała przeszłość, którym byt materyalny nadawał swobodę ruchu a tradycya rodowa ambicyą. Dodajmy do tego, że okoliczności wpłynęły na ich podniesienie moralne i intellektualne, że też okoliczności obudziły w nich nadzieję działania w narodzie i dla narodu.

Na przeciwnym skrajnym końcu społeczeństwa żyło i działało stronnictwo jawne, wyraźne, stronnictwo demokratyczne. I ono ma

swoje wielkie historyczne uprawnienie, ma je w niedołężnościach i niesłusznościach uprzywilejowanej dawnej szlachecczyzny, upadku prawnym chłopa polskiego, w braku stanu trzeciego, w nadużyciach możnych, w idei postępu nareszcie, dla której posłuszeństwo jedynie narody chrześciańskie podnosi i rozwija. Co więcej, ma to stronnictwo podporę naturalną w jednym z prądów szlacheckiej krwi, szlacheckiej przeszłości, biegunowo przeciwnym prądowi arystokratycznemu — w prądzie ku równości i niwellacyi szlachecko obywatelskiej, w idei szlachectwa demokratycznej, podnoszącej abstrakcyjnie każdą jednostkę herbową, a więc obywatelską na równię z najwyższymi dygnitarzami. Ten prąd do równości obywatelskiej, prąd demokratyczny jest starszym od wszystkich dzisiejszych naszych demokracyj, bo on jest wynikiem słowiańskiego żywiołu.

Stronnictwo demokratyczne, czy go w dzisiejszej jego postaci od Hugona Kołłątaja, czy od r. 1830 datować będziemy, zapoznawało czas długi podstawę swej tradycyonalności w narodzie a przejęte obcemi zasadami, utopiami zachodu, ukochawszy destrukcyą i negacyą, przewiniwszy srodze ruchami 1846 r. straciło wiele na swoim kredycie, zamknęło się w ciasną falangę, i niecofając zdań swoich zasadniczych, ale ochraniając je od excentryczności, czekało na stosowną chwilę wystąpienia. Przez lat kilkanaście nazwisko „demokrata“ napiętnowane było szczególniejszą u nas niepopularnością a i dziś wielkie jeszcze widać ślady tej potężnej niechęci, którą naród powziął do idei destrukcyjnej r. 1846, a na całą ideę demokratyczną przeniósł. To *qui pro quo*, które ideę demokratyczną w ogóle dla jej szczegółowych aberracyj trafiło, podniosło u nas moralnie demokracyą, podniosło najpierwej w tych ludziach, którzy, hołdując jej uczuciem i zapałem, postarali się o pewniejsze i pozytywniejsze dla niej posady, podniosło ją i w opinii krajowej, która powoli zaczęła rozsądzać, co było słusznem a co niesłusznem w ryczałtowem jej potępieniu. Żywimy rzetelne i serdeczne życzenie, aby demokracya narodowa, jako konieczny czynnik naszego życia, czynnik budzący, rzutki, jako *perpetuum mobile* dążeń narodowych ku celom postępowej idei, raz wszedłszy na drogę dodatną, konstrukcyjną, syntetyczną szła nią ciągle i wytrwale, chroniąc się czczych teoremów i oderwanych od rzeczywistości i niezastosowalnych jeszcze wymagań. Rękojmią spełnienia naszych życzeń są czcigodni mężowie wybitnych demokratycznych zasad, których posiadamy, rękojmią jest nam ten przedewszystkiem, którego prowincya nasza niedawno widziała naczelnikiem znakomitego swego wystąpienia

politycznego. Rękojmią jest nam pismo demokratyczno-narodowe: Przegląd, rosnące w dobrze zasłużoną sympatyą, odszczególniające się coraz bardziej dzielnością i taktem swego słowa. Rękojmią wreszcie jest nam opinia publiczna, która potępiła tych członków stronnictwa, którzy nam pismem i słowem zanadto przypominali *„Ami du peuple“ i „Père Duchesne“*.

Pozwólmy w sposób użyty w Cybernetyce Trentowskiego przemówić obu skrajnym stronnictwom. Pierwszemu będziemy musieli imputować zdania, bo, powtarzamy to z bolem serca, nigdy swoich wyraźnie nie wypowiedziało.

Oto poważny demokrata w te do nas przemawia słowa:

Niepodległość zewnętrzna a udzielność wewnętrzna całego narodu, są moją zasadą; życzeniem najgłębszem i tęsknotą moją jest, aby cały naród wszystkie jego stany i klasy brały udział w życiu publicznem, aby przyszły co prędzej do obywatelskiej świadomości i samorządu. O formie rządu milczę i nie przesądzam: chcę atoli rządu wolnomyślnego, konstytucyjnego. Chcę równouprawnienia wyznań i narodowego duchowieństwa. Niechcę wiedzieć nic o szlachcie i rodowości, bo szlachta i rodowość faktycznie upadła, a w zasadzie nie ma uprawnienia. Rozumiem tylko wyniesienie się przez zasługę osobistą. Uznaję tylko jedno prawo historyczne, prawo narodowości. Pragnę niepowstrzymanej niczem wolności mowy i pisma, jako jedynego środka wyrobienia się królowej moralnej XIX wieku, opinii publicznej. Przeszłość szanuję, widzę w dziejach Polski potężne dążenie do wolności i samorządu, chciałbym tylko, aby w czasach narodowej pokuty dążenie to poobalało wszystkie zapory, jakie stawiała średniowieczność. Konstytucya 3 Maja jest mi punktem wyjścia, pierwszym acz połowicznym krokiem na tej drodze; dalsze kroki widzę w insurrekcyi Kościuszki, w ogólnonarodowym ruchu powstania r. 1794. Rok 1831 uważam za wielki czyn narodowy, który zwichnięty został przez wstecników i dyplomatów. Rok 1846 uważam za nieszczęśliwy płód poroniony zapaleńców demokratycznych. Obecnie dążę na drodze legalnej do uzyskania tych swobód dla części naszego narodu, które zgodne są z moją wolnomyślnością. Środkiem jest mi obudzanie i rozbudzanie narodowego i liberalnego ducha, występywanie jawne przeciw wszelkiemu wstecznictwu, pod jakąkolwiek ono maską się kryje.

Na to odpowiada dobrej wiary członek przeciwnego stronnictwa:

Zawsze ideę macie na ustach, poganie i fataliści nowożytnego świata. Dla idei poświęcacie wszystko i w kamienną modłę wgniatacie ciała żyjące. Nie rachujecie się z tem, co było, co jest, ale dążycie do tego z żelazną konsekwencyą, co ma być, do mrzonki, którą koniecznością postępu nazywacie. I my wierzymy w postęp, w pochód dziejów, w konieczność zmian i zwrotów, ale mając inną religią jeszcze prócz religii przyszłego szczęścia, my nie widzimy bezwzględnego postępu ku dobremu w niszczeniu wszystkiego, co było. My przeciwnie widzimy w historyi, w przeszłości narodu zasady i wskazówki opatrzności, które nogami zdeptać byłoby świętokradztwem i bluźnierstwem. Widzimy nauki wzięte z doświadczenia, które odrzucić byłoby szaleństwem. Otóż ta przeszłość powiada nam n. p., że jesteśmy katolikami i że znamię nasze katolickie jest najświętszem dziejowem naszem znamieniem. Ta przeszłość powiada nam, że pozostałości sił jej dawnych należy strzedz pilnie, bo one są skarbnicą naszą. Doświadczenie mówi nam, że Polskę zgubił samorząd i swawola szlachty, nieuszanowanie prawa i powagi. Demokracya dzisiejsza grozi nam powtórnym takim kataklizmem. Nie patrząc na stan rzeczywisty społeczeństwa, na jego niedojrzałość, na niewykształcenie ogromnej masy ludu, szerzy ona ideje wolności i równości, ideje niwellacyi społecznej. Temu przeszkodzić, przeszkodzić terroryzmowi ulicy, napadom na powagę i kredyt tych sił, które dotąd naród stanowiły, które o narodzie myślały, jest naszym obowiązkiem. Dążąc zatem do celów naszych narodowych, obraliśmy drogę sformowania falangi, którąby wyższością rozumu, zasobnością w środki, polityką dobrze obrachowaną krajowi te zapewniła zdobycze, które odpowiadają jego stanowi i naszemu znaczeniu, obraliśmy drogę pośrednią pomiędzy exorbitancyami dążeń demokratycznych, zapewniającą nam, że się nic nie uroni z tego, co szanowne i godne bytu. Jeżeli wolność ma zostać udziałem świata, niechaj ona emanuje z nas, jako tych, co do niej pierwsi mamy prawo, niech się społeczność rozwija drogą naturalną, nie przez ścieranie się przeciwieństw, ale przez powolne usamowolnienie pod patryarchalną naszą opieką. W danej chwili zaś, uchwyćmy naszemi środkami silnie ster społecznego okrętu, aby nie stał się pastwą burz od wichrzycieli wznieconych.

Kalos! zawołałby zapewne Sokrates, usłyszawszy jednę i drugą stronę. Obie-bo strony mają swoją słuszność, swoje prawo, a gdyby nigdy nie wykraczały za swój program, stanowiłyby wyborną równowagę w życiu narodowem. Demokracya zapewniałaby mu postęp, konserwatyści i tradycyoniści szacunek i cześć dla tego, co warte szacunku i cześci. Ale oba stronnictwa mają grzech śmiertelny wszystkich skrajnych stronnictw: uważają się za osie i punkta centralne, oba z największą łatwością wpadają w ostateczności i sprawę narodową identyfikują z sprawą własnej idei tak dalece, że po za tą ostatnią nic widzieć nie chcą. Namiętność i ambicya, podrażnienie nawet proste pędzą je do ukrytych w głębi fortec stronniczych armat ciężkiego kalibru: jednych do oligarchii i fałszywego legitymizmu, drugich do ochlokracyi, demagogii i terroryzmu.

Na dowód tego mieliśmy liczne przykłady w historyi, a chociaż przeciwni jesteśmy wznawianiu wszelkiej analizy, powtarzać będziemy zawsze, że z nauk historyi czerpać należy!...

W takim stanie rzeczy jakaż gwarancya, że duch narodowy, że sprawa narodowa uchroni się od skrzywienia, myśl nasza dziejowa i posłannictwo od obłędu? Jakaż gwarancya, że wolność, do której dążymy, nie zamieni się w służebnictwo społeczne, albo w nierozsądnego i niebezpiecznego ducha swawoli? Jakaż gwarancya że myśl narodowa w rękach jednych lub drugich nie zmieni kształtu, nie ulegnie kontorsyi, że się nie będziemy musieli pytać z Horacym: *Currente rota, cur urceus exit?*

Oczywista rzecz, że tylko w tym rdzeniu narodu, do którego jedno i drugie stronnictwo ustawnie się odnosi, aby go pozyskać dla swych myśli, w szlachcie nowożytnej i starożytnej, w masie tych ludzi dobrej woli, o których rozbija się nareszcie każde cierpienie i każda praca, którzy stają jako bezinteresowni i obrani z osobistych celów szeregowce do każdego narodowego przedsięwzięcia, niosą w sercach swoich szlachetny zapał do wszystkiego, co się im dobrem i chwalebnem być zdaje, w masie tych ludzi nareszcie, którzy może najlepiej mogą decydować w każdej kwestyi, bo oni każdą przecierpieli i odboleli.

Tej masy nie można nazywać stronnictwem, bo ona stoi tylko pod ogólnym sztandarem publicznego dobra. Niemożna nazywać stronnictwem, bo ona oscylluje między stronnictwami, często, niestety, bez stałego zdania, chwiejna, niepewna, niestanowcza. Ale tę

masę jedynie można wziąść za przechowawcę narodowego ducha, bo ona jest nieustanną podzielaczką narodowych losów, bo ona jest prawdziwą *vox populi, vox Dei.* Stronnictwa oba wspomniane są to jakby skrzydła przeciwne około tego centrum narodowego zastępu, które decyduje każdą wygraną na polu narodowej walki.

To centrum ma atoli wielkie braki swoje. Ma niedojrzałość polityczną, nadzwyczaj wybitnie występującą, i cierpi na brak wszelkiej inicyatywy. Biernie się zachowując wśród działania stronnictw, bez konkretności zdań i zasad, bez energii w wystąpieniu, bez konsekwentności czynu staje się ono z łatwością odmętem, w którym ta lub owa strona ryby łowi.

Od lat kilkunastu jedno z stronnictw skrajnych wyzyskuje ludzi środka postrachem przed demagogią, terroryzmem i burzycielstwem, podobnie jak drugie postrachu przed oligarchią możnych ku temu samemu celowi używa. Jak niegdyś za czasów Rzeczypospolitej, każda myśl ambitna szuka sił w tym oceanie dobrej woli i dobrej wiary, pozyskując stronników przez piękne słowa i sentymentalne frazesy.

Centrum nie ma wystarczających osobistości. Ludzie z ambicyą i z energią wychodzą z niego do jednego lub drugiego skrajnego obozu, jako właściwszego terrytoryum odznaczenia się. Widziano licznych, szukających areny to tu, to tam. Jestto sposób nieuczciwy pokazania swej wartości. W obozie środkowym pozostają więc ludzie dobrej woli i wiary, ale szczupłych moralnych i fizycznych środków. Wielkie to nieszczęście, że ambicya tak dalece ludzi oślepia.

Pomimo tego twierdzimy z całem przekonaniem i powtarzamy nasze twierdzenie: że tylko bezinteresowne, beznamiętne, doświadczeniem i tradycyą domową i narodową silne centrum jest przechowawcą ducha narodowego, że w niem jest punkt grawitacyjny, który jedynie naród od spaczenia zachować może.

Dziwnym się może wyda mój dowód, który do przytoczonych już dołożę, dowód: że właśnie jego chwiejność i niedecydowność między stronnictwami skrajnemi, daje gwarancyą jego posłannictwa.

Chwiejność ta wypływa 1. z braku dojrzałości politycznej, 2. z wygórowanej dobrej wiary. Centrum narodowe uznaje słuszne strony obu partyj skrajnych a przez to uznanie przeocza ich strony ujemne. Nieumie się postawić jako indywidualność zamknięta, bo nie jest stronnictwem, nie umie spojrzeć oko w oko ludziom, aby im wykazać ich myśl ukrytą po za konfesyą popularnej wiary, bo nie posiada analizy, bo jest syntezą dobrego. Moglibyśmy tysiące

na to postawić przykładów. Ileż to razy widzimy ludzi dobrej wiary potakujących zdaniom jednego i drugiego stronnictwa, które wręcz przeciwne miały dążenia, dla tego, że tylko ich zewnętrzność, ich polecającą się dobrą stronę ujęli, dla tego, że w jednej i drugiej stronie widzieli tylko złoto słuszności, ukrywające sofizmat? Ileż to razy słyszymy poklask mowcom dwóch sprzecznych obozów przez jednych i tych samych wybijany? Czegoż to jest dowodem nareszcie? Oto, że centrum nie widzi absolutnej słuszności w żadnem stronnictwie, bo ono samo ma najgłębsze jej poczucie, ale niesformułowane, ciemne, mętne jak cała nasza polityczna niedojrzałość.

Sformułować, rozjaśnić, zmocnić to poczucie do stopnia, w którym się stanie silnem i niewzruszonem przekonaniem, przejąć się tą głębią narodowego ducha i uzewnętrznić go w dobitnem wystąpieniu, w mowie i czynie — oto najpiękniejszy zawód każdego obywatela, którego excepcyonalne wpływy do jednego lub drugiego skrajnego stronnictwa nie zagnały. Umocnić go w sobie, umacniać w drugich, pobudzić ich energię przykładem własnej, a stawszy się człowiekiem stałym i jednolitym, stać na straży, aby skrajne kierunki góry nie wzięły, aby steru nie porwały, aby narodowej nawy nie uniosły, ale były życiodajnemi, ważącemi się siły w narodowem ciele — oto właściwe powołanie takiego męża w obecnej chwili. Tylko przez postawienie silne, świadome, baczne, centrum narodowego na straży myśli narodowej, można społeczności naszej zapewnić rozwój naturalny, ochronić ją od scyssyi i walki skrajnych stronnictw i zbliżyć ją do upragnionego celu dojrzałości.

Analiza, poruszanie kwestyi socyalnej, rachunek z zasługami przeszłości i sądowanie osobistości jest na dziś zupełnie fałszywą dla nas drogą. Analiza jest dowodem chorobliwości wewnętrznej, bo ona jest tem, czem jest diagnoza w medycynie. Zagnieździła się ona u nas od początku siedmnastego wieku, od chwili gdy naród chorzeć zaczął; Bóg by dał, aby się skończyła. Byłoby to dowodem stanowczej rekonwalescencyi. Proszę Boga, aby moje Portrety były ostatnim analitycznym pojawem w piśmiennictwie.

Synteza, zatem, i synteza tylko. Wolność nieograniczona dla każdego: niech działa, mówi, dowodzi, kłóci się, niech się stawia za

przewodnika! Niech to będzie, jak już powiedziałem Xiążę Paweł i chłop Gawel, szlachcic czy plebejusz. Nie wypominajmy jego „wczoraj", ale żądajmy od niego jego „jutra". Nie rzucajmy mu w twarz rachunkiem jego przeszłości, ale ufajmy przekonywającej sile narodowego ducha, że on się upamiętał. Zdobyczami a nie wyłączeniami stoją narody i społeczeństwa.

Ale przypuściwszy wszystkich, nie grajmy w ślepą babkę. Wyrabiajmy opinią! Rachujmy się z sobą samymi i skrystalizowawszy się należycie, patrzmy na każdą ideę i człowieka z nieufnością ludzi roztropnych, patrzmy badawczem okiem ludzi o ustalonych zasadach. Porozumienie jedno, dokładne, wyraźne, zmierzenie się i zbadanie każdej zagadki może przyprowadzić do prawdziwej świadomej jedności narodowej.

Twórzmy ludzi z siebie i z drugich, ludzi niechwiejnych, ale stałych, nie drżących ale mocnych, nie niepewnych ale zasadowych. Niebałamućmy się fałszywą abstrakcyą jedności, ale starajmy się zetrzeć ostre kanty stronnictw, naszą własną, rogatą i energiczną duszą.

Niezgodni w zasadach z drugimi, starajmy się uzyskać koncessyą terrytoryum spólnego działania na zewnątrz! Wtenczas zejdziemy się wszyscy na spólnem polu pracy narodowej, a nie będziemy się obawiać, aby stronnictwo jakie zepsuło równowagę życia narodowego. Co daj Boże. Amen.

Ruch narodowy — kwestye bieżące.

Kilka maxym na koniec.

Synteza narodowa, spojność sił wszystkich ku narodowym celom, działalność potężna przeciw nieprzyjacielskim żywiołom, oto jest wyraźna cecha dzisiejszej dziejowej chwili naszej. W obec tego dążenia powinna zaniemieć każda wewnętrzna namiętność, każda burza socyalna, wszyscy powinniśmy się schodzić przy jednym ołtarzu i w jednej świątyni. Rozprzestrzenić tę łączność wbrew wszelkim przeszkodom, rozwielmożnić się moralnie w starych naszej narodowości granicach: oto jest kwestya najpierwsza, kwestya życia i odrodzenia.

Środkiem tego rozwielmożnienia jest potęgowanie ruchu narodowego, potęgowanie go czynem, przykładem, słowem. Summa pracy ogólnej na polu obywatelskiego działania, stanie się każdego roku ogromnym zastępem moralnym, który będzie następnych lat rósł nakształt lawiny. Summa ta spotęguje działalność opinii publicznej i nastroi ją na ton coraz wyższy. Tym sposobem moralność obywatelska coraz bardziej wzrastać i utwierdzać się będzie: a jeżeli duch zwycięży, któżby się o resztę niepokoił?!

Pierwszym artykułem wiary naszej jest: bezwarunkowe powołanie wszystkich do pracy narodowo-obywatelskiej, bezwzględna kompetentność każdego stanu, stronnictwa, wyznania. Siła narodu albowiem polega na przyjmowaniu i assymilowaniu — a nie na wyłączaniu i odrzucaniu. Chlubą narodu jest pozyskiwanie nowych obywateli. Miłością była niegdyś wielką Polska, wyłączaniem upadła! [1])

W obec tego powołania wszystkich, musi mieć ruch narodowy gwarancyą, że działający obywatele pójdą zawsze dobrą, duchowi narodu odpowiednią drogą, że go nie skrzywią i nie popsują pracy powszechnej. Tę gwarancyę widzimy w geniuszu narodowym, niedającym, aby skrajne stronnictwa owładnęły wyłącznie ruchem; w opinii publicznej, która ich wybryki karci i powstrzymuje; w moralnej interwencyi środka, który przechował w czystości tradycyonalne ideje narodu. Podnosić, formułować, rozszerzać i umacniać te ideje centrum narodowego, zdaje nam się obowiązkiem każdego posiadającego instynkt polskości. Wtenczas tylko utrzymaną zostanie równowaga między ruchem naprzód a ruchem opornym, konserwatywnym. — Wtenczas tylko powstanie nacisk, przymuszający do koncesyi, a tem samem do łączności wszystkie ostateczne wystąpienia działaczy stronniczych.

Ruch narodowy powinien iść ciągle naprzód, potężnieć. Ku temu należy zwracać wszystkie siły. Tylko to potężnienie może zapewnić rozwój i skutek skąpo wyzyskanym korzyściom obecnego stanu. Dzielność narodu jest najlepszą gwarancyą jego losu. *Audaces juvat fortuna.*

---

[1]) Ci co dzisiaj jeszcze grzeszą przeciw tej zasadzie, niech się w piersi uderzą. Niestety, mieliśmy świeżuteńkie przykłady.

p. a.

Ale spotężnienie takie da się otrzymać tylko pracą, poświęniem i wytrwałością. Chwilowy entuzyazm jest złym gruntem dla uzyskania narodowych sukcesów; a my na opoce budować powinni. Nie wystrzeliwajmy prochu na wróble. Nie poprzestajmy na sztucznych środkach irrytacyi zewnętrznej; wewnątrz obudzajmy i mnożmy krew zdrową i ścięgna muszkularne. Nie opuszczajmy się na środki, jakiemi na zachodzie robią się burdy uliczne, bo nasza sprawa jest wielką i świętą. Nie oddawajmy się nadziejom ułudnym i nie groźmy, póki nie mamy środków wykonania groźby. *Vana sine viribus ira!*

Ale z drugiej strony nie lekceważmy żadnego, choćby podrzędnego środka, który może pobudzić ruch narodowy, nie lekceważmy go dla indywidualnego widzimisia albo z jakiejś pogardy przed terroryzmem massy! Nie paraliżujmy ruchu w niczem, choćby niewypełnianiem małych na pozór obowiązków. Sprawa narodowa woła do przejęcia się nią na wskróś, do zupełnej abnegacyi siebie samego. Obowiązki narodowe są rozmaite, maleńkie, drobnostkowe i znowu wielkiej skali. Nie trzeba pomijać małych, jak nie trzeba się ograniczać na małych. Służba narodowa jest świętym zakonem, którego reguły z dokładnością przestrzegać należy.

Służba narodowa żąda wszechstronnej pracy, moralnej, materyalnej, czynnej, ustnej, pisemnej! Żąda forytowania naprzód materyalnych interesów kraju, spomagania braci, trzymania się ziemi, oszczędności, gospodarności, przemysłu, żąda podpomagania oświaty, żąda odwagi cywilnej i działania z zasad w społecznem i politycznem wystąpieniu. Kto się w jednem kole zamyka, grzeszy; kto w jednej rzeczy widzi zbawienie, przewinia przeciw narodowi. Specyalność, wytężona działalność w jednym kierunku jest potrzebną i chwalebną, ale jest szkodliwą, gdy ten kierunek nie uwzględnia wielkich celów ogólnych, gdy wrzodowacieje na niekorzyść reszty organizmu.

Niespuszczanie z oka głównego celu narodowego, które wobec półśrodków i półczynów, nazwaliśmy radykalizmem narodowym, jest alfą i omegą naszego moralnego kodexu. Jest to ów talizman cudowny, ów szkaplerz święty, bo nas uchroni od wszelkich zboczeń, od wszelkich wewnętrznych namiętności i od wszelkich zewnętrznych illuzyj! Tę ideę postawiwszy w duszy jako miarę ostateczną wszelkiej wartości czynów i przedsięwzięć, możemy być pewni, że nie zbłądzimy, bo stoimy, gdzie nam Pan Bóg przykazał. Wtedy tylko nie damy się złapać na żadne złudzenie, na żadne uśmiechy, na żadne nadzieje półżycia. Wtedy i te przechodnie stany, stany półnadziei i półszczęścia nabiorą trwalszego bytu, bo gwarancyą im będzie silny moralnie i świadomy siebie naród.

Przychodzi nam jeszcze specyalnie dwie z dziś poruszonych przeprowadzić kwestyj.

Na pierwszym planie stoi naturalnie kwestya ludu wiejskiego, kwestya paląca, wołająca spiesznego rozwiązania a z natury swej nierozwiązalna jak w biegu kilku pokoleń. Nieprzyjazne okoliczności, co gorsza, udaremniały dotąd użycie wszelkich środków naturalnych, praktycznych, zaostrzały przeciwieństwa, odbierały wszelką możebność unarodowienia ludu. Czyli dzisiaj te okoliczności usuniętemi być mogą, najbliższa pokaże przyszłość. To pewna, że cała energia narodu powinna się wytężyć w tę stronę, że wszystkie siły winny się obrócić do zdobycia tego klucza przyszłości, który podług praw boskich i ludzkich tylko w rękach narodu spoczywać może, a który się nazywa: oświatą ludu!

Odzyskać kierownictwo oświatą ludu, powinno być najpierwszem, najgorętszem dążeniem naszem. My tylko mamy do tego kierownictwa prawo, my tylko tak je ująć potrafimy, aby lud nasz był Chrześcianinem, obywatelem, dobrym i cnotliwym ludem, bo oświata może iść tylko z tego ogniska, w którem jest życie narodowe. Miliony zgubionych dusz przez fałszywe i zbrodnicze, wrogie nam ludu wychowywanie, świadczą naszemu prawu przed Bogiem. Te miliony dusz uwiedzionych wołają na nas i na nich: Biada jeźli synowie i wnukowie nasi naszą pójdą drogą!

Ale to rozwiązanie kwestyi nie od nas zależy. Trudności obecne mogą wzróść, działania nieprzyjazne większe przybrać rozmiary! Jakże się zachowamy wtenczas wobec kwestyi ludu wiejskiego? Czyliż będziemy obchodzić ją, jakeśmy, niestety, aż zanadto długo to czynili?

Otóż znowu wszystko oddane w odpowiedzialność energii i patryotyzmowi narodowemu. Tylko on jeden potrafi zgubne neutralizować wpływy, wytrwałą pracą, zaprzaniem się, poświęceniem. Jego codziennym, trudliwym, wytrwałym staraniom pozostawionem zostanie natenczas chociaż częściowe uratowanie ludu od zupełnego zwichnienia. Jego nacisk wtedy skłaniać będzie obywateli do porozumiewania się i zawiązywania bliższych z ludem stosunków, które wbraku innych środków jedynie potrafi zapełnić otchłań pomiędzy stanami.

Dotychczas słyszeliśmy o dwóch metodach odrębnych postępowania z ludem. Jedni radzą odnowić i utrzymać dawne, patryarchalne z nim związki, drudzy uwzględniając przedewszystkiem jego dzisiejsze, zgodne z postępem położenie społeczne, radzą stawiać się obok niego w roli przewodnika w zawód obywatelski. Są to

dwie teorye łatwo dające się połączyć. Wobec idei postępu, wobec dzisiejszych stosunków niepodobna myśleć o dawnym patryarchalnym stosunku, który, niestety, ma aż zanadto często despotyczne w swych dziejach epizody; ale wobec stopnia oświaty, na którym lud nasz zostaje, nie można jak życzyć sobie, aby jak najdłużej istniały jeszcze tu i owdzie rozrzucone szczątki patryarchalizmu. Gdzie tych szczątków już nie ma, tam nowego zbudzić niepodobna. Wszystkie kroki w tym względzie są najczęściej chybionemi próbami egzaltowanych ludzi, które nasz praktyczny lud wyzyskuje, i z których się śmieje po cichu. Bo nasz lud ma głębokie poczucie tego, co jest rozsądnem i praktycznem, ma sens zdrowy, niedający się łapać na teorye i kokieteryjne sentymenta. Wyuczonych i z książek czerpanych uczuć nie zdołamy narzucić ludowi, jak nie zdołamy zawiązać z nim dawnych stosunków hierarchicznych, które na zawsze rozcięła kosa skrwawiona.

Trzeba więc stanąć wobec ludu, jako równy prawem, a wyższy oświatą. Trzeba z nim żyć jako dobry sąsiad, jako współobywatel. Trzeba złamać szrankę między nim i sobą, a przyznając się do równości wobec praw społecznych, uratować moralną nierówność w jego przeświadczeniu wewnętrznem, aby w nim obudzić chęć zrównania się w drodze intellektualnej. Trzeba obcować z ludem z obowiązku, systematycznie, podług planu; trzeba się stać dla niego wzorem, rozumem, mądrością domową, trzeba się stać sprawiedliwością spokojną i niewzruszoną. Gdy się to stanie, dobre żywioły jego natury niezawodnie przyciągną się do magnesu dobrej i rozumnej oświaty, której będziemy przedstawicielami. Takie zachowanie tylko, odpowiadające godności warstwy wykształconej i świadomej siebie, zdoła zniszczyć podejrzliwość i stanowczy zwrot w moralnem i intellektualnem życiu ludu uczynić, bo to zachowanie jest jedynie naturalnem i psychologicznie wpływowem. Mądry, gospodarny, oszczędny, sprawiedliwy i pobożny właściciel większy jest najlepszym profesorem wsi, lepszym niż filantrop i teoretyczny demokrata, który nakupiwszy chłopom książek, a dziewczętom wstążek i korali, wytańcowawszy się na obżynku i nagadawszy banialuk, jedzie zagranicę i przez ten czas drzeć się i kraść dozwala.

Obok właściciela stoi pleban, jeźli nie więcej to pewnie nie mniej wpływowy. Niestety! stosunki niekorzystne, wrogie prawdziwej ludu oświacie, owładły kazalnicę i kancelaryą parafialną zrobiły urzędem! Pasterstwo dusz spadło do urzędu biórokratycznych funkcyj a księża nasi z nielicznemi wyjątkami, przykuci bezwzględną zawisłością, nie mają dosyć cywilnej odwagi, aby narodowe, obywa-

telskie zająć stanowisko. Ale czyż większa solidarność przez obywatelstwo z niemi zawiązana nie mogłaby choć w części zaradzić temu złemu? Czyż podpomaganie systematyczne usiłowań gorliwych kapłanów nie zdołałoby rozszerzyć i umocnić ich wpływu w kościele i szkole? Czyż dobre użycie praw kolatorskich nie mogłoby działać pomyślnie na wyższe sfery duchowne? Czyż inspekcya staranna w działania przewrotnych i służalczych nie zneutralizowałaby ich złego wpływu? Niezawodnie! że i tutaj energia obywateli ogromne może odnieść zwycięztwa.

Żądamy od duchowieństwa jednej rzeczy tylko: gorliwości kapłańskiej. Niech oni podnoszą tylko moralność i religijność ludu, obywatelskie jego wychowanie powinni wziąść na siebie obywatele. Gdy te dwa działania się połączą, gdy się staną punktem honoru, obowiązkiem sumienia, dobre żywioły wbrew wszelkim wrogim nagabaniom zwyciężyć muszą i zwyciężą.

Kończymy kwestyą Żydów.

Znaną jest historya tego ludu u nas. Przyjęliśmy prześladowanych gościnnie, na gościnnej naszej ziemi. Co więcej, szanowaliśmy ich z początku, jako ludzi wykształconych i przemysłowych, jako nieszczęśliwych i tułaczy. Za czasów Piastowskich dawano im liczne przywileje i swobody, dawano je i później, tak, że Żydzi nazwali Polskę drugą ojczyzną swoją.

Poruszone w wieku XVI namiętności religijne zmieniły stan rzeczy. Rozbudziły one nienawiść ku Żydom. To ich zamknęło silniej w granicach swej narodowości i wyznania. Żyd stawał się powoli pariasem, helotą naszego społeczeństwa. Stawszy się nim; jął ssać soki społeczne, wrzodowacieć na ciele społecznem. Jako lichwiarz obdzierał szlachtę z majątków, jako spekulant na większą skalę obdzierał skarb państwa, jako karczmarz demoralizował lud.

Filantropiczny wiek XVIII zwrócił w Polsce uwagę na tę szkodliwą część społeczności, tworzącą państwo w państwie. Upadek Polski podwoił tę baczność. Liczne umysły zajmowały się zużytecznieniem Żydów. Jakoż w r. 1794, 1831 dawali oni przykłady, że umieją zostać obywatelami polskimi. Odtąd każdy żywszy ruch narodowy wprowadzał na stół też samą kwestyą, sprowadzał Żydów garnących się do narodowości i obywatelstwa.

Smutna to rzecz, że zawsze kończyło się na frazesach, że się wszystko rozbijało o niechęć wkorzenioną obustronnie, a Żydzi

odepchnięci wracali do dawnego szkodliwego bytu w odrębności od społecznego ciała.

Smutna to rzecz, że nawet wtenczas, gdy rzeczywiste położyli zasługi, jak obecnie w Warszawie, wzbudzili tylko oburzenie mieszczaństwa a po części i szlachty, a człowiek najcnotliwszy w świecie, który im podał przyjaźną, obywatelską rękę, nasz złoty Kraszewski, obrzucony został błotem publicznego szkalowania.

Per Deos immortales! wołam, gdzie logika?

Jeżeli lud żydowski w skutek niegospodarności i opieszałości naszej odrzucony od nas i na drogę niemoralną pchnięty spanoszył się naszemi majątkami, zwielmożniał naszym materyalnym upadkiem, jeżeli ten sam lud, jak każdy lud na świecie, mający ambicyą do wydobycia się z stanu pariasów dążącą, podnosi do nas ręce i chce odebrane nam zasoby poświęcić dobru naszemu, dobru spólnemu, współdziałać w naszych przedsięwzięciach, dzielić nasze losy: *per Deos immortales!* jakiż jest inny sposób powetowania strat, jak przyjęcie ich z otwartemi rękoma?!

Rozpatrzmy rzecz głębiej. Lud żydowski, pomimo obcych wpływów, pomimo przesądów, jest sukcesorem wielkich dziejów i cierpień, które dotąd czuje. Lud ten jest oryentalnym ludem a cywilizacya nie zdołała w nim zagłuszyć silnej intuicyi i wyższego natchnienia. Lud ten ma naturalne poczucie tego, co prawdziwe, wielkie, sprawiedliwe. Lud ten ma instynkt jeźli nie pojęcie narodowości.

Że tak jest, wyświeca nam jedna, nadzwyczaj prosta uwaga. Gdyby tego wszystkiego nie miał, gdyby miał tylko korzyści materyalne na oku i ubóstwiał siłę materyalną, czyliżby garnął się kiedykolwiek do nas, uciśnionych i nieszczęśliwych, garnął nawet wtedy, gdy materyalna siła widocznie go faworyzuje. Ale Żyd czuje, że materyalna siła może mu dać korzyści, może mu ułatwić zwycięztwa materyalne nad nami, ale, że tylko my możemy mu przywrócić cześć i znaczenie obywatelskie — i dla tego się do nas ucieka.

Dziś poruszyła się znowu kwestya żydowska. Znowu Żydzi podnieśli do nas ręce, poszli z nami, podzielili nasze życzenia i chęci. Czyliż damy minąć tej chwili jak minęło tyle innych?

Nie! nie! połóżmy raczej dzisiaj fundament przyszłego stanowczego uobywatelszczenia Żydów. Sposób na to jeden: aby obustronnie nie przestać na frazesach!

Żądamy gwarancyi i czynów, niech nam je dadzą. Niech wpłyną na wychowanie w duchu polskim, na kształcenie

się w duchu polskim, niech ich i naszemi wspólnemi siły wzniesiony zakład jaki narodowy świadczy ich i naszym chęciom. Niech naśladują swoich braci Warszawskich a mamy nadzieję, że opinia publiczna o tyle postąpiła, iż ani mnie forytującego tę sprawę, ani ich nie potępi.

Synteza narodowa żąda po nas takiego zapatrywania się na kwestyę żydowską. Duch narodowy każe nam otworzyć miłośne ramiona i przygarnąć zarówno pana, szlachcica, mieszczana, chłopa, żyda. Duch narodowy każe nam wierzyć, że każde uczciwe ludzkie serce, które na szerokiej przestrzeni od Karpat do Baltyku bije, musi lecieć przynęcone świętym magnesem sprawiedliwej i słusznej sprawy ku temu wielkiemu sercu, co pękło w boleści i świat krwią swoją zalało! Miłość więc braterska wszystkim, jak niegdyś za dni Chrystusa!

KONIEC.

Z „NIEWIASTY“.

Wspólnym tym tytułem oznaczamy szereg artykułów, ogłoszonych przez J. Szujskiego w r. 1880 i 1861 w piśmie tygodniowem, które podówczas p. t. „Niewiasta“ wychodziło w Krakowie pod redakcyą Kazimierza Józefa Turowskiego.

O wychowaniu serca. [1])

Gdybyście mieli wiarę, żebyście góry przenosili a nie mieli miłości, będziecie jako miedź brzęcząca.

Ś. Paweł.

Początkiem i końcem każdego wychowania powinno być wychowanie serca. Zaniedbanie pod względem umysłowego wykształcenia, zaniedbanie zewnętrzności w wystąpieniu towarzyskiem da się naprawić choćby w późniejszym wieku: serca jedynie zepsutego i zdziczałego nic poprawić nie może, ani nauka, ani polor, ani największa potęga rozwiniętego rozumu. Bo serce jest świętem ogniskiem pierwszych popędów człowieka, serce jest krynicą złych i dobrych namiętności, serce jest potęgą, która śmie rozkazać rozumowi i wszystkim siłom duszy, aby działały i pracowały dla niego...

Żadne racyonalne wychowanie niezastąpi wychowania serca. Racyonalne wychowanie uważa człowieka za gołą tabliczkę, na której to lub owo napisać; za wosk, który dowolnie palcami kształtować można. Tymczasem jest tam pod piątem żebrem u człowieka organ, który się rusza i tętni pierwej, nim racyonalny wychowawca potrafi zastósować do umysłu swój system stopniowego rozwijania i kształcenia władz pojedynczych. Człowiek przynosi z sobą na świat iskrę Bożą, ale ta iskra nieznajduje się ani w rozumie samym, ani w fantazyi — ona się znajduje przedewszystkiem w najelastyczniejszej i najrozprężliwszej sile duszy, w uczuciu, w sercu. Z uczucia, z serca przechodzi ona w stalsze, dosadniejsze formy wyobraźni i rozumu.

---

[1]) Nr. 3 „Niewiasty“ z dnia 15 Października 1860.

Serce i uczucie jest areną, gdzie najpierw występują do walki dwa wielkie pierwiastki świata, Boży i szatański, dodatny i ujemny, dobry i zły. Człowiek nierodzi się dobrym, człowiek rodzi się w zawieszeniu między oboma światami dobrego i złego, człowiek rodzi się pochopniejszy do złego: są to prawdy chrześciańskie, które święcie pamiętać należy. Wychowanie chrześciańskie to ostateczne zwalczenie tego złego, to emancypowanie ciągłe iskry bożej z objęć złego.

Patrzmy na rozwój dziecięcia. Przedewszystkiem wpada nam w oczy jego pogrążenie w materyi, w cielesności. Władze duszy śpią, dziecię wegetuje. Potrzeba mu tego do rozwoju jego sił fizycznych. Skoro te doszły do pewnego stopnia doskonałości, trzeba je obudzić ze snu w materyi, trzeba w nim obudzić duchowny jego pierwiastek. Czynią to pieszczoty i starania rodziców. Bezmyślne oko dziecięcia patrzy z zadziwieniem w miłosne spojrzenie schylonej nad kolebką rodzicielki, a pierwszy uśmiech na jego twarzy jest świętym zwiastunem wzajemnego porozumienia się dusz, pierwszym zadatkiem miłości wzajemnej. Dla tego to nie daremnie upierają się przyjaciele ludzkości, aby ten uśmiech pierwszy matka, a nie obca mamka ujrzała, aby dziecię na samym progu życia nie doznało przykrej walki przeniesienia swoich uczuć z karmiącej go niewiasty na tę, która tylko od czasu do czasu przychodzi zajrzeć na jego kolebkę.

Obcowanie ciągłe matki z dziecięciem, jest konieczną wychowania potrzebą. Budząca się miłość dziecka, miłość słaba jeszcze, bo fizyczna, nie powinna się dwoić, nie powinna rozpierzchać się. Matka tylko potrafi wyhodować w dziecięciu iskrę bożą, świecącą w jego budzącem się uczuciu.

Dzieci długo są egoistami. Bo egoizm a materyalizm to jedno. Kochają tych, co o nich pamiętają, kochają z przywyknienia, z potrzeby. Pytaj zaczynającego paplać dziecięcia z przymileniem: kochasz mnie? Dziecię się zachmurzy na widok twej twarzy, choćbyś je pieścił najbardziej. Daj mu cukierek i zapytaj powtórnie: kochasz mnie. Kocham, odpowie. A dla czegóż kochasz? A bo mnie dałeś cukierek.

Drugim zatem wielkim krokiem w wykształceniu serca dziecięcego będzie kochanie za darmo; abstrakcya miłości od korzyści. Tego przejścia niepodobna wgwałcić dziecięciu uczeniem go mechanicznych pieszczót i sentymentów, po których następują łakocie i cacka. Jest to bardzo zły środek, dziecię zaczyna handlować miłością. Otoczone staraniami i pieszczotami, czujące przytem

opiekuńczą wyższość rodziców, dziecię samo przyjdzie do miłości abstrakcyjnej, miłości dla miłości. Na tem przygotowanem już polu można siać obfite ziarno religijnych, narodowych i familijnych uczuć, ziarno, które wschodząc, powoli przygłuszy materyalizm i egoizm dziecięcia

Jeden z najpierwszych i najsilniejszych instynktów dziecka, jest instynkt własności. Dziecię garnie wszystko do siebie i z niechęcią oddaje, co raz wzięło. Względem rówieników jest skąpem i nieużytem. Są to nieszlachetne pociągi materyalnej strony człowieka, które zwalczać należy moralnemi względami. Obudzenie litości w dziecięciu jest najsilniejszą dźwignią moralną. Pokażcie mu, ubranemu w piękne sukienki i jedzącemu łakocie, nędzarza okrytego łachmany. W pierwszej chwili będzie czuło rodzaj obrzydzenia — i dumy osobistej, dumy sukienkowej, może i strachu trochę, powie: Brzydki, niechcę go! Ale dopomódz tylko wyłonieniu się iskry Bożej, dopowiedzieć słów kilka, zastósowanych do jego pojęcia i wzruszających: a dziecię posmutnieje i chętnie podzieli się z nędzarzem. Tylko nienagradzać go za czyn dobry, niech w duszy jego obudzi się przeczucie szczęścia, z dobrego pochodzącego czynu. Zwyciężyłaby inaczej materyalna natura, a litość stałaby się spekulacyą.

Dziecinne lata powinny być snem rajskim. Rodzice chrześciańscy powinni dokładać starania, aby je tem uczynić. Niech dziecię w około siebie widzi samą miłość, zgodę, szlachetność. Ani się spodziać, jak w woskową jego duszę wszystko się wgniata.

Przedewszystkiem chronić je od dumy i zarozumiałości osobistej, odsuwać mu na lata późniejsze tę smutną prawdę praktycznego życia, że ludzie nie są równi sobie, że miłością i względami trzeba prowadzić osobne, oględne gospodarstwo; jednemu mniej, drugiemu więcej serca okazywać. Niechaj dziecię niezna innej hierarchii prócz rodzinnej. Smutna to rzecz widzieć ładnie ubraną dziecinę strojącą minkę i rozkazującym tonem przewodzącą nad służącymi, smutniejsza jeżeli na biedniejsze rówieniki spoziera z pewnym rodzajem protekcyonalności. Najsmutniej, jeżeli między rodzeństwo zakradnie się preferencya. Egoizm dziecięcy wybuja z łatwością w późność i zarozumiałość, te poprowadzą do złośliwego przekomarzania się nad drugich, do ustawnego upatrywania ich niższości. Dziecię, jak każda słaba i nierozumna istota, garnie się do powag domowych, przed temi powagami lubi chełpić się z swemi przymioty i często grzeczność jego jest tylko brzydką emulacyą z bratem i siostrą, faryzeizmem: Ja nie jestem taki, jak on! Dziwna

rzecz, że się rodzice często cieszą z takiej grzeczności, przyjmują nawet denuncyacye dzieci, niewiedząc, iż torują drogę do podłości, serwilizmu i zupełnego moralnego upadku. Dla tego pochwały jednego dziecięcia na niekorzyść drugiego, są zawsze bardzo ślizką i niebezpieczną rzeczą.

Wychowanie podług tego, cośmy powiedzieli, jest ciągłem wydobywaniem i rozdmuchywaniem iskry Bożej w dziecięciu, wytępianiem tych złych pociągów, które nadaje wrodzony każdemu egoizm i materyalizm. Takie wychowanie ma za cel, aby człowieka uczynić dobrym i szlachetnym: kto chce tylko szczęśliwego i roztropnego, niechaj dziecię inną prowadzi drogą.

Nienależy zatem opuszczać żadnej sposobności, która serce dziecięcia potrafi podnieść wyżej i na ton uroczystszy nastroić. Pokażcie mu gwieździste niebo, oswójcie go z burzą i grzmotem i mówcie wtedy o Bogu; zaprowadźcie do kościoła, aby z złożonemi rączęty przypatrywał się aniołom i świętym. Zwróćcie jego uwagę na piękną okolicę, na ruiny starego zamku, pokażcie mu nagrobki Wawelskie, kopce pod Obertynem. Nawet zabawom jego nadajcie pewien odcień uczucia, doprowadźcie go do tego, aby dla mamy zrobił ogródek, a tacie przywiózł gruszek na wózku. Kiedy mu przypaszecie szabelkę do boku, wpajajcie w niego ten animusz rycerski, który naszych dziadów uczynił wielkimi. Niech mu mama gra marsza wojennego a w jego sercu obudzi się ta krew, która grała w żyłach pradziada, pogromcy bisurmanów. Kiedy blaszanych żołnierzy ustawi na stole, niech wojsko, którem dowodzić będzie, idzie się bić za sprawę szlachetną, której dziecię niepojmie jeszcze; ale przeczuje. Bo im więcej duszy dziecięcej dasz szlachetnych przeczuć, tem więcej ztąd myśli niegdyś urośnie, tem więcej nagromadzi duchowego materyału, gotowego do walki z pociągami cielesnemi. Iskierka ducha może z łatwością przedzierżgnąć się w sługę ciała, ale ciało równiej łatwo przedzierżga się w sługę ducha. Gdy się to stanie, krew gorąca będzie służyć myślom i uczuciom szlachetnym, siła fizycznej organizacyi czynowi moralnemu. W przeciwnym razie, rozum, uczucie, fantazya staną się nędznemi fagasami materyalnych potrzeb.

Fizyczność naszych niewiast. [1])

Duch zdrowy w ciele zdrowem.

Cóż się też porobiło z zdrowiem niewiast naszych? — Mój Boże, gdyby nasze prababki wstały z grobu a dowiedziały się o spazmach, migrenach, chorobach serca, blednicach i innych chorobach swoich wnuczek, toby doprawdy zaledwie je poznać mogły. Gdyby się dowiedziały, że rok po ślubie młoda mężatka musi *ex officio* jechać do wód żelaznych i rok po rok kuracyę powtarzać! Gdyby się dowiedziały, że naszym paniom szkodzi każdy żywioł świata, ciepło i zimno, wilgoć i gorąco, że ich nerwy jak harfa eolska drgają na każdy powiew silniejszy powietrza, na każdy stuk głośniejszy, na każdy dymek cygarowy!!!

— I żeńże się tu, powiedział mi młody jeden mężczyzna, gdy się rozmowa w podobnym toczyła przedmiocie. Weźmiesz pannę niby to rumianą i zdrową, jak jabłuszko, ale to tylko pajęczyna, wiotka i powiewna. Ani się niespodziejesz jak zostaniesz na całe życie dozorcą szpitalu.

Nie pochwalamy tego wyrażenia prozaicznego kawalera. Jeśli los tak rozrządzi, trzeba być i dozorcą szpitalu. Ale odzywamy się z błagalną prośbą do matek polskich, odzywamy się w imieniu narodu, w imieniu ludzkości, aby doświadczywszy same okropnych skutków chorowitości, dokładały wszelkich starań w utrwaleniu i zahartowaniu zdrowia córek swoich.

Powszechnem jest mniemaniem, że synów należy hartować — co odwróciwszy znaczy, że córki trzeba chować delikatnie. Podług tego postępują matki, chociaż się pierwszego zdania nie zawsze trzymają. Panienki jako płeć słabsza, niezawodnie więcej wymagają pieczołowitości, byle ona nie wyradzała się w skąpienie im warunków życia: ruchu, słońca i powietrza. Ale, niestety! pieczołowitość zbytnia często się w takie skąpstwo przeradza. Panienka siedzi zamknięta w murach, aby 1) się nie zaziębiła, 2) aby nie nabrała chłopakowatych manier biegając i swawoląc, 3) aby się nie opaliła.

[1]) Nr. 7 „Niewiasty" z dnia 12 Listopada 1860.

Przybliżając się do wieku, gdzie panienki z obowiązku pięknemi i wykształconemi być muszą, biedne dziewczęta doznają wszystkich przykrości babilońskiej niewoli i jak żydzi do Jerozolimy, wzdychają do długich sukienek. Po kilkogodzinnej rano i popołudniu nauce, następują długie lekcye fortepianowe, potem lekcye rysunków, kilka zaledwie chwil znajdzie się na przechadzkę pod okiem sztywnej guwernantki. Skoro upragniona długa suknia spadła zasłoną na ochocze do tańca nóżki, aliści jej towarzyszka sznurówka przychodzi rogowemi ramiony uścisnąć młodą ofiarę, wgnieść jej żebra w organy oddechowe, utrudnić panience respiracyą i wszystkie fizyczne funkcye. Niewytłumaczone niczem, dziwne spółzawodnictwo z osą przeciętą na dwoje, zapala mamę, garderobianą i pannę samą do coraz mocniejszego ściągania żelaznego pancerza. Wszelka swoboda ruchów ginie, wszelki wdzięk (nie modny ale prawdziwy bo ludzki) zaciera się: panna stoi i chodzi jak piękny motyl przebity szpilką.

Pragnienie swobody i zabawy, rozpiera mocno pierś młodą, ściśnioną nielitościwą sznurówką, tem mocniej, im ostrzejszy był rygor lat nauki, im nudniejszą była guwernantka i metr fortepianu. Nieznane uczucia witają do duszy. Panna zaczyna czytać romanse, poezye i robi się sentymentalną. Ta sentymentalność tym zgubniejsza, że towarzyszy jej ciągle siedzące życie, przerwane chyba forsownem tańczeniem po całych nocach. Tam tylko, na balowej sali, wolno się bezkarnie, beznagannie rozwinąć tej pełni życia pragnącego ruchu, zajęcia; tam wolno w lotnych skrętach polki i walca przebiedz kilkumilową linią, wolno się zmęczyć do upadłego, bo to przyjęte od świata, bo tak wszyscy robią. Po za balową salą nie ma ruchu. Spacery dalekie ją trudzą, powietrze jej szkodzi, praca gospodarcza zabrukałaby jej rączki i wymagała zdjęcia rękawiczek, które na niekorzyść zdrowia skóry, przyrosły do łapek. Panna ma obowiązek siedzieć przykuta do stolka w salonie, a na przechadzce wstrzymywać się od zbytniego „roztrzepotania".

Haft i kanwa, robienie kwiatów, rysunek i fortepian, oto jej zajęcia — zajęcia, przymuszające do siedzenia kamieniem.

Tyle co do fizycznych przyczyn. Brak ruchu, powietrza, słońca, pracy mechanicznej, wyrabiającej muszkuły, sznurówka, zbytnie tańce — oto punkta, które wymagają spiesznej uwagi. Ale ważniejszemi może są względy moralne.

Nerwowość zbytnia kobiet naszych, jest głównem źródłem ich wielorakich cierpień. Ma ona swoje przyczyny fizyczne co dopiero wyliczone: ale głównie z moralnych pochodzi. Zdrowie duszy jest

nieodbitym warunkiem zdrowia ciała. Otóż chcąc osiągnąć jedno i drugie, trzeba strzedz panienki nasze od zbytniej uczuciowości, exaltacyi, wrażliwości, trzeba je strzedz przed rozkołysującemi wyobraźnię książkami, przed towarzystwem, któreby mogło spaczyć ich uczucie. Romantyzm i bigoterya, affektacya i pozowanie się na nieszczęśliwą — wszystko to jedną chodzi drogą. Kobiety uczucie wtenczas tylko ma nieskończoną wartość i potęgę, jeźli jest zdrowem i naturalnem, jeźli mu towarzyszy rozsądek i roztropność kobieca: w każdym innym razie może stworzyć cuda, ale zawsze na niekorzyść innych, lub na zgubę jej samej fizyczną czy moralną, obrócić się może.

Aby uchronić dziewicę od spaczenia uczucia, trzeba jej dać dobry przykład, zdrowe wykształcenie, trzeba jej dać ciągłe, praktyczne zajęcie, nareszcie wesołe, swobodne i poczciwe towarzystwo. Trzeba tłumić w niej wszelki wygórowany indywidualizm, zamiłowanie w samotności marzącej, w życiu zamkniętem w sobie. Trzeba jej uczuciu dać ciągły oczywisty pożywioł. Niech kocha to, co jej najbliższem, nie napowietrzne jakieś postacie. Niech jej serce gra szlachetnym zapałem, ale niech zapał nie będzie jej życiem, bo dusza potrzebuje podlotu i spoczynku, poezyi i rzeczywistości, a nic jej nieszkodzi tak dalece jak ciągłe naprężenie.

Wracając jeszcze do fizyczności kobiecej, powiemy słówko o gimnastyce. Gimnastyka jest powszechnie dzisiaj poszukiwaną i zalecaną dla płci obojej. Matki atoli nie mało sprzeciwiają się gimnastyce, jako nieprzyzwoitej dla dziewcząt. I mają racyę. Panienki nasze nie potrzebują być baletniczkami i linoskoczkami. Wszakże bez gimnastyki prababkom naszym zdrowie służyło. Praca ręczna, zachód gospodarczy, oto najlepsza gimnastyka dla naszych panienek.

O emancypacyi kobiet. — Słówko. [1])

Nie tak to dawno, jak kwestya emancypacyi kobiet była kwestyą, jeźli nie palącą do reform i zmian stanowczych w społeczeństwie, to przynajmniej piekącą — języki licznych swoich apostołek i przeciwników. Dzisiaj, jak to mówią, przewaliła się ona,

---

[1]) Nr. 11 „Niewiasty“ z dnia 10 Grudnia 1860.

straciła swoją gwałtowność i rewolucyjność, niewiele za sobą pozostawiła śladów, i to większą częścią dosyć dobroczynnych.

Tak jest, szanowne czytelniczki moje, nie waham się tego powiedzieć, bo się będę starał dać dowód. Burza emancypacyjna była rewolucyą francuzką w świecie niewieścim, a jakkolwiek rewolucya ta miała swoje straszności, jako to przebieranie się po męsku, afrontowanie opinii publicznej, cygara i tym podobne errorystyczne objawy, sprawiła ona jednakże pewne zbawienne wstrząśnienie, które na umysły i serca kobiet z czasem dobrze wpłynęło. Extrawagancye upadły same z siebie, cel główny, podniesienie godności niewieściej, został osiągnięty.

Niewiasta na zachodzie przeszła smutne i upakarzające dzieje. W średnich wiekach stała na wysokiem i szczytnem stanowisku. Ludy germańskie czciły ją wysoko, widziały w niej wyższe, Boże natchnienie. Przez czternaście wieków panowała z mężem w jego zamku rycerskim, zapalała jako dziewica jego męstwo wojenne, tchnęła inspiracyą w struny lutni minstrela i trubadura. U jej rzęs długich tronował urok poezyi, która cuda działała w barbarzyńskim na pół świecie. W jej uśmiechu łagodnym obrał sobie mieszkanie duch cywilizacyi, powściągający dzikość młodocianych narodów. Świętość opromieniała często jej piękną głowę, stając się drogą tradycyą ludom świata chrześciańskiego. To też postać jej uosobiała w symbolice średniowiecznej każdą cnotę i każdą mądrość. Beatrycze Dantejska obchodziła największy tryumf kobiety. Beatrycze była najgłębszemu z duchów średniowiecznych przewodniczką w niebo.

To wielkie chrześciańskie stanowisko kobiety zachwiało się stanowczo przez Reformacyą. Jeżeli w protestanckim świecie zbezcześciło ją małżeństwo z księżmi apostatami, to w katolickim zrzucił ją z piedestału rozłam między religią i moralnością a życiem, zrzuciła ją bigoterya i świętoszkowstwo, lekkomyślność w stosunkach miłosnych przy zewnętrznej praktyce religijnej istniejąca. Te dwa przeciwne objawy cechują szczególniej Francyą z jednej, Niemcy z drugiej strony. W Niemczech kobieta z rycerskiej pani spadła na pastorową, prozaiczną, gospodarną, ziemską; we Francyi stała się nieustanną zalotnicą, a intrygantką lub dewotką na starość. Racyonalizm protestancki i bigoterya bez ducha odebrały kobiecie ten tajemniczy talizman, który w średnich wiekach otaczał ją świętością w obec mężczyzn. Kobieta odtąd weszła w niewolę mężczyzny, wojowała miłością i intrygowała roskoszą, i z poszukiwanej, poszukiwającą się stała.

W protestanckiej Anglii widzimy Elżbietę angielską obok katolickiej Maryi Stuart, obie wielkie kobiecości przedstawiające upadek. Katarzyna Medycejska otwiera we Francyi szereg kobiet, kokietek za młodu, intrygantek i dewotek na starość. W ostatniej chwili życia z piekielną myślą w duszy szepcze kłamaną modlitwę. Nawet pomiędzy naszą Barbarą a królową Jadwigą co za przestwór ogromny! Ta nad miłość wznosi wolne czoło w niebiosa, tamta zupełnie usidlona w miłości.

Ten upadek kobiet gwałtownemi postępuje krokami. Francya wysforowawszy się na polityczną i moralną prowadzicielkę Europy, świeci naprzód złym przykładem. Skromność traci swoją dziewiczą barwę, kobieta oswaja się z słowami szeptanemi wprzód cicho, a wyraz *maitresse* nabierała straszliwej dwuznaczności. Średniowieczna rycerska miłość psuje się na nowowieczną dworską galanteryą: świętość rodziny, podminowana nią, staje się śmiesznością w języku wielkiego świata a surowość wyrazu cnoty w elastycznem francuzkiem „vertu“ nabiera rozprężliwości, w której się nawet bezwstyd zmieścić może. Wiek Ludwika XIV jest pod tym względem stanowczą epoką. Dosyć wziąść do ręki nieśmiertelne pomniki tego czasu, komedye Moliera. Cóż jest ich treścią? Oto mąż oszukany przez zgrabnego kochanka, rodzice wywiedzeni w pole przez dzieci dowcipne, poczciwy prostak wystrychnięty na błazna przez przebiegłego łotra. A przecież jest moralność w tych komedyach bo walczą przeciw hipokryzyi, pod której płaszczem więcej było złego, niż w jawnogrzesznikach ówczesnych. W uczucia serdeczne wśliznęła się wtenczas stanowczo owa samowola namiętności, łamiąca wszelkie zapory moralne i społeczne, samowola, która w wieku Voltaira i Ludwika XV stała się jawnym bezwstydem. Niepodobna nam wyraźnemi kolorami kreślić wieku, o którym piszemy. Przypomniemy tylko czytelniczkom naszym, znane zapewne w tradycyi markize i wikomtessy francuskie, które niestety i u nas niemało znalazły naśladowniczek, w wysoko podczesanych włosach; pudrowane, z mocno wyciętemi sukniami, na wysokich stąpające koreczkach... czemże one żyły? Oto cała ich młodość, często aż do sześciudziesiąt lat trwająca, była jedną zależnością od mężczyzn, jedną intrygą miłosną. W romansach płynęło ich życie, bez przerwy, bez poważniejszego zatrudnienia. Nic nie było dla nich samych, dla zasobu duszy, wszystko dla salonu i dla romantycznych stosunków. A też stosunki samo? Jakaż w nich ckliwość, śliskość, płytkość niesłychana? Jak nadwątlona wszelka godność kobieca, wszelkie granice wstydu?

Taką kobietę zastała rewolucya francuska. To też ta kobieta, bez czci i wiary, wyszła na ołtarz Panteonu i czczoną była jako bogini Rozumu, to znaczy jako reprezentantka rozdarcia wszelkich węzłów, które ją z niebem i Bogiem trzymały.

Kobieta rewolucyi i cesarstwa mało różniła się od ośmnastowiecznej. W piersi jej była ta sama ślepa, fizyczna, cielesna uległość mężczyznie, ta chęć spotkania w pół drogi każdej jego żądzy. Kobiety rewolucyjne i cesarstwa atoli lubią heroizm i kochają bohaterów. To je stawia wyżej. Słabe i małego ducha oplotły się myślą o tych wielkich a libertyńskich ludzi, którzy z Napoleonem poszli świat cały zdobywać.

Ale w czasach tych, ogromnego wstrząśnienia duchów, zaświtała w pojedynczych duchach niewiast nowa era, wieszcząca im nową przyszłość.

Po nad ckliwo-sentymentalne autorki, jak pani Genlis, Cottin i Abrantez, wzniosła się kobieta z głową i sercem, prawdziwy Napoleon niewieści: Pani Stael. Pani Stael pierwsza podniosła sztandar emancypacyi, stawiając w Elfinie i Korynie swoję własną, bogatą w zasoby duszy osobistość, wbrew krępującym węzłom świata i społeczeństwa, magnetyzując tą wyższością cały ród niewieści. Od czasów pani Stael zaczyna się epoka exaltacyi idącej po za zwykłe romantyczne stosunki — chociaż naturalnie w tych stosunkach swego zaspokojenia pragnącej. Było to śmiałe poczucie się do tej wyższości, którą kobieta niegdyś posiadała, którą straciła w ciągu wieków, a którą dla dobra samejże ludzkości na nowo odzyskać powinna.

Dalszy, stanowczy, rewolucyjny krok uczyniła, jak wiadomo, pani George Sand życiem i czynem. Rewolucyjny powiadam, bo przecięła te związki, które pani Stael szanowała, przestając na pozie cierpiącej kobiety. Równocześnie z wielką burzą socyalnych żywiołów we Francyi, Sand podniosła chorągiew powstania przeciw upodleniu i niewoli kobiet. Zamiast przyczyn tego upodlenia i niewoli szukać w ich upadku, poczęła je wykazywać w niedostateczności socyalnych urządzeń i moralnych przepisów, powstała na nierozdzielność małżeństwa, na pozycyą społeczną kobiet i t. p. Przepełnione namiętnością serce jej zapragnęło wolności nieograniczonej, właśnie w tej chwili, gdy zaczęła apostołować nieskończone posłuszeństwo wszystkim zachceniom serca, a więc największą niewolę i największy upadek moralny. W tym kółku błędnem obracają się wszystkie dzieła pani Sand, dzieła, które poezyą swoją zelektryzowały świat cały, które przewrotnością swoją oburzyły wszystkich surowych moralistów.

Pomimo tego była w nich wielka moralna strona. Pani Sand postawiła na nowo ołtarz dla *ideału*, postawiła go między kobietami oddanemi bałwochwalstwu materyi i próżności. Oto jądro jej myśli wypowiedziane w Lelii:

> Jeden jest sposób pracowania dla naszej wolności: oto zamknąć się w dumie naszej sprawiedliwej, zawiesić, jako córki Syonu, harfy nasze na słupach Babilonu i odmówić obcym ciemiężcom pieśni miłości. Będziem żyć w żałobie i łzach, zagrzebiemy się żywcem, odmówimy sobie słodkich rozkoszy familii i upojenia miłości; ale zatrzymamy pamięć Jerozolimy, zatrzymamy *cześć dla ideału*. Przez to zaprotestujemy przeciw bezwstydowi i brutalstwu wieku, i przymusimy mężczyzn, aby nam przy boku swym dali miejsce nowe i przynieśli tę samą czystość przeszłości, tę samą wierność na przyszłość, której od nas wymagają.

Oto jest wielka i zbawienna strona posłannictwa pani Sand: rozwinęła nieskończoność uczuć niewieścich, rozwinęła ją na obie strony, w górę i na dół, do ideału i błota, bo pani Sand jest dwuostrznym sztyletem dla kobiet. Jak wszystko złe, tak ujemna, szalona, rewolucyjna strona pism pani Sand przestaje a częścią i przestała działać; dodatna, wzniosła, idealna pozostawiła swoje błogie skutki [1]). Kobieta wzniosła się wyżej, a odrzuciwszy fałszywą emancypacyą surduta, cygara, konia i t. p. szaleństw, chwyta się zbawiennej jej strony, emancypacyi ducha z objęć materyi. Na tem familia i społeczność tylko zyskać może; na tem zyska ona sama przedewszystkiem, czując swoją niezależność i wolność duchową, której granice rozszerzają się w miarę, jak rośnie jej godność moralna i intelektualna przewaga.

U nas w Polsce emancypacya była przemijającą gorączką. Jeżeli w XVIII wieku mieliśmy wiele z objawów wskazanych przez nas we Francyi, to te objawy stopniały prędko pod wpływem innych, bolesnych, ale podnoszących stosunków. Kołowacizna sandyzmu i emancypacyi tem mniej u nas miała sensu, że dzięki tradycyi przodków, niezapoznawaliśmy nigdy godności kobiecej, owszem do końca średniowieczną zatrzymaliśmy kawalerskość. Kołowacizna ta redukuje się do prostego cudzoziemczyzny naśladowni-

---

[1]) Niech nas atoli Bóg broni zalecać romanse pani Sand tym, którzy mieli szczęście ich nie czytać.

ctwa. Kobieta nasza rozwija się na posadzie myśli narodowej, ta myśl ją trzyma wysoko, wyżej niż wszystkie zwroty socyalne francuską potrafią podnieść kobietę.

— — —

O różnicy wychowania chłopców i dziewcząt. [1])

A panie matki niechaj około dziewcząt swych raczą pieczę mieć, gdyż to jest naród mdły a nadewszystko srodze nałomny.

M. Rej. w Żywocie „pocz. człow.“

I.

Każde dobre wychowanie powinno być: 1sze chrześciańskiem, po 2gie narodowem. Bóg by dał, aby nigdy innych rodzajów nie bywało, aby nie słychać było o różnicach wychowania pańskiego a chudopacholskiego. Bóg by dał, aby wszystkim stanom świeciła wielka idea wychowania narodowego, aby w tem wychowaniu zacierały się sprzeczności położenia społecznego wobec jedności myśli powszechnej.

Każdy naród ma swoje osobne potrzeby, każdy inne dążenie na przyszłość. Te dążenia nigdy mu jaśniej w głowie nie świecą jak wtedy, gdy o wychowanie przyszłego swego pokolenia się stara. Wszystkie sławne i świetne narody i państwa (!?) poświęcają edukacyi publicznej najlepsze siły materyalne i moralne, a zaniedbanie tej gałęzi jest najsilniejszym dowodem ich nikczemnienia i upadku. Nasza historya jest najlepszym tego dowodem. W świetnych czasach Jagiellońskich współudział dla wychowania publicznego był tak powszechnym, że inicyatywa zakładów wychowawczych wychodziła od prywatnych: później upadek edukacyi publicznej szedł ręka w rękę z upadkiem narodu.

Narodowe wychowanie gruntuje się na narodowych potrzebach. Pamiętajmy zawsze o tem, że nie tylko wychowujemy dziedzica lub

[1]) Nr. 12 „Niewiasty“ z dnia 17 Grudnia 1860.

dziedziczkę imienia, właściciela majątku, hrabiego, księcia lub szlachcica — ale że wychowujemy obywatela. Większa część tych smutnych karykatur, w których tytuł, majątek, znaczenie zastąpiły godność człowieczą, odebrała wychowanie na cząstkę człowieka, zamiast na całego.

Dwoiste są święte szranki działania na ziemi, dom i arena publiczna; szranki będące probierczym kamieniem wartości osobistej każdego człowieka. W pierwszych szrankach walczy przedewszyskiem niewiasta — w drugich mężczyzna.

„Świętością domu“ i „zasługą publiczną“ stoimy i znaczymy. Pierwsza chroni nas od wynarodowienia obyczajowego, druga utrzymuje w ciągłem świętem poczuciu obowiązków wyższych nad materyalne względy.

Wychowanie narodowe zatem ma cel 1) aby z kobiety uczynić anioła stróża świętości domowych; 2) aby z mężczyzny uczynić pracownika publicznego. Z tego celu różnorodnego wypływa także walna różnica obu wychowań. Wychowanie dziewczęcia powinno być przeważnie domowem; wychowanie chłopca koniecznie publicznem. Nigdy pensyon nie zastąpi panience wykształcenia pod okiem matki, nigdy guwerner nie zastąpi chłopcu szkół publicznych.

II.

Fizyczna doskonałość wychowania jest nieodzowną materyalną podwaliną całego gmachu edukacyi narodowej. Hartować chłopca, oswajać go z trudami i szkodliwemi niby zmianami temperatury i powietrza, przygotować na wszelkie choćby herkuliczne natężenia, jest świętym i łatwo tłumaczyć się dającym obowiązkiem. Nigdy najwyższe nawet wykształcenie nie może tutaj służyć za wybieg. Zresztą siła ciała jest pierwszym warunkiem siły duszy.

Staropolskie wychowanie utrzymuje w chłopcu z zasady zuchowatość i rzeźwość męską, która staje się zarodem przyszłej waleczności. Chłopiec od dziecięcia przywykał do konia, walczył z jego uporem i zuchwalstwem; szukał zapaśników na palcaty w ogrodzie. Nawet OO. Jezuici czuli się obowiązani nie przeszkadzać tym ewaporacyom krwi szlacheckiej, i w programat studyów brali fechtunek i tak zwane tańce broni. I dzisiaj wszyscy, którzy starej a zbawiennej tradycyi wiernymi zostali, chętnie trzymają się tego systemu, chętnie widzą odwagę i dzielność osobistą w synie, a zamiast obawełniać go przed każdym wpływem powietrza i klimatu, wystawiają go chętnie na ich rozmaitość, boć przecie człowiek

stworzony dla wszystkich pór roku i we wszystkich porach roku bywają potrzeby i wypadki, które silnego wymagają zdrowia.

Obok fizycznego wyrobienia stoi zaraz w sąsiedztwie obudzenie i wykształcenie odwagi osobistej, tej cnoty tak ściśle połączonej z działalnością i energią zmysłów i muszkułów, z tęgością nerwów czuciowych. Wystawiajcie waszych synów na niebezpieczeństwo, choćby urojone, na niebezpieczeństwo, w którem ratunek już na wszelki przygotowany jest wypadek, ale wystawiajcie ich, aby umieli śmiele mu w oczy zajrzyć, aby nie drżeli nawet przed śmiercią. Fizyczna i moralna pewność siebie jest konieczną dla mężczyzny. Niech umie pływać i łyżwować, rąbać się na pałasze i strzelać, jeździć na dzikim koniu i z zgrabnością drapać się na najwyższe góry; niech umie wszystko, co należy do wyrobienia ciała a niezawodnie prócz fizycznych, wielkie ztąd moralne odniesie korzyści. Rozumiała to Grecya, rozumiały to wieki średniowiecznego rycerstwa, rozumieli ojcowie nasi: szkoda, że my tak mało rozumiemy. Gimnastyka umiejętna ma niby zastąpić te dawne ćwiczenia fizyczne; ale nie pomnimy, że w gimnastyce nie ma tego głównego momentu moralnego, który uświetniał gry Olimpii, turnieje a nawet nasze bitki studenckie po ogrodach, momentu heroizmu, momentu, którego żadna prawidłowość anatomiczna zastąpić nie może. Z tej przyczyny bylibyśmy zawsze więcej za temi dawnemi ćwiczeniami, jak za gimnastyką. Każdego ruchu ciała ostatnią sprężyną jest nie siła fizyczna; ale duch — i tenże duch powinien być natchnieniem i treścią fizycznego naszych chłopców wychowania.

III.

O fizyczności kobiet mieliśmy sposobność mówić przeszłą razą. Tutaj dodamy tylko, że z stanowiska naszych potrzeb narodowych, ze względu na naszą biedę krajową, powinniśmy mieć na oku powołanie kobiet jako gospodyń domu. Kobieta lub panna gospodyni, to istota oddalona o całe niebo od kobiety i panny salonu. Myśli ich, ruchy, mowy, całe życie różne: bo w pierwszej jest podstawa rzeczywistości, w drugiej jej nie masz. Na śliskiej posadzce salonu rosną owe wszystkie exotyczne kwiaty niewieście: owe exaltowane i sentymentalne panny, które w życiu czeka czczość, zawód, nuda, suchoty lub roznerwienie, owe sawantki i niedowarzone artystki, które, chybiwszy głównego celu życia kobiety, rozbijają się w świecie jako karykatury niewieście, owe nieszczęśliwe spazmatyczki i wieczne malkontentki, niezrozumiane przez świat z tej

prostej przyczyny, że nigdy własnych nie zrozumiały obowiązków. Jakże inaczej wygląda panienka w guście Zosi, kwiatek domowego ogródka, karmiący ptactwo domowe, ale pojmujący tak dobrze świętość sprawy, za którą idzie walczyć pan Tadeusz? Nie przestaniemy zatem powtarzać paniom naszym, że pracowitość, praktyczność, gospodarność są nieodbitą potrzebą dla naszych dziewcząt, że natomiast języki, talenta (które często bywają wgwałcone) są rzeczą drugiego dopiero rzędu. Sawantki, exaltowane, sentymentalistki i emancypowane sprowadzały nam obczyznę, zbytki, przewrotność, choroby nerwów i tym podobne niesłychaności; gospodarne nasze niewiasty trzymają dotąd, jak bluszcze popękane, mury naszych domów. Cześć im! Bóg daj ich najwięcej!

IV.

Powiedzieliśmy, że chłopiec przedewszystkiem *publiczne*, dziewcze zaś *domowe* powinno otrzymać wychowanie. Ważność szkół publicznych nie polega na samych naukach w nich udzielanych, bo te nauki trzeba wesprzeć domową pracą nad chłopcem, aby korzyść przyniosły; ważność szkół polega na życiu towarzyskiem młodzieży. Towarzystwo szkoły, to przygotowanie, wstęp do towarzystwa świata. Chłopiec wypieszczony i podziwiany w domu, *genie de la famille* jak to mówią, spotyka się nagle z innemi indywidualnościami, które wcale na jego domowe znaczenie zważać nie myślą, tonie w masie kolegów zdatniejszych i mądrzejszych niż on. To obudza sprężystość jego duszy, rozwija energią jego myśli, jego charakter. Nie ma nic piękniejszego jak szkolny duch koleżeństwa, choćby zuchwalstwem trącił, nie ma nic brzydszego jak odszczepianie się od interesów kółka kolegów, dla schlebiania się profesorowi. Dobry kolega będzie niezawodnie dobrym obywatelem.

Tego współzawodnictwa niepotrzebuje dziewczyna. Ona będzie towarzyszką jednego, a to czego się nauczy, nie będzie walczyć z nauką drugich, bo nauka to spokojny pożywioł jej duszy, który ma podnieść i rozbudzić zarody piękna i prawdy tkwiące w jej piersi.

W nauce kobiety nie ma dążenia postępu, nie ma pragnienia badań i zaciekań głębokich, bo ona w duszy ma wielką wiedzę uczucia, która przez naukę nabiera kształtów i postaci, ale dla wielkiej rozprężliwości swojej kobiecie wystarczy mniej nauki. Jedna chwila miłości, więcej jej przynosi objawień niż wszystkie książki.

Z tej przyczyny miłosne domowe wychowanie niczem się dla kobiety zastąpić nie daje. Kobieta jak kwiat potrzebuje spokoju i pielęgnowania, aby się pięknie rozwinąć. Święte prawdy domowe wpływają na nią silniej, niż morały książek, ciepło domowego ogniska służy jej lepiej, aniżeli zimny formalizm pensyonu.

Patryotyzm niewieści. [1])

Jeżeli się pytamy o charakter jakiego współrodaka, mimowolnie nastręcza się nam najprzód słowo: Czy dobry Polak? Czy patryota? Jeżeli potwierdzającą otrzymamy odpowiedź, jesteśmy natychmiast usposobieni przebaczyć mu wiele błędów, patrzeć przez palce na wiele usterek. I słusznie: bo człowiek, który wypełnił swój obowiązek najpierwszy, jaki mu Opatrzność na ziemi wypełnić kazała, niemoże być jak tylko dobrym i szlachetnym człowiekiem, człowiekiem, który ma otwartą drogę doskonałości moralnej.

Warto by się zastanowić dla czego, mówiąc o niewiastach, nie tak często używamy pytania, czy dobra Polka? Możnaby na to odpowiedzieć, że patryotyzm kobiet mniej wpływa na publiczne życie narodu; ale będzie to zawsze powierzchowna odpowiedź Prawdziwą przyczyną jest, że u mężczyzn patryotym podlega tysiącu względom opinii, wyobrażeń i doktryn politycznych i socyalnych, u kobiet jest natchnionem działaniem uczucia. Z tej przyczyny uważamy każdą Polkę za patryotkę i niepotrzebujemy się pytać czy nią jest?

Gdy mieszkańcy Betulii zastraszeni opowiadaniami Achiora [2]) o sile wodza Assyrów, obradowali i uradzili poddanie, piękna Judyt, stała z boku i niewdając się w rozumowania, powzięła zamiar oswobodzenia miasta. Modliła się, pościła, i poszła zdjąć głowę Holofernesowi.

Gdy Francya, najechana przez Anglików, upadała pod naciskiem broni wrogów, a słaby Karol VII ważył się z smutnemi myślami zupełnego poddania się, gdy możni kłócili się i przecho-

[1]) Nr. 2 „Niewiasty“ z dnia 14 Stycznia 1861.

[2]) Biblia starego zakonu. Księga Judyt.

dzili na stronę wroga: Dziewica z Dom Remy przyszła z wiarą w swoje objawienie, i na czele hufców oswobodziła ojczyznę.

Gdy oblężeni w Trębowli Polacy chwiali się w duchu, w obliczu jawnego niebezpieczeństwa, dzielna Chrzanowska wystąpieniem swojem zadecydowała, opór i zwycięztwo.

Wszędzie, gdzie kobiety patryotycznie występują w historyi, widzimy na nich jednąż i tę samą cechę, cechę nieskończonego poświęcenia, zapału, cechę wyłącznego panowania serca. To serce niezbadane, niezgłębione wydobywało w chwilach stanowczych tyle energii, tyle cudów, że zawstydzało rozum i wolę męzką.

Dla tego to w starej Helladzie na trójnogu Apolla siedzi dziewica Pytia, wieszcząca w szale natchnienia losy Grecyi.

Dla tego germańskim ludom prorokują *Walkyrie* przed bojem. Dla tego w bajecznych naszych dziejach stoi promienna postać Wandy, obrończyni i męczenniczki narodowej idei przeciw obcym.

Powiedzieliśmy, ile nam się zdaje, że potęga niewieściego ducha polega na jego spójności, na łączności wszystkich sił jego która się w każdym czynie niewieścim objawia. Mężczyznę rozbija świat: świat każe mu zdobyć sobie nowy porządek ducha, każe rozumowi iść naprzód, każe innym siłom słuchać jego potężnej komendy. U niewiasty niedzieje się to nigdy, choćby na pozór zdawała się najzimniejszą, najroztropniejszą i trzeźwą. Przyjdzie chwila, która sztucznie naprzód wysunięty rozum odepchnie i obudzi tę siłę najpotężniejszą jej ducha, którą ludzie nieprzyzwoicie instynktem nazwali, a która właściwie jest natchnieniem. Rodzaj tego natchnienia zależy naturalnie od moralnego stanowiska kobiety.

Ta spojność ducha niewieściego, to natchnienie szczęśliwe, które w danych chwilach kieruje jego czynami, czyni że patryotyzm niewieści zupełnie od męzkiego się różni. Jeżeli męzki jest czynnym objawem wewnętrznego poczucia powinności, ciągłem działaniem i występowaniem z powziętych przekonań, to niewieści jest stałem usposobieniem uczucia, które wiernie przechowuje święty ogień miłości ojczyzny, rozszerza swe dobroczynne do koła ciepło, a w stanowczych chwilach wybucha płomieniem często wtenczas, kiedy względy rozumu lub słabość woli przytłumiły w płci drugiej obowiązek, nawet i honor.

Taka jest posada niewieściego patryotyzmu, takiem jest najwłaściwsze, jego pole, najwłaściwsze bo naturalne. Nie zajęcie *efemeryczną polityką*, nie szermowanie doktrynami socyalnemi, i ich propaganda są zadaniem kobiet patryotek: ich zadaniem jest przechowywanie

świętego ognia miłości ojczyzny, strzeżenie ołtarza honoru narodowego, pilnowanie skrzętne właściwości zrosłych z duszą narodową. Zadaniem patryotyzmu niewieściego jest wyrobienie i postępowanie tego natchnienia właściwego duszy kobiecej, które z rodzajem jasnowidzenia, każdej chwili odgaduje tajemnicę czasu, i w posłuszeństwie poświęcenia poddaje się rozkazom głosów świętych, któremi duch narodowy do serc swych wiernych przemawia.

Zadaniem patryotycznej dziewicy jest we swój ideał kochanka i męża włożyć warunki dobrego obywatela i żądać wypełnienia tych warunków od szukających jej łaski. Ten ideał uchroni ją od złego wyboru, ten ideał może jednego człowieka więcej publicznej dać sprawie.

Zadaniem patryotycznej żony jest podtrzymywać działalność męża, współczuć z nim w domu, stać mu się krynicą odżywienia i zapału ogniskiem. Niewiasta co nie umie być gotową do poświęceń, jest ołowiem u nóg męża [1]).

Zadaniem patryotycznej matki nareszcie jest wyhodować w dzieciach święte czucie miłości ojczyzny. I to jest największa i najświętsza strona tej działalności, strona nad którą szerzej się rozwodzić nie widzimy potrzeby. To tylko powiemy, że wpływ matek na wychowanie narodowe dzieci niepowinien się ograniczać na samym wdrażnianiu gołych słów, malujących patryotyczne przekonania i usposobienie rodziców; że ten wpływ powinien mieć formy systematycznie pojętego i przemyślanego obowiązku. Trzeba syna wychować dla idei narodowej, starać się o jego tęgość fizyczną i moralną, o przeniknienie każdego jego czynu myślą powszechnego dobra. Trzeba być śmiałą i niehamować przedwcześnie krwi młodej rozwagą i obawą: bo trzeba być gotową, aby go poświęcić, kiedykolwiek.

Ale nie na tem ogranicza się działalność kobiety. Ma ona swoje wielkie wpływy jako nadawczyni tonu, jako aprobatorka zwyczajów, jako stróżka dawnych pamiątek rodzinnych, ba nawet jako zabierająca miejsce na kanapce w salonach wielkiego świata. Jej magiczny, bo niewidzialny, bo niedający się otrząsnąć wpływ, działa na młode pokolenie w świat wstępujące, na jego godność, powagę lub zlekkomyślnienie zupełne, na jego moralność lub niemoralność. Słowo rzucone z kanapy salonu, ma często znaczenie słowa spadłego z trybuny. Dobry przykład jednego poczciwego

[1]) Świadkiem Marya Kazimiera.

a znakomitego domu działa silniej, niż niezliczone kazania moralne w pismach peryodycznych zawarte...

Chcielibyśmy artykuł nasz zakończyć zastósowaniem go do obecnej chwili. Niejedna skłonna do emancypacyi czytelniczka westchnęła może w duszy, czemu to kobiety niejeżdżą na deputacyę? Moje Szanowne Panie, działalność wasza w ogólnym ruchu może być większa i silniejsza, niż wszystkie deputacye i deklaracye! Rzućcie się do reform w duchu patryotycznym: pozbądźcie się ostatków, (mówię, że *tylko* ostatków) dawnych grzeszków obczyzny, francuskiego gadania i czytania niepotrzebnych ramot, pracujcie w języku i literaturze polskiej: a poprzecie potężnie nasze domagania się o język narodowy; zwracajcie naszych towarzyszy i przyjaciół na drogę obywatelskiej pracy i poświęceń, a zbudujecie nam reprezentacyą silną i niezłamaną. Wychowujcie dziatki wasze nie na paniczów, nie na papierowe lalki; ale na mężów żelaznych, a zapewnicie nam przyszłość, w której nie będzie potrzeba deputacyi. Wygnajcie z pomiędzy siebie, co obce! niegodne was, choćby używane dotąd, a starajcie się się szerzyć między sobą i nami zamiłowanie do tego, co swojskie i narodowe! A wtedy, moje Panie, czołem przed wami, bo zrobicie wiele, więcej może niż my, żyjący efememeryczną polityką.

Salon jako czynnik społecznego życia. [1])

Natrąciliśmy już w innym artykule wstępnym p. t. *Patryotyzm Niewieści*, o znaczeniu salonu w społecznem i towarzyskiem życiu, powiedzieliśmy, że jedno słowo, rzucone z kanapy przez znakomitą osobę, ma często więcej wpływu, niż słowo rzucone z katedry lub trybuny. Dzisiaj chcielibyśmy tę rzecz szerzej rozwinąć i uzasadnić.

Towarzystwo niewieście jest niezaprzeczenie jednym z głównych czynników wychowania męzkiego. Nie dla tego tylko, że to towarzystwo jedynie zdoła nadać młodzieży zgrabność ułożenia, delikatność i grzeczność w obejściu, ten szyk wielkiego świata, za jakim się ugania tyle płytkich umysłów; ale dla tego, że wpływ potężny

---

[1]) Nr. 8 „Niewiasty“ z dnia 25 Lutego 1861.

niewieściego ducha nieobrachowanem jest dobrodziejstwem dla ducha męzkiego, to jako siła podniecająca wszystko szlachetne i dobre przez chęć wrodzoną podobania się płci pięknej, to jako siła powstrzymująca rozbujałość namiętności, czy to osobistych i prywawatnych, czy publicznych.

Niewiasta jest harmonią, niewiasta ma dążenie do piękna. Ta jej właściwość czyni ją niezbędną dla płci drugiej, dobijającej się harmonii indywidualnej i towarzyskiej wśród burz świata, potrzebującej zatem chwil, w których ta harmonia widomie przed jej oczami w postaci niewiasty występuje.

Od niepamiętnych czasów wykonywały kobiety tę wielką missyę estetycznego wychowywania ludzkości. Starożytny Greczyn szukał harmonii duszy kobiecej u boku wykształconej hetairy małoazyatyckiej, a nucąc z nią pieśni liryczne rozkoszował w krainach klasycznego piękna. W mieszkaniu Aspazyi greckiej schodzili się najsławniejsi mężowie ateńscy: Perykles, Sofokles, Fidyasz i nawet Sokrates. Była to nieszczęśliwa i niemoralna podług dzisiejszych pojęć konieczność, konieczność wypływająca z prozaiczności i głupoty kobiet ateńskich. Mężczyzni lgnęli do Aspazyi, bo w domu mieli Xantyppy.

Rzymianka, zamknięta w świętem familijnem kole, nieotwierała salonu. Ale, już za czasów burz społecznych słyszymy o kobietach rzymskich, wpływających potężnie na życie towarzyskie i społeczne. Słyszymy o Korneliach, Porcyach, Kalpurniach, żyjących całą pełnią życia historyi i wpływających na mężów i synów. Gdy ten wpływ potężny stracił swoje podstawy moralne, widzimy podczas wojen domowych w gyneceach kobiet arenę spisków niebezpiecznych, a w czasach Cezarów węzły tej sieci intryg i kabał dworskich, które splątały cały szeroki świat, zdobyty mieczem dawnych Rzymianów.

Chrześciaństwo podniosło i uszlachetniło niesłychanie misyą kobiety pod tym względem. Pierwszy raz wystąpiła kobieta z indywidualnością swoją: bo wyznała swoją wiarę i pieczętowała ją krwią swoją. W społeczności pierwszych chrześcian odgrywają kobiety ogromną rolę, rolę apostołek domowych, rolę wyznawczyń publicznych. Najpierwsi święci kościoła kształcą się w ich towarzystwie. W pismach ojców kościoła znajdujemy częste wzmianki o ich potężnym wpływie, a stosunki św. Hieronima, wpływ św. Moniki na św. Augustyna znajome są całemu światu. Toż się dzieje i w epoce nawracania świeżo przybyłych ludów. Królewne i księżne, raz dla wiary chrześciańskiej pozyskane, czynią z swego pomieszkania

oratoryum, w którem i mąż się z czasem modlić naucza. Prawie w każdej historyi nawrócenia narodu stoi na czele święta królowa, jak Klotylda we Francyi, Olga na Rusi, Dąbrówka i Jadwiga u nas. Równocześnie cesarzowe Bizantyńskie goszczą u siebie dyspuntantów przeciwnych teologicznych systemów, mieszają się w kwestye religijne i historycznemi w nich stają się czynnikami.

Z apostołki i wyznawczyni, niewiasta średnich wieków stała się w biegu czasu rycerską damą, ideałem rycerza, sędziną i nagrodzicielką jego waleczności i cnoty. Ona to łagodziła jego namiętną naturę spojrzeniem swych pięknych oczu, przypominała mu obowiązki względem siebie barwami swemi, barwami, w których chodził; dodawała ognia jego czynom, budząc w nim marzenie o nagrodzie, którą otrzyma. Ona wyprawiała go i powracającego z wyprawy krzyżowej witała, ona zasiadała na balkonie przy szrankach, ona z nim przy biesiadach i zgromadzeniach rozmawiała i bawiła się, podczas gdy minstrel śpiewał i grał im pieśni o wojnie i miłości. Nic piękniejszego nad średniowieczną tę część dla kobiet, nic piękniejszego nad szlachetny rodzaj ich wpływu. Nieprzeczymy, że może niemało było śliskości w tych stosunkach, że Toggenburgi niebyli wszyscy tak ascetyczni jak Szyllerowski, że cour d' amour Eleonory francuskiej, jak i ona sama nie były wolne od nagany; ale to pewna, że te stosunki wzajemne, tak piękne, tak poetyczne, były — i są dotąd podstawą uobyczajenia europejskiego. Cour d' amour były to pierwsze salony, gdzie błyszczała piękność i dowcip kobiet, dzielność i szlachetność rycerstwa, gdzie się łączył obyczaj, nauka i sztuka ówczesna.

W czternastym i pietnastym wieku, z „dworów miłości i pieśni“ tworzą się powoli pierwsze salony dworskie. Może one niedosyć obyczajne, może niedosyć czyste; ale działają zawsze potężnie, jako dźwignie intellektualne. Po Dantem, który szereg wielkich i szczytnych kochanków zakończył, a zakończył ubóstwieniem Beatryczy, nieśmiertelnego typu apoteozy niewiasty z wieków rycerskich, następuje Petrarcha, poeta z dworu sławnej i osławionej Joanny Neapolitańskiej; Boccacio, ubóstwiciel Fiammety sycylijskiej. Inny czas, inni ludzie. Dworska gładkość i czupurność, staje na miejscu powagi rycerskiej — nie ma Ryszardów z lwiem sercem, tylko awanturniczy rycerz, jak Jan z Brienny lub Jan Czeski. Dobrym typem ówczesnym jest także i Wilhelm, narzeczony Jadwigi naszej.

Niewiasta zbliża się także do dworskiej ogłady szesnastego wieku, rośnie w wykształcenie bellestrytyczne. Wysoka jej powaga

słabieje. W całej pełni widzimy to na dworze Franciszka Igo i spółcześnie w wysoko wykształconych Włoszech. Sieci intrygi dworskiej dostają się na nowo w jej ręce, a typami niewieściemi szesnastego wieku stają się: piękna i nieszczęśliwa lecz płocha Marya Stuart, przewrotna Katarzyna Medycejska, i emancypowana namiętna Elżbieta angielska.

Nie kreślimy dalej naszego obrazu. Wiadomo każdemu jaką rolę odgrywały kobiety za czasów Ludwika XIV i XVgo w epoce panowania salonu. I dzisiaj ten wpływ nie jest mniejszym, widzi go każdy; lecz chodzi o to, aby go użyć na dobre, aby salon stał się dobroczynnym w życiu towarzyskiem i społecznem.

Jedyną do tego drogą jest, aby salon wychodził z pewnej myśli, z pewnej zasady, niebył przypadkowością lub koniecznością mody i tak zwanego dobrego tonu; ale, aby miał pewną missyą, pewne dążenie, właśnie jak miał dążenie pewne każdy staropolski dom gościnny, w którym się młodzież lepiej niż w zakładach Jezuitów, i Pijarów wychowywała.

Oczywista rzecz, że skoro mowa o polskim salonie, na którym honory czynią polscy gospodarstwo; myśl, i zasada tego salonu powinna być polską, narodową, obliczoną nawet na szerzenie i umacnianie tego, czego kraj sobie życzy, co kocha, powinna rozniecać narodowy obyczaj i narodowego ducha. Braku tej przewodniczącej myśli niezastąpi najpyszniejsze przyjęcie, najwykwintniejsze i najmodniejsze urządzenie salonu.

Jesteśmy ludźmi i mimowolnie spoglądamy do góry. Zły przykład z góry idący, uśmiech ironiczny nad czemś, co na śmiech niezasługuje; słówko lekceważące, wyrzeczone o rzeczach popularnych, dla tego, że są popularne, którem się często, tak zwana wyższa sfera odznaczać lubi: działa paraliżująco na liczne słabiuchne serca i głowy, nauczone słuchać pozytywku poruszonego na górze. Wiadomo także, jak bardzo wpływają na opinie różnice położenia społecznego i namiętnostki społeczne, jak często krzyk terrorystyczny z ulicy zacina ironicznie usta salonowych jego słuchaczy, uprzedza ich do tego, co przypadkiem zaplątało się na ulicy: chociaż nie na ulicy, ale w duszy narodu rezyduje. Oby nigdy podobnych nieporozumień nie było w naszych salonach!

Marzyłem zawsze i marzę o prawdziwym polskim salonie. Wyobrażam sobie familię zamożną, czcigodną, zasłużoną w kraju, która otworzyła dom i serce wszystkiemu, co szczerze i sumiennie o dobrze kraju myśli, niepatrząc, czy przodkowie jego byli starożytną szlachtą, czy nie. Wyobrażam sobie w tym domu nie pano-

wanie mody; ale staropolskiego obyczaju, obwiązującego wszystkich do grzeczności i uprzejmości, do uszanowania dla starszych i kobiet, obowiązującego do tego zachowania się, które dzisiaj zbyt wygodna młodzież *żenującem* nazywa. Wyobrażam sobie, że w tym salonie niesłyszę słowa po francusku, niewidzę tremblante polki, trottezy i lansyera; ale stary polonez, mazur cięty, kadryl zresztą jako środek odpoczynku i drabant humorystyczny to mi się rwą, to suną przed oczyma. Widzę jak się tworzą kółka, traktujące o kwestyach czasu, jak gospodarz i gospodyni odżywiają rozmowę i kierują ją ku sprawom obywatelskim. Widzę, jakiego tam dobrego przyjęcia doznaje każda myśl dobra, każde przedsięwzięcie szlachetne, z jaką otuchą wychodzi każdy skromny a nieśmiały pracownik wielkiej pracowni narodowej... Widzę oczyma ducha i radbym doczekał się takiego salonu...

STARE KSIĄŻKI

I

DAWNI LUDZIE.

POSTRZEŻENIA HISTORYCZNO-LITERACKIE.

Rozprawę tę ogłosił Szujski w dzienniku „Hasło“ we Lwowie. Nr. 39. 40. 41. 42. z dnia 1. 4. 6. 8. Września 1865 roku. Umieszczamy ją w tej seryi pism Szujskiego, bo strona polityczna budzi tu większy interes niż historyczne wywody.

I.

„Nic nowego pod słońcem“ i znowu: „Nic się w świecie nie powtarza“ — oto dwa stare przysłowia na pozór sprzeczne, a przecież uzupełniające się nawzajem. Obu prawd nie czujemy nigdy żywiej, jak przy rozpatrywaniu przeszłości, jeżeli odetchnąwszy z pod nawału materyalnego badania, postawimy się obok pokolenia żyjącego i posłuchamy tego tajemniczego tętna, które w żyjących bije w takt życiu umarłych. Przekonamy się wtedy, z niemałą serca pociechą, jak wielką jest potęga tego niewidzialnego ducha, który wieje z natury ojczystego kraju, z geograficznego jego i klimatycznego położenia, obejmuje w sobie pamięć przeszłości, tradycyą pokoleń, i jako opiekuńczy anioł niańczy każde plemię, kolejno po sobie następujące, wyciskając na niem piętno jego pochodzenia. Ale przekonamy się także z niemałą grozą i trwogą, jak w coraz innych formach powracać lubi i unieśmiertelniać się zwykło złe przeszłości, jak Nemeza historyczna dotyka wnuków nie tylko karą za winy naddziadów, ale każe w nich pokutować złemu aż do jego poznania, wykorzenienia i expiacyi.

Gdyby nam wolno było stawiać horoskop i kreślić drogi dla historyografii przeszłości, nie wahalibyśmy się strony tej etycznej postawić na czoło jej usiłowań — a głębobą znajomość każdej chwili obecnej, głęboki wgląd w duszę narodową, jaką jest w czasach historyka, nazwać pierwszem i najbogatszem jego źródłem, kluczem do przeszłości. W takim razie byłaby dzisiejsza nasza analiza historyczna, składająca z zbutwiałych źródeł, pstrokatą minionych wypadków mozaikę, elementarnem tylko do dalszych twórczych badań przygotowaniem, szkieletem, na którym umna ręka nałożyłaby ciało, wydobywając z niego głos nauki i przestrogi moralnej. Wtedy też historyografia ta nie będzie się zamykała w pewnem zaklętem kółku badań i uciekała trwożnie przed dniami bliższymi: pójdzie ona śmiało rozumowaniami i obrazami do dnia wczorajszego, jak chodziła za

czasów Herodota, Tucydydesa i Tacyta. Przestanie być szkolną umiejętnością, zbiorem hipotez i kłótni uczonych o daty i wypadki, a stanie się ową starożytną, cycerońską: *Vitae magistra.*

Zanim się to stanie, zwłaszcza, że nam wiele do tego brakuje, bo nawet dostatecznej analizy dziejów — pozwólmy sobie od czasu do czasu natrącić coś o przeszłości w piśmie, które z powołania swego teraźniejszością zajmować się musi. Dobry początek dał już na tej drodze najznakomitszy malarz dziejów naszych swoim „Cieniem Władysławowym", którym przyozdobił fejleton „*Hasła*". Bacząc zaś na naturę dziennika, owej jednodniówki literacko-politycznej, która wzlatuje rano z pras drukarskich, aby odlecieć z dobrą lub złą wieścią, zawsze jednak z poczciwą myślą prenumeratorów umysły, wieczór zaś, zgasnąć jako fidibus do fajki, albo w najlepszym razie ponurzyć się w pyle starych papierów u systematyczniejszych czytelników: chwyćmy się metody urywkowej, okolicznościowej — wchodźmy w nowożytnem usposobieniu w rupieciarnię historyi i literatury, a jeżeli znajdziemy pożyteczną jakąś uwagę, spostrzeżenie ważniejsze, notujmy je obok spraw bieżących na pożytek duchowy.

Wiem szanowny czytelniku, że jako dobry chrześcianin nie wierzysz w metampsychozę, chociaż w ostatnich czasach i u nas znajdowali się nowi adepci tej nauki, a nawet wielki nasz Juliusz Słowacki oparł na niej swój poemat: O królu duchu, a w wierze, że jest awatarą Kalderona, przetłumaczył księcia niezłomnego, niezawodnie tak dobrze, jakby to sam Kalderon nauczywszy się naszego języka lepiej zrobić nie potrafił. A jednak, szanowny czytelniku, nie narzucając ci bynajmniej wiary w ten indyjski dogmat, użyję go jako przypuszczenia i nazwę metampsychozą historyczną, ów objaw analogicznych a przecie różnorodnych postaci, powtarzających się od pokolenia do pokolenia, owe symptomata odmienne treścią a jednakie duchem i tłem moralnem, których nieprzerwana nić od przeszłości aż do naszych ciągnie się czasów.

Sławną niegdyś była buta, swoboda, sierdzistość i nieznoszący nierówności społecznych duch demokratyczno-niwelacyjny szlacheckiego stanu. W pierwotnej czystości należałoby go szukać gdzieś za czasów Kazimierza Jagiellończyka i Zygmuntów, za dni cerekwickiego i gliniańskiego rokoszu, gdy masa szlachecka wzrastała groźno nad senatorów głowy, gdy rządnością i ruchliwością rozpierała się w kraju tak silnie, że najznakomitsi ludzie dziejów naszych, Batory i Zamojski, w niej podstawy dla przyszłej, niestety niewykonalnej budowy szukać musieli. Ducha jej szukać w cudownym pism Rejowskich humorze, wesołości w jego figlikach i fraszkach Kocha-

nowskiego, świadectwa jej działania w rozroście sadyb szlacheckich na południowym Rzeczypospolitej krańcu, w spolszczeniu Litwy i Rusi, w odparciu germańskiego żywiołu, w potężnej walce z Moskwą, w literaturze pełnej samorodnej siły, w instytucyach pełnych indywidualizmu i zaufania w samych sobie. W wiekach następnych już ona nie ta sama: traci powoli tę ufność w siły własne, tę ruchliwość przyrodzoną, smakuje w użyciu, kontemptacyi, domatorstwie, z współzawodniczki panów schodzi na ich dworzanina, z przedsiębiorczości wojennej na wewnętrze swary, z prowadzicielki królów dzieli się na świty prowincyonalnych królików, a dawną jej swobodę zastępuje hulaszczość, szukająca zalania wewnętrznego mola, zagłuszenia wewnętrznego głosu przestrogi, albo łatwiejszego pola popisu, skoro już głowy i serca do trudniejszych zabrakło. Dzisiaj zadziwia ona wielkością cnót pozostałych, które w ogniu probierczym nieszczęścia nowego nabrały blasku, zadziwia zaletami, które ją czynią nieocenionym tradycyi narodowej przechowywaczem, ale nie znajdziesz w niej już owej buty czasów pierwotnych, ani owej swobody myśli i ruchu, ani przedsiębiorczości, znajdziesz ją o smętnem obliczu i z wieczną skargą na ustach, przystępną wprawdzie zapałowi, ale przystępniejszą jeszcze opuszczeniu rąk i znużeniu.

A jednak owa właściwa narodowi buta i sierdzistość czasów Jagiellońskich nie znikła z polskiej ziemi. Znajdziecie ją — u polskiego chłopa usamowolnionego. Jeżeliście się mu bliżej przyjrzeli, zgodzicie się łatwo, że to niewolnik o potulnej wdzięczności dla tych, którym wolność przypisuje, to potęga, która przychodzi do świadomości. On więc, on jest metampsychozą historyczną, w innych niestety okolicznościach, tego przełomu możnowładczej i monarchicznej Polski na republikańską i szlachecką. Taż sama w nim nieufność ku władzy i wyższym od niego, a zaufanie w sobie, tenże sam duch niwelacyjny, nielubiący społecznej hierarchii, taż sama chęć rozwielmożnienia się, taż sama niezaszczepiona, ale samorodna idea wszechwładztwa własnego. Taż sama swoboda w jego ruchach i duma, że nie powiem pycha w obejściu, a nawet skłonność do wad tych samych, do biesiad i pieniactwa. Taż sama, co dawniej, droga do jego serca i umysłu: prawość, popularność, dobre słowo, wyrozumiałość. Oto jedna metampsychoza, nasuwająca nam tyle myśli, groźnych wprawdzie, ale pożytecznych, o ile że z niemi koniecznie rachować się musimy. Jest ona także jednym a posteriori historycznym dowodem więcej, że nie obca krew dała początek szlachcie polskiej, że ona jest rodzimą i swojską jak lud, z łona którego wyszła z czasem na czoło narodu.

Widzieliście Łokietka na starożytnym wawelskim sarkofagu, widzieliście postacie rycerzy i niewiast zdobiących jego, Kazimierza Wielkiego i Jagiełły sarkafagi? Typy tych twarzy, wyrazistych a prostych, znajdziecie tylko między ludem dzisiejszym. Słyszeliście głosy posłów wiejskich na sejmie lwowskim, mówiących za „lisami i pasowyskami“ i polecających „szczob dobre bulo?“ Od takich partykularyzmów i ogólników rozpoczynał się i parlamentaryzm szlachecki, mieszczący w żądaniach rokoszu cerekwickiego sól, drzewo, miód i zniesienie drobnych wydatków sądowniczych. Gdy wolność zapuści korzenie, gdy się oświata pomnoży, żądania zmądrzeją i ciemny horyzont obywatelski rozwidni się przed okiem wieśniaka....

I znowu, aby ruszyć ujemną stronę naszych czasów, a poszukać jej genezy w przeszłości, kogóż nie uderzyła w charakterze naszym narodowym, ta lekkomyślna łatwość przyjmowania na siebie obowiązków obok braku obowiązkowości w ich wykonaniu? Któż nie uważał, że z poczuciem jakiejś siły nieznanej lubimy się podejmować rzeczy, którym podołać nie możemy, które podjęte nużą nas i ciężą nam całym rzeczywistości ciężarem. Któż nie wie, jak nieustannie lubimy zamieniać role i wpadać w robotę drugiego, jak młodzieniaszki nasze mają nieprzezwyciężony pociąg na statystów przed ukończeniem akademii, jak do kierownictwa lub przodownictwa sunie się każdy, nie obrachowszy się z siłami, zapał ku publicznemu dobru, ambicyę lub lekceważenie drugiego, zmysł krytyczny wreszcie, który na całem dziury wyszukiwać umie, biorąc za systematyczną wiedzę i rozumienie przedmiotu. Czemuż przypisać całe pokolenie politycznych, literackich i ekonomicznych samozwańców, głuszących jak chwast bujny pszenicę pracy i zasługi, pokolenie krzykliwe, natrącające się wszędzie, wciskające się oknami i drzwiami do każdego bodaj najtrudniejszego przedsięwzięcia, które odsunięte rzuca się rojem na godniejszego współzawodnika i nie pozwala mu dokonać tego, co wykonać umie i może. Rodzoniuteńki to przez metampsychozę historyczną synek owego wadliwego rozdawnictwa wakansów w Rzeczypospolitej, na mocy którego krzesła i znaki godności szły domami, względami, intrygami, dworowaniem a nie rzeczywistą zasługą, dla którego powstawały w Rzeczyposlitej srogie swary i kłótnie domowe, które Czarnieckiemu przysądziło buławę na łożu śmierci, a „pierzynie, dziecinie i łacinie“ oddało komendę piławieckiej wyprawy. Od owych to przyzwyczajeń upadającej Rzeczypospolitej datuje się zasada „nie święci garnki lepią“, przeszkadzająca wyrobieniu się w kraju powag i przodowników. Jakoż uroszczenia te acz rozbiły już zapory hierarchii społecznej, acz niekoniecznie herbowym

lub karmazynem być trzeba, aby im ulegać, uroszczenia te, mówię, najwłaściwsze w pewnych przynajmniej czasach karmazynom naszym, a one to wzniecając kwasy i nieporozumienia w społeczeństwie, przybliżają zwykle chwilę, w których gorąca żądza politycznego życia i politycznego ruchu, parta zewnętrznemi przyczynami, wzbiera nakształt szumiącego potoku i zalewa nasze niwy groźną powodzią samozwańczych, na własną rękę polityków. I oto drugi ważny rys przeszłości, unieśmiertelniający się szkodliwie w teraźniejszości, strona bolesna i szkodliwa, na którą nie ma lekarstwa prócz gruntownej nauki, głębokiego wejścia w siebie, wyrobienia wygórowanej, sumiennej obowiązkowości — aby wreszcie przyjść do panowania zasługi, rzetelnej pracy i uzdolnienia.

Podaliśmy wam dwie analogie na próbę, nie trudno nam będzie o trzecią, nie mniej wymowną, chociaż blisko z przeszłą spokrewnioną. Zbadaliście ten wybujały indywidualizm w przeszłości naszej, który stał się przyczyną wszystkich wielkich objawów, ale zarazem i upadku Rzeczypospolitej, ów indywidualizm, który pozwolił Żółkiewskiemu czterema tysiącami jazdy rozprószyć 100.000 Moskali pod Kluszynem, ów indywidualizm homeryczny, bohaterski, który z cynicznem zuchwalstwem dawał tejże Moskwie carów samozwańców, prowadził wygnanych hospodarów na tron mołdawski, zapędzał się z Lisowczykami nad Ren, a Kozaka pół-szlachcica gonił na przedmieścia carogrodzkie? Ten to sam, który przeszkadzał odwiecznie stać się silnem państwem szlacheckiej Rzeczypospolitej, który broniącej *„viritim“*, kazał *„viritim“* obierać króla szlachcie, który stanowił prawo *„unanimo nobilitatis consensu“* a z czasem wykierował to prawo na polityczny dziwoląg: wolnego niepozwalam. To niby Twardowski, wyzywający dyabła samego do niebezpiecznej walki, Twardowski, który stracił duszę, skoro go zahaczono za słowo szlacheckie, za ustawę, którą nazwał źrenicą wolności, która zdawała mu się tryumfem jego pomiędzy ludami świata, bez której, jak bluźnił wielokrotnie, Rzeczypospolitej polskiej już nie będzie. Czy myślicie, że ten wygórowany, aż do wolnego niepozwalam, idywidualizm, nie znalazł swojej metampsychozy? Oto znalazł ją w wyższem, szlachetniejszem, ekspiacyjnem dążeniu. To dążenie pędziło go w legiony na ziemię włoską, przyprzągało do tryumfalnego Napoleona wozu, kazało mu obsiać całą ziemię krwią i kośćmi. W tem dążeniu atoli zachował on, bodaj tylko do ostatnich lat, bo te ostatnie lata lekarstwem być winny, cały ów wygórowany i ślepy kult idei z przeoczeniem jej wykonania, możności, niebezpieczeństw, słowem, całej jej materyalnej strony. Spływała ona na głowę każdego pojedyńczego, powolując go

do stanowienia o losach powszechności, narażała się na tysiące klęsk, powierzając się rękom niedoświadczonych, dzieciom i niedorostkom, psując w wyścigu ku celowi normalny i zdrowy postęp i odrodzenie społeczeństwa. Jak przed upadkiem Rzeczypospolitej kult wolności, tak po upadku ten drugi kult, posługiwał się łatwowiernie nadziejami w pomoc i wspaniałomyślność obcą, lekkomyślnemi kombinacyami polityczemi, posługiwał się pierwszy teoryą rzymskiej republiki, drugi teoryą rewolucyi i jej środków. Nadużyto sowicie świętości obu idei, uczyniono je płomienną pochodnią, zapalającą z łatwością nagromadzony palny materyał. A jeżeli trudno sercu polskiemu potępić pierwszych grzeszników, o ileż trudniej drugich!....

Nic więc nowego pod słońcem, powtarzamy — wszystko z przeszłości snuje swój wątek cnoty i winy, szlachetne kierunki i zboczenia. To, co było wyłącznym przymiotem lub wyłączną wadą uprzywilejowanych, udziela się w miarę rozszerzenia obozu narodowego przystępującym do niego siłom. Udziela się, któż tego nie widział? nawet obcym żywiołom, skoro dłuższy czas zamieszkują ziemię naszą. Tu jest niepożytość nasza, tu potęga odziedziczonej po ojcach cywilizacyi bardziej ludzkiej, bo więcej indywidualizm wyrabiającej, bardziej ludzkiej, bo tchnącej wolności duchem, a ztąd niewidomą siłą przyciągającej do siebie. Ale jeżeli w ten sposób jesteśmy jednem ogniwem w dziejowym łańcuchu, nie zapominajmy, że to ogniwo nie tylko ze starych składa się pierwiastków, że ono przetopione być powinno w ogniu dzisiejszego doświadczenia, przy świetle naszej wiedzy i oświaty, że obowiązani jesteśmy wieńcom chwały ojców odrzucić wieniec chwały własnej, (a na chwałę głośniejszą nie zawsze, na chwałę cichą wobec Boga i narodu zawsze, zarobić można) — a sen grobowy dziadów uspokoić ekspiacyą własnych grzechów, któreśmy po nich odziedziczyli.

A teraz, powiedziawszy wam kilka ogólnych spostrzeżeń, zdejmijmy z półki kilka starych książek, z różnych wieków, których treść posłuży nam do bliższego rozpoznania ostatniego objawu. Powiemy coś o teoretykach, utopistach wolności polskiej — mianowicie zaś o Andrzeju Maximilianie Fredrze i Feliksie Wielhorskim.

II.

Duchowi wolności zawdzięczają dzieje Rzeczypospolitej wszystkie swoje tryumfy na polu cywilizacyi; jego owocem jest unia z Litwą,

egzekucya praw za Zygmunta Augusta, tolerancya dysydenckiego żywiołu, prąd ku nauce, sądownictwo obieralne, polityka zewnętrzna wybitnie przeciw despotycznemu zwrócona sąsiedztwu. W ostatnich dziesiątkach lat szesnastego wieku ułożył naród, wbrew intrygom obcym, cały swój program polityczny, odepchnął kandydatury austryackie i moskiewskie, postawił zasadę wolnej elekcyi na czoło swoich prerogatyw, zwrócił się całą siłą przeciw Moskwie. Uosobistnieniem tego programu był najznakomitszy mąż stanu i wojownik owych czasów, pogromca Iwana Groźnego, Zborowskich i Maksymiliana, Jan Zamojski.

Obejrzawszy się na ówczesny stan Europy, nie można się uchronić od pewnego uczucia dumy, porównywując go ze stanem Polski. Jest pewne tytaniczne zuchwalstwo w tych zarysach olbrzymich, niebezpiecznych, które naród kreślił dla przyszłości swojej, w tej odżywającej w bezkrólewiu udzielności narodowej, która urząd królewski w coraz cieśniejsze zamykała granice, która temu królowi odebrała miecz kary, zostawiając mu tylko dłoń pełną nagród dla dobrze zasłużonych. To też trudno sobie dzisiaj wyobrazić ową niesłychaną dumę i zarozumiałość, jaka na schyłku szesnastego wieku była najwybitniejszą cechą charakteru narodowego, ową przedsiębiorczość na zewnątrz a nieukruconość na wewnątrz, ową pogardę dla narodów niewolniczych, jakiej szczególnie Moskale w czasie zamieszek po śmierci Iwana Groźnego i Godunowa doznali. A jednak dobre tylko rozpatrzenie się w tej rajskiej swobodzie ówczesnej, a demonicznej dumie wolnych Polaków tego czasu, wytłumaczyć nam zdoła to ślepe, namiętne, nieoglądające się na nic przywiązanie do tradycyjnych zdobyczy, do złotej owej koleby republikanizmu polskiego. Przez długie następnego ucisku wieki nie znano innego westchnienia, jak za owemi czasami, nie znano innych życzeń, jak powrót do nich. Każdy burzliwy statysta sejmikowy nosił w zanadrzu konstytucye lat owych, z których mu jednę tylko wysunął gorliwy spowiednik, konfederacyą 1773 r., gwarantującą wolność dysydentom.

Powiedział Montesquieu w „Duchu praw", iż monarchie stoją honorem, despotyzmy postrachem, rzeczypospolite cnotą. Przed nim wypowiedzieli to wielokrotnie Polacy. Cnota owa, winna u rzeczypospolitej zastąpić oba środki dwóch innych form politycznych, jako obowiązkowość powinna zastąpić postrach, jako gotowość do obrony skutecznej, uczucie honoru i ambicyi, propagowane przez tron w monarchiach. Jednemu i drugiemu przeszkodziła Polsce wewnętrzna rozterka między królem i narodem, rozpoczęta groźnie za czasów Zygmunt III, rozterka zwracająca pieczołowitość obywatelską

wyłącznie ku zachowaniu prerogatyw i wolności. Rozterka ta podniecana nieustannie przez intrygę obcą, przez możnowładcze ambicye, znajdująca obfity pożywioł w egoiźmie i chciwości a sprzymierzeńca w upadającej oświacie, skazała społeczność polską na obracanie się w błędnem kole między dwiema ostatecznościami, które ją mogły usunąć, formą republikańską bez króla i formą monarchiczną bez wszechładzwa szlachty sejmującej. Wśród tej rozterki ustało wszelkie działanie polityczne na zewnątrz, a rozpoczęła się bierność i uległość gospodarująca wpływom obcym. Rzeczpospolita zdobyła się zaledwie na jedno pole działania uczuciem wyższem, bo uczuciem wiary natchnione, na walkę z Turcyą.

Po tym krótkim wstępie zwrócimy uwagę czytelnika na kilka objawów literackich, będących właśnie wypływem owego błędnego koła polskiego. Pochodzą one z obozu braminów wolności, bo programy przeciwne nie pojawiły się naturalnie nigdy i utonęły na zawsze w tajemnicy gabinetów królewskich. Najśmielsi przyjaciele monarchizmu nie śmieli się rzucać wyraźnie na wolnomyślne Rzeczypospolitej instytucye, a przerażeni swawolą, odwoływali się tylko do tradycyi pierwszych czasów jagiellońskich, czasów .Zbigniewa Oleśnickiego i hierarchii duchownej, czasów, kiedy sejmy nie trwały dwu „niedziel". Tem szerzej rozpisywali się za to kapłani kultu wolności, pewni poklasku i popularności. Jednym z najznakomitszych między nimi jest Andrzej Maksymilian Fredro, kasztelan lwowski, zmarły na województwie podolskiem r. 1679.

Fredro należał do najuczeńszych i najzacniejszych ludzi swego czasu. Jako cnotliwy senator używał on powszechnego miru w ojczyźnie, jako wyborny pisarz łaciński doczekał się rozgłosu i za granicą. Życie jego polityczne przypadło w najkrytyczniejsze dla Polski chwile, a nazwisko jego spotykamy w dyaryuszach obrad narodowych, w których może najwidoczniej występowały błędy wewnętrznego Rzeczypospolitej ustroju.

Po śmierci Władysława IV widzimy Fredrę na burzliwym sejmie elekcyjnym, radzącego gorliwie o całości zagrożonej Rzeczypospolitej. Gdy paniczny strach przed Kozakami pędził senatorów za granicę, gdy ładowano szkuty bogactwami i posyłano do Gdańska, a dobrowolne ofiary na wojsko szły jakoś leniwo, wyrzuca Fredro, podówczas jeszcze nie dygnitarz (stolnik lwowski) grzeszną senatowi obojętność, ofiaruje całą swoją substancyę i woła: „Niechaj wyjdę żebrakiem, byle ojczyzna była całą!" Jakoż niepośledni musiał być udział Fredry w obronie i ratowaniu Rzeczypospolitej, gdy go zaszczycono najwyższym szlacheckiego zaufania dowodem, laską mar-

szałkowską na sejmie 1652 r. Marszałkowanie to poszło nie fortunnie; sejm r. 1652 jest pierwszym sejmem, zerwanym przez jednego posła, posła z Upity Sicińskiego. Marszałek z płaczem żegnał izbę poselską, ale nie uchwycił sposobności, aby korzystając z niepraktykowanego dotąd przykładu, wykazać straszność „*liberi veto!*“ Gdy się rozpatrzymy w jego pismach, poznamy, że jest jakiś fatalny związek między pierwszym śmiałkiem, który sam jeden odważył się zerwać sejm przeciw woli wszystkich, a marszałkującym Fredrą, który kult wolności podniósł do najwyższej apoteozy.

W r. 1653 otrzymał Fredro kasztelanię lwowską. Jako senator nie zmienia on zdania i trzyma się daleko od dworu. Memoryał Cailleta podany dworowi francuskiemu w r. 1662 mówi o nim: „Pan Fredro jest uczonym raczej, niż mężem stanu, dla tego mało go używają. Jest on wielkim mowcą, a jeżeli nienawidzi Francyi, nie mniejszą jest jego nienawiść ku Austryi. Lubi mówić śmiało, i posiada nie mały wpływ na Rusi“. Jakoż w r. 1661 na pamiętnym sprawą elekcyi Kondeusza sejmie, Fredro jest pierwszym, który w obszernej mowie wykłada niezgodność tego projektu z prawem krajowem i daje posłom podolskim Powalskiemu i Leduchowskiemu powód do zerwania sejmu. Pan Caillet pomawia go, że jest narzędziem marszałka Lubomirskiego, niesłusznie jednak, bo skoro Lubomirski rzucił się na króla i szukał pomocy Austryi, Fredro nie popiera więcej jego sprawy i usuwa się od ówczesnej zamieszki. Jeżeli mówił na sejmie 1661 r., mówił nie jako przyjaciel marszałka, ale jako chodzący statut, jako wcielona wolności polskiej teorya.

Podobną jest rola Fredry za panowania króla Michała. Zdawałoby się, że ruch ówczesny szlacheoki powinienby go całego pozyskać, ale widział Fredro za nadto jasno nikczemność obecnego króla, roboty Austryi, anarchiczność ruchu konfederacyi gołąbskiej, a jako Rusin, dzielił jej do Sobieskiego sympatye. Na sejmie elekcyjnym po abdykacyi Jana Kazimierza występuje on z oryginalnym projektem. Widząc grożącą burzę, radzi on powierzyć wybór króla losowi, radzi do puszki od komunikantów włożyć imiona kandydatów, aby trzechletnie dziecię przyszłego pana z niej wyciągnęło. Pobożna ta loterya nie zyskała aplauzu, wybór uskutecznił się innym, fatalnym trafem. Tem gorliwiej przemawiał za to Andrzej Maxymilian Fredro za wyborem Jana Sobieskiego w r. 1674. Wzorowy porządek i prawność elekcyi musiały zachwycać starego już podówczas kasztelana i najpiękniejsze budzić i w nim nadzieje. Kilka zbawiennych jego myśli o piechocie łanowej, o koloniach na pograniczu tureckiem, znalazło poklask u króla i chwilowo przynajmniej przyjętemi

zostały. W r. 1677 otrzymał Fredro województwo podolskie po Bełżeckim. Dwa lata potem umarł Fredro, syt literackiej i obywatelskiej chwały [1]).

Wyznamy szczerze, że nie wszystkie dzieła Fredry, pomimo starań, dostały się do rąk naszych. Nie znamy jego księgi p. t. „*Vir consilii*“ (wyd. r. 1730), nie znamy jego „*Monita seu axiomata belli ad harmoniam togae accomadata*“ (wyd. 1668), które zresztą specyalna tylko umiejętność wojskowa ocenić by mogła. Nie możemy przeto powiedzieć ostatniego słowa o pisarzu, zwłaszcza że „*Vir consilii*“ ostatniem jego jest dziełem. Rysy nasze zbieraliśmy tylko z powszechnie znanych przysłowiów, niemniej z łacińskich dzieł „*Scriptorum seu togae seu belli notationum fragmenta, Peristromata regum* (kobierce dla królów), *Monita politico moralia*“, które to ostatnie dziełko, za granicą wielce poszukiwane, wielokrotnych doczekało się wydań.

Trzeba przyznać panu Cailletowi, że się nie pomylił, mówiąc o Fredrze, że jest uczonym raczej niż mężem stanu. Sądem tym scharakteryzował on, bezwiednie może, wszystkich doktrynerów polskiego republikanizmu, którzy podziwiając wspaniałą jego teoryę, przeoczali jego zgubność dla państwa polskiego. Ztąd zamiast szukać środków pogodzenia go z warunkami państwa, umiakowania i określenia w miarę potrzeb, duch polski pozostał w niemem jego uwielbieniu i szukał tylko ostatecznych środków utrzymania wolności. Po strasznych burzach wojny kozacko-szwedzko-moskiewskiej, gdy wedle świadectw spółczesnych, dwór i stronnicy dworu, przekonawszy się o potrzebie reformy, nosili się z myślą uchylenia przyszłego bezkrólewia i innych zmian na korzyść władzy tronu, Fredro widzi jedno tylko niebezpieczeństwo wolności, nie widzi niebezpieczeństwa państwa. W r. 1659, kiedy już Marya Gonzaga za ulubioną myślą żywota, adopcyą Kondeusza, krzątać się poczęła, uczony nasz kasztelan, w ciszy wiejskiego żywota, pobieżnem a pompatycznem piórem kreśli bezkrólewie po Zygmuncie Auguście i wybór Henryka Walezyusza, wydaje dzieło swoje tegoż roku, niby piśmienną prostestacyą przeciw projektowi królowej. Nie turbując się wiele o ścisłość historyczną, robi on z pracy swojej rodzaj broszury politycznej, mającej olśnić naród blaskiem jego prerogaty-

[1]) Do tych rysów biograficznych dodajemy wiadomości z Niesieckiego o chorągwiach kosztem Fredry pod Beresteczko i Zborów posłanych, o poselstwie do Węgier niebezpiecznem (zapewne w r. 1655), o restauracyi kościoła OO. Reformatów w Przemyślu.

wy, przypomnieć mu świetne chwile, garnącej się ze wszystkich stron kandydatury najznakomitszych książąt europejskich, a zarazem przerachowanie się na kandydacie francuskim. Tegoż roku wychodzą jego: „Zapiski z czasów pokoju i wojny“, aforyzmy polityczne, stanowiące razem wyznanie wiary wolnego szlachcica polskiego. Dziwna zaiste rzecz, że przywiązany do ojczyzny senator, niedawno marszałkujący sejmowi, zerwanemu przez jednego zuchwalca, mówi w zapiskach gorliwie przeciw głosowaniu większością a za *„liberum veto“*, że świadek haniebnego najechania Polski w r. 1655 i następnych, przestrzega przed zakładaniem twierdz, jako niebezpiecznych dla wolności, a uderzając w projekt Maryi Gonzagi, widzi w obiorze następcy za życia króla walny zamach na wolność; dziwna rzecz, że chwilę po doznanem, srogiem upokorzeniu narodowem, obrał na przechwalanie się doskonałością instytucyj, które podobny skutek koniecznie sprawić musiały.

Ależ bo pan Andrzej Maxymilan Fredro należy razem z masą szlacheckiego narodu do owych optymistów, którzy wierzą w potęgę słowa i propagandy moralnej, którzy pełni dobrych zasad i poczciwych chęci, pełni zdań i sentencyj, łudzą się dobrodusznie, że te zdania, te zasady cnoty wystarczą na wykorzenienie złego, na odrodzenie społeczeństwa, że wolność obudzi godnych wolności mężów, że społeczność powrócić może w stare koryto bez przymusu, bez gwałtownych wstrząśnień, bez groźby i kary. Jako antidotum przeciw niebezpiecznym teoryom wolności, które wygłaszał, daje więc Fredro w Zapiskach, w Przysłowiach mów potocznych i w łacińskich Monitach obfite skarby przestróg, napisowej treści sentencyj, zbawiennych aksiomatów i spostrzeżeń. Tutaj jego prawdziwa wielkość, tu właściwy mu żywioł. Wszystkie te spostrzeżenia i aksiomata są z gruntu swojskie, rodzime, z ojczystych zebrane stosunków, a powagą, jędrnością, trafnością, powabem epigramatycznego wysłowienia stają godnie obok najpiękniejszych starożytnych sentencyj. Jestto niby rozbita na tysiące kosztownych klejnotów mądrość owa narodowa, która w szesnastym wieku tworzyła cuda, a w rozbiciu jeszcze imponowała pięknością i doborem. Wszędzie też przebija się w nich głęboka tęsknota za tą staropolską całością, za tym ideałem minionym, niechęć ku nowym cudzoziemskim mędrkom, nieznającym natury kraju, ku gorliwcom, którzy nieuważnie naprawiając, psują Rzeczpospolitą, pragnienie wreszcie, aby powstał Polak

starożytnego geniusza, któryby Polskę na dawne drogi skierować potrafił [1]).

Niestety! ruch ten w duchu Fredry, ruch do idealnej jakiejś staropolskości, zawitał wprawdzie niebawem, bo konfederacya gołąbska widoczną jego nosi cechę, ale zawiódł oczekiwania autora i nie wytworzył owego geniusza spodziewanego. Dążenia reform upadły, ale nie zajaśniała dawna świetność w zachwianym Rzeczypospolitej domu.

Nie skutkowały więc złote zdania Fredry a zaszkodziły jego ostre na wszelką reformę pociski. Kierunek jego utrwalił się i żył nawet w późniejszych, gorszych czasach. W chwilach, gdy interwencya obca stanowczo zwyciężyła, spotykamy podobniuteńkiego do niego optymistę w kuchmistrzu W. lit. Wielhorskim autorze dzieła: „O przywróceniu praw dawnych".

III.

O wiek cały po Andrzeju Maxymilianie Fredrze spotykamy duchowego jego wnuka w Michale Wielhorskim, kuchmistrzu wielkim litewskim. Pomimo szczerych poszukiwań, nie zdołamy czytelnikom naszym podać dokładnego życiorysu tego ze wszech miar charakterystycznego człowieka. Wielhorscy (Wielohorscy, Wielogórscy) pochodzili z województwa bracławskiego, powiatu winnickiego; pod tą rubryką spotykamy ich podpisanych na elekcyach i w kalendarzykach. Pierwszy historyczny występ naszego Michała, już kuchmistrza litewskiego, datuje się z r. 1762, z słynnego zamieszką o indygenat Bryla, sejmu warszawskiego. Należał Wielhorski do stronnictwa dworskiego, które było wtenczas stronnictwem Potockich i hetmana Branickiego, a w ustawicznej z Czartoryskimi walce zostawało. Jako

[1]) Oto kilka charakterystycznych zdań i przysłowiów: Trudno w Polsce o Polaka, trzebaby Dyogenesa z latarnią, aby go znalazł. Nowi Polacy, cudzoziemskie smakując rady, domowe sobie zmierzli porządki, nowych nie dokażą, a stare zatracą, nie uratuje Polski tylko z starym geniuszem Polak. Najpierwsza cnota pana, znać się na poddanych. Gdy nie może onych do swego sposobu nakierować, raczej swój sposób sprawowania do ich natury niech kieruje.

Żądajże tu ktokolwiek głosowania większością (mówi w Notacyach), czyliż wśród większości złych dobrzy nie doznają ucisku, czyliż nie zniszczy się robota dobrych, a nie stanie to, czego chcą źli, czyliż nie stanie się, że dobrzy w mniejszości będący, nie będą mogli dobrego przeprowadzić a złemu przeszkodzić!

taki podpisuje się Wielhorski na manifeście usprawiedliwiającym zerwanie sejmu przez Szymakowskiego, posła ziemi ciechanowskiej, obok Karola Radziwiłła, Ignacego Bohusza, Fryderyka Bryla, Potockich, Rzewuskich i Ossolińskich. Po śmierci Augusta III dzieli on losy i wyobrażenia partyi hetmańskiej. Na sejmie w roku 1766 występuje z Feliksem Czackim jako mowca opozycyi.

Wiadomo, że Stanisław August czynił na tym sejmie pierwsze ku przeciwnikom kroki, aby się z nimi przeciw przewadze Rosyi w sprawie dysydentów połączyć. Wiadomo z drugiej strony, że poseł Rosyi i samodzierżca Polski, podówczas wdał się po raz pierwszy w konszacht z opozycyą przeciw królowi. Domagając się wstrętnych narodowi praw dla dysydentów, stawał on współcześnie za *liberum veto* i przeciw reformom Czartoryskich. Ludzie ambitni, niemogący znieść wyższości umysłowej i politycznego zwycięstwa Czartoryskich, ludzie tacy, jak Jerzy Mniszech i Teodor Wessel, poszli chętnie na tę wędkę, nie turbując się o przyszłość ojczyzny; mizerni politycy, ale poczciwi w gruncie ludzie, połknęli ją, sami nie wiedząc kiedy.

Do takich należał Karol Radziwiłł „Panie Kochanku“ i przeważna część marszałków przyszłej konfederacyi radomskiej, którzy, poznawszy co się święci, podnieśli potem konfederacyę w Barze. Michał Wielhorski nie był ani przewrotnym jak pierwsi, ani naiwnym jak drudzy. On, jak niegdyś Andrzej Maxymilian Fredro, był doktrynerem, utopistą wolności polskiej. Na sesyi dnia 18 Listopada 1766, gdy kanclerz Zamojski dla opamiętania opozycyi, odczytał zbiorową notę Benoita i Repnina za *liberum veto*, wskazując niejako zgromadzeniu, jak nieprzyjaciel mierzy w tę piętę Achillesową Polaków, Wielhorski wyjeżdża z rozumowaniem, przypominającem żywo owe uwagi o wolności w „Notacyach“ Fredry. Zażegnywając burzę i perswadując rodakom, że mieszanie się Rosyi niebezpiecznem nie jest, mówi: „Bać się nie mamy czego, bo *„aequilibrium“* europejskie nas broni; to *„aequilibrium“* musi się starać o utrzymanie naszej wolności, bo gdybyśmy ją stracili, Polska mogłaby mu się stać straszną“ (!). Charakterystyczne to słowo nie jest bynajmniej właściwym samemu Wielhorskiemu bzikiem, stanowiło ono grunt, na którym się opierały ówczesne dyplomatyczne nadzieje.

Rok 1767 przyniósł konfederacyę radomską. Repnin wykazał, że rozumowanie Wielhorskiego było fałszywe, że słabi zamiast względów, doznają prześladowania od czynników europejskiego *„aequilibrium“*. Nie mogło się to Radomianom pomieścić w głowie

i o dziwo... przeważna część oddawała się słodkiej nadziei, że wszystko, co im dolega, owe aresztowania, grabierze, egzekucye, gwałty sejmików, dzieje się bez wiedzy wspaniałomyślnej imperatorowej, w skutek samowolnego postępowania Repnina, podbechtanego przez króla Jegomości. Podzielał tę nadzieję nasz Wielhorski, bo z Pociejem strażnikiem litewskim, przyjął jako najzdolniejszy dyplomata Radomian, ambasadę do Petersburgu z plikiem grawaminów na króla i posła rosyjskiego, ułożonych w tajemnicy przed tym ostatnim. Skutek tego poselstwa był dla oszukanych konfederatów radomskich i naczelnego ich polityka księcia „Panie Kochanku" ostatnią deską zbawienia, a zaślepienie ich było tak wielkie, że w nadziei zwalenia całej roboty repninowskiej pisali się na limitę sejmu, a nawet, porwanie senatorów, królowi tylko i Repninowi przypisywali.

Udziałem Michała Wielhorskiego było, doznać pierwszego, srogiego w tym względzie rozczarowania. Posiadamy ciekawy opis dyplomatycznej misyi naszego kuchmistrza. Z gołębią łatwowiernością tłumaczył polityk Wielhorski ówczesnemu kanclerzowi Rosyi Paninowi, który był — mówiąc nawiasowo — bliskim Repnina krewnym, zasady Rzeczypospolitej i prawa jej tylekroć przez króla i Repnina pogwałcone. Za każdą razą oświadczał przekonanie, że carowa żadnego w tych gwałtach nie ma udziału.

Przedstawiał potrzebę skasowania komisyi skarbowej i wojskowej i określenia rozdawnictwa wakansów. Panin odpowiedział bezczelnie:

— „We wszystkiem naród będzie ukontentowany, może więcej niżeli się spodziewa; książe Repnin nie oddali się nigdy (!) od tych środków, które nietylko powszechną całego narodu wolność, ale też każdego w szczególności bezpieczeństwo ocalić i zachować będą sposobne!"

Takiemi odpowiedziami, przesyłanemi skrzętnie Radziwiłłowi, pocieszał Wielhorski czas jakiś, pod strażą pułkownika Karra trzymanego „Panie Kochanku". W końcu wszakże przebrało się miary, a dnia 26 Grudnia 1767 donosi Wielhorski:

— „Nie możemy, jak tylko rzetelnie wyznać, że rezolucya, determinacya lub ułożenie czegolwiek, wcale od nas tu przytomnych nie są zawisłe.

Pierwszych dni Stycznia 1768 wrócił Wielhorski do Polski, aby w konstytucyach delegacyi odczytać rezolucye imperatorowej. Rozczarowanie skutkowało. Kuchmistrz wielki litewski chwycił się roboty barskiej. Gdy się generalicya w Białej utworzyła, powierzono

mu ambasadę do Francyi, której nie opuścił aż do końca barskiego związku. W Paryżu miał on doznać drugiego rozczarowania. Choiseul homeopatyczną tylko udzielał generalicyi pomoc. Upadek jego (w końcu roku 1770) wpłynął na większą jeszcze oszczędność. Pomimo tego dokładał Wielhorski wszelkich starań w sprawie ojczystej. On zjednał dla konfederacyi Dumourieza, który najpiękniejsze jego patryotyzmowi oddaje pochwały. On wpłynął na swego szwagra, hetmana Ogińskiego, że, acz późno, podniósł na Litwie sztandar powstania. Gorliwy o rozgłos sprawy uciśnionego kraju za granicą, ogłosił w roku 1770 manifesta Rzeczypospolitej skonfederowanej w Paryżu. Gdy konfederacya upadła, a pierwszy podział Polski nastąpił, nie wracał zbolały Wielhorski do kraju. W roku 1775 ogłasza on w Londynie dzieło swoje: „O przywróceniu dawnego rządu Rzeczypospolitej", które w tymże roku zjawia się w polskiem wydaniu bez miejsca druku.

Trzeba przyznać, że nauki rosyjskie nie poszły u Wielhorskiego, jak to mówią, w las. Jeżeli w roku 1766 bronił *liberum veto*, to obecnie rozmyśla o powściągnięciu tego nadużycia; jeżeli w roku 1767 układał się z Paninem o formę Rzeczypospolitej, to obecnie jest żarliwym nieprzyjacielem gwarancyi moskiewskiej. Zagrzebany w starych kronikach i zbiorach praw polskich, wychodzi on często po radę do publicystyki europejskiej, bada księgi Loka: „O rządzie cywilnym i początku społeczności politycznej", zasięga rady Jana Jakóba Rousseau, autora „Umowy społecznej" i księdza Mably, autora „Prawa publicznego".

O ile widać z przemowy wydania z roku 1775, dzieło Wielhorskiego było jeszcze podczas trwania konfederacyi barskiej pisanem. W manuskrypcie podał je Wielhorski do użytku Janowi Jakóbowi Rousseau z prośbą, aby napisał swoje uwagi. W ten sposób powstała rozprawa Rousseau'a: „*Considerations sur le gouvernement de la Pologne, et sur la reformation projetée*". W ostatnich chwilach konfederacyi rozprawa ta była już w rękach konfederatów.

„Czytanym był ustawicznie Rousseau" — mówi Wybicki w swoich pamiętnikach — a ustęp, który cytuje, jest właśnie ustępem z „Uwag nad rządem Polski".

W wydaniu dzieła Wielhorskiego z roku 1775 powołuję się autor kilkakrotnie na rozprawę Russa, która w roku 1772 wydaną została. Można przeto dzieło Wielhorskiego i rozprawę Russa uważać za projekta reformy, wywołane przez konfederacyę, a o ile Wielhorski był luminarzem i bardzo popularnym u konfederatów człowiekiem, za rodzaj politycznego ich programu.

Co zaś przedewszystkiem w dziele Wielhorskiego uderza, to ów wyłączny ku wewnętrznym sprawom Rzeczypospolitej kierunek jego myśli i rozumowań. W czasach tak krytycznych dla Rzeczypospolitej zdawałoby się, że myśl jego patryotyczna zwrócićby się była powinna ku sposobom wydźwignięcia Polski z ciężącego na niej wpływu rosyjskiego, ku odbudowaniu jej znaczenia politycznego w świecie, czy to przez obmyślenie znaczniejszej siły zbrojnej, czyli przez wzmocnienie powagi tronu. Zdawałoby się, że człowiek, który tyle złego widział w narodzie, który sam wielokrotnie gorzko na anarchię narzeka, który wreszcie przeżył pierwszy podział Polski, przyjść był powinien do przekonania, że dawne, rojone czasy świetnej Rzeczypospolitej wrócić się nie mogą, że dwuwiekowy upadek zanadto ciężły na pokoleniu, aby to pokolenie samem ich wspomnieniem się odrodzić mogło. Nachodzi też Wielhorskiego, republikanina, mara jedynowładzwa, czuje on, że ono jedno mogłoby skutecznie złemu zaradzić, ale odpycha je od siebie i mówi:

— My Polacy, którzyśmy wolność w rozpustę zamienili, ażaliż będziemy mogli przywyknąć do posłuszeństwa tym rozporządzeniom, tym nakazom, do których się bynajmniej przykładać nie będziemy? Braliśmy dotąd rozpustę za wolność; czyliż dziś niewolę za porządek weźmiemy?... W którąkolwiek spojrzymy stronę, widzimy lud już dawno podbity; ztąd zamiast przykładu, zamiast rady, zamiast wsparcia, samej szczególnie nabieramy trwogi. Wszystko nas ostrzega i nagli, ażebyśmy troskliwie wolności naszej pilnowali, jako kosztownej, a w nas jeszcze pozostałej reszty, przyrodzonego rodzajowi ludzkiemu daru".

Ustęp ten tłumaczy nam dostatecznie zajęte przez autora stanowisko. Do zamiłowania wolności szlacheckiej przystąpił u Wielhorskiego motyw wyższy, ludzki, zaczerpnięty z ówczesnej filozofii politycznej, poprzedzającej rewolucyę francuską. I oto, jak politycy francuscy marzyli o jakimś stanie natury, do którego ludzkość powrócić powinna, Wielhorski zamarzył o przywróceniu dawnych praw polskich.

Rozpoczyna więc dzieło historycznym tych dawnych praw wywodem. Opowiada za Kromerem dzieje Lecha i dwunastu wojewodów, odnosząc przywileje i udzielność szlachecką do przedpiastowskich gdzieś czasów. Wyłuszczywszy następnie główne udzielności narodowej punkta, przechodzi w rozdziałach: o mocy prawodawczej, władzy wykonywającej, sejmikach powiatowych i generalnych, o sejmie i królu, nadużycia, które starą Rzeczypospolitej formę skaziły. Do takich liczy *„liberum veto"*, rozdawnictwo urzędów

w rękach królewskich zostające, zaniedbanie sejmików generalnych, nieposzanowanie instrukcyi poselskiej i dożywotność dygnitarstw. Tutaj podsuwa Wielhorski głosowanie większością (reformę jak wiadomo Czartoryskich), podawanie kandydatów przez naród (za którem przemawia Leszczyński w „Głosie wolnym“ i Konarski w dziele: „O skutecznym rad sposobie“), cztery komisye wykonawcze (reformę tychże Czartoryskich) i nową elekcyi formę wychodzącą z corocznego głosowania na kandydata następcę po sejmikach powiatowych. Głównej zaś zmiany na lepsze spodziewa się autor od nowego sejmików i zjazdów generalnych rozwoju, pragnąc, aby wszyscy posłowie wojewódzcy głosowali zbiorowo, podług instrukcyi sobie danej. Wszystkie te projekta reformy ubiera wreszcie pleśnią starości, starając się dowieść, że tylko z biegiem czasu zapomnianymi zostały.

Oto krótka treść dzieła Wielhorskiego. Skończywszy je, zamarzyć słodko, że uratował wolność od despotyzmu, że współbraciom nakreślił ideał, który ich do nowego życia zapali, dawne grzechy w nich wytępi, stanie się pobudką rozumu i cnoty republikańskiej. W istocie, wybudowany przezeń gmach można nazwać misterną i piękną budową. Na czele piramidy społecznej stoi król bez władzy ujarzmiania i bez sposobu przekupywania narodu. Corocznie, podług projektu Wielhorskiego, głosuje bracia szlachta na sejmikach gospodarskich, aby mu dać następcę, rodowitego Polaka, jednego z wysłużonych i zacnych dygnitarzy. Gdy umrze, elekcya niepotrzebna; senat otwiera skrzynkę z wotami ostatniego roku [1]), rachuje je i ogłasza następcę. Nie ma więc zabiegów obcych, nie ma intryg, i zamieszek wewnętrznych. Na sejmie, który o wszystkiem stanowi, posłowie są tylko biernymi wykonawcami woli województw, większość tej woli rozkazuje. Nie może więc poseł uledz przekupstwu, bo nie może indywidualnego wypowiedzieć zdania. Dygnitarz ustępuje z miejsca co lat kilka, a podczas urzędowania swego musi starać się o popularność, aby po raz drugi urząd otrzymał. Prawdziwa to Ikarya wolności, owa marzona Wielhorskiego Rzeczpospolita! Przyjdzie może czas, w którym szczęśliwa przyszłość szukać w niej będzie skarbów wiedzy politycznej. W czasach wszakże, w których tak wielu było Ponińskich, a tak mało Reytanów, pozostała ona tylko papierem — tylko książką nie czytaną!

---

[1]) Przypominamy tu projekt Fredry odprawiania elekcyi zapomocą losowania.

Przeczytał ją wszakże z pilnością Jan Jakób Rousseau i zapalił się do niej. Autor „Umowy społecznej“ ujrzał z podziwem układ istniejącej Rzeczypospolitej oparty na tej samej niejako zasadzie, którą despotycznie rządzonej Europie przedstawiał. Przyjaciel usamowolnienia politycznego jednostki, wyznawca woli ludu, spotkał się z instytucyami, w których ta jednostka rozkazywała, z dziełem, które na reformie sejmików prowincyonalnych opierało głównie reformę zanarchizowanego kraju. Przedsłannik rewolucyi francuskiej i nowego, na „prawach człowieka“ opartego, porządku rzeczy, pogromca władzy „z łaski bożej“ i feodalizmu, ujrzał swoją teoryę w organizmie odwiecznym, który umierał na zbytek tego, czego brak w Europie przyszłe przygotował wstrząśnienia. Dziwny to był zaiste lekarz, którego do umierającej Polski wezwano. Dziwne też było i lekarstwo, które jej podawał.

Uderzyło go najprzód, że owa Polska, znana i okrzyczana anarchistka, rozpadająca się po kilka razy w każdem stóleciu, wśród państw europejskich, które pomimo mądrego swego układu chylą się do grobu, zachowuje siłę młodzieńczą, domaga się reform i praw, jak gdyby się dopiero co urodziła. „Dzielni Polacy, mówi, uważcie, abyście zamiast poprawić, nie pogorszyli waszego losu. Chcielibyście złamawszy pęta, połączyć pokój despotyzmu ze słodyczą wolności. Obawiam się, że chcecie rzeczy sprzecznych. Spokój i wolność nie zgadzają się z sobą, trzeba wybierać!“

Radzi więc wybrać wolność, jak radził p. Michał Wielhorski, radzi podnieść podupadłego ducha republikańskiego. „Zdaje mi się, że wam nikt nie będzie w tem przeszkadzał, mówi filozof genewski. Wolność uchodzi u wszystkich dworów za manią wizyonarzy, która osłabia raczej, niż zmacnia państwo.... Gdy więc ujrzą, że Rzeczpospolita polska, zamiast napełniać swój skarb, zamiast zbierać wojska, będzie się starała o obywanie się bez jednego i drugiego, będą szydzić z tej roboty, jako osłabiającej i nie będą jej przeszkadzać. Ale po latach dwudziestu, niechże ci sami Rosyanie spróbują najazdu, a przekonają się, jakimi to rycerzami są owi spokojni ludzie, nieznający użytku pieniędzy, jeżeli chodzi o obronę ognisk domowych!“

Po takiem założeniu roztrząsa Rousseau kolejno sprawozdania i projekta reformy Wielhorskiego. Jeżeli Polak wracał zawsze do utopii pierwotnego rządu, Francuz obraca się koło utopii małej rzeczypspolitej. W rozdziale p. t. „*Vice radical*“ mówi: „Pierwszą reformą, której potrzebujecie, jest reforma przestrzeni krajów waszych. Obszerne wasze prowincye nie zgodzą się nigdy z surową

administracyą małych Rzeczypospolitych. Zacznijcie robotę od ścieśnienia waszych granic, jeżeli chcecie zreformować rząd. Może też i sąsiedzi wasi oddadzą wam tę przysługę! Byłoby to wielkiem nieszczęściem dla prowincyj oddzielonych, ale zarazem wielkiem dobrem dla całego narodu!" Rousseau widocznie uważał Rzeczpospolitą za „*anima vilis*", na której doświadczenia robić można.

Decentralizacya więc jest jego zasadą. „Oddzielcie od siebie Małe i Wielkopolskę, oddzielcie Litwę, a jeżli można, utwórzcie w każdem województwie rząd osobny, starajcie się o federacyą! Jeżeli tego nie uczynicie, wątpię, abyście mogli przyjść do ładu!" Pochwala więc projekt Wielhorskiego, o sejmikach, a mianowicie wszechwładzę instrukcyj poselskich. Radzi, aby *liberum veto* ograniczyć do praw fundamentalnych, a z zapałem mówi o wysokiem znaczeniu konfederacyj, których bliższego określenia żąda. Szczęśliwy Wielhorski znalazł w filozofie genewskim gorliwszego od siebie dawnych instytucyj wielbiciela.

W końcu znalazł w nim obrońcę wolnej elekcyi. „Bądźcie pewni, że skoro tylko ustanowicie tron dziedziczny, wolność wasza przepadnie na zawsze". Podaje więc nowy projekt wyborów, wybór zapomocą losowania jednego z trzech podanych przez województwa kandydatów. Ogrom państwa wstrzymuje go od rady usunięcia króla. Obawa przed utrwaleniem dynastyi podaje mu radę nowego prawa: aby nigdy syn po ojcu następować nie mógł. Tak schodzą się w tej charakterystycznej rozprawie myśli dążącego do rewolucyi zachodu, z zasadami mającej paść ofiarą despotyzmu Polski. Myśl konfederacka sprzęga się z myślą rewolucyjną w długotrwały sojusz.

Naówczas wszakże dzieliło zbratanych ideą całe morze różnicy politycznego i społecznego położenia. Czuł to Rousseau, a podając niebezpieczne rady swoje, nie wierzył, aby Polskę od zagłady uratować miały. Powiedział więc owe słowa: „Jeżeli was zjedzą, niechże was przynajmniej nie strawią". Był to głos, którym rodząca się na zachodzie idea żegnała umierającą na wschodzie tradycyą wolności, głos zawieszający nadzieję pomocy i oswobodzenia na późne kiedyś lata, gdy idea zachodu zwycięży a tradycya pogrzebana dotrwa, gdy ta tradycya siłą swoją dokona tego w latach ucisku, czego w latach żywota nie dokonała. „Powtarzacie, mówi Rousseau, że Polska ma trzy stany, szlachtę, senat i króla. Ja uważam, że te trzy stany są raczej: szlachta, która jest wszystkiem, mieszczanin, który jest niczem i chłop, który jest mniej jak niczem. Szlachto polska, bądź więcej jak szlachtą, bądź

ludźmi. Nie pochlebiaj sobie nigdy, że będziesz szczęśliwą i wolną, dopokąd bracia twoi będą w kajdanach". I oto druga, społeczna różnica, dzieląca konfederata od przedsłannika rewolucyi! Nie śmiał odpowiedzieć na nią Wielhorski radą uwłaszczenia, a proroctwo republikanina spełniło się na jego grobie!

O ile wiemy, nie powrócił Michał Wielhorski do kraju. Kuchmistrzem litewskim został po nim Stanisław Ogiński. W roku 1788 sejm konstytucyjny woła bawiących za granicą Polaków do służby wojskowej, stawia się między nimi Michał Wielhorski, zapewne syn kuchmistrza. Jako generał-lejtnant komenderuje on w bitwie na grobli boruszkowieckiej w r. 1792 a w r. 1794 zastępuje na Litwie Jasińskiego, mniej od dzielnego poprzednika szczęśliwy. Józefa Wielhorskiego spotykamy w legionach.

IV.

Od r. 1775 po 1788 głucha w Rzeczypospolitej panowała cisza. *De iure* rządził król i rada nieustająca, *de facto* ambasador rosyjski. Sejmy były czczemi zgromadzeniami do potwierdzenia czynności rady i nowych wyborów, ułożonych naprzód w gabinecie Sztakelberga. Przewrotni, odziani opieką rosyjską, żelazną dłonią ugniatali naród.

Przy głosowaniu na członków Rady nieustającej, wynaleziono naumyślnie trudny sposób wotowania na rejestrach, gdzie spisane były nazwiska kandydatów, aby uchylić wszystkie, przeciwne woli panującej, pod pozorem, że są błędne.

Pomimo tego, lata owe były bardzo korzystne dla narodu. Jakąkolwiek była rada nieustająca, była ona zawsze rządem i dała narodowi, długie wieki anarchicznemu, wyobrażenie o rządzie. Lepsze jej żywioły, nie poprzestając na protekcyi rosyjskiej, starały się o poklask opinii krajowej przez czynne zajmowanie się tem, czem zajmować się mogły, lub co baczności rosyjskiej uchodziło. Starano się więc o porządek skarbu, postęp przemysłu a nadewszystko o rozwój oświaty. Sam król skutecznie przewodniczył na tej drodze, a uznanie jego działalności kazało zapomnieć winy jego przeszłe.

Był to więc okres ucisku na zewnątrz, pracy organicznej na wewnątrz. Z wspomnieniami konfederacyi ginął świat stary, z upad-

kiem Jezuitów ginął stary wychowania sposób. Zamiast nadziei dyplomatycznych brano z Francyi oświatę jej ówczesną. Tłumaczono Monteskiego, Mablego, Russa, naśladowano w prozie i poezyi Woltera. W wyobrażeniach i zasadach nastał gwałtowny przewrót, groźny tradycyi przeszłości.

Tradycyi powiadamy — bo w rzeczywistości nie istniała już stara Rzeczpospolita. Poseł rosyjski był najwyższym panem, wszechwładzę szlachty zastąpiła oligarchia Rady nieustającej. Złamawszy te więzy, odrzuciwszy gwarancyę Rosyi, należało pomyśleć o nowej formie bytu. Forma ta była nieodbitą, bo jedna tylko mogła zapewnić i utrwalić dzieło oswobodzenia.

Rok 1788 przyniósł stosowną polityczną chwilę. Wojna Rosyi z Turcyą, nieporozumienie Prus z Rosyą, otwierało nową przychylną konstelacyę. Otworzył się sejm konstytucyjny, rozpoczynający *ab ovo* urządzenie Rzeczypospolitej. Zeszedł on się co do czasu z zgromadzeniem notablów we Francyi, które 5 Maja 1789 roku przeszło w zgromadzenie narodowe. *(Assemblée nationale constituante).*

Na rozpoczęcie zmian stanowczych, na wyjście z długiego letargu, rozpoczętego w r. 1775 zgadzały się wszystkie odcienia polityczne i znakomitsze w kraju cnotą i rozumem osobistości. W pierwszych zaraz atoli chwilach objawiła się stanowcza zdań różnica co do polityki zewnętrznej. Wobec wojny tureckiej pragnęli jedni aliansów przeciw Rosyi, drudzy aliansu z Rosyą.

Dnia 15 Kwietnia 1788 pisze Szczęsny Potocki do Ksawerego Branickiego: „W teraźniejszym czasie, stawszy się Moskwie pożytecznymi, moglibyśmy się obudzić!... Już dziesięć razy piszę do króla, że czas jest wywdzięczyć się imperatorowej za koronę, a naród czynniejszym uczynić...“ Radomska ta tradycya czepiła się głów wielkich panów, pragnących łatwego a bezpiecznego zarobku chwały i znaczenia. Była w niej owa milcząca niewiara wybicia się na niepodległość, owo uznanie ujarzmienia jako czynu dokonanego, które nigdy w masie narodu przyjąć się nie mogło. Chcieli więc na czele półków swoich towarzyszyć Potemkinowi do Krymu, aby, zaskarbiwszy sobie łaski carowej, wyjednać wygodne dla siebie w Polsce urządzenia. Zgadzali się milcząco na zmianę misyi Rzeczypospolitej z przedniej kolumny oświaty zachodniej na forpoczt moskiewskiego zaboru. „Żeby moje zdanie było przyjęte, pisze Szczęsny dnia 3 Sierpnia, jużby się entuzyazm (sic) dla Rosyi wzmocnił, a ja sam postawiłbym 10.000 wojska!“

Obok takiej polityki zewnętrznej, opartej widocznie na łasce ujarzmiciela, dziwne myśli chodzą po głowie stronnictwa rosyjskiego aliansu. „Trzeba się starać, pisze Szczęsny dnia 11 Sierpnia do Seweryna Rzewuskiego, aby się Rzeczpospolita po długiem życiu królewskiem rządzić potrafiła, bez bojaźni sukcesyi, ani bezkrólewia. Nie widzę ja nawet, aby to rzeczą nazbyt trudną było, dlatego radbym, aby nie koniecznie stosować się do dawnego rządu naszego, do którego zawsze *regia Maiestas* potrzebna była, ale bardziej rząd stanowić, w którym, gdybyśmy stracili teraźniejszego króla, mógłby być prezydujący bez korony i na krótki czas i aby z każdego województwa kolejno przypadał, nie mając żadnej innej władzy, tylko pierwsze miejsce. Wtedy niebaliby się (oczywiście Moskale) dać władzy stanom Rzeczypospolitej, władza i wolność nie wojowałyby z sobą ustawnie".

Zacytowaliśmy kilka tych ustępów z wierzytelnych kopij listów Szczęsnego, bo one lepiej niż długie rozumowania pojaśniają nam program stronnictwa, później targowickiem zwanego, w pierwszym jego zarodzie. Dyktowała je znowu śmiertelna o wolność obawa, taż sama, która Fredrze kazała utrzymywać *liberum veto* i powstawać na fortece, która w Wielhorskim pocieszała się europejskiem *aequilibrium* a potem mrzonką misternego dawnych praw przywrócenia, w Szczęsnym zaś ratowała się już tylko — protekcyą i tolerancyą Moskwy.

Wolno było Fredrze w cichym zakątku wiejskim pisać utopie swoje za Jana Kazimierza czasów, wolno było Wielhorskiemu biedzić się nad wymacaniem środka między anarchią i wolnością — wybór Szczęsnego między dążeniem do niepodległości a utrwaleniem i rozszerzeniem wolności za łaską Moskwy, między jednowładztwem swojskiem a zagwarantowaną przez obcych i wysłużoną u obcych wolnością, przechylony ku tej ostatniej, był już zbrodniczym tylko, możnowładczym egoizmem, był burzycielstwem wielkiego dzieła odrodzenia, tem bardziej, że nastąpił po zdradzie radomskiej i po tylu innych, krwawych doświadczeniach. Wybór ten nie mógł zwać się instynktem narodowego ducha, bo zfrancuziały Szczęsny lichym był jego przedstawicielem, bo sprzeciwiał się czynnie szczęśliwemu instynktowi większości narodu, który ostatnią pogodną chwilę chciał wyzyskać do swego ratunku.

Takim sposobem, ostatnim doktrynerem polskiej wolności był już nie uczony i zakochany w rzymskich wzorach i w dziejach Zamojskiego senator, nie gorliwy konfederat barski, ale milionowy pan Ukrainy, ostatni z butnych rokoszanów stron tamtych, któremu

nie dobodła narodowa bieda, i który wolność pojmował jako obawę, aby mu swojski król, wystawiony jako sztandar przeciw Moskwie, w rozkosznym nie rozkazywał Tulczynie!...

Obok Szczęsnego spotykamy dwóch hetmanów koronnych. Pierwszy, Franciszek Ksawery Branicki, przyjaciel Szczęsnego od serca [1]), niegdyś powiernik awantur miłosnych króla Stanisława, wódz polskiego zaciągu i Moskali w boju z bracią konfederacką na sejmie 1776 gardłujący za powagą hetmańską, z którą walczył, gdy był hetmanem, Jan Klemens Branicki, z łaski rosyjskiej pan Białocerkiewszczyzny, sławny swego czasu pijak i utracyusz, nie zasługuje, abyśmy się nad nim dłużej zastanawiali. W trójcy targowickiej ajent to Rosyi raczej, niż apostoł starej wolności polskiej. Drugi, Sewerym Rzewuski, syn cnotliwego Wacława, kilkoletni na Syberyi wygnaniec, nie splamiony żadnym przeciw godności narodowej grzechem, mógł był uchodzić z najczystszych motywów za obrońcę swobód Rzeczypospolitej, gdyby w jego głowie nie świtała tradycyjna *idea fixa* o ważności urzędu hetmańskiego, o potrzebie przywrócenia jego prerogatyw. W biblii targowickiej, spółczesnem pisemku Niemcewicza, mówi autor do Szczęsnego o Rzewuskim: „Przewodnik twój jest szalony, we wszystkiem widzi tylko jednę rzecz, tak dalece, iż, gdy inni widzą w miesiącu plamy, on widzi w nim kameryzowaną buławę; tą swoją fiksacyą wszystko ci mięszać będzie". Zdanie to usprawiedliwia się dostatecznie z całego postępowania Rzewuskiego.

Od sejmu r. 1788 pragnie on aukcyi wojska i przywrócenia prerogatyw hetmańskich. Idea dziedzictwa i ustanowienia departamentu wojskowego niszczy jego marzenia. Pokolenie, które go otacza, jest mu wstrętnem, nie chce on rozumieć jego dążeń, narzeka nad jego ślepotą.

Przybiera więc chętnie pozyturę Katona, używa górnolotnego i patetycznego tonu, a w swojem piśmie o „elekcyi i sukcesyi" mówi: „Ktoby to rzekł był kiedy, iżby rzeczy polskie do takiego dojść miały nieszczęścia, aby Polakom przypominać potrzeba, że są wolnymi, aby ich ostrzegać, iż nimi być, przestać mogą. Zaniedbana wiadomość praw i dziejów narodowych, wprowadzony z obcych krajów obcy sposób myślenia, rzucona gęstemi pismami na przodków naszych, na owych twórców wolności i szczęścia naszego obelga, wprawiona w błędy młodzież skłonioną do ochydzenia wolności

[1]) Proszę wierzyć, że szczerze i stale JW. Pana kocham, pisze Szczęsny dnia 15 Kwietnia 1789 do Branickiego.

edukacyą.... wyśmiany dawny rząd i dawne obyczaje, zatarły w Polakach pamięć dawnej ich wolności, uśpiły umysły ich nad bliskiem ich nieszczęściem i tylko pragnącymi nowostek ich uczyniły.... Drżą oni o domy i zbiory swoje i wolą poddać kark w jarzmo monarchii dobrowolnie, niż mężnie stawając przy wolności, puścić podczas bezkrólewia na los niepewny wszystko to, co zbytek z roskoszą złączony w domach ich skupił i ugnieździł. Precz ztąd odrodne Ojczyzny syny, idźcie do obcych skarbić ich łaskę i pogardę, a zostawcie prawym Polakom wolność tę, którą oni ważą nad życie, a której wy ani dobrze używać, ani zachować nie umiecie!...“

Skutek pokazał, kto poszedł „skarbić łaskę i pogardę obcych“. Skutek pokazał, kto kraj do większego doprowadził nieszczęścia, kto w obronie skarbów i zbiorów nieprawnych stanął przeciw tym, którzy chętnie poświęcali wszystko. Blichtr to więc owa patetyczna miłość wolności polnego hetmana, owa pogarda obcej edukacyi i oświaty u człowieka, który zarzucił strój narodowy i co kilka słów gallicyzmy popełniał, blichtr, pokrywający czarną dumę i mściwą obrazę. Nie waha się też Seweryn Rzewuski zakończyć pisma swego zapowiedzią wojny domowej: „Nie wygasła jeszcze w Polakach, mówi, miłość wolności i nienawiść dziedzictwa tronu! Nie będą oni patrzeć okiem obojętnem na ustanowione prawem dziedzictwo, uczują krzywdę Rzeczypospolitej i kto wie? — mogą pójść do oręża! A jako ci, co dziedzictwo tronu ustanowią, nie będą zapewne bez wsparcia, tak i tym, co ją ustanowioną zechcą obalić, na niem schodzić nie będzie. Rozdwoi się więc naród poróżniony, staną przeciw sobie jednej matki dzieci, poniosą na pobojowisko umysł i piersi zagniewane....“

Stronnictwo reformy i dziedzictwa odpowiedziało Rzewuskiemu słowem i czynem. W „Przestrodze dla Polski“ trafnie krytykuje go cnotliwy Staszyc: „JW. Hetman wszedł w wewnętrzne związki narodu z tronem i dowiódł większą użyteczność elekcyi. Lecz nie wchodzi w roztrząśnienie tychże związków przy ustawie gotowego wojska. Wcale zaś nic nie nadmienia politycznych związków innych krajów z nami, które pomimo nas istnieją. One to nas przymuszają mieć królów, których urząd z naturą Rzeczypospolitej nie zgadza się.... Prawda, że następstwo tronu jest jednym krokiem do za[illegible] wolności, ale elekcya królów już jest połową drogi do z[illegible] narodu. Pierwszy naród — potem swobody. Pierwsze życi[illegible] wygoda!“ W „liście o sukcesyi tronu“ Ad[illegible] [illegible]o kamienieckiego, czytamy wiadomość, że [illegible] pisma Rzewuskiego się zajmow[illegible]

pisze Krasiński, że daleko jest łatwiej zaradzić, ażeby tron sukcesyonalny nie mógł się obrócić w absolutny, aniżeli odepchnąć sąsiedzkie potencye, aby nam królów nie obierały". Wykazując czczość prerogatywy, która zamiast stanowić królów z woli narodu, narzucała tylko takich, jakich zagraniczna wprowadziła przemoc, widzi on w przyszłej elekcyi ostatni kres życia Polski, „bo potencye, nie mogąc się zgodzić między sobą, wezmą rezolucyą rozszarpania kraju".

Obawa ta była słuszną, bo opierała się na świeżem doświadczeniu. Mocarstwa zachodnie widząc postępy Rosyi, widząc jej wszechwładzę w Polsce, zwycięstwa jej w Turcyi, dały inicyatywę pierwszego podziału. Zażądały one części tego, co Rosya w całości przywłaszczyć sobie chciała. Po śmierci Stanisława Augusta sytuacya ta musiała się ponowić; Rosya dążyć do wyższego stopnia niezależności, zachodni sąsiedzi zaniepokojeni do nowego jej ograniczenia. Pragnąc dalszego żywota należało raz przeciąć tę sytuacyę, należało objawić ducha niepodległości i z pupila sąsiadów stać się ich towarzyszem i równym. Nie była więc kwestya dziedziczności rzeczą formy, nie była niepotrzebnem zaprzątnięciem czasu obradom sejmowym, była kwestyą życia lub śmierci.

Czuła to ogromna, wyszlachetniona poczuciem hańby, a wzrostem oświaty, większość narodu. Wobec obaw, jakie każdego patryotę niepokoiły, ofiara za ofiarą następowały po sobie nieprzerwanym ciągiem. Szczytne natchnienie, owładające przewodników sejmu, poddawało im rozwiązanie dwóch na pozór sprzecznych zadań: umocnienia państwa przez trwałą władzę królewską, uporządkowania skarbu i wojska i rozszerzenia wolności na uciśnione dotąd warstwy społeczeństwa. Inteligencya nakładała sobie więzy a rozbijała kajdany mas. Uczyniono króla panem, mieszczanina uczestnikiem rządu, chłopa uczestnikiem prawa, uczyniono to wszystko, czego brak powalił Rzeczpospolitą o ziemię.

Staroszlachecka wolność wystąpiła wtedy w postaci egzorcyzmowanego przez dobrych duchów szatana. Sztandar jej niosła duma, samowola i nienasycona ambicya; Szczęsnego zarozumiałość i zgryźliwość Rzewuskiego, cynizm Branickiego, drapieżność Kossakowskich. [illegible] tych przodowników zleciała się cała czereda złodziei publicznych z r. 1775, jurgieltników rosyjskich i pieczeniarzy [illegible] ciały się chmary głupców, nie mogących przenieść [illegible] i gwałtowników, nie mogących znieść rygoru prawa. [illegible] zynach tej czeredy matkobójców pozostała smutną

pamiątką rzadka dzisiaj książeczka, pisana francuską składnią, pełna błędów ortograficznych i gramatycznych, p. t. „Zbiur *(sic!)* aktów konfederacyi targowickiej“ wyskok rozumu i zdolności Targowiczan. Na każdej stronicy ciekawej tej książki znajdziesz obok uroczystych zapewnień patryotyzmu i dobrej woli, piorunujące inwektywy na przeklętych filozofów i demokratów, zaszczepiających przewrotnie z Francyi przyjęte maksymy na ziemi wolnej. Cudowna to zaiste sprzeczność z owym projektem bezkrólewia, wyłuszczonym w liście Szczęsnego a wypowiedzianym w osobnej broszurce wydanej w r. 1790 pod tytułem: „Projekt bezkrólewia wiecznego przez pewnego“. Oskarżenie o jakobinizm przyjęli od Targowiczan Moskale, a każda nota Siewersa plula niem na czoło nieszczęśliwego narodu! Jednocześnie więc nazywano w Europie Jakobinami tych, którzy mordowali króla i wywracali tron i tych, którzy stawiali tron i zaprowadzali jego dziedziczność. Jakże wytłumaczyć sobie tę sprzeczność?...

Miała ona swój głęboki sens, miała sprawiedliwą przyczynę. Przyszła godzina kary i ekspiacyi na dwa wręcz sobie przeciwne, a przecież zarówno grzeszne stany społeczności, na absolutyzm bez granic i swawolę kasty bez granic. Przyszła kara Boża na despotyzm królewski i na despotyzm jednostki politycznej, pomiatającej zarówno dobrem i interesem narodu! Przyszedł termin śmiertelny na tych, co mówią: „Społeczeństwo dla mnie, nie ja dla społeczeństwa!“

We Francyi była ową grzesznicą tradycya absolutyzmu Ludwikowego wypowiedzianego w godle: „*L'état c' est moi*“ — w Polsce tradycya nieograniczonej wolności szlacheckiej, wypowiedzianej w „*liberum veto*“. Konstytucyi 3go Maja twórcy i rewolucyoniści francuscy byli więc zarówno rewolucyonistami, a przedmiotem ich rewolucyi był uzurpator dotychczasowy wszelkiej władzy i siły narodu — utopia wolności szlacheckiej w Polsce, absolutyzm monarchiczny we Francyi. Republikanie Francuzi a monarchiści Polacy schodzili się ze sobą w rezultacie pracy; chcieli dać narodowi to, co mu brakowało, pierwsi wolność, drudzy utraconą przez grzeszną uzurpacyę panów i szlachty niepodległość, obaj zaś życie nowe pognębionym warstwom narodu. Pierwsi wrzeli słusznym gniewem na spodlenie warstw wyższych, drudzy na jurgieltników Moskwy i ciemiężycieli narodu. Naturalna sympatya łączyła oba ruchy, sympatya jedności celów i dążeń narodowych.

Oba też dążenia miały dla sąsiadów jednobrzmiące znaczenie. Rzeczpospolita francuska była porodem nowej idei wolności, monar-

chia polska, konstytucyą 3go Maja przetworzona, była odrodzeniem się tejże idei na starym szczepie. Chwila jeszcze, a dwie te potęgi byłyby się zeszły na gruncie jednej idei i wstrząsnęły całym światem. Zapobieżono temu drugim i trzecim podziałem, a pomoc podał ów absolutyzm jednostki, ów chorobliwy wrzód na ciele Rzeczypospolitej, *liberum veto*, występujące w orszaku królików ukraińskich i jurgieltników moskiewskich — jako związek targowicki.

Ztąd to, szanowni czytelnicy moi, pochodzi instynktowe przywiązanie narodu do konstytucyi 3go Maja, ztąd nazwa jej nadana, testamentu Rzeczypospolitej, ztąd owe dreszcze rozkoszy, które w nas jej wspomnienie obudza, a z których doktrynerya skrajnych stronnictw chce nas jako z choroby wyleczyć. Dzień 3go Maja był rewolucyą naszą, świetną, wielką, szlachetną, szlachetniejszą od francuskiej, bo bezkrwawą. On nakreślił nam drogi przyszłego żywota, on wskazał, jak tradycyę ojców przechować, a winy ich odpłacić mamy. Tradycyą tą była wolność — grzechem jej uszczuplenie w granicach kasty, jej chorobliwe wyrośnięcie nad interes powszechny, jej zboczenie aż do despotyzmu jednostki. Ekspiacyą jej było zrzeczenie się elekcyi, *liberum veta* i wyłączności szlacheckiej, a gdy ta wskutek wyroków Opatrzności przyjętą nie została, naród cały poniósł utratę bytu politycznego, jak Ludwik XVI poniósł utratę życia. Tak to Nemezys historyczna karze każde zboczenie przeciw prawom społeczeństwa, nie pytając o rzekome nazwy rzeczypospolitych czy monarchij, a poświęcając mściwemu mieczowi istotne przewinienia ludzkości.

Nie potrzebujemy tutaj zapewne dodawać, że tradycya 3go Maja pozostała i dla nas tradycyą, że jesteśmy jej duchownymi synami, jak synem jej i pierwszym nowym członkiem Polski jest Tadeusz Kościuszko. Podwójna jej tradycya wolności dla wszystkich i karności wszystkich jest zakonem, którego przekraczanie już tylekroć srogo byliśmy przymuszeni opłacić. Grzechy przeciw pierwszej przyprawiały nas o stratę chwil najszczęśliwszych, grzechy przeciw drugiej rzucały nas na pastwę fatalnym przypadkom. Pierwsze utrudniały rozwój organiczny, drugie grzebały nas na drodze ku niemu w bezdennych przepaściach. Egoizm kasty odżywał tylekroć w bojaźliwym duchu konserwatorów, *liberum veto* w szarlatanizmie konspiratorskim rewolucyonistów. Jedno i drugie składało się na rozbicie jedności narodowego organizmu. Walka ta podziemna odżyła za dni naszych w dziejach nowego targowickiego zamachu, trwożliwej niestanowczości tak zwanego białego i lekkomyślnej robocie na własną rękę czerwonego stronnictwa. Skończyła się bolesna klęska;

balsamem na rany odniesione w niej, może być tylko pilne przestrzeganie wielkiej odrodzenia naszego duchowego tradycyi — duch wolności, zapuszczający korzenie w masy, i duch karności, pilnujący tradycyi i wiary przeszłości, zgody społeczeństwa i nabytków pracy materyalnej i duchowej.

DUMANIA

SAMOTNĄ GODZINĄ.

NIEPOEMATA I NIEROZPRAWY.

Artykuł ten ukazał się w dzienniku „Hasło“ we Lwowie Nr. 83 z dnia 8 Listopada i Nr. 85 z dnia 10 Listopada 1865, bez podpisu autora, uważam go jednak za artykuł Szujskiego ze względu na całą jego treść i formę. Przerwany on jest w Nrze 84 artykułem podpisanym przez Szujskiego „o broszurze p. Popiela“ (który drukujemy niżej). Okoliczność ta da się tem wytłomaczyć, że drugi ten artykuł jako aktualny chciała redakcya jak najprędzej zaraz po otrzymaniu go ogłosić.

I.

Godność narodowa.

Wielki Boże, cóż się to ostatnich lat nie podziało z nami?! Ani okiem objąć strat ogromnych, które narodowość nasza poniosła, ani sercem przenieść bluźnierczego szyderstwa, którem świat oplwał najświętsze idee nasze.

Któż nie rozpaczał, nie wrzał gniewem, nie sromał się na Boga samego ostatniemi czasy! Komuż nie ściskała się pięść, aby przekląć ten porządek świata, gdzie siła i ciało zwycięża a sprawiedliwość i duch potępionym bywa, gdzie strawne żołądki połykają obelgę, aby nie narazić się na szwank w obronie podeptanych praw ludzkości!

Wierzliwych i idealnych spotkała nas sroga, najsroższa jak dotąd, a bodaj ostatnia dezilluzya. Z ogromu nieszczęścia czerpaliśmy nadmiar gorączkowej wytrwałości i zaufania. „Bóg nie dopuści, ludzie nie opuszczą“ brzmiało w duszy najtrzeźwiejszych z pośród nas. Ludzie opuścili — Bóg dopuścił.

Dopełniło się, możemy w Chrystusowe odezwać się słowa. Zadano tysiące śmiertelnych ciosów wierze ojców naszych, a nie było rycerza dawnego szyku, któryby za nią walczył. W twarz cywilizacyi, uobyczajeniu, postępowi rzucono siłę brutalną, zaprzeczono dziesięciowiekową narodowość. Podeptano nogami prawa własności, na których stoi każdy ład społeczny. Jak za czasów Attyli, stało się to, co chciała przemoc. Na miliony ran, na krocie grobów, rzucono szmaty dziennikarskich protestacyj i usprawiedliwień, kilka świstków not dyplomatycznych i kilka obołów miłosierdzia dla głodnych i bezdomych. Dopełniło się!...

Pozostaliśmy sami, około nas szyderstwo, obojętność, tryumf przemocy i zdrady; nad nami Bóg, przesłonięty ołowianemi naszej rozpaczy chmurami. Okopy naszego obozu rozwalone, stosy krwawe na nich, przerażenie w pozostałej garstce. Rozum świata maca nas za puls i kiwa głową, nad upadłymi i schorzałymi brzmi patologiczna prelekcya cynicznej i materyalnej wiedzy tego świata a języka jej używając, możemy zawołać przed rydwanem zwycięzcy; *Morituri te salutant!*

W tym głosie atoli, jako w głosie pierwszych Chrześcian na cyrk wleczonych, jest nasza duma i nasze życie! Jeżeli świat materyalizmu i cynizmu rzucił na nas dekret zagłady, jeżeli się nas zaparł w chwili śmiertelnych zapasów, zaparł się zarazem wszystkiego, co przedstawiamy i co przedstawiać będziemy zawsze na świecie! Mamy zakładniki i rękojmie w konwulsyjnie ściśniętych dłoniach, których nam nikt nie odbierze, których nikt bezkarnie nie obraził. Mamy lary i penaty domowe, których obelga jest świętokradztwem. Z niemi idziemy w dalszy prąd dziejów, pod sąd historyi!

Powaga więc i godność w nieszczęściu, winny być obecnie pierwszymi przymiotami naszymi. Jak Hiobowi, przystoi nam rozmowa z Bogiem i z sobą, bo Bóg najbliższy nieszczęśliwego. Możemy się, i powinniśmy oskarżać przed Bogiem, nie powinniśmy wstydzić się przed światem. Przewinienia nasze są wielkie, rachunek z sumieniem ciężki, droga poprawy trudna i długa, ale rany nasze są uczciwe, przyczyna ostatnia naszych ciosów wielka i szlachetna. Nie cierpimy w skutek własnych tylko, ale także w skutek przewinień przeszłości. Nie własne tylko spłacamy rachunki. Co nas spotyka, jest częścią karą, częścią zaś zasługą naszą a straszną przewiną innych. W innem społeczeństwie, w innej doskonalszej epoce, nie byłby spotkał los tak srogi. Inne, doskonalsze społeczeństwo, wypłacić nam musi długi swoje z obecnej chwili. Przystoi nam więc spokój i powaga na zewnątrz. Przystoi nam duma szlachetna wobec tych, co sprawiali urząd... lub zajmowali stanowisko obojętnych widzów na hecy ludzkiej...

Kto ma bodaj trochę poczucia narodowego lub tylko ludzkiego, ten nie zaprzeczy słuszności uwag naszych. Cóż więc powiedzieć o tych, co nie mieli nic pilniejszego, jak wobec widzów i poganiaczy cyrku, przyjąć na siebie rolę szyderców, poliszynelów lub niewczesnych kaznodziei stronniczych! Cóż powiedzieć o tych, którzy z służby domowych bogów przeszli w ślepe bałwochwalstwo przygniatającej przemocy! Cóż powiedzieć o tych, o których niewiado-

mo, czy w nieszczęściu obecnem, widzą nieszczęście narodu czy tryumf swego przeczenia i swoich przewidzeń, niestety bardzo skrzętnie w stanowczej chwili ukrywanych? Cóż powiedzieć o tej lekkomyślnej gawiedzi, która katastrofę dramatu powitała jako pożądany moment wrócenia do bezmyślnego życia, ubarwionego butelką, preferansem i balikami?!

Pierwsi zasłużyli na pogardę, jakiej godni ludzie, w których egoizm, pycha lub głupstwo wytępiły nie tylko uczucie narodowe, ale nawet proste poczucie osobistej godności. Drudzy, zbiegli z pod ojczystego sztandaru, słyszą od owej przemocy codzień słowo: zapóźno! które ich nawrócić powinno. Za trzecich odpowiedzą ludzie z rozumem i sercem, których nie braknie w kraju. Oni to powinni zawsze i wszędzie, uderzać w ton poważny, głęboki, uroczysty, który dzisiejszej chwili przystoi.

Po wielkich wstrząśnieniach, po wielkiej ruinie, skoro minęła chwila pierwsza osłupienia i słabości, czas nam spojrzeć w oczy złemu, zmierzyć je i wziąść się do pracy około własnego ratunku. Jak tragicznie-komiczną, głupią i zbrodniczą rzeczą byłoby przedłużanie anormalnego stanu, z któregośmy wyszli, tak opłakanym byłoby obłędem i grzechem, bezczynność i rozbicie wziąść za stan normalny.

Przeczenie tego, co się stało, wyrzekanie nie doprowadzi nas do niczego; z energią muszkularnej natury winniśmy się zerwać, uczynić obrachunek ze sobą, a przegrawszy tyle w walce materyalnej, zebrać wszelką moralną broń do szybkiej i stanowczej obrony. Nie słuchajmy tych złowieszczych ptaków, co osłabieniu i bezczynności naszej pobłażają mówiąc, że naturalnym wynikiem gorączkowej akcyi jest upadek i omdlenie, którzy podniesienie z tego upadku rachują na lata; patrzmy raczej na energię przeciwników i z niej czerpmy godny naśladowania przykład. Po takich klęskach, jeżeli opamiętanie szybko nie nastąpi, mogłoby długoletnie nastąpić obumarcie, a nam ani na chwilę obumierać nie wolno, bo fizycznie tylko, a nie moralnie zostaliśmy pobici....

„Trzeba wrócić do stanu normalnego“ odzywają się głosy tych, którzy mówią za zrzuceniem żałoby, szat polskich, a często i za innemi rzeczami.

„Zgoda!“ — odpowiadamy na to, zastrzegając sobie obszerne tego normalnego stanu określenie. Nie polega on na zrzuceniu zewnętrznych oznak przeszłości lub na umyślnem przedrzeźnianiu jej demonstracyjnym strojem, nie na cynicznem bluźnieniu i wypieraniu się wszelkiej solidarności z narodowem wczoraj, ale na silnem

poczuciu strasznej i groźnej chwili obecnej. Nikczemnym jest każdy polityczny fetyszyzm, który kruszy bożki wczoraj stawiane, aby dzisiejszym składać objaty. Stan normalny na dzisiaj — to godna odpowiedź narodu na anormalne stosunki, w które go świat postawił, to powaga nieszczęścia, to głębokie poczucie klęski, która nie nas samych, ale wiarę i cywilizacyę chrześciańską dotknęła. Stan normalny na dzisiaj — to praca indywidualna każdej jednostki i całego społeczeństwa nad skrzętnem przechowaniem, rozszerzeniem i zbogaceniem spuścizny ducha narodowego. Stan normalny na dzisiaj — to zapobiegliwość około pozostałego w rękach ojczystych majątku, to duch asocyacyi, wywołany wspólnem niebezpieczeństwem, to pieczołowitość około krajowych instytucyj, to staranne wyzyskiwanie każdej moralnej lub materyalnej piędzi ziemi dla powszechnego dobra. Stan normalny na dzisiaj — to wyzyskiwanie stateczne i pilne wszystkich dróg w celu uobyczajeniu ludu, podniesienia oświaty, to utworzenie na miejsce dwóch stronniczych, walczących ze sobą, szkodliwych prądów opinii, jednego silnego, średniego, beznamiętnego a zmuszającego do bezwarunkowego posłuchu. Przy takim stanie normalnym możemy zrzucić suknie żałobne, a komu narodowa wadzi szata i narodową szatę.... O zewnętrzność nie będzie nam chodzić, bo wewnętrznych warunków pewni będziemy.

Wysyłając to pierwsze „dumanie“ w świat, spotkam się zapewne z głosami wielu: „Morały i znowu morały!“ Tak jest — odpowiadam śmiało: znowu morały! Nie patrzcie, skąd one pochodzą; odrzućcie, które zbyteczne; przyjmijcie, które potrzebne. Nie mamy innej broni, prócz moralu, innego ratunku, prócz zastosowania moralu! Dwie drogi ścielą się każdemu: jedna bezmyślna, rozpaczna, godności narodowej i ludzkiej zarówno przeciwna, rachująca dnie podług znikomych przyjemności ludzkiego żywota, bez widoków na przyszłość; druga trudna, znaczona potem i krwią codziennej pracy, ale jedynie godna obywatela narodu. Na pierwszą prowadzą rozumowania materyalistów, głosy cynizmu i apostazyi politycznej, drugiej przyświeca skromne słowo przestrogi, które wszyscy zarówno w sercu słyszymy, a które ten lub ów człowiek dobrej woli wypowiada.

Pierwszem tem słowem, powtarzamy raz jeszcze, niech będzie hasło: Godność narodowa, pokora i skrucha wobec rządów Opatrzności, spokojna duma wobec naszego nieszczęścia i porządku ludzkiego na świecie. *Tout est perdu, hors d'honneur* powiedział rycerski król, powracając z bitwy straconej, my powiedzmy po

chrześciańsku: Straciliśmy wiele, aleśmy nie stracili wiary w Boga i siebie!

II.

Amnestya powszechna. Grunt pod zasiew przyszłości.

Gorszemi od klęsk politycznych są ich moralne następstwa. Pomiędzy niemi swary wewnętrzne, kryminacye i rekryminacye wzajemne, pierwsze zajmują miejsce. Nieszczęścia są rodzicami kłótni zarówno w familii jak w narodzie. Klęska poniesiona należy do przeszłości, kłótnie po klęsce zabijają przyszłość.

Ileż one w dziejach naszych nie narobiły złego? Każda karta historyi świadczy o zgubnych ich skutkach. Z ostatnich czasów dosyć przypomnieć smutnej pamięci swary naszego wychodźtwa, powstałe po r. 1831. Dosyć wspomnieć, ile one wad zaszczepiły w narodzie, ile pożytecznych sparaliżowały przedsięwzięć, ile złamały ludzi, ile sił narodowych przez rozdwojenie zniszczyły. Miałżeby nam i dzisiaj podobny los zagrażać?

Niech nam wolno będzie nie obawiać się tego. Wielkość ostatniego ruchu polegała na jego powszechności, na spólnictwie poświęceń, cierpienia i przewiny politycznej, na zatarciu indywidualności. W dziele fałszywie założonem a raczej prowokowanem tylko, w dziele, które żadnej wewnątrz przyszłości nie miało, nie mógł nikt stanąć na świeczniku, nie było miejsca na postacie polityczne lub wojskowe, największy geniusz nie byłby przełamał nieprzełamanych trudności: było miejsce na cnotę, poświęcenie i męczeństwo. Jedna zaledwie, ujemna indywidualność, narysowała się wybitnie na tle tej krwawej epoki.

Wychodząc z niej, naród nie wyniósł żadnych bóstw i powag do uwielbiania lub łamania, jak się to stało po r. 1831. Mogły pozostać miłe wspomnienia po tej lub owej postaci, pozostały wielkie tradycye, godne poszanowania: nie pozostało wielkości. Przeciwnie: uzurpowane powagi rewolucyjne zjadły się do reszty, stopiły się w ogniu probierczym w niwecz. Nie pozostało nawet żadnych słusznych powodów zaskarżeń: nie było zdrajców, nie ma na kogo złożyć winy niepowodzenia w narzucanem narodowi przedsięwzięciu.

Na pustyni pełnej ruin i krwi, pozostaje tylko jeden błędny głos, raz z piersi słabych i poczciwych, to znowu z piersi niewczesnych mędrków wydobywany: czemu do tego przyszło? czemu tyle sprowadzono nieszczęścia? Ten głos może stać się rozbratu i kryminacyi przyczyną, z tym głosem rozprawić się należy! Ten głos, gdyby na krótki bodaj czas otrzymał w kraju prawo obywatelstwa, zniszczyłby pracę powszechną, rozbiłby je na obozy Kainów i Ablów, zaprowadziłby ostracyzm między bracią rodzoną, wywołałby z czasem smutne następstwa, bo domową wojnę.

W odpowiedzi: Czemu do tego przyszło? postawmy na czele to, o czem cyniczni mędrcy najczęściej zapominać się zdają, postawmy anormalny stan naszego społeczeństwa. Musi tym panom być dobrze na świecie, kiedy o nim zapominają. Postawmy system panujący, postawmy brak edukacyi narodowej, postawmy brak wolności publicznego słowa w ziemi, pożarem dotkniętej. Postawmy to wszystko jako dopust Boży, który nas karze, ale i usprawiedliwia zarazem.

Na drugiem miejscu postawmy pewnik polityczny, że każde społeczeństwo, całe, nierozdzielne, odpowiada za każdy fakt powszechny, który się w niem zjawił. Wiedzą o tem przeciwnicy nasi, wymierzając nam zapłatę. Wie o tem Europa sądząc nas z owoców. Wiedzieć powinniśmy my sami przedewszystkiem. Wolno pojedyńczemu wyrzekać na zły kierunek w kraju, jeżeli przeciw niemu na czasie, śmiało i statecznie walczył; nie wolno społeczeństwu zwalać winy na pewny stan, czyniąc go odpowiedzialnym za wszystko, bo jeżeli jeden mógł przewinić czynem, drugi za brak energii w nieprzeszkodzeniu jest odpowiedzialnym. Bywają zbrodniarzami, tyranami, biczami bożymi jednostki, bywają nimi zamknięte kółka ludzi; gdzie wchodzą tysiące, gdzie wchodzą masy, tam niknie prawny punkt zaskarżenia, tam skarżący staje się nicością, tam wina jednostek słabnie, a całe społeczeństwo odpowiada. Czuli to Moskale, dotykając zemstą swoją starców, kobiety i dzieci, zaludniając krociami pustynie sybirskie.

I tutaj jest wielka owa groza położenia naszego, tu odpowiedzialność ciężąca na wszystkich i każdym, tu odpowiedź na pytanie: czemu do tego przyszło? Sprawiedliwość historyi używa do nas słowa Kromwella, rozpędzającego parlament i mówi: przyszło do tego, bo nie umiałeś być stanowczym, gdy było tego potrzeba, bo nie umiałeś być politycznie mądrym, gdy się sposobność nadarzała. Przyszło do tego, bo pozwoliłeś ster polityczny uchwycić małoletnim, bo nie umiałeś odpowiedzieć życzeniom narodu, zapuścić korzenie

wpływu między masy, bo pozwoliłeś sobie wydrzeć kierownictwo sprawą. Przyszło do tego, bo nie wiedziałeś, gdzie stoisz i coś robić powinien. Przyszło do tego, bo ci, co przodować mieli sposobność, środki i intelligencyą, dali się zepchnąć z swego stanowiska! Pełnoletni, ty za małoletnich odpowiadasz, trzeźwy, ty za oszołomionych płacisz rachunek, rozsądny i ostrożny, ty płacisz koszta za uczciwych i nieuczciwych szarlatanów! Od tej odpowiedzialności nie uratuje się wypowiedziany w kółku jednakomyślących protest lub założenie rąk z tragicznym twarzy wyrazem, bo gdy działano i ty działać byłeś powinien.

Ależ nie, historya tak srogo z nami nie postąpi! Nachylenie się ku strasznej przepaści było winą naszą, pchających i nieskutecznie wstrzymujących zarazem. Ostatnie pchnięcie pojedyńcza wykonała ręka!

Tak jest, pomimo wszystkich win naszych, pomimo politycznego niemowlęctwa, nieuctwa i szarlataneryi, przez zagranicznych zaszczepionej kabalarzy, pomimo marzeń instrukcyi powstańczej i blag „Baczności", nie byłoby przyszło do stanowczego kroku. Wiemy z doświadczeń lat poprzednich, jak daleką od praktyki jest pożyczana i modelowana na wzór wewnętrznych rewolucyj francuskich, teorya nasza konspiracyjna. Wiemy, jak pierwsze dotknięcie się rzeczywistości rozwiewa napowietrzne jej pałace. Wiemy jak ją osłabia długie trwanie i ciągłe odwlekanie terminu. Wiemy, jak krótkie bywają jej dzieje.

Tem pęknięciem ostatniem (musimy to uczynić naszym artykułem wiary) była proskrypcya. Gdyby nie proskrypcya — nie byłoby dziejów krwawych r. 1863. Przed słońcem rzeczywistości byłyby się rozwiały mrzonki ułudy konspiracyjnej, gdyby na piersiach stu tysięcy zagrożonych nie siadł przymus walczenia bodaj z kijami. Nie był to więc wybuch w imię konspiracyi! Gromadki na punktach zbornych byłyby się, nie znalazłszy obiecanej broni, rozlazły spokojnie do domu, gdyby do domu powracać były mogły. Nie mogły — więc poszły do lasu. Główna odpowiedzialność cięży więc na tym, co wynalazł proskrypcyą. On też jest jedyną wybitną indywidualnością lat ostatnich! On zdecydował się „przeciąć wrzód", który byłby się sam zagoił na zdrowem narodu ciele. Do zaślepień dumy, którym uległ, do tysiąca niezręczności politycznych, które popełnił, dodał czyn, w którym niewiadomo, co podziwiać, szaleństwo czy namiętność bez granic, czyn, jakiego dotąd w dziejach naszych nie było.

Co się potem stało, było naturalnym wynikiem stosunków krajowych i symptomatów objawionych przed chwilą stanowczą, wyzywającą. Trzebaby tacytowskiego pióra, aby odmalować godnie te dzieje bajecznego Sizifa, tę pracę Danaid, chybioną w samem rozpoczęciu a niemogącą trafić do końca. Trzebaby tacytowskiego pióra, aby skreślić godnie wszystkie wpływy fatalne, które przedłużały walkę, czyniąc ją krwawszą i szkodliwszą, owe sprzeczne motywy nieobrachowanego zapału i bojaźliwej rachuby, niejasnych teoryj głów młodych i zwietrzałych nadziei i kombinacyj starych, które dolewały oliwy do ognia lub rzucały kwiat po kwiecie na pastwę płomieniom. I któż nie był w jednem z tych dwóch odcieni? i któryż odcień większą drugiemu może zarzucić szkodliwość? Jeźli jednych zawiodła wiara w własne siły, w cudotworne słabego zwycięstwo, drugich zawiodła wiara w obietnice obce i równie cudotworną (w dzisiejszym świecie) interwencyą dla idei. Jeźli pierwsi byli małoletnimi, drudzy przypisywali sobie dojrzałość i umiarkowanie, wypierali się solidarności z szałem. I oto obie strony jednego doznały zawodu i jednaka dotknęła je pokuta. Sprawiedliwość Boża pokarała je własnymi grzechami: pierwszych zawiodła dłoń i kierujące nią a nie kierowane rozumem społeczeństwa serce, drugich zawiódł rozum, na starych budujący przyszłość syllogizmach. Spółcześnie dotknęła taż sama sprawiedliwość Boża najwinnejszego w narodzie. On, co wobec nieprzyjaciela zarezykował „przecięcie wrzodu", odepchniętym został jako niepotrzebny więcej. On wyszedł z sprawy jako najpierwszy z nowego tułactwa!

Zrównani zostaliśmy cudownie na strasznem Prokrusta łożu! Nie mamy prawa do kryminacyi i rekryminacyi. Zostaliśmy gołą tabliczką. Wzajemne rachunki się spłaciły. Z wyłączeniem jednego człowieka, możemy sobie dać ogólną amnestyą a ta amnestya powinna być gruntem pod zasiew przyszłości. *Excidat ille annus aevo!* powiedzmy i nowe rozpoczynajmy życie

Ale jeżeli odepchniemy na zawsze jego błędy, uczyńmy kodeksem naszego postępowania jego wielką i głęboką naukę historyczną. Uczmy się i badajmy jego przyczyny, doznając codziennie skutków. Dociekajmy wad w przeszłości naszej, w charakterze naszym, w ustroju społeczeństwa naszego, które go sprowadziły. Bo któż z nas nie czuje, żebyśmy już drugiej takiej przestrogi nie przetrwali, któż nie czuje, że ten dopust Boży jest ostatniem, gromowem niebios upomnieniem?

III.

Nasze fundamenta.

Po chwilach powszechnego ruchu, który tą razą był błędnem kołem, przychodzi czas poważnego obrachunku. Od tego obrachunku powszechnego zależy przyszłość, bo z rozmaitych jego rezultatów wynikają różne drogi na przyszłość. Boże daj nam jednę tylko a prawdziwą!

Nic pospolitszego w takich czasach, jak namiętne odskoki i fałszywe kierunki. Jednych pędzi w nie rozpacz, drugich zwątpienie, innych jeszcze zrosłe z naturą ludzką pokrewieństwo przeciwieństw. Nic pospolitszego jak jednostronności, podobne do owych chorób wzroku, w których źrenica jeden kolor widzi przed sobą. Posłuchajmy tych chorowitych, aby się strzedz przed ich naukami.

Oto usłyszymy jednych, których zawód od zachodu doznany, zaślepił na wszystkie inne prawdy i zasady narodowe. Im mocniej zakładali na nim nadzieje, tem sroższym zapłonęli gniewem. W oczach ich zmalała wina nieprzyjaciela, z pamięci wypadły im doznane ciosy, z fetyszyzmem murzyna ścielą się do stóp krwawych zwycięzców. Odwieczną drogę narodu radziby opuścić i zaprzedać i zaciągnąć się pod tryumfalne Wschodu sztandary. Przed dwoma laty wielbiciele Napoleona, poznali teraz i ocenili nieśmiertelną (!) margrabiego ideę. Jedynym ratunkiem wydaje im się służba kozaków przed zaborczą armią, dążącą w środek Europy! Cóż powiedzieć o takiem zaślepieniu? Jedno słowo tylko, które brzmi w każdym nowym ukazie: Zapóźno! i drugie, które brzmi w piersi każdego człowieka z poczuciem narodowem: Nie na to pracował i cierpiał naród wieków dziesięć, aby zadał kłam samemu sobie!

Posłuchajmy drugich. Ludzie to, którzy zachorowali na kolor czerwony, którzy wszystko w tym widzą kolorze. Przestrach, który się w nich od ostatnich wypadków nie uspokoił, maluje im na ścianach najzaciszniejszego pokoju mary rewolucyi, komunizmu i terroryzmu rewolucyjnego. Od r. 1794 widzą oni stateczny pochód ku złemu, ku całkowitemu potopowi społeczeństwa naszego. Nieopatrzny ruch, zaszły w skutek wad całego ustroju towarzyskiego, w skutek niedostateczności oświaty i kierownictwa intellektualnego i niezawisłych od narodu okoliczności, ruch, za który, jakeśmy to wyżej wykazali, wszyscy odpowiadać muszą, bo wszyscy czynem lub opuszczeniem

działania, lekkomyślnością lub nieporadnością polityczną, na niego dozwolili, przypisują podziemnym knowaniom na własność i porządek, a w miejscu zapamiętałości podobnym ruchom właściwej, wnosząc ostracyzm politycznej hipokondryi, potępiają wyrokami jego najświętsze i najnaturajniejsze dążenia, najzbawienniejsze idee, w których służbie dotąd się naród wychował. Na lekarstwo zaś zakorzenionych w społeczeństwie chorób podają środki, których nikt używać nie chce i nikt używać nie powinien! Cóż powiedzieć o tych zaślepionych? Jedno słowu znowu, słowo gromkie: W środkach i czynach pojedyńczych naród może się mylić, w ideach odziedziczonych po przeszłości, w ideach, które miliony krwią i potem oblały, mylić się nie może! Zaprzeczyć im, jest to zaprzeczyć jego istnieniu i powołaniu!

Podnieśliśmy tu dwa grzechy główne przeciw dogmatom narodowej wiary. Niepodobieństwem byłoby wyliczyć wszystkie mniejsze, drobniejsze, tejże samej ślepej jednostronności skutki. Oto spotkacie wielu, którzy na wierzchu u rejestru narodowych nieszczęść położą wam upadek narodowego majątku a obowiązki zamkną w podniesieniu materyalnego dobrobytu kraju. Spotkacie innych, którzy przypiszą wszystko wyjściu po za granice prowincyonalizmu a chcąc was uratować, zatrzasną za wami komorę graniczną. Spotkacie i takich, którzy z namaszczeniem wyrzucą wam grzechy przeciw kościołowi, jako jedyną przyczynę kary bożej i każą się wam wyprzysiądz sympatyi z klejącą się po długich latach rozbicia-Italią.

Na te kolowacizny ratować się nam odszukaniem fundamentów naszego bytu i powołania. Z tamtąd to wyniesiemy świetności, które nas od nagabań złego ducha uratują. Tam dojdziemy do tego tajemniczego związku, który nas łączy z ziemią naszą i dziejami przeszłych pokoleń, z dziejami poświęceń i cnoty, obłędu i grzechu. Związku tego bezkarnie, bez popełnienia apostazyi narodowej zrywać nie wolno, nie wolno wywracać długoletnich trudów i ciskać kamieniem obrazy na wielkie i szlachetne usiłowania, na odwieczne idee, choćby najmocniej zagrożone, nie wolno opuszczać stanowiska w dziejach, chociażby się straconem wydało, bo to jest dezercyą nikczemną, a jedna nikczemność zabija narody na wieki!

Przez dziesięć wieków byliśmy wschodnim cywilizacyi chrześciańskiej wałem przeciwko półksiężycowi i szyzmie, byliśmy starszymi braćmi między Słowiany przeciwko germańskiemu naciskowi. W tej sytuacyi i pod tymi dwoma groźnymi prądami wyrobiliśmy naszą cywilizacyą, zagospodarowaliśmy się w obszernych ziemiach

po swojemu, upadliśmy nakoniec politycznie, nie wyrzekając się nigdy dwojakiego tego kierunku. Jakiekolwiek ponieśliśmy w tym ciężkim boju straty, jakąkolwiek jest dzisiejsza nasza sytuacya, walczyliśmy za dobrą sprawę i nie zmienimy, choćby do zupełnego upadku, stanowiska naszego.

Z drugiej strony byliśmy przez owe wieki, acz w szczupłych granicach stanu politycznie czynnego, przedstawicielami wolności politycznej. Wyrobiliśmy szereg pojęć postępowych o podsumowanem dobru powszechnemu stanowisku władzy, godności i prawach obywatela w czasach, w których Europa była jeszcze składem społeczeństw o hierarchicznej piramidzie jedynowładztwa. Nie owa wolność republikańska w zasadzie, ale ciasne jej granice i nadużycie jej w szczupłem a więc zużywającem się kole obywateli, nas zgubiły. Nowa era świata od rewolucyi francuskiej się rozpoczynająca, zastała nas w chwili politycznego skonu a nie naszą było winą, że się idea wolności, na bujnej ziemi, u nas w nowej nie pojawiła postaci. Miłość wolności, kult wolności pozostał jednak i nadal najszlachetniejszym naszym instynktem. Sprawę naszą złożyliśmy na jej tryumfalnym rydwanie. Jeżeli przewrotni zarzucą, że nas zawiodła, odpowiedzieć im musimy, że i my, w skutek grzechów przeszłości, w stanowczych opuściliśmy ją chwilach, a nie umiejąc wznieść jej sztandaru rękami powag obywatelskich, daliśmy go używać w mniej szczęśliwych momentach, szarlatanizmowi i partactwu.

Od lat kilkunastu użyto jej przeciw nam, chciano nam odjąć nazwisko jej apostołów i rzucić nam na czoło plamę wstecznictwa! Biada nam, gdybyśmy do tej nazwy przystali! Biada nam, gdybyśmy usunęli się przed obdarzonymi wolnością, w ciemną norę wyrzekań i skarg, gdybyśmy nad ów fałszywy, zdradziecki sztandar nie umieli postawić chorągwi prawdziwej oświaty i wolności, mówiąc z czołem wypogodzonem: Jakkolwiek się stało, dobrze się stało! Biada nam, gdybyśmy w łonie naszem nie znaleźli dosyć zasobów, aby rozwielmożnić się wolnością i z masy wolnych prawem, nie potrafili wpływem naszym wydobyć nowego zastępu wolnych poczuciem obywatelskiem!

Z tychże samych przyczyn nie możemy wyrzec się sztandaru prawdziwego postępu świata na jakiejkolwiek drodze, nie możemy ratować się chwytaniem się spruchniałych i na zagładę przeznaczonych budowli doczesnego porządku. Nie możemy czepiać się nadziejami ostatnich usiłowań przegranych duchowo spraw i zaciągać się pod sztandary, przeciwne nowemu wieków prądowi. Jesteśmy wprawdzie konserwatystami wielu pogwałconych lub zapomnianych idei

w świecie skłonnym do przeczenia i materyalizmu, jesteśmy przedstawicielami wiary i ducha, ale nie możemy być konserwatystami starych form, a przeznaczeniem naszem jest owe zapomniane świętości wnieść do świątyni przyszłego, doskonalszego społeczeństwa. Nie przystoi nam zemsta dusz małych za zawody od zachodniej doznane cywilizacyi, wobec której tylekroć wielkie położyliśmy zasługi, nie przystoi nam gniew, że nas zapoznano i nie umiano nagrodzić — przystoi nam rozpatrzenie się i badanie przyczyn, dla czego się to stało, przystoi dalsza sumienna praca nad sobą i dla świata. Przygniotłby nas zachód nawałem swoim wtedy tylko, gdybyśmy o właściwości naszej missyi zapomnieli, zjadłby nas wschód, gdybyśmy od niej odstąpili!

Nie od walenia więc i burzenia fundamentów naszych, należy nam dzisiaj rozpoczynać. Fundamenta nasze są zdrowe i wspaniałe, nie umieliśmy tylko granitowej na nich stawiać świątyni. Dla tego zasypał je gruz, a my dzisiaj z załamanemi rękami patrzymy na ogrom czekającej nas pracy!

IV.

Dwa zboczenia.

Czy zastanowiliście się kiedy nad tą fatalistyczną wiarą, tak głęboko w nas wkorzenioną, wiarą silną ale szkodliwą, która z świętości sprawy czerpie pewność zwycięztwa, która rachuje na niesłychany wyrób sił w narodzie, na nadzwyczajne konstelacye europejskie, a w końcu gotowa rachować na zastęp białych niebieskich aniołów?! Czy znasz ten ostatni uspokajający argument, stary jak szlachecka Rzeczpospolita i wiara katolicka w Polsce: Bóg nie dopuści, Bóg odwróci, Bóg da tryumf dobremu! ten argument, który rozgrzewa najchłodniejszych, zapala najrozsądniejszych, na którym usypiamy w niebezpieczeństwa albo idziemy w boje bez nadziei?

Wiara to silna, na wymienionych co dopiero dogmatach narodowych oparta, z poczucia świętości posłannictwa naszego płynąca, nierozczarowana zawodami, chwytająca się nadziei tylekroć zawo-

dzących, wiara w potęgę dobrego, w szlachetne świata popędy, warta zaiste, abyśmy się bliżej nad nią zastanowili.

A najprzód, spojrzawszy, w przeszłości szukajmy tej wiary, w starych Rzeczypospolitej czasach. Znajdziemy ją tam silnie rozwiniętą, wielmożnie władającą umysłami a przeważnie wpływającą na upadek Rzeczypospolitej. Pojawia się ona z pierwszymi symptomatami rozkładu politycznego, osłabienia światła wiedzy narodowej, z pierwszemi burzami, kołatającemi o ściany Polski. Zamiast dzielnego i wytrwałego oporu znajdujemy zaufanie w szczęśliwe wyjście z dopuszczonego przez Boga nieszczęścia, zamiast reform radykalnych staranne przestrzeganie dawnego nieporządku, zamiast politycznej roztropności lekkomyślną wierzliwość dla sprzymierzonych a nawet samych jawnych nieprzyjaciół, dochodzące do owej maxymy szalonej: Polska nierządem stoi! Mamyż to przypisać samemu nierozumowi i niedołęztwu powszechnemu i potępić naszych przodków z zagranicznymi historykami naszych dziejów, wyliczając zdrajców i przekupnych, którzy paraliżowali działalności narodu! Nie zaiste! Obok tych przyczyn postawić musimy głębszą, powszechniejszą, ową wiarę w uczciwość polityczną Rzeczypospolitej i niewiadomość nieuczciwości politycznej reszty świata, owo przekonanie o godności wolnego społeczeństwa, o zasługach jego wobec świata, które, jeśli nie ludzie, to Bóg uczcić powinien.

Tej wierze wygórowanej a przez to samo szkodliwej, bo nie popartej energią uczynku, przypisać należy ów walny objaw ducha Rzeczypospolitej: patryotyzm zwrócony raczej na wewnątrz, jak na zewnątrz, patryotyzm, który, dla zachowania wolnych instytucyj, zapominał o zachowaniu całości kraju, który paraliżował obronę ciągłem o nietykalność instytucyi kłopotaniem się, który bluźnił, że nie chce znać Polski pod absolutnymi rządami własnego pana. Wolność obywatelska była dla ojców naszych duchem Rzeczypospolitej, jej istotą, jej życiem, państwo formą i ciałem a z troskliwości o ducha, zapomnieli oni o formie. Troskliwość ta o ideę doszła do niepraktykowanych nigdzie bajecznych rozmiarów, bo wyrodziła absolutyzm jednostki politycznej: *liberum veto*. Utopia ta polityczna rozrosła się w duchu narodowym w miarę, jak kultowi wolności nie dopisywał rozum polityczny i potęga narodowa, w miarę, jak się cisnęły burze na starą budowę Polski, w miarę, jak coraz widoczniej okazywała się potrzeba zmian gwałtownych i stanowczych, aby ocalić państwo. W niej to, w tym najwyższym a tajemniczym przeszłości naszej obłędzie, przecinającym wszelkie środki ratunku, niszczącym najzbawienniejsze zamiary jednym głosem, z zbrodniarza

i zdrajcy często piersi wydobytym, objawił się najdobitniej, najjaskrawiej, ów grzech zbytku wiary w ideę ukochaną, wiary, pozbawionej skutecznych i dzielnych uczynków.

Po upadku Rzeczypospolitej, który właśnie w chwili wyzuwania się z starych obłędów nastąpił, patryotyzm wolności stał się niepodległości patryotyzmem. Wady pierwszego udzieliły się drugiemu a *liberum veto* znalazło się w *liberum conspiro*. Toż samo przepełnienie ideą, które zaślepiało szlachcica przedrozbiorowego na polityczny stan kraju, które rwało najzbawienniejsze roboty i przeoczało najwidoczniejsze niebezpieczeństwa, zstąpiło w szerzące się propagandą ucisku zastępy, czyniąc każde indywiduum z osobna przedstawicielem nowego dążenia. Taż sama świadomość szczytności sprawy, która pomimo walnych braków w organizmie państwa, napełniała pierś upadającej Rzeczypospolitej wiarą w jej trwałość, w przyjaźń sąsiadów i dalszych, w opiekę Bożą: taż sama świadomość zstępowała w postaci jasnych marzeń o bliskiem szczęściu, w postaci złotych nadziei w swoje i nieswoje siły, aby zbliżyć i upodobnić to, do czego społeczność, otoczona trudnemi okolicznościami, obciążona wadami i rozstrojem przeszłości, z niezałatwioną kwestyą społeczną, bez dostatecznych sił inteligencyjnych i materyalnych, nie dorosła. Aby tę wiarę skłonić do poświęceń i ofiar bez granic, wystarczał kolejno blask wstrząsającego światem geniusza, teorye i zagraniczne przykłady, wystarczali ludzie bez zdolności i sumienia. W rękach cnotliwego i poważnego, jak i w rękach szarlatana stawała się ona głownią palącą, wszczynającą powszechne pożary. Zstępowała ona aureolą poświęcenia na głowy politycznych samozwańców, budziła dzieci z ław szkolnych, że prorokowały i przewodziły. A rozbudziwszy ludzi szeroko w imię tej, której się nikt zaprzeć nie śmiał, konała rozbita o skały rzeczywistości, zalana falami chłodnego świata, nie znalazłszy w końcu w własnych synach nikogo, któryby jej skarby nieprzebrane zużytkował.

Tak od kilku stóleci zawładnęło nami panowanie przypadku, panowanie *Deorum ex machina* przez nierozważną dwu wielkim ideom służbę. Silne przejęcie, przejęcie uczuciowe temi ideami, rodziło gotowość czynu, niedorośnięcie do idei jego bezowocność i szkodliwość. Pierwszy kult skończył się upadkiem Rzeczypospolitej, z podrywów w imię drugiego wychodziliśmy liczniejsi długie lata, a prawdziwą groźbą i przestrogą stały się dopiero ostatnie wypadki. Ta przestroga skutkować musi, jeżeli chcemy ocalenia. Musimy się wyleczyć z *liberum conspiro*, jakeśmy się wyleczyli z *liberum veto*. Musi raz ustać gorączkowa wiara i lekkomyślna wierzliwość

a pozostawszy tylko u straży narodowych dogmatów, w życiu politycznem ustąpić miejsca umiejętnej i dojrzałej wiedzy środków zachowania i podniesienia narodowego. Musi ustać panowanie samozwańców i improwizowanych teoretyków zbawienia, szermierka najświętszemi słowy do lekkomyślnych i nieobrachowanych celów, przodownictwo dzieci i małoletnich. Wtedy zbudzimy się z długoletniego grzechu słabości, który utratą Rzeczypospolitej przypłacili ojcowie nasi.

O BROSZURZE

P. PAWŁA POPIELA

p. t.

„List do ks. Jerzego Lubomirskiego".

W dzienniku „Hasło“ wychodzącym we Lwowie 1865 ogłosił Szujski cztery „Listy Krakowskie, Przeglądy literacko-artystyczne“. Trzy z tych listów (Nr. 59. 78. 112) są rzeczywiście przeglądem ostatnich objawów z dziedziny literatury; jeden a mianowicie list trzeci (Nr. 84 dziennika „Hasło“ z dnia 9 Listopada 1865) jest artykułem politycznym i stanowi dla siebie oddzielną całość.

W trzecim z kolei liście wypada mi pomimowoli przekroczyć granice, które sobie postawiłem. Nie gniewajcie się o to, a przypiszcie nieprzezwyciężonemu wstrętowi, który czuję do pisania w szpaltach po nad linią fejletonu. Zresztą broszura, o której pisać będę, treściwością swoją i różnorodnością potrąconych kwestyj, wychodzi po za politykę chwili a sposób jej zjawienia się (nie ma jej, o ile wiemy, w handlu księgarskim) uczyni ją niebawem ciekawością bibliograficzną, którą za czasu zanotować należy.

List p. Pawła Popiela do księcia Lubomirskiego, acz drukowany [1]), nosi cechę poufną i prywatną. Autor zapytuje się księcia, bo w oddaleniu wiedzieć nie może, czy jakie porozumienie nastąpiło pomiędzy osobami, dziś u steru rządu stojącemi, a ludźmi, których uważamy za przewódców spraw krajowych. Z tem zapytaniem wiąże rozwinięcie swoich zapatrywań na obecne położenie Galicyi, stawia programat przyszłości, rzuca światło swoje na przeszłość. Czyni to z mocą i wdziękiem pióra, który usuwa wszelką wątpliwość względem nazwiska autora głośnej z roku przeszłego broszury p. t. „Kilka słów z powodu odezwy księcia Adama Sapiehy".

Szanujemy szczerość i śmiałość, z jaką występuje autor. *Clara pacta claros faciunt amicos.* Odpłacamy się wzajemnością, kładąc nazwisko pod niniejszym listem. Nazwisko to, do młodej należące generacyi, przypisujące sobie jedną zasługę, zasługę szczerej i wytrwałej pracy a wliczające się z zadowoleniem własnem między ów, jak go pan Popiel nazywa, „zrewolucyonizowany stan średni", staje pomiędzy dwoma korespondentami, autorem listu i księciem, nie oglądając się na liczbę głośno lub cicho poklaskującego orszaku ich dostojnych współwierców politycznych, aby im powiedzieć, o ile

[1]) p. t. „List do księcia Jerzego Lubomirskiego" w Krakowie 1865. Na końcu: „Paweł Popiel, 25 Października 1865".

wypowiedzieć zdoła zdanie swoje i zdanie stanu średniego o programacie zawartym w spomnianej broszurze.

Aby je oceniono, przychodzi mi streścić list p. Popiela. Jest to rzecz nie łatwa, bo autor jest jędrnym i lakonicznym, a jak każdy znakomity pisarz, lubi pisać pomiędzy drukowanymi wierszami. Nie chciałbym przytem zasłużyć na podejrzenie przekrzywiania myśli cudzej, które tak często miotają ludzie opinii p. Popiela na krajowe dziennikarstwo. Pozwoli więc, że w miejscach zawilszych własnym jego tekstem się posłużę.

Położenie obecne Galicyi odrywa pana Popiela od „twardych trudów powołania ojca rodziny i zmusza go do uchwycenia pióra, aby myśli swoje wypowiedział. Ministeryum obecne [1]) budzi w nim nadzieję, że starając się o reformę monarchii, nie zapomni o Galicyi, ale pamiętne na „solidarności w każdym ustroju organicznym, będzie obrońcą" właściwych zasad społecznych u nas, jak i gdzie indziej. Same, bez naszego współudziału uczynić tego nie może, przyłożyć się muszą do tego rządzeni. Ciąży odpowiedzialność na nim, ale ciąży i na nas, abyśmy, jak nam się wielekroć przydarzyło, nie stracili chwili stosownej.

Całą duszą piszemy się na te uwagi p. Popiela, z zaręczeniem, że je podziela i wielekroć wypowiedział przez swoje organa, tak zwany przez niego „zrewolucyonizowany stan średni",

Programat ministeryalny, omawiamy dalej pana Popiela, zapowiada autonomią t. j. powołanie do życia prawdziwych sił krajowych, które równowagą szczęśliwą między władzą rządu a samodzielnością rządzonych, spełnią najwyższy cel państwa: wolność w porządku. Dwóch na tej drodze ma ministerstwo nieprzyjaciół: ustrój biurokratyczny i stronnictwo rewolucyjne. „Rewolucya 1848 r. wstrząsnęła posady pruchniejącej monarchii". Ministerstwa Bacha i Szmerlinga sztucznym chciały ją utrzymywać sposobem, militaryzmem i biórokracyą jedno, konstytucyjnym liberalizmem drugie, oba bez powodzenia.

Tu autor przechodzi do naszej społeczności „doprowadzonej do ostatecznego rozbicia". Rozmaite warstwy społeczne, rozmaite szczepy naszego kraju, nie stoją w zgodzie i harmonii. Klasa, która

[1]) Belcredego, powołane po ustąpieniu Schmerlinga w Lipcu 1865, zaznaczyło swój autonomiczny kierunek w manifeście cesarskim z dnia 20 Września 1865 r., zawieszającym centralistyczną radą państwa a zwołującym sejmy krajowe na dzień 23 Listopada.

niegdyś nie tyle łączyła, ile raczej absorbowała wszystkie siły społeczne, została skruszona i wywołano przeciw niej sztuczny antagonizm, tak z dołu jak z góry. Miasta i klasy średnie owionął duch rewolucyjny, zaszczepiony na patryotycznym gruncie, w ludzie wiejskim obudzono chęci gwałtowne. Kraj cały zubożał, bo my, właściciele więksi, pracować jeszcze nie umiemy a lud wiejski, dostawszy wszystko darmo, pracować jeszcze nie potrzebuje. W porządku moralnym klasa większych właścicieli, dawna szlachta, pomna stanowiska panujących, została w biernej opozycyi, a nie żyjąc życiem publicznem, straciła wszelki polityczny pogląd: była też czasem bez godności względem rządu, stawała się często narzędziem w ręku rewolucyi. W porządku duchownym, naród ten od dziesięciu wieków ściśle, sumiennie związany z kościołem, po rozpadnięciu tego na pół politycznego, na pół duchownego związku, pił pełnem gardłem błędy Zachodu a gorszył lud, który zachował choć formalną wiarę; ze sił moralnych zostało się tylko uczucie i wspomnienie narodowe, wzniosłe, szanowne, ale nie wystarczające. Uczucie to, nie oczyszczone czysto Boską myślą, stało się chorobliwe.....

Rząd widząc to rozbicie nasze, mówi dalej pan Popiel, nigdy się z nami nie rachował. Dzisiaj, ma nadzieję autor, że się to odmieni. Rząd nie chce utrzymywać chorowitego członka wśród zdrowego ciała. Ale potrzebuje on rękojmi, że wchodząc na drogę sprawiedliwości i równouprawnienia, nie da nam broni na siebie, że my z tego nie uczynimy narzędzia rewolucyi. Podporą rzetelną każdego rządu w ogóle są dwa żywioły: pewna rozsądna opinia kraju w ogóle, w szczególe grono ludzi czystych, niezawisłych, poważnych, co śmiało w poczuciu obowiązku dla kraju staną po jego stronie. Pyta się więc p. Popiel księcia adresanta, czy owo grono przewódców porozumiało się z ministerstwem?

Nie mieliśmy dotąd — mówi dalej — jasnego programatu. Adres 1860 postawił zbyt ogólnikowy, postępowanie deputacyi w Radzie państwa i dwa lata ostatnie mogły bardzo niebezpieczne u rządu wywołać podejrzenia. Nie możemy z rządem stanąć na podstawie prawnej jak Węgrzy, możemy tylko na podstawie politycznej możebności, utylitaryzmu. Nie mówiąc o przeszłości, która w politykę nie wchodzi, a nie wyrzekając się przyszłości, której się żaden uczciwy człowiek nie wyrzeka, pamiętać należy, że tylko teraźniejszość gotuje przyszłość, że przyszłość mają te tylko społeczności, które mają wartość duchową, rozum, jedność i bogactwo.

„Do tego nie dochodzi się bez porozumienia z władzą, jakąkolwiek ona jest, bo władza jest zawsze narzędziem organicznem w społeczności, bo naród, który w ciągłem z nią będzie zdrażnieniu, nie wyrobi sobie pierwszego dla ludzkości warunku: „uszanowania powagi".

Tu nastąpi najważniejszy ustęp broszury, kamień węgielny jej rozumowania. Przytaczamy go w całości:

„Muszę zatem potępić głośno wszelkie usiłowania do odzyskania politycznego bytu przed czasem, kiedy do tego są siły wewnętrzne a sposoby i okoliczności na zewnątrz (zgoda!). Jakoż każde podobne usiłowanie w głębszą potrąciło nas przepaść (zgoda!). Więc droga, która nas do tak bezdennego nieszczęścia doprowadziła, nie jest dobrą drogą (zgoda!). Ani na tobie kochany książe, ani na mnie, ani na przyjaciołach naszych nie cięży odpowiedzialność za to, co się stało, a jednakże nie jesteśmy bez winy (zgoda!), bo było naszym obowiązkiem, błąd i zbrodnie, które potępialiśmy jawnie, potępić jeszcze głośniej i czynnie a zachować żywioł polski od strasznego upadku, który przewidzieliśmy z góry. Pominę, co się stało za granicami Galicyi, ale to każdy przyzna, że ostatnie wypadki przyczyniły się do zubożenia kraju a do zdemoralizowania niektórych warstw społecznych. Było obowiązkiem większej własności, było obowiązkiem klas wykształconych, zachować społeczeństwo nasze (czy galicyjskie?) od tych nieszczęść. Jeżeli własność, jeżeli tradycya, jeżeli kultura, jeżeli stanowisko duchowne nie obronią społeczności od burzy wywołanej przez przewrotność i niedoświadczenie, toć słusznem byłoby mniemanie tych, co rozumieją, że już ten balast dzisiaj niepotrzebny. Czegośmy nie zrobili, zróbmy dzisiaj, ale na to, z bezwzględnością, odwagą, i czynnością, której nam brakło (zgoda!), należy potępić spisek, jego zasady i środki. Znam ja dobrze nasz naród, przeważa w nim niezmierna większość zdrowych żywiołów (zgoda!), ale nie miały nigdy punktu oparcia i nie miały kierunku (zgoda!). Odwaga cywilna, o której brak nas oskarżają, jako jest kwiatem społeczności w normalnym tylko stanie będących, tak ledwo można żądać, aby się pojedyńczo objawiać mogła (o, owszem objawiała się wielokrotnie), musi mieć punkt oparcia w pewnem stronnictwie, bo biada samemu. Potrzeba więc koniecznie wyprzeć się ostatniego ruchu, uznać go i potępić jako zgubny, odtrącić ludzi, którzy mu przodkowali, albo mu potakiwali" (odtrącamy bezpośrednio Wielopolskiego, który proskrypcyą wywołał powstanie i Mierosławskiego, który pisał instrukcyę powstańczą!).

Z tego stanowiska stawia p. Popiel programat postępowania Galicyi w położeniu obecnem. „Dajmy pokój wielkiej polityce, która

nie jest rzeczą koronnego kraju, doprowadzonego do atomizmu społecznego i atonii moralnej. Stoimy na rozdrożu; albo nam przyjdzie pod kierunkiem tajemnych wpływów w walce bezskutecznej a zajadliwej zużyć i roztoczyć resztę sił żywotnych, które pozostały, albo na drodze prawnej, jasnej, dobyć się warunków bytu, który chociażby nie był ostatecznym naszym ideałem, zapewnić nam może normalne wykształcenie i form i zasad społecznych. Z męską odwagą i stanowczością powróćmy na grunt rzeczywisty: marzenie, to pociecha dusz słabych, nadzieję mieć należy w Bogu i nie w obcej pomocy, lecz w własnej pracy i zasłudze (zgoda!)". Tego kierunku utylitarnej polityki pragnie p. Popiel w wyborach sejmowych i działaniach sejmu, tego kierunku przywracającego społeczeństwu dawną równowagę w urządzeniu gmin i administracyi. Pragnie u steru i na obwodzie autonomicznej organizacyi ludzi z wykształceniem, stanowiskiem i majątkiem, którzy nie skalali swego charakteru ani pochlebstwem dla władzy, ani uległością dla stronnictw — a mianowicie sędziów pokoju przez rząd z tej kategoryi mianowanych. Poleca wreszcie sejmowi, aby nie gonił za indywidualnymi kraju celami, ale pracował z rządem nad reorganizacyą społeczną w duchu autonomii, jeżeli nie chce powrotu panowania centralizacyi albo systemu Bacha z r. 1850.

Odważamy się wreszcie broszurę p. Popiela streścić w następujący ciąg logiczny: Galicya, rozbita społecznie, ma wyprzeć się ludzi, którzy jakikolwiek udział w ostatnim wzięli ruchu, ma go publicznie wyborami swymi a może w inny sposób potępić, a organizacyą swoją przyjąć na podstawie porozumienia się z rządem tych nielicznych obywateli, którzy go obecnie głośno potępiają, którzy rządowi dadzą nieznane bliżej przeciw rewolucyi gwarancye, otrzymując w zamian od niego pełnomocnictwo powrócenia kraju w kluby, ułożonego przez nich systemu i porządku. Na to streszczenie zgodzi się zapewne sam autor broszury.

Nie możemy, jak okazać szczerą wdzięczność, za wypowiedzenie tak jasnego programatu. Szanujemy jego otwartość, bo świadczy, że z głębokiego wyszedł przekonania. I nie możemy znowu, jak głęboką naszą wyrazić boleść nad owem rozbiciem społecznem, nad odbiciem się, że się tak wyrażę, zdolnych głów i szlachetnych serc od życia i duszy społeczeństwa, które tak anti-społeczny, ten pełen zjadliwego ostracyzmu, tak zamachowy pozwoliło im wypracować program, tem zgubniejszy, im schodząc się w tylu pojęciach i zapatrywaniach się z zdrowym zmysłem i poczuciem mas, nieprzyjazne, obce, przeciwne rozwojowi naturalnemu, szerzące kłótnię zamiast

zgody i wspierające rewolucyę społeczną, którą potępić zamierzali, zajął stanowisko, program, który publicznie posądza kraj o to dzisiaj jeszcze, o co go dzisiaj już żaden komisarz policyi z ręką na sercu posądzić nie może, programat wreszcie, który walcząc po donkiszocku z fantomami społczesnej rewolucyi, chce stawiać zastęp ludzi swoich, aby kierowali krajem podług inkwizycyjnej jakiejś *loi des supects* zapisanych pomiędzy wierszami, a odtrącającej wszystko, co błądziło ale kochało. Nie możemy, jak zawołać: biada! po tym głosie, który staje wbrew powszechnemu żądaniu, aby pozbawieni praw politycznych wskutek ostatnich wypadków powrócili do praw, zwiększyli szereg pracujących i myślących o dobrze powszechnem, który chce, aby spodziewaną amnestyę rządu przeżyło prześladowanie własnego społeczeństwa.

Infandum, szanowny autorze, *iubes renovare dolorem*. Głuche milczenie zachowywaliśmy w kraju o wypadkach lat ostatnich, przerywał je tylko głosem polskim moskiewski, bluźnierstwa mówiący *Dziennik Warszawski* i przerywał głos pogrzebanego już dziś z W. Wielogłowskim *Ogniska*. Milczenie to nie było pochwałą, było milczeniem o rzeczy, której się nie wspomina, bo wszyscy schodzą się w zdaniu o niej. Szanowano zresztą milczeniem świeże rany, niezliczone groby, nowe co raz katusze i oglądano się na szyderczych świadków. Odtrąciła publiczność z boleścią pismo, którego nieprenumerowanie poczytał p. Popiel między obłędy i winy społeczeństwa, uśmiechając się gorzko nad listą obywateli, którzy odesłali numera. Czy ta lista ma być początkiem czarnej księgi dla przyszłej organizacyi Galicyi, proponowanej przez autora?...

Głuche milczenie zachował kraj, powiadamy, ale milczenie to nie było milczeniem pochwały. Owszem, im bardziej rozwijały się nieszczęsne następstwa ruchu 1863 roku, im lepiej rozglądnięto się w niesłychanej dewastacyi, tem straszniej odzywał się głos z piersi powszechności, mówiący słowem zacnego człowieka w nocy świętego Bartłomieja: *Excidat ille annus aevo!* W tem powszechnem uznaniu, w tem powszechnem cierpieniu, połączyliśmy się wszyscy, udział w ostatnich wypadkach biorący i stojący na boku, szlachta i mieszczanie, młodzież i starsi, ubodzy i bogaci, gdzie tylko polskie, pełne miłości dla narodu biło serce. W tem powszechnem uznaniu powinniśmy się dziś połączyć solidarnie, ścisnąć przerzedzone szeregi ludzi myślących i czujących, pogodzić waśnie między sobą wobec wielkiego nieszczęścia, które nas dotknęło, stanąć do spólnej, zgodnej, powszechnej pracy, przyjąć, co nam da łaska Boża, rozpocząć życie nowe! Jesteśmy tak biedni, tak znękani, i czujemy

to tak silnie i powszechnie, że tylko biurokratyczna przewrotność, lub zamknięte w czterech ścianach śledziennictwo może nas posądzić o chęć odnowienia anormalnego stanu, o knowanie i dążenia rewolucyi! Dzienniki nasze, demokratycznej czy konserwatywnej barwy, jedyny organ opinii przeszły w uznaniu tej biedy na pole czystego utylitaryzmu a korespondencye z kraju im wtórzyły. Wobec nowej zmiany ministeryalnej objawiła się powszechnie chęć wejścia z rządem w porozumienie, powstały gorące nadzieje, że kraj koronny, dotąd tak zaniedbany, na drodze autonomii lepszej się przyszłości doczeka. Żądania, które p. Popiel na 11 stronicy swej broszury wypowiedział, powtórzyły dzienniki niezliczone razy na każdej szpalcie swojej! To co p. Popiel myślał, myśleli wszyscy; wszyscy, acz nie pisali listów do ks. Lubomirskiego, pytali się, czy ludzie mający wpływ, stanowisko, imię, majątek, starają się o co dla biednego kraju, czy przedstawiają, gdzie potrzeba, jego stan opłakany, czy korzystają z położenia swego, które im się swobodnie ruszać i działać pozwala, podczas gdy my, biedni, *glebae adscripti*, pracując na kawałek chleba, tylko myśleć i troskać się możemy. Wszyscy spozierali na nich, czy wyjdą z martwoty swojej i zamknięcia i zakrzątają się około publicznego dobra. Zniszczona wysiłkami lat ostatnich, przerzedzona owa „rewolucyjna średnia klasa“, patrzyła i patrzy na wyższą, rozsądnie zaszanowaną, stojącą w rezerwie narodowego hufca, niby sztab główny; aby teraz, gdy nadchodzi czas restauracyjnej pracy, pokazała co umie i może, aby pracowała, poświęcała się a była przytem mądrą, umiarkowaną, rozwijającą siły społeczne, godzącą i szlachetną, jak jej nakazuje tradycya przeszłości, postępową i liberalną, jak jej nakazuje wiek dziewiętnasty, za taką, któżby nie chciał pójść ochotnie, któżby się dał nie poprowadzić ku lepszej przyszłości?

Owszem, wzywamy ją, niech idzie, działa, przodkuje. Wzywamy wielkie imiona, wielkie majątki, wielkie stanowiska społeczne. Trzy okręgi wyborcze złożyły już dowód tego usposobienia, stawiając na czele kandydatów p. Agenora Gołuchowstkiego, twórcę październikowego dyplomu, zasługę prawdziwą i wielką, człowieka pracy i zasad wytrwałych. Ale wzywając ich, wołamy głośno: Jeżeli chcenie być pożytecznymi krajowi, jeżeli chcecie zasłużyć na dobre imię, jeżeli chcecie wieniec chwały dorzucić do wieńców chwały ojców a pokryć nimi nie jedną plamę zbutwiałego karmazynu grobów, jeżeli chcecie stanąć na przeszłości, zagrodzić drogę złemu, dać inicyatywę organicznemu rozwojowi społeczeństwa, przerwanemu

wypadkami dni ostatnich, jeżeli chcecie być mężami stanu a nie fantastycznymi przedstawicielami kasty, ludźmi praktycznymi a nie utopistami, prowadzicielami a nie gwałcicielami społeczeństwa, ludźmi owoców a nie ludźmi bezużytecznej pychy, duchami postępu a nie upiorami reakcyi; nie słuchajcie takich fałszywych proroków, jakim jest p. Paweł Popiel!!

Bo oto nie jesteście powołani występować przeciw społeczeństwu i wykonywać na niem zamachy społeczne w imię przestarzałych pretensyj, lub tłukących się po wstecznych mózgownicach upiorów utopistycznych, nie macie prawa uważać się za nieomylnych, kiedy wszyscy zostawali w obłędzie, ani za apostołów naprawy społeczeństwa, które zepsute nie jest. Nie macie prawa używać ostracyzmu, który podaje wam p. Popiel i mówić: Kto się nie zmieści w ciasne ramy naszego politycznego credo, ten jest przeciwko nam i tego niszczyć będziemy, bo wasze credo powinno być szeroką płaszczyzną, na której się zmieszczą wszyscy ludzie z zdolnościami i dobrą wolą. Nie macie prawa używać ostracyzmu i sprowadzilibyście drugi kataklizm podobny pierwszemu, gdybyście go używali, bo wszyscyśmy winni, wszyscy od amnestyi sobie danej powinniśmy nowe życie rozpocząć i wszyscy powinniśmy uczynić axiomatem naszego politycznego życia, że wszystkie nieszczęścia ostatniej chwili sprowadził zamach społeczny — ale zamach pochodzący właśnie od człowieka, który podzielał opinię p. Popiela o zbawienności ostracyzmu — a miał środki od rządu podane, aby je wykonać!!...

Tak jest: Nie byłoby nieszczęśliwego powstania, gdyby nie obopólny ostracyzm warstw społecznych względem siebie. Nie byłoby powstania, gdyby go nowy Targowiczanin nie był wywołał, „rozcinając wrzód, który pęknąć nie chciał". Co więcej, nie byłoby się przygotowało powstanie, nie byłby się nagromadził palny do niego materyał, gdyby warstwy społeczne nie były się zamykały w samych sobie, gdyby nie były partykularnych pilnowały interesów, gdyby nie były z oka spuszczały głównego zadania narodu, jego rozwoju na polu nie samego dobrobytu, ale oświaty i zrównania się, na polu obywatelskiem, gdyby, zarzuciwszy same politykę, nie pozwoliły jej uchwycić niedorostkom i przewrotnym socyalistom, gdyby ów człowiek, wyjednywający reformy, spuszczając z pychy, był szukał podstawy u ludzi pośredniego obozu, gdyby ci ludzie nie byli odepchnięci od reform, obrażającym godność narodową sposobem ich podawania! Nie byłoby się przygotowało, gdyby ci, co najmocniej dziś krzyczą, nie byli wówczas w mysiej siedzieli

jamie, albo zamiast wyrozumiewać położenie fatalne ogółu, nie drażnili go, gdyby nie byli plwali na nie, zamiast się z niem porozumieć. Nie byłoby się przygotowało, gdyby oni sami siebie i innych zaprzągli do pługa pracy, do ofiary i poświęcenia a stworzywszy rzeczywiste widoki przyszłości w ten sposób, nie pozwolili gonić za urojonemi!

Taka jest solidarność warstw społecznych wobec Boga i dziejów! Jedna odpowiada za drugą, grzechy jednej spowodowane są grzechami drugiej. Dzieje opisujące krwawe 1863 r. wypadki, będą podziwiać poświęcenie i obłędy małoletnich, ale cóż o pełnoletnich powiedzą? Na nich spadnie cała odpowiedzialność, ich Bóg najsroższej osądzi! Osądzi jednych, że zwodniczemi nadziejami podtrzymywali zgubną walkę i nie dali jej w jednem olbrzymiem, gladiatorskiem upaść wysileniu, osądzi drugich, że nie byli panami społeczeństwa, do czego mieli prawo i środki. Ale łaskawym będzie ten Bóg dla tych, którzy w straszną sytuacyą dostali się za popępem szlachetnego serca, za wirem powszechnym, z ufnością w Bogu, w cuda jego, co poszli jak Judyta do namiotu Holofernesa albo Dawid z procą na Goliata.

I takich, takich, — całe morze duchów poszło do lepszego świata, całe strumienie odpłynęły z jękiem w dalekie strony, tacy — dzisiaj w domach ojczystych płaczą nad kraju niedolą. Nie rewolucyoniści to, owa młódź, co powróciła z Syberyi, owa szlachta, co utraciła mandat wyborczy i poselski a nadszargała majątek, to ludzie tylko, co nie mogli każdy pojedyńczo naprawić tego, na co się całe, opuszczeniem lub czynem, niedoświadczeniem lub przewrotnością, rozbiciem swojem i nieporozumieniem między sobą złożyło społeczeństwo, a czego nie mogli naprawić i tacy ludzie jak p. Popiel, chociaż tak dobrze przewrotność świata widzieli, bo „biada samemu". Mamyż sądzić ich srożej od sądów wojskowych, mamyż na nich zwalać winę, która na wszystkich jednakowo cięży, mamyż publicznymi czynami objawić im, że ich rany, ich włosy posiwiałe, ich cierpienia nie mają wartości, ale są grzechem przeciw naszemu społeczeństwu — mamyż to uczynić — aby tym sposobem zyskać sobie zaufanie rządu?

Nie! rząd takich nie potrzebuje gwarancyj. Dzisiejsze usposobienie tych ludzi, owszem, lepszą mu jest gwarancyą od tej, którą mu p. Popiel dać zamierza. Ludzie ci poczuli osobiście, doświadczeniem, zgubność ruchu, który ich mimowoli zagarnął, ludzie ci z tą samą miłością, którą okazali, potrafią służyć dobru publicznemu w innych warunkach. Forma się w nich zmieniła, istotna zacność

ich była pozostała ta sama, powiemy o nich, używając stylu p. Popiela. Owi zaś nieliczni, których ruch uczynił przewrotnymi, albo raczej, którzy przewrotność przyrodzoną przynieśli do ruchu, osądzeni już i takich nie zaszczyci zaufanie publiczne. Oszołomione głowy młode potrzebują nie wyłączenia od społeczeństwa, które powiększa każdą chorobę, ale nauki, pracy, opieki!

Nie ma więc przyczyny uderzać p. Popiel w wielki, pozostały w składach redakcyi *Ogniska* dzwon i rozpaczać o stanie naszego społeczeństwa. Nie ma co wtórzyć baśniom, które biurokracya tylko o naszym kraju szerzy! Nie ma przyczyny, podawać wielkim imionom naszym do ręki nóż ostracyzmu, bo temu ulegnąć powinny tylko dwa przeciwległe, zarówno zgubne bieguny naszego życia — rewolucya *quand même* i reakcya, rozsiadająca się na pobojowiskach, gdzie czuć zapach trupów....

Przeciwnie, w poczuciu powszechnej winy i powszechnego nieszczęścia nie słuchać nam głosów, dzielących nas i kryminujących, nie słuchać proroków, którzy milczeli wczoraj a dzisiaj narzucają nam mądrość swoją. Mało nas jest, stańmy razem w zgodzie i miłości, nierozdzieleni między sobą waśniami o wczoraj ale połączeni myślą o jutrze. Niech nam w imię Boże zaprzodkują ci, co mają sposobność i znaczenie, niech posiędą zaufanie rządu; kraj tylko zyskać może na tem, jeżeli wezwą wszystkich do pracy około publicznego dobra, jeśli zrozumieją wybitne znamiona czasu, jeśli pojmą, że przeszedł czas służenia u pańskiej klamki, a przyszedł czas spólnej pracy i spólnego szanowania się podług zasług i zdolności. Droga p. Popiela wiedzie ich między politycznych hipohondryków i między powolnych służalców, a stawia ich w antagonizmie z życiem świata średniego, z którym jako z potęgą rachować się muszą; droga nasza zapewnia im poparcie, przyjaźń i szacunek ogółu, zapewnia pożytek i rozwój krajowi. I my mówimy z p. Popielem, kończąc rzecz naszą: Do wyboru.

Józef Szujski.

Na artykuł powyższy odpowiedział p. Popiel broszurą p. t.

„Kilka słów Pawła Popiela z powodu artykułu p. Józefa Szujskiego w feuilletonie dziennika „Hasło“ z dnia 9 Listopada zamieszczonego“. Kraków 1866, dnia 10 Lutego.

Podajemy ją, jako niezbędną do zrozumienia rzeczy. Oto jej brzmienie:

Wiedziałem, że p. Szujski napisał korespondencyą do „*Hasła*“ z powodu listu mego z dnia 25 Października r. z., wszakże świetne to pismo zbyt późno dostało się w moje ręce; żałuję mocno, bo nie lubię zostawać w odpowiedzi dłużnym. Odpowiadać dzisiaj i poruszać kwestye odnoszące się do przeszłości, kiedy obecność tak pełna życia, nadziei i tak zajmująca, jest mi nie na rękę; a jednak odpowiedzieć muszę, bo kwestye dotknięte i w moim liście i w uwagach p. Szujskiego są tak ważne, i tak głęboko sięgają w życie społeczności naszej, że rozjaśnione być muszą. Z niektórych wyrazów pisma p. Szujskiego wnoszę, że solidarnie robi odpowiedzialnym za moje opinie adresanta. Odpowiedzialność za każde słowo, które wyrzeknę, za każdą zasadę, którą postawię, za każdy kierunek, który wskażę, zwykłem brać na siebie, a pod żadną, jakkolwiek szanowną, nie zakrywać się powagę. Zdanie, które objawiam mówiąc do drugiego, choćbym przypuszczał, że je dzieli, do żadnej nie obowiązuje go solidarności: jakoż w danym przypadku ta strona szczególniej jest podniesioną, raz przez wyraźne oświadczenie w końcu listu: że nie wiem, czy księciu będzie miłym; drugi raz przez tę okoliczność, że list nie był mu wprzódy udzielony prywatnie.

Rozprawę z takim przeciwnikiem jak pan Szujsski z swobodnem witam sercem, taka tylko może być użyteczną, wyjaśnić kwestye, oświecać przekonania. Innej prowadzić bym nie mógł, bo każda rozprawa publiczna jest dla mnie rzeczą sumienia, a dla tego przystępuję od razu do rzeczy, ograniczając ile możności pole dyskusyi, którą p. Szujski z wielkim urokiem talentu pisarskiego, wyobraźni i gorącego uczucia rozrzucił po całym obwodzie, może dla tego, ażeby go było trudniej pochwycić. Przedewszystkiem, ponieważ umiał uszanować szczere przekonanie, niech raczy tutaj przyjąć wyrażenie mojego osobistego szacunku. Po takiem oświadczeniu z ust, które nigdy nie skłamały, pozwoli, że w dyskusyi nie zawsze może oszczędzę Jego przekonania i sympatye.

Korespondent z „*Hasła*“ godnym naśladowania przykładem przytoczył najważniejsze ustępy mojego listu, wszakże streszczając jego osnowę mówi w końcu: *(in cauda venenum)* „że kraj organizacyą swoją ma przyjąć na podstawie porozumienia się z rządem „tych nielicznych obywateli, którzy ostatni ruch obecnie głośno „potępiają, którzy rządowi dadzą nieznane bliżej przeciw rewolucyi

„gwarancye, otrzymując w zamian od niego pełnomocnictwo powró-
„cenia kraju w kluby ułożonego przez nich systemu i porządku".
Na to streszczenie autor listu się nie godzi, ani ktokolwiek list przeczytał. Tak streszcza i tak dodaje duch stronnictwa, który czyta pomiędzy drukowanymi wierszami a czyta to, co chce, podkładając swoje własne myśli na odpowiedzialność autora, aby to tem łatwiej potępić. Rzekłby kto, że żądałem oddania kilku obywatelom jakiejś władzy dyskrecyonalnej, policyjno-administracyjnej, kiedy właśnie dążnością całego pisma było, zaprowadzenie samorządu na najszerszych posadach. Nie przeto więc powagi krajowe miały się porozumiewać z rządem, aby kraj w kluby ujmować, ale po to, aby wzbudziwszy jego zaufanie, wyjednać jak najobszerniejsze swobody. Nie zrozumiał przeto myśli mojej, nie chcę powiedzieć, zrozumieć nie chciał, ale o to mniejsza, nie to jest punkt główny, który nas rozdziela.

Odgarnąwszy liczne zarzuty, domysły i oskarżenia, któremi zasypał p. Szujski przeciwnika, o co mu właściwie idzie, kiedy powtarzając główne pisma mojego twierdzenia, ustawnie powtarza: *zgoda;* idzie mu o to, czego ja nie chcę. Dla tego list by się podobał, gdybym nie powiedział z naciskiem: że opinia krajowa po takiem srogiem doświadczeniu, powinna odtrącić ludzi, którzy tylu nieszczęść byli przyczyną, a potępić raz na zawsze spisek. List by się podobał, aleby też nie miał żadnej wartości: bo wszystko, czego pragniemy dla kraju i na co pomiędzy nami zgoda, zdobytem, a szczególniej utrzymanem być tylko może pod tym warunkiem. Różnica pomiędzy mną a p. Szujskim w tem: że rozumie albo rozumieć zdaje się, iż wypadki r. 1863 dziś zwane nieszczęśliwymi, były nieuniknione, że odpowiedzialność za nie na nikogo nie spada, albo spada na tych, którzy je chcieli powstrzymać, a ja twierdzę, że były przygotowane z góry, obmyślane przez ludzi lekkomyślnych, fanatyków poświęcających wszystko dla swego ideału a będących prócz tego narzędziem rewolucyi europejskiej. I dla tego mimo poświęcenia i szlachetności osobistej niektórych indywiduów, uważam za potrzebne, za konieczne, oświecać pod tym względem sumienie narodowe, choć wiem, jaką za to odbiera się nagrodę. Strasznem cierpieniem przyciśnieni, winniśmy wspólnie usiłować, wspólnie się miłować, nawzajem sobie wybaczać, ale to usposobienie wzniosłe w poezyi, w polityce nie wystarczy, winniśmy przeto korzystać z doświadczenia przeszłości, bo temu tylko gorzkie doświadczenie posłuży, który uzna, że na nie zarobił. Zwrot w siebie jest tu koniecznie potrzebny, do tego zwrotu opinię krajową namawiam, bo

sam jeden od powrotu podobnych nieszczęść zachować społeczność może. Nikt dziś o rewolucyi nie myśli, prawda, nikt też nie posądzi o knowanie i dążenie na jej korzyść, ale idzie o to, aby zbawienne dzisiejszego dnia roboty nie były zniszczone przez ludzi, co sami powołaliby siebie na zbawców ojczyzny. Dopokądby ludzie, co wywołali ruch 1863 r. i są odpowiedzialni za jego następności, mogli być uważani jako bohaterowie dobrze zasłużeni ojczyźnie, dopóty szereg katastrof prowadzących nas do przepaści zamkniętym nie będzie. Po co zatem czynić margrabiego Wielopolskiego odpowiedzialnym za wypadki 1863 r. Mówiąc poważnie o bardzo poważnych sprawach, nie należy nam wzajemnie w błąd się wprowadzać. Czy margrabia wyrzekł albo słowo o rozcięciu wrzodu — obojętna. Wrzód był, a przygotowany zdala umiejętnie, konsekwentnie, musiał pęknąć, albo być rozciętym. Na co się to przyda takie zaprzeczanie faktów historycznych. Alboż krajowi inaczej jak prawdą służyć można, choćby z niej nieprzyjaciele korzystali? Do czego więc dziś miotanie się na człowieka, który mógł mieć wady i popełniać błędy, ale który zaprawdę zasłużył na to, aby go kraj ocenił, kiedy go już obcy ocenili. Margrabiego Wielopolskiego nazywać targowiczaninem, rzecz nie rycerska. Nazwa ta różnorodnie stosowana, zużyła się. Znakomity pisarz i zasłużony miłośnik ojczyzny, nazywał ruch 1863 r. targowicą z dołu. W każdym razie wiedzieć należy co jest targowica: Jestto użycie pomocy obcej do zniszczenia prawnego porządku w domu: inaczej Margrabia, potrafił użyć obcej panującej przewagi, aby w domu stan prawny postępowy zaprowadzić; kto tego nie widzi, to albo widzieć nie chce, albo do spraw publicznych nie ma poglądu. Widział to spisek, ale odtrącił, bo nie chciał wolnego postępu i zdobywania, ale rewolucyi; widzą to i wszyscy Rosyanie polityczni i dla tego mają taką do Margrabiego niechęć. Jeżeli korespondent do „*Hasła*“ twierdzi, że przyczyną powstania był pobór równie nie ludzki jak nie polityczny, to jakże wytłumaczyć opozycyą spisku przeciwko wszelkim instytucyom wywołanym przez Margrabiego i dwukrotny przeciwko jego osobie zamach. Mówi korespondent, że wszyscy powinniśmy uczynić aksiomatem naszego politycznego życia, iż wszystkie nieszczęścia ostatniej chwili sprowadził zamach społeczny, pochodzący od niego. Niech Bóg broni narodu od tego nieszczęścia, aby aksiomatem jego politycznego życia miał stać się błąd i musiałbym nie mieć ani języka w ustach ani pióra w ręku, aby nie protestować przeciwko takiemu politycznemu, historycznemu i moralnemu bluźnierstwu. Jakiż to zamach społeczny; „czy rozcięcie kwestyi „włościańskiej, czy samorząd administracyjny, czy prawo o wycho-

„waniu, czy równouprawnienie żydów, czy wezwanie do rady stanu, „urzędów, a nawet do swego boku właśnie ludzi pośredniego „obozu*.

Zwracam więc korespondenta z wycieczek, w których goni za utworami własnej wyobraźni, bo nie mówiłem ani „o baśniach, które „biurokracya szerzy, ani o przestarzałych pretensyach tłukących się „po wstecznych mózgownicach, ani o występowaniu przeciwko na„szemu społeczeństwu", którego warunki, jak się to niżej pokaże, znam równie dobrze jak on; wszystko to bowiem bałamuci tylko zamiast oświecać, a pytam, czy wszystkich nieszczęść od lat już kilkunastu nie był przyczyną spisek przerywający peryodycznie roboty tych ludzi, co są zdrowiem i sumieniem narodu. Wkrada się do szkoły, chwyta chłopię ledwo młodzieńczych lat dochodzące, zatruwa jego serce, nadyma pychą, pozbawia indywidualności, robiąc cudzem narzędziem: cały ustrój moralny już tam zamglony, tak, że w tym promyku cnoty od zbrodni często rozeznać nie może. Choroba wgryza się aż do kości narodów niesprawiedliwie uciemiężonych, tem niebezpieczniejsza, że ją zaprawia jad spisku ogólnego rewolucyjnego i zwykle na narzędzie używa. Tak właśnie stało się w r. 1863. Nadludzkie ćwierciowiekowe, kosztem zdrowia i majątku usiłowania na drodze organicznej wielkiego obywatela i miłośnika kraju, zniszczył odrazu. Znajduje się człowiek, który genialnym podskokiem chwyta w chwili największego niebezpieczeństwa społeczność nad przepaścią i na drodze prawnego ustroju ze wszystkimi warunkami, jakie położenie dozwalało, sadowi społeczność na podstawie, na której mogła sobie szeroką wyrobić przyszłość. Znowu spisek z bezprzykładną wściekłością stawa na przeciwko niemu i powala, śmiem powiedzieć, olbrzyma, bo w historyi znam mało przykładów walki podobnej jak ta, którą stoczył margrabia Wielopolski, chcąc społeczność polską ratować. Nad tem się sumienie krajowe nie dość zastanawia, raz że ulega pewnym uprzedzeniom, powtóre, że prawdy te rzadko kiedy były wypowiedziane. Czy ludzie, sprawcy tyla złego byli pełni miłości i kochali, jak się wyraża korespondent, nie wchodzę. O pojedyńczych indywiduach staram się zawsze sądzić sprawiedliwie i łagodnie, wiem, że rzecz ludzka błądzić i dla tego nikogo poszczególnie ani potępiam ani ścigam: ale zasady, ale kierunek, ale uprzedzenia, ale pycha, ale stronnictwo, nie mogą być dość surowo osądzone i potępione; dla tego powtarzam: opinia krajowa powinna potępić spisek jako zasługę, jedyny sposób, aby, jeżeli nie położyć mu końca, przynajmniej osłabić jego siłę. Bez potrzeby więc broni p. Szujski społeczności naszej przeciwko moim

jakoby zarzutom, kiedy powiedziałem najwyraźniej, że przeważa w niej niezmierna większość zdrowych żywiołów. Jakoż pokazało się to na sejmie, na którym cała prawna reprezentacya kraju poszła instynktowo tą właśnie drogą, której pragnęliśmy, nie dla tego, żeśmy jej pragnęli, ale dla tego, że żywioły krajowe zostawione same sobie, kierowane miłością dobra publicznego, nie parte przestrachem sztucznej opinii, trafiły na drogę zdrową, rozumną, polityczną i już zdobyły dla kraju stanowisko w monarchii. Tak zawsze będzie w Polsce, ile razy naród zostawiony własnym instynktom, posługiwać się zechce ludźmi, którzy stanowiskiem, zasługą i znajomością rzeczy przodkować mu winni. Nie mniej dla tego, powtarzam, zastęp ludzi połączonych jednemi zasadami na niewzruszonej podstawie, koniecznie potrzebny, bez tego kierunku stałego nigdy nie będzie, a więc nie będzie właściwie polityki, bo sercem, uczuciem w chwilach krytycznych prowadzić się nie można, na morzu zaś politycznem chwile spokoju są krótko trwałe a niewiadomo zkąd wiatr zawieje. Dziś nawet byłoby do życzenia, aby się wybitniej odrysowały dążności. Takiego zorganizowania żywiołów krajowych pewne stronnictwo dopuścić nie chce i dla tego każdy zawiązek jego roztrąca i wszystko zrobi, aby ludzi z silnem przekonaniem odosobnić. Czy zdrowa opinia krajowa taką taktykę przyjmie, nie wiem; w każdym razie ja jej się nie ulęknę, podobnie, jak mnie nie zastraszy nadmiar trochę już zużytych zarzutów, któremi korespondent z *„Hasła“* usiłuje mnie zasypać, a które przesiane na rzeszocie zdrowego rozsądku, okażą się nie ziarnem ale plewą, co chwilowo pogląd zaciemnić może, a wnet z wiatrem opada.

Wymowna, lepiej powiem poetyczna filipika korespondenta przeciwko ludziom wstecznym, kastowym, śledziennym chybia celu, bo tych ludzi, a przynajmniej tego stronnictwa nie ma. O arystokracyi nikt nie marzy, chyba tylko pewien rodzaj demokratów: każdy człowiek polityczny przyjmuje zmiany konieczne w formach ustroju społecznego, każdy się niemi cieszy; różnica zachodzi w tem: że jedni, zwykłym błędem ludzkości, biorą środek za cel, drudzy tej pomyłki unikać umieją. Dla tych ostatnich była rewolucya środkiem nie celem: rewolucya rozbiła dawne społeczne formy już przeżyte, aby ludzkość wydobyta z nich przyoblekła nowe, na zewnątrz odmienne, co do istoty odpowiedne koniecznym wymogom społeczeństwa, którego esencya nigdy się nie zmienia. Kto tu więc postępowy, czy ten, który przewiduje i wskazuje, jak nowe kształty organiczne ludzkość sobie wyrabia i wyrabiać musi, czy ten, dla którego rok 1789 jest początkiem i końcem politycznego rozumu

i który z pojęć, z zawiści, z antagonizmu, które ten rok przyniósł, wydobyć się nie umiał. Klasy średnie nadto mało miały u nas i praktycznej i teoretycznej nauki, aby wyjść z tej negacyi; owionął je więc istotnie ten duch miarkowany miłością kraju. Tak było we Francyi, czemuby nie było u nas, boć dopiero dnie czerwcowe 1848 r. wyleczyły klasy średnie francuskie z tej choroby. Niepotrzebnie do tej kategoryi zalicza się p. Szujski, godzien innego miejsca i przekonany jestem, że je znajdzie, byle się potrafił otrząsnąć z pewnych uprzedzeń albo więzów przeszłości. Wówczas uzna, że straszna konieczność nie sprowadza na społeczeństwa nieszczęścia, ale, że los swój same wyrabiają, że spisek, broń zwykła narodów ujarzmionych, żadnemu nie usłużył a niejeden potrącił w przepaść moralną, z której wydobyć się trudno, że społeczności powinny karać moralnem potępieniem wszelkie polityczne błędy, co on ostracyzmem nazywa; że społeczności europejskie szukają formy organicznej, odpowiedniej koniecznym potrzebom człowieczeństwa, bo w atomizmie rewolucyjnym zostać nie mogą; że rewolucyi przeto jako ideału stawiać nie podobna, bo to prostu młot, który roztrącił dawno zużytą formę społeczną. Niech kto chce pada na kolana przed tym młotem, ja wolę zastanowić się nad tym śpiżowym posągiem, co jeszcze nie otarty, nie wypiłowany, przegląda z pękniętej formy, którego w całości nie ujrzę, ale którego świetność odgadnąć mogę. Tą formą organiczną społeczeństwa nie może, zdaje się, być co innego, jak rodzina przywrócona do właściwych warunków i gmina sięgająca do coraz wyższego ustroju państwa. Czy zaś na jego szczycie będzie król, cesarz, albo prezydent, obojętna; zależy to od przeszłości, żywiołów składowych, praw nabytych. Wskazałem, jako ogniwo pośrednie i doradzałem sędziego pokoju, wyznaczonego przez koronę, co musiało szczególniej obrazić, kiedy te słowa podkreślone. Tak jest, przez koronę, bo sądownictwo jest zawsze atrybucyą władzy najwyższej. Najwolniejsze i politycznie najwytrawniejsze narody tego trzymają się porządku, tem więc potrzebniejszy naszej na drodze porządku początkującej społeczności.

Te tylko uwagi w odpowiedzi korespondenta podniosłem, które odnoszą się do zasad ogólnych. Cokolwiek odniosło się do osoby, pomijam; opinia krajowa ma obecnie czem innem się zatrudniać. Nie bez bólu przyszło mi dziś w taką zanurzać się przeszłość, kiedy teraźniejszość tak się świetnie objawia, odwróćmy się przeto od tych przepaści spisku i nieszczęścia, które w końcu razem potępiamy, a chodźmy, jak powiada mistrz włoski, przypatrzeć się, jak świecą gwiazdy.

Na pismo p. Popiela odpowiedział Szujski listem prywatnym, który wydawnictwo niniejsze zawdzięcza uczynności p. Popiela a które brzmi:

Szanowny Panie!

Otrzymawszy pierwszy list Pana wraz z drukowanemi „Kilkoma słowami“ gotowałem się do odpowiedzi pisanej, którą chciałem wręczyć Panu za Jego powrotem ze wsi. Podzielałem i szanowałem zdanie Pańskie, że na polemikę dzisiaj nie czas, kiedy toczą się ważne sprawy budujące przyszłość.

„I ja też“ w osobie p. T. [1]) zepsuło wzajemną wymianę prywatną myśli między nami, która może pozwoliła by nam znaleść nie jeden punkt wspólny. Puszczasz Pan Dobrodziej „kilka słów“ ja puszczę odpowiedź. Aby jednak jak najmniej uronić z pierwotnej myśli, na którąśmy się oba zgodzili, poprzestanę na odporze kilku głównych zarzutów a zajmę się głównie wskazaniem drogi porozumienia. W ten sposób będę chciał upożytecznić naszą polemikę.

Jesteś szanowny Pan katolikiem — i ja nim jestem — jesteś przywiązanym do kraju i ja pochlebiam sobie — że go kocham, jak nic na ziemi. Jesteś starszym, o wiele starszym odemnie — tu może główna między nami różnica. W okropnych stosunkach naszych starość przychodzi prędko — a objawia się nie osłabieniem siły rozumu, ale osłabieniem siły wiary. Traci się wiarę w społeczeństwo, w magiczny wpływ kochającego serca, w potęgę jawnego postępowania, w skuteczność wielkiej i szczerej polityki, w pożyteczność owej Chrystusowej popularności, która idzie między tłum i zyskuje wyznawców. U nas cała wyższa warstwa społeczna choruje na tę starość, spuściznę przeszłości i przyjmuje na siebie coraz bardziej rolę hrabiego Henryka w Nieboskiej. Nikt tego nieczuł lepiej, jak melancholiczny wieszcz jej, Krasiński.

Przeciwny biegun, odpychany tem postępowaniem, zbliża się do strasznej roli Pankracego.

Wśród takiego stanu rzeczy każdy niewierzący w fatalizm winien przyjąć rolę pośrednią. W tej roli czułem się obowiązany odsunąć zdania szanownego Pana i wystąpić przeciw nim a nawet

---

[1]) Ma tu Szujski na myśli broszurę: „Głos posła obwodu sądeckiego do swoich wyborców. Lwów 1866. Pisałem w Krakowie w miesiącu Styczniu 1866 r. Franciszek Trzecieski“.

nazwać go „fałszywym prorokiem“. Z temi przekonaniami musiałem odtrącić politykę margrabiego, jako wywołującą wręcz przeciwne założeniu skutki wobec korzystającej z tego potęgi trzeciej, z którą nie ma kompromisu. W odpowiedzi mojej będę stawiał na to dowody. Z temi przekonaniami nie przestanę wołać na ludzi, odgradzających się od nas obyczajami, polityką postępowania, na ludzi, obawiających się wywrotu ładu społecznego, aby zeszli do nas, skoro my do nich dojść nie możemy i uwierzyli nareszcie, że nie konserwowanie społecznego stanowiska, nie dążenie do odbudowania hierarchii na tymokratycznej lub innej jakiej podstawie — ale czynna, pełna poświęceń, jawna polityka liberalna, inicyatywa w szerzeniu oświaty, dobrobytu, pojęć wolności prawdziwej, doprowadzić zdoła do rzeczywistej a nie poetycznej, jak mi Pan Dobrodziej zarzucasz, zgody w społeczeństwie.

Do ułatwienia takiej zgody, znajdą się pomocnicy — a pomiędzy niemi i ja, który piszę się Szanownego Pana

powolnym sługą
J. Szujski.

Jeżeli Pan Dobrodziej życzysz sobie widzieć się ze mną, będę Mu służył kiedy zechcesz.

Z WYCIECZKI DO LWOWA.

PIĘĆ LISTÓW.

1. Kwestya ruska.
2. Gmina.
3. Język wykładowy.
4. Wniosek względem żydów.
5. Parcellowanie gruntów.

(Drukowane w dzienniku „Czas“ wyszły te listy w osobnej odbitce. Kraków 1866. Napisane w Krakowie po powrocie ze Lwowa w dniu 9 Lutego 1866, są poglądem na najważniejsze kwestye rozbierane na sejmie, który podówczas trwał od 23 Listopada 1865 r. aż do 28 Kwietnia 1866 r.)

List pierwszy.

Obiecałem wam przesłać woluntaryuszowską ze Lwowa korespondencyę.

Pobyt mój trwał za krótko, abym się mógł zdobyć na coś więcej, jak na sprawozdanie pierwszych wrażeń. Nie pisałem więc, pozostawiając tę rzecz spokojnej chwili za powrotem. Tak powstały owe listy, które wam do dyspozycyi oddaję.

Podzielając domatorstwo z ogromną większością mieszkańców Krakowa, widziałem sejm galicyjski po raz pierwszy. Wzruszający to widok dla każdego, co dla mrzonek lub doktryn, nie przeoczył położenia kraju i narodu, co po klęskach lat ostatnich z religijnem uczuciem wdzięczności dla Boga wita każdy promyk lepszej doli, każdą sposobność rozwoju restauracyjnej pracy. Z takiem poczuciem w sercu musi się być umiarkowanym w żądaniach i wyrozumiałym, nie żąda się cudów i nadzwyczajności, nie żąda skoków heroicznych i świetnych animuszu narodowego popisów. Żąda się głębokiego poczucia położenia narodowego, spokojnego i pełnego godności toku obrad, żąda się polityki umiarkowanej i budującej.

Pierwsze wrażenie sejmu galicyjskiego poważne jest i podnoszące. Skromność urządzenia sali odpowiada położeniu kraju, nawet owe dwa rzędy ławek poselskich, szkołę raczej niźli parlament przypominające, zdają się mówić, że zgromadzenie reprezentantów kraju studyum złych jego stosunków i środków zaradczych a nie walkę stronnictw ma na celu. Na pierwszy rzut oka nie spostrzeżesz też wyraźnego ugrupowania stronnictw, po prawej i lewej spotkasz twarze znajome, dobrą dające otuchę. Twarze ruskich włościan, po których się domyślasz o bliskości przodowników Rutenizmu, przemawiają do ciebie słowiańską prostotą i pobratymczem podobieństwem do chłopów mazurskich, od których je tylko odmienny

malowniczy ubiór, flegmatyczność ruchów i pewna smętność wyrazu wyróżnia. Pierwsza ławka prawicy, mieszcząca katolickie duchowieństwo obojga obrządków, przypomina ci krzesła senatorskie dawnej Rzeczypospolitej; a gdybyś gazet nie czytał, gotów byś podać się miłym wspomnieniom o błogosławieństwach unii florenckiej i brzeskolitewskiej, o politycznym akcie lubelskim i hadziackim.

Ale nie czas na marzenia. Hebanowa laska poważnego księcia marszałka [1]) stuka o wysoką estradę, obraz przechodzi w ruchliwy dramat krajowego społeczeństwa, marzenie ustępuje przykrej rzeczywistości. Zaledwie sekretarz sejmowy wśród ruchliwej i niespokojnej izby odczyta rejestr petycyj, obracających się głównie około motywu biedy krajowej, a marszałek pierwszą sprawę przed izbę przywoła, ów rozłam szkolny na „*pars latina*“ et „*graeca*“ staje ci jasno przed oczyma a zgromadzenie układa się w grupy, polską i ruską.

Trafiłem przypadkowo na posiedzenie, na którem extrawagancya stronnictwa tak zwanego ruskiego najjaskrawiej może wystąpiła. Szło o odebranie funduszów krajowych [2]). Ksiądz Ginilewicz, jako sprawozdawca mniejszości wydziału, stanął przeciw odebraniu, motywując je w swojej starocerkiewnym językiem wygłoszonej mowie. Stało się to bezpośrednio po sesyi, na której polscy posłowie przy traktowaniu sprawy księdza Nikorowicza dali dowód nietylko umiarkowania ale względności. Dyskusya przeciągnęła się kilka godzin, pozwalając mi robić obszerne studya lingwistycznej Babilonii ruteńskiej. Wywnętrzono się należycie z zaskarżeniami żywiołu polskiego o uciski Rusi; ks. Kaczała upominał się o korony zabrane przez Kazimierza W. w r. 1340 i twierdził, że wówczas „Ruś bohata buła“ (jak wiadomo pod jarzmem carzyków tatarskich), w końcu nieliczne stronnictwo ruskie za przewodem księdza metropolity, głosowało jak jeden mąż przeciw odebraniu funduszów krajowych w myśl projektu większości.

Fakt ten pokazywał dosyć jawnie, że stronnictwu świętojurskiemu chodzi o opozycyę *quand même*, o niweczenie i przeszkadzanie wszelką siłą autonomicznego dążenia sejmu. Dosyć popatrzeć na twarze owych „speakerów lewicy, twarze blade, z zaciśniętemi ustami, z tajonym w źrenicach ogniem nienawiści, aby się przekonać, że rozłam jest ogromny, spór namiętny i zapalczywy. Spór

---

[1]) Ks. Leon Sapieha.

[2]) Posiedzenie 25te z dnia 23 Stycznia 1866.

ten jest niezawodnie pierwszą wewnętrzną kwestyą kraju i sejmu, kwestyą palącą, sprawiającą w nierozstrzygnieniu swojem ogromne szkody, nadewszystko zaś groźną dla krajowej przyszłości. Niestety! nie mylimy się się jednak, twierdząc, że w tej kwestyi najmniej jasne mamy pojęcia, najmniej wybitną politykę postępowania a raczej, powiem to śmiało, żadnej polityki.

Faktem jest, że od r. 1773 do 1848 mało słyszano o Rusinach a wcale nic o ruskiem stronnictwie. Na tym fakcie opiera się popularna opinia polska sięgająca aż do świątnicy sejmowej. Rusini są fabrykatem reakcyjnego, biurokratycznego stronnictwa r. 1848, brzmi głos powszechny. Biurokracya wyszukała powolne narzędzia między klerem greckiego obrządku, aby krzyżować rozwój narodowości polskiej. Od tego czasu faworyzowały ministerya centralistyczne, rutenizm w urzędzie i szkole, wpływały na jego rozwój, popierały jego nieprzyjazne polskości zamiary, wywołały gwałtem pseudoliteraturę i pseudonarodowe dążenia. Słowem, do czego w zachodniej Galicyi dążono za pomocą społecznej zamieszki, w wschodniej znalazły się jeszcze inne pomocnicze żywioły, różnica obrządków, różnica plemienia i społeczne stanowisko księdza ruskiego, oddalone od właściciela większego, Polaka, a zbliżone do mniejszego, chłopa Rusina.

Raz podmuchnięty kierunek utrwalił się i wzrósł. Rutenicy wyzyskiwali obficie narzuconą sobie rolę, a niebawem znalazły się i inne wpływy popierające ich dążenie, przeciw polskości zwrócone. Jeżeli marzenie Rusi samodzielnej, przez tak zwaną małorosyjską, ukraińską partyę podjęte, stosunkowo najmniej między realistycznemi politykami św. Jura znalazło zwolenników: to znalazło ich przecież i znajduje między młodą Rusią w szkole i kościele. Więcej powodzenia jeszcze miała propaganda północnego caratu, który od czterech wieków kłamliwie Rosyą z Rusią identyfikując, podawał potajemnie pomocną rękę Rutenom galicyjskim, jako przyszłym poddanym, jako nieprzyjaciołom Polski, jako dwuznacznym unitom, jako wybornym agitatorom zaborczego panslawizmu.

Ztąd owe dążenia ku moskwiceniu języka, ztąd zbrodnicze zamachy na świętość unii z Rzymem, ztąd konszachty podziemne z ajentami i wysłańcami rosyjskiemi.

Oto co zwykle o Rusinach i ruskiem stronnictwie w Galicyi słyszeć się daje. Dodaćby wypadało jeszcze, że zdaniem opinii miejscowej, chłop niepodziela dążenia kleru, że kler sam w części tylko rzucił się na śliską drogę owej polityki narodowej, że kler niższy i lud stękają pod żelaznym obuchem despotyzmu hierarhii

grecko-unickiej, że sojusznikami stronnictwa świętojurskiego dzisiejszymi są stara biurokracya i upadający system centralistyczny, że wierząc w jego powrót a może i w co innego, stronnictwo świętojurskie prowadzi opozycyą do ostateczności i chce jawnego zerwania z Polakami, podziału Galicyi i t. p.

Z tych premiss, większą częścią najzupełniej prawdziwych, rozdrażniona ustawnem tarciem, złą wiarą i zaciekłością Rusinów polityków opinia, skłonną się zdaje do ostateczności i mówi: Z Rusinami jako stronnictwem sfabrykowanem, nastrojonem paktów zawierać i rachować się nie warto; narodu i języka ruskiego nie ma; dążenie do odrębnej narodowości jest agitacyą klerykalną, centralistyczną lub moskiewską, utrzymaną z rozkazu kilku karyerzystów w urzędzie i kościele. Użyć więc należy bezwzględnie większości polskiej sejmu, aby przy dziele nowej organizacyi kraju to nieszczere i zdradzieckie dążenie pominąć i zniweczyć.

Opinia ta wydaje mi się z gruntu fałszywą i zgubną. Fałszywość jej zaczyna się od pierwszego założenia, jakoby ruch ruski był tylko fabrykatem 1848 r.

Z próżnego i mądry Salomon nie naleje, mówi przysłowie. Czego nie mógł Salomon, nie mógł i Stadion, nie mógł on stworzyć Rusinów z niczego. Były w Galicyi żywioły, które się obudziły, mniejsza, na czyj głos. Na oderwanie Kozaczyzny od Polski dzwonił Chmielnicki, car, han i Turcya, i Kozaczyzna powstała. Nic nam to nie pomoże, że będziemy nazywać wskrzesicieli, bo stoimy wobec wskrzeszonego. Nic nam nie pomoże, że będziemy odmawiać Rusinom historyi, przeszłości samodzielnej, mówić o unii i t. p. skoro nie ma w dziejach prekluzyjnego terminu powstawania narodowości. Jeżeli się mamy po co udać do dziejów, to chyba po naukę polityczną, w czemeśmy błądzili a zatem jak unikać błędów. Ta historya powie nam wiele o Rusinach. Poczyta ona nam zasługę, wbrew historycznym elukubracyom ks. Pietruszewicza i ks. Kaczały, żeśmy Ruś czerwoną wyrwali z toni upadku i zamętu, żeśmy szerokie przestrzenie po Dniepr ucywilizowali słowem Bożem i pługiem. Odda ona nam chwałę, żeśmy dali początek unii kościelnej i politycznej, dobrowolnej a więc dobroczynnej, podziwiać nas będzie, żeśmy cały szlachecki stan Rusi do dobrowolnego spolszczenia się przywiedli. Ale tutaj koniec naszych laurów i tryumfów.

Zamknięta w zaczarowanem kole szlachecka rzeczpospolita zabiła sama siebie szczelnością swojego obozu. Rozwielmożniwszy się szeroko, straciła poczucie swego posłannictwa na zewnątrz,

skoro ujrzała wezwanie rządowe. Gdzie nie ma prochu, tam eksplozyi nie ma. Że ludzie, którzy w tym ruchu przodkowali, byli ludźmi złej wiary, przewrotnymi, że masa obojętnie się zachowywała, nic to nie ma do rzeczy, mogą oni dziś powiedzieć jak Galilei: *Epure si muove!* Bo podobnie jak ruch społeczny u nas powoli masy rozbudził, tak i na Rusi między Rusinami stać się tak musiało. Po za przodownikami budziło się życie co raz szerzej, a w miarę oddalenia od nich nabierało czystszych, szlachetniejszych i samodzielniejszych motywów, utrzymało się zaś właśnie owem ciągłem nieprzyjacielskiem tarciem o polskość, która go wykluczała.

Nie wahamy się zatem dotąd nazwać kwestyi ruskiej w Galicyi wschodniej, kwestyą społeczną, z dążeniami narodowemi. Występować przeciw niej z pogardą i namiętnością dla tego, że jej naczelnicy nie zasługiwali na szacunek, byłoby to toż samo, co namiętne i irrytowne postępowanie z kwestyą społeczną w zachodniej Galicyi dla tego, że jedynemi jej historycznemi figurami był Szela i Siwiec. Korzystać z dzisiejszego położenia monarchii, z benefisu większości w sejmie, bez umiarkowania i przeoczając przyszłość: byłoby to zanadto ufać przychylnej gwieździe, byłoby to iść dalej za ciasną polityką ostatnich wieków rzeczypospolitej, która wolała być do ofiar zmuszoną, jak własnowolnie i z samowiedzą skutku ponosić ofiary. Nikt nam nie zaręczy, jak długo potrwa dzisiejszy system w zmiennej co do systemów monarchii, co więcej, nie wiemy jeszcze, jak daleko ten system pójdzie z naszemi dążeniami. Nie mamy w ręce środków wykonawczych, nie dajemy ostatecznej sankcyi, kto inny o nas bez nas stanowić jeszcze będzie. Jedynym przywilejem naszym a niewątpliwie przywilejem wielkim, jest, że możemy mówić, żądać, stawiać. Ten przywilej atoli wkłada na nas wielką odpowiedzialność wobec myśli narodowej, wobec opinii świata. Żądajmy więc i stawiajmy, ale stawiajmy na granitowym gruncie idei, która nas niegdyś uczyniła wielkimi, której sprzeniewierzenie się przyprawiło nas o upadek, na gruncie idei wolności i sprawiedliwości.

Wobec Rusinów i spraw ruskich nie bądźmy więc Lachami, którzy im obmierzli, bądźmy reprezentantami liberalnej Polski, do której się długo, jako do opiekunki przeciw lackiej swawoli i moskiewskiemu dęspotyzmowi po opiekę udawali. Nie przeczmy im prawa rozwoju narodowości, jak im tego nie przeczyliśmy za dni unii, nie rozkazujmy nie istnieć temu, co istnieć chce, bo przeczenie nasze stanie się tylko nową siłą przeciwnego obozu, zmocni wpływy

nieprzyjazne, wyjdzie na korzyść Moskwy, szyzmy lub w najlepszym razie centralizacyi i biurokracyi austryackiej.

Za tą idąc polityką, przekonamy się niebawem, że ów ruski dyabeł nie taki czarny, jak go malują. Przekonamy się, że owi skrajni Rusino-Niemcy i Rusino-Moskale, rozsiadający się na ławach sejmowych, nie są reprezentantami prawowitych dążeń ruskiego żywiołu w Galicyi, że ten żywioł jest szczerze do unii przywiązanym, a jako taki nie jest dla nas niebezpiecznym. Okaże się może wtenczas, o ile narodowa kwestya góruje nad społeczną na Rusi, o ile przy usunięciu pierwszej, druga dalszego odrębnego życia i rozwoju dopominać się będzie.

Uwagi powyższe nastręczyło nam spostrzeżenie nie dosyć umiarkowanego i roztropnego usposobienia opinii polskiej, sejmowej i pozasejmowej we Lwowie. Może w istocie niecierpliwić każdego świętojurska prawica, może oburzać nieszlachetny sposób jej postępowania, ależ byłoby grubym nierozsądkiem brać ją za wyraz własnowolny Rusinów nawet wtedy, gdyby ona sama całe narodowe dążenie ich była stworzyła. Obowiązkiem naszym tak z starszeństwa naszego historycznego, jak w dzisiejszej naszej koexystencyi z Rusinami w Galicyi płynącym, jest zredukować żądania narzuconej partyi do sprawiedliwych, stosunkom krajowym odpowiednich rozmiarów a przez ustanowienie autonomii rozbić ową konspiracyę klerykalną, która zarówno nas uciska, jak i na Rusinach ciąży.

List drugi.

Powiedzieliśmy w poprzednim liście, że kwestyą ruską uważamy dotąd za kwestyą społeczną z dążeniami narodowemi. Zarzuciliśmy opinii polskiej w sejmie i kraju (mianowicie w wschodniej jego części), że ją niedosyć jasno i trzeźwo pojmuje. Walnym dowodem na ten zarzut jest dla nas fakt, że *gmina zbiorowa*, łącząca dwory z gromadami pozostaje mniejszością w komisyi gminnej a to głównie przez opór wschodnio-galicyjskich członków tejże komisyi. [1])

---

[1]) Projekty rządowe ustawy gminnej, ustawy o obszarach dworskich i ustawy o reprezentacyi powiatowej wniesione na posiedzeniu Sejmu 3ciem z dnia 27 Listopada 1865, oddane osobnej komisyi na posiedzeniu 5tem dnia

Na ten opór składa się zarówno obywatel większy jak i ksiądz ruski. Obaj niechcą się spotkać ze sobą, obaj boją się siebie wzajemnie. Jeżeli obawa księdza ruskiego jest naturalną, owego księdza, który dotąd lubił być małym carzykiem w swojej parafii, to niewytłumaczonym jest wstręt obywatela większego, który na konspiracyą ruską narzekał. Jakiż bo inny sposób złamania a przynajmniej osłabienia tych podziemnych knowań świętojurszczyzny, jeżeli nie wprowadzenie trzeciej potęgi prawowitej, potęgi intelligencyi i majątku w obrady około spólnego dobra autonomicznej gminy? Gdzież samorząd i płynące z niego błogie skutki obtarcia zastarzałych nienawiści, uprzedzeń, zniszczenia pokątnych poduszczań, jeżeli nie w tym śmiałem postawieniu się oko w oko złemu, w tem spotkaniu się na polu obywatelskiem z obałamuconym dotąd i zmonopolizowanym przez ruskiego księdza włościaninem? Gdzież sposób skrzyżowania zamiarów tajemnej ligi, która żyje ciemnością a przed światłem ukrywać się musi? Niech mi darują obywatele Galicyi wschodniej, ale wyznam szczerze, że ich oporu przeciw gminie zbiorowej zrozumieć nie mogę, rozumieć nie chcę, bo byłbym przymuszony tłumaczyć go sobie chyba ową ociężałością w rzeczach najważniejszych, jeżeli wymagają natężonej pracy i wytrawnego a bacznego postępowania, chęcią przeciągnięcia prowizoryum aż do terminu: *après moi le déluge!*

Ależ popatrzmy się na chwilę obecną, oceńmy całą jej ważność! Skołatanej srodze burzami 1863 roku narodowości polskiej, nadarzyła się obecnie pod panowaniem austryackiem sposobność, jeżeli nie stanowienia, to przemówienia o najważniejszych kwestyach społecznych, ogólno krajowych. Od roku 1861 kraj szedł pod sztandarem autonomii, domagał się jej pisemnie i ustnie. Dzisiaj system ten inaugurowano z góry: podstawę jego, gminę, poddano pod beneplacitum sejmowe. Nazwać to musimy wyjątkową gratką dla narodowości polskiej. Wyjątkową, mówię, bo któż u nas nie wie, jak przemijającemi bywają takie chwile? I w takichże to chwilach zaślepiamy się tak dalece, że nam się zdaje, jak gdyby cała przyszłość do nas należała, jak gdybyśmy mogli zawierzyć tej przyszłości, że nam pozwoli z połowicznych środków przejść z czasem do przyjęcia i zastosowania całej zasady, że nam pozwoli podzielić sobie

30 Listopada 1865. Rozprawa nad wnioskami większości i mniejszości rozpoczęła się dopiero na posiedzeniu 51szem dnia 16 Marca 1866 r. Wniosek mniejszości żądający gminy zbiorowej uchylony na posiedzeniu 52giem dnia 17 Marca 1867.

wygodnie dwadzieścia lat przyszłych na stopniowe, wygodne przeprowadzenie tego, co nam się jeszcze dzisiaj mniej wygodnem zdaje? Nie pojmuję tej ufności!

Ale przychodzą mi w tej chwili na myśl fatalne nasze doświadczenia historyczne. Jak dziś z gminą, tak było u nas z pańszczyzny zniesieniem. Oświecona część narodu poczuła się od roku 1791 do potrzeby jej zniesienia, nadarzały się liczne chwile, aby to uczynić, zwlekano je do ostatka, dopóki toż zniesienie nie wyszło na korzyść trzeciego. Czyliż czekamy, aby połączenie gminy dworskiej z wiejską także od obcego wyszło prawodawcy, a to pod warunkami temu obcemu prawodawcy korzystnymi? Czyliż tylokrotne doświadczenia mają być grochem na ścianę!?

Nie ma podobno bardziej obgadanej u nas kwestyi, jak kwestya oświaty, podniesienia, uobywatelenia ludu. O niczem więcej nie pisano, niczego sobie bardziej nie życzono, niczego potrzeby tak powszechnie nie uznawano. W trudnych latach, gdy centralistyczny system austryacki trzymał ten lud, że się tak wyrażę, w arendzie, wzdychaliśmy nad sobą i zalecaliśmy bodaj moralne i łagodzące środki na rozłam społeczny: utrzymanie lub zawiązanie dawnego patryarchalnego stosunku dworu z gminą, wydawanie i rozszerzanie pism ludowych, spotkanie się z ludem na tak zwanych amtstagach itp. Dzisiaj mamy najpotężniejszy środek w ręce, spólną czynność obywatelską, ciągłe obcowanie urzędowe, przodownictwo inteligencyą i zasobami materyalnymi w gminie zbiorowej! Mieliżbyśmy tak być małodusznymi, tak mało wierzącymi w siebie samych, aby ten środek odtrącić od siebie a poprzestać na oddalonej, fikcyjnej jakiejś radzie powiatowej, radzie obejmującej kilkanaście mil kwadratowych, aby działanie jej było tem słabszem, tem mniej czuć się dającem? Mieliżbyśmy unikać kłopotliwego wprawdzie, ale pełnego zasług zawodu, który każdemu obywatelowi większej posiadłości otwiera dyskusya i opieka nad interesami, w ciasnem wprawdzie kółku zamkniętymi, ale sięgającymi wpływem swoim w całą przyszłość społeczeństwa naszego? Chcemyż stan społeczny do tego stopnia *in statu quo* zostawić, aby jak dotąd, miasto powiatowe było jedynym i wyłącznym punktem centralnym spraw wiejskich, aby obok niego gmina dworska i gmina wiejska na dłuższy jeszcze przeciąg czasu stronami pozostały?

Jeżeli się przeciwnicy gminy zbiorowej zastawiają niedojrzałością stosunków naszych do postawienia podobnej organizacyi, niech pomną, 1) że i niezupełnie dojrzałe zboże chowa się do

stodoły, jeżeli pogoda zmienna i niepewna, 2) że lepsza ofiara dobrowolna, niż możebny w przyszłości obcy przymus, 3) że jeżeli nikt nam nie może ręczyć za większą dojrzałość ludu za lat kilka, któż zaręczy za większą chęć korzystania z tej dojrzałości ze strony właścicieli większych, 4) że dopiero gmina zbiorowa, jako punkt zetknięcia się obu warstw społecznych, może być prawdziwą szkołą dojrzałości dla jednej i drugiej.

Jeżeli się zastawiają wstrętem kraju, niechęcią obywateli większych i obojętnością włościan, odpowiemy im, że nie mamy posłów z instrukcyami, reprezentującymi desideria ziem i powiatów, nie wybieraliśmy posłów, aby z drogi postępu, potrzeb narodowych i krajowych dali się spychać głosem bojaźni partykularnych i stękaniami wygodnictwa. Dzisiejsza chwila, zaiste, chwila srogiego materyalnego znękania, nie jest chwilą, aby powszechność swobodnie rozpatrywała się w horyzoncie narodowym, ważyła przyszłość, baczyła na względy przyszłości. Od tego są wybrani przez tę powszechność posłowie. Jak złąby było rzeczą, gdyby zapominali o materyalnem znękaniu swoich mandatodawców, tak niemniej złemby było, gdyby przygnieceni tymi względami, zapomnieli o rzeczach, od których przyszłość zależy. Być bardzo może, że unikając tego ostatniego błędu, staną na chwilę wbrew usposobieniu mocodawców, ależ posel pracuje dla potomności nie dla partykularnego votum zaufania, posel jest reprezentantem kraju a nie reprezentantem chwilowych jego, często chorowitych usposobień.

Niech nam przeto wolno będzie objawić nadzieję, że mniejszość w komisyi gminnej będzie większością w sejmie, że jeżeli wybory do komisyi wypadły w myśl rozdziału, głosowanie samo wypadnie w myśl połączenia. Odzywało się za tem silnie i dobitnie dziennikarstwo krajowe, objaśniając zasadową i praktyczną stronę kwestyi; odzywają się wszyscy, którzy nie stracili z oka ważności chwili i okoliczności, w jakich się znajdujemy. My powtórzymy jeszcze, że sprawa ruska jest ciężarem, który powinien szalę stanowczo na korzyść gminy zbiorowej przechylić. Dopóki właściciel większej posiadłości nie wejdzie w bezpośrednie zetknięcie się z włościaninem i księdzem ruskim na drodze autonomicznego urzędowania w gminie zbiorowej, nie można się spodziewać ani ostatecznego rozjaśnienia, ani rozwiązania sprawy ruskiej, a jeżeli bojaźliwi i krótkowidzący upatrują na tej drodze ustawną przyczynę waśni, my upatrujemy jedyną możebność zgody. Główną cnotą autonomii jest jawność i szczerość: i tej nie my obawiać się powinniśmy. Godzina stanowczej pracy około społecznego odrodzenia

wybiła: obowiązkiem jest stanąć na stanowisku. Czas zajrzeć złemu w oczy zamiast trąbić na gwałt, czas rozpocząć spólistnienie z żywiołami, które się zaprzeczyć nie dadzą.

Tyle o gminie zbiorowej, jako o probierczym kamieniu istoty rutenizmu w Galicyi. Nie wątpimy, że przy taktownem i umiarkowanem zachowaniu się właścicieli większych w gminie zbiorowej, przy koniecznych codziennych stosunkach stron, przy gorliwości przodkujących majątkiem i inteligencyą w sprawach dobra powszechnego, nienawiści sztuczne się utrą, podziemne roboty osłabną, propaganda obca pokryje się w mysie jamy. Wtedy pokaże się, o ile społeczna zamieszka w Galicyi zachodniej jest narodowem dążeniem, pokaże się, czy wobec drogich interesów jednej cywilizacyi, jednej wiary katolickiej, samodzielności narodowej, dawna unia Rusi z Polską nie będzie dla Rusinów jedynym gruntem dalszego rozwoju, obroną przeciw wszystko pochłaniającej Moskwie i wszystko niwelującej germanizacyi.

List trzeci.

Od gminy niech nam wolno będzie przejść do drugiej z kolei, najważniejszej kwestyi naszego sejmu, kwestyi szkolnej, a mianowicie do języka wykładowego.

Za czasów Rzeczypospolitej nie śniło się nikomu w Polsce, aby Rusinom przeczyć języka, gdziekolwiek go mieć chcieli. Kwestyi językowej nigdy na stole nie było. Do najstarszych druków polskich należą ruskie druki Świętopełka Fiola w Krakowie. Rusini posiadają bogatą literaturę teologiczną, która się spokojnie za czasów Rzeczypospolitej rozwijała. Było 17 drukarń ruskich na obszarze ziem polskich. Znane są zasługi Bazylianów unickich dla oświaty narodowej. Jeżeli język polski wykluczał ruski, jeżeli się stawał językiem powszechnym, nie stało się to ani za pomocą konsekwentnie przeprowadzonego systemu, ani wskutek nacisku, był to owoc dobrowolnego polonizowania się wszystkich członków Rzeczypospolitej. Listy hetmanów ukraińskich po rusku pisane i latopisy historyków kozackich jak Wieliczko, świadczą wymownie, że język był raczej zruszczoną polszczyzną niż spolszczoną ruszczyzną.

Dzisiaj występują przodownicy Rusinów z żądaniami równouprawnienia języka ruskiego, stawiają go obok polskiego, jako równy przy równym. Braki łatają moskiewszczyzną i cerkiewnym językiem. Nie mamy w zasadzie nic przeciw temu domaganiu się, jak Rzeczpospolita nie miała przeciw drukarniom, dziełom i szkołom ruskim. Ale mamy powody przeciw improwizowaniu języka za pomocą obcych domieszek, jak mamy przeciw krzywieniu obrządków unii z kościołem rzymskim. Faktem jest, że język ruski długie czasy leżał odłogiem i dobrowolnie ustąpił polskiemu, zapomniany i zaniedbany potrzebuje on rozwoju, kiedy chce być językiem pedagogicznym, a rozwoju tego nie wolno nikomu zastępować podstawieniem języka innego t. j. nie wolno z ruskiego języka robić moskiewszczyzny, jak nie wolno z unii robić szyzmy. Wobec znanych tendencyj północnego sąsiada moskwicenie obrządku i języka jest wprost propagandą na korzyść tego sąsiada. Wobec tego niebezpieczeństwa z jednej, wobec prawowitości dążenia, aby się język ruski rozwijał, z drugiej strony, sejm krajowy, jako sejm koronny, winien przedstawić, gdzie należy, gwałtowną potrzebę mięszanego krajowego nadzoru nad szkołami ludowemi ruskiemi i nad wykładem języka ruskiego, gdziekolwiek ten ustanowionym zostanie, potrzebę stałej komisyi edukacyjnej dla Galicyi [1]). Komisya ta objąwszy zarząd szkołami, a więc i językiem ruskim w szkołach, jedna byłaby w stanie nadać rozwojowi języka ruskiego pewny prawowity kierunek, a stosując się do żądań gmin, do statystycznych dat uczęszczających uczniów, do wychodzenia odpowiednich językowo i przedmiotowo dzieł w języku ruskim, dać temuż językowi stosowne i odpowiednie w szkole miejsce. Bo jeżeli bracia Rusini nie chcą, abyśmy ich polonizowali, do czego, Bogiem a prawdą, innych prócz moralnych nie mamy środków, niechże nie żądają także, aby nas rusyfikowali a co gorsza, moskwicili. Jeżeli nie chcą, abyśmy występowali z prawami historycznemi wyłącznej żywiołu polskiego przewagi, które zresztą sprzeciwiają się liberalności ducha polskiego i tradycyi unii, niechże przestają wyjeżdżać, jak to czynią święto-

[1]) Wniosek o ustanowienie osobnej władzy szkolnej krajowej i o zaprowadzenie języka krajowego jako wykładowego w szkołach średnich postawił poseł Kabat na posiedzeniu 19tem dnia 11 Stycznia 1866, odesłany do komisyi edukacyjnej na posiedzeniu 29tem dnia 7 Lutego 1866. W sprawie szkół ludowych wniósł rząd projekt o konkurencyi na budowę szkół na posiedzeniu 8em dnia 5 Grudnia 1865, uchwalony przez sejm na posiedzeniu 78em dnia 26 Kwietnia 1866.

jurcy, z wspomnieniami kniaziów rusko-waregskich i pamiętają, że w wschodniej Galicyi mamy dwa żywioły spolszczone: szlachtę i mieszczaństwo, które nie uczuwają potrzeby ich nowych dążeń narodowych. Tak na podstawie koexystencyi i na podstawie interesu pedagogicznego można z łatwością załatwić i kwestyą języka ruskiego w szkole.

Na tejże podstawie koexystencyi i interesu pedagogicznego, niech nam wolno będzie postawić wniosek, który na pierwszy rzut oka może się nie jednemu Polakowi dziwnym wydawać. Wnosimy, aby język ruski stał się w szkołach ludowych ruskich obok polskiego, w gimnazyach zaś tak wschodniej jak zachodniej Galicyi był językiem obowiązkowym.

Co do pierwszego wniosku rzeczą jest jasną, że język polski, nawet przy ewentualnym dostatecznym rozwoju języka ruskiego, musi pozostać językiem dla przeważnej a w końcu przynajmniej równej liczby przedmiotów w gimnazyach i uniwersytecie, już to dla tego, że większość uczęszczających do szkół uczniów jest polską, jak to wykazał p. Dietl [1]), już to, że nie tak łatwą będzie dla ruskiego języka rzeczą, aby prawowitą drogą dogonić polski. Szkoły ludowe zatem muszą usposobić uczniów do szkół wyższych, a więc nauczyć ich po polsku. Co do drugiego wniosku, mówi za nim koexystencya z Rusinami w Galicyi, koexystencya w szkole, w sejmie i w urzędzie, wzajemna zatem zamiana myśli drogą literacką i dziennikarską, która się po obtarciu chwilowych nienawiści niechybnie zawiąże. Nie przeciąży naszych chłopców nauka abecadła i języka ruskiego, skoro ten nadzorowany z góry, przy przywiązanych do unii i do narodowości ruskiej ludziach, nie będzie językiem moskiewskim, otworzy im nieznane dotąd stosunki, nieznane źródła wiedzy o sprawach południowej rzeszy słowiańskiej, na których nam Polakom, powiedzmy sobie szczerze, bardzo zbywało. A gdy taką drogą pójdzie rozwój języka i narodowości ruskiej, gdy rzeczywistsze wynajdzie sobie podstawy, gdy pozna, że obowiązkiem jej jest stać na straży cywilizacyi zachodniej, na której ją unia postawiła, gdy w miarę ustającego z Polakami rozbratu podniesie się samowiedza o prawdziwych Rusi niebezpieczeństwach, gdy z ludowych i historycznych tradycyj ruskich wykwitnie literatura, nie wywołana, ale samodzielna,

---

[1]) Józefa Dietla: „O reformie szkół krajowych“ Zeszyt I. Stanowisko szkoły; Rada szkolna krajowa; Język wykładowy. Kraków 1865. Zeszyt II. Szkoły ludowe. Kraków 1866.

odłączona od polskiej, ale pobratymcza; wtedy może i azbuka stać się rzeczą drugorzędną, wtedy z ochotą będziemy witać każdy nowy objaw ducha ruskiego, pewni, że i Rusini każdy polskiego ducha objaw, przychylnemi rękami pochwycą.

Co daj Boże!

List czwarty.

Na jednem z ostatnich posiedzeń sejmowych [1]) odczytał hr. Agenor Gołuchowski po raz pierwszy wniosek swój o równouprawnieniu żydów, co się tyczy kupowania dóbr ziemskich. Przypatrując się z galeryi, mogłem ocenić, że za odesłaniem wniosku do Wydziału małoznaczna tylko powstała większość, a charakterystyczną było rzeczą, że siedzieli Rusini, sojusznicy żydów lwowskich, przeciw wyborowi tegoż hr. Gołuchowskiego.

Spostrzeżenie to nie rokuje wiele szczęścia wnioskowi przy drugiem i trzeciem jego czytaniu.

A jednak... wypada się tylko smucić tą expektatywą.

Wiadomo powszechnie, że Polska była drugą obiecaną ziemią dla żydów. Nigdzie oni się tak nie rozgościli, nigdzie tak się nie rozmnożyli. Wielki prawodawca Polski, Kazimierz, nie dla samej zaiste Esterki ponowił przywilej Bolesława Pobożnego dla żydów wydany i dodał nowe. Widział on zapewne w żywiole żydowskim żywioł pożyteczny dla kraju, ruchliwy, przedsiębiorczy, przemysłowy, których przymiotów słowiańskiej rzeszy polskiej brakowało. Oddanie żyda pod sąd królewski świadczyło, jak silnie opiekowała się nim korona, jak go chciała mieć zabezpieczonym przeciw gwałtom i nadużyciom szlachty.

Z prawnej podstawy, którą żydom dał wielki Polaków prawodawca, starała się Rzeczpospolita wszelkimi środkami strącić uprzywilijowanego żyda. Określając prawa króla i kmiecia określała szlachta współcześnie prawa żyda, jak o tem świadczą konstytucye

---

[1]) Na posiedzeniu 16tem z dnia 28 Grudnia 1865 wniesiony, na posiedzeniu 26tem z dnia 25 Stycznia 1866 po pierwszem czytaniu odesłany do komisyi prawniczej.

lat 1420, 1496 i późniejsze. Stawiano co chwila środki prohibicyjne przeciw rozpościerającemu się coraz silniej i opanowującemu handel i pieniężne interesa żydowstwu, opisywano granice ich kupieckiego zatrudnienia, liczne prawa o lichwie kreślono, zakazywano dzierżawy dóbr królewskich, ceł, myt i podatków Rzeczypospolitej. Wśród tych ograniczeń znajdujemy ryczałtowe potwierdzenia praw dawnych i liczne dla bezpieczeństwa osób i majątków żydowskich uchwały. Kto zna stan społeczny za czasów upadającej Rzeczypospolitej, domyśli się łatwo, że jeżeli drugie nie broniły, to pierwsze (t. j. środki prohibicyjne) nie miały siły wykonawczej, tak, że żyd przez kilka ostatnich wieków utrzymywał się i rozwielmożniał łowieniem ryb w mętnej wodzie Rzeczypospolitej, wyzyskiwaniem niedostatecznej organizacyi rządowej, pochlebianiem, służeniem możnym, obchodzeniem ustaw, połykając z jednej strony obelgi i nadużycia a mszcząc się za nie przeczącem i wyzyskującem wobec społeczeństwa stanowiskiem. Utonęły w ciemności podziemne dzieje narodu tego na polskiej ziemi, a obraz jego życia dałby się raczej wyrozumować, niż z faktów przechowanych zestawić. To pewna, że żyd był od najdawniejszych czasów nadwornym finansistą szlachcica, że ciągnął za jego telegą wszędzie, gdzie mu się zysk uśmiechał, że osłabiał skrupuły jego sumienia cichym szeptem swoim, że umiał zażegnać srogość sądu wojewody i starosty, a w przedsiębiorstwach swoich posunął się aż do dzierżawienia cerkwi ukraińskich. To pewna, że to jego korzystne stanowisko było najważniejszą dla kraju szkodą, że ssał on krew ludu i szlachty, niszczył miasta i przemysł, że nie uczuwał nigdy wdzięczności, ani za przywileje, ani za warunki szczęśliwe, które mu się na polskiej ziemi rozróść pozwoliły. Nie przywiązał się do Polski, a ssąc ją jak pijawka, nienawidził chrześcian.

Nie było to jego winą. Za przywileje wdzięcznym być nie mógł, bo one były dla niego tylko pergaminem nie istniejącym w rzeczywistości. Stanu swego świetnego nie zawdzięczał Rzeczypospolitej, ale swemu przemysłowi. Pogarda religijna, elastyczność praw, samowola panów sprawiała, że żył i rozwijał się o tyle, o ile pochlebianiem namiętnościom ludzkim, intrygą, pieniądzmi, nadewszystko zaś wyborną znajomością stosunków, umiał sobie pomódz w każdej chwili, umiał podejść, uniknąć lub sfabrykować prawo dla siebie. W miarę używania tych środków rosła pogarda chrześcian, a żyd utwierdził się na swojem przeczącem, nienawistnem stanowisku. To usposobienie doszło w Polsce do rozmiarów, do jakich nigdzie w Europie nie doszło, jakoż anarchii i nieporadności Rze-

czypospolitej przypisać należy, że żydzi wzrośli do potęgi strasznej, jakiej nigdzie nie utworzyli.

W roku 1764, pamiętnym reformistycznemi dążeniami Czartoryskich, rozpoczęto zastanawiać się nad kwestyą żydowską. Przyznano im prawo handlu w miastach żydowskich (1768), zachęcono do rolnictwa konstytucyą 1775 uwalniającą ich na zawsze od pogłównego, gdyby „na rolach pustych osiedli", zakazano im się żenić, gdyby stałego zatrudnienia nie wykazali. Sławny sejm konstytucyjny czteroletni wysadził z łona swego osobny wydział, mający się zająć sprawą żydowską. Wydział ten wygotował projekt reformy, z którego bodaj jeden tylko punkt umieszczamy:

„Przypuszczając lud żydowski do obywatelstwa krajowego a bezpieczeństwo ich osób i majątków biorąc pod opiekę krajową, nadajemy mu wolność osiadania we wszystkich miastach i używania praw i wolności tymże miastom służących, tudzież posiadania gruntów rolniczych, bądź prawem emfiteutycznem na czynsz wieczysty, bądź prawem zastawnem i arędownem, dozwalamy prowadzenia wszelkich handlów, uczenia się wszelkiego rzemiosła, manufaktur i nauk wyzwolnych".

Projekt ten nie stał się prawem. Rzeczpospolita upadła nie rozporządziwszy żydami. Charakterystyczną wszakże jest rzeczą, że w manifestach Targowicy wielokrotnie między „zbrodnie" konstytucyjnego sejmu zamierzone uobywatelenie żydów mieszano. Dopiero Księstwo warszawskie dało żydom prawa polityczne, które im konstytucya 1815 r. na powrót odebrała.

Odtąd kwestya równouprawnienia żydów stała się u nas kwestyą na porządku dziennym. Podnoszono ją, ilekroć wolno było dyskutować o sprawie publicznej. Objawiano dla niej sympatye nawet tam, gdzie głos wolny był za zbrodnię poczytanym. W Królestwie posunięto ją najdalej w opinii publicznej. Podczas demonstracyi r. 1861 była ona jedną z chorągwi narodowego ruchu. Dzisiaj przychodzi ona pod obrady sejmu galicyjskiego, wniesiona przez człowieka, którego żydzi uważali za głównego przeciwnika.

W statystycznych tablicach zajmuje Galicya drugie miejsce co do ilości żydów. Jeden żyd przypada w Galicyi na dziesięciu chrześcian (w Królestwie Polskiem na siedmiu). Bez tablic statystycznych wiadomo nam, że żydzi zaciężyli potężnie na wadze materyalnych a przez to i narodowych naszych interesów, że prawie wyłącznie zmonopolizowali dla siebie handel produktami krajowymi, że powlekli cały kraj siatką niebezpieczną własnej organizacyi handlowej, wyzyskującej skrzętnie złe położenie włościanina i większego

właściciela, że każda chwila dobrobytu podobnie jak każda chwila klęski i nieurodzaju na ich wyłączną wychodzi korzyść. Faktem jest niemniej, że jeżeli nie trzecia, jak to twierdzono, to czwarta część tabuli krajowej zamazaną jest długami żydowskimi, że żydzi znajdują się *de facto* w posiadaniu przez dzierżawę znacznej liczby majątków, że na połowie ich ciężą całą wagą lichwiarskich weksli i innych zobowiązań. Słowem, czynią żydzi ogromne postępy w opanowaniu majątku krajowego na swoją wyłączną korzyść, są i stawają się codzień coraz absolutniejszymi panami sytuacyi kraju pod względem ekonomicznym. Dodajmy do tego szybki ich populacyjny rozrost, tak szybki, że w r. 1839 podług statystycznych dat Słowaczyńskiego liczba żydów wynosiła w Galicyi 247,502 głów, podług ostatnich obliczeń zaś wynosi 449,000!...

Nie potrzebujemy tu rozwodzić się szeroko, jak w miarę tego rozrostu populacyjnego i kwitnienia materyalnego żydzi galicyjscy pod względem obywatelskim i narodowym mało postąpili. Wśród uboższych panuje taż sama ciemnota, która panowała dawniej, tenże sam zabobon i nienawiść religijna ku chrześcianom, bogatsi przyjęli przeważnie cywilizacyę swoich niemieckich towarzyszów handlowych za granicą, swoich protektorów w byłych ministeryach, którzy widzieli w nich zastęp niszczący materyalnie i moralnie narodowość polską. Jak w dawnej Rzeczypospolitej, zachowali żydzi i w Galicyi wyłącznie przeczące względem chrześciańskiego narodu stanowisko. Z potulnych stali się zuchwałymi panami, z uciśnionych uciskającymi z całą zemstą długo znoszonej pogardy. Bez inicyatywy w polityce otwartej i szczerej, umieją oni rozległymi stosunkami zaważyć na szali przeznaczeń nietylko kraju, ale całej monarchii.

Der Jude liebt nicht, powiada trafnie broszura: *Von der Verjudung des christlichen Staates*. Da się to po za obozem żydowskim w wysokim stopniu zastosować i do naszego ludu żydowskiego z bardzo małymi wyjątkami. W ciągu kilkodziesięcioletniego współistnienia z nami po rozbiorze żyd jeden podnosił się ciągle, bo nie ponosił klęsk, nie cierpiał i nie kochał razem z nami. Jak niegdyś przywileje Kazimierzowe, tak teraz nie pomogły mu najszczytniejsze idee nasze.

Cóż na to za rada? Do Palestyny nie wypędzimy żydów, żyć i współistnieć z nimi musimy. Musimy się przygotować na dalszy ich zozwój, na wzrost ich potęgi, tem pewniejszy, że żyd jest personifikowaną energią, ruchem, zapobiegliwością, duchem associacyi wobec nieporadności, ociężałości, lenistwa i rozbicia słowiańskiego żywiołu. Mamyż dalej przeciwko nim używać broni pogardy,

która wobec ich siły coraz będzie bezsilniejszą, zamykania się w naszej fortecy, aż ją całą podkopią minami swego przemysłu i szturmem zdobędą?

Mamyż oczekiwać, aby system inny niż dzisiaj, mniej nam przychylny, otworzył wszystkie szluzy i zalał nas tym żywiołem? Byłoby to zaślepieniem bez granic.

Niebezpieczeństwo żyda dla chrześciańskich narodów wypłynęło tylko z negacyjnego jego wobec społeczeństwa stanowiska, z prohibicyjnego systemu, którego przeciw niemu użyto. Do negacyi jego wiary przybyła negacya praw, obie złożyły się na utrzymanie żydów w nieprzyjacielskiem przeciw chrześciańskiemu obozowi usposobieniu. Żyd utrzymywał się przez wieki tylko psuciem społeczeństwa chrześciańskiego, dogadzaniem namiętnościom, podchodzeniem prawa: pieniądz był dla niego różczką magiczną bezpieczeństwa majątku, osoby, rodziny.

Negacyjność ta pozostała mu nawet tam, gdzie otrzymał równouprawnienie, ale pozostała tylko na razie; w miarę oswojenia się z nowym stanem, traci on ją, przyjmuje narodowość i chrzest patryotyzmu. Trudniej nierównie pozbyć mu się ducha negacyjnego, zwróconego przeciw pozytywizmowi chrześciańskiemu, który jako równouprawniony i wolny wnosi do społeczeństwa i rozwija z całym zasobem znakomitych przyrodzonych darów; ależ wierząc w wyższość chrześciaństwa nie podobna nie wierzyć w jego ostateczne nad tym antychrystusowym żywiołem zwycięztwo. W takim stanie widzimy dzisiaj społeczeństwa zachodnie co do kwestyi żydowskiej. Widzimy żydów przewodzących w dziennikarstwie, w lekkiej literaturze, nadewszystko zaś w finansowości. Przypisać im musimy ogromny wpływ na dzisiejsze zmateryalizowanie świata, nie chcemy ukrywać ich niebezpiecznego stanowiska wobec tradycyi chrześciańskiej i ducha chrześciańskiego; wskazujemy Heinów, Renanów i materyalistów niemieckich jako wyrazy ich kierunku duchowego.... Są to atoli przejścia konieczne, nad któremi duch chrześciański jako pozytywny zwycięztwo odnieść musi.

Zwróciwszy się do naszego społeczeństwa musimy uznać, że liczba i potęga żydów większem jeszcze zdaje mu się grozić materyalnem i moralnem niebezpieczeństwem. Cóż się stanie, zaduma się każdy z nas, jeżeli ten lud numerycznie i materyalnie tak potężny, tak energiczny, tak zdolny, wejdzie we wszystkie prawa obywatela? Cóż się stanie, jeżeli faktyczne swoje ciążenie na dobrach, w ręku polskim zostających, bez żadnego ograniczenia prawnie wyzyska? Przepaść nieobrachowanej głębokości otwiera się

przed nami, nieporadnych ojców winy spłacającymi, owych ojców, którzy dali wyróść żydom i *tak* im wyróść dali. Stosunki, które widzimy na zachodzie, objawiają się u nas w ogromniejszych rozmiarach a Polska może stać się ziemią żydowską.

Tu właśnie jądro kwestyi, bo tu nasuwa się pytanie, czy bez nas, bez naszego pozwolenia stać się to nie może, czy nie jest rzeczą niezmiernie ważną, aby od nas prawa żydów pochodziły. Jest to kwestya taż sama, co z uwłaszczeniem włościan lub daniem warunków rozwoju narodowości Rusinom.

Taka jest misya i przeznaczenie nasze, że ratować się możemy tylko wolnością, że najsilniejszą bronią przeciw nam jest wyrwanie nam tej broni. Zaprzeczmy dzisiaj żydom tego, co wniósł br. Agenor Gołuchowski, mamy ich jutro wszystkich w obozie centralizacyi, a obóz ten nie mało na tem zyska. Odepchnijmy ich dzisiaj, jutro wprowadzą ich w tryumfie. Krótkowidztwo tylko polityczne może przeoczyć tę niezawodną konsekwencyą. Dodajmy do tego, że w razie inicyatywy liberalnej z naszej strony, mamy z żydów przyjaciół, wchodzimy w ich obóz, jak oni wchodzą w nasz, mamy prawo żądać od nich czynów obywatelskich i postawić ich przed sądem opinii publicznej — w drugim razie zaś mamy w nich zastęp nieprzyjaciół i pozostajemy z pretensyą bezsilną, która ich w zapędzie nie powstrzyma i z której pogardliwie śmiać się mogą. Do wyboru!

Takie są skutki małodusznych środków i ciasnej polityki. Nie obali ona niebezpieczeństwa, ale chowa się przed niem jak struś na pustyni, który głowę zagrożoną pod skrzydła kryje.

W końcu rozprawić się musimy z zdaniem dosyć powszechnem, któregośmy dawniej sami bronili. Podnieście się moralnie! dajcie obywatelstwa i patryotyzmu dowody, uczyńcie co dla społeczeństwa, a otrzymacie równouprawnienie, mówi wielu. Żądanie to ma fałszywe założenie i podobnem jest do żądania, aby roślina jakaś rozwijała się i strzelała prosto w górę, chociaż się ją zamknęło w ciasnej szklannej bani. Brak wolności zrodził u żyda kierunek antyobywatelski, jak go zrodził u chłopa. Dowody dojrzałości obywatelskiej złożyć on może tylko wyjątkowo, sporadycznie, i takich nie brak u nas, bo wyliczylibyśmy nazwiska, acz nie liczne, które szły z nami w złej i dobrej doli. Widzą oni jak trudno żyda zachęcić do oświaty, skoro ta oświata na nic mu się nie przyda, do czynu obywatelskiego, skoro ten czyn będzie tylko anomalią. Dajmy wolność, a żądać możemy. Możemy żądać, aby żyd na polskiej zrodzony ziemi, był Polakiem i polską przyjął cywilizacyą, aby się przykładał

do rzeczy, mających na celu dobro powszechne, aby służył społeczeństwu majątkiem, rozumem i zapobiegliwością! Dajmy sami, aby dar nie wyszedł z rąk, wrogo przeciwko nam zwróconych!

List piąty.

Sposób, w jaki traktowaliśmy kilka najważniejszych bieżących kwestyj czasu, może nas łatwo podać w podejrzenie, jakobyśmy nie zwracali dosyć uwagi na obowiązek konserwowania i tak już srodze zagrożonej narodowości naszej.

Podejrzenie to jest niesłusznem. Nie chcemy środków, które są daremne, bo od nas niezależące. Nie chcemy systemu słownej prohibicyi i bezsilnej protestacyi. Nie chcemy, aby naród zeszedł do roli wygnanych z siedzib swoich Burbonów i obwoływał gwałt uczyniony prawom swoim *in partibus infidelium*. Ceniąc całą doniosłość dzisiejszej chwili udajemy się raczej do środka, który nas niegdyś wielkim uczynił, którego zaniedbanie przyprawiło nas o upadek, do sztandaru prawdziwej wolności. Z tym sztandarem w ręce możemy ponosić ciosy, zginąć nie możemy!

Przechodząc w ostatnim liście do samejże sprawy narodowości, zagrożonej wywłaszczeniem przez upadek materyalny, nie sprzeniewierzamy się temu sztandarowi, ale obok środków ratunku powszechnie popieranych podnosimy zakwestyonowane dla niebezpieczeństwa rzekomego parcellowanie większej własności.

Nie potrzebujemy się rozwodzić nad grożącym większej własności upadkiem. Przyczyny jego dostatecznie wykazano. Środkami zapobieżenia złemu nie zajęto się dotąd dosyć specyalnie. Nie bez przyczyny narzekał korespondent Z. B. w jednym z ostatnich numerów „*Czasu*“, że sejm, ułatwiwszy sprawę głodową[1]), nie zajął się dotąd, że się tak wyrażę, „sprawą bankructwa większej własności“ w Galicyi. Prawda, że to sprawa nielada i nie tak łatwo dać jej radę. Długie lata składały się na straszny upadek, przyczyniało się do niego stanowczo ogólne położenie monarchii, a jeżeli posiewu pierwszych trudno wykorzenić, na drugie nie mamy żadnego środka.

---

[1]) Na posiedzeniu 18tem z dnia 30 Grudnia 1865 r.

To pewna, że od przeprowadzenia autonomii zależałby cały przewrót stosunków ekonomicznych na korzyść rolnictwa, ależ przeprowadzenie jej w części tylko od naszego nacisku zależy. Ograniczyć się więc wypada do środków, któreby pozwoliły przetrwać chwilę przejścia z jak najmniejszą dla majątku narodowego szkodą, a tych użyć nie omieszka zapewne sejm krajowy. Dodamy tu, że dając równouprawnienie żydom w myśl wniosku hr. Gołuchowskiego, sejm ten jest w moralnem prawie postawienia wszelkich ograniczeń, któreby upośledzonej dotąd żydowszczyznie utrudniły dawne sposoby wyzyskiwania biedy krajowej, że opinia ma takież moralne prawo żądania od emancypowanych, aby przyłożeniem się do stworzenia banku pomocy rolniczej naprawili złe wyrządzone krajowi i od normalnego odtąd rozwoju jego spodziewali się nie szkodliwych dla powszechności korzyści.

Bądź co bądź, przy najlepszej chęci sejmu, powszechne skargi obywateli większych o brak kredytu, nie będą mogły być uspokojone. Większość majątków szlacheckich jest zbyt obdłużoną, aby otwarty dla niej kredyt, nawet korzystny, mógł ją wyratować. Byłby on tylko środkiem łagodzącym, podtrzymującym na chwilę, w istocie zaś zgubnym dla wielu. Wobec tego faktu wolna sprzedaż parcelli gruntu staje się nieochybną koniecznością a nawet ekonomicznem dobrodziejstwem kraju.

Lepiej sprzedać część, niż utracić wszystko. Parcellowanie ruszyć zdoła jedynie martwe kapitały włościańskie, odwrócić część kapitału żydowskiego od handlu. Parcellowanie obudzi w włościaninie chęć pracy i zapobiegliwości, rozszerzy zakres jego działania, zniszczy w nim socyalne i komunistyczne zachcenia. Produkcya krajowa tylko wzróść, rolnictwo tylko zyskać na niem może. Błędnem jest mniemanie, jakoby właścicielowi większemu zupełnem zagrażało wywłaszczeniem. Jakkolwiek są przyczyny dzisiejszego upadku, powiedzieć możemy z chlubą, że nie ma między niemi marnotrawstwa, hulaszczości i lekkomyślności, chociaż nie brak nieporadności i nieznania środków ratunku. Nie ma więc obawy, aby parcellowanie podało assumpt do wywłaszczania; zmniejszy ono większą własność, zbliży włościanina do obywatela, ale nie zgubi tem ostatniego. Będzie ono nowym stopniem rozwoju ekonomicznego i społecznego, który tylko na korzyść dobrobytu i na korzyść narodowości wyjść może [1]).

[1]) Wniosek o uchylenie przepisów ograniczających wolność dzielenia gruntów postawił poseł Smarzewski na posiedzeniu 5tem dnia 30 Listopada 1865, odesłano go do komisyi prawniczej na posiedzeniu 8mem z dnia 5 Grudnia 1865.

Tyle o kwestyach najgłówniejszych, które rozebrałem po swojemu, z ogólnego raczej i zasadowego, niż specyalnego stanowiska. Nie ubliżam przez to specyalistom i fachowym ludziom, sądzę wszakże, że i im pogląd ogólny od czasu do czasu przydać się może. Źle jest zatracać szczegóły dla względów ducha, przeoczać rzeczywistość dla teoryi, ale większem złem jest utonąć w szczegółach i zapomnieć o wielkich zasadach. Pierwsze złe może narazić na bolesne przejścia, drugie naraża na niepowetowane straty.

Kraków dnia 9 Lutego 1866.

Józef Szujski.

KILKA PRAWD

Z DZIEJÓW NASZYCH.

KU ROZWAŻENIU

W CHWILI OBECNEJ.

Artykuł ten ukazał się w postaci osobnej broszury: Kraków 1867, na początku tegoż roku jako program polityczny pisma „Przegląd polski". W zeszycie styczniowym 1867 r. napisał „Przegląd polski":

„Uznaliśmy za potrzebne wydanie jeszcze przed ukazaniem się tego zeszytu pisma naszego broszury naszego współredaktora p. Szujskiego pod tytułem: „Kilka prawd z dziejów naszych". Broszura ta jest wypływem opinii i przekonań redakcyi Przeglądu polskiego... do niej więc odwołać się musimy jako do naszego programu."

Kiedy zeszłego roku o tym samym prawie czasie odpowiadałem na list p. Pawła Popiela do księcia Lubomirskiego: wziąłem na siebie ciężki obowiązek służenia sprawie naszej na polu, mało dotychczas przezemnie uprawianem, na polu politycznem. Ten obowiązek zmusza mnie dzisiaj do zabrania głosu w innych czasach i okolicznościach, do podania publiczności polskiej w artykule ile możności najtreściwszym, uwag moich i myśli zebranych pod ciężącą na mnie wagą tegoż obowiązku.

Jeżeli występuję jako pisarz polityczny, muszę z góry zastrzedz moje dane i moje granice. W polityce jak wszędzie, istnieć powinien podział pracy, dokonany pod sztandarem narodowego dobra. Każdy tam powinien objąć stanowisko wedle zasobów swoich i sił, bo grzechem dorastającym często do rozmiarów zbrodni, jest branie nad możność i siły, czy to przez ambicyę, czy przez nierozum. Otóż niosąc na ołtarz sprawy naszej pracę moją, nie występuję z pretensyą mięszania się do bieżących szermierek politycznych, nie wchodzę na praktyczną drogę najbliższych chwil, bo to nie moja rzecz, bo to rzecz innych, wynoszę tylko z samotności moich studyów nad przeszłością i teraźniejszością, z wrażeń od społeczeństwa doznanych, które się przetrawić i zwalczyć staralem, rezultat, z którym się z braćmi moimi wszelkich kierunków i zasad podzielić pragnę.

1.

W jednym z najgłębszych ducha polskiego rezultacie, w mowie o narodowości Polaków K. Brodzińskiego, stoją słowa: „Bóg chciał mieć narody jak ludzi osobowymi, aby przez nie działać na ludzkość". Owa osobowość narodów, która dzisiaj upomniała się

o swoje prawa przy podniesieniu kwestyi narodowości, polega na pilnowaniu i strzeżeniu przekazanego przez przeszłość skarbu tradycyj wszelakich, jakie pozostały, na pojęciu się w ciągłości i konsekwencyi życia narodowego z przeszłością, na odziedziczeniu przez każde pokolenie cnót z obowiązkiem doskonalenia ich a grzechów z obowiązkiem expiacyi. Zachowując tę ciągłość narodową jesteśmy synami kościoła katolickiego, obrońcami cywilizacyi zachodniej, spadkobiercami wszystkiego złego i wszystkiego dobrego, co nasz ojciec, dziad i pradziad popełnili. Zachowując tę ciągłość, opatrujemy każdego wpuszczonego świeżo do obozu narodowego w prawa i wkładamy nań obowiązki, które z niej wypływają. Dzisiaj, po całem stuleciu ciężkiej niedoli, dopełniła się miarka expiacyi, uwłaszczenie stało się ciałem we wszystkich ziemiach narodu polskiego, jesteśmy równi braterstwem i niewolą. Posłuchajmyż, co mówi do nas przeszłość, co masie nowo przybyłych opowiada obywateli, aby się spoili z nią duchem, jak się spoili literą prawa.. Że zaś owe masy, poddane szatańskiej propagandzie wynarodowienia, oderwania od pnia przeszłości, słyszeć nie mogą, niechże posłuchają ci, którzy siać będą ziarno przyszłości w tę masę, aby plon wydała.

Otóż powiada jej naprzód tę wielką prawdę, że jeżeli naród jako państwo upadł, to z własnej winy, jeżeli powstanie, to własną pracą, własnym rozumem, własnym duchem. Jest to toż samo, jak gdybym powiedział, że naród upadł z woli Bożej, ukarany, powstanie zaś z tejże woli, odrodzony, bo jeżeli Bóg narody osobowymi uczynił, to zastosował do nich prawa też same, co do ludzi, też same, co do ludzkości. Słowo to moje nie wyłącza winy obcej przy upadku, ani pomocy obcej przy odrodzeniu, bo jak zamach obcy mocnemu nie szkodzi, tak pomoc obca może pomódz mocnemu duchem i słabemu środkami. Ale wracamy do założenia, któreśmy na czele Bożych prawd przeszłości, prawd narodowych postawili.

Dla czegóż ten naród umarł, ten naród, który miał dnie tak świetne, kraje tak wielkie, myśli tak wzniosłe, duszę tak szlachetną, posłannictwo tak znaczne? Dla czego stał się dzisiaj najnędzniejszym Łazarzem ziemi, najnieszczęśliwszym wśród nieszczęśliwych, dla czego spełniło się na nim co do joty proroctwo świątobliwego kaznodziei dni Zygmunta III, dla czego zastosować do nas można słowa Izajasza, Ezechiela i Jeremiasza, które do nas stosował?

Czy dla tego, że miał taką a nie inną formę rządu? Ależ kwitnęliśmy przecie pod monarchiczną dłonią Bolesława i kwitnęliśmy pod wolnymi rządami Zygmuntów Jagiellonów. Czy dla tego,

że miał przewagę tych albo owych społecznych żywiołów? I to nie, bo przewaga duchowieństwa i możnowładzwa za czasów Zbigniewa Oleśnickiego ratowała w czasach pierwszych Jagiellonów Polskę od separatyzmu Witolda, a przewaga demokratycznej szlachty przeprowadziła dzieło unii Litwy z Polską za czasów Zygmunta Augusta, bo mieliśmy panowanie Stefana Batorego, które wszystkie społeczne żywioły, umiało uczynić podstawą dziesięcioletniej, ostatniej chwili harmonii Polski. Później przez trzy wieki mieliśmy najrozmaitsze teorye monarchiczne i republikańskie, a teorye te nie mogły uchronić Rzeczypospolitej przed zgubą, a porozbiorowej Polski doprowadzić do odrodzenia. Dla czego? bo od owego 1586 roku, w którym położył się do grobu Stefan Batory, a po którym geniusz narodu Zamojski popadł w niezgodę z tronem Zygmunta III, rozpoczyna się u nas upadek harmonii w społeczeństwie narodowem, polegającej na czynniku rządu z jednej, na czynniku ładu i sprawiedliwości społecznej z drugiej strony, których istnieniem kwitną, których upadkiem niszczeją narody.

Jakąkolwiek jest forma rządu, jakikolwiek jest skład społeczny, czynniki te dwa istnieć i zgodnie ze sobą działać muszą, jeżeli naród ma kwitnąć. Jeżeli będą w zgodzie, każda forma rządu będzie dobrą i każdy układ społeczny dobrym. Jeżeli przestają być w zgodzie ze sobą, znak to, że coś w układzie społecznym lub w rządzie jest słabego i zepsutego, że jest grzech przeciw prawom Bożym w jednym i drugim, i wtedy to rozpoczynają się zwykle długie, straszne wieki wewnętrznych burz, okropnych katastof, które opatrzna ręka wiedzie do katastrofy sprawiedliwość wymierzającej. Duch wierzący w Boga może przerażać się ich skutkami ale nie straci wiary w ich celowość.

Otóż grzechem tym narodu, wedle proroctwa świętego kaznodziei naszego, było pogardzanie rządem, nierząd i pogardzanie bliźnim, uciemiężenie ludu. Grzechem tym było odstępstwo od wiary ojców, od Boga i kościoła. Grzechy te wywołały ową szaloną dysharmonię w społeczeństwie narodowem, która się skończyła podziałem Polski. Uprawniały one tron do ratowania rządu za pomocą dążeń monarchicznych, rozpoczętych szczęśliwie przez Batorego, dopóki jaka taka tkwiła w narodzie harmonia, a prowadzonych nieszczęśliwie przez wszystkich jego następców. Uprawniały one kościół do chwycenia się środków radykalnych, jakim był jezuityzm. Lud spał jeszcze, więc się nie objawił, a szlachta, która była podówczas sama narodem, poddawszy się zaciemniające-

mu radykalizmowi jezuickiemu, nie poddała się radykalizmowi monarchizmu, wynalazła na niego środek gwałtowny, szalony, *liberum veto!* Tym środkiem broniła się od wszelkiej zmiany, od wszelkich nakazanych okolicznościami i sumieniem reform społecznych i politycznych. Upadał gwałtownie rozum stanu, pękał gmach Rzeczypospolitej, podtrzymywany jeszcze filarami takimi jak Żółkiewski, Koniecpolski, Ossoliński, Czarniecki, stojącymi w obronie rządu i warunków istnienia państwa. Przeciwny ich Zebrzydowscy, Zbarazcy, Wiśniowieccy, Lubomirscy, rokoszanie i nieprzyjaciele królów, mieliby wtenczas tylko jakąkolwiek racyą wystąpienia i działania, gdyby byli stawali nie w obronie ciasnych szlacheckich przywilejów, nie w obronie kastowego egoizmu, ale w obronie nowego zupełnie porządku rzeczy, w obronie spraw całego ludu i obejmującego wszystkie warstwy społeczne organizmu. Ale jeżeli kastowość rzucała się na króla, to taż sama kastowość wywołała przeszkadzaniem zamysłom królewskim ruch socyalny na Ukrainie, a gwałcąc królewską władzę do złamania tego ruchu na Ukrainie, do schłopienia Kozaków, nie wypełniając złożonego przez Jana Kazimierza w kościele lwowskim ślubu, nie przystając na postawienie elekcyi Kondeusza, słowem idąc ciągle w myśl negacyi *liberum veto!* świadczyła, że nie miała żadnego uprawnienia wyższego, bo nie umiała nic pozytywnego postawić. Pokazało się to jawnie, gdy przyszło do elekcyi Michała Wiśniowieckiego, syna tępiciela Kozaków, a do wystąpienia przeciw Janowi Sobieskiemu, spadkobiercy myśli Jana Kazimierza i zwycięzcy pod Podhajcami. Owa to negacya kastowości była winną, że zmarniał ostatni wielki człowiek chrześciańskiej Polski, Jan Sobieski, ona była winną, że związawszy się ligą z zachodem w celu zwyciężenia półksiężyca, poprzestał na jednem dziele oswobodzenia Wiednia, że mu owa wojna minęła bez korzyści; bo jeżeli zgrzeszył, opuszczając się na sprzymierzeńca, jeżeli uczynił fałszywy krok polityczny zawierając pokój Grzymułtowski z Rosyą, cóż powiedzieć o narodzie szlacheckim, który wyzyskał te obydwa jego grzechy, niepomny, że obrona Wiednia broniła własnych jego granic, niepomny, że ową przewagę Rosyi sprowadził własnym swoim egoizmem kastowym w sprawie kozackiej i zawikłaniach szwedzko-moskiewskich. Umarł Sobieski umarł z rozpaczy, zwątpiwszy we wszystko. Po jego śmierci przypuszcza bezsumienny atak despotyzmu August II, rozpoczynają się czasy kary, pierwsze gwałty i bezprawia po jednej, pierwsze jawno grzesznictwa drugiej strony. Awanturniczy Karol XII chce zratować Polskę, stawiając Leszczyńskiego, jak w 19tym

wieku chce ją ratować Napoleon zachodu stawiając konfederacyą warszawską. Brak powszechnego współudziału, którego wina spada na wszystkich w pierwszym i drugim razie, przeszkadza skutkowi, a oto jak Napoleon pod Moskwą, tak Karol XII przepada pod Pułtawą. Gangrena się rozpoczyna w ciele narodowem: rokosz tarnogrodzki ma mniej rozumu stanu, niż poprzednie, obie strony wojujące sprowadzają Piotra Wielkiego, patryarchę szyzmy i zaboru, na rozjemcę. Rozjemca skazuje Polskę na polityczną nicość. Czasy nicości trwają po rok 1763, aby okropne przynieść owoce. Rozbita w dwie negacye myśl polityczna narodu, myśl rządu a myśl społeczeństwa występują z śmiercią Augusta III do walki. Prawo dla nich toż samo: dzisiaj łatwo im wymierzyć sprawiedliwość. Czartoryscy chcą stawiać rząd — za pomocą Moskali, późniejsi Radomianie chcą przywrócić bezrząd za pomocą tychże samych Moskali. Pierwsi mieliby racyę, gdyby nie środek, drudzy nie mogliby mieć nigdy racyi, bo bezrząd jest zawsze bezrządem, a sprawa kasty jest zawsze tylko sprawą kasty. Wtedy obałamuceni cnotliwi odsuwają się, jak Branicki Gryf i Zamojski Andrzej, albo padają ofiarą, jak Sołtyk, Rzewuski i Załuski. Zaczyna się czas expiacyi, martyrologia. Masa szlachecka, bierna od czasu upadku rozumu stanu w wieku 17tym, poddana sprzecznym prądom tronu i możnowładztwa, rusza na rokosz przeciw Moskwie i królowi, tworzy konfederacyę barską, kończącą się podziałem Polski. Karta to dziejów krwawa męczeństwem, straszna zniszczeniem i ostatecznościami dobrego i złego. Cnotą jej była myśl niepodległości, winą luźność i zerwanie z władzą królewską. Historya uczy, że były chwile, w których się o pozyskanie tej władzy porozumiewano, myślał o tem Mokronowski i Pułaski, ogłoszenie bezkrólewia poczytywał za największy bezrozum polityczny Adam Krasiński. Charakterystyczną jest rzeczą, że zamach na króla, zamach w celu jego pozyskania uczyniony, przyspieszył zgubę konfederacyi i pierwszy podział.

Rzućmy zasłonę na rok 1773! Po co *renovare dolorem?* Umarła tam dawna Rzeczpospolita, umarła na zawsze w scenie, którą opisał Staszic! Poszła na podział między obcych i swoich, i nie powstanie już nigdy, taką, jaką była podówczas! Najokropniejszy fałsz *liberum veto* stał się w ustach Rejtana najokropniejszą prawdą, prawdą bezsilną, daremną, szaloną! Czy pokolenie dzisiejsze tak obrane z poczucia, aby nie rozumiało, co się działo podówczas w piersi takiego Fryderyka Michała Czartoryskiego, który umarł w r. 1776?

Umarła Rzeczpospolita, powiadam, i zaczęły się nowe czasy, przeznaczone na rozwój ostateczny tychże samych żywiołów. Rada nieustająca pod rządami rosyjskiego ambasadora, nie była w niczem podobna do dawnego składu rzeczy. Jakąkolwiek była, była rządem, i dała narodowi mechaniczne pojęcie o rządzie. Gdy przyszedł wiekopomny czteroletni sejm, wiekopomny testament Rzeczypospolitej, ten po długich wahaniach dał narodowi politykę interesu i rząd, dwie rzeczy, których Polska od dwóch wieków otrzymać nie mogła.

Polityka interesu to samodzielność, rząd, to niepodległość. Ale polityka interesu, która alians z Prusami uczyniła narodowym dlatego, że alians z Moskwą był antinarodowym, nie posiągła się do czynu mimo Ignacego Potockiego rady, do oddania bezpożytecznego Gdańska i Torunia, a rząd nie umiał stać się ciałem. Przeszkodziła temu podnosząca głowę hydra pogrzebanego *liberum veto* w postaci Targowicy, owego wystopniowanego Radomia, który sparaliżował czynności czteroletniego sejmu i wezwał Moskwę na zniszczenie dzieła konstytucyi. Naród nie umiał utrzymać swoich zdobyczy, sejm nie umiał się chwycić radykalnych środków, a kto wie, czy nawet użycie ich byłoby zapewniło skutek. Ujrzawszy straszną rzeczywistość, nazwał toczącą się walkę rządu z bezrządem, reformy społecznej z kastowością, wojną pana Ignacego ze Szczęsnym i wraz z królem, z nielicznymi wyjątkami przeszedł do Targowicy i drugiego podziału. Drugi podział miał już pomimo większego nacisku więcej oponentów — naród postąpił.

Nieliczny zastęp synów nowej Polski wystąpił do ostatniego boju. Na czele stanął Kościuszko, reprezentant nowej idei: uwłaszczenia ludu. Powstanie w Krakowie nie wspominało o królu, naczelnikiem został Kościuszko. Ale ów święty Kościuszko, ów patron nowej epoki rozumiał sam jeden w owej chwili strasznej, co król i rząd znaczy, nie dał się pchnąć w ostateczność doktryny kollątajowskiej, bo wiedział, żeby nie zratowała a zhańbiła. Jemu też, temu ostatniemu a pierwszemu, temu królowi ducha spoczywającemu obok królów naszych na Wawelu mamy zawdzięczyć, że sceny warszawskie większych nie przybrały rozmiarów, że zgon nasz piękny był, że nie w rzezi rewolucyi, ale w rzezi niewiniątek Pragi oddaliśmy Bogu ducha jako państwo chrześciańskie....

Nastąpiła niewola. Niewola to nie sam ucisk zewnętrzny, to nie samo panowanie tego albo owego systemu niemiłego narodowi, to nie przewaga tego albo owego narodu przekomarzającego się nad

drugim, to więcej, bo to odebranie narodowi własnego rządu i własnej dyspozycyi społeczeństwem. Obłędzie! który mniemasz, że dosyć jest chcieć wypędzić nieprzyjaciół, że dosyć jest zrobić konspiracyjkę jednę lub drugą, aby być wolnym i niepodległym, wynieść się z ziemi naszej, opuść ją na zawsze, bo sprowadzasz tylko klęski bez granic, bo policzone już dni twoje, które z woli Bożej spędzałeś między nami, bo dokonałeś już swego i złożyć nam cię przychodzi do grobu z słowem miłości i przebaczenia chrześciańskiego! Wiecie, co znaczy stać się wolnym? Stać się wolnym, to stać się zdolnym utworzyć rząd i dokonać reorganizacyi społeczeństwa. A rząd ten nie może być żadną arlekinadą rządu, ale rządem organicznym, obejmującym wszystko, a reorganizacya nie może być destrukcyą, ale budowaniem!

Nastąpiła niewola, a warunki dla społeczeństwa pozostały też same. Boże! Boże! czy zastanowiwszy się, widzicie, jakie okropne musiały czekać nas przejścia?

Z początku starczyło jeszcze ludzi sejmu czteroletniego, którzy wiedzieli, co jest rząd i jakie wymogi społeczeństwa. Targowica rozbiła się w druzgi, umarła w cynizmie i rozpaczy. Ograniczoność myśli sejmu czteroletniego z świętością postaci Kościuszki stanowiła kit społeczny, bez jakiego społeczeństwo istnieć nie może.

I oto społeczeństwo to, z instytutu politycznego posyłało synów do legionów włoskich i do zwycięzkiej świty Napoleona. Żadna kropla krwi tam przelana straconą nie jest, bo naród ratował swoje europejskie znacznie politycznym środkiem. Społeczeństwo to pomogło do utworzenia księstwa warszawskiego, łączącego idee sejmu czteroletniego z postępem zachodniej Europy. Ale generacya sejmu czteroletniego postarzała, bo wszystko starzeje na świecie. Generacya ta przyszła politycznie do zasadowego wstrętu ku imperyalizmowi francuskiemu, połączonego z wszelkim brakiem cywilnej odwagi; militarnie przeszła z patryotyzmu do uczucia honoru, ratowanego przez księcia Józefa falą Elstery. Właściwości te przeprowadziły ją od Napoleona do Aleksandra, a ten ją tylko absolutnie potępić może, kto nie umie uczcić schodzącego z pola pokolenia, które, powiedzmy tu nawiasem, z małymi wyjątkami godnie z pola schodziło, kto nie pomyślał nigdy nad tem, co takiego Kościuszkę, co takiego Staszica ku Aleksandrowi kłoniło.

Kto pomyśla, wytłumaczy sobie z łatwością dzieje królestw, kongresowego i powstania Kościuszki. Walka to dwóch generacyj, którą teraz dopiero, dzięki pamiętnikowi Koźmiana, lepiej poznajemy. Generacya schodząca z pola to przyjaciele Aleksandra, szanu-

jący szmat polskiego kraju w polityce, klasycy w literaturze, generacya młoda, to konspiratorowie w polityce, romantycy w literaturze. A niechaj tu nikt nie myśli, kto nie bluźni, żeby którakolwiek strona miała wtedy monopol ducha narodowego. Obie miały swoje racye, prawda była pośrodku, ale prawda nie dająca się pochwycić od razu. Po jednej stronie było święte pojęcie rządu, po drugiej, święte pojęcie społecznej reformy. Pojęcia te rozbiły się od chwili podziału bardziej niż kiedykolwiek, bo niewola stanęła pomiędzy niemi. W obawie przed tą niewolą ratowali jedni rząd, póki miał ślad polskości, drudzy społeczną kwestyę łączyli z kwestyą niepodległości. Jest to ów fatalny *circulus vitiosus*, który w r. 1863 dobiegł swojego kresu. I podobnie, jak opozycya przeciw tronom najwięcej ma względnej za sobą słuszności za dni Zygmunta III lub Augusta II wprowadzających monarchizm *quand même:* tak i za dni powstania listopadowego konspiracyjny żywioł miał najwięcej młodości i warunków życia, najwięcej politycznych racyj, miał w świecie ducha geniusza Mochnackiego i Mickiewicza, miał głowy pojmujące doskonale potrzebę rządu, miał bohaterów 29 Listopada; a obóz przeciwny, który 29 Listopada nazwał smutnym wypadkiem, który uwłaszczenia nie przeprowadził, który nie pojął nowej epoki ani w polityce ani w literaturze, który owładnąwszy kierownictwo sprawy, nie chwycił się podanych przez młodych środków, obóz ten zdawał się absolutnie żadnych nie posiadać! Powstanie 1831 r. upadło, Kongresówka i kraje zabrane wpadły pod żelazne berło Mikołaja, kłótnia zasad przeniosła się na emigracyę, która od r. 1831 do 1848 sama jedna wzięła kierownictwo narodu w monopol.

Jeżeli straszne są skutki niewoli, straszniejsze jeszcze są skutki emigracyi. W niewoli ma się przed oczyma rzeczywistość, tę podstawę naturalną każdego czynu politycznego, w emigracyi ma się tylko ideę, tylko uczucie, tylko wspomnienie, a ma się prócz tego modlę obcego społeczeństwa przed sobą. Cóż dopiero, jeżeli się w tę emigracyę idzie z rozdartem sercem, z straszną dezilluzyą, z gniewem i rozpaczą? Na takim to gruncie rozwijały się dalej oba stronnictwa w emigracyi, stronnictwo idei rządu i stronnictwo idei społecznej, taką podstawę miały wszystkie sekty polityczne emigracyi aż do sekty religijnej Towianizmu, która unosząc się nareszcie w sferę kwietyzmu, zabrała z sobą wszystkich najtęższych duchów emigracyi. Nie mając podstawy rzeczywistości pod nogami, partye emigracyjne aplikowały pomimo tego idee swoje z całą wiarą w ich skuteczność, a stronnictwo demokratyczne zasłużyło się krajowi

dobrze rozszerzeniem idei liberalnych, o których zbawienności i potrzebie było przekonanem. Któż z nas do koła jego pojęć nie należał i nie należy jeszcze, któż nie wie, że dokonało swego na polu społecznem? Ale na polu politycznem nie miało to stronnictwo żadnej racyi bytu, bo środek jego był środkiem prawdziwym, ale tylko w chwili czynu 1831 r., gdy były warunki skutku, gdy była rzeczywistość. Społecznego ruchu używać do celów politycznych, mniemać, że usamowolniony wczoraj, dzisiaj za sprawę się poświęci, zastępować organizm społeczny organizmem konspiracyi, zaczynać sprawę od siebie i od kilku ludzi, których się zebrało w imię najświętszej rzeczy, przeczyć wszystkiemu, co jest w społeczeństwie, a z dobrej woli nie przystąpiło, rachować na słabość charakteru narodowego, chwiejnego a powodującego się uczuciem: oto w całej nagości teorya konspiracyjna, nie polska, bo pożyczona od socyalnych ruchów za granicą, teorya, którą znamy, którą zesyła Opatrzność, aby społeczne sprowadzić zrównanie, ale która z tem społecznem razem zrównaniem umarła na wieki. Nie przeczymy jej podwójnej zasługi męczeństwa i propagandy zasad postępowych, nie przeczymy, że prowadziła w Polsce to, co było koniecznością, potrzebą — jesteśmy wszyscy jej duchownymi synami i nie ma nikogo w ziemi polskiej, któryby jej faktycznego zwycięztwa nie uznał, ale chwila stanowcza wybiła i oto dzisiaj pogrzeb *liberi conspiro*, tego ducha, który *liberum veto*, starego grzesznika, odkupił krwią i łzami milionów.

Powiedziawszy te słowa, nie potrzebuję je zapewne stwierdzać przykładami. Dosyć wspomnieć dzieje 1833, 1846, 1848, a nareszcie dzieje ostatniego ruchu 1863. Wszędzie tam jedna i taż sama sprawa, jedne i też same środki, jeden i ten sam błąd pierworodny. Jedno tylko twierdzimy, twierdzimy z całą siłą przekonania, że grzeszność błędu rośnie w jednakiej proporcyi z doświadczeniami poczynionemi, a w równejże proporcyi nabiera słuszności druga strona! Dzisiaj, po skończonem uwłaszczeniu, przyszło do tego, że konspiracya ma absolutną niesłuszność, strona normalnej organicznej pracy absolutną słuszność!

Dla czego? Bo rok 1863 zamknął na zawsze epokę konspiracyi nie zostawiając ani jednego człowieka społecznie niewolnego na ziemi polskiej, rok 1863 dokonał dzieła uwłaszczenia ludu, nad którem konspiracya, jako złe konieczne pracowała. Bo przedłużenie konspiracyi po za rok 1863, pod jakimkolwiek kształtem, byłoby już nie walką o niepodległość, której drogą konspiracyjną

żaden naród na świecie nie odzyskał, nie przedłużeniem socyalnej rewolucyi, która się w r. 1863 już dokonała, ale podaniem narodu na zgubę, ułatwieniem danem Moskwie do jego zagłady. Jak *liberum veto* po konstytucyi 3 Maja było Targowicą, tak i *liberum conspiro* po usamowolnieniu ludu byłoby nią, w straszniejszej tylko formie. To nie wolność — to socyalizm, to nie niepodległość — to pożarcie przez Moskwę!

Absolutną więc dzisiaj słuszność, powtarzamy, ma droga normalnego organicznego rozwoju narodowego, droga uporządkowania społecznego po uwłaszczeniu i równouprawieniu. Na polu politycznem, społecznem, ekonomicznem, drogą jawną i publiczną winniśmy przyjść do zużytkowania wszystkich sił nowych, do wytworzenia z siebie zastępu ludzi publicznych, zaszczyconych zaufaniem narodu. Sejm, instytucye publiczne, stowarzyszenia, oto legalne i jawne nasze organa, poza którymi nic istnieć, nic powstawać nie powinno, które po za zakres działania swego wychodzić nie mogą. Bo obłędem bez granic, dzisiaj już żadnego nie mającym pozoru, jest zarzucać społeczeństwu upadek ducha narodowego a mniemać, że to społeczeństwo sztucznymi środkami związane, najwyższe dopełnić może cele. Obłędem bez granic jest przypuszczać, że społeczeństwo, którego duchem narodowym, podług zdania owych błądzących, lada koncessya rządu zachwieje, że to społeczeństwo wystarczy siłami swemi do tychże najwyższych celów narodowych!

2.

Teraz ostatnie słowo moje w bieżącej sprawie naszej polityki prowincyonalnej. Wspierać mnie w niem będzie księga przeszłości naszej. Ona nam musi powiedzieć, na jakim punkcie stoimy, ona nam musi powiedzieć, co czynić mamy.

Polska powstająca z łona Słowiańszczyzny, jako prawa jej pani i przodowniczka, jako zachodnie przedmurze, dwóch miała nieprzyjaciół, w początkach swoich po wieki pierwszych Jagiellonów Niemcy, od wieku Jagiellonów do dni naszych Moskwę.

Z poddaństwa cesarstwu wybijać się musieli pierwsi Bolesławowie, z pod wpływu moralnego i materyalnego Niemiec musieli ją ratować Łokietek i Kazimierz Wielki. Od 1139 do 1305 roku, była Polska podzieloną jak dziś, a nie było klęski, któraby jej nie dotknęła. W epoce tej podziału spotykamy wszystkie symptomata, jakie od r. 1795 spotykamy, chociaż w innej średniowiecznej formie.

Czem są dla nas Moskale, tem byli podówczas Krzyżacy i Niemcy, a kto zna ówczesne dzieje, przekona się, że zniszczenie, jakie ze sobą nieśli, dzisiejszemu miejsca nie ustępuje. Co Polskę zratowało: oto idea rządu, Przemysław, Łokietek, Kazimierz Wielki, polityka rozsądnych aliansów, jak alians Łokietka z Węgrami i Litwą, praca organiczna wewnętrzna, łączność stanów, duchowieństwa, rycerstwa i ludu w odparciu nieprzyjaciela. Po tych przygotowaniach nastąpiły dni Płocka, Grunwaldu, Chojnic a Polska pozbyła się na długo zachodniego nieprzyjaciela.

Wtedy, z niewoli tatarskiej wyrosły, powstał wróg wschodni. Zabrał on jej Nowogród i Psków, i wystąpił od wieków z pretensyami do całej Rusi. Była to szyzmatycka Moskwa, uzurpatorka Słowiańszczyzny. Pani i uzurpatorka w jednym worku mieścić się nie mogą, katolicyzm z szyzmą, zachód z wschodem zgodzić się nie może. Walczy więc z Moskwą Zygmunt I, za główną nieprzyjaciołkę ma ją Zygmunt August, pokonywa ją kilkakroć Batory. Zygmunt III ma ją w rękach i puszcza, Polacy takiej okazyi podchwycić już nie umieją! Przychodzą czasy rozkładu na Polskę i oto Rosya z konsekwencyą skoncentrowanej despotycznie potęgi politycznej podchwytuje wszystkie momenta rozkładu, korzysta z każdego nieszczęścia, wyzyskuje ruch kozacki, najazd szwedzki, wojny tureckie, najazd Karola XII, konfederacyę tarnogrodzką do zaborów i rozszerzenia wpływu wojną lub traktatami, a oto udaje się jej wszystko, bo Polska w anarchii. Z 1764 świta jej nareszcie epoka stanowcza, ofiara oddaje jej się sama w ręce; Prusy szepnęły słowo o pierwszem podziale. Nie miłe to słowo dla Rosyi, bo ona dąży do pochłonięcia i assymilacyi całości, ale zgadza się, Austrya przystępuje trzecia do podziału. Za pierwszym idą dwa drugie, wywołane i przygotowane przez Rosyę i Prusy.

Po podziale toż samo dążenie ale w dwóch kierunkach. Zjeść i strawić lub rozedrzeć i zniszczyć, oto alternatywa Katarzyny, Pawła, Aleksandra, Mikołaja, Aleksandra II, Bergów czy Milutynów, narodu czy urzędników. Bo nie może się złączyć despotyzm z wolnością, szyzma z katolicyzmem, antyteza z tezą, cywilizacya z nihilizmem. Oto nasz nieprzyjaciel od cara do ostatniego kacapa rosyjskiego, od Murawiewa do Bakunina i Herzena.

Kiedy go znamy, kiedy wiemy, czem jest, unikajmyż go i chwytajmy sposobność rozwoju narodowego, choćby najmniejszego w prowincyi pod innem, katolickiem berłem. Przed pięcioma wiekami nieprzyjacielem naszym były Niemcy, dzisiaj tylko Moskwa.

Moskwa, mówię i powtarzam, bo tylko Moskwa ma przed sobą misyę niespełnioną, a na drodze tego spełnienia stoi Austrya. Prusy mogą stanąć po stronie Rosyi, ale skonsolidowawszy się raz jako państwo niemieckie, nie mają już interesu nas zabijać, bo każde zachodnie państwo wie, że na zabijaniu narodu traci się i marnuje własne siły. Kto dzisiaj staje przeciw kierunkowi Polaków w Austryi, przeciw kierunkowi pracy organicznej, na taką czy owaką przyszłość, staje bezpośrednio po stronie Moskwy, choćby tego nie chciał.

Czy chce kto podać rękę temu kierunkowi? Nie! temu kierunkowi nikt u nas ręki nie poda, kto dobrej wiary, a kto z naszem przekonaniem się zgodzi. Zgodzić się zaś, nie będzie rzeczą trudną. bo reasumowaliśmy mniej więcej to, co każdy tysiącokrotnie spostrzegał, a z czego tylko nie odrazu może, sprawę sobie zdawał. Ależ od owego silnego przekonania o punkcie sytuacyi, w jakim stoimy, od owego potężnego nawrócenia w miejscu i obrania innej drogi, od takich to dzielnych ryczałtowych postanowień zależy zwrot narodów ku lepszej przyszłości. Takiego ryczałtowego postanowienia wszystkich, takiej jenialnej zmiany frontu potrzeba nam dzisiaj i taka niechajże za łaską tego Boga, który nas tyle pokarał, nastąpi!

Zmienić muszą front wszyscy, bo na walki stronnictw nie ma czasu, bo walka stronnictw ustąpić musi w chwili, gdy z stronnictw naród ma powstawać! Nie przeoczamy trudności tej sprawy. Po wielkich wstrząśnieniach narodowych rozbicie społeczne jest naturalnym skutkiem. Znajdujemy się właśnie w chwili takiego rozbicia, tem groźniejszego, że zeszło się z wstrząśnieniem gwałtownem monarchii, która naszą prowincyę posiada. Zwrot w opinii, dokonany po 1863, nie zabezpiecza przyszłości narodowej w prowincyi naszej, jeżeli nie będzie zwrotem powszechnym, z przekonania politycznego płynącym, zwrotem, obudzającym ją z bierności a zaprzęgającym do karnego posłuchu kierunkowi z kompetentnego płynącemu źródła. Do tego potrzeba znowu owej szerokiej a liberalnej polityki, którąśmy w odpowiedzi na list p. Popiela, jako jedynie zbawczą wskazywali.

Polityka nasza na zewnątrz, to polityka interesu, polityka na wewnątrz, to polityka społecznego uporządkowania się.

Opozycyą *quand même* żaden naród się nie uratował i żaden naród z nią wyżyć i rozwijać się nie może. Z rządem, jakimkolwiek jest, naród rachować się musi. To powinniśmy sobie powiedzieć po kilku wiekach anarchii i całym wieku rządów obcych. Narody

zabijają się czynami i powstają czynami. Polityka negacyi nie jest żadną polityką, polityka abstencyi może mieć miejsce wtedy tylko, kiedy tego wymaga narodowy interes. Dzisiaj ten interes wymaga polityki czynnej i stanowczej.

Znajdujemy się w monarchii, która wobec Rosyi toż samo zajęła stanowisko, jakie przed wiekiem Polska zajmowała. Pomimo ogromnej, antypodycznej różnicy między nią a dawną Rzecząpospolitą, podobieństwo to sytuacyi idzie do najmniejszych szczegółów. Nikt zdrowo na rzeczy patrzący zaprzeczyć nie może, że jak Polska niegdyś, tak Austrya dzisiaj znajduje się w smutnym stanie rozprężenia z przyczyny przeoczenia głównej missyi, missyi wschodniej. Kwestya turecka pozwoliła Rosyi uróść na niekorzyść Polski, kwestya polska pozwoliła tejże Rosyi dojść do granic Austryi i stanąć nad niemi w postaci groźnej sąsiady. Kwestya turecka rozrywała uwagę Polski: Włochy i Niemcy zabsorbowały uwagę Austryi i przyprowadziły ją do srogich a niepowetowanych klęsk. Wewnątrz toczą monarchiczną Austryę też same kwestye, które Polskę roztoczyły. Przed wiekiem musiała Polska wydobyć z siebie warunki europejskiego, nowożytnego państwa lub zginąć — obecnie musi Austrya wydobyć dla siebie racyę bytu z nowożytnej idei państw narodowych, lub przygotować się na nowe ciężkie przejścia. Centralizacya okazała się bezskuteczną, bo bezgranicznie szkodliwą, trafiła na nieprzełamany opór praw historycznych i na nieprzełamany opór narodowego poczucia. To niby kastowość, która dawną Polskę zgubiła, to jej nietolerancya, jej ciasna polityka na zewnątrz i wewnątrz.

Dawne formy zużyte, o minionym absolutyzmie dni Metternicha nikt myśleć już nie może. Dualizm, tryada, przewaga słowiańska, niemiecka lub węgierska, to tylko chaotyczne ważenie się żywiołów, które nie ustawią się w harmonii, dopóki wielkie słowo „stań się!“ wypowiedzianem nie będzie.

Wiem, jaki sardoniczny uśmiech drży na ustach naszej uczuciowej polityki, wiem, co odpowiadają nasi mniemani zasadowcy, którzy na kilkanaście lat naprzód wiedzą co się stanie! Wiem i zawezwę tylko, aby mi poświadczyli, że różowo na stan Austryi nie patrzę, ale wyznam także, że uczuciowej i historyozoficznej polityki nie znam, ale znam tylko jednę, interesu i obowiązku.

Nie obchodzi mnie bynajmniej, czem Austrya dla nas była. Nie obchodzi mnie ani 1772 ani 1846 ani 1864, biorę ją, jaką jest po r. 1866, po Königsgrätz i pokoju prazkim, po patencie o zwołaniu nowego reichsratu wychodzącym z patentu lutowego a dozwa-

lającym sejmom wybierać reprezentantów wbrew temu patentowi. Wiem, że składa się z tylu a tylu milionów Słowian, Niemców i Węgrów. Wiem, że jest monarchią, która zajmuje dotąd w Europie znaczne stanowisko. Wiem, że stoi na zawadzie Rosyi. Wiem, że obowiązkiem moim, jako Polaka, jest postępować podług tradycyi, którą mi przeszłość przekazuje, że nie służę ani teoryom rewolucyi ani teoryom reakcyi świata, ale interesowi mego narodu. Wiem, że pozostanę Polakiem w Austryi, Prusiech, Moskwie, Chinach i t. d., dopóki zamiast pozować się na niego, będę chwytał każdą sposobność służenia sprawie mego narodu.

Każdy naród tem tylko stał i kwitnął, że bez siebie o sobie radzić nie pozwolił, że zamiast protestować, działał. Tylko wypędzone Burbony protestują i odbywają rocznice koronacyjne, co im się na nic nie przydaje. Każdy naród tem tylko się utrzymywał, że ideę, którą niósł w sobie, bronił wszędzie i w myśl tej idei postępował. Moskwa uzurpatorka dla tego Słowiańszczyznę zjada, że jej Polska prawa jej pani złączyć nie umiała, chociaż miała ku temu okazye. Jeżeli więc trochę w nas pozostało instyktu politycznego po owych wiekach, na które z politowaniem ramionami ruszamy, maszże nam być obojętnym przyszły los, już nie Austryi, ale owych Słowian, Niemców i Węgrów w monarchii? Mamyż czekać w pozyturze filozofów niemieckich, aby się kolejno wszystkie eksperymenta na tych narodach odbywały, które je doprowadzą tam, gdzie nas brak polityki doprowadził? Mamyż czekać, aby dualizm rzucił wszystkich Słowian w ramiona Rosyi, aby tryada nas na straconą pikietę wysłała, albo centralizacya niemiecka spóbowała jeszcze raz eksperymentów *in anima vili?* Mamyż nie powiedzieć śmiało, otwarcie wielkiego słowa naszej polityki narodowej, wielkiego *aut aut* dla Austryi, słowa o federacyi, dla tego, że przypadkowo stajemy się oprócz polskich, prawdziwymi patryotami austryackimi?

Czy poskutkuje? pyta sardonicznie polityka uczuciowa.

A co nam do tego? *Dixi et salvavi animam meam!* mówi pismo. A historya powie: Był naród, który niepomny uraz powiedział to, co mu kazał obowiązek. Powiedział, że państwu, aby odżyło, potrzeba duszy, więc mu wskazał tę duszę. Powiedział, że na wszystkie złe skutki sztucznych środków jest jeden środek: natura; na wszystkie kłótnie o hegemonią, odebranie hegemonii jednemu; na wszystkie zachcianki moskalofilne, oddanie sprawiedliwości w domu, na mechanizm bezduszny w rządzie, brak potęgi ducha w wojsku; interes rządzonych i święty zapał narodowy biją-

cych się. Powiedział wszystkim narodom monarchii: Chcecież czekać, aby was spotkało, co nas spotkało? Chcąż czekać Węgry, aby im Moskwa podniosła kwestyę narodowości słowiańskich i to mocniejszą ręką niż dawna centralizacya? Chcąż czekać Czechy, aby z pod austryackiego pod pruskie dostały się rządy, a nowy Willisen wyrysował im linię demarkacyjną? Czy nie lepiej wyrysować tę linię samemu i pracować, aby się posuwała? Chceż czekać Wiedeń, aby został granicznem miastem Germanii, położonem na szarem końcu jej handlowego ruchu?

Powiedziawszy to wszystko, możemy wyrzec: *Advienne que pourra*, jeżeli w domu, u siebie w myśl szerokiej polityki postępować będziemy.

Szeroka polityka to załatwienie kwestyj wewnętrznych w sposób liberalny, w myśl polityki narodowej. Tu mamy do czynienia z negacyą od tylu lat zakorzenioną, tworzącą prawdziwą stajnię Augiasza.

Najprzód kwestya ruska, o której genezie mieliśmy już sposobność mówić gdzieindziej. Dzisiaj przyszła ona w przodownikach swoich do kształtu, jakiego przykładu trudno w historyi wynaleźć. Księża uniccy, katolicy, słyszą rzucaną na siebie potwarz, że dążą do szyzmy, i milczą. Księża ruscy słyszą, że im zarzucają konszachty z Moskwą, i milczą. Milczy kler cały od metropolity do proboszczów! Rusini, wołający o narodowość, trzymają z centralizacyą — Rusini, których braci mordują o granicę, aby unię opuścili, nie deklarują się za unią! Jakaż na to rada? Starać się o karę? Broń Boże! złej sprawie dosyć kilku męczenników, aby nieprzełamaną się stała. Pomagać do wywołania starcia, którego sami pragną? I to źle, bo to interes Moskwy. Wywodzić historycznie i gramatykalnie, że nie ma Rusinów i ruskiego języka? Na nic by się to nie przydało, bo rzecz ta sprzeciwia się prawdzie. Istnieje Ruś, jak istnieje Polska i Moskwa, a jest od wydobycia się carzyków moskiewskich z niewoli tatarskich jabłkiem niezgody między jednymi i drugimi. Kwestya ruska dla Polski to kwestya federacyi, dla Moskwy, to kwestya absolutyzmu wszechsłowiańskiego. Stawiając ideę federacyi, załatwiamy kwestyę ruską w Galicyi. Nazywamy Rusinów Rusinami, ruski język językiem ruskim, dajemy mu warunki rozwoju, ale żądamy to, co słuszne, ale uwzględniamy stan faktyczny. Uznajemy Ruś w sejmie, szkole, gminie, ale żądamy, aby ona uznała unię i nas, aby przestała być moskiewską i socyalną konspiracyą, aby uderzywszy się w piersi powiedziała, że zgrzeszyła i sprzeniewierzyła się duchowi ojców swoich! Wszystko dla Rusinów, nie dla

Moskali, wszystko dla Rusinów, ale żadnego kompromisu z tymi, którzy okazali swoją zupełną do kompromisu niezdolność!

O szkole, gminie, radzie powiatowej mówić nie będziemy. Jeżeli te instytucye nie mają czczem pozostać słowem, trzeba się wziąść do nich z całą energią przekonania i poświęcenia. Wolimy wspomnieć gorącą kwestyę serwitutów, propinacyj, równouprawnienia żydów, które raz w sposób liberalny załatwić należy. Wolimy słówko rzec o stanowisku opozycyi i o stanowisku działaczy politycznych w naszym kraju.

Gdybyśmy mieli głos donośny, jak trąba Archanioła, wezwalibyśmy całą opozycyę do roboty, powiedzielibyśmy każdemu krytykowi, wątpicielowi, każdemu, co zamiast działać, wielką słowną trudni się polityką: Pracuj! nie krytykuj! bo czas nagli! Nie ma czasu na walkę stronnictw, czas na działanie całego narodowego stronnictwa. Ale nie przeoczam natury rzeczy i rozbicia społeczeństwa, a widzę jeden środek: dobrą wiarę w opozycyi, dobrą wiarę w działaczach. Nic dla stronnictwa, wszystko dla narodu, nic dla celów partykularnych, wszystko dla powszechnych, oto hasło, pod którym wejść mamy w nową epokę bytu, w epokę, gdzie się z pomocą Bożą może zróść to, co się rozpadło. Precz z małodusznością koteryjek i konspiracyj, tych środków, które są wytworem upadającego narodu. Jedne i drugie zarówno w błędnem kręcą się kole, przypuszczają upadek, a myślą, że się od nich wzrost i zbawienie narodowe rozpocznie, rzucają na siebie zarzutami głupstwa, przewrotności i zdrady, a z tego potępionego narodu chcą tworzyć piedestał dla siebie. Raz trzeba przypuścić, że nie wedle miary krawca takiego lub owakiego, ale wedle miary Fidyasza stworzona jest pierś tego narodu, raz trzeba sobie powiedzieć, że szaleństwem jest spodziewać się, że ten stanie się jutro potęgą, któremuśmy dzisiaj absolutne głupstwo lub zdradę zarzucili! Do grobu z *liberum conspiro* — ku lepszej przyszłości niech nas, zrównanych prawem i niedolą — wiedzie Bóg i Ojczyzna. Róbmy, co powinniśmy, resztę Bogu oddajmy!

Kraków 5 Stycznia.

Uchwała sejmowa

z 2go Marca

i

Delegacya do Wiednia.

Artykuł ten ogłosił Szujski w zeszycie kwietniowym „Przeglądu Polskiego“ w Krakowie 1867.

W Styczniu 1867 r. upadło ministeryum Belcredego, które przez nadzwyczajną Radę państwa zamierzało przeprowadzić organizacyą monarchii w duchu autonomii pojedyńczych krajów. Następca Belcredego Beust zawarł z pominięciem konstytucyi z 26 Lutego 1861 r. ugodę z Węgrami, warującą im ich odrębność państwową, zaś w reszcie monarchii postanowił przeprowadzić ową konstytucyę centralistyczną z d. 26 Lutego 1861. Sejm galicyjski, zwołany po nowych wyborach w d. 18 Lutego 1867, wezwany został razem z innymi sejmami krajowymi, ażeby dokonał wyborów delegatów do Rady państwa, która na podstawie konstytucyi lutowej zwołaną być miała.

Na posiedzeniu z d. 1 Marca 1867 komisya sejmowa postawiła wniosek uchwalenia adresu do Tronu, w którym Sejm miał zaprotestować przeciw ważności konstytucyi lutowej, zgodzić się jednak na wybór delegacyi do Rady państwa. W d. 2 Marca w skutek groźby rozwiązania sejmu komisya cofnęła wniosek adresu, sejm 99 głosami wybrał delegacyę bez zastrzeżeń prawno-politycznych, a przeciw tej uchwale głosowało 34 posłów głównie ze stronnictwa reprezentowanego przez dzienniki „Czas“ i „Przegląd polski.“

Nazajutrz po wyjściu ostatniego zeszytu naszego pisma zaszedł wypadek noszący na sobie wszystkie pozory zwrotu na drodze, której trzymaliśmy się wiernie od chwili, kiedy system konstytucyjny wprowadzony został w Austryi w r. 1861. Sejm galicyjski wysłał delegacyę do rady państwa, wysłał ją nietylko bez oporu, ale nawet bez tych słabych i błahych zastrzeżeń, które nie ratują nic prócz honoru, ale ten przecież po części ratują, a które poczynił był sejm przeszły na pierwszej swojej sesyi w r. 1861.

Tamten, pierwszy zebrany we Lwowie, obradujący przez dziewięć zaledwo posiedzeń, mający do walczenia z kwestyą socyalną, która wystąpiła w nim z całą namiętnością i z całym cynizmem, złożony z wyborów dokonanych pod najprzeciwniejszem działaniem organów rządowych, a zwołany na to jedynie, żeby wybrał delegacyę do rady państwa i to delegacyę jak najniedołężniejszą, wysłał ją przecież pomimo tych wszystkich niekorzystnych warunków tylko pod zastrzeżeniem całości i nietykalności praw naszego kraju. Ten, poprzedzony dwoma sesyami, podczas których polityka krajowa mogła się wyjaśnić i ustalić, złożony tak przeważnie z żywiołów polskich i oświeconych, że próżnoby w jakiemkolwiek ciele prawodawczem szukać równie wybitnej większości, ten sejm, na pierwszej swojej sesyi, od pierwszego razu, schodzi z tej drogi, którą poprzedni był postępował, i bez warunków, bez zastrzeżeń, wybiera delegatów swoich do Reichsrathu.

Zwrot wykonany tak raptownie, z szybkością i precyzyą, która doprowadziłaby do rozpaczy wielkiego księcia i jego żołnierzy, tak dobrze przecież wyćwiczonych i wymusztrowanych na saskim placu; *changement à vue*, którego mógłby pozazdrościć którykolwiek ze sławnych zmianami dekoracyj spektaklowych teatrów paryskich.....

Miesiąc upłynął od owej smutnej sesyi 2go Marca, opinia miała czas rozważyć ten fakt i wydać o nim sąd; drażliwości, które

wywołał, miały czas uspokoić się nieco. Żal pozostał, i lękamy się, że trwać będzie tak długo jak skutki owego postanowienia sejmu, ale ten żal, dziś, kiedyśmy ochłonęli z pierwszego wrażenia, nie przeszkadza już patrzeć na to, co się stało, trzeźwo, z bezstronną i spokojną wyrozumiałością.

Pod owem zboczeniem z dotychczasowej, dobrej drogi (dobrej nawet zdaniem tych, którzy opuścić ją uznali za konieczne), domyślamy się wielu bolesnych przejść, wahań, niepewności, wielu rozdzierających walk w sumieniach. Nikt nie abdykuje dobrowolnie i łatwo, nikt chętnie nie zaprzecza czynem temu, co w słowach wyznawał. Że bezwarunkowe wysłanie do rady państwa było taką abdykacyą i takiem zaprzeczeniem, tego niestety zataić w sobie nie możemy.

Przez sześć lat, od pierwszej sesyi zeszłego peryodu sejmowego, aż do ostatniego adresu uchwalonego w Grudniu 1866 manifestowaliśmy wszystkimi dostępnymi sposobami wstręt do konstytucyi Lutowej i do ściślejszej rady państwa; w tem uczuciu byliśmy wszyscy zgodni i jednomyślni. Siódmego roku, w chwili kiedy wybory dawały nam wszelką nadzieję, że sejm łatwo i swobodnie zdoła iść wytkniętą drogą narodowej polityki, myśmy się poddali bezwarunkowo pod wyroki niemieckiej większości w tej samej radzie państwa! Gdyby tylko tyle! Ale wiedzieliśmy dobrze, że poddanie to nie zgadza się ani z naszym interesem, ani z tem wszystkiem, cośmy dotychczas mówili i robili; nie chcieliśmy się więc poddać; ułożyliśmy adres i powiedzieliśmy w nim, że nie chcąc opóźnić dzieła reorganizacyi monarchii, wybieramy wprawdzie delegacyę do Reichsrathu, ale uchwał tej rady nie możemy uważać za konstytucyjne, prawomocne i obowiązujące. Najumiarkowańsze nawet odcienia opinii, ludzie najmniej przeciwni wysłaniu delegacyi, godzili się przecież na ten adres; dnia 1go Marca wieczór stała przy nim z małymi wyjątkami cała Izba. Dnia 2go Marca rano odstąpiła go cała, z małymi znowu wyjątkami.

Chcielibyśmy oszczędzić sobie tego słowa, ale jakżeż krok taki nazwać, jeżeli nie abdykacyą? Abdykacyą wobec rządu, który się przekonał, że nasze zasady nie wytrzymują pierwszej pogróżki, abdykacyą wobec żywiołu niemieckiego w Reichsracie, który się przekonał, że może nas pociągnąć, gdzie zechce, i zrobić z nami, co mu się podoba, abdykacyą wreszcie wobec naturalnych naszych sprzymierzeńców, federalistów wszelkiej narodowości, którzy na naszą stateczność i konsekwencyę w postępowaniu odtąd rachować nie mogą i nie będą.

I to wszystko zrobiliśmy dobrowolnie, z zupełną świadomością rzeczy. Dobrowolnie, bo nawet owa depesza z Wiednia, która zapowiadała rozwiązanie sejmu, jeżeli ten poważy się podać adres do Tronu, zostawiała nam wybór; materyalnego przymusu, materyalnego gwałtu nie było; nacisk moralny, żeby najsilniejszy, zostawia przecież wolną wolę; pomimo tej depeszy więc, pomimo tej groźby i tego nacisku, mógł sejm do woli trzymać się adresu lub go odstąpić, mógł dać się rozwiązać lub abdykować.

Wiemy, co wybrał. Podług słów jednego z posłów cisnął worek, żeby unieść życie w całości, podług ostrych i surowych słów „*Gazety Narodowej*“ poświęcił cześć, żeby ratować istnienie. Niemniej surowo potępiły sejm wszystkie inne polskie dzienniki, z tą różnicą, że kiedy jedne nie hamowały się w wyrazach i lubowały się w swojem oburzeniu, inne z szanownem i patryotycznem umiarkowaniem dobierały dla swojego żalu takich wyrazów, które nie ubliżały powadze reprezentacyi krajowej; ale choć ton był różny, uczucia ich były jednakie. Przyklasnęły nam za to dzienniki niemieckie, chwaląc nasz rozum praktyczny, a „*Dziennik Warszawski*“ nie omieszkał podnieść tej sprawy i przedstawić jej z innej jeszcze strony: „Polacy odstępują Słowian w Austryi zostawiając ich na łasce Węgrów i Niemców“. — Oczywista, co tutaj do domysłu zostawiono, oto że ratunek dla tej Słowiańszczyzny z dwóch stron zagrożonej, jest tylko w świętej Rosyi! Z największą wyrozumiałością, z największem pobłażaniem osądziła krok ten opinia tych krajów, którym on bezpośrednio największą może przyniósł szkodę. Spodziewaliśmy się w dziennikach czeskich gwałtownych przeciw nam wybuchów oburzenia, znaleźliśmy tylko wytłómaczenie naszego kroku naszem położeniem i dbałość o to, aby Polaków nie zgubić w opinii tamtych krajów, aby porozumienie i wspólne postępowanie uczynić możliwem jeżeli nie dziś, to w przyszłości. Takie względem nas obejście prasy słowiańskiej w Austryi, którego przykład dał znany i dziś już potężny dziennik „*Politik*“, jest nietylko bardzo zręcznem i roztropnem, jest szlachetnem i zasługującem z naszej strony na wdzięczne uznanie.

Wracać dziś, po miesiącu, do tych rzeczy dobrze znanych i powtórzonych sto razy, byłoby nadużyciem cierpliwości czytelnika. Złe się stało i ocenionem zostało wszechstronnie; nasze zaś przekonanie czy to osobiste, czy przekonanie naszego pisma w tej mierze, tak od początku jego istnienia staraliśmy się nacechować, że kto nas łaskawie czyta, ten wie, jak nam się wydaje to wysłanie do rady państwa. Pozwolimy sobie tylko rozpatrzeć się w powodach,

które większość sejmową do wysłania tego skłoniły, a między tymi powodami znajdujemy wiele takich, które nawet nam, stanowczym przeciwnikom wysłania, wydają się bardzo ważnymi.

Rozwiązanie sejmu? Samo, jako takie nie jest szkodą, którąby mogła się mierzyć lub równać ze szkodą bezwarunkowego wysłania. Jeżeli nawet powtórne wybory dałyby były mniej pomyślny rezultat, to zawsze na większość można było rachować, nie tak ogromną jak dzisiejsza, ale zawsze pewną. Gdyby zatem sejm uległ był tylko dla tego presyi ministeryalnej, żeby się uratować od rozwiązania, trudnoby nam było wytłómaczyć go i usprawiedliwić. Ale rozwiązanie to u nas byłoby miało głębsze znaczenie i gorsze skutki jak gdziekolwiek. Wiemy, że największem naszem nieszczęściem jest rozbrat pomiędzy ludem wiejskim a oświeconemi warstwami narodu. Jak długo ten rozbrat trwa, tak długo jesteśmy niedołężni i sparaliżowani. Rok ostatni, nie licząc zbyt wiele na pewne symptomy polepszenia pod tym względem, sprowadził przecież niejaką zmianę, może tylko chwilową, może tylko miejscową, ale tem bardziej należy nam dbać o to, żeby to usposobienie lepsze i ufniejsze utrwalić i z chwilowego przemienić w stałe. Skoro jest, trzeba je chwytać i nie dać go sobie wydrzeć. Tymczasem rozwiązanie sejmu byłoby posłużyło do rozjątrzenia ludu przeciw reszcie społeczeństwa. Nie ma wątpliwości, że wszystkie te namiętności, wszystkie osobiste lub zbiorowe interesa, którym zależy na utrzymaniu tego fatalnego rozdziału w naszym kraju, byłyby umiały skorzystać z rozwiązania sejmu. W jaki sposób, domyślić się łatwo; zresztą wypowiedział to śmiało i otwarcie jeden ze zwolenników wysłania, pan Zyblikiewicz. Agitacye socyalne i anti-polskie pomiędzy ludem byłyby się pojawiły niechybnie; jeżeli w ostatnich czasach zrobił się jaki krok naprzód pod tym względem, to bardzo prawdopodobnie bylibyśmy się znowu w tył cofnęli, a nieufność rozdmuchana na nowo, byłaby potrzebowała dużo czasu, zanimby się dała uśpić i uspokoić. Nie rozwiązanie więc sejmu, ale te skutki rozwiązania były niebezpieczne, niebezpieczne do tego stopnia, że mogły przeważyć szalę na stronę wstrętnego bezwarunkowego wysłania do rady państwa. Nie o to chodziło, by ocalić istnienie sejmu w jego dzisiejszym składzie, ale żeby ocalić kraj od intryg socyalnych i antinarodowych; nawet kto jak my z większością sejmu się nie zgadza, przyznać musi, że intrygi te były prawdopodobnie, i że argument był ważny.

Bezpośrednie wybory do rady państwa — nie wiedziano jeszcze podówczas, że rozwiązane sejmy powtórnie będą zwołane — mają także swoją stronę niebezpieczną i groźną. Nie, żeby tak bardzo

przestraszać nas miała reprezentacya Galicyi, złożona z nieoświeconych włościan, z ruskich księży i urzędników. Byłaby ona niezawodnie złą i szkodliwą, ale nie byłaby prawdziwą; co o niej myśleć, wiedzieliby wszyscy, nawet ci, którzyby przez czas jakiś udawali, że ją biorą na seryo; a przeto nie mogłyby uchwały przez nią zawotowane lub dopuszczone obowiązywać kraju, który przy pierwszej sposobności byłby mógł zaprotestować przeciw nim uroczyście i silnie. Szkoda zatem istotna, ale chwilowa, przemijająca. Tkwi atoli inne jeszcze niebezpieczeństwo w wyborach bezpośrednich, a tem jest znana tendencya centralnych parlamentów i centralnych ministeryów do neutralizowania sejmów krajowych. Wiadomo, jaką rolę przeznaczał tym sejmom liberalny zresztą ruch roku 48go; wiadomo, do jakiej ograniczył je pan Schmerling i dawna rada państwa. Że ta sama tendencya i dziś istnieje, tego chyba ślepy nie widzi. Otóż, gdy ta tendencya raz posunęła się do wyborów bezpośrednich z pominięciem sejmów, jużby je potem zawsze chciała pomijać; a my, ratując konsekwencyę i stanowisko sejmu, moglibyśmy narazić jego istnienie na długo.

To był argument drugi, i także, wyznać trzeba, ważny.

Trzecim była niezawodna dymisya hr. Gołuchowskiego. Stronnictwo, które politykę narodową upatruje tylko w bezwzględnej opozycyi, w bezwzględnej negacyi, natrząsało się nieraz w ciągu ostatnich miesięcy z tych, którzy zgodę z Austryą uważają za jeden z czynników narodowej polityki, że stanęli u celu, skoro mają namiestnika rodaka, bo ich życzenia dalej nie idą, ich wzrok dalej nie sięga. Pragniemy szczerze, żeby w tych, którzy nas o to oskarżają, było więcej dobrej wiary, niż jest prawdy w ich oskarżeniu. Namiestnik rodak jest dla wszystkich, a przed wszystkimi, sądzimy, dla hr. Gołuchowskiego nie celem, ale środkiem. Tylko środkiem, którego nie godzi się lekceważyć. Wyobraźmy sobie na miejscu dzisiejszego namiestnika, innego, przejętego nienawiścią dla kraju, a mieliśmy już i takich, cóżby się wtedy stało? Oto najżywotniejsze sprawy zalegałyby jak dotąd po kancelaryach; sprawa służebnictw wlokłaby się jak dotąd żółwim krokiem, a gdzieby doszła do rozwiązania, tam rozwiązanoby ją tak, żeby obie strony na siebie rozjątrzyć; nowa organizacya kraju stanęłaby na miejscu; do Wiednia szłyby raz po raz raporta, że należy wstrzymać się z urządzeniem rad powiatowych, bo instytucya ta w obecnem usposobieniu kraju służyłaby tylko za środek do przeciwnych rządowi agitacyj; słowem, ze zmianą namiestnika zmieniłby się cały wewnętrzny stan rzeczy, bo jak dobry namiestnik jest

dobrym środkiem do pomyślności i rozwoju kraju, tak namiestnik zły może być najokropniejszym środkiem destrukcyi i dezorganizacyi.

Oto argument trzeci i także ważny; a choć przekonanie nasze nie zgadza się z przekonaniem większości sejmowej, to przecież rozumimy i nie dziwimy się, że te względy bezpośrednie i najbliższe tak silnie na nią działały, że skłoniły ją aż do tej abdykacyi bolesnej dla wszystkich, ale najboleśniejszej dla tych, którzy ją zdecydowali, którym sumienie kazało wybrać ją raczej, jak wskazane powyżej niebezpieczeństwa. Bezwzględnie potępić może tu tylko człowiek uprzedzony lub szczęśliwy, że może rzucić kamień rzeszy tak poważnej i szanownej jak sejm; człowiek bezstronny, sumienny i patryotyczny może ubolewać, ale musi tłómaczyć; musi także życzyć gorąco, żeby złe zrobione w sejmie lwowskim naprawiło się choć w części w wiedeńskim parlamencie. Sposobności zapewne nie braknie, a nie braknie i podstawy; wszak sam sejm uchwalił na wniosek komisyi, że cofa adres pod naciskiem wypadków, ale uważa go za wyraz potrzeb, dążności i przekonań całego kraju.

Ale jeżeli powyższe argumenta, choć nas nie przekonały, uznać możemy za ważne i zrozumieć, to są pomiędzy stawianymi za bezwarunkowem wysłaniem inne, w których nic uznać nie możemy prócz odwagi mowców, którzy z nimi występowali. Słyszeliśmy naprzykład w łonie tego samego sejmu [1]), który dopiero po zawieszeniu konstytucyi lutowej żyć zaczął, że powinniśmy bronić jej „nieprzerwalności", bo ona jest jedyną ustawą konstytucyjną i jedyną, jaką mamy, rękojmią konstytucyjnej wolności! Nieprzerwalność ta po czterech latach przerwała się gładko, a rękojmia konstytucyjnej wolności poręczyła nam tylko rządy policyjne i stan oblężenia. Moglibyśmy pojąć takiego, kto mając do wyboru pomiędzy rządem absolutnym a konstytucyą lutową, trzymałby się tej ostatniej jako jedynej podstawy wolności; ale tu tego wypadku nie było. Czy cesarz cofnął system konstytucyjny? Nie — zawiesił tylko ustawę złą dla wszystkich a dla nas najgorszą; nie do absolutyzmu powracał, ale do zasad dyplomu październikowego. [2]) Ale namiętność Niemców do panowania nad nami wymogła na rządzie zwołanie ściślejszej rady państwa, a my, przez tę radę gnębieni, prześladо-

[1]) Mowa ks. Władysława Sanguszki w d. 1 Marca 1867 r.
[2]) W manifeście z d. 20 Września 1865 r.

wani, majoryzowani, mamy się do niej spieszyć, bo ona jest jedynem palladium naszych wolności? Kiedy przeciwnie opierając się jej, pchaliśmy rząd całą siłą na drogę konstytucyi innej, lepszej dla nas, do której prędzej lub później przyjść by było musiało! Tego argumentu niepodobna nam zrozumieć, a gdybyśmy chcieli go tłómaczyć, musielibyśmy szukać klucza do tej zagadki albo w pięknie upozorowanej bezwzględnej uległości dla każdego rządu, albo w niepohamowanym pociągu do centralnego parlamentu, który wobec rządu będzie niezawodnie bardzo wolnomyślnym, ale względem nas Polaków będzie tak wolnomyślnym i tak sprawiedliwym, jak parlament pruski względem Wielkopolanów. Wytłómaczyć możemy ów argument tylko w ten sposób, usprawiedliwić w żaden.

Są ludzie, którzy na udziale naszym w Reichsracie zasadzają wielkie nadzieje; którzy mniemają, że większość niemiecka ujęta naszą gotowością i minister rozczulony naszą powolnością, zsypią na nas hojnie błogosławione dary i koncesye. Są i tacy, którzy klaszczą w ręce z radości i dziękują Bogu, że nam dał odróżnić się tak szczęśliwie od wszystkich Słowian i federalistów w Austryi. Podług nich postąpiliśmy rozumnie i zręcznie; rząd, Niemcy, Węgrzy, oddadzą nam piękne za nadobne, dadzą, co zechcemy, byle nas odciągnąć stanowczo od przymierza z innymi Słowianami. Nie podzielamy tych sangwinicznych nadziei; jeżeli po jakimś czasie nie zatrzyma się gwałtownie dzieło wewnętrznej organizacyi kraju, jeżeli stanowisko hr. Gołuchowskiego nie stanie się niemożliwem, jeżeli rzeczy zostaną, jak są dzisiaj, a nie pójdą wstecz, będzie to dla nas miłą niespodzianką!

Nie przypuszczamy, aby takie nadzieje miały stać się gwiazdą przewodnią, przyświecającą na smutnej drodze, wiodącej posłów, dzięki ustawie 2go Marca, do wiedeńskiego Reichsratu, aby wymuszoną groźbami socyalnej zamieszki abdykacyę polityczną pojęli inaczej, jak w ów godny i szlachetny sposób, jaki abdykującemu jedynie przystoi. Jeżeli ratując obecny skład sejmu, rozpoczęte zaledwie około reorganizacyi społecznej roboty, ratując stanowisko namiestnika Polaka, większość sejmu tak wiele poświęciła, jeżeli znana zaciekłość germanizatorskich żywiołów obok poczucia naszego wewnętrznego ustroju zdecydowała ją do niekonsekwencyi poparcia tego co złe, jeżeli wybór znacznej części opozycyi do delegacyi wiedeńskiej i wspomnienie okoliczności, które adres zatrzymały, były objawem nie bezsilnej jakiejś przekory, ale cichą manifestacyą przeciw exploatowaniu długoletnich skutków macoszego gospodarstwa germanizatorskiego w celu przeprowadzenia jednego jeszcze

experymentu *in anima vili*: to spodziewać się przynajmniej należy, że owa większość w delegacyi, wychodząca z łona większości sejmowej, nie spuści ani na chwilę z oka, z kim będzie miała do czynienia w Reichsracie, jeżeli się sama wśród Niemców znajdzie, że ów ciężki cios zadany narodowemu poczuciu abdykacyą 2go Marca, nie będzie chciała wystawiać na licytacyę wśród tych, którzy już dopięli głównego swego celu, a prawdopodobnie bardzo mało ochoty pokażą, aby się *decursive* grzecznościami wypłacać.

Uchwałą 2go Marca postąpiliśmy sobie obawiając się skutków przysłowia: Nim słońce zejdzie, rosa oczy wyjé. Owem słońcem, był dyplom październikowy, który w kieszeni pana Beusta nagłemu uległ zaćmieniu, gryzącą rosą, zastęp zachodnich naszych cywilizatorów, gotowy na każde skinienie pana ministra ruszyć ściśnioną falangą na biedną Galicyę, zająć krzesło namiestnika, radców nadwornych i sekretarzy, zastęp wypróbowany w wieloletnich pracach przewracania społeczeństwa do góry nogami. Dzięki uchwale, nie wyjada nam dotąd owa gryząca rosa oczów, ale nie wiemy, jak się koło serca robi panu Beustowi po przeczytaniu traktatów południowo-niemieckich z Prusami, które pangermańskie jego marzenia tak nieprzyjemnie z siodła wyrzuciły! Po takim mówiącym fakcie, trzebaby zaiste fatalnego zaślepienia, aby bić głową o zamkniętą bramę Germanii i rezykować dla niej bohaterskie harce, niby o Helenę porwaną przez północnego Parysa. Nie wyobrażaliśmy sobie nigdy pana Beusta w postaci tak awanturniczej, owszem, przypuszczamy zawsze, że przekonawszy się, iż mur twardszy, pożałuje głowy, a uznawszy trafnie zgodę z Węgrami za podstawę restauracyi nadwątlonego w ostatnich wypadkach budynku państwa, zrozumie potrzebę drugiej naturalnej podstawy w zadosyćuczynieniu słusznym żądaniom milionów Słowian, którzy więcej mu obiecują siły od żywiołu niemieckiego, tak słabo popierającego dynastyę w boju z północnym współzawodnikiem, a tak nieszczęśliwie dezorganizującego obcoszczepowe kraje monarchii. Gdyby świeża porażka w Niemczech południowych nie była dla p. Beusta przekonywającą, zwątpićby nam przyszło o przyjaźniejszej dla monarchii gwiaździe — przyszłoby nam się obawiać strasznych i stanowczych katastrof. — Związani z monarchią interesem naszym narodowym, jako z mocarstwem, które środek Europy przeciw wschodniemu najazdowi w pieczy trzyma, które pięciu milionom mieszkańców Galicyi powietrzem europejskiem jeszcze oddychać pozwala, nie moglibyśmy, jak zrozpaczyć o przyszłości państwa, które z pominięciem swej opatrznościowej missyi w imię dawno minionych tra-

dycyj rzuca się w najgroźniejsze niebezpieczeństwa, i żądalibyśmy wtedy całą wagą publicznego głosu od delegacyi naszej, aby w owym improwizowanym parlamencie austryackim wypowiedziała gromkie słowo przestrogi w imieniu narodu, który dla sprawy cywilizacyi umiał zapomnieć tyle przykrych doświadczeń poczynionych w Austryi, ale nie pojmował nigdy swego stanowiska w niej jako biernego przedmiotu do operacyj i experymentów, narażających zarówno jego własny narodowy interes, jak państwo. Milczenie nałożone sejmowi groźbą rozwiązania uczyniło delegacyę spadkobierczynią moralną adresu sejmowego, powszechny głos kraju, przyciśniętego boleśnie uchwałą 2go Marca, wpłynie niewątpliwie na nią, że się znajdzie cała na wspólnym gruncie programu wybitniejszego, niż sam ów adres galicyjski, na wspólnym gruncie polityki, której sejmowa mniejszość wobec większości, bacznej jedynie na socyalny stan kraju, przeprowadzić nie mogła.

Józef Szujski.

Dwie odpowiedzi:

Dziennikowi poznańskiemu na recenzyę broszury:

„Kilka prawd z dziejów naszych.“

P. Flor. Ziemiałkowskiemu

na

„List otwarty.“

Artykuł ten ogłosił Szujski w zeszycie majowym „Przeglądu polskiego“ 1867 r.

Przychodzi nam stanąć do rozprawy na wyzwanie jednego z najpoważniejszych organów prasy polskiej i jednego z najznakomitszych ludzi politycznych naszej prowincyi. Stając w gotowości obrony, wolni będziemy zapewne od zarzutu, jakobyśmy w naszej stawali sprawie, przedmiot albowiem dotyka w obu wypadkach drogiej nam sprawy narodowej.... Narodowej mówię, bo specyficznie galicyjskiej polityki nie znaliśmy nigdy i uważamy ją zawsze za zerwanie z ojczyzną.

W odpowiedzi naszej idziemy koleją czasu, w jakiej się wspomniane na tytule pisma pojawiły. Zaczynamy od *„Dziennika Poznańskiego“*.

A najprzód wyznać nam się godzi, że się dziwimy gwałtowności napadu, prowadzonego z pewną „posunioną aż do zbytku bujnością języka i nieszczególną ścisłością rozumowania“. Ktokolwiek bacznie przeczyta artykuł, przyzna nam, że owe słowa cudzysłowem ujęte, zwrócone przeciw nam przez szanownego autora, dadzą się w zupełności użyć na scharakteryzowanie jego krytyki, namiętnej raczej, niż spokojnej, wystraszonej mniemanym naszym obłędem narodowym, a odpierającej go nie siłą przekonania i dowodów, ale rzęsistą kanonadą filippicznej wymowy. Rzeczy, które w mojej broszurze napisałem i w Styczniu b. r. w świat rzuciłem, są, jak mi to może szanowny recenzent przyzna, dosyć hazardownem słowem wobec utartego i zakorzenionego przez długie lata zapatrywania się i politycznego usposobienia polskiej powszechności, a jeżeli, jak każda myśl z dobrą wiarą w rolę narodową siana, rachują na skutek, to zaiste nie mogły rachować nigdy na ryczałtową popularność. Wzgląd ten, zdaje nam się, winien był miarkować gwałtowność recenzenta, chociażby zwracając uwagę

jego na łatwość poklasku i tryumfu, winien mu był oszczędzić przynajmniej ów sążnisty okres, przy końcu feuilletonu, w którym przypominając, że pod rządem rosyjskim każdy Polak za konspiratora jest uważanym, zwraca się zwycięzko do nas i zapytuje, czyli podzielamy opinie rządu rosyjskiego pod tym względem?... Ustęp ten, wyznamy szczerze, walczy o pierwszeństwo z rozbiorami naszej broszury w *„Dzienniku literacko-polityczym“* i *„Dzienniku lwowskim“* umieszczonymi, które nie zadając sobie fatygi, aby z nami walczyć, zasłaniają się cenzurą austryacką, niedozwalającą im odpowiedzieć panu Szujskiemu tak, jakby tego godność narodowa wymagała!

Do nieszczęśliwych skutków naszej niewoli, zaliczamy zawsze owo wstrętne sykofanctwo, podające w podejrzenie dobrą wiarę każdego przemówienia, głuszące każde śmielsze wystąpienie, licytujące poklask naszej biednej opinii publicznej popularnymi frazesami. Sykofanctwo to spycha w utarte a czcze formy przezwisk stronniczych każdą myśl samodzielną, do owego gatunkowania się nieskłonną, piętnuje ludzi znienawidzonym ogólnikiem i ubezwładnia ich wpływ i rozwój. Ono to jest nieprzyjacielem dyskusyi, ścierania się opinii, szukania punktów wspólnego działania pomimo różnic politycznych, ono źródłem wszystkich kwasów, niechęci, rozbicia naszego społeczeństwa. Rozbujało ono jako chwast szkodliwy na górze i dole, wyziębiło serca, obudziło chęci teroryzmu. Nie chcemy przez to twierdzić, aby poważny *„Dziennik Poznański“* chciał podlegać tej grzesznej namiętności; przeczy temu cały jego żywot, przeczy i ta obszerna nad niewielką moją broszurą dyskusya: konstatujemy tylko, że namiętny ton recenzyi potrącił blisko o sferę, niewłaściwą dla jego powagi i stanowiska.

Autor recenzyi godzi się ze mną w zapatrywaniu na historyczną część broszury, o ile takowa granic 1794 roku nie przekracza. Chce mi zapewne przez to powiedzieć, że nie wygłosiłem w niej nic nowego. Zgoda. Zwracamy wszelako uwagę jego, że owe uznanie przyczyn naszego upadku od niedawna dopiero wydobywa się z powodzi stworzonych *a priori* doktryn i teoryjek, upiększających naszą przeszłość i tłumaczących, a przynajmniej na cudze wyłącznie barki zgubę naszą zwalających.... Niedawno jeszcze należała historya ostatnich wieków Rzeczypospolitej do poematów filozoficznych lub apologij polemicznych, przedstawiających nam walkę idei w czasach temi ideami wcale nieporuszanych, przenoszących dzisiejsze wyobrażenia, antypatye i sympatye na nieszczęśliwych ofiarnych kozłów (zwykle królów) lub ulubieńców przeszłości (najczęściej

rokoszanów). Wydobyto się z tego błędnego historycznego liryzmu, będącego jednym więcej objawem naszej jednostronności i wygaśnięcia politycznego instynktu. Przestajemy wierzyć, aby dla nas inne prawa bytu były istniały, jakie dla innych organizmów narodowych i państw nakreśliła Opatrzność. Wracamy poniekąd do zapatrywań tych, mniej pod względem naukowym cennych dziejopisarzy, którzy w końcu 18go i w początku 19go wieku obrabiali dzieje przeszłości, a przeszedłszy katastrofę upadku, doktrynom uwodzić się nie dali. Czyliżby ten zwrot, na polu historycznem uczyniony, nie rokował nam i na gościńcach praktycznego politycznego życia pewnej korzystnej zmiany, a przynajmniej nie przemawiał za jej potrzebą? Czyliżby przyłożywszy do dziejów politycznych lat ostatnich skalpel sumiennego a roztropnego badania, wydobywszy się ile możności z więzów zdawkowej monety szlachetnych wprawdzie myśli i uczuć, ale niepoddanych nigdy śmiałemu, choćby najboleśniejszemu rozbiorowi, nie dało się i z nich wyciągnąć pewnych prawd widocznych, jasnych, koniecznych, któreby sumienie narodowi podać nakazywało, chociażby to podanie niechętną zrazu odtrącił ręką?

Ale otóż owe prawdy, z porozbiorowych wyprowadzone dziejów, są główną *petra scandali* dla szanownego recenzenta. Pozostawiwszy ustęp o „niewoli“, który w całości przyjmuje, przekreśla resztę niemilosiernie, odrzuca naszą, jak się wyraża, nową polityczną drogę, pisze apologię konspiracyi i nazywa nasze zdanie, jakoby epoka konspiracyi z r. 1863, t. j. z całkowitem ludu naszego uwłaszczeniem się skończyła, ustępem złożonym z tylu fałszów, ile słów w sobie mieści. A że druga część broszury, schodząca do kwestyi polsko-galicyjskiej, jest zdaniem jego konsekwencyą premis poprzednich, musimy przypuścić, że i tę ryczałtowo odrzuca, w czem w oczywistej z artykułami *„Dziennika Poznańskiego“*, po nad linijką feuilletonową zamieszczonymi, zostaje sprzeczności.

Ponieważ szanowny recenzent odtrącając nasze zdania, nie starał się wniknąć w ich myśl, ale urywkowo je podając, rozbił ich konsekwentność i na słuszne a nie słuszne podzielił, nie mamy w odpowiedzi naszej innej drogi, prócz odbudowania konsekwencyi i omówienia rzeczy w sposób, który może więcej ze sobą rachować się każe. Prowadząc rzecz naszą historycznie, staraliśmy się ile możności przedstawić grozę naszych antecedencyj: dwa wieki nierządu i jeden bolesny wiek niewoli. Te antecedencye, ciążące na całem naszem społeczeństwie, zasługują istotnie na baczny ze sobą obrachunek, bo owo łacińskie: *delicta priorum immeritus lues*

okazywało się zawsze najfałszywszem w historyi zdaniem. Stan naszego społeczeństwa wewnętrzny nosi na sobie skutki dawnego politycznego rozstroju, podobnie jak zewnętrzny doznaje nieustannie okropnych rezultatów upadku. Jeżeli więc zatracenie pojęcia rządu i kłótnię wymogów rządu z zbytniemi roszczeniami wolności podaliśmy jako raka, który Rzeczpospolitą roztoczył, jeżeli w porozbiorowych czasach widzieliśmy pojęcie rządu w ustawnym sporze z dążeniem do niepodległości, nie czyniliśmy tego na darmo i mieliśmy słuszne do tego powody. Nie zbałamuci nas szanowny recenzent sarkastyczną uwagą, że każde usiłowanie do odzyskania niepodległości miało wybitne dążenie do postawienia rządu „ale — własnego, narodowego", bo o tem dążeniu wie każdy, a więc i ja. Owszem, owa sarkastyczna jego uwaga posłuży nam jako woda na nasz młyn, posłuży nam jako punkt wyjścia naszego rozumowania.

Konfederacye, rokosze, związkowe koła dawnej Rzeczypospolitej wychodziły jako samozwańcze organizmy z pretensyą rządu i z przekonania, że istniejący był przewrotnym i zgubnym. Im to przekonanie było słuszniejszem, tem więcej miały one za sobą racyi historycznej, nie przestając wszakże być zgubnemi i rozprzęgającemi Rzeczpospolitę. Najszlachetniejsza ze wszystkich, wojna za wiarę, wolność i niepodległość, posuwając się do detronizacyi króla, narzuconego wprawdzie, ale bądź co bądź powszechnie uznanego, konfederacya barska miała zaprawdę najwięcej racyi politycznej w ostatnich wypadkach, a nie znalazła przecież usprawiedliwienia wobec patryotów sejmu czteroletniego, który pierwszy trafnem okiem ugodził w jądro długowiecznego złego, w samowolę zmian politycznych i na zawsze wszelkie usunął konfederacye. Nie będziemy zaiste odrodnym synem przeszłości, jeżeli usunięcie tej samowoli postawimy jako hasło nasze w czasach, gdzie ona po raz drugi kresu swojego dobiegła, jeżeli podniesiemy analogię, że podobnie jak samowola konfederacyi nie uratowała wolności i dawnego Rzeczypospolitej kształtu, tak samowola sprzysiężeń nie przywróci nam Ojczyzny.

Konfederacyj, rokoszów, kół związkowych dawnej Rzeczypospolitej przyczyną były zamachy, grzechy lub nieudolność rządu polskiego w obronie całości i niepodległości kraju. Porozbiorowe sprzysiężenie znajdowało nieustanną racyę bytu w obcym rządzie z jednej, w niechęci do przedsięwzięcia czynu niepodległości z drugiej strony. Zgadzam się z szanownym recenzentem, że jesteśmy poniekąd konspiratorami wszystkiem, co czynimy, bo w piersi naszej tkwi niepokalana dusza polska. Ale

nie zgadzam się na mięszanie tej naturalnej konspiracyi z polityczną. Chwytaliśmy się wielokrotnie tej drugiej, nie dowierzając sobie, abyśmy mogli prowadzić pierwszą, co poczytam śmiało między dowody naszego powolnego dźwigania się z upadku. Chwytaliśmy się tej drugiej, narzekając, że koryfeusze majątku, imienia, inteligencyi usnęli snem gnuśnym i zapomnieli o narodzie i o myśli niepodległości, podobnie jak dawniej kupiliśmy się w konfederacyę przeciw zdrajcom wolności, zostającym w konszachtach z takim Zygmuntem III, Janem Kazimierzem! Chwytaliśmy się, upatrzywszy sobie pomyślną jakąś polityczną konstelacyę, częściej jeszcze czując za granicą proch z barykad, najczęściej wyrywaliśmy się naprzód, aby leżeć jak dłudzy, w przyjaźniejszej naszym zamysłom godzinie. Mówiliśmy, że potężne słowo o uwłaszczeniu ludu pozyska dla nas masy i powoła pod broń „dwadzieścia milionów Polaków". Mówiliśmy, że warstwa jedna narodu przegniła, że druga potrzebuje chrztu krwi i poświęcenia. Uważaliśmy w końcu konspiracye i ich krwawe wybuchy, jako konieczne dla honoru i dobra duszy narodowej explozye, użyzniające grunt przyszłości. Wszystkie te zapatrywania się nasze i plany wychodzą stanowczo po za obręb opozycyi naturalnej, broniącej kościoła, tradycyi, obyczaju, języka, a tylko grube pomięszanie pojęć może je za jedno brać z tą opozycyą, którąśmy tutaj naturalną konspiracyą nazwać sobie pozwolili.

Widzimy owszem, że konspiracyę polityczną nazwać można dalszym ciągiem owej, praktykowanej w Rzeczypospolitej, samowoli politycznej, którąśmy nazwali *liberum conspiro* i postawili obok *liberum veto*. Czem dla dawnej samowoli wolności był król, senat i sejm, t. j. naturalny układ rządowy, tem dla samowoli dążeń konspiracyjnych był każdorazowy stan przodkującej społeczeństwa warstwy, która w latach niewoli stanowi niejako jego rząd naturalny, jego ton dominujący. Jeżeli dawna samowola wolności rozpaczając, aby drogą legalnej, sejmowej opozycyi swoje przeprowadzić mogła, udawała się do dróg nadzwyczajnych, to porozbiorowa samowola dążenia do niepodległości, chwytała się dróg nadzwyczajnych, konspiracyjnych, nie dowierzając, aby przodkująca warstwa o niepodległości myślała, a nawet w przekonaniu, że jej przodownictwo w społeczeństwie, interes narodowy i honor narodowy na szwank naraża. Pod ową przodkującą społeczeństwa warstwą rozumiemy oczywiście summę tych wszystkich w dojrzałym wieku obywateli, którzy o sprawie ojczystej mają lub mieć powinni pewną ustaloną opinię, którym stanowisko, wykształcenie, majątek bez

względu na rodowość, pewien wpływ i znaczenie w społeczeństwie zapewnia. Otóż jeżeli ta summa ludzi źle reprezentuje narodowy interes, jeżeli obraża narodowe uczucia, jeżeli się okazuje obojętną dla sprawy ojczystej, jeżeli się zamyka w egoizmie i kastowości, jeżeli holduje obcemu obyczajowi, lub co gorsza, honorowi kraju ujmę przynosi, łatwo zdarzyć się może, że żywioły młodsze, gorętsze a nawet jej samej części składowe, puszczają się na niebezpieczną drogę tajemnych związków, urastających następnie do rozmiarów organizacyj powstańczych. Taką była historya licznych związków pomiędzy r. 1831 a 1846 i temu to przypisać należy, że „stary konspirator i koziarz“ jest u nas prawie synonimem dobrego patryoty i zacnego człowieka. Ale jeżeli w broszurze oddaliśmy słuszny hołd wdzięczności za rozbudzenie ducha, pomnożenie obozu obywateli, jeżeli nazwaliśmy ją w owych czasach *malum necessarium*, nie możemy przez to nazwać ją inaczej jak *zł*em, którego usunięcie na zawsze jest koniecznym warunkiem dobicia się do lepszej doli, a wśród dzisiejszych okoliczności warunkiem utrzymania bytu. Jeżeli konspiracya rozbudziła ducha, pomnożyła zastęp myślących o sprawie ojczystej, to przez to samo z każdym rokiem traciła coś z swojej racyi istnienia, przyczynę niecierpliwienia się na społeczeństwo, boć trudno przypuścić, aby wszystkie jej nauki w las poszły. Rozpoczynanie od kilku indywiduów, zakrytych, nieznanych, przemawiających w imię ogólnych idei, stawało się tem zbyteczniejszem, im więcej wyłoniło się we wszystkich sferach i przy wszystkich warsztatach narodowego życia indywiduów pracujących i myślących, mogących i chcących myśleć i działać dla sprawy narodowej, znanych i widomych każdemu.

Jeżeli pierwszym punktem wyjścia konspiracyj politycznych był zły stan warstwy przodkującej, to drugim było niezawodnie niedowierzanie, aby ta warstwa przodkująca prowadziła rozpoczętą przez sejm czteroletni i Kościuszkę sprawę reformy społecznej. Przeprowadzenie tej reformy uznał zdrowy instynkt narodowy jako *conditio sine qua non* odrodzenia, nieszczęśliwe doktrynerstwo oddalonej od kraju emigracyi jako magiczną różczkę wywołującą za jednym zamachem niepodległość. Zrównanie społeczne, propaganda idei demokratycznych, wydała się kluczem przyszłości, środkiem pozyskania mas dla sprawy niepodległej Polski, sprawa ta podsumowaną została pod sprawę ogólno europejską wolności i równości. Jeżeli pod tym także względem oddaliśmy starym naszym konspiracyom zupełną słuszność, to żądać musimy konsekwentnego uznania, że jeżeli na tem polu pracowały mową, pismem i czynem, to nie pra-

cowały darmo, ale skutecznie, że rozszerzyły to, co szerzyły. W miarę rozszerzenia zaś, w miarę skutku, tracić musiały znowu na racyi bytu usiłowania konspiracyjne, bo im więcej nauczonych, tem mniej potrzeba nauczycieli. Dla tego też, jeżeli konspiracya po roku 1831 była prawie jednobrzmiącą z stronnictwem demokratycznem, ognisko jej, centralizacya, ogniskiem propagandy demokratycznej, to po r. 1848, gdy demokratyczne idee powszechne sobie w kraju zjednały obywatelstwo, gdy literatura, dziennikarstwo, życie publiczne stanęły bądź co bądź na uznaniu tych zasad, gdy pokątne przeciw nim niechęci nie mogły już hazardować się na światło dzienne, konspiracya jako ognisko propagandy demokratycznej za granicą stała się rzeczą zbyteczną, bo nauka się skończyła, a ucznia własnemu można było pozostawić rozumowi. Co do samej reformy społecznej, której dokonanie miało być środkiem powszechnego powstania ludu, widzieliśmy wszyscy fałszywość tej teoryi; konstatujemy tylko, że była ona jeszcze w 1863 r. ową licytacyą *in plus*, którego użyli epigonowie konspiracyjni w walce z stronnictwem „białem". Antidemokratycznem, ani wyłącznie szlacheckiem nie można było nazwać stronnictwa białego, choćby ze względu, że spotykano w niem demokratów najczystszej wody!

Ale szanowny recenzent mówi nam, że konspiracya nie miała na celu ani reformy społecznej, ani budowania społeczeństwa od siebie, tylko odzyskanie niepodległości. Zgoda na to! Wszyscy konspiratorowie dobrej woli myśleli o niepodległości i poświęcali się dla niepodległości, wszyscy pozyskani przysięgli niepodległej Polsce. Ale ktokolwiek się bacznie dziejom naszych konspiracyj przypatrzył, komukolwiek o nich mówić przyjdzie z ręką na sercu, sumiennie, przyznać musi, że dążenie do budowania społeczeństwa od siebie, propaganda pewnych idei i dążenie do przeprowadzenia reformy społecznej, górowało niesłychanie nad właściwym sprzysiężeń celem t. j. odzyskaniem niepodległości, indentyfikowało te dwa zupełnie różne od siebie zdania tak, że cel brano za środek, a środek stawał się niepostrzeżenie jedynym skutkiem i celem. Niepodległość miała skłaniać do poświęcenia i ofiary jednych, drugich miała ofiara wolności zyskać dla sprawy niepodległości, pierwsi mieli się za kilkomiesięczną propagandą podnieść z wieloletniego rzekomego upadku ducha, drudzy za pomocą faktu usamowolnienia podnieść się od razu na stanowisko spadkobierców przeszłości. Rozszeżenie pewnych wyobrażeń, uczuć, nadziei, objęcie osobników społeczeństwa w odrębne, zamknięte a przysięgą związane ciało, musiało stać się dla naszych konspira-

torów najwalniejszą częścią zadania, podstawą przedsięwzięcia. Zanegowanie wszystkiego, co się z obojętnością lub niewiarą wobec tajemnej władzy kierowniczej zachowa, stało się drugą koniecznością, która była tem zgubniejszą, im wśród tych obojętnych lub niewiernych więcej było jednostek a nie zer politycznych, im więcej inteligencyi i patryotyzmu innych opinij proskrybować musiano. Wobec tych zajęć, łamań, trudności, walki z własnym narodem, wobec niepodobieństwa zyskania środków materyalnych, czyliż dziwo, że mimowoli spuszczono z oka główny cel zadania, a raczej, że dla tego celu środków koniecznych, broni i t. p. zebrać nie było można? czyliż dziwo, że konspiratorowie nie mogli wolno rozporządzać chwilą wybuchu, chwilą czynu, najwalniejszą w tego rodzaju przedsięwzięciach, że ulegali sami chemicznemu procesowi zapalności nagromadzonych żywiołów z jednej, siłom czychającego nieprzyjaciela z drugiej strony? Więcej nas to dziwi, że liczbę sprzysiężonych brano za liczbę przyszłego wojska, że każdy adept zostawał przyszłym idealnym naczelnikiem tysiąców, że wiara w niezawodne zwycięztwo masy mogła prowadzić do lekceważenia wszystkich najkonieczniejszych warunków wojennego ruchu, do poprzestawania na książeczce, receptę wojny ludowej zawierającej, fantazmagorycznym poemacie tęsknoty tułaczej. Czyliż potrzebujemy cytować tutaj fakta? W razie potrzeby gotowi jesteśmy; na dzisiaj wystarcza, cośmy przytoczyli, aby powiedzieć szanownemu recenzentowi, że celem konspiracyi było niezawodnie odzyskanie niepodległości, ale że cel nie odpowiadał środkom a środki celowi.

Ależ zdawałoby się na pozór i wydaje się wszystkim naszym niewyleczonym z konspiracyjnego systemu głowom, że bezowocność konspiracyi jest skutkiem niedojrzałości, zepsucia, braku ducha narodu, gdy przeciwnie, twierdzimy to nieśmiało, skutkiem owej niedojrzałości, zepsucia, braku ducha, było samo lgnienie do konspiracyi. Zdawałoby się, że w miarę postępu idei liberalnych, zrównania społecznego, konspiracya peryodycznie powracająca, musi być coraz silniejszą, a zatem i skuteczniejszą, aż w końcu doprowadzi do celu. Ten najfatalniejszy ze wszystkich błędów narodowych, sojusznik zniszczenia i exterminacyi, zasługuje na szczegółowe zbadanie. Hołduje mu widać i szanowny recenzent, gdy się tak żywo oburza na nasze słowo, jakoby z r. 1863 epoka konspiracyi na zawsze była zamkniętą, gdy mu nie przypada do smaku twierdzenie, jakoby konspiracya od r. 1831 zacząwszy, w miarę chybionych swoich przedsięwzięć na racyi bytu traciła. Wykazawszy, jak nam się zdaje, dosyć dowodnie, że kon-

spiracya, jako dążenie do niepodległości, jest z natury swojej nieodpowiadającą i rozmijającą się ze swoim celem, opieramy się na tych dowodach i twierdzimy z całą siłą przekonania, że cel jej oddalać się musi w miarę, jak obóz obywateli powiększać się będzie, jak dzięki propagandzie patryotycznej lat tylu, wzmacniać się będzie owa warstwa na górze, którą nazwaliśmy naturalnym rządem, ton dającym społeczeństwu w latach niewoli, warstwa ludzi znakomitych pracą, inteligencyą, majątkiem [1]), a nadewszystko pewnem poczuciem narodowych obowiązków; w miarę nareszcie, jak żadna przeszkoda prawa lub przywileju nie będzie oddzielać stanów narodu od siebie. Warstwa ta rządząca i ton nadająca będzie utrzymywała konspiracyę naturalną, ale nie będzie zaiste skłonną do konspiracyi politycznej, częścią dla tego, że w własnem poczuciu narodowej myśli będzie widziała gwarancyę przechowania narodowości, częścią dla tego, że nie opuści jej nigdy trafność sądu o trudności przedsięwzięcia. Nie idzie zatem, aby ta warstwa, grubiejąca z dniem każdym, miała zapomnieć o niepodległości, aby miała się wyrzec przyszłości, aby miała zastrzęgnąć w interesie materyalnym, bo gdyby tak było, gdyby ją strula każda koncesya rządu, każdy uśmiech fortuny, jakże tę warstwę zmuszać do powstania, jakże przypuszczać, że jaka przyszłość jest przed nami? Przeciwnie, twierdzić można z zupełną słusznością, że wszystko, co zapracuje czy na materyalnem polu, czy na intelektualnem, stanie się nową dla narodu siłą, kapitałem żelaznym na wszelką przyszłość. Powiemy więcej, że konserwatyzm jej i reakcyjność, o które ją przychylne konspiracyi pomawiają głowy, jest w przeważnej części skutkiem samejże konspiracyi, przedsięwzięć nieobrachowanych i samozwańczych, jest skutkiem owego nacisku sztucznego, który sprowadza osłabienie, bo nie był skutkiem przekonania. Terroryzm jest ojcem cynizmu i odstępstwa, uzurpowanie przywileju na patryotyzm źródłem tysiącznych waśni i niesnasków społecznych. Kto zna polski charakter, wie, że prześladowania od swoich i szczucia nienawidzi, że bierze na kieł i wybiega pod takimi wpływami zbyt często z narodowej kolei.

---

[1]) Zastrzegamy się najmocniej, że pod ową warstwą, stanowiącą ów moralny rząd niewolnego społeczeństwa, nie rozumimy ani jakiejś hierarchii kastowej, ani pieniężnej, ale sumę tych wszystkich w dojrzałym wieku obywateli, którzy o sprawach kraju pewną mają i głośną opinię, którym stanowisko pewien wpływ na społeczeństwo zapewnia. (p. a.)

W wytworzeniu warstwy narodowej, zgrubieniu jej, przyznaliśmy konspiracyi zasługę i oddaliśmy cześć jej męczennikom. Imiona ich pozostaną na zawsze w panteonie chwały narodowej. Przyznaliśmy niemniej zasługę jej w inicyowaniu reformy społecznej. Cokolwiek konspiracya zrobić mogła, dokonała: nie przydałby się na nic rachunek, ile to kosztowało, na nic rekryminacye, że tyle kosztowało, bo była wypływem społeczeństwa moralnie podupadłego, kastowo rozdzielonego, w myśl narodową ubogiego. Czczość porozbiorowych czasów była jej matką, miłość ideału narodowego ojcem. Nie dziw, że rodzice tacy wydali poronione płody. Nie będziemy twierdzić, aby dzisiaj społeczeństwo nasze stało na stanowisku doskonałości narodowej, nie będziemy twierdzić, aby nie potrzebowało bodźca, szczególniej po katastrofie 1863 r., owszem powiemy, że dzisiaj, po nieobrachowanych klęskach, przychodzi nam prawie zaczynać *ab ovo*, od uprzątania rumowisk strasznego pogorzeliska. Ale bądź co bądź, doszliśmy do tej chwili stanowczej, gdzie nam się dalej ryzykować nie wolno, gdzie zewnętrzne i wewnętrzne okoliczności żądają po nas skrzętnej pamięci o pozostałym kapitale przeszłości, nadewszystko zaś: doszliśmy do chwili, w której upadła ostatnia zapora kastowa przez dokonane w Królestwie Polskiem uwłaszczenie. Doszliśmy do dna naszego narodowego kapitału, nie mamy już nikogo, aby go wezwać do wspólnego stołu w imię obietnicy wolności. Czy możemy obiecywać co więcej, co nieprzyjaciel nasz z wszelką dotrzyma gotowością? Czy z liberalizmu mamy zejść na socyalizm? Czy młode siły podszczuwać mamy na starsze, szukać w nich alfy i omegi narodowego poczucia, negując te, które konspiracye lat dawnych wychowały? Byłby to obyczaj Saturna zjadania własnych dzieci. Czy szalonymi zamachami podobnego rodzaju mamy pchać do odstępstwa tych wszystkich, którzy z kataklizmu coś uratowali? Innych przecież środków nie ma dzisiaj konspiracya i nie może ich mieć nigdy. Jeżeli zaś potrzeba jej ma wychodzić z upadku ducha narodowego, z zaprzaństwa, z konieczności elektrycznego wstrząśnienia, to potrzebie tej przeczymy stanowczo i wskazujemy na zastęp narodowy, stojący na czele społeczeństwa, zastęp ludzi pracy, wiedzy, majątku, i twierdzimy, że w razie dalszych *experimentów in anima vili* nie postęp narodowy, ale zupełne ubezwładnienie go czeka. Widzieliśmy naocznie w r. 1863, że udział warstwy dojrzałej w przygotowawczych do powstania pracach był niesłychanie małym, że w obozie przeciwnym wybuchowi znajdowali się ludzie wszelkiego stanu i opinij politycznych, że na czele ruchu stanęli sami wyłącznie ludzie młodzi, nieznani i nieznа-

jący społeczeństwa. Widzieliśmy, że ilość ludzi z warstwy przodkującej a udział biorącej miała się w odwrotnym stosunku do swej liczby, niezawodnie wielekroć większej od kontyngensu lat poprzednich. Widzieliśmy, że owa warstwa tworzyła osobny o tym samym celu ale o innych środkach obóz i zyskała nazwisko białych w przeciwieństwie do czerwonych. Nie było tu już kwestyi demokracyi lub arystokracyi, kwestyi niepodległości lub uległości, nie było nawet kwestyi opozycyi lub popierania rządu, bo oba rzekome stronnictwa były w opozycyi — była to kwestya roztropności lub nieroztropności, pędzenia na oślep lub wyczekiwania, kwestya młodocianego szału lub męzkiej rozwagi, kwestya nareszcie rządzenia społeczeństwem za pomocą naturalnych lub nadzwyczajnych środków. Koniecznym skutkiem obu stronnictw było tarcie obopólne, odrzucanie i negowanie się wzajemne, bunt młodych przeciw starym, propaganda warstwy niższej nie samym patryotyzmem, ale nadziejami społecznego przewrotu. Z przykładu tego widzieć możemy, że wzmocnienie warstwy przodkującej, której przyznajemy naturalną dyspozycyę społeczeństwem narodowem, pociągnąć musi za sobą coraz silniejszą jej niechęć przeciw wszelkim samozwańczym usiłowaniom konspiracyjnym a kontygens konspiracyi ograniczyć do licznego, ale tem niebezpieczniejszego za to zastępu ludzi młodych, luźnych, niedoświadczonych a zarozumiałych, którzy rzuciwszy się raz na drogę przodowania, wytrąceni z prawidłowej służby dla społeczeństwa, prześladowani przez nie i niechętnie widziani, ograniczą się znowu do żywiołów młodszych od siebie, wrażliwych a niemających wykształcenia. Jeżeli pomiędzy rokiem 1831 a 1848 konspiracya kształciła obywateli z narodowem poczuciem, to po r. 1863 mogłaby wydawać tylko anarchistów po jednej, zakamieniałych na wszelki rozwój i obawiających się każdego żywszego ruchu po drugiej stronie.

Dodajmy do tego wzgląd, że wśród klęsk konspiracyami sprowadzonych, rozrósł się bujnie żywioł, który z nich korzystał, który się wśród nich egoistycznie zachował. Do tego żywiołu rachujemy wszystkich owych spekulantów, finansistów, dorobkiewiczów, którzy zagarnęli ognisko nasze, zrujnowane w sprawie ojczystej; rachujemy żydów, którzy od czasów upadku rosną w potęgę materyalną z szybkością niepraktykowaną. Łatwo to pocieszać się miłem spostrzeżeniem, że nie jeden z potomków tych ludzi poniósł na ołtarz naszej sprawy majątek i życie, ale trudno zaprzeczyć, że praktyczny zmysł ogromnej większości nie da się zaprzągnąć do idealnego wozu naszych politycznych Ikarów; a jeźli, rachując się z tym żywiołem, nie po-

winniśmy tracić nadziei przenarodowienia go, to nie możemy także postępować z nim podług naszego poetycznego widzimisię. Co tu powiedziałem o żywiole obcym, tyczy się w wysokim stopniu naszego ludu. Historya jego rozpoczyna się z dniem uwłaszczenia, poczucie narodowe i obywatelskie rosnąć będzie od tego dnia w miarę życia wspólnego z starszą bracią, w miarę utrzymywania dawnych stosunków, jakim jest religia, nowych, jakim jest gmina. Uwłaszczony raz stał się lud nasz w dwójnasób konserwatywnym, a przedsięwzięcia warstw wyższych będą tak długo obudzać jego podejrzenie, dopóki nie wydzieli z siebie dostatecznego procentu własnej inteligencyi, dopóki się nią z innemi nie połączy warstwami. Propaganda nieprzyjacielskiego rządu stawiać będzie przeszkody — propaganda sztuczna polskości lub socyalnej niechęci wyszłaby zawsze na korzyść rządu. W ten sposób pokazuje się, że konspiracya jako środek dalszego kształcenia ludu i narodu byłaby zupełnie chybioną, cofając wstecz to, co się zyskało, a nie zyskując tego, co wymaga czasu i zachodu. Gubiłaby ona zasób przeszłości, przewracała pojęcia nowego zastępu, który zwolna tylko do narodowych wzniesć się może pojęć, stawała w sprzeczności z wrodzonym każdemu człowiekowi i narodowi instynktem zachowawczym, popadała w negacyę, coraz szersze koło rodaków obejmującą, a udając się w odepchnięciu swojem do poszkodowanego lub chciwego zysku proletaryatu, sprowadziłby musiała kataklizm, w którymby eksterminacya ostateczne odniosła zwycięztwo. Czy mamy zwrócić jeszcze uwagę na to, że rządy zaborcze najlepszą pod tym względem dają nam wskazówkę rzucając się po każdym ruchu na wszystko, co nawet bywało przeciwnem konspiracyi, znajdując w niej najwyborniejszy pozór tępienia wszystkich narodowości objawów? Oczywiście musimy, skoro szanowny recenzent w sążnistym okresie, wyliczającym, co pod rosyjskim rządem konspiracyą się nazywa, choć w złej wierze nieprzyjaciela poczytującego każdą opozycyę za konspiracyą widzieć poparcie konspiracyjnego systemu. Szczególniejsze to rozumowanie, chociaż nie przyznam, aby miało być nowem. Czy nie prostszem i nie naturalniejszem wytłómaczeniem tego objawu są korzyści, które nieprzyjaciel z konspiracyi wyciąga?

Potępiając konspiracyę polityczną, nie mieliśmy, jak o tem recenzent przekonanym być musiał, skoro naszemu zdaniu o pracy organicznej przyklasnął, naturalnej opozycyi narodowej, którąśmy nazwali konspiracyą naturalną, na oku, nie bluźniliśmy przeciw ideałowi niepodległości, który nas nie opuści, dopóki narodem być nie przestaniemy. Pojmowaliśmy epokę konspiracyi jako jednę z epok

porozbiorowego życia, a dzisiejszą chwilę jako rozdroże, otwierające nam prospekt na normalny rozwój społeczeństwa w danych warunkach lub anormalne wyczerpywanie sił społecznych. Owe dane warunki są niesłychanie ciężkie, w przeważnej części ziem polskich pozostał tylko jeden węzeł — rodzina. Ale czyż osłabienie, rozpacz, usprawiedliwić mogą jakikolwiek czyn zbiorowy, rozpoczęty w skrytościach społeczeństwa? Wolno ryzykować się samemu, ale nie wolno ryzykować narodu. Płonne to zresztą przypuszczenie, że konspiracya jest jedyną uciśnionego społeczeństwa bronią. Widzieliśmy ją często a i w ostatnich czasach powstającą z osłabienia mikołajowskiego ucisku, z otwierającej się lepszej dla narodu doli. Najprzykrzejsza to z prawd, którą powiedzieć jesteśmy przymuszeni, ale nie przestaje być prawdą. W przekonaniu, że ta lepsza dola zepsuje naród, że go przyprowadzi do zapomnienia o idei narodowej, rozpoczynała ona robotę najtrudniejszą, robotę samej niepodległości. Przypuszczała, jakeśmy to w naszej broszurze powiedzieli, że ten, co się lada ochłapem łaski nieprzyjaciela struje, wystarczy do wykonania najtrudniejszego dzieła. Z tem przypuszczeniem raz nam zerwać należy, należy nam do tyla zaufać, że suma jego pracy dziejowej, jego umysłowego nabytku nie jest tak szczupłą, aby od własnego społeczeństwa za nic uważaną i tak łatwo sprzedaną być mogła. Należy nam zaufać, że bez sztucznych środków organizacyi i przysiąg, społeczeństwo nasze w instytucyach swoich, w gronie ludzi wykształconych, w rodzinie nareszcie, gdzie co innego nie pozostało, doczeka się lepszej dla siebie doli, przyjaźniejszych dla siebie konstelacyj, że się o jego cywilizacyjną i obyczajową wyższość rozbije nawet barbaryzm, że jeżeli konspiracya od kółka ludzi ze sobą związanych oczekuje niepodległości, społeczeństwo z większą daleko słusznością może się spodziewać odrodzenia od wielkiego pnia narodowego, choćby najsroższej był prześladowanym. Tutaj zarazem znajdujemy punkt zaczepienia naszej polityki prowincyonalnej. Jeżeli nie wolno zbawiać całości wychodząc z ciasnego koła, najszczytniejszą chwytającego chorągiew, to wolno zaiste ratować narodowość, choćby w małym skrawku ziemi, której Opatrzność lepsze pozostawiła warunki. Jeżeli nie wolno brać sprawy narodowej w monopol pojedyńczych, to każda piędź ziemi polskiej, ma w normalny sposób prawo tem większe stawania za całość i reprezentowania całości, im więcej ta całość jest zagrożoną. Stawanie to zaś wtedy tylko może się redukować do prostej abstynencyi i opozycyi, gdzie narodowość wprost, jak się stało w W. Księstwie poznańskiem, przez rząd zaborczy zaprzeczoną została.

Kończąc rzecz naszą, czy mamy wyznać, ile nas kosztuje walka z przeciwnikiem, który nierówną z nami walczy bronią, który mówi to, co się zwykle podoba, pozostawiając nam do powiedzenia to, co się nie podoba, o czem wyrzec musimy: *infandum jubes renovare dolorum.* Czy mamy powiedzieć, że pomimo naszej negacyi tylu utartych u nas wyobrażeń, wierzymy mocno, że nie zginęliśmy i nie zginiemy, jeżeli trafnie chwytać będziemy znamiona czasu, jeżeli będziemy posiadali tę muszkularną elastyczność charakteru, która umie się podporządkować ewidencyi doświadczenia? Czy mamy powiedzieć, że naród chociażby długo uciśniony nie utracił warunków niepodległego bytu, jeżeli zamiast wyczerpać się w nieustannej ekspektoracyi swoich uczuć, umiał skupić się w sobie i rozkorzenić, niby ziarno przydeptane stopą szatańską? Czy mamy wskazać przykłady Węgrów i Czechów, tych Czechów, którzy się odrodzili z kilku gałązek bluszczu rosnącego na starych ruinach, a dzisiaj zawstydzają nas pracą około ludu, oświaty i narodowości? Nie! na jednej tylko uwadze położymy cały nasz przycisk. Chcąc nowe rozpocząć życie, nie trzeba miary i patryotyzmu brać z czasów, kiedy spoczywał w pieluchach, kiedy idea niepodległości była aniołem stróżem młodego pokolenia, wiodącym go za pomocą sennych marzeń i natchnień w życie poświęcenia i męczeństwa, kiedy wielkość i szczytność idei zaślepiała nas na braki rzeczywistości. Dzisiaj patryotyzm ma pochmurzone od cierpień czoło, schylone od nadmiaru boleści barki. To już nie młody, to s t a r y patryotyzm, który tyle tysięcy widział ginących przed sobą, który widzi szalony pożar posuwający się coraz dalej w dziedziny ojczyste... Taki patryotyzm przypuszcza dyskusyę, bo z sfery uczuć i przeczuć, z sfery teoryi i ogólników musiał on pod wagą strasznej rzeczywistości przyjść w sferę rozumu i praktyki, musiał się nauczyć roztropności. Do dalszej dyskusyi takiego rodzaju, w duchu takiego patryotyzmu jesteśmy zawsze gotowi, ryzykując wszystko, choćby nawet umieszczenie oderwanych ze złą wiarą zestawionych ustępów pracy naszej w *Dzienniku warszawskim.*

II.

Przechodzimy do odpowiedzi na list otwarty p. Floryana Ziemiałkowskiego, wystósowany do nas pod datą 7 kwietnia 1867 [1]). Spowodowanym on został artykułem naszym, umieszczonym w zeszycie *Przeglądu polskiego* z kwietnia b. r. pod tytułem: Uchwała 2 marca i delegacya do Rady państwa.

[1]) List otwarty do Józefa Szujskiego. Lwów 1867.

W życiu publicznem mało jest rzeczy przykrzejszych; jak stanąć w sprzeczności z ludźmi, których się ze wszech miar wysoko stawia i poważa; w zawodzie publicysty do gorszych chwil należy ta, w której on zmuszony jest wystąpić lub się bronić przeciw głosowi, za którym radłby iść zawsze i w każdej okoliczności. A przecież trafia się niekiedy, że w jednym względzie lub w jednym wypadku nie możemy się zgodzić nawet z ludźmi, z którymi łączy nas cała prawie summa zasad i wyobrażeń, zdarza się, że wypadnie człowiekowi odeprzeć zarzut pochodzący z ust, z których pragnąłby przyjmować tylko nauki i rady.

W takiem położeniu stawia mnie „List Otwarty“ pana Ziemiałkowskiego z dnia 7 kwietnia b. r. Wszelka, najprzyjaźniejsza nawet i najżyczliwsza polemika z szanownym posłem, jest mi tak niemiłą, że cieszyłbym się prawie, gdybym na list jego mógł odpowiedzi nie znaleźć. Gdy jednak p. Ziemiałkowski w zakończeniu swojej odezwy wzywa mnie wprost, ażebym wytłómaczył, co rozumiem przez ów grunt, na którym, zdaniem mojem, delegacya nasza w Wiedniu stanąć powinna, a o którym mówiłem w artykule moim o uchwale sejmowej z dnia 2-go marca, rad nie rad muszę dać to tłómaczenie. Milczeć bowiem znaczyłoby tyle, co podać się w posądzenie, że nie rozumiem, com mówił i nie wiedziałem, czegom chciał; a pod taką wątpliwością, jak to każdy przyzna, zostawać nikomu nie jest miło.

Mówi więc najprzód pan Z., że w inkryminowanym artykule moim zarzuciłem sejmowi „abdykacyę“, a zarzutu tego ciężkiego nie usprawiedliwiłem. A przecież wierzyć mi może szanowny poseł, że słów tych nie rzuciłem na wiatr, że nie wyrwała mi ich złośliwa i nikczemna chęć poniżenia czy sejmu czy pojedyńczych jego członków, ale że pisałem je z sercem prawdziwie zbolałem. Żem nie chciał jątrzyć ani poniewierać, tego dowodem, pochlebiam sobie, może być właśnie owo pismo moje, a szanowny poseł sam przyznaje mi pewne umiarkowanie.

Czy atoli właśnie to słowo „abdykacya“, które szan. posła tak rozżaliło, było użytem niewłaściwie, to rzecz inna. Śmiemy twierdzić, że nie, i ufamy sobie, że tego dowiedziemy.

Od chwili ogłoszenia konstytucyi lutowej panowało „w całym kraju“ (z wyjątkiem partyi śto Jurskiej) przekonanie, że instytucya Rady państwa tak, jak ją owa konstytucya stworzyła, jest zgubną dla naszego kraju i dla naszych praw narodowych. Wyrazem tych przekonań było zastrzeżenie pierwszego sejmu przy wyborze pierwszej delegacyi, które, równie jak jego powody, szanownemu posłowi

pamiętnem być musi. Kilkoletnia praktyka Reichsrathowa i doświadczenie nie osłabiły tego przekonania, ale je wzmocniły; świadczy o tem adres „dziękczynny", podany do cesarza po zawieszeniu Rady państwa przez sejm w roku 1865, świadczy jeszcze wyraźniej adres z miesiąca grudnia 1866 r., żaden zaś dobitniej i lepiej jak ten, który wyraźnie odmawiał prawomocności jej uchwałom, a który przyjęty w pozasejmowych naradach i w ogólnej rozprawie, cofniętym został na dniu 2gim marca. Zdaje się więc, że było zasadą naszej krajowej polityki, opierać się zwoływaniu i uchwałom Rady państwa? Nie zaprzeczy mi pan Z., że było zasadą, i że jeżeli jest zasada wskazana naturą stósunków i oparta na logice i praktycznem doświadczeniu, to właśnie ta. Odstąpienie zaś od zasady jak się nazywa? Apostazyą, jeżeli chodzi o zasadę religijną; jeżeli zaś chodzi o zasadę polityczną, natenczas odstąpienie jest w najlepszym razie słabością. Jeżeli słabości tej dopuści się człowiek prywatny i nic nieznaczący, to przecież opinia go karci i rzadko kiedy usprawiedliwia; jeżeli ją popełni ciało, które powinno być treścią i głową narodowego życia w prowincyi, tak jak jest jego najwyższym wyrazem, to czem ta słabość będzie? jak ją nazwiemy? Co dla prywatnego obywatela jest złem, miałożby stać się dobrem przez to samo, że przez sejm było spełnione? Nie; uchybienia tego rodzaju rosną w stósunku prostym do stanowiska tego, kto uchybił, a większa powaga jest właśnie okolicznością obciążającą. Nikt odemnie więcej reprezentacyi kraju nie szanuje, ale źlebym tego uszanowania dowodził, gdybym wszystko, co sejm zrobi, uważać miał za dobre dla tego, że przez sejm zrobione. Zdaje mi się, że wytknąć złe, jakie zrobił, śmiało i odważnie, jest takim samym obowiązkiem, jak tłómaczyć go, uniewinniać i zasłaniać. Uniewinnienia z naszej strony nie brakło; lecz czyż mogliśmy się wbrew naszym osobistym przekonaniom wstrzymać od zarzutu? Kto wytykając błędną wedle zdania swego drogę, tłómaczy jej motywa, jakeśmy je wytłómaczyli, ale konstatujac ją jako fakt dokonany, przestrzega przed konsekwencyami błędniejszemi jeszcze, ten zaiste nie daje sejmowi votum nieufności, ale zaufania; ten nie przemądrza go, ale przyjmuje jego postanowienia, jako wychodzące z motywów sumiennych i głębokich.

To w odpowiedzi na słowa pana Z., według których sejm miałby przestać być reprezentacyą kraju, gdyby zarzut uczyniony w piśmie mojem okazał się prawdziwym zarzutem.

Ale pan Ziemiałkowski zaprzecza nie już kwalifikacyi faktu, lecz faktowi samemu. Podług niego uchwała z dnia 2go marca nie była ani słabością ani poświęceniem zasady, a wycofanie adresu

stoi w zgodzie z całem postępowaniem dawniejszem i jest tem samem zupełnie, czem byłoby uchwalenie tego adresu. „Sejm, mówi „pan Z., uznał adres za wyraz swych uczuć i przekonań“ a przeto „każdy bezstronny przyzna, że rzeczy, o którą właściwie szło, stało „się zadosyć, bo przecież nie adres jest rdzeniem kwestyi, ale wy„powiedzenie w obec rządu i świata, że potępiamy system centra„lizacyjny, a chcemy autonomii narodowej i systemu federacyjnego“. Tak jest, o to wypowiedzenie chodziło, nie o adres, tylko że bez adresu wypowiedzenie to nie jest możliwem, a możliwem jest tylko w adresie i przez adres lub w czynie i przez czyn (w naszym wypadku czynem tym byłoby wstrzymanie się od wyboru delegacyi). Jakto, mowy posłów, choćby najlepsze, najdłuższe, najświetniejsze, mają znaczyć tyle, co akt urzędowy? dyskusya tyle co uchwała? Czy tak? z ręką na sercu, czy tak? Czy głos p. Grocholskiego, p. Krzeczunowicza, p. Wodzickiego, p. Ziemiałkowskiego jest tak samo objawem żądań kraju, testamentem jego politycznej wiary, programem jego postępowania jak uchwała sejmu? czy w obec rządu i świata to samo ma znaczenie i na to samo wychodzi? Oddaję p. Z. sprawiedliwość z najszczerszego serca, jak mu ją wdzięcznie oddał kraj cały, że wycofaniu adresu dał formę najgodniejszą [1]), kiedy oświadczył i Izbie podał do uchwały, że „sejm uznaje adres na wyraz swoich uczuć i przekonań, ale zmuszony, cofa go pod naciskiem“. Przyznajemy chętnie, że te słowa mają swoje znaczenie, że ratują po części i sejm i sytuacyę delegacyi w Wiedniu, ale nie możemy przyznać, żeby pomiędzy temi słowami a uchwaleniem i wysłaniem adresu jedyna tylko zachodziła różnica „formy“.

Gdyby w zgromadzeniu prawodawczem francuskiem w r. 1789, kiedy ono przystępowało do głosowania nad deklaracyą praw, był się ktoś odezwał, że po wypowiedzeniu „w mowach uczuć i przekonań“ można zaniechać tej zbytecznej, niepotrzebnej „formalności“ uchwalenia deklaracyi! Gdyby sejm węgierski był się bez tej formalności obszedł w roku 1861 i 1866? czyby to było wyszło na jedno? czy byłoby się „stało zadosyć temu, o co właściwie chodziło?“ Nie; w polityce, w życiu parlamentarnem chęć nie staje za uczynek, a dyskusya nad adresem za adres!

Chciałbym jeszcze odpowiedzieć panu Z., że dążność do przymierza ze Słowianami w Austryi nie płynie u nas z przekonania, jakoby droga do Polski wiodła jedynie przez Słowiańszczyznę, ale

[1]) Jako sprawozdawca komisyi sejmowej.

ztąd raczej, że pomiędzy supremacyą Niemców i Węgrów nie wiem jakich znaleźlibyśmy w Austryi sprzymierzeńców ku obronie i pomocy jeżeli nie Słowian, i ztąd, że im dalej od tych Słowian odsuwać się będziemy, tem bliżej oni przysuwać się będą ku Rosyi. Chcielibyśmy powiedzieć, że wierni zasadzie federacyjnej, którą za jedynie prawidłową dla monarchii uznajemy, nie tylko dla tego jesteśmy przyjaciółmi Słowian, że są Słowianami, że mówią językami spokrewnionymi z naszym, że radzibyśmy ich widzieć nieszukających punktu ciążenia po za granicami państwa, ale dla tego, że dualizm węgiersko-niemiecki, zaliczający nas do Cislitawii, uczynił z nich naturalnych sprzymierzeńców naszych w obec sprawy federacyjnego ukonstytuowania monarchii. Chcielibyśmy powiedzieć, że ową oświadczoną chęć „stania przy Austryi“ nie pojmowaliśmy nigdy jako bierną uległość, koncesye okupywać mającą, ale jako żywy współudział w losach jej, najściślej od wewnętrznego jej urządzenia zależnych, jako zobowiązanie się do prawdomównego wypowiedzenia opinii naszej krajowej i narodowej o każdej zmianie kierunku z góry, przestrzeżenia przed tem, co nam się dla nas i dla monarchii szkodliwem być wydaje. Chcielibyśmy nareszcie powiedzieć, że słów przytoczonych z „Dziennika Warszawskiego“ użyliśmy nie jako pożytecznej od Moskala broni na swoich, ale jako dowodu, że uchwała z 2go marca ma różne złe strony poboczne, z których nieprzyjaciel skorzystać nie omieszkał; chcielibyśmy powiedzieć, że pomiędzy zwołaną przez byłego ministra [1]) Radą nadzwyczajną a dzisiejszą „Radą konstytucyjną“ zachodzi nie sama tylko różnica nazwy, bo pierwsza miała mieć głos doradczy tylko, a przeto niebezpieczną dla nas być nie mogła, podczas kiedy druga, w swoim fatalnym dla nas składzie, stanowczo będzie rozstrzygać o naszem w państwie stanowisku. Chcielibyśmy rozszerzyć się nad tem cokolwiek, ale odpowiedź ta już i tak zbyt wielkie przybrała rozmiary, a pozostaje nam jeszcze odpowiedzieć na najważniejsze pytanie pana Z. i wytłómaczyć, co rozumiemy przez ten g r u n t wspólny, na którym radzibyśmy widzieli delegacyę naszą w Wiedniu.

Nie sądziłem doprawdy, żeby rzecz ta potrzebowała wyjaśnień i mniemałem, iż każdy dorozumie się łatwo, że gruntem tym wspólnym może być tylko ów przez sejm cichaczem wypowiedziany „wyraz uczuć i przekonań kraju“ — adres. Wypowiedzieliśmy to przy końcu artykułu naszego w słowach: „Milczenie, nałożone sejmowi groźbą rozwiązania, uczyniło delegacyę s p a d k o b i e r c z y n i ą mo-

[1]) Belcredego.

ralną adresu sejmowego". Pomimo wszystkich zarzutów jakie w swoim czasie robiły mu dzienniki, a które, jak sądzę, odnosić się musiały do układu i stylu a nie do treści, jest on nie „słabym i wodnistym" ale prawdziwym wyrazem uczuć i przekonań kraju, wyrazem zgodnym z zasadami wyznawanemi przez kraj od lat sześciu niezmiennie, a wyrazem tem potrzebniejszym dzisiaj, że delegacya nasza znajdzie się w Wiedniu sama jedna w obec większości sztucznej, nieprzyjaznej, a rozstrzygającej o losach naszego kraju, że się znajdzie w obec konstytuanty. Co to za położenie, mieliśmy świeżo przykład na nieszczęśliwych posłach wielkopolskich w sejmie północnoniemieckim. Zamiast związku północnego będzie Cislitawia, a zresztą ta sama niezawodnie sprawiedliwość i to samo szlachetne i godne używanie siły większości. Jak się w obec tego zachować, jaki mianowicie krok podyktuje delegacyi rozum i patryotyczne sumienie, tego dziś przesądzać nie można, ale już dziś każdy przewidywać musi, że jedyną podstawą operacyi, jedyną bronią tych, którzy walczyć będą za odrębność i narodowość naszego kraju, nie może być nic innego jak adres. Jest on bowiem wiernem odbiciem całej naszej długoletniej polityki w obec rządu i Rady państwa a nawet, kiedy został odłożonym, jeszcze sejm uznał go za wyraz „uczuć i przekonań" czyli zasad „całego kraju". Ile więc razy Rada państwa uchwałą jaką zechce nas zatopić i rozpuścić w Cislitawii, ile razy zerwie się przeciwko naszej odrębności, czy to narodowej, czy administracyjnej, czy ustawodawczej, t. j. przeciwko naszym przyrodzonym, prawdziwie z bożej łaski prawom (a na wypadki takie musimy być z góry przygotowani), tyle razy delegacya nie będzie miała innej obrony, jak odwołać się do zastrzeżenia sejmu z r. 1861, do adresu z r. 1865, do adresu z r. 1866, wreszcie do ostatnich ustępów niedoszłego adresu z r. 1867, i powiedzieć, że nasz sejm, kraj i naród, z mocy swojego przyrodzonego prawa i swojej przez Boga mu danej odrębności, nie przyznawał nigdy i nie przyznaje większości z obcych złożonej, prawa stanowienia o nim, a przeto uchwały Rady państwa uważa za nieprawomocne i jego przed Bogiem i sumieniem nie obowiązujące. Nie co innego rozumieliśmy pod owym wspólnym programem wybitniejszym, pod ową polityką, którą sejmowa mniejszość na dniu 2 marca przez głosowanie za niewysłaniem do Rady państwa objawiła.

W jakiej chwili wypadnie delegacyi uczynić ten krok i czy jej wypadnie nadać mu formę protestu, czy też wyjść z Rady państwa, o tem mówić dziś nie mogę, bo to zależeć będzie od postępowania większości w Radzie państwa; ale że do tego kroku przyjść

będzie musiało nie wątpię, a że jedynym do niego punktem wyjścia będzie adres, ów grunt wspólny, o którym mówiłem, to każdemu jest widne. Wyraziłem nadzieję, że delegacya cała stanie na tym gruncie, i tego pragnienia nie wypieram się i teraz, ale wyznać muszę, że pod tym względem nie jestem bez obawy. Lękam się, a to, co się stało we Lwowie 2 Marca, nie zupełnie mnie uspokaja, lękam się, by delegacya lub część jej nie chciała odstąpić polityki zasad dla tak zwanej polityki utylitarnej.

Jeżeli przed miesiącem można było z jakim takim pozorem słuszności spodziewać się, że ministeryum i większość Reichsrathowa pod groźbą silnego stronnictwa federalnego w Radzie państwa, zechce przyciągać nas koncesyami na swoją stronę, zechce po prostu kokietować z delegacyą polską, to dziś po tak świetnym dla nich rezultacie sejmu morawskiego i czeskiego, z pewnością trudu tego sobie nie zadadzą, będą zbyt bezpieczni, żeby nas przyciągać potrzebowali, i będą nas po prostu majoryzować. Zasada „*do ut des*“ może być dobra i praktyczna tam, gdzie obie strony wzajemnie się potrzebują; w razie przeciwnym strona mocniejsza zawsze powie słabszej: „nie dam ci nic, a zrobię co zechcę“. Są pewne wskazówki, które dowodzą, że nie inaczej myślą obchodzić się z nami w Wiedniu; panu Ziemiałkowskiemu zapewne tajnem to nie będzie.

A gdyby nawet te wskazówki były mylne, gdybyśmy za poddanie się pod wyroki Reichsrathu mogli i mieli otrzymać jakie koncesye, to i wtedy jeszcze przestrzegałbym delegacyę przed targiem, choćby i zyskownym. Wierność zasadom zawiodła nas nieraz, to prawda; czyliż z tych zawodów wynosić mamy wyobrażenie, jakoby w polityce ten tylko był mądrym, kto zawsze dla nabytku gotów poświęcić zasadę? Jeżeli tak jest, to nowy ten obłęd polskiej myśli nie byłby jednym z mniej zgubnych, a byłby jednym z najmniej pięknych. Poświęcanie purytańskie korzyści dla zasady naraża na śmierć głodową, to prawda; ależ poświęcenie ryczałtowe zasady dla korzyści jest ową nierozmyślnością biblijnego Ezawa, który praw swoich pozbył za misę soczewicy, jest oddaniem *à fond perdu* całej przeszłości. Jeżeliśmy wysłanie do Rady państwa abdykacyą nazwali, to wystawienie tej abdykacyi na targ, musielibyśmy nazwać więcej jak nienaturalną i ubliżającą zgodą z tymi, którzy nas teroryzmem do abdykacyi zmusili. Przyznamy się, że wielokrotne oświadczenie się takiej znakomitości jak p. Z. za adresem uspakaja nas, że tego rodzaju zachcenia miejsca mieć nie będą.

P. Z. kwestyonuje mi wyrażenie: „mniejszość sejmowa, polityka mniejszości sejmowej“. Winienem się i z niego wytłómaczyć.

A najprzód, niech mi pozwoli być tem, czem jestem, t. j. członkiem publiczności polskiej, czytającym gazety i stenograficzne sprawozdania. Jako taki brałem i biorę mniejszość sejmową jako tę, która uważała adres, czyli zastrzeżenie, za jedyną obronę naszej odrębności w państwie, naszej zasady. Dla tego nie chciała go poświęcić, dla tego w głosowaniu imiennem oświadczyła się przeciw cofnięciu adresu. Pan Ziemiałkowski twierdzi, że mniejszość ta nie była mniejszością, bo chciała tego samego co większość, i że nie jest stronnictwem politycznem. Jabym myślał, że kto nie był w większości, tem samem był w mniejszości; czy zaś posłowie owi byli poprzednio, lub czy dziś są uorganizowanem stronnictwem, to rzeczy nie zmienia. W owej chwili połączyli się wszyscy w jednej i tej samej zasadzie, zgodzili się na jednę i tę samą politykę. Pan Ziemiałkowski mniema, że to się stało przypadkiem, domyśla się u tych posłów najrozmaitszych pobudek, twierdzi „że nie wszyscy byli przeciwni wysłaniu delegacyi", a przez to daje do zrozumienia, że głosowali „nie", bo byli pewni, że stanie się „tak". Wyznam szczerze, że ten ustęp w liście pana Ziemiałkowskiego najwięcej mnie zadziwił, że nie pojmuję, co posła sejmowego skłonić mogło do domysłów, podających w podejrzenie dobrą wiarę głosujących w kwestyi tak ważnej i tak stanowczej?... Wyznam także, że owa różność zapatrywania się na kwestyę nie wydaje mi się przeszkodą w uważaniu mniejszości za koło znaczące i wybitne, skoro owe różne zapatrywania się zeszły się na gruncie jednej wielkiej zasady. Żadne stronnictwo nie może myśleć jednakowo aż do drobnych odcieni, boć każde składa się z indywiduów odrębnych.

Czemuż, pyta nareszcie pan Z., nikt nie miał więcej od komisyi odwagi i nie podjął cofniętego adresu? Wszak każdy miał do tego prawo; i odpowiada zaraz, że w owej „solennej chwili nie było ani jednego posła, któryby sobie był życzył wysłania adresu" Ja zapytałbym, czy którykolwiek z posłów mógł podjąć adres i poddać go pod głosowanie jako swój? Czy pan Ziemiałkowski jest tak bardzo pewnym i przekonanym, że adres w owem chwilowem usposobieniu Izby byłby przeszedł? Wycofanie adresu było błędem, odrzucenie byłoby hańbą — sejm, któryby taki adres był odrzucił, byłby rzeczywiście przestał być reprezentacyą kraju. Na to, sejmu kraju, narodu, imienia polskiego nie mógł wystawić żaden z posłów, takiej odwagi żaden mieć nie mógł; żaden też nie podjął adresu, ale dla tego tylko, że wolał widzieć adres cofniętym jak odrzuconym — i słusznie.

Niepodjęcie adresu przez jego bezwzględnych zwolenników było zupełnie naturalnem. Dziwniejszem było to, że po jego upadku wielu z nich przyjęło wybór do Rady państwa. To było tak dziwnem, że ani owa nagłość chwili i wypływający z niej brak czasu potrzebnego do porozumienia się między sobą, ani niepodobieństwo zebrania się na krok jakiś wspólny i zbiorowy, nie może wytłómaczyć dostatecznie tej sprzeczności. Lepszą, a o ile wiem, prawdziwszą wymówką jest to, iż skoro delegacya być musiała, uważali oni za dobre i pożyteczne, ażeby i ich opinia znalazła w niej swój wyraz; sądzili, że w łonie delegacyi polityka zasady i polityka interesu zarówno reprezentowane być powinny, a spodziewali się, że w Wiedniu obie te siły ustawią się łatwo do równowagi, że te oba kierunki zbliżą się i spotkają na wspólnym gruncie adresu. Nadzieja ta niejednemu wydawała się illuzyą, dziś atoli przybiera ona niejakie podobieństwo do rzeczywistości. Wierność dla adresu, którą w liście swoim tak silnie wypowiada pan Ziemiałkowski, nada niewątpliwie wielką siłę zasadom i polityce adresu w łonie delegacyi, i dla tego też list ten, choć mnie zmusił do nader wstrętnej z przytoczonych wyżej powodów polemiki, był mi przecież wielką pociechą; a o ile przykrą i bolesną była dla mnie konieczność tego pisemnego sporu z panem Ziemiałkowskim, o tyle jest i będzie mi zawsze miłą i pożądaną każda sposobność przyznania się jawnie i publicznie do tego wysokiego poważania, którem jestem dla niego przejęty.

Józef Szujski.

NIEPOPRAWNI.

(ODEZWA „OGNISKA REPUBLIKANCKIEGO". GENEWA, WRZESIEŃ 1867).

Artykuł drukowany w „Przeglądzie polskim“, zeszycie z Lutego 1868 r.

Mieliśmy w ubiegłym roku kilkakrotnie sposobność wypowiedzenia naszego zdania o stanowisku i obowiązkach emigracyi. Podnosząc jej dodatné usiłowania z skrzętnością, walczyliśmy gorliwie z jej pretensyami do przewodniczenia w kraju i sądzenia apodyktycznego spraw krajowych, gdziekolwiek się one objawiły. Unikaliśmy przy tem wszelkiej osobistej polemiki, chociaż pisma emigracyjne a mianowicie „Niepodległość“ w swoich rozbiorach, artykułach wstępnych i korespondencyach, nie szczędziła nam wielokrotnie namiętnych i mało z prawdą się rachujących wycieczek. Poprzestaliśmy na obronie zdań naszych w obec krajowego „Dziennika Poznańskiego“ nieprzypuszczając wtenczas, że nasze przewidywania, do czego droga konspiracyjna po ukończonem uwłaszczeniu ludu zaprowadzi, tak prędko się spełnią. A oto mamy przed sobą najnowszy płód konspiracyjnego i rządzącego kierunku w emigracyi, zawiadamiający nas o podsumowaniu sprawy „republikanckiej polskiej“ pod sojusz republikancki powszechny, odezwę do braci Polaków, podpisaną przez Józefa Bosaka-Hauke, jenerała w ostatniem powstaniu.

Arkuszowa ramota naszych samozwańczych zbawicieli zasługuje na bliższy rozbiór; nie jako rzecz jakiejkolwiek doniosłości, bo nie mamy tak złego wyobrażenia o naszem społeczeństwie, aby przypuścić, że gdziekolwiek wrażenie sprawić może; ale jako wyborny patologiczny okaz, który dowodzi, gdzie wiedzie pyszalstwo i szarlatanerya. Dosyć zresztą mamy experymentów *in anima vili*, za jaką samozwańczy zbawiciele ojczyznę uważają, abyśmy z niecierpliwością i gniewem uczciwych ludzi nie mieli zawołać: *Quousque tandem!* i oświadczyć z góry, wyraźnie i dobitnie, że mamy za wrogów ojczyzny każdego, który w obec dzisiejszego jej stanu przez lekkomyślność lub złą wolę, co na jedno wychodzi, takich na nią a w jej imieniu dopuszcza się zamachów.

Z odezwy 12 września dowiadujemy się, że „my Polacy“... w celu dopełnienia obowiązku, jaki ciąży na nas, tak w kraju, jak

i po za krajem, jako na Ludzie Polskim, tak w obec Polski, jak w obec ludzkości, wywiązując się z naszego posłannictwa emigracyjnego, to jest pełnienia obowiązku po za Polską, dopóki go Lud Polski sam pełnić nie może; nakoniec opierając się na prawie początkowania, jakie służy ludziom sumienia, odwagi, czynu i pracy, na drodze wyzwolenia ludów, przystąpiliśmy do sojuszu republikanckiego powszechnego pod nazwą: Ogniska Republikanckiego Polskiego i stoimy w łączności z Komitetem Rewolucyjnym Europejskim, na podstawie przyjętego i aktem pismiennym zatwierdzonego programu politycznego i wzajemnych zobowiązań do współpomocy, tak w chwili wystąpienia do walki, jako też w okresie przygotowawczym.

Polacy owi, używający wbrew republikanckim zwyczajom majestatycznej liczby mnogiej „my", umocowali do podpisu aktu, zawiadamiającego o przyszłej epoce naszego szczęścia, sekretarzy swoich: p. Bosaka i p. Bulewskiego. Daj go katu! cóż to musi być za grono, któremu jenerał sekretarzuje? Składa się ono chyba ze wszystkich jenerałów i sztabsoficerów, bohaterów z pod Krzywosącza i Igołomii, którzy używają materaców zabezpieczających i czapek z rydlami, a na czele piramidy godności stoi chyba sam jenerał, zakrywający tym razem swoje zbawienne zamiary chmurą tajemniczości, która po niefortunnych sukcessach czasem i potrzebną się staje!

A może też tam i nie ma jenerała? Któż to wie? Może jenerał odrzuconym został od współudziału w tym nowym koncercie zbawienia, jako firma niewdzięczna, należąca do *tempi passati?* Cóżkolwiekbądź, ciesz się ludzie polski, albowiem prócz kurateli komisarzy urządzających i landratów, w zamian za ustępującą opiekę centralistycznych naczelników powiatowych, otrzymałeś w krajach ci nieznanych reprezentacyę, która w imieniu twojem zawarła sojusz, zapewniający najświetniejszą przyszłość! Nie żądano twego podpisu i umocowania i dobrze: bo niebyłbyś podpisał. Panowie ci mniej robią zachodów niż komisarze i naczelnicy, wiedzą, co ci potrzeba i mają prawo początkowania. Prawo to początkowania upoważnia ich do robienia w imieniu twojem wszystkiego, co im się podoba, do zaprzeczenia wszystkiego i wszystkim, co im na drodze stoi, do rozpoczynania i kończenia na sobie.

Bądź zatem szczęśliwy ludu Polski, że opiekunowie twoi raczyli przynajmniej powiedzieć słowo o swoich przekonaniach, że na samem prawie początkowania nie poprzestali! Chodźmyż do tych przekonań.

Panowie ci przekonali się najprzód, że wszech-despotyzm, nieprzyjaciel wolności i samorządu ludów, utworzył żelazny sojusz, wiążąc w jeden łańcuch niewoli ludów trzy ogniwa podstawowe starego świata, to jest, Monarchię, Kościół i Arystokracyę wszelką, a podchwyciwszy zasadę narodowości, w jej imieniu podbija drobne ludy, krusząc ich byt i wolność.

Wiadomość ta dla nas Polaków jest wcale nową. Zdawało nam się n. p. że despotyzm, który nas uciska, despotyzm moskiewski, nie stoi bynajmniej w dobrych stosunkach ani z naszym kościołem ani z naszą arystokracyą. Sojusz pomiędzy tymi czynnikami zawarty polegałby chyba na tem, żeby kościół dla miłości despotyzmu dał się prześladować i niszczyć, arystokracya grabić i wywozić na Sybir. Otóż takiego sojuszu przypuścić niepodobna i skonstatować należy, że przekonanie opiekunów ludu jest w tym punkcie fałszywem, że kościół nasz i arystokracya stoją z despotyzmem w stosunku, w jakim stoi katowany do kata...

Ale despotyzm „pochwycił zasadę narodowości i w jej imieniu podbija drobne ludy, krusząc ich byt i wolność". Dziwna rzecz, do jak odmiennych rezultatów przyszli nasi prorocy! Przez długie lata trzymaliśmy się zawsze zasady narodowości jako tej, która nam jako narodowi sprawiedliwość oddaje. Teraz dowiedziało się ognisko republikanckie, że ona jest dla nas zgubną, bo... bo... musi to być arystokratka ta zasada lub przynajmniej katoliczka... bo weszła w sojusz z despotyzmem, stała się jego sługą. Mój Boże, jak też człowiek na domowym chlebie głupieje! Myśmy cieszyli się zawsze z unifikacyi Włoch i chcieliśmy tylko, aby Wiktor Emanuel po dobremu spór z papieżem załatwił, choćby bez Garibaldego i Mazziniego... my, chociaż mamy z Prusami różne historyczne rachunki, nie mogliśmy jakoś wbrew zasadzie narodowości odmówić unifikacyi Niemiec naszego szacunku; nie turbując się w pierwszym wypadku o narodowości rzeczypospolitej San Marino a w drugim wypadku o całość i nietykalność Sachsen Koburg Gotha! Co więcej, uważaliśmy zawsze, że między dążeniem do unifikacyi Niemiec i Włoch a między panslawizmem zachodzi pewna stanowcza różnica. Unita Italia łączy rozdrobniony naród włoski, Einiges Deutschland chce obalić kopę rozdrobnionych państw i państewek niemieckich, a panslawizm moskiewski ma mniej moralny apetyt, bo zjada narody w imię rasowości słowiańskiej. Zachowując tę logiczną różnicę, sprzyjaliśmy zasadzie narodowości i zazdrościliśmy szczęśliwym Włochom Cavoura a Niemcom Bismarka, bylibyśmy się chętnie zgodzili na pewne ograniczenia wolności, byle dojść do unita Polonia — aż tu

każe nam ognisko lamentować nad drobnymi ludami, które dopiero co w narodowe państwo się zrosły i czekać nowego zatomizowania świata i wszechwładnego ludu, kiedyśmy się spodziewali, że bodaj o zasadzie narodowości, o naszych prawach dziejowych, krwią naszą napisanych, doczekamy się wśród ucywilizowanej Europy zwycięztwa prawdy i sprawiedliwości nad fałszem i tyranią.

Otóż skutki siedzenia w domu i niestawiania się na kongresy republikanckie! Ale posłuchajmy dalej. „Ognisko“ dowiedziało się z wieloletniego doświadczenia, że nie dla tego upadły nasze tylokrotne usiłowania w celu wyzwolenia ojczyzny, iż nie mieliśmy s i ł k u t e m u, lecz z powodu, „iż nie chcieliśmy i nie umieliśmy wywołać ich, występując do walki, że nie wypowiadaliśmy śmiało i jasno tak sobie, jak i drugim, czego chcemy, że nie określaliśmy jutra w wyzwolonej Polsce; że nie wypowiadając programu politycznego, odpowiedniego wysokości posłannictwa Polski w obec ludzkości, odpychaliśmy miliony rąk, serc i niewyczerpane siły wewnątrz kraju, a na zewnątrz odpychaliśmy naszych naturalnych sprzymierzeńców“...

Tu zdaje się nam, żeśmy już coś podobnego nieraz słyszeli. Nie umieliście wydobyć sił, mówiono nam wielokrotnie, bo gdyby pozyskać lud, gdyby wszyscy stanęli jak jeden mąż... czapkami zarzuconoby nieprzyjaciela. Cyndnadlówki, a nawet proste karabiny mogłyby wprawdzie zrobić dywersyę, ale kijami zdobywa się karabin, karabinem armatę, armatami fortece. Na jeneralach z pewnością nie braknie. Trudnością jedyną jest, jakim sposobem lud wszechwładny dałby się jak jeden mąż poruszyć. W r. 1846 i 1863 ogłoszono mu usamowolnienie, które mu się należało, ale lud wszechwładny na wzór wszystkich ludów świeżo usamowolnionych, nie został przez to od razu Polakiem, ale postanowił sobie użyć wolności, co w r. 1846 połączone było z smutnymi excesami. Ognisko konkluduje ztąd, że usamowolnienie nie wystarcza, że lud wszechwładny trzeba wyżej wylicytować. Trzeba mu postawić program, w imię którego ma się ruszyć do czynu. Trzeba mu powiedzieć, jaką będzie przyszła Polska, skoro za przeszłą bić się nie chce. Trzeba się zastosować do przysłowia: jeszcze skóra na baranie, a już rzeźnik pije na nię. Obmyśliwszy przyszłą formę rządu i społeczeństwa, można być pewnym, że niepodległość pójdzie jak po maśle. Jest to jeden krok dalej na drodze konspiracyjnego postępu, któryśmy w „Odpowiedzi Dziennikowi Poznańskiemu“ powiedzieli. I znowu cały nasz swojski rozum poszedł w niwecz. W kraju powiada sobie każdy: a niechby

była, jaka chce, byle była! Prorocy Ogniska twierdzą: powiedzmy sobie, jaka będzie, a będzie!

Program tedy ma 15 paragrafów, jak dziesięcioro Mojżesza miało dziesięć. Szkoda tylko, że się nie zawsze z dziesięciorgiem zgadza, widać, że autorowie musieli zapomnieć pacierza, co niedziwota, skoro kościół polski stał się sojusznikiem despotyzmu. Granice Polski wolnej i niepodległej mają być wytknięte wolą ludów do jej składu dobrowolnie przystępujących. Chwała Bogu, że to już po dokonanym akcie niepodległości, bo przedtem... moglibyśmy żywić pewne obawy. Ale i potem... rozglądając się w programie nie widzimy przyczyny ślepego przywiązywania się do nazwiska Polaka, które bądź co bądź trąci szlacheczczyzną i ludowi wszechwładnemu się nie podoba...

Ale mniejsza o to, owa Polska przyszła jest rzecząpospolitą demokratyczną, w której najwyższą władzą jest lud wszechwładny. Lud wybiera posłów przez bezpośrednie wybory na zbór czyli sejm, któremu wszelako wara od prawodawstwa. Zbór stawia wnioski, a cały lud wszechwładny odrzuca je lub przemienia w ustawy. Skrutynium trudne, ale zasada zachowana! Lud wszechwładny większością głosów uchyla wydatki na szkoły, oświadczając, „że czytać nie potrzebuje, bo tatuś nie umieją", a zakaz czytania i pisania staje się ustawą zasadniczą rzeczypospolitej demokratycznej.

Lepiej trochę dzieje się z władzą wykonawczą. Zbór wybiera wydział i prezydenta — a co więcej, zbór dopuszcza się walnego zamachu na kieszeń ludu wszechwładnego, bo — stanowi podatki. Spodziewać się należy, że zamach ten z postępem rzeczypospolitej, choćby przez nowe ognisko przeciwzborowe uchylonym zostanie, że lud wszechwładny będzie stanowił podatki przez głosowanie powszechne, za pomocą energicznej negatywy.

Podobnym ograniczeniom mogą uledz i następne paragrafy, skoroby ludowi wszechwładnemu przedłożone zostały. Jakaby uchwała względem żydów i innowierców wypadła, nie wiemy, w każdym razie nie chcieliby oni zapewne spuszczać się na jego wszechwładną wolę. Utrzymałby się za to, na wielki apostołów naszych smutek, sojusznik despotyzmu, kościół, choćby dla tego, że lud wszechwładny nie posiadając dziewięciowiekowej przeszłości historycznej ma za sobą dziewięć wieków katolicyzmu. A jeżliby się jaki kapłan chwycił owego prawa początkowania, które mężów „Ogniska" do wielkich czynów prowadzi, zdarzyćby się mogło, że jeden lub drugi z utrzymujących ogień tego ogniska mógłby się spotkać z admonicyą

ludu wszechwładnego, nie dozwalającego miotać się na to, co dlań przez tyle wieków świętem bywało.

Jeżeli w tych paragrafach progmatolog łowił ryby przed niewodem, to wszystko wynagrodził sowicie 13 i 14-ym. Trzynasty każe ludowi wszechwładnemu stanowić o wojnie lub pokoju, czternasty oddaje ziemię jako wszechnią na własność wszechwładnemu ludowi, który powierzy zarząd jej i uprawę tym, którzy około niej pracę podejmują.

Oba paragrafy godne siebie. Trzynasty podnosi o jeden stopień wyżej anarchię b. rzeczypospolitej polskiej, która stanowienie o pokoju i wojnie sejmowi pozostawiła, oddając je powszechnemu głosowaniu; drugi koronuje system licytowania — wszechwładnego ludu, aby go uczynić rycerzem niepodległości — obaleniem własności i podniesieniem komunizmu do ustawy zasadniczej.

Trzynasty paragraf zaręcza nam, że nie będzie nigdy wojny zewnętrznej, t. j. że nieprzyjaciel, któremu się zachce, zwiąże nas jak baranów; czternasty otwiera nam przyjemną perspektywę na nieustający rozbój wewnętrzny, wykonywany na mocy ustawy zasadniczej, przez lud wszechwładny uchwalonej. Rozbój ten musi się powtarzać przynajmniej raz do roku, aby ludziom odebrać zapracowaną własność i odzwyczaić ich od tego feodalnego pojęcia. Zamilcza wszakże o tem program, zamilcza, bo jest tyle dowcipnym, że wie, iż lud wszechwładny zgodziwszy się na wywrócenie własności dzisiaj, nie zgodziłby się na nie jutro! wie, że zabrawszy „lisy i pasowyska“ nie chciałby dzielić się niemi w imię zasady, która mu własność nadała.

I tu znowu, przy końcu programu, zadziwić się musimy, jaką to łatwą rzeczą jest uorganizowanie państwa dla ludzi śmiałego początkowania! Łatwiejszem o wiele, dalipan, niż uorganizowanie jakiej takiej rady powiatowej. Piętnaście paragrafów oddających wszystko wszechwładnemu ludowi i wszystko skończone. Przypatrując się w kraju stosunkom naszym wewnętrznym dumamy często nad tem, jakiejby to silnej potrzeba ręki, aby w razie najprzyjaźniejszych dla nas konstelacyj, wyprowadziła nas z zacofania, w jakiem pod względem naszych pojęć o rządzie i naszego nieładu społecznego zostajemy; poeci nasi wołają wielkiego człowieka, coby nas zbawił i wydobył z siebie głos, głuszący niesforną duchów naszych burzę, skargi nasze nad upadkiem ducha samorządu zapełniają kolumny naszych pism czasowych... a oto nasi wielcy politycy rozcinają węzeł gordyjski naszego urządzenia i dają nam od razu rzeczpospolitę! Ile tu poczucia historyi, ile znajomości stosunków krajowych u ludzi „z wle-

pionemi w ojczyznę oczami?“ A przecież ludzie ci wiedzą przynajmniej, że program nie wszystkim praktycznym i dobrym się wyda! Wzywając do pracy, każą omijać wszystkich, którymby się podobać nie miał. „Omijajmy umarłych a szukajmy żywych — nie pukajmy tam, gdzie drzwi zawsze były zawarte dla sprawy ojczystej, ale tam, gdzie one stały zawsze i stoją dziś otworem — nie udawajmy się tam, gdzie przesycenie i otrętwiałość zapanowały, ale udawajmy się tam, gdzie życie wschodzi, gdzie przyszłość dnieje“ i t. p.

Szkoda, że adres fałszywie napisany. Żywymi t. j. żyjącymi jeszcze pomimo klęsk ostatnich są ci, którzy programu Ogniska nie przyjmą i nazywają go po imieniu... Drzwi ich wstrząśnionego w fundamentach domu otwarte zawsze dla sprawy ojczystej, byle szarlatanerya i bezsumienne pyszalstwo nie przywdziewało jej świętej szaty... Może tam niestety panować otrętwiałość, ale w skutek przesycenia się — boleścią... Tam, gdzie życie wschodzi, gdzie przyszłość dnieje — zasiewa ręka obcych ziarno nienawiści społecznej, mamyż się doczekać jeszcze tej klęski, aby tam ręka swoich siała ziarno społecznej, krwawej rewolucyi?

Obawa ta jest płonną, bo znamy zamiłowanie wygody polityków w duchu „Ogniska“. Teoryę „o ludzie wszechwładnym“ głosi się zwykle przy herbatce u dobrodusznego brata szlachcica, w miłem towarzystwie jego ładnych córek. Jeżeli się jest przystojnym i dobrych manier młodzieńcem, znajduje się chętnego do dysputy gospodarza i pobłażanie gospodyni. Świątynia przyszłości, chata wieśniacza, jest niedosyć wonną, a może być niebezpieczną. Lud wszechwłady gotów zapytać się o paszport lub uwiadomić najbliższego naczelnika żandarmów. Teorya o ziemi, jako wszechni, podoba mu się, jeżeli mu ją głosi komisarz urządzający, wyda mu się „podrywką“, jeżeli mu ktoś za nią bić się każe. Bo i po cóżby się miał bić za nią? Od czegoż szarlatanerya „ognisk republikanckich?“ Nie między ludem, ale między niedojrzałą młodzieżą, między ludźmi luźnymi, jak pan Ludwik nadzieję ojczyzny nazywał, mógłby się może znaleźć jeszcze zastęp, podejmujący program o piętnastu paragrafach i ryzykujący burdę pod jego sztandarem, a usłużna Moskwa wzięłaby się zawsze do przeprowadzenia essencyonalnych punktów — w nagrodę patryotycznego przedsięwzięcia. Ziemia, jako wszechnia dostaćby się mogła pracującym nad wyniszczeniem polskości jenerałom i komisarzom a w części może i samemu ludowi, mniej niebezpiecznemu od szlachty, podstawy despotyzmu. Kościół i arystokracya wszelka uległyby dalszej destrukcyi, na uciechę naszych republikanów! Brakłoby niepodległości, zboru i prezydenta, ale wtedyby może

i warto wrócić do kraju choćby dla republikanckich pogadanek przy ponczyku z nihilistami moskiewskimi, z którymi nas dzielił fantom Polski, raz usunięty i zastąpiony marzeniem republiki wszechsłowiańskiej...

Oto absurdum, do którego zawodzi stosowanie obcych doktryn do sprawy ojczystej, pycha i lekkomyślność. Tendencye schodzą się z dążeniami nieprzyjaciół, myśl republikancka idzie w służbę despotyzmu. Jeżeli Ognisko republikanckie jest ostatnim wysiłkiem doktrynerstwa emigracyi konspirującej, przyznać należy, że się smutnego doczekała zgonu. Dosyć porównać pisma Towarzystwa demokratycznego i Centralizacyi z ramotą „Ogniska", aby się o tem przekonać. Tam namiętna chociaż żółciowa miłość ojczyzny, szerokie objęcie sprawy, walczenie myśli we wszystkich żywotnych kwestyach przyszłości, błyski obszernej wiedzy i znakomitych zdolności: tutaj zupełne tradycyi polskiej zatracenie, uronienie wszystkiego, co było jej duchową istotą, stawianie karcianych domków przyszłości, które możnaby nazwać dziecinną robotą, gdyby nie było tem większą swawolą, im mniej okazuje jakichkolwiek warunków rozumu i uzdolnienia! Wysłanników centralizacyi wieszał „nezabuwenny" i słał do Kamczatki, Alexander mógłby pozwolić komisarzom urządzającym, aby się zgłosili z akcesami do „Ogniska".

W obec tych smutnych zamachów, tem smutniejszych, że się pisze na nie jedna z firm ostatniego powstania, ubiegająca się o laury polityczne zamiast militarnych — poczuwamy się tylko do obowiązku coraz wybitniejszego formułowania naszych własnych zapatrywań. Przekonaliśmy się niejednokrotnie, że jedną z głównych naszych wad politycznych bywa zamęt pojęć, wystawiający nas na pastwę pustej frazeologii, na terroryzm pewnych słów, któremi szermuje szarlatanizm i doktrynerya. Najzgubniejsze rodomontady, naszpikowane należycie ojczyzną, niepodległością, wolnością, równouprawnieniem i tym podobnemi wielkiemi słowami, sprawiały u nas niestety skutek magiczny, paraliżując przekonania i odwagę cywilną. Występować przeciw nadużyciu tych wielkich słów jest obowiązkiem, do którego się zawsze i wszędzie poczuwamy, ilekroć one zgubne dążenia i szkodliwe dobru publicznemu mrzonki zasłaniać mają.

Do takich mrzonek należy powikłanie europejskiego dążenia rewolucyjnego do republiki z sprawą naszą narodową. Mówimy tu o niej nie tylko z przyczyny „Ogniska", ale z przyczyny tu i owdzie napotykanych ustępów w pismach emigracyjnych, z przyczyny takich broszur jak „Wolność hasłem naszem", takich książek jak: „Krótki rys walki zasad w Europie", której recenzya pióra p. B. Kalickiego

w „Przeglądzie polskim“ umieszczona, świeżo przez „Dziennik lwowski“ w grubiański sposób zaczepioną została. Mówimy tu o objawiającem się w pewnej frakcyi galicyjskiej dążeniu do opozycyi *quand même* w imię jakiegoś ogólnego szablonu uszczęśliwienia narodu i ludzkości, opozycyi, która podziela z skrajnemi dążeniami emigracyi namiętność przeczenia wszelkiej pracy, w kraju przedsiębranej.

Nie chcemy przesądzać bynajmniej, czy forma republikancka stanie się kiedyś w Europie powszechną. Być może, iż po przejściach pełnych łez i krwi, po długich obłędach, ludzkość chrześciańska, zapragnie spokojnego bytu w warunkach, które jednostce każdej najlepiej odpowiedzą, które zleją na nią wszystkie dobrodziejstwa społecznego żywota. Dalekie to rzeczy, należące w sferę mistycznych o przyszłości marzeń. Dzisiaj widzimy to, co się republikańskiem w Europie dążeniem nazywa, na drodze, która daleką jest od urzeczywistnienia wysokich aspiracyj świata. Widzimy je rzucające się na kościół i chrześciaństwo, podszczuwające namiętności społeczne, przeczące zasadzie narodowości, wchodzące w sojusz z despotyzmem Moskwy, używające zabójstw i zamachów do przeprowadzenia swoich celów. W imię ogólnego szematu uszczęśliwienia świata obraża ono najrzeczywistsze i najwznioślejsze jego interesa, przeocza jego najistotniejsze potrzeby. W miarę skonsolidowania się państw na zasadzie narodowości upada jego racya bytu, pozostaje mu tylko abstrakcya i namiętność obok bezsiły. W prostej konsekwencyi przeczy to dążeniom najistotniejszym naszego prawa i warunkom naszego narodowego bytu. Powstaje ono na kościół i wiarę naszę prześladowaną, chociaż najobojętniejsi pośród nas uważać ją muszą za stanowczy w życiu naszem narodowem czynnik, powstaje na warstwę historyczną w naszem społecznem układzie, chociaż ta warstwa dotąd przeważną w temże życiu rolę odgrywa. Przeczy naturalnemu rozwojowi społeczeństwa na podstawie dziejowej, na systemie podnoszenia wszystkich z jurydycznego do faktycznego obywatelstwa, doradzając razem z „Ogniskiem“ przewroty socyalne. Sojusznicy jego naturalni — to pokolenie Breindlów w Galicyi, Flotwellów w W. Księstwie, Czerkawskich i Milutynów w Kongresowem Królestwie. Za granicą, gdzie się narody w własne skrystalizowały państwa, gdzie społeczeństwo daleko w rozwoju posunięte nie walczy o pierwsze warunki zachowania się i przetrwania, gdzie szczęśliwym politycznie wolno marzyć o nowych fazach szczęścia społecznego, gdzie pod żelazną tyranią kapitału zrodziły się ciężkie ale słuszne, załatwienia domagające się kwestye socyalne; tam ów skrajny kierunek traci na szkodliwości, tam może uchodzić za jeden z głosów przyszłości

w wielkiej harmonii narodowego życia. Ale gdzie, jak u nas, naród walczy o pierwsze swego bytu warunki, gdzie celem jego najwyższym nie są cele społecznego szczęścia, ale zachowanie się i utrzymanie, gdzie dążeniem jest zgoda wewnętrzna a nie przewroty, zależące od trzecich, wrogich i obcych czynników, gdzie nie ma owych kwestyj, wywiązujących się skutkiem naprzód posuniętego rozwoju, gdzie szyderstwem jest pytanie: jak być? skoro każdy budzi się z pytaniem: czy będziemy? — w kraju, który nawet w chwili, gdyby stał się niepodległym, potrzebowałby szkoły przejścia, szkoły silnego rządu, stawiającego zasadę „*salus populi suprema lex esto*“ na najpierwszym planie, w kraju, który zanarchizowany tradycyami ostatniej przeszłości politycznej i ostatnich konspiracyj, musiałby dopiero wracać do zatraconego pojęcia rządu, w kraju takim aplikować doktryny rewolucyjne i republikanckie, spodziewać się, że one za pomocą gwałtownego przewrotu nas zbawią, jest co najmniej dowodem najzupełniejszej głupoty, dowodem zaślepienia bez granic, jeżeli nie jest wyzuciem się z tego, co się u nas zawsze polskim patryotyzmem nazywało.

Otóż jeżeli w takiej broszurze jak „Wolność hasłem naszem“ spotykamy się z zupełnem przeoczeniem czynnika narodowości, jeżeli w „Krótkim rysie walki zasad w Europie“ obok fantastycznych elukubracyj o sojuszu despotów europejskich, niemogących mieć żadnej pretensyi do nazwiska historyi spotykamy się z morałami, jakby kopiowanemi z Ogniska republikanckiego (z wyjątkiem paragrafu o ziemi jako o wszechni), jeżeli w nim widzieć musimy zidentyfikowanie sprawy rewolucyi z sprawą narodową: czujemy się w obowiązku wystąpić przeciw takim obłędom, nie dla tego, abyśmy łamali kopię za arystokracyą lub szlachtą, żądając dla nich wyjątkowego bytu, nie dla tego nawet, abyśmy przeczyć mieli ideałowi republikanckiego samorządu narodów, świecącemu w oddalonej przyszłości — ale dla tego, że sprawa polska jest dla nas rzeczą istoty a nie formy, bytu a nie formy bytu, że nie chcemy jej podsumować pod żadne dążenie rewolucyjne lub republikanckie dzisiejszego czasu, które od czasu konwentu po dni Garibaldego nas nie rozumiały i w własnych celach chciały u nas gospodarować. Jeżeli nam się przejadły dyplomacye i nadzieje dyplomatyczne, które nas niedawno 200,000 ludzi kosztowały, to po uszy mamy hesperyd rewolucyjnych, któremi nas karmili wynalazcy materaców zabezpieczających i apostołowie ziemi, jako wszechni. Dla tego artykuł p. Kalickiego nie wszedł do kolumn naszego pisma przez „nieprzezorność przypad-

kową", jaką nam grzeczny „Dziennik lwowski", aby tem niegrzeczniej obejść się z panem Kalickim podsuwa. Dla tego nie zmiękczy nas gładki komplement, wypalony jednemu z redaktorów, abyśmy razem z nim nie mieli się przyznać, że umieściliśmy inkryminowany przed narodem artykuł, zdrowi na ciele i umyśle!

Józef Szujski.

MOWY

NA SEJMIE GALICYJSKIM

1868 r.

Mowy te drukujemy z urzędowych Sprawozdań stenograficznych sejmu z r. 1868.

Sejm trwał od d. 22 Sierpnia do d. 10 Października 1868 r.

Posłem na sejm wybrany został Szujski w d. 21 Listopada 1867 r. z większych posiadłości obwodu Sądeckiego. W d. 24 Sierpnia przeznaczył go Sejm do komisyi w sprawie języka w sądach i administracyi, zaś w d. 28 Sierpnia do komisyi edukacyjnej. W obu komisyach pełnił obowiązki sekretarza.

I.

Zwołana za staraniem ministra Beusta rada państwa uchwaliła ugodę z Węgrami i uchwaliła w Grudniu 1867 r. dla krajów niewęgierskich t. z. Cislitawii konstytucyą, która więcej jeszcze centralistyczna od konstytucyi lutowej 1862 r., ograniczała prawa sejmów krajowych.

Gdy następnie zwołano sejmy a między nimi sejm galicyjski, na pierwszem jego posiedzeniu w d. 22 Sierpnia 1868 r. poseł Smolka postawił wniosek, ażeby cofnąć uchwałę z d. 2 Marca 1867 r., a przez niewysyłanie delegatów do Rady państwa wstąpić na drogę biernej opozycyi. Następnego dnia poseł Zyblikiewicz postawił wniosek, ażeby sejm wydał opinią swoją o nowej konstytucyi. Komisya wyznaczona do rozbioru obu tych wniosków, odrzucając wniosek Smolki, wypracowała: 1) projekt t. z. rezolucyi t. j. sformułowanie autonomii galicyjskiej, której urzeczywistnienia delegacya polska w Wiedniu domagać się miała, 2) odpowiedni projekt adresu do Tronu. Nad oboma tymi projektami razem toczyła się na posiedzeniach sejmu z d. 21 i 22 Września dyskusya ogólna. Ku końcu tej dyskusyi zabrał Szujski głos w obronie projektów komisyi w słowach następujących:

Jeżeli głos zabieram, (głosy: głośniej), czynię to po sumiennym namyśle. Czas tego Sejmu jest dla mnie świętym, bo kraj czeka na zbawienne uchwały, nie na szerokie rozprawy. Wczorajsza dyskusya skłania mnie do przemówienia po części może w imieniu tej cichej, nienamiętnej, nieśmiałej opinii kraju, dalekiej zarówno od rzucenia kamieniem jak i od niegodnej Polaków apatyi. Zdaje mi się, że jako ostatni, który się dostałem w wir życia politycznego, mogę powiedzieć słowo pożyteczne, a więc mówię.

Leży przed nami dzisiejsza akcya polityczna, a przy tej akcyi poruszoną została historya lat ostatnich. Padło nie jedno słowo, nie

jeden przytyk, którego dobrze że nie słyszą gotowi zawsze do uciechy z niezgody naszej. Moi Panowie! kraj może mieć słuszną pretensyę do nas, żeśmy tego wszystkiego nie zestawili na zebraniach, gdzie nie ma ani galeryi ani stenograficznych sprawozdań; kraj żąda od nas, abyśmy w tej Izbie wystąpili jako walczący ze złem tego kraju, a nie jako walczący sami z sobą. Takimi wypada nam być bardziej niż kiedykolwiek, bo chwila jest wielkiej ważności. Patrzą na Galicyę oczy całej Polski, najpierw zabranej, sponiewieranej, dźwigającej się z trudnością z długoletniej atonii moralnej, wypadł udział obrony sztandaru narodowego, który umierający poruczyli tym, co przeżyli ostatnie wypadki. Zgodzą się Panowie na to, że godność narodu wzywa nas do baczności na sprawy nasze. Zgodzą się Panowie i na to, nie wątpię, co jest koniecznym wynikiem dzisiejszego politycznego położenia naszego, że nie jako Galicyanie, ale jako Polacy stoimy dziś przy Austryi, bo Austrya dla nas to nie dynastya, która nami rządzi, nie ten lub ów system, dualizm lub centralizm, który w Austryi panuje, Austrya jest dla nas kwestyą ludów środkowej Europy, kwestyą zachodniej cywilizacyi, którejśmy zawsze służyć obowiązani, jest kwestyą ściśle z nami związaną. Jeżeli w tym Sejmie nie chcemy być Galicyanami, ale Polakami, to wyznać musimy, że jesteśmy w smutnym, ale koniecznym aliansie, zachwianego narodu z państwem, odbywającym wątpliwego skutku kryzys odrodzenia.

To jest nasze stanowisko, to musimy sobie powiedzieć.

Z tego więc stanowiska się zapatrując, nasuwa się pytanie, co czynić mamy? Czy jak radzi nasz szanowny weteran polityczny p. Smolka chwycić nam samym tę kwestyę w rękę, aby pchać Austryę mimo jej woli do tego, co się nam jej zbawieniem wydaje, negować jej ustrój dopóty, dopóki ona naszego wymarzonego nie przyjmie ustroju, czekać, aż do naszej apteki domowej nie przyjdzie po medykament [1]).

Niestety dziś tej drogi obierać nie można. Wypadki biegną przyspieszonym pędem po równi pochyłej losów, w historyi żaden dzień nie jest podobnym do drugiego, każda chwila wymaga osobnego traktowania chorób państw i społeczeństw. Gdyby dnia 2 marca wystąpił był p. Smolka z taką siłą, z jaką występuje dzisiaj, gdyby

[1]) Na posiedzeniu z dnia 21 Września bronił Smolka swego wniosku wbrew wnioskom komisyi i sformułował program urządzenia Austryi na zasadzie federacyi czterech grup państwowych, na które ją dzielił.

wówczas, gdy trzeszczały wiązania państwa, gdy co dni kilkanaście wychodziły z Wiednia stanowcze a różne rozporządzenia, zatrzymał był wędrówkę narodów do rady państwa, albo nad temi wędrówkami był objął komendę, możebyśmy do tego czasu mieli związek federacyjny, podczas gdy mamy dualizm.

Den Nagel auf den Kopf treffen, znaczy obrać chwilę stosowną. Od tego czasu zmieniło się wszystko: Węgrzy zdobyli sobie odrębne stanowisko, Czesi rzucili się w karkołomną politykę oscylującą między panslawizmem moskiewskim z jednej, a rozbudzeniem namiętności narodowych z drugiej strony, i stanęli na historycznem prawie przywalonem stosami kości na pobojowisku pod Białą Górą i mrowiskiem kolonij niemieckich, silnych przemysłem i majątkiem. My stoimy w obec konstytucyi uchwalonej, w obec zgody z Węgrami dokonanej, a zupełne przeoczenie położenia naszego tylko mogłoby nas popchnąć do podawania Austryi niestrawnego lekarstwa, które sprowadziłoby na karki nasze podwójną nieprzyjaźń Niemców i Węgrów.

Jakkolwiekbądź istnieje w Austryi nowy porządek. Chcąc go obalić, trzeba mieć siłę, chcąc zmienić, trzeba mieć czas. Sił wewnętrznych nie mamy, o siły nasze polityczne jako Polaków dbać nie będą, jeżeli trudności jako Austryacy stawiać będziemy. — Czas nie zależy od nas. Nie mamy czasu na długoletnie polityki austryackie. Trzeba żądać, co się nam po prawie naszem jako Polakom należy, trzeba się oświadczyć za tem, czego poparcie jest nam pożądanem.

Wśród takiego położenia rzeczy żądamy od akcyi politycznej, aby była akcyą legalności a nie wywrotu, aby żądała rzeczy potrzebnych tak dla nas, jak i dla Austryi. Przekonany, że autonomia nasza będzie jedną siłą więcej dla Austryi, że całość Państwa zależy od tego, aby nam było lepiej, żebyśmy byli panami u siebie — przyłączyć się muszę do adresu i wniosku [1]) — bo adres i wniosek stoi on na stanowisku legalnem podług §. 19 statutu krajowego, oświadcza, że dla całości państwa autonomia nasza jest potrzebną.

Popieram adres i wniosek, bo w nich widzę gwarancyą, że nasza delegacya wedle wymagań konstytucyi do rady państwa wysłana, odpowie życzeniom kraju, ugrupowana około sztandaru, o którym p. Skrzyński wspominał, że będzie moralnie obowiązaną złożyć mandaty, gdyby rada państwa nie pomna na dobro państwa, na oślep pędziła do centralizacyi. Ale nie myślę, aby to się stać miało,

[1]) t. j rezolucyi.

abyśmy z wniosku naszego nie mieli osiągnąć znakomitych korzyści. Nie dobra chęć Niemców, ale siła wypadków przemawia za nami. Siła nasza jest nasze polityczne położenie, jestto, że jesteśmy Polakami, jak się ks. Sapieha wyraził. Siły te stracimy, jeżeli w ostatniej tej może chwili afirmacyjnej polityki naszej tę politykę opuścimy dla jakiejś ułudnej idei, której wykonanie nie od nas zależy. Rozbijaliśmy już dosyć głowę naszą o rzeczywistość, ale czyniliśmy to dla całości idei naszej narodowej, nie czyńmyż tego samego dla państwa, którego interes teraz wprawdzie z interesem naszym koincyduje, ale do którego własnowolnie przyłączeni nie zostaliśmy. Co do mnie, nie chciałbym dla radykalnej kuracyi tego państwa poświęcać kilka nawet miesięcy, którychbyśmy na drodze organicznej pracy lepiej użyć mogli. Kuracyi nie przeprowadzimy, a kraj nieobliczone poniesie szkody. Ale jeżeli nie rozumiem dziś tej gwałtownej chęci zbawienia Austryi w obec jej woli, nie rozumiem także, dla czego w każdej chwili nie moglibyśmy powiedzieć tego, co jest naszą myślą i potrzebą. Szanuję zasługi i nie wątpię ani chwilę o uczuciach polskich hr. Gołuchowskiego, przyklaskuję niejednej głębokiej choć gorzkiej prawdzie, którą nam wypowiedział,[1]) ale konstatować muszę, że nie przeczył on legalności naszego zamierzonego czynu, i że podniósł tylko niektóre rzekome kontradykcye w adresie i wniosku, że nareszcie zarzucał, iż wniosek i adres nie są dostatecznie wykończone i doskonałe.

Na pierwsze odpowiadam, że wypowiedzenie potrzeb kraju jest koniecznem w chwili, kiedy pan kraju kraj nasz odwiedza, aby się dowiedzieć o jego potrzebach. Monarsze konstytucyjnemu służyć się powinno prawdą, bo konstytucyi podstawą jest jawność i prawda. Gdyby nam tego rząd zaprzeczył, to rząd ten, a nie my godziłby na konstytucyę!

Ale szanowny poseł zarzuca niedokładność pracy komisyi. Wie on wszakże lepiej jak my, że nie tak łatwo o doskonałość pracy w izbie, wie także, jak niebezpieczne są poprawki, choćby przy ustawie drogowej. Inaczej być nie może, niedoskonałość naszej pracy będzie tylko odbiciem naszego stanu. Niesłusznem wszakże nazwę, jeżeli szanowny poseł wspomnienie o zgodzie z Węgrami obok krytyki konstytucyi poczytuje za błąd, zapewne jak i nam, bo chodzi mu o afirmacyę tego wszystkiego, co się dla całości i siły państwa stało. To samo, co mówić się odważę o krytyce żądania naszego zniesienia bezpośrednich wyborów — bo nie będą potrzebne, jeżeli

[1]) Bezpośrednio przed Szujskim.

stawiając warunki zadowolenia, stawiamy oraz żądanie usunięcia bezpośrednich wyborów, jako środka na niezadowolonych. Z mowy nareszcie jego Exc. biorę assumpt naglenia Izby, aby wniosek i adres jeżeli można en bloc przyjęła, najpierw dla tego, iż długie doświadczenie uczy, że poprawki psują robotę komisyi, zamiast ją naprawić, potem z powodu, że przyjazd Naj. Pana każe nam się spieszyć z wypowiedzeniem naszych życzeń, a co bezpośrednio czerpię z mowy Jego Excellencyi, dla tego, żeśmy nie wyczerpali nawet naszego zakresu działania dzisiaj nam przysługującego, że czekają na nas kwestye najważniejsze, jak ustawa o seminaryach, o fundacyi i nadzorze szkół, o wykupnie prawa propinacyi. Wielka polityka wątpliwego i niezależnego od nas skutku, zabrała nam najlepszy czas sejmu: kraj żąda od nas, abyśmy dla jego dobra nasz dzisiejszy ustawodawczy zakres ile możności wyczerpali.

II.

W d. 23 Września 1868 prowadził Sejm dyskusyą nad projektem rezolucyi, a w d. 24 Września ją uchwalił. Przystąpiono do oddzielnej dyskusyi nad adresem. Z odmiennym projektem adresu wystąpił Ludwik Skrzyński, a po nim przemówił Szujski w obronie projektu komisyi jak następuje:

Byłem wprawdzie za przyjęciem tego adresu jako uchwały en bloc, bo obawiałem się, żeby rozmaite poprawki rzeczy nie popsuły, jak się to zwykle dzieje. Teraz obawa minęła, albowiem uchwała (t. j. Rezolucya) jest rzeczą dokonaną. Przemówienie p. komisarza rządowego tak przy początku uchwały, jakoteż wśród uchwały przy każdym punkcie przekonało nas, że w istocie nie możemy się spodziewać, ażeby nasze żądania w tym wniosku wypowiedziane prędki odniosły skutek. Z tego czerpię przekonanie, że tembardziej pilnować należy, żeby w drugim akcie, to jest w adresie było nasze stanowisko jak najwyraźnej odrysowane. — Chodzi o to, żeby myśl nasza, którą wypowiadamy w uchwale, równie dobitnie była w adresie wyrażoną. Podług mnie adres przez komisyę proponowany zupełnie temu zadość czyni, bo wychodzi ze stanowiska narodowego, ze stanowiska naszej przeszłości; żąda nareszcie samorządu i mówi, że ten samorząd narodowy jest niezbędnie potrzebny ze względu na całość Monarchii. Takim sposobem myśl nasza jest w całości w adresie wypowiedzianą. W jednym tylko punkcie adresu, zdaniem mojem, nie jest wypowiedziana cała myśl nasza. Powiedziano tam, że chcemy mieć Monarchię potężną i kwitnącą, a nie wypowiadamy życzenia wolności, że chcemy ją mieć wolną. Nie powiadając, że chcemy zo-

stać na drodze konstytucyjnej, iż żadnej innej drogi sobie nie życzymy, zostawiamy naszym nieprzyjaciołom broń, którzy i tak nazywają nas partyą szlachecką, feudalistami, po prostu nieprzyjaciółmi wolności. Zwracam uwagę Panów na to, że w konstytucyi grudniowej nie to jest złem, (na to się wszyscy godzicie), że jest konstytucyą nadającą nam wolność, tylko to, że owa wolność nie jest zastosowana do naszych potrzeb narodowych; iż narodowość i potrzeby narodowe są zupełnie pominięte, pomimo że wypowiedziano w niej ogólnikiem równouprawnienie narodowości. Trzeba zatem, abyśmy wypowiedzieli kontradykcyę jawną, panującą w ustawach, które nadają nam wolność polityczną, przy której my jako naród wiernie stać chcemy, ale nie czynią zadość potrzebom narodowym, a to tem bardziej zdaje się potrzeba, że w wypadku, jeżeli uchwalimy adres tak, jak przyjęliśmy rano uchwałę, wtedy niezawodnie w całym świecie nieprzyjaciele a w szczególności niemiecka większość głosić będą, że my dla tego potępiamy konstytucyę, bo chcemy ścieśnić zasady wolności politycznej, że chcemy ustawodawstwa karnego, ażebyśmy kary zaostrzyli; — że chcemy dla siebie prawa obwieszczenia ustaw zasadniczych na to, ażebyśmy im kłam zadali. — Chodzi zatem o to, ażeby im broń z ręki wydrzeć i powiedzieć im, że my stojąc przy wolności politycznej, nie jesteśmy z niej zadowoleni, ponieważ jest tego rodzaju, iż nie pociąga za sobą warunków rozwoju narodowego.

Co się tyczy proponowanej zmiany adresu przez posła Skrzyńskiego, to z nią zgadzałbym się o tyle, o ile ona od adresu proponowanego przez komisyę mało się różni. Uważam, że tylko jeden ustęp w redakcyi komisyi t. j. ustęp 4. w redakcyi posła Skrzyńskiego jest opuszczony. W następnych ustępach nie ma tak wielkiej różnicy pomiędzy jednym a drugim. Ustęp ten jest poświęcony wspomnieniu, że byliśmy niegdyś częścią potężnego państwa, a pomimo losu, jaki spotkał naszą ojczyznę, nie przestaliśmy być organiczną częścią całego narodu. Pan Skrzyński wypowiedział obawę, ażeby ta część adresu proponowana przez komisyę nie była w sprzeczności z politycznem położeniem. W przemówieniu pana Skrzyńskiego ta rzecz nie jest bliżej wytłumaczoną, i dlatego nie mógłbym się zgodzić na opuszczenie tego ustępu. W każdym razie stawałbym przy szczegółowej dyskusyi za koniecznem umieszczeniem poprawek dwóch a to jest, ażeby było powiedzianem: Austrya wolna, potężna i kwitnąca; następną poprawkę pozostawiam sobie przy specyalnej debacie [1]).

[1]) Pierwszą poprawkę przyjęto, drugiej Szujski nie postawił.

III.

Na posiedzeniu Sejmu w d. 4 Września 1868 wniósł poseł Czerkawski projekt ustawy o stosunku szkół ludowych do władz nadzorczych, zaś w d. 9 Września wniósł Rząd projekt ustawy o nadzorach miejscowych i powiatowych nad szkołami ludowemi. W dniu 8 Października przedłożył Szujski jako sprawozdawca komisyi edukacyjnej Sejmowi projekt ustawy, ułożony na podstawie obu wniosków poprzednich (alegat LX Sprawozdań sejmu z 1868 r.), a zamykając dyskusyą ogólną przemówił w słowa następne:

Zarzuty, które pracę komisyi w ogólnej debacie spotkały, tyczą się kwestyi najwyższej, religijnej, i kwestyi materyalnej. Szczerze muszę wyznać, że tak komisya jak i sprawozdawca najmniej byli przygotowani na zarzuty ze strony kwestyi religijnej. Zdawało się komisyi, że stała na gruncie tradycyj naszych, że ustawa jej w niczem nie ubliżała ani religii, ani kościołowi. Starała się, aby wpływ religii i kościoła na wychowanie publiczne, a w szczególnym tym wypadku, na szkoły ludowe utrzymać, aby jak dotąd tak i nadal kraj mógł rachować na gorliwość dusz pasterzy obu obrządków w kraju. Tymczasem właśnie z tej strony zarzuty przeciwko pracy komisyi słyszeć się dały. Mógłbym w obronie wskazać na współczesne sprawozdania, projekta do ustaw i ustawy, zapadłe w innych sejmach koronnych Cislitawii, które niezawodnie są różne tak co do tonu, jak i co do samej rzeczy, od ustawy i sprawozdania tutaj przedłożonego. Nie chodziło komisyi, jak tam często owym sejmom chodziło o to, aby się przyłączyć do chórów tych, które dziś walczą z kościołem i religią. Wychodziła komisya z przekonania, że u nas tych wszystkich kwestyj nie ma, że te wszystkie spory są u nas nie na miejscu, że kraj cały jest w najlepszem porozumieniu i stosunku z istniejącym kościołem. Mowca p. Czerkawski wyręczył mnie w określeniu stanowiska, na którem stanęła komisya: stanowisku uszanowania dla kościoła, stanowisku rachującego się zarazem z wymaganiami czasu. Dodałbym z mojej strony, że niesłuszne są obawy ks. Stępka, jakoby ustawa, którą przedkładamy, w czemkolwiek religii szkodliwą być mogła. Zwracam uwagę, że podczas gdy rady szkolne miejscowe (w pierwszym tytule ustawy) nie mają wcale wpływu na kierunek nauk w szkołach, a wpływ ich ograniczony do nadzorowania stanu ekonomicznego szkoły, aby przepisy tyczące się szkoły, jej materyalnych stosunków, dokładnie wykonane były, w §. 15. tej ustawy, o radach szkolnych miejscowych, dusz pasterze miejscowi mają wpływ na naukę religii, dozorują tę naukę!

Nie widzę przeto wcale tej przyczyny, dla czego ks. Stępek i ks. Guszalewicz niepokoją się.

Z drugiej strony zaczepiają pracę komisyi z tej przyczyny, że kładzie ona na barki kraju nowe koszta. Mianowicie p. Kowbasiuk i ks. Guszalewicz narzekają na to. Już p. Czerkawski wykazał, że projekt ten wcale nie jest kosztowniejszy od projektu rządowego, że wcale większych kosztów krajowi nie przysparza.

W końcu muszę się zwrócić do zarzutów postawionych przez p. komisarza rządowego. Pierwszy zarzut tyczy się podziału na okręgi szkół. P. komisarz rządowy utrzymuje, że powiaty polityczne powinny stanowić zarazem terytoryalne granice dla rad okręgowych szkolnych. Ja jednakże muszę się odwołać do ustawy z dnia 25 maja 1867 roku, w skutek której właśnie ta praca ustawodawcza przed nami leży. Ustawą ta w §. 10 powiada (czyta): „Ustawodawstwo krajowe uskuteczni podział kraju na okręgi szkolne".

Po niemiecku brzmi ten paragraf tak: (czyta) „Die Eintheilung des Landes in Schulbezirke erfolgt durch die Landesgesetzgebung".

Zdaje mi się, że ten ustęp bardzo wyraźnie przemawia za naszem pojmowaniem rzeczy. Komisya nie myślała, ażeby dla tego, że tutaj przypadkiem jest powiedziane „Schulbezirk", żeby przez to miał być rozumiany polityczny powiat i tembardziej tego przypuścić nie można, że dalej powiedziano: „Die Eintheilung der Schulbezirke erfolgt durch die Landesgesetzgebung".

Gdyby ustawa była sobie tego życzyła, żeby polityczne powiaty były zarazem powiatami szkolnymi, to byłaby sobie to zastrzegła, a ponieważ nie uczyniła tego, jesteśmy w prawie oznaczyć granice szkolnych okręgów wedle naszego własnego zdania.

Muszę więc obstawać przy prawie Sejmowi przyznanem, iż podział ten przysłuża ustawodawstwu krajowemu. Co się tyczy kosztów, a mianowicie kwestyi inspektorstwa szkół, to pozwoliłbym sobie nie tylko ze strony kosztów, ale i ze strony niemożebności wykonania zakwestyonować projekt rządowy. W §. 15. tego projektu rządowego czytamy (czyta):

„Do nadzorowania dydaktyczno-pedagogicznego stanu szkoły, Rada powiatowa ustanowi fachowego członka Rady szkolnej miejscowej jako miejscowego inspektora szkolnego. Inspektor szkolny miejscowy ma się ciągle znosić z dyrektorem szkoły.

Jeżeli przy tem między nimi powstanie różnica zdań, to każda strona jest upoważnioną udać się do Rady szkolnej powiatowej po rozstrzygnięcie.

"W szkołach gdzie jest więcej nauczycieli, inspektor szkolny miejscowy ma prawo być przytomnym konferencyom nauczycielskim.

Gdzie czynność Rady szkolnej miejscowej rozciąga się na więcej szkół, tam można ustanowić do dydaktyczno-pedagogicznego nadzoru tych szkół dwóch inspektorów szkolnych miejscowych.

Inni członkowie Rady szkolnej miejscowej mają także prawo odwiedzania szkół, aby się przekonać o ich stanie. Prawo wprowadzenia potrzebnych zarządzeń nie służy wszakże pojedyńczemu członkowi, tylko całości Rady."

Podług mnie wykonanie tego paragrafu przy składzie Rady szkolnej miejscowej, jak ją proponuje przedłożenie rządowe, jest rzeczą niemożebną. Według tego projektu ma być na inspektora szkół ustanowiony fachowy członek Rady szkolnej, oczywiście co do osoby inny od miejscowego nauczyciela. Taki inspektor ma wedle §. 15 utrzymywać stosunek z dyrektorem tej szkoły, pytam się, jakim sposobem można znaleść fachowego członka Rady szkolnej do wykonania tego inspektorstwa, jeżeli się nie weźmie nauczyciela miejscowego, a niepodobna znowu, żeby on mógł być inspektorem, bo musiałby sam sobie inspektorować.

Co się tyczy inspektorstwa powiatowego, to już przyznał sam p. komisarz rządowy, że chociaż inspektorowie ci nie będą pobierać rocznej płacy, to jednakże pobierać będą pauszale i dyety. Jeżeli byśmy zaś porachowali, ile wyniosą te pauszalia i dyety w 74 powiatach, to niezawodnie suma ta nie będzie mniejsza od tej, którą wymagać będzie danie pensyj 12tu nadzorcom szkolnym proponowanych przez komisyę. W każdym wypadku, jakto słusznie przypuścić można, koszt będzie bardzo znaczny, a jeżeliby był równy w obu wypadkach: to trzeba wtedy dobrze zważyć, który rodzaj tych dwóch instytucyj byłby odpowiedniejszy. Sądzę, że ustanowienie takich 12 inspektorów dla szkół ludowych w każdym powiecie będzie z większym pożytkiem.

Otóż komisya rachując się z trudnościami wynalezienia zdolnych indywiduów, jak nie mniej ze stanem szkół dzisiejszych musiała ograniczyć się do bardzo małej liczby inspektorów, tem bardziej że żadnym sposobem nie mogła przypuścić, żeby tych 12 inspektorów miało więcej kosztować jak wedle projektu rządowego proponowani. Z tych powodów muszę zalecać Wys. Izbie przyjęcie ustawy wedle wniosku komisyi.

Przy dyskusyi szczegółowej przemówił Szujski obszerniej do §fu 2go projektu:

Bardzo mi przykro, że muszę wypowiedzieć podejrzenie moje, że główny oponent p. Skrzyński ustawę o Radzie szkolnej dokładnie czytać nie musiał, gdyż niezawodnie nie byłby nam takich zarzutów uczynił.

Twierdzi on, jakobyśmy przez ustawę nie prawnie gminom ten nadzór narzucali, jakobyśmy nadzór ustanawiali, którego przed tem wcale nie było. Ja się muszę odwołać do wszystkich, że nadzory takie w gminach istniały, że istniał nadzór duchowny i nadzór polityczny. Ten nadzór został zniesiony i nie może już istnieć po prawie z 22 maja, na miejsce tego nadzoru potrzeba nam było tedy pomyśleć o innym. Jeżeli ten nadzór istniał, jeżeli on nie naruszał praw gminy i gmina przeciw temu nie protestuje, to nie widzę dla czego nadzór nasz ubliżałby prawom gminy. Nadto komisya wychodziła rzeczywiście ze stanowiska rachującego się z istniejącemi instytucyami gminy, bo podczas gdy według przedłożenia rządowego Rady miejscowe pochodzą z nowych w gminie dokonanych wyborów, to według przedłożenia naszego, zasiada w Radzie szkolnej miejscowej komitet konkurencyjny, jako ciało już dotąd pilnujące interesów szkół, dla tego, aby tego ciała na boku nie pozostawić, ażeby zapewnić sobie można jego współudział w czynnościach tego nadzoru.

Zwracam uwagę, że wszystkie czynności, wymienione w §. 14, które przysługały dotychczas komitetom konkurencyjnym, te wszystkie i nadal wykonane będą przez te komitety konkurencyjne, bo wyraźnie powiedziano:

„Czynności od 1 do 7 punktu §. 14 wykonywa komitet konkurencyjny".

Nie ma więc obawy, ażeby układając ustawę o nadzorach, myślano o jakimkolwiek zamachu na prawo gminy.

Co się tyczy dusz pasterzy, to także nie widzę, ażeby im w czemkolwiek się ujma działa, albowiem w takiej Radzie szkolnej miejscowej zasiadają nietylko dusz pasterze tych parafij, która w całości wchodzi w obręb nadzoru miejscowego, ale jeżeli w takim obrębie pewna część dzieci ma innego dusz pasterza, to i ten dusz pasterz wchodzi do Rady szkolnej. Nie można więc było uwzględnić tych wszystkich okoliczności, jak to staranniej właśnie uczynił projekt komisyi.

Przeciwnie, muszę ja podnieść, że właśnie projekt pana Skrzyńskiego zapoznaje stosunki tem wiejskie, że nasz projekt z tymi stosunkami lepiej się rachuje. Wyobraźmy sobie tę rzecz praktycznie, pomyślmy sobie gminę, w której nie ma księdza, bo nie ma w niej parafii, gminę, w której wszakże jest szkoła. W każdej takiej gmi-

nie według myśli posła Skrzyńskiego trzebaby złożyć osobną Radę szkolną miejscową, któraby się trudniła temi wszystkiemi czynnościami, §. 14 poszczególnionemi, któraby miała pilnować, ażeby szkoła pod każdym względem celom nauki i wychowania odpowiadała.

Czy można przypuścić, ażeby w takim stanie rzeczy można w owej gminie taki skład Rady szkolnej znaleść, któryby tym celom odpowiadał.

Myślę, że nie. Często w takich wypadkach bylibyśmy w trudnem położeniu; spodziewalibyśmy się, że się światło z ciemności wydobędzie, chociaż żadnych po temu nie ma warunków. Moi panowie! nie kręćmy się w błędnem kółku, nie żądajmy, aby dla jakiegoś niesłychanie skrupulatnego szanowania wolności gminy, — której tu zupełnie obrażonej nie widzę — przeszkadzać sobie w ustanowieniu takich nadzorów, jakie nas do celu prowadzić mogą, nie chciejmy stawiać niemożebnych instytucyj, bo istotnie Rada szkolna miejscowa w obec takich Rad szkolnych miejscowych nie mogłaby na krok posunąć naprzód szkół ludowych i oświaty ludowej.

W petycyach, które tu na stole leżą, mógłbym znaleść nie jeden dowód, że właśnie komisya jak najsłuszniej i jak najsprawiedliwiej zapatrywała się na stosunki naszych szkół wiejskich.

Wszystkie te petycye nauczycieli wiejskich jednego żądają, t. j. żądają zmiany stanu dzisiejszego, wszyscy utyskują na jedno, że z komitetami konkurencyjnymi, jakie dzisiaj istnieją, i z gminami nie mogą do końca trafić, że nie mogą swoich należytości otrzymać od nich, że są z niemi w ciągłych sporach o tę płacę.

Więc pokazuje się, że stan tak ważny i godny wszelkiego poszanowania, nie tylko jest źle dotowany, ale że nie ma nikogo, któryby im zabezpieczył przynajmniej konieczne warunki życia, któryby pilnować umiał, ażeby każdego ta drobna cząstka doszła, która mu się należy. Jeżeliby podług myśli posła Skrzyńskiego poszło, to w takich miejscowościach, gdzie nie ma warunków, aby owa Rada szkolna miejscowa umiała ocenić ważność zadania nauczycieli — nie będzie nigdy dobrej szkoły. Nie wiem, czy się panowie na dłuższe trwanie takiego stanu rzeczy zdecydować mogą.

Projekt komisyi rachując się z tym rzeczywistym stanem naszego kraju, oddaje on Radzie szkolnej krajowej prawo, ażeby ona sama rozpatrzywszy się w stosunkach miejscowych przez swoich wysłanników, tak daleko zatoczyła obręb, dla Rady szkolnej miejscowej, aby w tym obrębie mogły się znajdować siły do wykonania nadzoru. Jeżeli wszakże siły te się znajdą, wtedy wyraźnie mówi

§. 2, że może być ustanowiona Rada szkolna miejscowa w gminie, chociażby taż gmina 2000 ludności nie miała.

Gdzie będą te warunki, tam będzie Rada szkolna krajowa zapewne bardzo zadowoloną, że dla jakiejś szkoły osobny zarząd się ustanowi. Z tych przyczyn więc obstawałbym jak najmocniej przy §. 2 w interesie dobra szkół naszych.

Sejm przyjął jednak projekt ustawy z poprawką posła Skrzyńskiego.

PRZED PODJĘCIEM

SPRAWY UCHWAŁY SEJMOWEJ.

Artykuł ogłoszony w „Przeglądzie polskim“ w zeszycie Styczniowym 1869 r. w Krakowie.

Że w ciężkich żyjemy czasach, czujemy wszyscy. Możemy zawołać z Hamletem, że epoka nasza uległa bolesnej a nienaturalnej kontorsyi, a nie możemy dokończyć jak on, iż powołani jesteśmy do przywrócenia jej naturalnego położenia. Jeżeli w dusznej atmosferze Europy Austrya jest państwem o najgęstszem powietrzu, to Galicya nasza odznacza się dzisiaj najduszniejszą w Austryi atmosferą. I nie zewnętrzne tylko stosunki czynią atmosferę Galicyi tak duszną: złożyły się na to i wewnętrzne. Skutki tego stanu widzimy na umysłach, niepewnych, apatycznych, a trawionych cichą gorączką. I zaprawdę, tylko obfite, że się tak wyrażę, moralnego powietrza zaczerpnięcie, tylko zdobycie się na energię przez ludzi znakomitszych siłą ducha w kraju, może prowincyę naszę poprowadzić na drogę odpowiadającą ważności wewnętrznego i zewnętrznego położenia.

Prowincya nasza, jedna z najdawniej od ciała rzeczypospolitej oderwanych, ma za sobą przeszłość smutniejszą niż którakolwiek z dawnych jej części. Dziwnem zrządzeniem losu przyszło jej odetchnąć wolniej w czasach, gdy siostrzane jej ziemie, niegdyś w lepszych zostające stosunkach, doznają ucisku sroższego zapewne niż ten, który przecierpiała, ale w skutkach swoich niewięcej doniosłego. Obładowana jeszcze całym ciężarem wiekowej spuścizny niedoli, walcząca z skutkami długotrwałymi haniebnej administracyi, której była ofiarą, widzi się ona od kilku lat wysuniętą na czoło narodowej pracy, w której słusznie czy niesłusznie, za ostatnią uchodziła. Dosyć zapewne przyczyn, aby usprawiedliwić wewnętrzny niepokój i nerwowe niejako rozdrażnienie Galicyi, podsycane starannie niesłusznemi inwektywami ludzi nieznających jej stosunków, a wyrokujących wygodnie z patryotycznego piedestalu.

Bądź co bądź, weszła Galicya od pamiętnego adresu r. 1861 na drogę, która od 1815 roku w Polsce była zarzuconą, która w latach następnych w Królestwie polskiem inaugurowana, przez ówczesny

ruch polityczny odepchniętą i uniemożebnioną została. Widząc sprowadzone wypadkami zmiany w monarchii, do której niewłasnowolnie należeli, postanowili Polacy w Galicyi upomnieć się o swoje prawa narodowe i warunki lepszego rozwoju, a to nie przesądzając przyszłości, ale warując się zarazem przeciw zarzutom exploatacyi stanu rzeczy ku celom przewrotu istniejących stosunków. Położono nacisk na pewne historyczne związki, na pewne rzeczywiste interesa łączące nas z dynastyą, w środkowej Europie panującą, a wypadki które nastąpiły, podniosły tę stronę stanowiska Galicyi do znaczenia, jakiego się nikt spodziewać nie mógł. Pogrom powstania polskiego i postępujące za nim wykorzenianie narodowości polskiej i katolicyzmu, obok podniesienia myśli rasowości słowiańskiej przez Rosyę i pogrom Austryi w r. 1866 kwestyonujący jej dalszy byt wobec pangermanii i panslawii, uderzył umysły wszystkich taką oczywistością niebezpieczeństwa, że owo delikatne w r. 1861 nawiązanie polityki austryacko-polskiej wydało się w 1866 poparte tysiącoma względami i samą rzeczy naturą.

Po całym prawie wieku polityki idealnej, która korzyści wewnętrzne ofiarowywała wyznawstwu idei niepodległości, która wszystko na kartę dla tego wyznawstwa stawiała, zdecydowali się Polacy w Galicyi do kilkakrotnego oświadczenia się z spólnością swoich interesów z jednem z państw rozbiorowych i to nie z prowincyonalnych ale polskich pobudek. Wzniesiono się nad ową drażliwość uczuciową, która nie pozwalała łączyć interesu nieprzyjaznego niegdyś państwa z interesem własnym, która w pewnem ascetycznem wyznawaniu idei niepodległości upatrywała całość i niepokalaność myśli narodowej. Musiano sobie powiedzieć oczywiście, że bądź co bądź, Polska rachować się musi z rzeczywistością swego otoczenia, z sąsiedniemi państwami i ludami, że chcąc wejść w rachunek stosunków europejskich, trzeba przy czemś stanąć, trzeba unikać napowietrznego między niebem i ziemią stanowiska, trzeba trzymać z kimś, aby ktoś w danym razie przy nas stanął. Aliant naturalny, którego losy nam przeznaczyły, nie był świetny, bo był niemal tyle zakwestyonowany co my sami, bo znajdował się i znajduje w chwili przejścia, z której na rozwój i upadek jednako prawdopodobny otwiera się prospekt. Trzeba to w istocie przypisać polskiemu szczęściu, że polityka pozytywna, która bądź co bądź, byłaby nas w porozbiorowem życiu daleko dalej zaprowadziła, a to nie przesądzając bynajmniej najwyższemu i najnaturalniejszemu dążeniu historycznego narodu, do odzyskania politycznego bytu, trzeba to, mówię, przypisać polskiemu szczęściu, że polityka pozytywna galicyjska

objęła inwentarz sprawy w stanie tak rozpaczliwym, jakim w istocie nigdy nie bywał, a objęła go w chwili powszechnego moralnego znużenia po strasznych wypadkach lat ostatnich.

Poślubiając za zgodą ile nam się zdaje powszechną, bo o sympatyach Polaków za granicami Galicyi wątpić w tej mierze nie możemy, a protestacyi i przemądrzań skrajnych stronnictw emigracyjnych uwzględniać nie widzimy potrzeby — poślubiając mówię kwestyę środkowej Europy czyli austryacką, znalazła się polityka polsko-galicyjska w trudnem położeniu między polskim a prowincyonalnym swoim charakterem, między spuścizną ogólną sprawy polskiej a spraw prowincyonalnych.

Pierwszy obowiązywał ją do przyłożenia ręki do jak najspieszniejszego i najskuteczniejszego zorganizowania Austryi, do zdobycia sobie czynnego udziału w tej organizacyi. Nie wystarczało tu oświadczenie się przy tronie, wypadło zdobyć sobie stanowisko politycznego czynnika w monarchii, wypadło, nie zrażając się trudnościami, użyć sił politycznych kraju do zaważenia na szali częstych przewrotów austryackich. Wzorem winni tu byli być Węgrzy, którzy nie opuścili żadnego środka, aby zdobyć sobie owe poważne stanowisko, które obecnie zajmują. Nie wystarczało tu exploatowanie Austryi dla sprawy, bądź polskiej, bądź galicyjskiej, nie wystarczało przyczepienie się do jednego lub drugiego z wojujących politycznie w Austryi obozów: należało na gotowym, jasnym i jawnym programie rozpocząć robotę samodzielną, rachującą się ze wszystkimi czynnikami monarchii a dążącą niezmiennie do celu silnej i wedle owego programu uorganizowanej Austryi. Programu tego zabrakło, a przynajmniej zabrakło zgody na jeden program. Jeżeli dobrze rozumiemy rozpołożenie dwóch stronnictw w okolicy pamiętnego dnia drugiego Marca [1]), charakter ich redukował się do odpowiedzi na pytanie, czy nam jako Polakom wypada stawiać program dla niegotowej podówczas Austryi, chwytać się sprawy programu tego jako swojej, czy nie podejmując tak ciężkiego trudu, dla którego zresztą dostatecznej pracy i usiłowań rozwinąć nie umieliśmy, przyjmować rezultaty przychodzące z Wiednia i zdobywać dla siebie jak największe przy nich korzyści. Jak wiadomo, chwycił się sejm większością owej drugiej drogi, a mniejszość przyjęła jej konsekwencye. Tu się skończył pierwszy akt naszego działania w Austryi, skończył, jak to swego czasu wypowiedzieliśmy, abdykacyą z czynnej i obejmującej całość sprawy austryackiej polityki.

---

[1]) 1866 r. zob. artykuł Szujskiego o tej uchwale poprzednio drukowany.

Dokonała się tymczasem zgoda z Węgrami i inaugurowanym został system dualistyczny Dostaliśmy się do zachodniej połowy monarchii, zwanej Cislitawią; posłowie nasi zasiedli w Radzie Państwa, która podjęła trud ukonstytuowania jeśli już nie całej, to owej odkrojonej od Węgier drugiej połowy monarchii. W skutek abstencyjnej polityki przyjętej przez Czechów, stanęliśmy w Radzie Państwa w rażącej mniejszości, co bynajmniej nie wykluczało naszej roli reprezentantów nieobecnego autonomicznego i narodowego żywiołu. Największą winą ówczesnej delegacyi naszej było niedostateczne i czysto negacyjne owego żywiołu przedstawianie, największą winą niewygotowanie programu konstytucyi dla krajów cislitawskich, postawionego wbrew temu, który wszedł w życie. Porażka parlamentarna wtedy tylko jest klęską, jeźli się na miejscu walki nie pozostawia po sobie nic, prócz negacyi. Taką klęskę poniosła delegacya mimo wotowania przeciw wszystkim konstytucyjnym grundrechtom, dobrym i złym, przyjmowalnym i nieprzyjmowalnym. Danoż się uludzić obietnicom odrębnego dla Galicyi stanowiska, czy też okadzić owym szczyptom koncesyi, które oszczędną szafowano ręką? — Niewiadomo: to pewna, że jak brak programu dla monarchii nie pozwolił nam zająć przeważnego w monarchii stanowiska, tak po dokonanej zgodzie z Węgrami tenże brak nie pozwolił zająć odpowiedniego stanowiska w Radzie Państwa cislitawskiej.

Cóżkolwiekbądź, znalazł się kraj w obec konstytucyi [1]), która stała się legalną jego dalszego życia podstawą. Konstytucya ta przynosiła mu wolności osobistej więcej, niż jej potrzebował, względem narodowych jego potrzeb albo milczenie zachowywała albo nieprzyjazne, centralizacyjne okazywała dążenia. Najistotniejsze interesa krajowe miały się rozstrzygać tam, gdzie już po wielekroć majoryzowania niemieckiego doznano. Administracya, sądownictwo, skarbowość pozostawały jak dawniej w związku bezpośrednim z najwyższemi w Wiedniu władzami. Organa autonomiczne, sejm krajowy pozostały w starych granicach, aby obok owych władz i reprezentacyi scentralizowanych fungować jako — piąte koło u wozu. Wprawdzie namiestnikiem był jeszcze hr. Gołuchowski, ale któraż społeczność nie zaniepokoi się, jeżeli od trwania na stanowisku lub usunięcia się jednego człowieka zawisło wszystko, a owo trwanie lub usunięcie od kogoś trzeciego zależy.

Zaniepokoiła się zatem i Galicya, i oczekiwała z niecierpliwością sejmu krajowego, który bądź co bądź, w kilku ostatnich se-

[1]) Z Grudnia 1867 r.

syach na dobre spraw krajowych chwytać się począł. Skoro delegacya nie czuła się umocowaną stawiać programatu, skoro pojmować się wolała raczej jako dyplomatyczne ciało do załatwiania bieżących interesów Galicyi w stosunkach jej, że tak powiem zewnętrznych, musiał ten programat postawić sejm objawiając zarazem krajowi, jak się zapatruje na ten dualizm centralistyczno-autonomiczny, powstały z instytucyi czasów Belkredego i konstytucyjnych dogmatów grudniowych. Z ogólno-austryackiego przed drugim marca, z cislitawskiego przed ostatecznem uchwaleniem konstytucyi grudniowej, spadła rola Polaków w Austryi na stanowisko czysto prowincyonalne, którego wyrazem stały się żądania sejmu wypowiedziane [1]) na podstawie §. 19 statutu krajowego, żądania, które mimo oczywistej legalności w formie więcej narobiły wrzawy, jakiejby może nieobeslanie Rady państwa d. 2 marca nie było sprowadziło.

Nie będziemy narzekać, że programata, wnioski, adresy zabrały najpiękniejszy czas sejmowy i zepchnęły z pierwszego planu sprawy najzupełniej w kompetencyi sejmu zostające. Nie będziemy narzekać, że pozbawiły nas drogi utylitarnej do łaskawie usposobionego rządu, którąby nam była niejednej zbawiennej ustawy sankcyę, niejedno pożyteczne rozporządzenie wyjednała. Wina tu największa na rozpoczęciu kampanii od pierwszej sesyi sejmowej przez niefortunny wniosek p. Smolki [2]), pragnący nas pozbawić koniecznej, nawet na błędnej drodze konsekwencyi, która nakazywała wytrwać w legalności, dopóki pozostawała możność objawienia i przeprowadzenia swoich żądań. Odrębne dla Galicyi stanowisko zdawało się tak jasnem, tak koniecznie nakazanem jej położeniem, jej narodowością, jej przeszłością historyczną, jej potrzebami, których bądź co bądź żadna centralna w Wiedniu władza zrozumieć i zaspokoić nie umiała. Przy dobrej woli rządu cislitawskiego, przy dobrych chęciach korony i rozumie stanu ministrów całości monarchii zdawało się rzeczą niemożebną, aby którykolwiek z tych czynników z zapadnięciem kurtyny debat konstytucyjnych, konstytucyę za obsolutną uważał doskonałość, aby przeciwnie zdania sejmów krajowych nie miały stać się nowym materyałem do jej udoskonalenia, do poprawy kroju owej szaty dosyć pobieżnie i nie bez dozy zarozumiałego wszechwiedztwa przez większość niemiecką uszytej. Zamknąć rachunek z ludami monarchii, uszczęśliwiwszy je tylko zaprowadzeniem *Nothcivilehe* i szumnymi frazesami o prawach człowieka — gdy spółcześnie druga

[1]) D. 24 Września 1868 r. z. Rezolucya.

[2]) Zob. wstęp do artykułu poprzedniego.

połowa monarchii z prawdziwą mądrością stanu liczyła się tak skrupulatnie z narodowościami swemi, zamknąć ten rachunek w sztucznym konglomeracie cislitawskim, powstałym przez wydzielenie Węgier a niemającym najpierwszych warunków jakiej takiej jednolitości — dosyć popatrzyć na niesłychaną w kartach geograficznych konfiguracyę cislitawskiego państwa — zdawało się przecież za grubą doktryneryą, za naiwną chęcią odgrzania dawnych germanizacyjnych experymentów, przy których monarchia po kilkakroć nad kraniec przepaści się stoczyła.

Mogły więc i powinny były sejmy cislitawskie stać się dla Cislitawii materyałem do ostatecznego jej urządzenia, do ukończenia budowy, jaka się w Węgrzech dokonała, a to w sposób „ut nec specialitas generalitati, nec generalitas specialitati deroget“ [1]). Zamiast obawy i niechęci, które budziły w niemieckich mężach stanu zasiadających za stołami redakcyjnymi w Wiedniu, powinne one były budzić najwyższe zajęcie, najwyższy interes. W imieniu tych samych praw ludzkich, głoszonych tak pompatycznie, należało ludziom całej Cislitawii, nieprzepuszczonym przez alembik wyborów reichsratowych i niepoddanym przypadkowej większości, nie brać za złe wolnego objawu zdania o robocie wiedeńskiej, ale go pragnąć i zapamiętać jego rezultata; należało nie pojmować się jako monopolistów rozumu i liberalizmu, ale przypuścić, że konstytucya nie jest prelekcyą, którą profesor wygłasza, a której uczniowie słuchają, ale normą życia, którą przyjmujący przywdziać na siebie muszą.

Rozumowanie to, w Galicyi dosyć powszechne, mogło było być dobrodusznem, ale niezawodnie było prawdziwem i politycznem, politycznejszem od wstępnych artykułów i korespondencyi *Pressy*, która w zajęczych potach o całość konstytucyi, pocieszała się nomenklaturą feudalnych i klerykalnych, rzucaną na każdy objaw samodzielnego zdania. Sama nawet w pierwszych dniach sejmu głoszona, a to spółcześnie z pojawiającymi się polskimi programatami, obietnica podróży Najjaśniejszych Państwa do Galicyi, mogła stać się tylko błogą dla kraju otuchą, że podobnie jak monarcha tak i rząd jego wejrzyć raczy w potrzeby traktowanej dotąd po macoszemu prowincyi, bo jużcić w konstytucyjnem życiu przypuścić trudno, aby wypowiedzenie życzeń miało być obrazą dla tronu.

Postawienie zatem wniosku na podstawie §. 19 statutu krajowego było naturalną konsekwencyą politycznej drogi, którą obrano,

---

[1]) Literae juramenti et fidei Augusti II. anno 1697. (p. a.)

konstytucyjnym krokiem jurydycznie; politycznie zaś koniecznością uratowania indywidualności prowincyonalnej przed systemem, który stanął na rozstajnych drogach, między dawną centralizacyjną, łakomą na resztę autonomii, a ustrojem rachującym się z potrzebami odrębnych narodowych i historycznych organizmów przez modyfikacye konstytucyi zaprowadzić się dającym. Jeżeli pewnym cislitawskim sejmom wolno było żądać bezpośrednich wyborów, wolno było galicyjskiemu wyrazić życzenie, aby ten *modus electionis* na zawsze jako fałszywy, tendencyjny i niesprawiedliwy był zarzucony. Same luki w konstytucyi, jej pospieszność i niegotowość zachęcały do chwycenia się jurydycznego §. 19, do dążenia, aby konstytucyę nagiąć i zmienić w sposób potrzebom prowincyi odpowiedni.

Ale i ze względu na politykę polską, był ten krok czysto prowincyonalny jedynem wyjściem z sytuacyi. Ciało parlamentarne nakształt sejmu galicyjskiego nie może mieć swojej polityki spraw zewnętrznych ani stawiać się na astronomicznem obserwatoryum wypadków świata. Polska polityka sejmu galicyjskiego ograniczyć się mogła do trzech punktów: współdziałania w najodpowiedniejszem urządzeniu Austryi, jako środkowo-europejskiego, niezmiernie dla narodowości naszej ważnego mocarstwa, współdziałania, aby toż mocarstwo jak najsilniej na wszelki wypadek stanęło, do starań nareszcie, aby polska narodowość w Galicyi najlepsze otrzymała warunki rozwoju. Wszystkie te względy kłonić je musiały do przedsięwzięcia kroku, któryby stanowisku Polaków w Galicyi odpowiedział.

Pierwszy przypominał jej głoszoną oddawna i przyjętą prawdę, że tylko zadosyć uczynienie potrzebom narodowym, usuwając tarcie wewnętrzne, da Austryi stałą i dostateczną formę bytu, że ta forma, wywalczona przez Węgrów siłą ich politycznego stanowiska i mądrości stanu, zdobywaną być kolejno musi przez upośledzonych, a przyznaną być powinna po słuszności i wdzięczności najpierwej tym, którzy legalną poszli drogą. Każda taka zdobycz, była szczęśliwą antecedencyą dla drugich a więc zbliżeniem ostatecznego monarchii uspokojenia. Odwlekać nie było potrzeby, zacząć była konieczność. Sejm galicyjski, obierając najłagodniejszą formę parcia ku dokonaniu dzieła, zasłużył na wdzięczność i uznanie, bo dawał wskazówkę tym, którzy inną formę obrali. Miara postępowania względem jego postanowień będzie też miarą rozumu stanu tych, którzy dzisiaj u steru stanęli.

Drugi wzgląd łączy się najsilniej z pierwszym a to z dwojakiego względu. Ciążenie pewnych narodowości na zewnątrz może

w stanowczej chwili zadać monarchii cios stanowczy; niezaspokojenie potrzeb prowincyonalnych nie pozwoli nigdy dobyć z prowincyj sił, które w nich jeszcze spoczywają. Na wszelki przypadek, w wszelkich możebnych zawikłaniach najbliższej może przyszłości, nie zdoła rząd centralny wiedeński, oddalony od czasów dawnej epoki centralizacyjnej całym szeregiem zmian organizacyjnych a w skutek tego ani tak silny ani tak doskonały jak owa dawna centralizacya — nie zdoła, mówię, rząd wiedeński być panem społeczeństwa, a tem mniej wyzyskać je dla celów całości i bezpieczeństwa monarchii. W Galicyi nie może on się nawet pocieszać maxymą p. Sacher Masocha: *der Bauer wacht!* bo i lud stracił dawne znaczenie pomocnika dawnych centralistycznych dążeń, dawną wiarę w nieomylność urzędnika, a w większej swej połowie gotów jest wcale innych słuchać podszeptów. Chcąc zatem mieć prowincyę w ręce, chcąc siły jej na wewnętrzny i zewnętrzny pożytek obrócić, chcąc ją wydobyć z długoletniej złej administracyi, podnieść ją ekonomicznie i intellektualnie, chcąc jej przywrócić zaufanie do rządu, chcąc zakończyć z dualizmem wewnętrznym autonomii i centralizacyi i poprowadzić ją na nowe drogi, chcąc aby to uschnięte od skwaru obcych wpływów drzewo, od dołu, od ziemi, od korzeni swoich gałązki puszczać zaczynało, musiał sejm żądać czego żądał, a nie było frazesem, gdy mówił wtedy o dobrze zrozumianym interesie monarchii

Takim sposobem zeszedł się w akcie czysto prowincyonalnym interes polski z interesem galicyjskim, chociaż konsekwencye polityki prowincyonalnej sprowadziły akt ten w chwili, w której zdaniem wielu stawać on miał na opak pożądanej podróży cesarskiej. Najbliższa przyszłość okazała, że tak nie było, że inne, wyższe względy wpłynęły na zmianę cesarskiego postanowienia, niedającego się zapewne zachwiać zwyczajną i konieczną funkcyą parlamentarnego ciała. Bezpośrednim skutkiem wniosków sejmowych była za to bolesna dla kraju strata Namiestnika [1]), który występując przeciw niejednemu punktowi żądań, nie mógł ani legalności kroku ani potrzebie najistotniejszych punktów jako najkompetentniejszy niechybnie znawca krajowych stosunków zaprzeczyć — a stanąwszy w ten sposób w przeciwieństwie z inspirowanym z ministeryum głosem komisarza rządowego do dymisyi podać się musiał, co było jedną illustracyą więcej, jak dalece legalny krok sejmu fałszywie w Wiedniu pojęto.

[1]) Hr. Agenora Goluchowskiego.

Uchwała sejmowa i wniosek, tylekroć fałszywie rezolucyą nazwane, miały obok adresu stać się wyrazem potrzeb, żądań i uczuć krajowych. Zapadły one w tak burzliwym czasie, wśród tak różnorodnych prądów, obaw i nadziei, że dziwić się bynajmniej nie należy ich niedostatkom i brakom, które niezawodnie na nich ciężą, jeżeli je jako programat krajowy pojmować chcemy. Tem mniej zarzucać im można formę i porządek, mniej dla samychże krajowców zrozumiały; było one obrócone ku Radzie Państwa, ku ministerym cislitawskiemu a z konstytucyą grudniową w ręce układane tak, że uzurpowane ze szkodą kraju atrybucye Rady Państwa punkt za punktem dla sejmu krajowego w nich windykowanemi być musiały. Były one też od razu wybornie w Wiedniu zrozumiane, acz się tak skwapliwie o nie, jak o rzeczy, gdzieś między Wiedniem i Lwowem zagubione, dopytywano, chrzcząc je naprzód ostrem nazwiskiem rezolucyi, którego w tekscie urzędowym nigdzie nie spostrzeżesz.

Inny zarzut, który uchwałę i wniosek sejmowy spotykał, tyczył się pomieszania w tym akcie rzeczy pierwszorzędnej wagi z rzeczami wagi mniejszej, żądań niezbędnych od żądań mniej koniecznych. Dowód na jedno i drugie byłby przytrudnym, bo ktokolwiek z zawikłaniami ustawodawstwa austryackiego jest obeznanym, które w skutek częstych organizacyj i reorganizacyj prawdziwym się stało labiryntem, ten przypuści że ów punkt na pierwszy pozór zbędny, stał się w obec tego zawikłania niezbędnym, jeżeli się dla sejmu krajowego skuteczną działalność ustawodawczą windykować chciało. Tyczy się to w szczególności ustawodawstwa karnego i cywilnego, które komisya między punkta wsunęła a izba przyjęła. W bieżącej sesyi sejmowej miano wielokrotne przykłady, iż sprawy, dla kraju najważniejsze, najistotniejszym jego potrzebom wygadzające nie mogły być rozstrzygnięte z przyczyny, że pewne postanowienia kodeksu cywilnego lub procedury na przeszkodzie stawały. Otóż, o ile ani komisya, ani izba nie myślały nigdy o przedsiębraniu prac około nowego kodeksu, o ile przekonane były, że prąd cywilizacyi żąda jak największej jednostajności prawodawstwa w świecie, o tyle musiały pragnąć, aby przy każdej drobnej a koniecznej zmianie i zastosowaniu ustaw cywilnego i karnego kodeksów i procedury, nie potrzeba było oczekiwać tych zmian z Wiednia, od ciała, którego większość stosunków naszych znać i ocenić nie może. W tym duchu tłumaczył konieczność punktu sprawozdawca i w tym duchu przyjęła go izba większością głosów.

Jeżeli w tym wypadku Izba tylko ze względu na skuteczność ustawodawstwa krajowego, na dobro społeczne zdaniem mniejszości sejmowej za wiele żądała, to w paragrafie 4 dała dowód największej względności w najdrażliwszej kwestyi monarchii, w kwestyi finansowej. Nie poszła ona za wnioskami, które żądały ustawodawstwa podatkowego, które pozostałość skarbu galicyjskiego po opędzeniu potrzeb krajowych do kasy państwa przelewać chciały, zażądała ona do rozporządzenia sejmu sumy, rzeczywistym potrzebom odpowiedniej, oddając decyzyę pod tym względem najzupełniej systemowi podatkowemu z góry przepisanemu i nieprzesądzając w niczem potrzebom ogólnym monarchii. Żądanie to, ad minimum sprowadzone, stoi w najściślejszym związku z żądaniem 3, 7 i 8 punktu. W zawisłości od funduszów państwa, z podatkiem na potrzeby krajowe, który corocznie podrasta, niepodobna pomyśleć o żadnej istotnej zmianie na lepsze. Ekonomię w administracyi, na korzyść innych funkcyj publicznego życia, może tylko sejm krajowy zaprowadzić, a grosz wydzielony z ciężkiej pracy naszej, którą do Wiednia przesyłamy, na potrzeby nasze, może tylko w rękach kraju przynieść sowity procent i podnieść ogólną produkcyjność na korzyść prowincyi zarówno, jak monarchii.

Słuszniej zarzucić by można uchwale sejmowej, że w punktach najważniejszych, jako to w 1 i 8 nie postawiła dosyć jasno żądań swoich, że nie określiła bliżej stosunku owego upragnionego samorządu narodowego do ustroju zachodniej połowy monarchii, który bądź co bądź, jako najważniejszy czynnik uznawać musiała. Przyczyną tego było niezawodnie przyjęcie tych punktów wedle projektu, który stanowił inną zupełnie całość i który w całości jako mieszczący istotne i nieżbędne potrzeby krajowe przyjąć, albo w całości odrzucić należało, projektu, który nie wyszedł z komisyi. Takim to sposobem wypadło z uchwały żądanie, aby bezpośrednie wybory nigdy w Galicyi miejsca nie miały, a Izba przyjęła stylizacyę, że i Sejm stanowić będzie wyłącznie o sposobie wyboru do Rady państwa, zawierający *implicite* usunięcie wyborów bezpośrednich ale nie uderzający w tę negacyą parlamentarnego życia prowincyi. W stylizacyi paragrafu 8 tak komisyjnej jak przyjętej przez Izbę pozostało tajemnicą bliższe określenie odpowiedzialności zarządu i kanclerza w Radzie korony, bo odpowiedzialność zarządu przed sejmem odpowiadała tylko na jednę stronę pytania, a Izba przyjęła wniosek hr. Potockiego dla tego samego, że nie starał się wyjaśniać bliżej stanowiska kanclerza, który w wniosku komisyjnym wyraźnie na czele zarządu krajowego postawiony, zdawał się dźwigać na sobie dwie sprzeczne

odpowiedzialności, przed sejmem i Radą państwa. Zarzut pobieżności w tym punkcie trudno tylko dałby się usprawiedliwić, a dosyć przeczytać sprawozdania stenograficzne, aby się przekonać, że koryfeusze Izby nie mieli pod tym względem jasnego programu.

Bliższe określenie pozostawiała zatem Izba układom, które się w Wiedniu między delegacyą a cislitawskiem ministeryum toczyć miały i debacie, która w Radzie państwa prowadzoną będzie. Wypowiedziała ona, co krajowi potrzeba, tak ze względu na jego dobro, jak na skuteczną jego współdziałalność w monarchii, a jeżeli mniej się oglądała na przystawanie swoich żądań do istniejących już stosunków, może się zawsze tłumaczyć tem, że panujący porządek zbyt mało na potrzeby kraju się oglądał. Dzisiaj, gdy stoimy w przededniu tych układów, nie od rzeczy byłoby zastanowić się nad stosunkiem, jaki uchwała sejmowa dla Galicyi windykuje i nad związkami, w jakich odnośnie do cislitawskiego ministeryum i Rady Państwa prowincya nasza ma pozostawać. Dokładne określenie tego stosunku nie jest rzeczą łatwą, a każde zdanie w tym względzie objawione może być tylko nieśmiałym, prywatnym objawem.

A najprzód uspokoićby wypadło obawy tych, którzy w owym nowym ustroju Galicyi chęć zupełnego odstąpienia od zasad konstytucyi grudniowej upatrywaćby chcieli. Puukt g) §. 3 uchwały sejmowej przyjmuje zasadnicze ustawy państwa o powszechnych prawach obywateli, o władzy sędziowskiej, rządowej i wykonawczej, odbierając Radzie państwa ustawodawstwo względem ich przeprowadzenia. Nie ma zatem przyczyny obawy, aby Galicya rozwijała się na innych zasadach, jak te, które Rada państwa dla Cislitawii uchwaliła. Nie ma też prawdopodobieństwa, aby sejm Galicyi raz do roku na krótki przeciąg czasu zwoływany przy najlepszych nawet chęciach był w stanie zmienić cały istniejący w kraju administracyjny rzeczy porządek, ubiegając się skrzętnie o zatarcie wszystkich śladów dawnego organizmu. Będzie on miał ważniejsze przed sobą cele i mógłby pod tym względem, każdego lubownika przeszłości zaspokoić. Toż samo powtórzyć nam przychodzi co do obawy zmiany ustawodawstwa cywilnego i karnego.

Punkta a, b, c państwowej ustawy zasadniczej o Reprezentacyi Państwa z d. 21 grudnia wystarczają same, aby pomimo wyjątku, który w punkcie c) z przyczyny dóbr krajowych zastrzeżono, wystarczyć do powiązania Galicyi z zachodnią połową państwa. Sprawy zewnętrzne, handlowe, finansowe i wojskowe ma delegacya galicyjska i nadal z Radą państwa rozstrzygać, a w paragrafach następnych pozostawiono w tejże kategoryi wszystkie sprawy, które szczegółowo-

prowincyonalnego nie tyczą się interesu ale przeciwnie, do skuteczności w załatwieniu, współdziałania reprezentacyi przedlitawskiej wymagają. Udział delegacyi galicyjskiej w obradach nad temi sprawami a konieczna abstynencya przy drugich, sejmowi oddanych, może na pierwszy rzut oka wydać się rzeczą dziwną, ale dziwniejszym jeszcze jest sposób obrad delegacyi do spraw wspólnych, piszących do siebie wzajemnie z posiedzenia na posiedzenie. Poprowadziłby to mogło w konsekwencyi ku podziałowi spraw Rajchsratu na sprawy z Galicyą wspólne i odrębne, coby otworzyło prospekt na możność obrad sejmu galicyjskiego nawet podczas trwania sesyi Rady państwa, sprawami odrębnemi zajętej.

Jądrem żądań uchwały jest odrębna administracya, sądownictwo i kierunek spraw wychowania, obok wydzielonej na opędzenie kosztów ze skarbu państwowego sumy. Żądania te są najściślej powiązane ze sobą i stanowią istotę samorządu krajowego. Tutaj zarazem nasuwa się kwestya podwójnej odpowiedzialności przed sejmem krajowym, zastępującym miejsce Rady państwa i przed Radą państwa jako najwyższą reprezentacyą Przedlitawii.

Podział dzisiejszych atrybucyj Rady państwa między sejm i tęż Radę państwa żądałby albo: osobnych i niezawisłych od sejmu urzędów w kraju dla wykonywania ustaw przez Radę państwa uchwalonych a przez ministeryum cislitawskie pod odpowiedzialnością wykonać się mających, albo ministra w Radzie ministrów i Radzie państwa cislitawskiej, któryby wziął odpowiedzialność za wykonanie ustawodawczej czynności Rady państwa przed Radą państwa, a za wykonanie ustawodawczego zakresu sejmu przed sejmem. Czyliżby samo oddalenie Wiednia od Lwowa nie było stanowczą do połączenia tych dwóch odpowiedzialności przeszkodą, czyliżby w pierwszym wypadku ministeryum cislitawskie chciało przyjąć odpowiedzialność? Gdyby zaś jak chciał p. Skrzyński, minister w Radzie korony odpowiadał Radzie państwa a Namiestnik sejmowi, czyliż nie łatwoby się stać mogło, że pociąganoby jednego do odpowiedzialności za to, za co drugiemu sejm krajowy votum zaufania by dawał? Jedynym punktem wyjścia z tego labiryntu byłby podział spraw galicyjskich wedle ich wspólności lub odrębności między ministra w Wiedniu, wchodzącego w skład ministeryum a namiestnika we Lwowie, który obowiązany do wszelkiej pomocy w sprawach wspólnych ministrowi, byłby za wykonanie tego obowiązku i ustaw krajowych sejmowi odpowiedzialnym.

Zapominać nie potrzeba, że punkt 4) uchwały usuwa wszelką obawę scyssyi między wspólnemi a odrębnemi sprawami. Do spraw

wspólnych należy skarbowość, nakładanie i ściąganie podatków: punkt 4) żąda z funduszów państwa sumy potrzebom kraju odpowiedniej. Ściąganie podatków łączy się najściślej z otrzymaniem owej niezbędnej sumy, co zapewnia dostatecznie gorliwą pomoc krajowej administracyi. Jest na końcu rzeczą pewną, że po dokonanym rozdziale spraw wspólnych i odrębnych, tarcie z usunięciem przyczyny byłoby niemożebnem, a kraj mając własne zyski na oku, nie pozazdrościłby państwu jego potrzeb.

Jednem z pytań głównych, które sobie podczas ubiegłej sesyi stawiać musiano, było, jakim sposobem przeprowadzić życzenia prowincyi. Przeważna większość Izby przyjęła odpowiedź komisyi do wniosków Zyblikiewicza i Smolki na to pytanie. — Idźmy drogą legalną, mówiła komisya, poszlijmy wedle litery prawa delegacyę do Rady państwa i poweźmijmy uchwałę, żądającą zmian w konstytucyi na podstawie §. 19 statutu krajowego opartą. Uchwałę tę musi wnieść rząd do Rady Państwa, bo na cóż zdałby się §. 19, gdyby uchwały sejmowe na jego podstawie powzięte, miały pójść *ad acta* i nie być przedłożonemi Radzie Państwa. Rząd, rozumowała dalej komisya przez usta p. Grocholskiego, może uchwałę sejmu przedłożyć Radzie Państwa albo bez uwag, albo z wnioskiem przyjęcia jej całkowitego lub częściowego, albo zresztą z wnioskiem przejścia nad nią do porządku dziennego. Ten ostatni krok rządu zdawał się komisyi najmniej prawdopodobnym, bo projektować przejście do porządku dziennego nad uchwałą reprezentacyi pięciomilionowego kraju, to trochę za grubo!

Tymczasem, o ile się zdaje, rachunek komisyi był mylnym rachunkiem. Delegacya pojechała do Wiednia, a zabawiwszy tam po dwakroć po kilka tygodni, nie doczekała się wniesienia uchwały przed Radę Państwa. Że się o nią publicznie nie upomniała, tłumaczy sprawa obrony krajowej, której wedle oświadczenia pana Ziemiałkowskiego, jako sprawie potęgę monarchii obchodzącej, pierwszeństwa wobec sprawy prowincyi ustąpić musiała, tłumaczy krótkość czasu posiedzenia przed świętami, które zaledwie dziewięć dni trwać mogło. I w tym krótkim wszakże czasie podjęła już delegacya sejmową uchwałę na posiedzeniach Koła i odbyła przez wysłanników swoich poufną z ministrem spraw wewnętrznych naradę.

Kwestyą najbliższą byłoby, czy w skutek poruszenia sprawy przez delegacyę, minister spraw wewnętrznych jako *Verfassungsmini-*

ster przedłoży Izbie uchwałę sejmu galicyjskiego. Premissą charakterystyczną a pozwalającą przypuścić, że się to stanie, jest przedłożenie wniosku sejmu tyrolskiego przez pana Herbsta. Miałożby takie przedłożenie zależeć od dobrej woli ministra, od jego zgody lub niezgody na wniosek? Miałyżby wnioski na §. 19 oparte obowiązywać ministrów wtedy tylko, gdy tego zechcą? Miałyżby mniej znaczenia mieć wyrazy całych ciał parlamentarnych, od wniosków pojedyńczego posła?

W ustawach zasadniczych ani w regulaminie Rady Państwa nie znajdziemy pod tym względem wskazówki. Nie mówią one nic o traktowaniu wniosków przez sejmy podanych. Gdyby się ministeryum tą luką w konstytucyi zasłaniać chciało, przyszłoby delegacyi naszej uprzedzić wniesienie uchwały sejmowej od siebie, walką na polu formalnem, która co do skutków swoich tylko przy niewytłumaczonem zaślepieniu większości wątpliwą byćby mogła. Jest to pole walki za własną i cudze sprawy, a powtórzyć musimy, że jak okoliczności zgodzić nam się kazały na czysto prowincyonalny uchwał sejmu galicyjskiego charakter, tak nie widzimy przyczyny, dla których delegacya sejmu galicyjskiego ograniczaćby się miała do roli dyplomatycznego ciała w interesach samej-że Galicyi wysłanego a skazanego na milczenie, gdy sprawa pokrewnych interesów na stół obrad Rady Państwa przychodzi.

Paragraf 19 statutu krajowego, powtarzający się w statutach innych krajów do Przedlitawii należących, powinien się zdaniem naszem stać punktem wyjścia stopniowego udoskonalenia konstytucyi grudniowej, zastosowania jej do specyalnych potrzeb krajów koronnych, w Radzie Państwa reprezentowanych. Bez tej pracy wewnętrznej w Przedlitawii, odpowiadającej spółczesnym wielkim pracom nad załatwieniem potrzeb innych narodowości i krajów połączonych z koroną św. Szczepana w Węgrzech, muszą rząd i parlament przedlitawski wcześniej lub później znaleźć przeciw sobie coraz więcej opozycyjnego żywiołu, a sprawa ostatecznego urządzenia Austryi na nowe narazić się wstrząśnienia. Tylko umiarkowanie ratuje przypadkowe większości polityczne od smutnego losu, aby się z czasem mniejszościami nie stały, jak to już przy opozycyi ministeryalnej lewicy wobec prawa obrony krajowej widzieć mieliśmy sposobność.

Podniesienie znaczenia wniosków sejmowych, zmiany w konstytucyi żądających, stałoby się poniekąd odzyskaniem stanowiska, jakie Polacy w ukonstytuowaniu monarchii, dzisiaj zaś zachodniej jej połowy zająć byli powinni. Wskazałoby ono drogę, jaka do załatwienia istniejących w Przedlitawii wewnętrznych zatargów naro-

dowościowych prowadzi, sposób, jak z obecnego stanu przejśćby można do zupełnego tych zatargów zagodzenia. Nadanoby przez to i uchwale sejmowej ważność nietylko prowincyonalnego objawu, ale sprawy spokrewnionej ściśle z innemi objawami niechętnymi konstytucyi, a różniącej się legalnością obranego środka. Otworzonoby prospekt na zdobycie w ognisku spraw wspólnych praw nieuwzględnionych, których uwzględnienie sama groza położenia koniecznem uczynić musi. Nazwano po lewej stronie Izby Radę Państwa maszyną do głosowania; maszyna ta mogłaby się stać zbawczą, gdyby zasiadający na ministeryalnych ławach, jak to już raz uczynili, wznieśli się nad względy starych przyjaźni teoretycznych na stanowisko prawdziwych mężów stanu. Upomnienie w tym względzie powinnoby wyjść od delegacyi polskiej, która broniąc wniosku sejmowego lub stawiając go sama, rachuje wraz z krajem na większość, wywołaną trafnem ocenieniem okoliczności, rachuje na trudność położenia Izby, którąby, zawotowawszy liberalną konstytucyę, a w pierwszym roku jej istnienia na stan wyjątkowy w Czechach pozwoliwszy — musiała, odrzucając wnioski sejmu galicyjskiego, sprowadzić opozycyę kraju, legalną kroczącego drogą.

Józef Szujski.

DER ANTRAG DES GALIZISCHEN LANDTAGES

GEGENÜBER DEM INTERESSE

DER ÖSTERREICHISCH-UNGARISCHEN MONARCHIE.

ERÖRTERUNGEN.

Wybrany przez Sejm galicyjski 1868 r. delegatem do Rady państwa w Wiedniu, wywiązał się Szujski z obowiązku napisaniem niniejszego artykułu dla wyjaśnienia i obrony resolucyi sejmowej z d. 24 Września 1868. Artykuł ten ukazał się w postaci osobnej broszury: „Krakau, in der Universitätsbuchdruckerei 1869".

Vorliegende Schrift ist der gesetzgebenden Versammlung des Reichsrathes gewidmet. Der Verfasser glaubt damit nach Möglichkeit dem Bedürfnisse eines ruhigen geschriebenen Wortes abhelfen zu können, welches an die Theilnehmer der Diskussion eines hochwichtigen Gegenstandes directe gerichtet ist. Das geschriebene Wort fordert zum Dialog in einer einsamen Stunde auf, einsame Stunden sind gute Rathgeberinnen. Ich mache Anspruch auf eine einsame Stunde.

Voll Zuversicht mit meinen Gesinnungsgenossen in kein Missverständniss gerathen zu können, muss ich doch jede Deutung meiner Schrift, als wenn sie etwa ihnen gegenüber offiziell sein wollte, schlechtweg zurückweisen. Die Verantwortlichkeit für die darin ausgesprochenen Meinungen muss der Verfasser im Ganzen auf sich nehmen und dasselbe gilt auch vom Tone und der Behandlungsart des Gegenstandes.

Wir leben in einer inhaltschweren, tragisch-ernsten Zeit. Die Einigungsidee grosser Nationalitäten, welche in Mittel-Europa an die Tagesordnung kam und von der nordöstlichen Despotie als Einigung der slavischen Raçe aufgefasst und tendenziös nachgeäfft wird, hat jenen Staat Mittel-Europas in Frage gestellt, der aus heterogensten nationellen Elementen bestehend, durch das Band historischer Rechte einer alten Dynastie zusammengehalten, lange Jahrhunderte hindurch als Träger der Interessen westlichen Christenthums, den Stürmen bewegter Zeiten zu trotzen im Stande war.

Die habsburgische Dynastie überstand glücklich eine feindliche Rivalität mit Frankreich, sie überstand glücklich die bis zur Residenzstadt reichenden Kämpfe mit dem Orient. Mit Ehre ging sie aus den ersten, als Siegerin aus den letzteren hervor. Das Empor-

kommen einer arrondirenden Politik Preussens, verbunden mit grossartigen inneren Reformen war es, welches den Habsburgerstaat neue Bahnen betreten liess, wie dies mit Josef II. aufkam. Zwischen Eroberungssüchtigen sollte man eroberungssüchtig, zwischen Centralisatoren centralisatorisch werden und auf diese Weise in die neue Welt hineinpassen. Man nahm Theil an der Zerstückelung Polens, man begann an den historischen Rechten der Zusammengehörigkeit der Völker zu rütteln, man schuf eine Bureaukratie.

Es kam die Revolution und ihr gewaltiger Mann. Das Jahr 1812 schuf die österreichische Monarchie. Eine ganze Vergangenheit wurde damit gestrichen, eine Zukunft ist bis zur Stunde damit nicht geschaffen worden. Die Wiener Verträge blieben eine Palliativ gegen etwaiges Wiederaufnehmen historisch-ererbter oder revolutionär-erdachter Tendenzen, die heilige Allianz eine bigotte Anwandlung ermüdeten Despotismus. Im Innern der Monarchie selbst verblieb altes und neues im Zustande einer siechen Vegetation neben einander, dynastische Traditionen und historische Rechte neben josefinischen Reformen, alter Obscurantismus bedient von einer modernen Polizeimechanik. Kein Leben, keine Entwickelung, kein Fortschritt. Das Problem einer österreichischen Monarchie, wir wiederholen es, war gestellt, aber um nur auf der Karte Europa's gemalt zu sein. Metternich-Odysseus hielt alle borealischen Fragen der Zukunft weislich-commode in einem zusammengebundenen Schlauche zusammen.

Sie mussten aber einmal los und es geschah mit solcher Macht, dass Odysseus zusammenstürzte. Die einzelnen Factoren der Bewegung von 1848 frugen in einem wirren Durcheinander nach Freiheit, nach einem gerechteren Systeme des Zusammenseins in der Monarchie, nach historischem Recht, nach prinzipieller Politik nach Aussen, nach Befreiung vom Verbande im Namen anderer, natürlicheren Verhältnisse. Nach einem längeren Kampfe war man mit gefährlicher materieller Hilfe eines Nachbars und mit nicht minder gefährlicher Hilfe eines gegenseitigen Aufhetzens von Nationalhass im Stande, den gordischen Knoten durch das Machtwort: Alleinherrschaft und Centralisation zu zerhauen. Gelöst wurde er nicht und nur eine Lösung bringt Gesundheit und Leben. Centralisation! klang es historischen Rechten gegenüber, historisches Recht, klang es nationellen entgegen, die Ideen der Freiheit und Nationalität, denen man keine Rechnung trug, wurden tendenziös ausgebeutet, um im Namen der ersten eine Beamtendemagogie, im Namen der letzteren eine Balance zwischen Unzufriedenen und Unreifen aufkommen zu lassen.

Und nun, wir haben es gesehen: dem biblischen Satz zufolge: *ex fructibus* ist der österreichische Staat dadurch nicht gross und stark geworden. Die Engherzigheit der Prinzipien im Innern, liess nach Aussen keine grossartige Politik hervorkommen; das Jahr 1854, eine an die österreichische Monarchie vorzugsweise gerichtete Weltfrage ist unwiderbringlich vergeudet worden. Hammer zu sein verstand man nicht, man musste Amboss werden.

Es geschah. Im Jahre 1859 brach der Sturm los, um diesmals die Monarchie auf neue Bahnen zu bringen. Das kaiserliche Manifest vom 20. October 1860 bezeichnete die Centralisation als gebotene Übergangsperiode nach den Wirren des Jahres 1848, das kaiserliche Diplom desselben Datums machte eine durch die Paragrafen I, II und III geregelte Theilnahme der Unterthanen an der Gesetzgebung und Verwaltung zum beständigen und unwiderruflichen Staatsgrundgesetze.

Ein blosser Hinblick auf die in Paragrafen I, II und III enthaltenen Bestimmungen, genügt, um einzusehen, wie hochsinnig und dem Wesen der österreichischen, vielgegliederten Monarchie entsprechend der Gedanke war, dem es entsprossen. Uns Polen erinnerte es an den foederalistischen Wahlspruch unserer alten Republick „*ut nec specialitas generalitati nec generalitas specialitati deroget*" an den Wahlspruch der den polnischen Staat grossgezogen und dessen Verrückung den Untergang des Staates herbeiführte. Bis zur Stunde ist das „unabänderliche Staatsgrundgesetz" ein hoher Zweck für die Monarchie geblieben, ein Ideal zukünftiger Vollendung des konstitutionellen Österreich, und wenn die folgenden Ausführungen das Vorgestreckte nicht erreichten, so konstatiren wir auch, dass selbst der Dualismus eine Annäherung an dasselbe desswegen zu benennen ist, weil dieser Dualismus, das Gesammtinteresse der Monarchie durch die Delegationen wahrend der östlichen Hälfte derselben, Ungarns Gerechtsame anerkennen musste.

Und wundern wird es, bei Gott, Niemand, der einen Blick in die Geschichte geworfen, dass jenes grosse Wort des Octoberdiploms, an dem wir mit Bewunderung halten, nicht auf einmal zur That geworden! Das Beste und Nächste, das Angemessenste und Gerechteste, pflegt in verworrenen und jahrelang falsch behandelten Zuständen am entferntesten zu liegen, es pflegt unerreichbar zu scheinen, eben weil es natürlich, einfach und gerecht. Es wurzelt wie das Gewissen in der Brust von Tausenden, es lockt, wie der Entschluss einer Lebensbesserung den Sünder: aber das langjährige Böse, die eingewurzelten Sünden legen sich dazwischen und

entfernen, dieses Nahe, dieses Einfache, dieses Gerechte! So geschah es mit dem Inslebentreten der Prinzipien des Octoberdiplomes. Die hochherzige Gabe des Thrones sollte zum Opfer eines selbstsüchtigen Haders werden, man drängte sich um sie einem langjährigen Monopol zum Vortheil zuzuschneiden, um sie den stiefmütterlich Behandelten am wenigsten zugänglich zu machen. Man gab das Interesse der Gesammtheit vor, um alte centralistische Tendenzen, um nichtdeutschen Volkern der Monarchie Abbruch thuende Wahlordnungen, um abgenutzte demagogische Hilfsmittel in das neue Gebäude hineinzuschmuggeln, um das allein thatkräftige und fruchtbare Element des im Diplome angedeuteten *selfgovernment* die segenreiche und in die Tiefen provinzieller Bedürfnisse reichende Thätigkeit der Landtage zu beschränken und möglichst zu einem leeren Schall zu machen. Meine Landsleute haben diese Beeinträchtigung tief empfunden, sie haben auch schöne Beispiele eines Langmuthes gegeben, der auf dem Verständnisse beruhte, wie schwierig es einem vielgegliederten, seit einem Jahrhunderte aus allen Traditionen gehobenen und grundfalsch geführten Staatsschiffe kommt, eine seinem Wesen angepasste und den Forderungen der Zeiten entsprechende Neugestaltung zu gewinnen. Sie haben im Weiland-Reichsrathe des Ministers Schmerling manches wahre Wort fallen lassen, sie haben Kassandragleich manches vorausgekündet. Die Sistirung der Konstitution vom 20. September 1865 kam ihnen nicht unerwartet und unvorhergesehen, sie wussten ja, dass die leeren Bänke des Parlamentes eine gewaltige Beredtsamkeit hätten, dass die Absicht des Thrones unerfüllt bleiben musste „den Interessen des Gesammtstaates die sichere Gewähr in einer verfassungsmässigen Rechtsgestaltung zu bieten, die ihre Kraft und Bedeutung in der freien Theilnahme aller Völker findet". Sie waren überzeugt, dass „insolange die Grundbedingung eines lebensvollen Inbegriffes von Grundgesetzen der klar erkennbare Einklang seiner Bestandtheile fehlt, auch das grosse und gewiss segenverheissende Werk einer dauernden verfassungsmässigen Rechtsgestaltung des Reiches nicht zur That werden kann". Sie haben die traurige Rolle einer machtlosen Minorität auf sich genommen voll Hoffnung durch Evidenz der Ereignisse einst auf Majorität rechnen zu können. Sie haben auch in jenen Zeiten gesehen, wie eine Monarchie von Mitteleuropa um den zweiten Moment gekommen ist Hammer statt Amboss zu werden, wie auf dem blutenden Leibe einer unglücklichen, zur verzweiflungsvollen That hingedrängten Nation die ersten Verbindungen zweier Nachbaren förm-

lich (Convention v. 8. Februar) zu Stande gekommen, die in eine weite Zukunft hineinreichend, die nächst interessirten nicht „*en garde*“ haben bringen können.

Eine Nation und eine unglückliche dazu kann, sie muss es oft, warten, die eiserne Consequenz der Geschichte wartet nicht. Unserer vollsten Überzeugung nach rühren die Unglücksfälle der Monarchie von zwei Ursachen her: von der Verkümmerung und Nichtentwicklung innerer Kräfte, von dem Sichnichteinfinden in die seit 1802 geschaffene äussere Situation. Das eine ist mit dem andern auf's innigste verkettet und nur zu bald lehrte uns die Geschichte von den Folgen eines glänzenden Fürstentages und einer ruhmreichen Campagne, denen man jene Omission in der äusseren Politik, und zahlreiche Omissionen in der Inneren zum Opfer brachte. Ja! man musste es erleben von dem Minister eines siegreichen Feindes die Weisung nach der östlichen Reichshälfte zu hören, eine Weisung die baldmöglichst befolgt werden musste, um die Calamitäten eines schrecklichen Krieges verschmerzen zu können.

Wir können hier eine zudringliche, schlagende Analogie nicht von der Hand weisen. Seit dem Siege über den deutschen Orden, war die Republik Polen ein in der äusseren Politik nach Nordosten gewiesenes Reich, grosse Könige wie Sigmund August und Bathory, grosse Staatsmänner wie Zamojski fühlten diese Lebensbedingung recht gut. Eine ultramontane Politik nach aussen, eine Perhorrenszenz grosser Unternehmungen, die nur durch religiöse Motive gehoben werden konnte, im Innern, liess statt der nordöstlichen Politik, wo der eigentliche Feind lag, eine Kriegsepopöe gegen Südost aufkommen, welche glänzend aber planlos geführt, Oesterreich und Russland den Weg ebnete, welche einen Andrussower Traktat und den Zutritt zur Augsburger Ligue aufkommen, welche Russland zum künftigen Vormund und Überwinder gedeihen liess. Die westliche Tendenz Oesterreichs ist eine dieser antitürkischen polnischen analoge, aber es sind noch andere Analogien zu finden. Eine nordöstliche Politik Polens forderte die Lösung schwebender Fragen im Osten der Republik, namentlich der kosakischen: die Lösung wurde von Wladislaw dem IV. und dem Kanzler Ossoliński angestrebt, sie wurde von der Mehrheit zu Gunsten des Adelsmonopoles entschieden. Auch Oesterreich hat einen Adel voll Eigendünkel und Hochmuth — der Adel sind die — Deutschen. Nur sie sind die Monopolisten der Staatskunst, des Freiheitssinns, des Verständnisses, was der Monarchie Noth thut. Sie vermögen mittelst Telegraphendrahtes hundert Meilen weit besser zu sehen, denn diejenigen, die

ihre eigenen Augen gebrauchen können, sie kargen mit Autonomie und Selbsthilfe für andere, weil diese Andern verkümmerte Geschöpfe, Abkömmlinge niedrigerer und jüngerer Raçen, obhutbenöthigende Zöglinge deutscher Cultur sein müssen, um nach längerer Behandlung zur Einsicht zu kommen, dass man nun einmal um vollkommener Mensch zu werden, doch lieber ein Deutscher werden muss. Ich glaube diese Wahrheit desto freier aussprechen zu können, da ich mich selbst zu den eifrigsten Bewunderern deutschen Geistes, zu den emsigsten Studirenden wissenschaftlicher deutschen Produkte rechne, da ich mich weit entfernt fühle, einem kleinlichen Nationalhass zu frohnen, und die unberechenbaren Verdienste deutschen Genius der Weltcultur gegenüber vollends anerkenne. Ich glaube sie desto freier aussprechen zu können, da die centrifugale Kraft deutscher Cultur, ihr Kolonisirungsstreben und Andrebeglückenwollen von hervorragenden deutschen Geistern als ein Krankheitssymptom eher, denn als Beweis der Kraft angesehen wird, ein Symptom, der politischen Verkümmerung Deutschlands nach dem Verfall des alten deutschen Reiches entsprossen, bestehend in dem Suchen moralischer, intellektueller und ökonomischer Eroberungen, um die politische Nullität verschmerzen zu können, in dem Suchen eines deutschen Mikrokosmos, da der Makrokosmos todt darniederlag.... Die Politik eines wahren deutschen Patriotismus muss eine centripetale werden, worunter ich natürlich nicht ein Hinneigen nach Preussen und Norddeutschland, wohl aber das Meiden einer Wiedervergeltungspolitik verstehe. Wir muthen es den Deutschen in Oesterreich nicht zu, ihr Deutschthum in Oesterreich aufzulösen, wir muthen ihnen zu, Oesterreich nicht deutsch zu machen, wir warnen sie, andere Nationen zu unfreiwilligen Helfershelfern von ehrgeizigen Plänen gebrauchen zu wollen, die dem augenscheinlichen Interesse des Staates gefährlich, seiner Bestimmung zuwider sind. Die schwebende Frage der berechtigten nationellen Einheiten kann nur dann zum Wohle der Welt gelöst werden, wenn man mit der unberechtigten Tendenz nach der Raçenvereinigung im Osten Rechnung machen wird, wenn Oesterreich künftigen Verwickelungen gegenüber seine *ratio existendi* nicht als einen Mechanismus von zusammengebrachten Bestandtheilen, nicht als Festhalten *par point d'honneur* an verzweifelten politischen Standpunkten, nicht als ein *bellum contra omnes* den Weltfragen gegenüber, wohl aber als eine Sache europäischer Cultur, europäischen Wohls, als eine Zukunftsfrage der mittleren Europa auffast und wahrt, wenn es mit dem neuen Rechte der Welt, mit dem Recht von Zusammengehörigkeit

und Ausbildungsfreiheit von Nationalitäten aufrichtig versöhnt, seinem Namen den eigentlichen Sinn desselben, seinem Willen eine feste Richtung, seiner historischen Mission ihre Verwirklichung zu geben im Stande sein wird. Dieses ist, unserer Ansicht nach, das einzige lebenbringende Indieweltheineinpassen eines Staates, welchen die Einigungsidee grosser Nationalitäten und die Einigungsidee der slavischen Raçe in Frage stellt, eines Staates, dessen Völker die Ungerechtigkeit der letzteren Tendenz auf das empfindlichste fühlen müssen, eines Staates endlich, dessen verschiedenartige Bevölkerung keinen nationellen Organismus zulässt, wohl aber ein wohlgeregeltes Zusammensein von Völkergruppen fordert.

Der Ausgleich mit Ungarn, vermittelst des dualistischen Systemes, so künstlich dasselbe scheint, so dünn der Faden aussieht, an dem beide Reichshälften hängen, dünkt uns ein grosser Schritt zur Neugestaltung Oesterreichs. Wir verwahren uns ausdrücklich gegen die Deutung, jenen Ausgleich als Übergangspunkt zur Neugestaltung Oesterreichs auffassen zu wollen, er ist für die Osthälfte ein fertiges Gebäude der Zukunft, ein Werk von gediegenen Staatsmännern und kräftiger Mitarbeit eines politisch gesunden Volkes, das jetzt die Details der inneren Einrichtung besorgt, das jetzt die Rechnungen mit seinen Brüdern anderer Nationalitäten abmacht. Die sinnigen Baumeister haben in dem Gebäude geschickt und geistreich antikes und modernes verbunden, historisch-ehrwürdiges und vom Zeitgeiste gefordertes, sie haben weder Schwäche noch Übermuth, weder Doktrin noch Planlosigkeit blicken lassen; sie haben die schöne Frucht einer durch langes und taktvolles Harren gleichsam begünstigten Reife an den Tag gelegt. Glückliche Menschen, man könnte sie beneiden, wenn man nicht die vollste Überzeugung hätte, dass sie es verdient haben!

Es ist nun aber nicht zu leugnen, dass die Aufhissung der dualistischen Fahne auf dem Staatsschifte eine Ausweisung des fertigen aus dem unfertigen, des selbstbewussten aus dem bewusstlosen oder eigentlich zu viel verschiedenes Bewusstsein habenden war, es ist nicht zu leugnen, dass in demselben Masse wie Transleithanien ein gewisses Etwas, eine Individualität — um kurz zu sagen, ein Ungarn nach modernen Begriffsforderungen zu nennen ist, Cisleithanien gar nichts bedeutet, als etwa das — nicht ungarische, das ausgeschiedene, das nach dem Vergleiche übriggebliebene. Um sich davon zu überzeugen, reicht wohl hin, auf die unerhörte Configuration der Grenzen Cisleithaniens zu weisen, wobei es auch Niemanden mehr wundern kann, dass man, um nur zu einem

Cognomen zu gelangen, das nördlich von Ungarn gelegene westlich, das nur theilweise deutsche überhaupt die deutsche Reichshälfte nennt. Und wenn man bedenkt, dass diese Reichshälfte seit 1848 die *officina* aller missglückten Verfassungen war, so wird man die Arbeit eben nicht leicht nennen können, welche auf einer Bühne voll heterogenster Reminiscenzen, das dem ungarischen paralelle Bauwerk aufrichten soll.

Die Arbeit begann unter üblen Vorbedeutungen. Während die Einberufung eines ausserordentlichen Reichsrathes de dato 6. Jänner 1867 mit delicater Verschweigung des Wahlmodus allgemeine Hoffnungen einer föderativen Endgestaltung der Monarchie rege machte, rief die ministerielle Eröffnung des konstitutionellen Reichsrathes vom 4. Februar desselben Jahres alle jene Besorgnisse wach, welche an die Februar Verfassung vom Jahre 1861 geknüpft waren. Sollten die glücklichen Ungarn vom Reichsrathe *de jure* wegbleiben, um die Slaven nichtungarischer Länder ihre Stellung deutschem Elemente gegenüber desto empfindlicher und schwieriger zu machen, sollte die Emancipation der östlichen Reichshälfte nur auf Kosten einer desto schärferen Bevormundung der westlichen vom deutschen Elemente geschehen? Sollte nach polnischem Sprichwort eine kräftige Bremse das Netz durchschlagen, die kleineren Mücken darin stecken bleiben? Die Antworten auf diese Zeitfragen fielen leider! verschieden aus. Leider! sage ich und ziehe mein Wort nicht zurück, denn in beiden Fällen, eines einheitlichen negativen oder einheitlichen positiven Verhaltens der Befürchtenden, im Falle einer allgemeinen Beschickung oder Nichtbeschickung des Reichsrathes hätten wir zur Stunde andere, bessere Zustände. Meine Landsleute waren für den positiven Weg und verharrten auf demselben. Sie begriffen den Ausgleich mit Ungarn als Grundstein einer Neugestaltung der Monarchie, sie wollten dem Zustandekommen des Ausgleiches keine Verlegenheiten in den Weg legen. Sie hofften, die Evidenz der Ereignisse werde für die westliche Reichshälfte nicht weniger schlagend sein, wie sie es für die Staatsmänner des östlichen wurde. Sie hofften, die Abrechnung mit dem ansehnlichsten Bestandtheile der Monarchie, werde als natürliche Folgen Abrechnungen mit den nationell-heterogenen Elementen der westlichen Reichshälfte zu Folge haben, die Endgestaltung werde auf friedlichem Wege, ohne neue gefährliche Erschütterungen zu Stande kommen, wie es die Schwierigkeit der äusseren Lage, die eben gemachten Erfahrungen, die unsichere Zukunft zu gebieten schien.

Man hat dieses Verhalten meiner Landsleute vielfach angefeindet und zwar nicht nur seitens jener, die auf einer staatsrechtlichen Grundlage fussend, die negative Politik ergriffen, aber, was Wunder nimmt, jener, welchen das passive Verhalten der Polen zu Gute kam. Man warf ihnen vor, Oestreich gegenüber einer exploitirenden Politik fröhnen zu wollen, um dasselbe baldmöglichst in einen Krieg für polnische Zwecke zu verwickeln; man hat sie als „laute Träumer" im cisleithanischen Parlamente verdächtigt, wenn sie ein gewichtiges Wort der Situation gegenüber fallen liessen. Die als Umsturzparthei und Revolutionäre von der alten Bureaukratie Angeschwärzten konnten Freunde von nur sehr prekärem Werthe sein jenen Schosskindern der Monarchie gegenüber, die wohl Hochverrathsprozesse führten, aber in keine je hineingerathen sind, weil die Staatspolitik mit ihrem Privatinteresse nur zu sehr identisch war! Und doch wäre es endlich einmal Zeit, das Verhalten der Polen *sine ira et studio* zu würdigen; es wäre Zeit, jene kleinlichen Verdächtigungen fallen zu lassen, die dem Ernste der Sachlage nicht entsprechen! Eine Aufforderung dazu hörte man bei der Debatte über das Wehrgesetz aus dem Munde des Vicepräsidenten des Hauses, eine würdige Antwort aus dem Munde des Herrn Stamm, dem nicht nur desswegen eine volle Anerkennung seitens der Rechten des Hauses zu Theil wurde, dass er uns gegenüber viel Liebes, sondern auch desswegen, dass er als patriotischer Oestreicher gesprochen. Die Gefühle der Polen, ihre Gesinnungen haben sich nicht geändert, um das zu werden, was sie Oestreich gegenüber geworden sind. Die Sprache, die sie Oestreich gegenüber führen, ist dieselbe, die sie seit 1795 ganz Europa gegenüber geführt haben. Neu an der Sache, ja unerhört in der Geschichte ihres hundertjährigen Leidens, ist aber die Identität der Interessen, welche durch die Ereignisse von 1863 und 1866 zwischen ihnen und der Monarchie geschaffen ward. Eine starke und eine zufriedene, eine entwicklungs- und zukunftsfähige Monarchie ist ihnen zur Lebensfrage geworden jenen Verwicklungen gegenüber, welche wie Hannibal *ante portas* stehen und wer von exploitirender Politik der Polen spricht, der bedenke, dass ein schwaches und innerlich verwirrtes, ein in der äusseren Politik missbrauchtes und falsch geführtes Oestreich den Polen nur ein trümmerverschüttendes Sagunt, ein Gefährte grenzenloses Elends sein kann und muss! Die „Träume" der Polen sind zu düster, zu reel, um trügerisch sein zu können! Die von Polen verfochtenen Ideen zu sehr mit dem Interesse des Staates zusammenlaufend, um Exploitationen zu heissen! Ihre Stel-

lung in der Monarchie eine zu machtlose und ausnahmsweise, um jene Macht der Überzeugung nicht in ein volles Licht zu setzen, welche ihnen diesen und keinen andern, frischen Erfahrungen gemäss erspriesslicheren, aber für die Monarchie gefährlicheren Weg, einzuschlagen geboten hat!

Mit diesen nothwendigen Vorbemerkungen treten wir zu den Resultaten parlamentarischer Arbeit vom December 1867. Sie sollte der westlichen Reichshälfte die Endgestaltung geben, welche das Wohl der Monarchie so sehr erforderte. Sie sollte über die Zukunft von Theilnehmenden und Nichttheilnehmenden entscheiden, welche den Wahlmodus der Februarverfassung und eine evidente deutsche Majorität perhorrescirten. Und nebenbei sei es gesagt, dass das Gerathen eines ganzen Volksstammes in Minorität, etwas von allen parlamentarischen Minoritäten verschiedenes ist, ebenso wie eine Majorität mit nationeller Färbung keine grössere Gefahr zu überwinden hat, als die Lockung, ihre günstige Stellung zu nationellen Zwecken auszubeuten. Die constituirende Mehrheit des Reichsrathes hatte die schwere Aufgabe, den Renitenten die Ursache der Renitenz unhaltbar, den nationell-heterogenen, die an der Arbeit theilnahmen, das Bedauern, an derselben theilgenommen zu haben, unmöglich zu machen; sie hatte die Rolle eines collectiven Staatsmannes zu spielen, um ausgebrochene Misshelligkeiten stille zu legen und den möglichen vorzubeugen; sie hatte ihre juridische mit einer faktischen *ratio existendi* zu vertauschen. Kurz die deutsche Majorität der Westhälfte hatte die Aufgabe, für diese Westhälfte das zu sein, was die Ungarn für die Osthälfte wurden, ein auf Grundlage des Reellen, des historisch und natürlich berechtigten, auf Grundlage des vom Throne angebahnten organisirender und gesetzgebender Körper, ernstlich bemüht, die Gunst ihrer Stellung nicht zur Wiederholung schondagewesener und unpractischerwiesener Verfassungsproben, wohl aber zur Zustandebringung einer endlichen Abrechnung mit anderen nationellen Elementen zu gebrauchen. Die nationellverschiedenen sollten bei der constitutionellen Arbeit mehr Rathgeber als leichtüberstimmbare Factoren gelten sollen und überhaupt jeder leichte Sieg gemieden sein.

Diese grosse Aufgabe, wir sagen es offen heraus, wurde nicht gelöst. Die Verfassung vom December ist von Leuten zustandgebracht, welche allen Freiheiten Rechnung getragen, nur keiner Nationalfreiheit. Es scheint fast, sie hätten das Bedürfniss dieser Nationalfreiheit nicht fühlen können, eben desswegen, weil sie darin niemals beeinträchtigt gewesen. Deutsch waren ja alle Regierungen,

constitutionell oder absolutistisch und ein System war ja undenkbar, das sich gegen das Deutschthum gekehrt hätte. Man machte sich in der Decemberverfassung in einer andern Richtung Luft, man wollte des Konkordates, man wollte der Vereinsumschränkungen, man wollte des übriggebliebenen Balastes veralteter Institutionen los werden, man schwärmte für einen exemplarischen Liberalismus, der nach Aussen die beste Wirkung hervorbringen sollte, man glaubte die Freiheit im Triumphzug nach Oestreich gebracht zu haben. Die Verfassung fiel deutsch-lyrisch, deutsch-abstract, und was bei den sonst objectiven Deutschen Wunder nimmt, deutsch-subjectiv aus. Der gemüthliche Wiener, welcher an seiner liberalen Verfassung und an seinem Bürgerministerium hängt, fragt unsereinen mit Staunen, wie ein galizischer Landtag der Verfassung gegenüber ein *votum separatum* abgeben konnte, da doch diese Verfassung den Banner der Freiheit aufgepflanzt; der uns übelwollende Journalist nennt uns klerikal, feudal und umsturzsüchtig, nennt uns Feinde der Freiheit und der Kultur! Wir sind keines von beiden und können doch nicht anders, als unserem Landtagsantrag gemäss wiederholen: die Decemberverfassung habe unser Land stiefmütterlich behandelt, bei der Decemberverfassung, ohne Aenderungen und Modificationen derselben, sei das Wohl und der Fortschritt Galiziens unmöglich.

Artikel 18 der Staatsbürgerrechte gibt allen Volksstämmen des Staates Gleichberechtigung! Gleichberechtigung aller Sprachen in Schule, Amt und öffentlichem Leben! Schöner Satz, ähnlich jenen pythischen Aussprüchen, die verschieden gedeutet werden können. Gleichberechtigt könnte auch nichtberechtigt heissen, wenn man die Berechtigung der Deutschen und des Deutschen anderen Berechtigungen gegenüber auffassen wollte; wenn man erführe, ein Landtag, der keinen Deutschen in seinem Schoosse hat, könne über die Amts- und Universitätssprache kein Gesetz erlassen, ohne von dem Regierungskommissär gemahnt zu werden, derlei Sachen, ungeachtet des § 18, gehören nicht in seine Kompetenz; die Sprachenfrage sei eine Sache jener Exekutive, die hundert Meilen weit entscheiden soll, ob das Idiom, dessen ein Kandidat mächtig ist, das Verständniss und die Kenntniss einer verwandten Sprache ersetzen kann. Gleichberechtigt könnte auch unberechtigt heissen, wenn eine Nationalität voll Bewusstsein ihres eigenen Kulturlebens, am Gängelbande einer von fernher, nach anderen Zuständen geregelten Administration, eines ihren Bedürfnissen keine Rechnung tragenden Erziehungswesens, einer auswärtigen, deutschamtirenden Gerichtsbarkeit dahinsiechen müsste, wenn der Wirkungskreis ihrer autonomischen Organe

von den centralisirten, der Wirkungskreis ihres Provinzialparlamentes von dem cisleithanischen Reichsrathe in dem Masse eingeengt bliebe, um im ersten Falle ein zweckloses Herumbalgen mit dem weither gebotenen, im zweiten eine mühsame Danaidenarbeit vergebener Remonstrationen vorzustellen! Und lässt sich bei einer solchen Gleichberechtigung nicht auch das übrige denken, wie es sich in deutschen Journalen als Zukunftsideale sehen lässt? Ein grossartig centralisirtes Cisleithanien, in Departaments eingetheilt, mit unmittelbaren Wahlen zum Reichsrathe und ohne das aus alter Zeit zurückgebliebene centrifugale Anhängsel der Landtage? Können auch damals die Volksstämme auf dieselbe Weise nicht gleichberechtigt sein, um Eingaben in der Muttersprache zu überreichen und Antworten in derselben zu bekommen, um in selbstgestiftenen Schulen in der Landessprache zu studiren, Bücher in derselben drucken zu können und den Reichsrath mit einer Völkerwanderung von Czechen, Polen, Ruthenen, Krainern, Slovenen, slavischen und italienischen Dalmatinern zu beschicken?

Ja, es kommt darauf an, wie man Gleichberechtigung versteht, wie viel man der Staatsidee gegenüber, davon an nationelle Individualitäten herabfolgen kann. Der §. I des Octoberdiploms meinte, es wäre genug, wenn die Gesetzgebung über das Münz- Geld- und Creditwesen, über Zölle und Handelssachen, über Zettelbankwesen, Post- Telegraphen- und Eisenbahnwesen, über Militärpflichtigkeit, Steuern und Auflagen, über Staatsschulden etc. einem Gesammtparlamente anvertraut wäre, alle anderen Gegenstände den Landtagen: die Dezemberverfassung fordert viel mehr, und der Unterschied ist nur zu fühlbar. Sie mag übrigens den Interessen deutscher Länder Cisleithaniens gegenüber vollkommen Recht haben, da diese gegen ihre Fassung keine Einsprache erheben, sie mag für sie segenbringend sein, sie ist uns als freisinnige Constitution jeder Sistirung; als Geschehenes jeder gefährlichen Umwälzung gegenüber tolerirbar, doch wolle sie nicht das scheinen, was sie nicht ist, eine Zufriedenstellung der Nationen, sie wolle vielmehr bei Zeiten den Weg wählen, das Versäumte anzuerkennen und einzuholen, oder dasselbe ignorirend, einer passiven Opposition kein verschmitzt fragendes „Was wollt ihr?“ entgegenstellen.

Die Landtagssitzungen vorigen Jahres waren der erste Zusammenstoss der Verfassung mit der Realität und die Realität hat das ihrige ausgesprochen. In deutschen Ländern ist die Verfassung mit Freude angenommen worden, Ausnahmen abgerechnet, die sich auf spezielle Fragen bezogen. Nicht so in Ländern einer beträchtlichen,

vorwiegenden oder ausschliesslichen slavischen Majorität. Unter den Manifestationen, welche sie zu Gesichte bekam, ist eine eigenthümlich scharf, aber auch streng legal in ihrer Fassung gewesen, jene des galizischen Landtages, bekannt als Adresse an Seine Majestät und Antrag an den Reichsrath, fälschlich Resolution genannt.

Die Adresse an Seine Majestät betonte das Zustandekommen des Vergleiches mit Ungarn als lang ersehnte Thatsache, sie sprach sich im Namen des Landes für ein starkes, blühendes und freies Österreich aus, sie findet es aber nothwendig, die historische Individualität der polnischen Nation zur Sprache zu bringen und zu klagen, dass die Dezemberverfassung jener Individualität nicht gedenkend, eine Entwickelung der Provinz auf nationell-autonomen Wege nicht ermöglicht habe.

Der Antrag dieselbe Überzeugung obenanstellend, und seine Vorschläge zur Modifizirung der Konstitution zu Gunsten Galiziens in acht Punkte zusammenfassend, ergreift diesen legalen, konstitutionellen Weg auf Grundlage des §. 19 der Landesordnung, der lautet: Der Landtag ist berufen zu berathen und Anträge zu stellen: a) über kundgemachte allgemeine Gesetze und Einrichtungen bezüglich ihrer besonderen Rückwirkung auf das Wohl des Landes, und b) auf Erlassung allgemeiner Gesetze und Einrichtungen, welche die Bedürfnisse und die Wohlfahrt des Landes erheischen.

Der galizische Landtag, von einem konstitutionellen Rechte Gebrauch machend, fordert keine Umwälzung der Verfassung, er fordert Veränderungen in der Verfassung. Er weist zugleich der gesetzgebenden Versammlung der Reichshälfte jene Scheidewege, vor denen sich dieselbe mit der, einer parlamentarischen Majorität entsprossenen Regierung befindet und von welchen sie nothwendig einen wählen muss. Der eine Weg heisst Centralisation und Aufdrängungssystem, Ausnahmszustände und Sistirungen der Konstitution Renitenten gegenüber, der zweite Weg heisst Vollendung des Gebäudes, Lähmung jener Opposition, Ausgleich mit schwebenden Nationalitätsfragen. Der eine Weg führt nothwendig zu neuen Verwickelungen, der andere zur friedlichen Lösung, der eine erfordert Kraftaufwand dem Innern gegenüber, der andere gibt Kraft nach Aussen. Einer, wir wiederholen es, muss nothwendig gewählt sein.....

Freilich muss man, um den letzteren Weg wählen zu können, genug Selbstverläugnung besitzen, um das Verfassungswerk nicht für vollkommen, für abgeschlossen, für alleinseligmachend zu halten, man muss in der Verfassung nicht zu viele Dogmen sehen. Man muss bis zum endlichen Schluss der Rechnung, zur endlichen Kom-

petenztheilung zwischen Provincial- und Reichsrathsparlamentarismus sich von den legal abgefassten Anträgen der Landtäge über das ausser Acht gelassene belehren lassen, man muss jene Anträge nicht nach der Stimmenzahl der sie vertretenden Delegirten, wohl aber nach der Bedeutung des vertretenen Landes abwägen. Nicht scheel angesehen und grimmig empfangen, willkommen eher sollten diese Fingerzeuge sein, deren Erscheinung im gesetzgebenden Hause ein Appel an die staatsmännische Klugheit, an die Gerechtigkeit der Gesetzgeber ist, deren Behandlung und Loos Entzauberung oder Vertrauen den unmittelbar oder mittelbar interessirten einzuflössen im Stande ist....

Eine schöne Anbahnung dieses Weges wäre die willige Vorlegung des galizischen Landtagantrages seitens der cisleithanischen Regierung. In der Konstitution ist zwar dieser Vorlegung mit keinem Worte gedacht, doch scheint dieselbe selbstverständlich zu sein. Landtagsanträge auf Grunde §. 19 können ja weder zum Tode der Vergessenheit in Ministerportefeuillen verdammt sein, noch als Instruktionen für Delegirte gelten, dem ersten widerspricht der Zweck derselben, dem zweiten ein ausdrückliches Gesetz. Sie sollten als Meinungsaussprüche der Provinzialparlamente ihren Platz nächst der Regierungsvorlagen finden, mit oder ohne darüber ausgesprochene Gutachten der Regierung und bestimmt, die Interessen der Bestandtheile mit dem Interesse des Ganzen in Einklang bringen zu helfen.

Man wird mir das aussergewöhnliche eines solchen Verfahrens im Parlamentarismus vorwerfen. Nun, gewöhnlich sind überhaupt die österreichischen Parlamente nicht, ich erwähne nur der Delegationen, der Art ihrer Wahl und ihrer Tagung. Gewöhnlich sind die Zeiten nicht, in denen wir leben und die Schwierigkeiten, mit denen wir zu kämpfen haben. Gewöhnliche Paragraphenreiterei, starres Festhalten an geschaffenen und eifersüchtiges Fernhalten von Weiterentwickelung (sie sei auch mit etwaigem Retouchiren des Fertigen verbunden) fordert gewöhnliche Zeitumstände; dasselbe fordert auch das Weiterglitschen auf dem abschüssigen Wege der Centralisation. Wenn aber die Zeit eine ernste ist, wenn das Gebäude nach Vollendung ruft, wenn eigentliche Staatskunst noth thut, da scheere man sich nicht um Gewöhnliches oder Ungewöhnliches, man ergreife das Nothwendige, das Frieden- und Kraftbringende, welches an der Hand liegt.....

Der Antrag des galizischen Landtages kann auf diese Weise ein Ausgangspunkt einer friedlichen Endgestaltung von Cisleithanien

werden. Als Ausfluss einer drängenden Nothwendigkeit, als Ausdruck der nur zu stark gefühlten Beschwerden einer grossen Provinz würdig und eingreifend behandelt, auf einer breiten Grundlage des Gemeinwohles ohne centralisatorische Knickerei und Schwierigkeitskrämerei abgefunden, wird er einen glänzenden Beweis liefern, dass in dem Hause des Reichsrathes niemals eine Majorität für das Gerechte und Nothwendige fehlt, wenn es mit Schonung des Bestehenden, mit Würdigung der schwierigen Lage mit Rücksicht auf die Kraft der Monarchie gefordert wird.

Sonst — doch wollen wir nicht mit Drohungen schliessen — sonst werden die Fordernden von dem Gegentheile belehrt werden. Sie werden, sie müssen den Ordnungsruf über den Forderungen eines grossen Landes für eine Calamität halten, nicht nur für jenes Land, das schon so viel ertragen, aber für den Staat überhaupt, dessen Verfassung, dem Wortlaute jenes Antrages zufolge, eine grosse Provinz von fünf Milionen nicht befriedigen konnte. Als Staatsangehörige müssten sie dann auf zukünftige, ihren gerechten Wünschen günstigere Verfassungsumwälzungen rechnen; Mitgliedern einer am Wohle und an der Kraft Österreichs interessirten Nation müsste diese Erwartung mit den schmerzlichsten Besorgnissen zusammenfallen.

Krakau 1 — 3. Jänner 1869.

J. Szujski.

O OBOWIĄZKACH NARODU

WZGLĘDEM LUDU W SPRAWIE OŚWIATY.

Rzecz czytana na konferencyi urządzonej przez Towarzystwo przyjaciół oświaty d. 24 maja 1869 r.

Zebranie nasze dzisiejsze nosi na sobie pewien niezwykły charakter. Towarzystwo, które zaledwie żywot swój rozpoczęło, którego zarząd przejdzie jutro przez wota członków, czuło potrzebę otworzenia dyskusyi nad celem swoim i środkami, w ogóle zaś nad kwestyą oświaty w kraju naszym. Czuło potrzebę poufnej rozmowy z publicznością miasta, które się stało jego rodzinnem gniazdem, w celu przekonania się czyli myśli powstałe w duszy jego założycieli, znajdą przychylny oddźwięk wśród zgromadzenia, zastępującego w tej chwili tysiące nieobecnych. Raczcie przyjąć to jako dowód, że założyciele uważali jawność za duszę i za główną dźwignię towarzystwa, że rachowali na związek uczuć i myśli z powszechnością polską jak z drugiej strony byli zawsze przekonania, że i najlepsze myśli i zamiary giną, jeżeli ich nie poprze ów wedle przysłowia, wielki człowiek, gromada, gorliwość i energia ludzi dobrej woli.

Zebranie nasze padło na niezwykłą chwilę. Przed kilkoma zaledwie dniami doznała ta dzielnica dawnej Polski, w której się życie narodowe snadniej skoncentrować mogło, która też wziąć na siebie musiała znaczną za rowój tego życia odpowiedzialność, bolesnego zawodu. Nie tu miejsce, aby wchodzić w jego przyczyny i skutki ale i tu miejsce powiedzieć, że wśród danych stosunków nie wszystko od trzecich czynników zależy, że są pola działalności, które uprawiając skrzętnym pługiem, zraszając potem codziennej pracy, zyskuje się tem więcej, że plonu z nich nie zabierze żadna ręka, ani nasienia żaden przeciwnik nie zniszczy. Są dziedziny, których panami jesteśmy, których ogarnięcie i zagospodarowanie stać się musi spichrzem długotrwałym i zasobnym na wszelką przyszłość, nawet najgorszą. Są nareszcie bronie, niewidzialne, niezwalczone, nie podpadające żadnemu argusowemu nadzorowi, które człowiek, sam wytwarza, które raz zdobyte, towarzyszą mu na każdej ścieżce żywota, w każdej trudności położenia, zapewniają skuteczność każdemu jego krokowi, politycznemu, ekonomicznemu, społecznemu, ba do-

mowemu nawet, których braku nie zastąpi mu ani siła materyalna, ani wysokość stanowiska, ani niewykształcone przyrodzone dary boże, bo są one zdobyczą jego własną, dowodem jego godności człowieczej, rezultatem iskry bożej i woli jego własnej, łączących się ku najwyższej funkcyi człowieka, ku stwarzaniu rzeczy nowych, ku budowaniu przyszłości. Tą bronią jest oświata, jest nauka i praca naukowa, jest uobyczajenie, są zdobycze cywilizacyi.

Z krótkiego mego parlamentarnego, z dłuższego politycznego żywota mego, ilekroćby mnie kto zapytał, jakie wynoszę wrażenie, czego pragnę najgoręcej, czego mi w społeczeństwie najwięcej nie dostawa, wolałbym z niejednym towarzyszem wspólnej doli jedno tylko: Oświaty! oświaty prawdziwej! całego morza światła i wiedzy! pracy nad oświatą we wszystkich warstwach społeczeństwa, pracy namiętnej, jak chęć ratunku, powszechnej, jak powszechne wydobywanie się z potopu, gorączkowej prawie, jak gorączkową jest potrzeba! Oświaty! bo zginiemy! Na wszystkie nasze obłędy i słabości, na wszystkie swary i zatargi, na wszystkie fiaska polityczne i społeczne, na wszystek upadek materyalny i moralny, na wszystkie rządy koteryi, usiłowania wartogłowów, eksperymenta ambitników, bałamuctwa opinii, ospalstwo mas, obojętność i bezwładność narodowego środka — jedno tylko: oświata narodowa, to jest: poznanie rzeczywistości bez utraty świętego klejnotu tradycyi — to jest energia i skuteczność pracy z wiedzy środków pracy pochodząca — to jest nazwanie rzeczy po imieniu, w całym świecie znanych i nazwanych, z któremi się uporać nie możemy, to jest obmyślenie czynu i wykonanie czynu, to jest nałożenie indywiduom żelaznego hamulca zbiorowego rozumu, zbiorowej mądrości.... to jest rozbrat z zarozumiałą młodością a starością o bezsilnych muszkułach, a wejście w wiek męzkiej rozwagi i powagi! To jedno słowo w jak najobszerniejszem znaczeniu wynoszę i rzucam je dzisiaj z uwagą, że brak oświaty tak pojętej plątać nas musi w błędne koło dwóch zarówno smutnych i zabójczych ostateczności: prostracyi przed rozumem i oświatą wyższą od naszej, pociągającej za sobą zanegowanie naszej indywidualności narodowej i porywów wbrew prawidłom zdrowego ludzkiego zmysłu, pociągającym za sobą prostracye. Jeżeli chcemy żyć, poddajmy się pod prawa duchowe żyjących tego świata narodów, zerwijmy się wszystkiemi siłami, abyśmy na wszystkich polach pracy umysłowej, jeśli nie równy, co niepodobna, to nie ostatni udział znaleźli, bo inaczej przedawni się nasze prawo życia, jak każde prawo na świecie, z którego posiadacz użytku nie czyni. Bo, panowie, pozwólcie mi tu jeszcze myśl moją bliżej rozwinąć, oświata, to

nie stos książek, produkowanych w izdebce uczonego, to nie stosy gazet, wywołanych codzienną potrzebą, to nie ilość zakładów naukowych, dotowanych przez rząd! Oświata narodowa, to suma nauki stosowanej do życia, suma prawd doświadczonych a nie ukrytych pod korcem, to rozkucie z najstraszniejszej niewoli, z niewoli w spaczonym i fantastycznym indywidualizmie, a odetchnięcie pełną piersią powietrzem balsamicznem prawdy i zdrowia. Oświata, to objęcie sobą świata rzeczywistości, spokojne, rozumne, głębokie, to powściągnięcie kontorsyi serca i hallucynacyi muzgu, to ustawienie w harmonią bożą ducha i ciała ludzkiego wedle praw, jakie rządzą światem i społeczeństwem, wedle losów, jakie przekazała przeszłość narodu, rodziny, człowieka....

Towarzystwo przyjaciół oświaty, wychodząc z podobnych przekonań, szukało dla swego zadania jak najszerszej podstawy, jak najszerszego poparcia, jak najsilniejszych filarów dla swojej budowy. W odezwach swoich udało się do wszystkich stronnictw i stanów społecznych, w zarządzie swoim starało się zgromadzić ludzi dzielnic wolniej oddychających, a zapowiadając literaturze wydawniczą pomoc, wezwało zarazem do uzupełnienia i zbogacenia tych działów nauk, których potrzeba w ostatnich czasach żywiej czuć się dała. Stawiając gwarancye w zarządzie, rachowało ono wszakże i rachuje najmocniej, najwyłączniej na wpływ owego hasła narodowego, wołającego przyjaciół, wołającego czujących potrzebę oświaty, jako potrzebę największą, najpilniejszą, najnieodbitszą.

Mówi ono do publiczności polskiej: Dla rozszerzenia oświaty, dla podtrzymania piśmiennictwa, dla pomagania uczącym się i pracownikom na polu nauki, może za przystąpieniem kilku tysięcy członków, za energiczną propagandą ludzi dobrej woli, w imię tego hasła oświaty, stanąć jedna więcej, wyłącznie nasza, zbiorowemi siłami stworzona, kontroli jawności poddana, zarząd swój z wolnego wyboru otrzymująca instytucya narodowa, którą zawdzięczymy pomocy własnej, owemu garnięciu się ramienia do ramienia, w imię sprawy publicznej, które jest siłą społeczeństw.

Zaiste, postawienie takiej instytucyi byłoby najpiękniejszym dowodem siły, której na takiem polu mało daliśmy dowodów. Postawienie takiej instytucyi byłoby archimedesowskiem *eureka* dla stowarzyszeń naszych, które wszystkie prawie chorzeją na ów brak soków, z kupienia się około ich zadania wynikających. Byłoby zarazem najświetniejszą demonstracyą, że dzielnica Polski umie sama sobie stwarzać warunki bytu i przyszłości.

Ale przejść mi wypada do głównego założenia mego, o obowiązkach narodu względem ludu w sprawie oświaty, których jednę wielką część spłacać, podaje sposobność statut towarzystwa. Przemówić mi wypadnie kilkoma słowy o najważniejszej kwestyi naszej przyszłości, o sposobach jej załatwiania i rozwiązania, a w szczególności o otworzeniu tych wielkich arteryj niosących myśl jednę i uczucie jedno, które połączyć muszą olbrzyma ludu polskiego z dzisiejszym mikrokosmem narodowym, jeżeli mają się stać jednem ciałem i jedną duszą.

Przed dwudziestu trzema laty głoszono u nas, że nas jest dwadzieścia milionów i kłamano. Przed kilkoma jeszcze laty rachowano na te miliony znowu i zawiedziono się znowu. Miliony były — ale oddzielała ich od nas dziewięciowiekowa przepaść historyi.

I dzisiaj nie zniknęła ta przepaść, ale stał się krok wielki, bo lud polski wstąpił w historyę z przedsionka swego żywota, gdzie był etnograficzną nomenklaturą. Od lat kilku nie ma już nieusamowolnionego człowieka na ziemi polskiej, — ale jest między ludem a narodem różnica, jaka jest między wstępem w historyę jednych, a obarczeniem dziejami pełnemi chwały i cnoty, ale także klęsk i błędów — drugich. Świeżo w historyę wstępujący czynnik stoi przed nami nieświadomy celu, ale świadomy siły, bo oto ubiegali się o jego herkulesowską prawicę mocarze, aby zabić naród i ubiegaliśmy się my, aby go wskrzesić. Zaważy on i w przyszłości jako potężny czynnik, niby ów upośledzony syn królewskiej matki, o którym mówi podanie ludowe. Nic też ważniejszego, nic żywotniejszego, nic pełniejszego grozy, jak pytanie, co czynić i jak postępować należy w stosunkach z nowymi obywatelami, z tymi prawdziwymi synami przyszłości. A zaliczyć do nich wypada, prócz ludu wiejskiego, wszystko to, co równouprawnione dzisiaj nie poczuło się do obowiązków obywatelskich, co przemysłem, pracą, nagromadzeniem kapitału, objęciem funkcyj społecznych, zaważa na szali losów i ważyć będzie tem więcej ale i tem szkodliwiej, im historyczna garść narodu mniej się z nim liczyć i mniej skutecznymi środkami hegemonię, przywództwo, nadzór niejako pedagogiczny zapewnić sobie potrafi.

Oto jest *hic Rhodus*, *hic salta*, wszelkiej dzisiejszej polityki naszej: Oto jest zagadka sfinksa, postawiona Edypowi. Rozwiązywano ją w sposób rozmaity aż do chwili ostatniej. W każdej polityce naszej była ta kwestya jednem z głównych zagadnień: konspiracyjnej czy utylitarnej, hierarchicznej czy demokratycznej. Każdej

polityce zadawało mylne rozwiązanie tej kwestyi cios śmiertelny, stawało się jej toczącym robakiem.

Konspiracyjna, wymyśliła dla załatwienia tej zagadki fałszywy syllogizm, że ten, którego nadaniem wolności w historyę wprowadzono, stanie na ostatnich tej historyi rezultatach. Fałsz, — on nową rozpocznie tylko! Utylitarna, powiązała sobie ręce względem na nieoświeconą masę: a zamiast z wiarą brać się do pracy wewnętrznej, zamiast kraj apatyczny rzucić w zapasy z ciemnotą i społecznym rozstrojem, poszła szukać środków prohibicyjnych i paliatywów, zabezpieczających na chwilę, nierozstrzygających rzeczy, a zależnych od poważnego stawania za swemi żądaniami, które udaremniło poczucie słabości i bezsiły. Społeczne programy rozbijały się o jednostronność swoją: hierarchiczny o zerwanie faktyczne dawnego tradycyjnego związku, demokratyczny o negacyę żywiołu, który był jedynem gorczycznem ziarnem społeczeństwa.

Po tych doświadczeniach, jeżeli Polak po szkodzie mądrym bywa, należałoby szybko dojść do uznania pewnych prawd oczywistych, a te są:

Że to, co się narodem nazywa, co na przeszłości stoi, zejść może z biegiem czasu na rzadką i bezsilną gromadę ludzi *in partibus infidelium* protestujących, jeżeli z całem wysileniem kapitału pracy, nauki, zdolności i mienia nie postara się o nowe, czynne, niezmordowane życie publiczne, oparte na radzeniu samemu sobie, utrzymujące w górze sztandar narodowości, a broniące jego godności i powagi przed swoimi i obcymi.

Że usiłowania tej falangi, winny unikać tak skrzętnie abdykacyi ze względu na masy, jak gorączkowych marzeń i czynów, z fałszywego na masy rachowania pochodzących.

Że nareszcie falanga ta, jako gospodarz w domu, jako historycznie starszy brat, winna spotkać się z masami na wszystkich polach działalności obywatelskiej, jako równa prawem a wyższa oświatą, że powinna, choćby z ostatnim wysiłkiem pracy, czasu, i myśleć i działać o tych i dla tych, co nieświadomi celu, ale świadomi już znaczenia swego.

W radzie powiatowej, w gminie co daj Boże zbiorowej, w gromadzie, w szkole i kościele, w stowarzyszeniach gospodarczych, przemysłowych i kredytowych, w stowarzyszeniach oświaty, czytelniach i biblioteczkach, stołach jarmarcznych i kiermaszowych, gdzie się sprzedają pisma ludowe, w miastach i miasteczkach, gdzie się lud garnie, w radach gminnych miejskich, szkołach izraelickich i zgromadzeniach izraelitów, w dworach szlacheckich, chatach wiej-

skich i gospodach — tam wszędzie winna się odbywać wielka kampania o przyszłość, oparta na planie strategicznym, polegającym na doskonałej znajomości gruntu i położenia.

Przypatrzcie się włościaninowi naszemu w dzisiejszej dobie jego żywota. To szlachcic polski wieku XV, powołany przez Władysława Jagiełłę na sejmiki powiatowe, uwolniony przez Ludwika od obowiązków i ciężarów książęcego prawa, ów szlachcic, co na sejmie mówił patryarchalnym naszego włościanina językiem, równie jak on ciasny miał widnokrąg polityczny ale zdrowy chłopski rozum, co na rokoszu cerekwickim wołał o sól suchedniową i zbiórkę w lasach królewskich. Losy dały mu prawa obywatelskie w innych okolicznościach, zabrakło mu uścisku matki, uświęcającej jego usamowolnienie — jak prawdziwy sierota przechodził z rąk do rąk, z wpływu pod wpływ, z opieki w opiekę, z wyzyskiwania w wyzyskiwanie, z bałamuctwa w bałamuctwo — dla tego taki nieufny, podejrzliwy, pełen obawy i niepewności. Ale niech go powiedzie pastorał Oleśnickich i małopolskich panów dawna mądrość, niech się na polu obywatelskiej pracy spotka z nim duchowieństwo i inteligencya, niech tradycya jego religijna, obyczajowa, społeczna, niech rozum jego gromadzki dozna troskliwej pieczy, niech nic się nie uroni z tego, co mu dobrego przekazała tradycya piastowska, a zdrowe ziarno oświaty krzewionej przez naród wytępi chwasty zepsucia i niezgody sianej przez wrogie żywioły; niech szkoły wiejskie i gimnazyalne wyślą co roku zastęp kmiecych synów do *Alma mater* jagiellońskiej, gdzie się chowały Kromery, Hozysze i Janiccy — niech ekonomiczny rozwój dobytku włościańskiego dozwoli, aby wedle życzenia owego zacnego króla Francyi, każdy włościanin na niedzielę gotował sobie kurę w garnuszku, a ujrzymy, i chcę być tym razem wieszczem, że i owa nowa szlachta pójdzie torem szlachty XV wieku, co to wychowana mlekiem *Almae matris* umiała z czasem zaważyć na szali spraw najżywotniejszych, przeprowadzając w imię dobra publicznego egzekucyę praw i unię lubelską, umiała na widownię publiczną rzucić najtęższych ludzi i najwytworniejsze zdolności, a pójdzie tem skuteczniej, że milionowe jej zastępy niewyczerpaną sił stać się mogą skarbnicą.

Pragnąc tego, trzeba chcieć środków. Środkiem jest pojęcie kwestyi ludu na seryo. Nie sentymentalne jakieś a przypadkowe ocieranie się o lud, nie małoduszne a niezręczne kokietowanie go w razie potrzeby nie nieudolne staranie się narzucania mu uczuć, których podzielać nie może, nie niepokojenie go drastycznymi środkami, których nie rozumie, ale spotkanie się z nim, szczere, serdeczne

a poważne, szanujące zarówno wyższość jednej, a piastowską drugiej strony prostotę — a to na całej linii obszernych a koniecznych z nim stosunków — oto droga, wymagająca ducha ofiary i ducha mądrości, ale niezawodna i jedyna.

Wieśniak nasz pozostał dotąd patryarchalnym, homerycznym człowiekiem jednego odlewu, a jako taki jest nieskończenie praktycznym i rzeczywistym, chociaż dostępnym najwyższym pojęciom i najwyższym uczuciom, byle mu ich nie narzucano, byle je wcielił w swój organizm duchowy. My styrani stuleciami nieszczęść, których on obojętnym większą częścią bywał świadkiem, styrani bojem duchowym z cywilizacyą zachodu, ileż potrzebujemy odmłodzenia, aby nie wydać się w oczach jego jeśli nie fantastami, to przynajmniej ludźmi zagadkowymi. To odmłodzenie, tę świeżość da nam stosunek z ludem, niby ziemia sił pełna, z której sił upadłym przybywa Tytanom. Prastara mądrość rośnie wśród bujnego chwastu, zanieczyszczającego odłóg ludu naszego, o nią zaczepić należy, od niej przekwitła nasza cywilizacya może nabrać sił nowych, jak pleśnią gminną zasyciła się przed czterdziestu laty twórczość nasza poetyczna, aby po sielskim Brodzińskim, wieszczego wydać Mickiewicza.

Po tem, cośmy powiedzieli, ocenić łatwo doniosłość wydawnictw i ogromne trudności literackiej pracy dla ludu. Natrąca się naprzód kwestya rozszerzenia książek między ludem.

Sprzedawać — rozdawać — oto alternatywa. W obec nieufności ludu, w obec ekonomicznej zasady, że rzecz nabyta przez sam akt nabycia na znaczeniu zyskuje, należałoby być za pierwszym środkiem rozszerzenia, stosując się do dróg, jakiemi się książki między lud dostawać zwykły. Taniość i nabywanie zbiorowemi siłami za wpływem naturalnych przewodników, księży, nauczycieli i właścicieli większych, zakładanie czytelni w każdej gminie lub przy szkółkach, urządzanie czytań wspólnych, oto środki. Aby wszakże celu dopiąć, potrzeba przetrzymać czas do chwili wyparcia drukowanych, tanich a często szkodliwych lichot, które lud kupuje i czyta, trzeba przetrzymać czas aż do wzmożenia się chęci kupowania, powszechnego uznania potrzeby książki.

Drukować, co drukować — oto drugie pytanie. Czy pozostawić ten najważniejszy z wielu miar zagon literatury dyletantyzmowi i woluntaryuszostwu, które zbyt często bierze dobre chęci za zdolność, manierę za metodę, mrzonki o ludzie, jakim być ma, za podstawę tego, co się ma pisać dla ludu. Czy pozostawić go, pytam, tym, którzy nie ufając sobie, aby mogli pisać dla wykształconych, mniemają, że w literaturze ludowej poczesne miejsce zająć mogą?

Czy przeciwnie zebrawszy ludzi głęboko lud znających, w potrzeby jego wchodzących, wytknąć stały kierunek, zgodzić się na jeden styl i metodę, aby pisma ludowe, z jednej dobrymi robotnikami obsadzonej pracowni wychodząc, w tysiącach egzemplarzy rozszerzone, na praktyczne puszczone drogi, działały jak niewidzialny legion dobrych myśli, szlachetnych uczuć, pożytecznych wiadomości, posłany dla wykarczowania tyloletnich chwastów, dla hodowania dobrego ziarna starego i podsiewania nowego?

Oto, co chce pod tymi względami towarzystwo oświaty.

Chce ono skromnemi, a sowicie wynagrodzonemi składkami swoich członków dojść do takiej przewyżki rocznego dochodu nad koszta, aby dziełom ludowym i elementarnym szczególniejszą poświęcić pieczołowitość. Członkowie przystępujący i zachęcający innych do przystąpienia umożebniają każdą jednostką więcej rozwinięcie towarzystwa ku celom statutem określonym, jakimi są obok popierania nauki i literatury, pomoc dawana uczącej się młodzieży, nagrody dla nauczycieli wiejskich, zakładanie bibliotek i czytelni miejskich i gminnych. Wśród dalszego rozwoju towarzystwa i jego zasobów, nie wahałbym się wnieść specyalny cel wspieranie i utrzymywanie ubogich synów włościańskich kosztem towarzystwa, odznaczających się w szkółkach wiejskich szczególną pilnością i zdolnościami. Padły w gruzy starożytne bursy, nie ma już Oleśnickich i jemu podobnych, ale zbiorowa siła publiczności polskiej, garnąca się i kupiąca w wielkiej, własnej, samorządnej i odpowiedzialnej instytucyi, mogłaby zawsze uczynić to, co niegdyś potężne czyniły indywidua. A wierzajcie mi, *Alma mater* wyhodowałaby nam nowych Kromerów, nowych Janickich, nowych Zamojskich z żywiołu wziętego z nad strumieni naszych obsadzonych wierzbami, który przygrywa na fletni pastuszej — puszczając figlarno-złośliwe bydełko gospodarcze w szkodę właścicielowi większemu.

Kończę na tym obrazku Teniersa, który mi przypomina elegię Janickiego w tłumaczeniu W. Syrokomli:

„Ślubować muzom nie było zaczem,
Miałem je żegnać z wolą niewolą,
Gdy wielki Krzyski tknięty mym płaczem,
Czule pomyślał nad moją dolą,
Dom swój otworzył — sercem łaskawem
Przyrzekł mym muzom bywać pomocą...
Przyjął i Kmita, nie szczędząc złota,
Słał mnie po światło na ziemię włoską".

Śpiewa syn kmiecy o protektorach swoich, biskupach i wojewodach. Nie ma dziś między nami blasku buław i pastorałów Rzeczypospolitej — ale my, my wszyscy, którzy stoimy na przeszłości naszej, którzy przechowaliśmy jej tradycyę — mamy na sobie jeszcze, wbrew klęsk i nieszczęść, majestat dawnego a samodzielnego niegdyś narodu, przyjęliśmy jego prawa i obowiązki, powinniśmy spełniać wedle możności zbiorowo, na co niegdyś wystarczały indywidua — jeżeli nie chcemy złożyć ze siebie tego majestatu lub zaprzeczyć sobie samym.

WYDOBYCIE ZWŁOK

KAZIMIERZA WIELKIEGO

I PRZYSZŁY ICH POGRZEB.

Artykuł drukowany w „Przeglądzie Polskim“ w Krakowie, zeszycie Lipcowym 1869 r.

…czny świadek, powiedzieć temu poetycznemu
… zwłok Kazimierza Wielkiego odbył się
… tę rzecz najwybredniejsza ułożyć mogła
…ć mógł najznakomitszy mąż domonstra
…że się sam naturalnie ułożył. Opisuję
…nych, które gotowe przyjąć wrażenia
…się, że one przez tego bratniego du-
… odczuć i dopełnić uczuciem, czego

…rwca znalazła się garstka zawe-
… w bocznej nawie wawelskiego
… z urzędu nie brakło tam ludzi
…rakło młodzieży i kobiet, sło-
…ność urzędową widzieć i w ra-
…li. Przystąpiono też do niej
…hego milczenia obecnych,
… wywołała chwila.
… na światło dzienne wiel-
…dowej rzeczywistość —
… w dramatyczny wyraz
…królowi, biedni, słabi
…śmy. Nie napełniał
…h i hałatów, bośmy
…eli — nie tłoczno
…d w stosunku do
…ększym jest, jak
…akło tam ironii
…akło pociechy...
…w zaborczego
…cyi, posłanej
… tułacz o si-
…w naszych...
… przeszłości
…ych robót,
… potężnemi
… wychodzą
… nie prze-
… nieujęte
…zieja —
… nieje-
…ielkiej

… Czerwca poz…
Przez … serdeczne pierw…
… — drugi napełn…
… popłaca jeszcze …
… jeżeli myśli, w …
… chaotyczną …
… i myśli tych …
… Rzucam …
… się, że prz…
… grób wielkiego …
… króla postać …
… pochowanych nad …
… się w bazylice …
… wiekami …
… miłośnika spraw …
… na tej ziemi
… szanowny p. Paw…
… politycznej —
… szczęśliwi, że pierw…
… padło pierwsze …
… takich czasów
… stanu, jak nasze …
Zazdrościć … może im tylko ten …
… znaleźć w każdej …
… Zazdrościć im …
… Polaka, każdy …
… Polski i …
… na świecie …
… zwłok wielkiego …

Artykuł drukowany w „Przeglądzie Polskim“ w Krakowie, zeszycie Lipcowym 1869 r.

Dnie 21 i 23 Czerwca pozostaną na zawsze w mojej pamięci. Przez łzy i uczucia serdeczne pierwszego z tych dni świtała mi wróżba lepszej przyszłości — drugi napełnił mnie głębokim smutkiem.

Jeżeli szczerość popłaca jeszcze na świecie, jeżeli głos głębokiego przekonania, jeżeli myśli, w uroczystych chwilach życia powzięte, potrafią zwyciężyć chaotyczną dysharmonię pokolenia — dobrze będzie, że uczucia i myśli tych dni wydrę z kart pamiętnika mego i rzucę między braci... Rzucam je w imię Boskie...

Z gazet, dowiedziałem się, że przy restauracyi pomnika Kazimierza Wielkiego odkryto grób wielkiego króla, że przechodząc tylekroć około marmurowej króla postaci, przechodziłem około popiołów i kości jego, pochowanych nad pawimentem kościoła, że pobożni klęczeli i modlili się w bazylice naszej o stopę oddaleni od tego, który przed pięcioma wiekami dokonał wielkiego dzieła społecznego odrodzenia Polski, miłośnika sprawiedliwości i spokoju, ojca wszystkich, co zamieszkali na tej ziemi.

Dowiedziałem się, że szanowny p. Paweł Popiel, mój przed kilku laty przeciwnik w polemice politycznej — i mój stary przyjaciel Jan Matejko byli tak szczęśliwi, że pierwsi oglądali czaszkę króla w koronie, że im w udziale padło pierwsze wrażenie grozy, jakie sprawia spotkanie się z głową takich czasów i takich myśli pokoleniu takich losów i takiego stanu, jak nasze!

Zazdrościć tego wrażenia może im tylko ten, który nie umie sobie go odtworzyć, który nie umie się znaleźć w każdej duszy polskiej, spotykającej się z takiem odkryciem. Zazdrościć im może tylko ten, kto stracił świętą wiarę, iż każda dusza Polaka, każda dusza Chrześcianina na taki widok godną staje się Polski i Chrześciaństwa przedstawicielką, kto stracił wiarę, że nic na świecie nie dzieje się ślepym przypadkiem a i owo odkrycie zwłok wielkiego króla może

się stać dla nas błogosławieństwem lub przekleństwem wedle tego, jak się w obec niego zachowamy!

Wiedziałem, że przeniesienie zwłok stanie się w obec restauracyi koniecznem. Na całym świecie bywa ono aktem cichym i urzędowym, odbywanym z skrupulatnością i spokojem jakiej poszanowanie dla zwłok nieboszczyka wymaga. Wydobycie i liczenie kości, podawanie szczątków stroju nieboszczyka i przyborów jego godności, uprzątanie ironii śmierci z grobu wielkiego człowieka winno się odbywać w ciszy, wśród wybranych *ad hoc* ludzi, podobnie jak drogie ciało zmarłego nie ubiera się i nie układa do trumny wśród steku jego znajomych i przyjaciół. Kapituła, konserwator i komisya Towarzystwa naukowego miała tu rzeczywiście urząd grabarzy tylko nie — amatorów. Miała ona ten urząd dla tego, że w chwili znalezienia zwłok była kapitułą — komisyą, a p. Popiel był konserwatorem. Jeżelibyśmy się spytali, kto dziś godny dotknąć się drogich wielkiego prawodawcy szczątków — wolałbym całą piersią na każdego kandydata odzianego powagą wyboru: Nie ty! nie ty! nikt w całej Polsce! Nikt — z wyjątkiem może tego jednego, który najgłębiej zbadał statut wielkiego króla a dziś złożony na łożu boleści wysłał żonę swoją, aby mu o treści grobu opowiedziała — nikt — oprócz Zygmunta Antoniego Helcla, autora starodawnych prawodawstwa polskiego pomników! Nie tak łatwo zaprzeczyć temu twierdzeniu, a przecież ileż w nim boleści! Nikt prócz człowieka pióra, człowieka naukowego badania, człowieka słowa a nie czynu! Nikt! bo kto poszczycić się może ciągiem prac i działania, któreby choć w miniaturowym zakresie nosiły cechę organiczności i pozytywności, jaśniejącej z każdego kroku politycznego wielkiego nieboszyka, kto w bolesnych naszych czasach potrafił stanąć jako mąż przyszłości, mąż zaufania, mąż, na którego obrócone oczy wszystkich? Pokolenie nasze łamało w druzgi każde organiczne dążenie, stawiało i przewracało fetysze, fabrykowało i niszczyło reputacye, aby w obec prochów wielkiego króla stanąć rozbite i niesforne, z wielkimi frazesami a bez czynów zbawienia i przyszłości! Pokolenie też takie nie ma prawa powiedzieć komukolwiek, tyś niepowołany! bo nikt powołanym nie jest, bo wszyscy drżeć jednako powinniśmy przed wielką postacią wyłaniającą się na światło dzienne, która opuściła grobowe cienie potężnej Polski piastowskiej, aby pustemi orbitami spojrzeć w oczy nerwowemu pokoleniu epigonów upadku, goniących za wrażeniami poetycznemi otwierania grobów a tak mało zdających się pojmować wielką prawdę w nich zawartą!

Muszę też, jako naoczny świadek, powiedzieć temu poetycznemu pokoleniu, że akt dobycia zwłok Kazimierza Wielkiego odbył się piękniej i wznioślej, niżby tę rzecz najwybredniejsza ułożyć mogła fantazya, niżby go ukartować mógł najznakomitszy mąż domonstracyi, a to właśnie dla tego, że się sam naturalnie ułożył. Opisuję go dla tych dusz cichych i zacnych, które gotowe przyjąć wrażenia bratniego ducha, nieobrażając się, że one przez tego bratniego ducha przechodziły, które umieją odczuć i dopełnić uczuciem, czego w słowach zabrakło...

O godzinie $10^1/_2$ dnia 21 Czerwca znalazła się garstka zawezwanych lub przypadkowo obecnych w bocznej nawie wawelskiego kościoła. Oprócz księży i powołanych z urzędu nie brakło tam ludzi wszelkiego stanu i zatrudnienia, nie brakło młodzieży i kobiet, słowem nie brakło świadków, którzy czynność urzędową widzieć i w razie potrzeby przebieg jej stwierdzić mogli. Przystąpiono też do niej z sumienną skrupulatnością, wśród głuchego milczenia obecnych, odpowiadającego nastrojowi, jaki uroczysta wywołała chwila.

Jeżeli chodzi o to, aby występującego na światło dzienne wielkiego króla witała cała dzisiejszej chwili narodowej rzeczywistość — to garstka obecnych uplotła się mimowoli w dramatyczny wyraz tej rzeczywistości. Nie kłamaliśmy wielkiemu królowi, biedni, słabi i grzeszni staliśmy u jego grobu, jakimi jesteśmy. Nie napełniał przestrzeni kościelnych tłum sukman włościańskich i halatów, bośmy ich dotąd, przez pięć wieków pozyskać nie umieli — nie tłoczno nawet było w nawie prawej kościoła, bo oto naród w stosunku do ludności dzielnic piastowskich i jagiellońskich niewiększym jest, jak owa garstka około grobu królewskiego!..... I nie brakło tam ironii dziejów przy grobie wielkiego prawodawcy, jak nie brakło pociechy... W oddaleniu pełnem uszanowania stało kilku oficerów zaborczego państwa — w pobliżu kilku członków sejmowej delegacyi, posłanej po wywalczenie warunków rozwoju narodowego i mąż tułacz o siwych włosach, jeden z czynników ostatniej doby dziejów naszych... Obok nich spostrzegłeś ludzi, poświęconych badaniom przeszłości na polu dziejów, archeologii, sztuki, piśmiennictwa — owych robót, które wśród pełnego życia politycznego stają się często potężnemi dźwigniami ruchu i reformy, w nieszczęśliwej zaś doli wychodzą czasem na grabarskie zatrudnienie, gdy prawdy zdobyte nie przechodzą w krew i soki pokolenia, ale mijają niepostrzeżone, nieujęte sumieniem i nie budzące do czynu..... Wtedy — cała nadzieja — w onej cichej łzie skruchy i boleści, jaka błyszczała w oku niejednego świadka obrzędu, cała nadzieja w tem zapukaniu wielkiej

prawdy dziejowej do serca każdej jednostki, prawdy, która niwelluje wszystkich i wszystkim odrodzić się każe, z bezwładności i braku ruchu jednym, z gorączki ambicyi i przewrotów drugim, która napełniła świętą grozą dusze obecnych, gdy ze starej tumby wystąpiła głowa w koronie króla z lat naszej świetności, z lat skutecznego i organicznego działania, głowa Kazimierza Wielkiego.

Głowa to o szerokiem, dumnem sklepieniu czoła, regularnym składzie kości, energicznie zaciskających się szczękach, zdrowymi uzbrojonych zębami. Wielkiego ducha — godne mieszkanie. Przez wieki wytrwała na niej korona ciężka, miedziana, grubo złocona, zdobna liśćmi rzeźbionymi, sterczącymi wysoko. Mimowoli chwyta mózg człowieka groza dziwna, wstrząsająca do głębi, gdy się patrzy na tę czaszkę wielkiego człowieka. Myśl przeleciawszy pędem błyskawicy przebieg jego panowania wraca i mówi ci o potędze jednego wielkiego gospodarskiego rozumu, jednego człowieka, umiejącego obliczyć położenie i budować z ruin świątynię przyszłości. Mówi ci, że taki duch jest darem Opatrzności, ale i pokolenia otaczającego wykwitem, że w ciasnych ścianach takiej czaszki znajdował się sekret zbawienia, bo naród był niwą, gotową przyjąć zbawienie. I oto z jednej strony widzisz czasy upadku i rozstroju podzielonej Polski, widzisz ojca wielkiego króla, walczącego z tym upadkiem chrobrą prawicą i odbudowcę Polski obejmującego rządy wśród zakwestyonowanego bytu ojczyzny, wśród roszczeń i gotujących się do boju sąsiadów — któremu na pokonanie złego nie potrzeba było miecza, bo wystarczała znowu ta głowa potężna miedzianą teraz ubrana koroną, głowa wiążąca zbawcze przymierza i zawierająca skromne ale pożyteczne traktaty, przenosząca pewną pracę nad niebezpieczne hazardy, głowa pomna wewnętrznej rozterki i niezmordowana w leczeniu jej — prawodawstwem, dobrobytem i oświatą.....

Któż opisze wrażenie obecnych, gdy po śpiewie: *De profundis* — głowa ta i korona spoczęła w tymczasowej trumience drewnianej, z świerkowych zbitej desek, przypominającej trumny naszych włościan, gdy przez ciąg następnej godziny sędziwy profesor anatomii, dawny żołnierz polski wydobywał kość po kości z grobowego pyłu, gdy z głębi grobu wyszła złotogłowa szata królewska, jabłko świata z krzyżem, berło, pierścień i ostrogi rycerskie, bo miecza nie było, bądź to, że pożarty rdzą zmięszał się z żelaziwem kraty, na której stała modrzewiowa trumna, bądź, że go nie włożono do grobu królowi pokoju, boć brakło także królowi rycerskiego pasa, za który miecz zatykano. Zauważano, że kości lewej nogi królewskiej uległy większemu zniszczeniu i przypomniano sobie przyczynę jego śmierci,

upadek z konia na polowaniu w sieradzkim Przedborzu (8 Października), z kąd król złamawszy prawdopodobnie nogę, z trudnością tylko do Krakowa mógł być sprowadzony, aby tam 5 Listopada 1370 roku życia dokonać. „Jaki był lament, płacz i smutek u ludzi duchownego i świeckiego stanu, pisze Janko archidyakon gnieznieński, śmierci królewskiej świadek, nie odda tego i nie opowie żaden język ludzki.“ Jakże opisać smutek tych, co po pięciu wiekach wydobywali szczątki króla na światło dzienne, króla, co obudzając tyle boleści, zostawił tyle pociechy, co spuścizną po sobie zostawił ducha politycznego, łączącego niebawem Litwę z Polską, zasoby bogate do zwycięztwa nad Grundwaldem, chwałę państwa, co mogło chwilowo zaburzyć się po jego śmierci, aby się podnieść tem wielmożniej, dzięki wielkomyślnej jego wnuce..... a teraz spotkał się z pokoleniem niemającem nic — prócz miłosierdzia Bożego — nic prócz serca złamanego wielkiemi cierpieniami, ale kochającego zawsze — nic prócz rąk, nieprzyzwyczajonych do pracy — i nic, prócz pamięci, czem było i czem być przestało!

Dobrze było i pięknie, powtórzę Sokratesa językiem, że wielkiego króla spotkała rzeczywistość, usymbolizowana małą gromadką przytomnych..... a jeżeli nie ulegliśmy wszyscy chorobliwemu zapatrywaniu się Słowackiego:

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie wedle miary krawca lecz Fidiasza

to i w tych sercach nielicznych, był naród i jego boleści. Czuliśmy za siebie i za pokolenie wielką tragiczność tej chwili, gdy trumienka włościańska z popiołami wielkiego króla na ramionach duchownych i świeckich popłynęła do kaplicy Wazów, noszącej nazwę kaplicy zmartwychwstania pańskiego, gdy wśród pochodu odezwał się psalm:

Benedictus Dominus Deus meus, qui docet manus meas ad praelium et digitos meos ad bellum
Misericordia mea et refugium meum, susceptor meus et liberator meus —
Protector meus, in ipso speravi: qui subdit populum meum sub me!

psalm, jakby z piersi zmarłego króla pochodzący — gdy nad zamkniętem wiekiem, ustrojonem wieńcem z bławatów, woniących pól naszych urodzajem, wezwał kapłan do modlitwy za duszę Kazimie-

rza Wielkiego, gdy z piersi klęczącej gromadki odezwał się ów wstrząsający do głębi, bramy niebios otwierający śpiew Salve Regina, w którym znalazły się słowa podwójnie dzisiaj znaczące;

Ad te clamamus, exules filii, in hac lacrymarum valle!

Popołudniu pamiętnego dnia tego zebrała się komisya i kilku świadków, dla podpisania protokołu naradzenia się nad pogrzebem popiołów królewskich. Wedle uchwały zgromadzenia miano na pamiątkę odkrycia zwłok i pogrzebu, przechować w kapitulnym skarbcu pierścień znaleziony w trumnie i dwa gruzy ubrania, dwa guzy zaś powierzyć Towarzystwu naukowemu, które wzięło inicyatywę w odnowieniu pomnika, które tak liczne już położyło zasługi około przechowania pamiątek przeszłości, a posiadając muzeum archeologiczne wabi ku sobie podróżnych z całego obszaru ziem Polski, cieszących się, że zabytki lepszych czasów jedno więcej godne znalazły schronienie..... W temże muzeum złożone szczątki trumny, miały rozejść się jako drogie relikwie po całej Polsce, aby upamiętnić dzień 21 czerwca, w którym w kraju o rozwleczonych insygniach królewskich, ujrzała światło dzienne króla — odbudowcy korona!

W gronie rozprawiającem o tym tak uroczystym przedmiocie, byli bądź co bądź, ludzie znający zwyczaje i tradycyę kościoła, ludzie trudniący się pomnikami przeszłości, ludzie, którzy pracowali i cierpieli dla Polski, ludzie, którzy kochali i szanowali przeszłość, ludzie sędziwi i poważni, ludzie myślący i czujący. Ludzie ci wyszli z czystem sumieniem z narady i zapewne im przez myśl nie przeszło, że niebawem zarzuci im ktoś zamiar:

rozszarpania pamiątek po Kazimierzu Wielkim i burzenie grobów z dyletanctwa!

że ktoś, pragnący jakimbądź sposobem wścibić swoje trzy grosze, rzuci w świat protest przeciw zamierzonemu świętokradztwu, że ktoś drugi ujmując się za królem Polski, nazwie akt wydobycia zwłok nieformalnym, dla tego, że nie asystowały władze rządowe i autonomiczne organa królestwa Galicyi i Lodomeryi.

Miałbym prawo wybuchnąć, hamować radzi mi wzgląd na pożytek mego pisma. Protest mogło tysiące najzacniejszych podpisać ludzi, autorowie i artykułu i protestu mogli nie zdawać sobie sprawy, co czynią. Codziennie dzieją się u nas rzeczy tego kalibru, codzien-

nie spotykamy się z objawami tego kierunku, który jako powszechny i popularny, pochodzi też z ogólnej przyczyny, z powszechnego grzechu narodowego a ogarniając massy, zmniejsza indywidualną odpowiedzialność. Pochwycić go na gorącym uczynku, pochwycić w takiej chwili, pochwycić pod opieką takiego ducha, jak ten, który nam się z przeszłości wyłonił — uważamy za nasz obowiązek i dla tego hmujemy się ku spokojnej złego dyagnozie. Powiemy tylko śmiało, choćby tylko jako skromny zakrystyan świątyni przeszłości, której niejedną chwilę życia poświęciliśmy, że duch Kazimierza Wielkiego mniej by bolał nad zabraniem mu wszystkich oznak królewskich dla podniecania ducha narodowego wystawionych publicznie — niż boleć musi nad niesfornym dźwiękiem protestów, szkalowań i kłótni zamącających społeczeństwo w chwili, gdy temu społeczeństwu padło w udziale wyświadczyć mu cześć pogrzebną!

Protest, artykuł, cały ów krzyk powstały z przyczyny wielkiego nieboszczyka, w chwili tak rzewnej, tak głębokie obudzającej uczucia, to skutki fatalnego naszego grzechu, że nikt się w nikim nieczuje, nikt drugiemu zastąpić nie da, nikt w drugim zaufania nie pokłada, ale pędzi naprzód z indywidualnością własną, niespokojny, że nie był przy wszystkiem, że sam nie zrobił wszystkiego.....

Patrzcie! porywa go fantazya, zapala, wybiega na ulicę i krzyczy: Liberum veto! Gwałtu! Ratujcie! Rozszarpują grób, kradną pamiątki, rozwlekają po muzeach kości i klejnoty..... Kto taki?

Oczywiście ci, do których należało odkrycie grobu i przeniesienie popiołów. Kto taki? Oczywiście rodacy! p. Józef Majer, p. Paweł Popiel, p. Józef Łepkowski, p. Jan Matejko, p. Władysław Łuszczkiewicz itd. Co za okropny stan narodu — *si fabula vera* — W żadnym z tych ludzi nie było serca polskiego — to serce znalazło się dopiero w autorach artykułu i protestu. Żaden z tych ludzi nie wiedział, że Kazimierz W. należy do narodu, ale myślał, że jest własnością archeologicznej komisyi — potrzeba było znowu na to autora artykułu i protestu. Żaden też z tych ludzi nie był oczywiście godzien widzieć pierwszy kości Kazimierza Wielkiego — bo autor artykułu ujmuje się za władzami i korporacyami, które przy akcie exhumacyi obecnemi być były powinny, a bez których przed dyletanckiem grobobursztwem nie było zabezpieczenia!

Mój Boże, możnaby się śmiać, gdyby płakać nie było czego. Naród zdrowy zawierzyłby najostatniejszemu z swoich synów, że wobec kości wielkiego króla wyszlachetnieje i świętym dreszczem przejęty, spłacze połowę złego

z duszy — schorowane nasze społeczeństwo kamienuje znanych ludzi zarzutem, że nie umieli czuć tego, co w jego piersi się odzywa! Naród zdrowy wiódłby w tryumfie szczęśliwych, którym z urzędu padło wielkie wydobywać prochy, społeczeństwo schorzałe nie ma nic pilniejszego, jak kroki ich nazwać uzurpatorstwem, pragnącem imię jedno lnb drugie do uroczystego przyczepić wypadku! Janowi z Kalinowy Zarębie nie pozazdrościła potomność, że na rozstawnych koniach przyniósł wiadomość Zygmuntowi staremu o przyjściu na świat Zygmunta Augusta: nasze pokolenie, ubogie widać w nadzieje imion historycznych, gdy zazdrości takiego przejścia do historyi!

Tó jedna, smutna strona małego na pozór wypadku. Gdybyż młodsze bodaj pokolenie zapamiętało skromną naszą tego grzechu dyagnozę i zapisało sobie w pamięci kilka prawd złotych, które nam nasuwa. Pierw, nimli uderzysz kamieniem, pomyśl, czy nie trafisz w serce, które czuje toż samo co ty! Pierw, nim zawołasz: Gwałtu! obejrzyj się, czy się pali! Pierw, nim się chcesz okazać lepszym od innych, pomiarkuj dobrze, czy nim jesteś? Pierw, nim rzucisz się na to, co ci jeszcze zachowała łaska Boża, pomyśl, czy staniesz za to, co napadasz i obalasz! Pierw, nim chwycisz świętą sprawę w ręce, chodź i namawiaj, aby ją uchwycił zdolniejszy od ciebie, a nie rób krzyku, synu, i nie pchaj się na dowódzcę. Chodzeniem i namawianiem jeźli nie znajdziesz wodza, to zwerbujesz żołnierzy, krzykiem nie wykrzyczysz z siebie hetmana.....

Przechodzimy do drugiej strony sprawy, nie tyle z artykułu i protestu ile z posłuchów naszych i znajomości dzisiejszego tętna społecznego czerpanej. Jest nią demonstracyomania, powracająca naszego społeczeństwa choroba. Ona to rzuciła się na exhumacyą „cichaczem“ Kazimierza W., ona zabębniła na alarm, obawiając się pogrzebu cichaczem, o którym nikt nie myślał. Podejrzywała ona zapewne, że ktoś chce jej wydrzeć z ręku gratkę, która nadliczbowo stanęła w programie tegorocznych demonstracyjnych obchodów. Cichaczem nie odbędzie się pogrzeb Kazimierza Wgo, ale nie daj Boże, aby ten akt uroczysty wejść miał do programu tej lekkomyślnej, płytkiej, bezdusznej, fuszerskiej polityki, która budzi i posługuje się demonstracyomanią!

Demonstracya to ostatni, najmniej pożyteczny, najwięcej ślizki i niebezpieczny rodzaj objawu życia publicznego, dozwolony a raczej usprawiedliwić się dający chyba wtedy, gdy ma wstrzymać złe grożące, oczywiste, lub jako drastyczny środek sprowadzić dobre, gdy zabraknie wszelkich naturalnych wyrazów społeczeństwa, a powszechny głos wewnętrzny wiąże ludzi w ciżbę jednej woli i pragnienia lub

jednego oporu. Nadużywanie tego środka, wprowadzenie go jako czynnika mającego coś budować, podnosić, jest denerwowaniem społeczeństwa, jest dążeniem do haszyszowania go i obłąkania, aby zaplątawszy się w fałszywe premissy, doszło do rezultatów, z których sobie sprawy zdać nie będzie mogło i umiało. Nic zaś boleśniejszego i przeciwniejszego zdrowemu pojmowaniu spraw, postaci, dziejów narodowych, jak wyzyskiwanie znakomitych ludzi, pamiętnych faktów przez demonstracyomanią i fabrykowanie demonstracyi — bo nie płytszego, kłamliwszego i mniej wchodzącego w meritum owych ludzi, faktów i dziejów!

Demonstracye nasze mają przypominać światu i narodowi całą i niepodległą Polskę, i mają tęż Polskę jawnie i wszem w obec wyznawać! Piękna rzecz, tylko zbyteczna dalipan. Jeżeli w duszy naszej wygasła pamięć ojczyzny, jeżeli myślą o niej nie tchnie każde skuteczne lub mniej skuteczne dążenie i praca nasza, jeżeli sumienie polskie nie kieruje ludźmi politycznymi, chęć służenia Polsce nie żyje na zagonie rolnika, w warsztacie przemysłowca, w izdebce uczonego, jeżeli myślimy, że ten jej nie kocha, co jej, jako imienia Boga nadaremno, przy każdej okazyi nie wzywa, to idźmy spać bracia i nie róbmy demonstracyi temu, co zginęło..... Jeżeliby ta myśl zginęła, jeźliby wygasła do szczętu, gdybyśmy od czasu do czasu nie wyprawili objadku z mówkami i improwizacyami, nie zaśpiewali jakiej pieśni chodzącej nam mrowiem po szpiku kości, gdybyśmy nie podnieśli rocznicy jakiejś, przypominającej nam czemeśmy byli, gdybyśmy jak stare zdenerwowane rozpustniki moralne nie roztoczyli przed sobą uroczych obrazów i wspomnień — to idźmy spać znowu, bo narodowi do życia trzeba krwi zdrowej i muszkułów potężnych a nie drgań schorowanego ciała, narodowi trzeba wgryźć się w twardy owoc rzeczywistości a nie karmić się podniecającemi potrawy. Słowem, jeżeli duch narodowy, jak umierający bobrową essencyą, ma się przy życiu utrzymywać demonstracyami, szkoda bobrowej essencyi — bo tego ducha już nie ma, bo to umarłemu kadzidło.

Ale demonstracye mają wedle zdania ich obrońców zmacniać pulsacyę życia, powiększać zastęp obywateli, bo nawet dopomagać do rozwiązania pewnych kwestyj, mają być świadectwem wyznawania idei w obec narodów świata, bronią moralną przeciw nieprzyjaciołom. Fałsz wierutny, powiemy na pierwsze i drugie z twierdzeń obrońcow. Demonstracya staje się najczęściej niepotrzebnem nawracaniem nawróconych — niepokojeniem i zawichrzeniem głów stojących poniżej djaponozu myśli narodowej. Porywa je wir powszechny,

udziela im się elektryczna iskra ogółu, ale ciemnota pozostanie ciemnotą, nieświadomość zamieni się w pewne przeczucie powołania do czegoś niezrozumiałego, które namiętność, głupstwo lub przewrotność wytłumaczy po swojemu. Zapewne jest to mętna woda dla tubalnych głosów demagogicznych, ale naród zdrowy nie powinien znosić wód mętnych. Czego massy nie nauczyły się w szkole, kościele, w życiu prawidłowem publicznem, tego nie nauczą się przy demonstracyach — ale nauczą się tam lekceważenia szkoły i kościoła, nauczą chęci panowania i imponowania naturalnemu porządkowi społecznemu, a wystąpiwszy z koryta, rozleją się zniszczeniem na społeczeństwo.

Rozwiązywać kwestye! ułatwiać ich rozwiązanie! Mój Boże! trzeba nie wiedzieć, zkąd się biorą zawikłania i kwestye dziejowe. Trzeba nie wiedzieć, że gordyjskie węzły czasu plączą się przez wieki całe, że je rozwięzuje tylko herkuliczna a wytrwała praca lub rozcina czyn genialny! Nic zaś biedniejszego jak demonstracya siły, pokrywająca słabość, demonstracya zgody, pokrywająca rozterkę, demonstracya miłości mającej zażegnać nienawiść, której normalna praca zażegnać nie mogła! Nic mniej skutecznego, jak sztuczne bratania się i godzenia, które nazajutrz z zimną spotkawszy się rzeczywistością, zajątrzają tylko rany społeczne, bo pozwalają używać smaku owoców zgody, zanim się ten owoc zawiązał, zbliżają ideał, aby zasłonić drogę ku niemu, mamią, że się stało, co się zdobywać musi, palą prochy entuzyazmu w fajerwerku, zamiast je pogrzebać w minie podziemnej, wykutej ciężką pracą ale rozsadzającej za to najtwardsze skały przesądu!

Cóż powiedzieć o świadczeniu idei i o moralnem porażaniu nieprzyjaciół! Idei naszej świadczyliśmy dostatecznie krwią i ofiarą, a przecież, z smutkiem powiedzieć należy, sympatye dla nas upadają raczej niż rosną. Dla czego, wartoby się głęboko zastanowić. Do nieostatnich przyczyn należy niezawodnie chęć podobania się wszystkim, wiązanie się na wszystkie strony, szukanie widoków wszędzie, należy ta znana za granicą kokieterya polska, czująca na sobie oczy Europy i pozująca po woli, jej tak różnych prądów opinii politycznych... Spółcześnie rewolucyoniści i legitymiści, katolicy i wolnodumcy, rewolucyoniści i dyplomaci spowszednieliśmy Europie przez kameleonowość barw naszych, przez ten brak cery zdrowej i wybitnej, którą pomimo odcieni swoich politycznych imponują nasi południowi sąsiedzi. Obróciwszy wszystkie siły na wewnątrz, pozbywszy się nerwowego czucia, co powiedzą ci albo owi, uwierzywszy przedewszystkiem w siebie i w swoich ludzi, podtrzymując

ich a niewyzbywając się ich lekkomyślnie, chyba w razie gwałtownej potrzeby, gospodarując zręcznie tym małym zasobem, który posiadamy, przyjdziemy do objawów życia, które zbytecznemi uczynią aparat wszelki demonstracyjny, bo uderzać będą swoich i obcych faktami, czynami, instytucyami, przechowującemi i dającemi świadectwo narodowości. Pamiętajmy, że odziewanie się w świetną przeszłość historyczną i jej wspomnienia, będzie tak długo strojeniem się w cudze pióra, jak długo pracom przeszłości nie wskażemy prac własnych, wieńcom chwały przodków nie odrzucimy wieńców chwały własnej, skromniejszych może ale równie zacnych, bo w dzisiejszych stosunkach większego trudu wymagających!...

Nie daj więc Boże, powtarzamy, aby pogrzeb kości Kazimierza Wielkiego miał być demonstracyą, niech on będzie uroczystością narodową! Niech piętnem jego i cechą będzie prawda, będzie uczczenie tem, co mamy, uczczenie szczere i serdeczne, uczczenie objawiające się zachowaniem się naszem i czynami, pochodzącemi z zebrania ducha. Baczność zaś! i baczność raz jeszcze! bo jeżeli już nagrzeszyliśmy przy tej sposobności, stańmy w pół drogi i powiedzmy sobie: Pokój i zgoda! skrzydła wielkiego ducha wieją nad nami! Swary nasze i walki jak pokolenie nasze, niestety! jak ludzie nasi głośni, czemże są w obec postaci, wyłaniającej się z pogrzebowych cieniów Wawelu? Kazimierz Wielki to ów, co po Chrobrym ojcu dokonał odbudowania Ojczyzny; błagajmy Boga przy jego trumnie, aby występując na światło dzienne po wiekach pięciu, stał się nam wróżbą, że pokolenie nasze, stawszy się bodaj ojcem odbudowców, nosi w łonie swojem potężną głowę przyszłego Piasta-gospodarza! Może naród, którego największym królem był król kmiotków, przejść musi jeszcze do końca bolesną dolinę męczeństwa, dopóki mąż, kmieć z rodu lub mąż o kmiecym rozumie nie chwyci potężną ręką wszystkich sił uśpionych, nie nakaże milczenia rozhukanym falom rozburzonych nieszczęściami żywiołów, nie błyśnie źrenicą genialną, jak owa, która niegdyś w orbitach czaszki królewskiej błyszczała. O takie pokolenie, o takiego męża, wołali wieszcze nasi z głębi rozbolałej widokiem społeczeństwa naszego duszy, o takie pokolenie, o takiego męża idźmy jako pątnicy z ziem dawnej Rzeczypospolitej, które ciężka przemocy okrutnej nie uciska ręka, modlić się u kości ostatniego Piasta!

Sami zaś uświetnijmy ten akt czynami pamiątkowymi, godnymi króla naszego i przyszłości, błagalnymi za złe, jednającymi błogosławieństwo Boże. Podniesiono we Lwowie myśl srebrnej trumny, w całym kraju idą składki na obchód pogrzebowy. Król nasz, zo-

stawiając Polskę murowaną i bogatą a umierając przytomnie, kazał się zapewnie sam w modrzewiowej pochować trumnie, insygnia królewskie były srebrne lub miedziane. Nie poprawiajmy przeszłości i poprzestańmy na miedzianej trumnie, sprawionej przez kapitułę. Składka niech służy duchowi Kazimierza Wielkiego, niech czci myśli jego żywota. Niech subskrypcya powszechna, hojna, stworzy fundusz Kazimierza Wielkiego poświęcony na prowadzenie przez szkoły aż do Alma Mater pewnej liczby ubogich dzieci naszych włościan, którzy w wiejskich szkołach zdolności okażą. Niech fundusz ten rozdzieli się na Galicyą i W. Księstwo, niech pewna liczba stypendyów będzie przeznaczoną dla dzieci wyznania mojżeszowego. Niech dzieci wychowane za pomocą tego funduszu zowią się wychowankami Kazimierza Wielkiego. Niech ta instytucya stanie wspólnemi siłami, datkami wszystkich! Tu pole popisu! Jeżeli chodzi o upamiętnienie tej chwili w Krakowie, niech szczodrobliwość obywatelska wzniesie w dziedzińcu Biblioteki Uniwersytetu grupę kolosalną założycieli Akademii Kazimierza Wielkiego, Władysława Jagiełły i Jadwigi, która jest konieczną dla ozdoby pięknego budynku, a z pod której tryskać może owa woda najlepsza w Krakowie, zwana wodą św. Jana Kantego. Tam dzieci nasze przypominać sobie będą szlachetne natchnienia ojców, tam wychowanek Kazimierzowski, patrzeć będzie w twarz króla kmiotków, który po pięciu wiekach wyszedłszy z grobu mógł rzucić jeszcze pełne garście dobrodziejstw oświaty, bo oto naród jego w grobie nie znalazł tylko samych kości i popiołów — ale znalazł ducha, który budował, godził i oświecał! Wtedy, w błogiej wierze, że się ten świat walki i pracy wiąże z światem tryumfu, możemy sobie tuszyć z łzą w oku, żeśmy godnie pochowali zwłoki największego z naszych królów, że duch jego, w chórze wielkich ziemi tej miłośników, zanuci Panu psalm Dawida:

Benedictus Dominus Deus meus, qui subdit populum meum sub me!

Taka expiacya niejako, smutnego swaru, które wzbudziło przeniesienie kości Kazimierza Wielkiego wydaje nam się jeszcze z jednej przyczyny konieczną.

Pogrzeb wedle pierwszej, objawionej przez Wiel. Kapitułę decyzyi, powziętej przypadkowo, za prostem wejrzeniem w rubrycellę kościelną miał się odbyć dnia 1 Lipca.

W chwili, gdybyśmy byli, owego 1 Lipca składali do grobu zwłoki męża Anny Aldony i wybawcy Rusi — dobiegałaby była

co do dnia, co do godziny trzechsetletnia rocznica Unii lubelskiej.

Dnia 1 Lipca przysięgał król i stany Polski i Litwy na unię, dnia 1 Lipca dokonała się unia, dnia 1 Lipca śpiewał Zygmunt August na kolanach *Te Deum!* za Unię!

Przypadek — bo nikt z przytomnych nie oznaczał tego dnia z tej przyczyny — a tylko ja szepnąłem sąsiadowi: Dzień Unii! przypadek a raczej zrządzenie Opatrzności, kazało nam obchodzić uroczystość pogrzebu w dzień Unii lubelskiej!

Obchodźmyż tę uroczystość w dni 8 później, w duchu Kazimierza Wielkiego i Unii! Upamiętnijmy ją pięknym, choćby skromnym na jaki nas stać czynem. Zostawmy tę rocznicę po sobie, aby potomkowie nasi powiedzieli z rozkoszą i dumą: Niedarmo przewiały nad nimi duchy wielkie, duchy Kazimierza Wielkiego i Zygmunta Augusta!

Józef Szujski.

DZIELA JÓZEFA SZUJSKIEGO.

DZIEŁA

JÓZEFA SZUJSKIEGO

WYDANIE ZBIOROWE.

Tom dodatkowy.

POLACY I RUSINI W GALICYI.

(Die Polen und Ruthenen in Galizien.)

W KRAKOWIE,
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1896.

NAKŁADEM RODZINY JÓZEFA SZUJSKIEGO.

Zupełne wydanie pism Szujskiego kończy się niniejszym tomem, dwudziestym z rzędu, a zawierającym tłumaczenie niemieckiego dzieła, wydanego w r. 1882, pod tytułem: *Die Polen und Ruthenen in Galizien.*

Genezę książki wyjaśnia przedmowa samego autora. Polski przekład należało tu umieścić, nietylko dlatego, że bez tej książki niezupełnym byłby obraz literackiej i obywatelskiej działalności Szujskiego, ale niemniej też z głębokiego przekonania, że wyborny ten podręcznik przyda się także polskiemu czytelnikowi. Toteż na wezwanie Komitetu wydawniczego podjąłem się tłumaczenia z całą przyjemnością.

Nie zmieniając niczego, trzymałem się dosłownie niemieckiego tekstu. Niektóre ustępy, zależne od ciągłych zmian, (np. statystyczne) zachowają i tak znaczenie, jako ciekawy obrachunek ze spraw krajowych w pewnej chwili; inne (opisowe i poglądowe) trwałą mają wartość już choćby przez to, że wyszły z pod pióra związanego tak ściśle z historyą krajową; a jak na dziś, posiadają one jeszcze zupełną aktualność. Dodany zaś na końcu krótki rys historyi literatury polskiej i ruskiej, jest do dziś dnia pracą jedyną w tym rodzaju, a pod każdym względem bardzo dobrą.

Nakładcy i właścicielowi oryginalnego niemieckiego wydania, panu K. Prochasce, należy się podziękowanie i uznanie za bezinteresowne zezwolenie na wydanie polskiego tłumaczenia.

Felix Koneczny.

POLACY I RUSINI W GALICYI.

(Die Völker Oesterreich-Ungarns. Ethnographische und culturhistorische Schilderungen. Neunter Band: Die Polen und Ruthenen in Galizien. Wien und Teschen. Verlag von Karl Prochaska. 1882). 8⁰, str. 282.

PRZEDMOWA.

Niniejsza praca gotowa była już w zeszłym roku, wkrótce po pamiętnej podróży cesarskiej po Galicyi, przeznaczona do dzieła zbiorowego „Ludy Austro-Węgier“, i to w rozmiarach zastosowanych do dwutomowego planu publikacyi. Ogłoszenie jej w tym roku w osobnym tomie sprawiło, że się rzecz całą przejrzało, pomnażając zarazem materyał etnograficzny i do historyi kultury, a do zebranych dat statystycznych dodając najnowsze. Przydaliśmy też zarys historyczny ogólnej literackiej działalności Polaków i Rusinów. Wpłynął w tem na nas ten wzgląd, że sfery obydwóch narodów sięgają daleko poza granice cesarstwa austryackiego, a istotne ich cechy dadzą się poznać dopiero na tle tych etnograficznych granic. Zarys ten dołączono do tej pracy jako dodatek, który powinienby pomódz do zrozumienia kraju z państwem austryackiem połączonego, a nie bardzo znanego, bo za mało poznawanego.

W Krakowie, dnia 1 listopada 1881.

Dr. Józef Kenjakin

WSTĘP.

Galicya, ojczyzna Polaków i Rusinów w Austryi, należy niewątpliwie do tych krain, o które się najmniej troszczono w geografii powszechnej i specyalnej austryackiej. Podręczniki, a nawet większe dzieła zbywają ten kraj jak najkrócej byle czem i rzadko też kiedy podróżni obiorą go sobie za przedmiot poważnych roztrząsań; ale zato tem częściej pozwalają sobie użyć na jego stosunkach rozmachu pióra tendencyjni korespondenci przeróżnych odcieni, którzy kładą obok siebie i prawdę i kłamstwo w rembrandtowskim światłocieniu, dalecy jednak bardzo od tego, żeby rozproszyć panujące ciemności. W ten sposób dzieje się, że publiczność europejska, ba! nawet austryacka, pozwala sobie opowiadać o Galicyi niestworzone rzeczy w nowellach, powieściach i w dziennikach, z obojętnością, godną chyba jakiego bajecznego *pays de Cocagne*.

Znaczną część winy tego zaniedbania przypisać sobie muszą zapewne sami krajowcy. W wirze dzisiejszego życia nie godzi się rwącym się doń na nowo i na dorobku będącym, lekceważyć sobie, już nie reklamy, ale informacyj prostych a rzetelnych o tem, co najciekawsze z ich działania; pracując ze wszystkich sił około wzmożenia swego narodu, nie powinno się zaniechać tego, ażeby etapy rozwoju podawać do wiadomości w formie dla powszechności przystępnej. Od wielu lat niewiele robiono na tem polu, a właściwie nawet nic. Krajowcy powołani od czasu ery konstytucyjnej do różnorodnej działalności, mieli pełne ręce roboty, a najwybitniejsze siły prowincyi były i są jeszcze zbyt przeciążone, ażeby im mogło zostać czasu na sprawozdania o sprawach Galicyi.

Tak tedy z odległego kraju koronnego dochodziły luźne odgłosy, harmonijne i fałszywe tony, już to obwieszczając wyniki wyższego stanu kultury, już to żaląc się na wewnętrzne rozterki narodowe i społeczne; stawało się to powodem do najrozmaitszych sądów, aż do owego zrzędnego wyroku na „bierną na wskróś prowincyę“. Wszystkie ujemne strony nie mogły oczywiście zakryć doniosłego dla całości państwa znaczenia tej prowincyi przed bystrym wzrokiem statystów i myślicieli, zastanawiających się głębiej nad losami i interesami Austryi i Europy; ale niepojęte, a raczej niewytłómaczone te dysonanse mogły tylko przeszkadzać do osiągnięcia powszechniejszej ogólno-austryackiej sympatyi.

Na mapie całego państwa stanowi Galicya kraj wysunięty na wielką t. zw. sarmacką nizinę poza graniczną linię Karpatów. Historya polityczna zeszłego wieku przyłączyła go do krajów dziedzicznych dynastyi habsbursko-lotaryńskiej; od r. 1773, odkąd przez pierwszy rozbiór Polski powstało to rewindykowane Królestwo Galicyi i Lodomeryi, zmieniało ono trzykrotnie granice: w roku 1795 przez dołączenie Lubelskiego i Chełmskiego, w r. 1815 przez utratę tych krain a rozszerzenie granic w stronę Podola, a w r. 1846 przez zajęcie W. Księstwa Krakowskiego, wówczas Wolnego Miasta z okręgiem. Szukając w przeszłości genezy tej zmiany granic, widzi się, jak nad losami tego austryackiego kraju ciążą ciągle te brzemienne zawikłania, które wyradzają t. zw. sprawę wschodnią i łączące się z tem powszechno-dziejowe dążności Rosyi; Austrya, ustępując naciskowi Prus, musiała wobec nich szukać kompensat terytoryalnych w rozbitej wewnętrznie Polsce i w ten sposób dostroić się do zmieniającej punkt ciężkości równowagi europejskiej.

Nabytek ten ma wyłącznie polityczną cechę, nie wytworzyły go żadne inne względy, to też i życie narodowe w zakarpackim kraju składa się — z fragmentów. Dwa główne narody, polski i ruski, ściśle złączone i zżyte z sobą nawskróś, mają swych rodaków a nawet wprost krewnych na rozległych przestrzeniach ościennych państw i żadną miarą nie mogą pozostać obojętnemi na silne prądy życia w swym rodzimym etnograficznym związku, pod względem narodowym, społecznym, ekonomicznym, literackim i religijnym. Jak zdaniem geologów nieprzejrzane niegdyś morze sarmackiej niziny tu o granitowe głazy Tatr rozbijało się roztrącając swe bałwany, podobnież dziś wre i kipi życie narodowe osuszonego już przestworza w zniżającym się łagodnie ku Wiśle i Dniestrowi kraju, tem silniej, że konstytucya i swobodne instytucye pozwalają tu wolno odetchnąć

ciemiężonym gdzieindziej obydwom narodom. Charakterystyczna ta a widoczna na pierwszy rzut oka cecha sprawia w zestawieniu z owym politycznym stanem rzeczy, że prowincya jest tem ciekawszą i godniejszą poznania; to samo jednak utrudniać musi poznanie jej wszystkim tym, dla których założenie stanowią studya nad całem państwem, a kryteryum jest porównywanie z zachodniemi stosunkami, którzy zapominają, że ten duży kraj zakarpacki, jakkolwiek z zasady stoi wytrwale przy Zachodzie i Austryi, uważać jednak trzeba koniecznie za wycinek tylko z wielkiego koła etnograficznego, wycinek, który uniknąwszy wśród politycznych przemian Europy północnej topieli, wyczekuje dalszego rozwikłania dziejów, jako grobla wysunięta naprzód, czująca i myśląca, a z konieczności wystawiona na podmywanie przez przeróżne fale.

Ziemia i mieszkańcy.

Jeżeli się podejmie pieszą podróż za galicyjską granicę z którego z licznych, a dość porządnych miejsc kąpielowych na granicy węgierskiej, np. z położonego wysoko Szmeksu, odpoczywając gdzieś na grzbiecie gór, np. na olbrzymim Gerlachu, doznaje się szczególnego wrażenia, mając u swych stóp dwa światy, staczające się w dół wielkie niziny, panońską i sarmacką. Spadek po stronie węgierskiej jest wprawdzie znacznie stromszy, niż w stronę Galicyi, gdzie lesiste t. zw. regle znacznie go zwalniają, a jednak zwróciwszy się ku Węgrom szuka się napróżno tego rozległego widoku, świeżego tchnienia i niezamąconej linii nieprzejrzanej płaszczyzny, które się otwierają przed okiem podróżnego, gdy spojrzy ku Galicyi. Po stronie Węgier zakrywają bogate płaszczyzny synów Arpada niezmierzone szeregi lesistych pagórków; poza galicyjskiemi zaś pagórkami dominuje ta linia niziny, spiętrzona dla widza jak ocean, który niegdyś szalał pod granitowemi Tatrami i wrzynał się w wąwozy dolin. Karpaty są granicą naturalną, co się zowie! Odczuwa się, że niegdyś ludy przechodziły wzdłuż tej granicy naturalnej, używały tu rzek i pastwisk, patrzały zdala na puszcze i szczyty, ale tylko wyjątkowo, w ostateczności, szukały przez nie przejścia. W dolinach i górskich wsiach Karpatów szukać trzeba dawnych osadników, wypartych przez nowych przybyszów; gdzieniegdzie znajdzie się zbiegów z południowego sąsiedztwa.

Nazwa trzeciego wielkiego europejskiego pasma górskiego nie jest rodzimą. Nie zna jej ani polski, ani ruski góral; rodzinną swą ziemię nazywa poprostu g ó r y, h o r y, ale zarazem nazywa d r o g ą k a r p a t n ą drogę górską, trudną do przeprawy. Nazwa geograficzna

lesistej części Karpat, Bezkidy, również nieznaną jest ludowi, ale w okolicy Babiej Góry oznacza k i d szczyt góry, a zatem b e z — k i d (ludowe b e z = przez) oznaczałoby przejście przez szczyt; nazwa centralnych Karpat, Tatry, jest również obcą polskim mieszkańcom Tatrów, ale da się sprawdzić historycznie u Kosmasa (I. 33, II. 37) z datą roku 975, przekręcona na Tritri.

Galicyjska część centralnych Karpat otacza ściśle i amfiteatralnie wielką dolinę Nowotarską. Nie zawiera ona najwyższych szczytów pasma, ale obfituje w rozmaitość imponujących, czarujących widoków, czemu sprzyja tu większe wyrobienie dolin, które pomiędzy lesistemi reglami wiodą do stóp granitowego głównego pasma. Tak np. zroszona Białym Dunajcem dolina Kościeliska, wsunięta zrazu pomiędzy równoległe szeregi gęsto zalesionych skał wapiennych, a potem rozszerzająca się w obfite pastwiska, prowadzi do stóp Pysznej (2271·9 m) i Czerwonego Wierzchu (2091·7 m); tak urocza dolina Strążyska wiedzie pod Giewont (2179·2 m), podczas gdy żmudna droga prowadzi z hut zakopiańskich przez regle Kosysta do Czarnego Stawu, potem przez stromy Zawrat do pustynnej okolicy Pięciu Stawów, a wreszcie przez dolinę Roztoki do groźno-uroczego Morskiego Oka.

Pełnia życia roztoczy się przed podróżnym, gdy się wreszcie przedostanie poprzez te graniczne olbrzymy na hale i do rozsianych po dolinach wiosek. P o d h a l a n i e, jak nazywają się mieszkańcy galicyjskich właściwych tatrzańskich wsi w liczbie 27, są wszyscy potomkami osadników, osadzanych tu w ciągu XIII. i XIV. wieku na nowotarskiej królewszczyznie. Byli to pierwotnie Niemcy, jak świadczą liczne właściwości ich gwary (turń = thurm — szczyty gór; kierdel = heerde; pyrć = pürsche; hala = alm; frymarczyć = freimarkt); Niemcy, którzy zmieszani z ludnością słowiańską, tworzą typ wybitnie charakterystyczny, łatwy do poznania. Domy grupują się dosyć gęsto wzdłuż dróg równoległych i poprzecznych do dolin, są obszerne i schludne, kryte gontem i opatrzone kominami. Wegetacya szczupła nie dopuszcza sadów, sadzić drzew na domową potrzebę góral nie potrzebuje, to też wsie nie są umajone liściastemi drzewami. Rola ubożuchna, nędzny owies i liche ziemniaki ani się nie dostaną nieraz pod dach, gdy zima nagle zawita. Dla górala stanowi rozległy grunt tylko uboczny dochód; on zboże kupuje w Nowym Targu, Nowym Sączu albo w Myślenicach, a pieniądze na to zarobi pasaniem owiec i krów, wyrobem sera, chwytaniem ptaków, polowaniem, wreszcie na furmance lub jako przewodnik w górach. Wytrwały a poprzesta-

jący na najmniejszem, wyborny rachmistrz i umiejący oszczędzać, dochodzi nieraz do zamożności, którejby się nikt u niego nie spodziewał, a podczas gdy lepiej przez przyrodę opatrzony Podgórzanin (mieszkaniec Bieskidu) i mieszkaniec równin znosi głód, Podhalanin znajdzie zawsze w zamkniętym szczelnie mieszku tyle grosza, żeby zaspokoić nieznaczne swe potrzeby, jednakie zawsze, w dobrych i złych czasach.

Główny dochód stanowi gospodarstwo nabiałowe. Każdy samodzielny gospodarz, g a z d a, pędzi swe krowy i owce na hale, skoro tylko pogoda zezwoli; tam przejmuje je b a c a (starszy pastuch) z podwładnymi sobie j u h a s a m i i pasie przez całe lato, póki się tylko da. Szałas bez okien i powały służy za schronisko i do wyrobu sera i bryndzy; zajęci tem ludzie nie mają też przez lato żadnego innego pożywienia. Mleko dostawia się do wsi w dolinach na małych górskich konikach, stąpających pewnym krokiem; widzi się często taki transport w postaci dwóch płaskich naczyń drewnianych przewieszonych przez siodło, konwojowany przez siedzącą po męsku na koniu dziewczynę, wielkiej nieraz urody. Przedsiębiorstwo to całe jest rodzajem prymitywnej spółki, dotrzymywanej święcie z patryarchalną uczciwością, prosperującej bez kłótni i sporów sądowych.

Wysmukły a wiotkich ruchów, elastyczny, niedużej siły i mocy, niezmordowany do bieganiny, do ciężkich robót niezdatny, dobry strzelec, zręczny tancerz, dowcipny i z gotową bez zmieszania na wszystko odpowiedzią, przystępny dla cywilizacyi, chociaż mu tylko wśród swych gór dobrze, sprytny a chciwy, nienasytny w obec swych gości, jak dziurawy worek, z przeszłością nie bez opryszkowskich zachcianek: jest ten galicyjski Podhalanin ulubieńcem wszystkich czułych serc i głów romantycznych, co przyjmuje do wiadomości z szczerą prostotą, jakkolwiek nie bez pewnego odcienia ironii. Właściwie nie znał nigdy pańszczyzny, przemawia do każdego poufale przez „wy“. Dostarcza znacznego kontyngensu stanowi duchownemu w Galicyi.

Minąwszy Nowy Targ, załatwiliśmy się z małą ale ciekawą polską Szwajcaryą tatrzańską i wkraczamy na licznie rozgałęzione, lesiste wzgórza właściwych Karpat, Bieskidów, które mogłyby nas zaprowadzić, tworząc ciągle granicę między Galicyą a Węgrami, aż do dzikiego Czeremoszu, granicznej rzeki Galicyi od Bukowiny. Sięgając na zachód aż do wąwozu Jabłonki, wznosi się Bieskid ponad malowniczemi dolinami rzek Soły, Koszarawy, Skawy, Skawiny i Raby, więzi rwący Dunajec pomiędzy Czorsztynem a miejscem

kąpielowem Szczawnicą popod prostopadłemi skałami, zwanemi Pieninami; dochodzi do wysokości 1309 m (Niedźwiedź pod Łopuszną) i 948·6 m (Trzy Korony w Pieninach), ażeby potem znacznie opaść ku źródłowiskom Ropy, Wisłoka, Wisłoki i Sanu (najwyższe wzniesienia 1200 m). Tu spotykamy też wąwóz duklański, drogę najwygodniejszą i na najniższym poziomie pomiędzy Galicyą a Węgrami, tędy przechodzą obie galicyjsko-węgierskie koleje żelazne, tarnowsko-leluchowska i chyrowsko-łupkowska.

Od źródeł Dniestru do linii granicznej Czeremoszu liczy się Bieskid Wschodni, najwyższy. Wznosząc się od 1400 do 2051 m (Czarnohora), pozbywają się krągłe jego szczyty lesistej szaty, okrywają się świeżą zielenią górskich pastwisk, ocienionych gdzieniegdzie nagim cyplem skalnym. Górski ten kraj, jednostajny pod względem geologicznym (przeważnie piaskowiec karpacki eoceński), ma wiele rozmaitości co do zaludnienia i uprawy roli. Gdzieniegdzie tylko spotyka się właściwe pasterskie życie, jak w Tatrach, w zachodnim Bieskidzie na Babiej Górze, a we wschodnim w okolicy Czarnohory. Góralami nazywa się w ogóle mieszkańców rozgałęzionego szeroko Bieskidu, których łatwo poznać po obuwiu skórzanem, sznurowanem, zwanem kierpcami, krypciami, po obcisłych białych wełnianych spodniach, brunatnej, czerwono lamowanej świcie i czarnym kapeluszu, ozdobionym muszlami. Ale brak im smukłego wzrostu, wiotkości, dowcipu i humoru Podhalan; poważni i zamknięci w sobie, wiodąc ciężką walkę o byt z surowym klimatem i niewydatną glebą, zajęci przeważnie drobnym przemysłem drzewnym, stanowią oni lud o silnym charakterze, różniący się wybitnie od zamożniejszego wieśniaka w nizinach. Niezbadane bliżej stosunki lokalne oddziaływają gdzieniegdzie szkodliwie na fizyczny rozwój ludności; i tak spotykamy w okolicach Piwniczny, Grybowa, Tylicza i Muszyny plemię słabe, źle zbudowane, zeszpecone wolami. Źle też wyrasta Rusin na środkowym Bieskidzie, który aż tam, czy sam się zapędził czy też wyparty został, w okolicach Krynicy, Żmigrodu, Bukowska i Baligrodu; wzrostu wysokiego, ale słaby i ułomny, biernego usposobienia, melancholiczny na wskróś a używający szczególnej gwary. Podupadły też w kolei czasów stare wsie z ludnością wołoską w okolicach Ustrzyk, Lutowisk i Tyrawy wołoskiej, znane dobrze z XV. w. z hodowli bydła, a obdarzone ciekawym samorządem pod własnymi wojewodami; tem ciekawsi są za to mieszkańcy wschodniego, wysokiego Bieskidu, zwani wogóle Werchowyńcami, ale dzie-

lący się na całkiem różne szczepy Bojków i Tucholców, tudzież szczep Huculów najdalej na wschodzie.

Bojko, osiadły w okolicy Turki i Skolego, średniego wzrostu, ubrany w obcisły krótki kożuch bez rękawów, znakomity pastuch bydła, pracowity, nie zakładający rąk, potrafi wyzyskać kawałek gruntu nawet najnieprzystępniejszy, uprawiać skrzętnie sad i prowadzić rozległy handel zimą suszonemi owocami i bryndzą, jesienią zaś winogronami, które sobie sprowadza z Węgier. Patryarchą jego i wzorem jest poniekąd Tucholec, osiadły w środku Bojków krainy, pasterz nadewszystko, który też najwięcej zatrzymał starego obyczaju, i najbardziej utrzymał tradycyjną powagę naczelnika gminy, zwanego tu k n e z e m, jako zwierzchnika dawnej wspólnej gospodarki pasterskiej. Zupełnie odmienne jest usposobienie H u c u ł a, wroga Bojka, spoglądającego nań pogardliwie. Wzrostu wysokiego i smukłego, opalony i czarnowłosy, z krótką bródką, przedstawia Hucuł typ południowy z nosem orlim i głęboko osadzonemi czarnemi oczyma. On jedyny wśród górali nosi przeważnie buty i szerokie, ciemno-niebieskie sukienne spodnie, krótki, haftowany jedwabiem kiptar (kaftan bez rękawów), brunatny lub purpurowy bajbarak (zarzutkę) i okrągły kapelusz z pawiemi piórami; na otwartej z czerwonym haftem koszuli błyszczy mosiężny, jeżeli nie złoty krzyż, a szeroki, świecący się od guzików pas ukrywa pistolety i nóż w rodzaju sztyletu. Obok niego towarzyszka życia, zazwyczaj wielkiej urody, daje w swym ubiorze również wyraz skłonności do malowniczych kontrastów. Koszula na piersi suto lamowana, kibić wyznaczona czerwonym gorsetem (duszka), stopa przyozdobiona czerwonym lub żółtym bucikiem, ale pewne części ciała okryte w sposób nie bardzo wiele mający wspólnego z pruderyą. Huculka nie zna spodnicy; związuje się dwa fartuchy, ale nie zszywając ich, i to zastępuje nieznaną tu część ubioru. Dziewczęcy strój różni się tylko tem, że zastępują lekkie białe lniane nakrycie głowy mężatek ładnym splotem warkoczów i różnemi świecidełkami we włosach.

Jaki ubiór, taki człowiek. Hucuł, pasterz i hodowca koni *par excellence,* patrzący z góry na gospodarstwo rolne, nie lubi nabijać sobie głowy troskami, jest gościnny, a przytem zdecydowany a skory do kłótni; jest to natura skłonna do wybuchów, a w czarnej godzinie zżyma się nie widząc porady. Bohaterem szczepu jest Dobosz, coś z rabusia-rycerza z końca ośmnastego wieku. Piękna Huculka ma bardzo luźne zapatrywania na moralność niewieścią, a Hucuł aż nazbyt tolerant. Z wielu stron przypisywano Hucułom pochodzenie

dako-rumuńskie: niektóre wierchy jego krainy nazywają się Diymbronia, Baltagul, Rotundul, na syna woła filine, a duchy leśne zowie silvaticzi.

Schodząc w dół różnemi odnogami Bieskidów, wchodzimy obecnie na doliny, płaszczyzny i niziny polsko-ruskiego kraju koronnego i badamy, jak wpływają na jego plastykę dalsze jeszcze nierówności terrenu, poczynające się od miejsc działowych, leżących poza granicami państwa. Przedewszystkiem przyjrzeć się trzeba pięknym dolinom zachodniej Galicyi, żywieckiej, skawińskiej, dunajcowej i jasielskiej; te dwie ostatnie zasługują na nazwę niezmiernego, bogatego w widoki parku angielskiego; piękne tu pałace szlacheckie, na górach ruiny, wegetacya bujna, a krajobraz malowniczo ożywiają rzeki i rzeczułki. Gleba wogóle wydatna, pszenica udaje się wybornie, wiosna nastaje zazwyczaj o trzy tygodnie wcześniej, niż w sąsiednich górach. Ludność okazuje ślady wielu krzyżowań i osadnictw; w żyznych głównych dolinach szukać należy najstarszych osad, późniejsze są w mniejszych poprzecznych i w górach. Rdzennie chrobacki żywioł dochował się najczyściej między Sołą a Rabą i za Wisłą, w właściwem W. Ks. Krakowskiem. Jest to dzielne plemię, śmiałe a pracowite, silnie zbudowane, energiczne i pewne siebie na każdym kroku; od r. 1848 jest znaczny postęp co do dostatków i potrzeb życia, zamieszkują pięknie bielone chaty, często obszerne i nieraz meblowane nawet z małomieszczańskim zbytkiem, ale też często gęsto bywają zrujnowani materyalnie i moralnie przez pijaństwo i pieniactwo, tudzież lekkomyślnem nadużywaniem kredytu. U mężczyzn przeważają białe, czerwono haftowane sukmany; kostyum uzupełniają kapelusze ozdobione aksamitną wstążką, zazwyczaj wysokie, a tylko w właściwem Krakowskiem czerwone czworogranne krakuski z pawiemi piórami; kaftany niebieskie i spodnie w czerwone i niebieskie paski; kobiety lubują się w jaskrawych barwach na gorsetach, spodnicach i chustkach; ostrzyżone głowy mężatek pokrywa rodzaj białego turbanu z haftem. Jaskrawo pomalowuje krakowski wieśniak mnóstwo figur świętych, które funduje znacznym kosztem, zwłaszcza na drogach krzyżowych, które jednak przypominają aż zbyt często azyatyckie bałwanki. Śpiew jego rozchodzi się w twardem *dur*, płynąc jednostajnie po rolach, łąkach i pastwiskach, lub też tryskając w humorystycznym nastroju, a wyzywającym, pewnym siebie tonem na tanach w przepełnionej wiejskiej szynkowni. Krnąbrny za pańszczyźnianych czasów, podejrzliwy i źle usposobiony dla dworu w młodowych latach swej wolności, wytwarza teraz nowe bezwzględ-

dne przeciwieństwa zamożnego chłopa a podupadłego zagrodnika lub komornika, któremu każe się obejmować za kolana i oddawać sobie wszelkie honory, przestrzegając z wyniosłą pychą granic tej nowej arystokracyi kmiecej; prastare zaś swe pochodzenie stwierdza wiernem, aczkolwiek nieświadomem naśladowaniem starego szlacheckiego polskiego obyczaju. Ze zmęczonego wysiłkiem roboty w polu na wiosnę i w lecie, robi się pod jesień wygodniś, lubi się „postawić“ w kompanii, zimowe dnie przemarnuje w próżniactwie bez jakiegokolwiek przemysłu, toteż niejednemu doskwiera na przednowku. Nie bardzo chętnem okiem patrzą na nauki w mieście, szkoły u nich wcale nie są przepełnione, a przecież mają oni zdolności i bystre pojęcie.

Doliny Raby i Dunajca stanowią klasyczny grunt szlachty małopolskiej. Co wieś gniazda rodowe, ruiny zamków, dziś częstokroć w cudzem ręku: Lubomierz i Wieruszyce Lubomirskich, Wiśnicz Kmitów i Lubomirskich, Wielogłowy Wielogłowskich, Kępno Kępińskich, Gródek i Rożnów Rozenów-Różyckich, Melsztyn i Tarnów Tarnowskich. Stąd to dążył szlachcic i chłop coraz dalej na wschód, na Ruś Czerwoną, na Podole, Ukrainę, tworząc osady i nowe gniazda rodowe w wiekach XIV—XVII. Dziś przepadł gdzieś ten duch przedsiębiorczy, a szlachta tych okolic, siedząc na małych dobrach, walczy z ciężkiemi czasami, rugowana nieraz z siedzib swych przodków przez Prusaków i Żydów.

Szczególne stosunki panują za Wisłą w W. Ks. Krakowskiem, w kraiku 22 mil kwadratowych, przynależnym do Austryi od 34 lat. Geografia fizyczna zalicza to terrytoryum do płaskowzgórza Tarnowickiego i Olkuskiego, które tutaj okazuje wielką a ciekawą rozmaitość pod względem geologicznym i kończy się wprost naprzeciw ostatnich na prawym brzegu Wisły wysłanników Bieskidu malowniczemi wzgórzami Bielan (klasztor kamedulski), Sikornika (z kopcem Kościuszki) i stromym pagórkiem Wawelu (dawna rezydencya królewska). Mała ta kraina, obfita w minerały i kruszce (węgiel kamienny, marmur, galman i żelazo), ma glebę przeważnie dobrą, a kulturę wyższą, czerpaną z blizkiego sąsiedztwa ze starożytnem miastem. Tutaj osięgnął Krakowiak najwyższy średni stopień oświaty, nie wiele tracąc z prastarego swego obyczaju. Tutaj w najbliższej okolicy miasta, w promieniu dwumilowym, spotykamy ślady różnego pierwotnego przemysłu i skłonności handlowych dawnych osad służebnych: rzeźników, piekarzów, ślusarzów, kościelnych (Świątniki), ogrodników warzywnych (Krowodrza, Czarnawieś, Łobzów), rybaków (Rybaki), flisów, którzy zachowali dawny tryb życia i stary

obyczaj. W szczególniejszy sposób przechowało się właśnie w Krakowskiem najwięcej baśni, pieśni ludowych, zwyczajów weselnych chrobackiego wieśniaka w najczystszej formie, jak niemniej pogańskiego niewątpliwie pochodzenia uroczystości: rękawki (święto wiosenne), lajkonika (jeździec na drewnianym koniu uwijający się w tłumie) i sobótki (na św. Jan), podczas której cała okolica Wisły żarzy się wieczorem w jasnych płomieniach płonącego chrustu; ta ostatnia uroczystość znachodzi się też u Rusinów jako Kupało.

Cała ludność w kilkunastomilowym promieniu, a nawet (pruski) Śląsk Górny ulega do dziś dnia potężnemu wpływowi starożytnej metropolii kościelnej w Krakowie. W XVI. i XVII. wieku, kiedy to stary gród królewski witał pobożnego pielgrzyma odgłosem dzwonów siedmdziesięciu kościołów, mawiano: Salve Cracovia, altera Roma; dzisiejszy Kraków, zachowawszy z przeszłości 35 kościołów, doszedł w ostatniem dziesięcioleciu znowu do liczby 40 świątyń katolickich i niewiele utracił z dawnej attrakcyi religijnej. Uroczystość św. Stanisława, procesya Bożego Ciała i Różańcowa z kościoła Dominikanów, zgromadzają corocznie całe tłumy pątników z odległych okolic: smukłe postacie góralów obok przysadkowatych figur ślązkich wieśniaków ze swemi podkasanemi towarzyszkami, w krótkich spodniczkach i kolorowych pończochach, barczyste krakowskie chłopy zmieszane w tłumie z ułomnemi postaciami ludności t. zw. mazurskiej. Cała ta rzesza znajduje tanim kosztem schronienie w obszernych korytarzach klasztornych, a zresztą nawet pod gołem niebem; ożywiony ruch przypomina włoskie uroczystości kościelne. Na konsekracyę biskupa Dunajewskiego, mianowanego po długiem *vacat* stolicy biskupiej, zebrało się mnóstwo ludu z okolic niegdyś do krakowskiej dyecezyi przynależnych, ale od dawien do innych przyłączonych: nowy dowód, jak trwałe bywają dawne związki kościelne. Ten wpływ Krakowa jest bądźcobądź cywilizacyjnym; nietylko budy przekupniów odpustowych, ale też księgarnie w mieście znajdują licznych klientów, którzy dopytują się obok książek do nabożeństwa i zbudowania także o świecką lekturę.

Pomiędzy Rabą a lewym brzegiem Sanu znajdujemy się wśród ludności już wcale nie chrobackiej; znać to od razu. Na równinie, która pomiędzy Sanem a Wisłą przechodzi w piaszczystą, posępną nizinę, nieco lasem szpilkowym okoloną, siedzą Mazury; łatwo ich poznać po niższym wzroście, słabszej budowie ciała, po rysach nie bardzo sympatycznych i zrzędnym wyrazie twarzy. Na brzegach Wisły i Sanu nazywają ich Grębowiakami. Ubiór ich zwyczajnie

prosty: płóciennica, płaska czapka wełniana, płócianc spodnie z niebieską kamizelką, wązki pas z nożykiem i drutem do lulki. Wrodzona kobietom i dziewczętom zalotność tutaj niewiele wymyśliła w celu podniesienia uroku ich wdzięków. Najważniejszą część stroju stanowi tu kożuch, wyprawiony na biało z czarnem lamowaniem, na krajach obszyty kolorową skórką, a nawet haftowany jedwabiem; jeden i ten sam dla mężczyzn i kobiet, noszony zawsze z upodobaniem, nawet w lecie na deszcz, wywrócony futrem na zewnątrz. Nie módz sobie sprawić kożucha, znaczy to być mizernym biedakiem; kupno tego głównego kawałka odzieży, tudzież wysokich butów, okutych podkówkami, jest najpilniejszym kłopotem w domu i nielada wypadkiem w życiu rodzinnem.

Mazur jest wyłącznie rolnikiem; gdzieniegdzie tylko spotka się kawałki lichego płótna rozłożone do bielenia na pastwiskach i roboczą gosposię, zajętą w zimie wieczorami polewaniem tego dorobku swej pracy. Mazur nie dorówna Krakowiakowi co do energii; zwolna i melancholijnie łazi koło roboty, odrzuca upornie wszelkie ulepszenie w starym trybie gospodarki, i jest pełnym nieufności względem dworu, urzędu, a nawet plebanii. Osławił się w smutnej pamięci roku 1846, kiedy to, jak wiadomo, chłopstwo rzuciło się na szlachtę. Dopiero na granicy ruskiej ludności, w okolicy Jarosławia, lud staje się urodziwszym i zdatniejszym do cywilizacyi, odznaczając się między innemi czystą polszczyzną, bez jakichkolwiek prowincyonalizmów, tylko że wymowa jest śpiewna, z ruska.

Z Mazurem sąsiaduje na południe, poza równoleżnikiem średniego biegu Wisłoku, od Pilzna w górę po Łańcut, szczep zwany Głuchoniemcami, powstały przez osadnictwo XIII. i XIV. stulecia. Głuchoniemcy mówią tylko po polsku, a resztki rozmaitych ich pierwotnych języków ojczystych świadczą, że za czasów ich przybycia zwano Niemcem każdego cudzoziemca. W osadach tych da się wykazać żywioł niemiecki, szwedzki, a nawet tatarski; przeważa tu strój podobny do ubioru Sasów siedmiogrodzkich. Typ ludności jak najrozmaitszy; gdzieniegdzie smukła i silna, indziej znowu licho zbudowana i niemiłego wejrzenia. Co ciekawe, że ta właśnie ludność, chociaż osadzona na niezłej glebie, chwyciła się w ostatnich czasach gorączkowo emigracyi do Ameryki, i to tak, że nietylko proletaryusze, ale nawet zamożne rodziny wieśniacze sprzedawały żydom albo wieśniakom z dalszych okolic pola i chaty i wybierały się w daleką drogę morską na Hamburg i Bremę, podczas gdy ta sama propaganda ajencyj niewiele wskórała w innych okolicach kraju.

Etnograficzna zachodnia granica Rusinów ciągnie się od Ulanowa wzdłuż granicy rosyjskiej przez Leżajsk ku Brzozowowi; od Brzozowa zaś przez Wróblik Królewski, Zarszyn, Rymanów, na zachód przez Żmigród, Gorlice i Grybów do doliny Popradu, obejmuje z tamtej strony Popradu wsie Rostokę, Szlachtowę i Czarnowodę, poczem wraca do koryta Popradu i w Leluchowie przekracza granicę węgierską. Zdaje się, że za pradawnych czasów ludność polska wyparła ku wschodowi ludność ruską; świadczyłaby o tem ta okoliczność, że na południo-wschodzie są wsie ruskie same tylko górskie, nieurodzajne, poza wskazaną zaś linią znajdują się jeszcze dwie znaczniejsze etnograficzne wyspy ruskie (z punktami środkowemi Gwoździakami i Węglówkami). Jest natomiast sprawdzonym historycznym faktem, że ludność ta wkraczała w czasach późniejszych całą ławą na ziemię ruską, mieszała się tu nieustannie z autochtonami, zatraciwszy przytem język ojczysty i rodzimy obrządek; pozostali polskimi do dziś dnia liczni mieszkańcy miast czerwonoruskich, a polskimi i rzymsko-katolickimi osadnicy późniejsi, w okolicach Sokolnik, Hodowicy, Zubrzy i Czyszek, gdzie zwią się też Mazurami albo po prostu Polakami. W ten sposób zatraciły się w niejednej okolicy Galicyi wschodniej przeciwieństwa żywiołu polskiego a ruskiego, i wogóle mało się one dadzą uczuć wśród spokojnego sąsiedzkiego pożycia; ale za to na prastarej granicy polsko-ruskiej w Galicyi zachodniej przeciwieństwa te występują wybitnie, a wobec polskiego chłopa-sąsiada okazuje Ruśniak niejedną właściwość świadczącą, że tu już od początku zachodziły istotne różnice etnograficzne.

Pograniczny Ruśniak jest szczególniejszym typem; wysmukły a słabo zbudowany, niemal zawsze czarnooki i czarnowłosy, ma ruchy powolne, a w całem swem zachowaniu się melancholijny, unika zetknięcia z polską ludnością i skryty dla niej, pędzi bez skargi swe życie biedacze na jałowej roli. Ubiór przypomina Słowaczyznę; czarne włosy nakryte czarnym kapeluszem z niezmierną odgiętą krempą, zwieszają się trochę sztywnie, a pod tem biała lub brunatna guńka (czuha) z sutemi trenzlami, która też stanowi dlań główną część ubioru; kobiety, przystrojone pstro, wdziewają do kościoła żółte lub czerwone buty. Wspólne im też jest ze Słowakami słówko lem (tylko), które powraca w ich gwarze co chwila i niewiedzieć poco, a od którego polscy sąsiedzi, nie bardzo dla nich ugrzecznieni, nazywają ich też Lemkami. Małżeństwa pomiędzy Ruśniakami a polskimi wieśniakami należą do rzadkości, i to może jest powodem, że

te zachodnie osady, ograniczone w doborze małżeńskim, okazują degeneracyę fizyczną.

Wieś ruśniacka wryje się w pamięć każdemu od pierwszego wejrzenia okazałemi budynkami drewnianemi z wysokiemi dachami gontowemi. Skupiona, obejście przy obejściu, rozpościera się wzdłuż dolin, podczas gdy w sąsiedniej polskiej rozprószone chaty, każda jak strażnica, na swem gospodarstwie z osobna. Niestety, te paradne budynki, to tylko blichtr; dachy gontowe świadczą o przemyśle drzewnym, ale niemniej też o braku słomy, a prezentujący się okazale, niebielony dom kryje zazwyczaj twarze blade od głodu. Na gołych brzeżkach gór dojrzewa tylko owies i ziemniaki; nie brak im roli, ale gleba nieurodzajna.

Tak melancholijnie, tak niemal tragicznie przedstawia się nam Rusin przy pierwszem spotkaniu. Skoro nie można zaręczyć za czystość krwi najbliższych ruskich sąsiadów, zmieszanych wielokrotnie z polskimi osadnikami, musimy wyjątkowo nieco przeskoczyć, szukając okolicy, gdzie żywioł ruski najczyściej się przechował. Schodzimy tedy na równinę i pozostawiamy tymczasem na uboczu Bełzan pomiędzy Sanem a Bugiem i Bużan na wschód od Bugu, i dochodzimy do granic monarchii, na żyzną równinę tarnopolską, pomiędzy tak zwanych Opolan czyli Podolan. Rozległa nieskończenie, falowata wyżyna, z wązkich dolin wznosząca się ciągle na nowo do tej samej wysokości, szumi na nas nieprzejrzanem morzem pszenicznych kłosów. Klimat lądowy ze swemi przeciwieństwami, z dusznym upałem i z zimnym, silnym wiatrem, który tu wieje odbity prosto od Uralu, wywiera deprymujący wpływ na Europejczyka, przywykłego do łagodniejszego powietrza. Okolica, jak oko sięgnie, bezdrzewna, wsie pochowane w cichych, ukrytych dolinach, gdzieniegdzie tylko sterczy sterta zboża pozostawionego w szczerem polu, wysoki krzyż wyciąga ramiona ponad falującem morzem kłosów, za wysokiemi wałami stoją ule w obszernych pasiekach, a szmer ich drobnych skrzydlatych mieszkańców zlewa się z szumem kłosów w oryginalną melodyę stepową. Doznaje się tu potężnego wrażenia takiego bogactwa gleby, jakie tylko może być na świecie. Budzi się ciekawość, żeby studyować Rusina w tych błogosławionych stosunkach. Schodzimy po spadzistej drodze w dolinę, gdzie malownicza wieś podolska bawi się w kryjówkę. Gęsto pobudowane domostwa, tuż obok siebie, stosują się co do kierunku do rzeczułki lub strumyka, który dostarcza spragnionej wsi wody, wyzyskany skrzętnie na sadzawki i do poruszania malutkich, prymitywnych młynów.

Na brzegach rosną bujnie krzewy i drzewa, niemal jedyne w całej okolicy, a z ich gęstwi sterczy cerkiew z trzema kopułami i piętrową dzwonnicą, prawie zawsze drewniana, tworząc punkt środkowy sioła. Przyjrzyjmyż się tym malowniczym domostwom. Wyglądają bądźcobądź malowniczo i do tego oryginalnie, na podobieństwo afrykańskich wiosek. Słoma, pręcie, glina i skąpo drzewa — oto materyał budowlany. Sama chata, jak najniższa, składa się ze ścian wyplatanych, ujętych w drewniane pale; wyplatany, polepiony gliną komin służy do odprowadzania dymu, który jednak opóźnia się według upodobania w podróży do góry i nadaje przez to samemu mieszkaniu charakterystyczną nazwę kurnej chaty. Resztę budynków, często licznych, stawia się tą samą metodą, jak chatę, tylko oczywiście, o ile tylko się da, jeszcze niedbalej; zboże chowa się pod ruchomym dachem na czterech palach, i to najczęściej w polu w takiej prymitywnej stodole. Ale *capo di opera* tego urządzenia stanowią wysokie wały z gnoju, otaczające każde obejście, jakby dla obrony; wały z nawozu, którym gospodarz z Zachodu gotów się przypatrywać z namiętną zazdrością, a które zdają się być zupełnie obojętnemi dla wydajnej gleby podolskiej! A ta herezya gospodarska ma jeszcze swoje pendant! Cóż to błyska w chacie tak jasnym płomieniem? To słoma! Wobec zupełnego prawie braku drzewa służy słoma na opał wraz ze suszonym nawozem! ten płot gnojny nie spiętrzy się w babilońską wieżę, on przez kurną chatę powędruje pod obłoki.

Chłop podolski, zestawiony z swym bratem od granicy, z Ruśniakiem, powinienby tedy okazywać błogie skutki dobrobytu w ubiorze i trybie życia. Ależ bynajmniej! Dobrobyt zrobił go tylko tem niedbalszym, leniwszym i nieprzystępniejszym dla cywilizacyi. Nie brak mu wcale zdolności: owszem, ma on zdrowy rozsądek i wrażliwość na głębsze myśli i uczucia nieraz zdumiewającą; przeważa jednak w nim żywioł zachowawczy, podniesiony aż do jakiegoś fatalizmu, co sprawia, że może chodzić bez końca śladami swych ojców z gapiowatą jakąś flegmą. Jest zresztą serdeczny, lubi muzykę i śpiew ludowy, ożywiający melodyjnie rozległe jego niwy; jest też gościnnym i litościwym: a jednak myśl jego nie sięga poza chwilę obecną, w latach urodzajnych nie oszczędzi nic na czarną godzinę często powracającej posuchy i nieurodzaju; nieszczęsna karczma pochłonie jego dostatek, to też w złych latach pomrukuje o głodzie i chłodzie tak samo, jak ów zachodni pobratymiec, Ruśniak.

Strona zewnętrzna Podolaka zbliża się do wschodnich ruskich typów, już z poza granic monarchii. Głowę goli, zostawiając tylko czuprynę, zwaną z kozacka „oseledcem“. Oczy ma przeważnie modre, włos ciemny jest tylko sztucznie poczerniony; dzieci, bawiące się przed chatą w koszulce a nawet nago, mają główki jasne, które czernieją z czasem od smarowania tłuszczem. Postać mają przysadkowatą i są przytem tędzy, ale chód jest leniwy, powłóczą nogami zginając nazbyt kolana. Ubiór stanowią szerokie białe spodnie i krótki kaftan wełniany, do miasta lub kościoła wkłada się płaszcz sukienny z rękawami i borodycą (kapuca), albo też ów długi kożuch barani, który i tutaj jest główną częścią wykwintniejszego stroju; na głowie kapelusz słomiany własnej roboty albo wysoka czapka futrzana okryta niebieskiem suknem, z trzema niebieskiemi wstążkami z boku. Skórzany pas uzupełnia zwykły ubiór. Kobiety i dziewczęta, wyjątkowej nieraz, jakkolwiek szybko przemijającej urody, noszą koszule haftowane czerwono na piersiach i ramionach; gors przystrojony licznemi sznurami korali i paciorków; spodnica prosta, czerwona, nakryta sukiennym kaftanem, zwykle niebieskim, albo też dłuższą bekieszą, pod którą widać niezgrabne buty czarne lub czerwone, bez napiętków. Dziewczęta stroją sobie kosy przeróżnemi świecidełkami, a mężatki wkładają na głowę, nadzwyczajnej nieraz piękności, białą płócienną peremitkę, sztucznie składaną, która okalając owal twarzy przypomina ubranie głowy zakonnic. Mężatkom, jak wiadomo, strzyże się włosy stosownie do dawnego zwyczaju i dlatego w Galicyi używa się powszechnie na głowę ubrania przylegającego do niej ściśle.

Wycieczka nasza na Podole galicyjskie mogłaby sprawić zamięszanie w geograficznym obrazie kraju, gdyby nie to, że wyżyna podolska jest dla Galicyi wytycznym węzłem uralskiego systemu górskiego, który stąd wysyła odnogi na zachód i południe, nadając kształt plastyce Galicyi wschodniej. Podolska wyżyna, nie wyższa nad 390 m, pochyla się zwolna ku Dniestrowi, który wzmaga znacznemi dopływami, i spotyka się za Dniestrem z niższą wyżyną pokucką (około 300 m), oddzieloną wyraźnie od wschodniego Bieskidu doliną Prutu. Od granicy wschodniej, w stronę Skałatu, Grzymałowa i Toustego wznosi się podolska wyżyna wyżej i tworzy t. zw. Miodobory, które prostopadłemi skałami sterczą ponad wzgórzami pokrytemi bujnym lasem liściastym i improwizują ciekawą Szwajcaryę w miniaturze, zwłaszcza w okolicy Krasnego i Krasiłowa. Ku północy, w stronę niziny Bugu, wznosi się również wyżyna i tworzy wysoczyzny Gołogór, które zaczepiając o górę zamkową pod Lwowem kierują się ku północnemu

wschodowi do Lackiego, a stąd pod nazwą Woroniaków w stronę Podkamienia, ku wzgórzom Awratyńskim i Krzemienieckim na Wołyniu. Z Lwowskiej doliny na wschód, w stronę Magierowa, a potem przez Potylicze i Bełzec, wznoszą się łagodnie wzgórza Roztocza, jako granicznik między Bugiem a Sanem, nie wyższe nad 390 m, a obfite w piękne widoki w okolicy Haraju. Wąwóz górski Roztocze stanowi wreszcie łącznik z pagórkowatym krajem między Sanem a Dniestrem, zbliżającym się do Bieskidu niższego, a który zawiera w sobie dział wodny dwóch systemów hydrograficznych Galicyi, bałtyckiego i czarnomorskiego; dział ten ciągnie się stąd do gór Roztocza, do Gołogór i Woroniaków.

Ta plastyka terrenu nadaje tedy warunki horograficzne nizinom środkowo-galicyjskim. Mamy tu mianowicie nizinę Wisły i Sanu w trójkącie pomiędzy temi rzekami, nizinę Bugu i Styru w stronie Bełza i Sokala, nizinę górnego Dniestru, który zamknięty od Niżniowa w wysokie a spadziste brzegi, staje się w okolicy pomiędzy Hordynią a Haliczem aż nazbyt często na kilkumilowych przestrzeniach istnem jeziorem. Niż wiślany, przeważnie piaszczysty, bagnisty i podmokły, wydany na pastwę powodzi, robi wrażenie melancholijne, podczas gdy nizina Bugu i Styru, rywalizująca co do żyzności z sąsiednim Wołyniem, mile wita podróżnego bujnemi niwami i gęstwią liściastych lasów. Ale najpiękniejszym jest bezwarunkowo niż dniestrzański. Górskie dopływy staczają do Dniestru swe wody niemal prostopadle, wartko i z hukiem: Stryj, Świca, Łomnica, Bystrzyca; podczas gdy na przeciwległym brzegu zwolna tylko się toczą, tworząc po drodze formalne różańce stawów i drobnych jeziorek: Wereszyca, Zubrza, Swirz, dwie Lipy, Strypa, Seret i Zbrucz. Tą obfitością wody i żyznych namulisk tłómaczy się pochodzenie bujnych pastwisk dniestrzańskiej niziny; stąd to dostawia się na odległe targowiska tuczne woły, stanowiące właściwe bogactwo tych okolic.

Dział wodny galicyjski, wychodząc ze średniego Beskidu pomiędzy Chyrowem a Dobromilem, przechodzi pagórkowatym krajem pomiędzy Sanem a Dniestrem, dosięga poprzez wzgórza Roztocza wąwozu gołogórskiego i woroniackiego, stacza się pod Oleskiem w nizinę bużańską i przekracza granicę galicyjską pod Nieznanowem. Ten dział wodny jest zarazem ścisłą linią graniczną pomiędzy lasami sosnowemi a jodłowemi, które pokrywają Galicyę zachodnią, a liściastemi właściwemi Galicyi wschodniej, które nadają jej tę bujną wegetacyę, którejbyśmy napróżno szukali w ponurych borach na zachodzie.

Tak przeszliśmy etnograficzny obszar ludności ruskiej według ustroju gruntu i warunków klimatycznych. Ludność ta w różnym stopniu okazuje ślady wpływów osadniczych i sąsiedzkich. Osiedleni pomiędzy Sanem a Bugiem Bełzanie są polsko-ruskimi mięszańcami; Bużanie, siedzący za Bugiem na wzgórzach woroniackich i gołogórskich, zwani także Łapotnikami, lud smukły, wiotki, mają typ wybitnie ruski; Nistrowianie zaś w nizinie Dniestru i mieszkańcy pokuckiej wyżyny, czarnoocy po większej części i czarnowłosi, okazują wpływy wołoskie, które ich zbliżają do ludności bukowińskiej. Bełzanin wziął po Mazurze przeważającą u niego odzież płócienną; Pokucianin naśladuje Hucuła i ubiera się kusiej i strojniej: ale borodyca i kożuch barani nadają ton całej Rusi, a ubiór Podolaka jest na Rusi najpowszechniejszym. Na całej tej rozległej płaszczyźnie stanowi też znamię charakterystyczne Rusina melodya melancholijna z tonów *moll*, głęboka religijność a bierność wobec niedoli i nieszczęścia, nieznaczna stosunkowo energia przy robocie i obojętność dla przyszłości. Rusin łagodny i miękkiego serca, staje się jednak mściwym i nieubłaganym, jeżeli przebrała się miarka krzywd jego. Uważa go się też zwykle za podejrzliwego i fałszywego, i słusznie, co do pierwszego; ale drugi zarzut odpierają jawne dowody przywiązania i wierności.

Od wieków mięszała się w Galicyi z krwią polską i ruską krew niemiecka. Mówiliśmy już o niemieckiem pochodzeniu Podhalan i Głuchoniemców; początki miast są po większej części niemieckie, zwłaszcza w Galicyi zachodniej, jak świadczą księgi rajeckie i sołtysowskie z XV. wieku; znajdujemy też w zachodniej Galicyi wsie z niemieckiemi nazwami (Rosenbarg, Schönewald, Kurhof, Schönberg), jako osady na prawie niemieckiem z XV. wieku, które do dziś dnia przechowały bogaty strój Bawarczyka lub chłopa z Palatynatu. Osady te są już zupełnie spolonizowane. Drobne mieszczaństwo kwitnących niegdyś miast, jak Krosno, Biecz, Czchów, Tymbark, podupadło wśród stopniowego miast upadku, ograniczone do tego terrytoryalnie w doborze małżeństw, ale swoją drogą nie spuściło z tonu ani trochę wobec chłopa, na którego ciągle patrzy z góry. Dziś nazywa się w Galicyi Niemcami tych tylko mieszkańców (katolickich i protestanckich), których osiedlił cesarz Józef II. (1782—1786), po części na pustych obszarach leśnych w dawnych okręgach *(Kreis)* bocheńskim, sandeckim, tarnowskim, rzeszowskim, żółkiewskim, złoczowskim i stryjskim, i których też do dziś dnia nazywa się kolonistami. Takie kolonie łatwo poznać po domach i budynkach murowanych

bielonych, zwróconych bokiem ku ulicy; ale i one też — z wyjątkiem protestanckich — utraciły niejedno z pierwotnej swej niemieckości i łączą się wielorako z ludnością krajową.

Szczególniej pomyślna gwiazda przyświecała dawnym przybyszom ormiańskim, datującym od XII. wieku. Główny orszak tej immigracyi w wieku XV. nie przenosił 3000 rodzin, które szukały schronienia przed jarzmem tureckiem, na Podolu i Pokuciu. Oszczędni i przedsiębiorczy, z równą gorliwością oddani rolnictwu i handlowi, krzepiąc się ścisłą solidarnością, są dzisiejsi Ormianie, których liczba nie przenosi 2400 dusz, właścicielami najżyzniejszych gruntów Podola i Pokucia; mieszczanami są tylko w Kutach. Poznać ich na pierwsze wejrzenie po rysach wschodnich, czarnych włosach i dużym orlim nosie. Od XVII. wieku są wyznania ormiańsko-katolickiego, język ich żyje już tylko w obrzędach kościelnych, a kazania w pięciu parafiach arcybiskupstwa ormiańskiego odbywają się po polsku.

Zagadkowy lud Cyganów jest w Galicyi nieliczny, wiedzie z trudem nędzne koczownicze życie w różnych stronach kraju. Żywią się z kowalki, z kotlarskiego partactwa i oprowadzają niedźwiedzie; niema w Galicyi takich zamożnych drużyn, jak na Węgrzech, ani też zdolnych grajków.

Żydzi wreszcie stanowią. jak wiadomo, dziesiątą część galicyjskiej ludności. Ilość ich wzrasta ciągle i w miastach i po wsiach, co tłómaczy się dostatecznie jużto nadzwyczajną ich płodnością, jużto nieznacznym udziałem w służbie wojskowej. Dostrzega się ich już w XI. stuleciu jako przybyszów i z Zachodu i ze Wschodu, wyhodował ich monopol handlu pieniądzmi i lichwy, a wobec słowiańskiej natury i opieszałej administracyi zakorzenili się głęboko w stosunki społeczne i ekonomiczne, wbili się klinem pomiędzy szlachcica wioskowego a chłopa i stają się szkodliwymi, zwłaszcza na arendach karczemnych. Zarządzenia prohibicyjne austryackich rządów co do tego ostatniego punktu, nigdy nie weszły w wykonanie: nowa zaś era konstytucyjna, dając Żydom równouprawnienie, zastała ich dzierżących niemal monopol handlu zbożem, całego drobnego handlu, tudzież interesów lichwiarskich i karczmarskich. Utrzymali się też przy nim aż do obecnej chwili z nieznacznemi modyfikacyami, a równocześnie wyzyskują nowe sfery interesów, skupując dobra szlacheckie i chłopskie i biorąc gorliwy udział w większych obrotach pieniężnych. W danej chwili przechodzą widocznie przez wielką rewolucyę wewnętrzną. Żywioły wykształcenśze, które się poddały kul-

turze niemieckiej lub polskiej, idą za powszechnemi prądami finansowemi i handlowemi, szukając nerwowo równowagi na wielkiej huśtawce *hautes finances;* zamożny stan średni chodzi dawnym torem koło interesów, i zapewne najlepszą ma cząstkę; a wreszcie po mniejszych miastach, wśród nędznych zaułków miast większych roi się od zgłodniałego proletaryatu, który sam ginie w nędzy wśród zubożałej ludności chrześcijańskiej, albo też kiedyniekiedy wybiera się za morze do Ameryki lub Australii.

Ten żydek galicyjski, który dzięki swej ruchliwości nabył sławy europejskiej w swoim rodzaju, przedstawia trzy rozbieżne typy: oto cywilizowany Polak, względnie Niemiec, wyznania mojżeszowego, który dokumentuje swoje równouprawnienie jako adwokat, lekarz, profesor, urzędnik (po większej części w sądownictwie), lub też jako finansista, żaląc się czasami tylko na podrzędną rolę w chrześcijańskiem społeczeństwie, to jest właściwie w stosunkach życia towarzyskiego; oto znów Żyd nawpół cywilizowany, nawskróś narodowo-żydowski, ubrany nawpół po staremu, nawpół po europejsku, który trzyma się dawnego interesu, żeby węszyć, gdzie czego potrzebuje szlachcic i chłop, w roli faktora, drobnego handlarza zbożem, karczmarza, gotów też zawsze pożyczyć pieniędzy; i wreszcie Żyd po starem przykazaniu, Hassidim, strzegący starej tradycyi w mieście i na wsi, w kamlotowej jupicy na dzień powszedni, w atłasowej z futrzaną czapką od święta, w odwiecznem „leibel", od którego wiszą sznury, w pantoflach i białych pończochach. Rozległe byłoby to studyum, żeby zbadać psychologię tego ludu, począwszy od tego kosmopolityzmu, na tle którego zatraca nieco z żydowszczyzny, ale nie chcąc też mieć nic wspólnego z chrześcijaństwem, aż do owego labiryntu mistycznej kabalistyki, wzniesionego własnym narodowym duchem na historycznych dolinach niewoli i wygnania. Bądźcobądź warto zaznaczyć, że grunt polski sprzyjał szczególniej rozwojowi tego mistycznego kierunku, tu, gdzie Żydzi mieli się lepiej, niż gdziekolwiekindziej, gdzie powodziło się im nadzwyczaj i że Żydzi w Polsce posiadają do dziś dnia znakomitych uczonych w talmudzie, którzy przyciągają też z daleka tłumy wielbicieli i pątników! Bogu samemu wiadomo, jakiego rodzaju wpływ wywierają na żydostwo te ich punkty środkowe, te gminy izraelickie po staroświecku utrzymane, owe kahały; to pewna, że do dziś dnia mają znaczenie dawne żydowskie kościelne związki i więzy jakiegoś nie bardzo znanego prawa kanonicznego; o tem przekona się łatwo

każdy, kto np. popróbuje wydzierżawić karczmę obłożoną klątwą innemu Żydowi. Każdy myślący człowiek widzi jasno, że tkwi w tem doniosłe zagadnienie przyszłości: lud niesłychanie ruchliwy i energiczny, przejęty jużto spójnią dawnych wyznanionych łączników, jużto nowożytnemi prądami judaizmu, rozporządzający znakomitym kapitałem, taki lud wśród chrześcijańskiego społeczeństwa Galicyi, wpośród dwóch słowiańskich szczepów, z których jeden jest po słowiańsku skłonny do wybryków, a drugi po słowiańsku opieszałym! Oczywista, że to zagadnienie przyszłości przedstawia się dla chrześcijańskiej ludności jak najsmutniej wobec gromadnego zakupna ruskich gospodarstw chłopskich przez Żydów, tem bardziej, że znaczniejsze obszary gruntów przechodzą również w żydowskie ręce!

Przypominamy nasze trzy kategorye galicyjskich Żydów i stwierdzamy, że kategorya pierwsza przyznaje się częścią do niemieckiej, częścią do polskiej narodowości. Pierwszy rodzaj właściwym był aż do onegdajsza Lwowowi, a aż do dziś dnia kwitnie w wolnem mieście handlowem Brodach, drugi zaszczepił się w Krakowie i rozpowszechnia się ogólnie wobec autonomicznego rozwoju kraju. Cywilizowany Żyd, wybierając narodowość, nie pyta, po czyjej stronie władza: w Kongresówce starają się być gorącymi Polakami, nie Moskalami. Raczej może jest to sprawą interesu, który decydują względy ekonomiczne. Przedewszystkiem atoli jest to kwestyą stronnictw politycznych i socyalnych: Żydzi nie bywają Niemcami nawskróś *sine beneficio inventarii,* ani też nawskróś Polakami: z nich są liberalni Niemcy i Polacy liberalni, podobnież jak w Rosyi radykalni Moskale. Nowożytne żydostwo jest obrońcą rewolucyjnych zdobyczy, nie uznaje narodowości, ale za to idzie zgodnie ręka w rękę z liberałami wszystkich narodów. Nie wystarcza mu tolerancya, ani nawet równouprawnienie wyznań, ono pragnie, ażeby żywioł, w którym się obraca, był o ile możności, bezwyznaniowym. To też o wiele łatwiej znaleść w żydowskim stanie średnim ich żywioł ludowy, do pewnego stopnia narodowo-żydowski, w tym stanie, który jest znakomitym znawcą polskiej i ruskiej natury i odgrywa rolę sprytnego Sancho Pansy wobec szlachcica, zakrawającego aż nazbyt często na Don Quichota i chłopa uposażonego w szlacheckie namiętności i słabostki. Ten stan średni możnaby nazwać niemal lubianym, tak ściśle się zżył z chrześcijańskiem społeczeństwem Galicyi; ba, nawet jest się gotowym przypuścić, że przy należytem wykształceniu narodowem dojdzie do zupełnej harmonii z tem społeczeństwem, zachowując

swą dawną szanowną wiarę. Doświadczenie zresztą wykazało, że Żydzi o tyle tylko stają się szkodliwymi, o ile żywioł chrześcijański bywa ekonomicznie bezradnym i zaniedbanym: wykształcenie ludu wiejskiego, podniesienie rolnictwa i przemysłu krajowego przyczynią się bądźcobądź potężnie do usunięcia obaw antysemityzmu.

Zwyczaje i poezya ludowa.

Mylne mniemanie, jakoby życie narodowe polskie dalekiem było od właściwej ludowej podstawy, należy do najpowszechniejszych za granicą wyobrażeń i omawia się to tam nawet przy sposobności w różnych publikacyach, czyniąc z tego przedewszystkiem zarzut patryotom, że obcem im jest życie ludu, że nawet żywioł demokratyczny idzie śladem ekskluzywnej szlachetczyzny, zaniedbując to, co jest rodzimem, ludowem. Przeciw takiemu pojęciu przemawia fakt, że literatura polska nie ustępuje żadnej innej europejskiej co do obfitości studyów etnograficznych i etnologicznych, że cały szereg najwybitniejszych pisarzów czerpał natchnienie z poezyi ludowej i tworzył dzieła naprawdę rodzime, z zakrojem ludowym: Wincenty Pol, Bohdan Zaleski, L. Syrokomla, Teofil Lenartowicz, Stefan Witwicki. A nawet w XVI. wieku, w takim Kochanowskim, można wykazać pierwsze oparcie się o poezyę ludową, w XVII. w. u Szymonowicza, w XVIII. w. u Franciszka Karpińskiego; toteż do dziś dnia słyszeć można w uściech ludu pieśni nabożne pierwszego i ostatniego z nich. Widocznie rozdział pomiędzy ludem a narodem nie był taki znaczny, nie większy, niż na Zachodzie pomiędzy tymi, którzy naród żywili, a tymi, którzy go bronili i uczyli, między chłopem a księdzem i szlachcicem. Właściwe zajęcie naukowe dla poezyi i wierzeń ludowych obudziło się także w Polsce równocześnie niemal z takimże prądem w Niemczech, za czasów romantyzmu (1815 — 1830): Zoryan Chodakowski, Wład. Kaz. Wójcicki, Żegota Pauli, Wacław Zaleski zbierają pieśni ludowe, klechdy, przysłowia; od r. 1831 przyłącza się do tego kierunku teoretycznego wybitna tendencya polityczna, ażeby pozyskać lud dla dążności pa-

tryotów. Od kilku dziesiątków lat zbierają cegiełki do ogólnej etnografii Polski, Rusi i Litwy Oskar Kolberg, Józef Grajnert, Antoni Nowosielski i inni; w ostatnim czasie zajęła się Akademia Umiejętności w Krakowie także tą ważną pracą, łącząc badania antropologiczne z etnologicznemi. Osobna komisya, pod kierunkiem panów: J. Majera, O. Kolberga i Izydora Kopernickiego publikuje liczne przyczynki do poznania fizycznych i psychologicznych właściwości polsko-ruskiego żywiołu ludowego i niedaleką jest już zapewne chwila, kiedy w tym przedmiocie będzie można przystąpić do gruntownego i wyczerpującego zestawienia.

Póki to nie nastąpi, niech te stronnicę rzucą choć szczupłe światło na poezyę i wierzenia ludowe Polaków i Rusinów. Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że jeżeli ma być mowa o czystym, rodzimym żywiole ludowym w zwyczajach i obyczajach, wyobrażeniach religijnych, w podaniach i pieśniach, trzeba tego szukać przedewszystkiem u wieśniaka krakowskiego (chrobackiego) i podolskiego. Reszta ludności Galicyi, z wyjątkiem samych tylko Huculów, zbyt ulegała różnym mięszaniom, ażeby mogła w znaczniejszym stopniu posiadać jeszcze swą pierwotność i jednolitość. Będziemy też niżej zestawiać ciągle obok siebie różne rysy życia obydwóch ludów, chrobackiego i ruskiego, przez co może wyjaśni się, że obydwa szczepy wyniosły z zamierzchłej przeszłości te same pojęcia, ale je wielorako zmodyfikowały, każdy po swojemu, i przerobiły następnie w wręcz przeciwny sposób. Liczne przeciwieństwa, które się wyrobiły w ciągu wieków, koncentrują się niejako w tym fakcie, o czem zresztą była już mowa, że muzyka, najczulszy wyraz uczucia, pieśń śpiewana i grana, obraca się u Rusinów wyłącznie w smętnem *mol,* a u Chrobatów również wyłącznie w śmiałem i wyzywającem *dur.* Co do języków, polski bardziej się oddalił od pierwotnego typu. W polszczyznie zaczynają się te wyrzutnie samogłosek, które w czeszczyznie doprowadzają do wstrętnego nagromadzenia spółgłosek; i tak ruskie g o ł o w a, przypominające sanskryt, łagodnie brzmiące, skraca się w polskiem na g ł o w a, miękkie ruskie ć w i t przechodzi w polskie k w i a t, b e r e g zamienia się na twarde b r z e g. Podobnie też w zakresie pojęć religijnych, starożytnej słowiańskiej tradycyi ludowej, widzimy u polskiego Chrobaty okres samodzielnego przerabiania i przemieniania materyału tej tradycyi, podczas gdy Rusin zwykł się jej trzymać upornie z azyatycką zaiste zaciętością. Dla Chrobaty jest już niewątpliwie przestarzałem to usposobienie biernej kontemplacyi zrezygnowanego na wszystko fatalizmu, a co właśnie cechuje

Rusina. Pozostał i on także fatalistą, i u niego jest rzadkością twórcza samodzielność, ale kiedy mówi: niech sobie będzie, jak chce — towarzyszy temu jakiś gniew zawadyacki, podczas gdy Rusin nie przekroczy granic ślepego, biernego zdania się na los.

Stosownie do tego należałoby szukać przedewszystkiem u Rusinów tego, co najpierwotniejsze w ludowych wierzeniach i obyczajach. Cóż, kiedy odznaczająca Rusina niesłychana nabożność, obok gorliwości nauczycielskiej ich duchowieństwa, przez całe wieki jak najstaranniej zmierzały do wyplenienia pogańskiej tradycyi, a przynajmniej do pogodzenia jej z chrześcijaństwem. Toteż wszystkie imiona bożków zniknęły doprawdy z ludowej wyobraźni, z jedynym wyjątkiem Ładо, który znachodzi się w niektórych pieśniach; Swarożit i Swantewit, wszechpotężni niegdyś nad Dnieprem i Dniestrem, są dziś dla Rusina nieznanemi zgoła nazwami; ale za to otacza go ciągle jeszcze cały rój istot nadprzyrodzonych, do uroczystości chrześcijańskich przyplątują się starodawne zwyczaje o charakterze wyraźnie pogańskim, chrześcijańskie nabożeństwo za zmarłych łączy się z zabobonnym kultem nieboszczyków; kościelne niebo ze świętymi sklepi się nad ziemią zaludnioną cudami i fantazmagoryami duchów, strzyg i rusałek.

I tak wspólne Polakom i Rusinom święto noworoczne, kolęda, k o l a d a, ma u Rusinów piętno znacznie pierwotniejsze. K o l ę d a zaczyna się w wigilię Bożego Narodzenia, wieczorem, i trwa do Trzech Króli. Utajone siły przyrody działają z zdwojoną mocą podczas s z c z o d r e g o w e c z e r a, w ten wieczór obfitości i ofiarności. Kąty izby przystraja się snopami różnego zboża, stół posypuje się sianem, rzekomo na pamiątkę kołyski Zbawiciela. Jadłem świątecznem jest k u t i a, potrawa z prażonych ziarn pszenicznych z miodem i z makiem. Pełnem znaczenia jest wszystko, cokolwiek się dzieje tego wieczora: gospodarz rzuca łyżkę kuti ku powale, a spadłszy powie mu kutia, jaki będzie rok na pszczoły. Drzewa owocowe owinięte opaloną słomą świątecznych snopów, rokują obfite owoce, jeżeli tylko dało się wyrwać słomę dość rączo z płomienia. O pogodzie całego przyszłego roku rozstrzyga zachmurzenie najbliższych dwunastu dni po Bożem Narodzeniu. Nawet rzezimieszek wioskowy stara się na s z c z o d r y w e c z e r spłatać coś tęgiego, bo mu to zapewni szczęście na rok następny.

Odpowiednio do tych miłych nadziei układają się też gładko i przyjaźnie podczas tych dni stosunki gospodarza z czeladzią, sąsiada z sąsiadem. Młodzież wiejska rusza od domu do domu, prze-

śpiewując kolędy z powinszowaniem i nabożne, śpiewaków ugaszcza się i nagradza. W sam Nowy Rok sypią na siebie wzajemnie zbożem i śpiewają:

Sij sia — rody sia
Żyto, pszenycia,
A za peczkoju
Ditej kopycia.

Pogańskość uroczystości kolady u Rusinów objaśni najlepiej następująca pieśń, podana przez Wagilewicza, czysto kosmogoniczna:

Koły ne buło naczało świta,
Tohdi ne buło neba ni zemli,
Anołem buło synieje more,
A sened moria zełenyj jawor,
Na jaworońku try hołobońki,
Try hołoboński radońku sadiat,
Radońku sadiat jak świt snowaty:
„Ta spostimosia na dno do moria,
To dostanemo dribneho pisku.
Dribnyj pisoczek posijemo my,
Ta stanet sia nam czorna zemłycia,
To dostanemo my zołotyj kameń,
Zołotyj kameń posijemo my,
To stane sia nam jasnoje nebońko.
Jasne nebońku, świtłe soneńko,
Świtłe soneńko, jasnyj misiaczyk,
Jasen misiaczyk, jasna zirnycia,
Jasna zirnycia, dribny zwizdońki.

Tę samą treść przerobiono w innej koladzie na modłę chrześcijańską. Trzy złote trony, dla Hospoda Boga, dla świętych Piotra i Pawła, znajdują się na Ureszy, która przypomina trochę Yggdrasil w Eddach. Hospod każe św. Piotrowi zmierzyć głębię morza i dostarczyć do dzieła stworzenia brunatnego piasku i złotych kamieni. Świętemu nie udaje się ta robota, poczem Pan Bóg zwraca się do św. Pawła, również bezskutecznie. Wtedy Bóg zeszedł sam na dno morskie, nabrał brunatnego i złotego piąsku i stworzył niebo i ziemię, gwiazdy i kwiaty.

U Krakowiaków spotykamy zwyczaje noworoczne po największej części w znacznie zmienionej formie. Brak tu kuti, a za to niezbędnemi są suszone owoce i jajeczniki posypane makiem. Przynoszą białe, poświęcane opłatki i życzą sobie wzajemnie „dosiego roku“, co odpowiada kościelnemu: *ad multos annos*. Drzewka owocowe

owija się słomą, nie opalając jej jednak. Zna też wieśniak drzewko wigilijne, sadek, i obwiesza je zabawkami dla dzieci. Na św. Szczepan obsypują celebrującego księdza owsem, na pamiątkę męczeństwa świętego, pod czem kryje się prawdopodobnie zwyczaj ruski. Kulminacyjnym jednakże punktem tych obrzędów ludowych jest szopka, zwana też jasełkami, rodzaj teatrzyku maryonetek, sklejonego z wielkim kunsztem z tektury przez młodzież wiejską, z którym chodzą od domu do domu ze śpiewami i muzyką co wieczora aż do Matki Bożej Gromnicznej (2 lutego). Budyneczek, opatrzony po bokach parą drzwi, zawiera w głębi plastyczną podobiznę żłóbka Zbawiciela, a scena na przedzie służy do przedstawienia maryonetek, które oparte o misterya średniowieczne, bawi publiczność, mięszając zazwyczaj rzeczy święte ze świeckiemi. Z historyą Heroda, która sprowadza na żydowskiego tetrarchę grożną śmierć na deskach, plączą się postacie z różnych narodów, wprowadzone z naiwnym humorem, Niemcy, Węgry, Turki, Francuzy i t. p., a zarazem rodzime typy starego polskiego szlachcica, Żyda, górala, a nawet odległego Kozaka i Moskala. Zbierane skrzętnie teksty i melodye odśpiewywanych przy tem kolęd odznaczają się rozmaitością motywów poetycznych i muzycznych, z której korzystali nieraz poeci i kompozytorowie. Szczególna rzecz, że w najstarszych i najczyściej ludowych znajdzie się niejedno, co przypomina ruskie pieśni na tę samą porę; i tak w jednej kolędzie słyszymy wyrażenie „szczodry wieczór“, w innej znów wiersze początkowe o pawiach gubiących pióra na wietrze, a nie może przecież być mowy o przyswojeniu sobie cudzego w zwykłem rozumieniu. Nie bez znaczenia jest też ta okoliczność, że pieśni śpiewane pomiędzy Nowym Rokiem a świętem Trzech Króli mają charakter przeważnie świecki, a niektóre z nich są nawet wręcz wykluczone ze śpiewu kościelnego.

Dla przykładu podajemy dwa fragmenty humorystycznych kolęd. Jedna zawiera zabawny dyalog z Żydem:

Pasterz:

Żydzie, żydzie! Pan Jezus się rodzi,
Więc go tobie, więc go tobie przywitać się godzi.

Żyd:

A gdzie go? a gdzie go? chciałbym widzieć temu,
Będziem kłaniać, będziem witać jakby co łebskiemu.

Pasterz:

Żydzie, żydzie! w Betlejem miasteczku
Tam jest złożon, tam jest złożon w szopie na sianeczku.

Żyd:

Łżesz jak pies, łżesz jak pies, coby robił w szopie
Pan tak wielki, pan tak wielki? idź do djabła chłopie!

Pasterz:

Żydzie, żydzie! króle go witają,
Mirę, złoto, mirę, złoto i kadzidło dają.

Żyd:

Wiem ja o tem, u mnie w kramie byli,
Troche mirem i kadzidlem u mnie zakupili.

Pasterz:

Żydzie, żydzie! otóż jawnie widzisz,
A czemu się, a czemu się Messyjasza wstydzisz?

Żyd:

Ja starego Pana Boga jak należi umiem,
Ale tego maleńkiego jeszcze nie rozumiem.

Pasterz:

Żydzie, żydzie! wnet ja cię naucę,
Jak cię z przodu, jak cię z tyłu tą palicą zmłócę.

(Zaczyna się bitwa).

Pachołek *(do Pasterza)*:

Co tu robisz przy szopie jakieś konfuzyje?
Obudzisz paniąteczko, więc cię hareštuję.

Dodajmy do tej dysputy teologicznej drugą kolędę, ze świata zwierzęcego, którą możnaby postawić obok arystofanesowskiej onomatopei w „Ptakach i żabach"; jest ona z rzędu tych licznych, w których naiwne obrazki z przyrody służą do przystrojenia żłóbka boskiego Dzieciątka:

Kaczka pstra, dzieci ma,
Siedzi sobie na kamieniu,
Trzyma dudki na ramieniu:
Kwa, kwa, kwa — pięknie gra.

Gąsiorek, jędorek,
Na bębenku wybijają,
Pana wdzięcznie wychwalają:
Gę, gę, gę gęgają.

Czyżyk, szczygliczek,
Na gardłeczkach jak skrzypeczkach
Śpiewają Panu w jasłeczkach:
Lir, lir, lir w jasłeczkach.

Słowiczek, muzyczek,
Gdy się głosem popisuje,
Wesele światu zwiastuje:
Ciech, ciech, ciech, zwiastuje.

Skowronek jak dzwonek,
Gdy się do nieba podnosi,
O kolędę pięknie prosi:
Fir, fir, fir, tak prosi.

Wróblowie, stróżowie,
Gdy nad szopą świergotają,
Paniąteczku spać nie dają,
Dziw, dziw, dziw, nie dają.

Widzimy, co to zrobiły twórczość i humor Krakowiaka z danego motywu religijnego, i tu zrozumieć można, jak w tem piecysku bogatej wyobraźni przetopiły się do niepoznania pierwotne pierwiastki pogańskie z materyałem nowożytnym. Ten sam tryskający humor Krakowiaków nie przepomniał też następnych tygodni karnawałowych; tłusty czwartek jest świętem babskiem, zwanem comber; gadatliwe babiny wciągają i młodych i starych do koła pod gołem niebem, a kto się opiera, musi się okupić wódką i piwem. Sam karnawał przedstawiają pod postacią cudackiej osoby, napuszonej pierzem i kożuchami, która chodzi po świecie, jako „książę Mantuański", miewa dziwaczne mówki i zbiera łakocie. Książę Mantuański przedstawia się jako książę przybyły z bardzo daleka, z kraju, gdzie psy szczekają ogonami, ludzie gadają łokciami, słońce wschodzi na zachodzie, a deszcz pada z ziemi do nieba. Przechodząc drogą dowiedział się od płaczącej świni, że jej zarżnięto synka, pospiesza tedy ochronić nieboszczyka od zguby i t. d. Nawet przyjście zupy postnej, zwanej żurem, umie Krakowiak otoczyć humorem; robi z niej szlachcica polskiego Żurowskiego i wita się z nim, jak następuje:

A jakże się miewasz,
Mój panie Żurowski?
Będzie cię zajadał
I sam Pan Krakowski.
A sprawię ja tobie,
Mój panie Żurowski,
Czerwone pończoszki,
Zieloną kapotę,
Będziesz miał Żurowski
Cały post sobotę.

Stanieć tej roboty
Do wielkiej soboty,
Wstępna środa następuje,
Pani matka żur gotuje,
A pan ojciec siedzi w dziurze,
Jak się miewasz panie Żurze?
Wiwat! wiwat! wiwat!

Zniknęło, o ile wiemy, zupełnie ze zwyczajów ludowych wiosenne święto Morany, obchodzone niegdyś zarówno u Czechów, Słowaków, Polaków i Rusinów, podczas którego wrzucano do wody drewnianego bałwana i śpiewano pieśń wyszydzającą śmierć. Długosz opowiada, że za jego czasów przypadało ono na Białą Niedzielę. Po surowym bardzo poście nastają dla Rusina dopiero na Wielkanocne święta wesołe chwile tradycyjnego uczt owania i dawnych zwyczajów. W Wielką Niedzielę popołudniu, kiedy się najadł do syta święconego, kiełbas, ciast i malowanych jaj wielkanocnych, obchodzi się na placu przed świętą cerkwią hailki, tańcząc i śpiewając. Rozbrzmiewa pieśń pogańska o Didie i Ładie, dziewczęta w wieńcach, wystrojone we wstążki i przeróżne świecidełka, zawodzą szalony taniec, same, bez mężczyzn, podczas gdy ci, ustawiwszy się w akrobatyczną piramidę, gonią za kręcącem się kołem dziewcząt i rozskakując się ze swej piramidy, próbują wskoczyć w środek dziewiczego koła. Następują oryginalne tańce przeróżnych nazw: krywyj taneć, mak, zajczyk, które przypominają niejednym szczegółem nasze gry towarzyskie. Treść pieśni stanowią miłość, ślub i losy panieństwa, opiewanego pod symbolicznem imieniem wianka (winok). Poniedziałek Wielkanocny przynosi z sobą śmigust, polegający na tem, że dziewczęta i parobcy oblewają się wzajemnie wodą, ba, nawet często zaciągnie się nieostrożne niewiasty do najbliższego stawu i tam się je zanurza. Starsze pokolenie tymczasem zajęte zwyczajem o wiele poważniejszym. Popołudnie Poniedziałku Wielkanocnego poświęcone jest zmarłym; groby wiejskiego cmentarza przystraja się światłem, a pop idzie od mogiły do mogiły odczytując ewangielię. Nabożny ten zwyczaj powtarza się trzykrotnie w roku, najwspanialej oczywiście na Zaduszki, kiedy gdzieniegdzie spożywa się uroczyście biesiadę, zastawioną na cześć zmarłych, co odpowiada litewskim Dziadom.

Uroczystości wielkanocne mają u Krakowiaków charakter całkiem nowożytny. Suta biesiada wielkoniedzielna jest powszechnym w Polsce zwyczajem i powtarza się dni następnych, póki się nie

spożyje całych zapasów. Życzenia składa się przy święconem ajku. Śmigust spotyka się nawet po dworach, mężczyzn zlewa się wodą, a panie perfumami. Jasełka powtarzają się pod postacią wystrojonego jagnięcia, zwanego traczykiem, do tego pieśni na tematy religijne i humorystyczne. Oryginalną jest w Krakowie uroczystość Rękawki, obchodzona we wtorek świąteczny na wzgórzu Krzemionkach przy udziale całego miasta. Ze spadzistych złomów wapiennych ciska się pomiędzy tłum ulicników jaja, bułki, owoce, a wyrostki wyprawiają dla uciechy publiczności akrobatyczne sztuczki i staczają drobne utarczki. Tradycya łączy tę uroczystość z pamiątką mitycznego założyciela miasta, imieniem Krakus, któremu wdzięczny lud usypał olbrzymią mogiłę, kopiec, istniejący do dziś dnia na Krzemionkach. Ale pogromca smoka, Krakus, jest postacią niewątpliwie mitologiczną, a kopiec mogilny prawdopodobnie ołtarzem ofiarnym: a zatem cała uroczystość bardzo prawdopodobnie reminiscencyą pogańskiego święta wiosennego. Wszak Kraków ma drugą uroczystość, przypadającą na oktawę Bożego Ciała, a która cechuje to miasto jako prastarą siedzibę pogańskiego kultu. Jestto Lajkonik, pochód, w którym mężczyzna przybrany po wschodniemu występuje na drewnianym koniu i przy muzyce i śpiewie rozbija się wśród gapiącego się tłumu, jako pan i władca rozdający razy. Dokomponowano wprawdzie do lajkonika historyczną tradycyę, przypuszcza się, że to przed wiekami urządzono na pamiątkę jakiejś bohaterskiej walki z Mongołami, ale coś podobnego, takie urządzanie, jest wyjaśnieniem bardzo a bardzo naciąganem i nieprawdopodobnem, a bardzo znaczącem jest natomiast, że lajkonik schodzi się z uroczystością boga Światowita, objeżdżającego świat konno. Szczególniejsza, że lajkonik zajeżdża właśnie przed pałac biskupi i corocznie odbiera tu podarunek. Kościół w swej roztropności tolerował Rękawkę i Lajkonika. Mogile ofiarniczej Krakusa przeciwstawił tam kościół św. Benedykta, takiejże mogile Wandy klasztor Cystersów Clara Tumba (Mogiła Pańska).

W kolei dorocznych uroczystości zbliżamy się do środka lata, do letniego przesilenia, t. j. do słowiańskiej Kupały. Ciekawa ta uroczystość, zawierająca najwięcej pierwiastków pogańskich, przypada na noc św. Jana, 24 czerwca, z wyjątkiem jednak krainy chrobackiej, która obchodzi Kupałę w noc Zielonych Świątek. Ziemia krakowska w nocy Zielonych Świątek, a cała reszta Galicyi w nocy świętojańskiej świeci łuną wysoko roznieconych ogni, pozapalanych po wzgórzach i polach, na tle których widać migotający rój różnych fantastycznych postaci. Biegają wzdłuż niw z płonącym

chrustem, tańczą około ogni i przeskakują je wśród śpiewów. Ognie te nazywają się u Krakowiaków sobótkami i tak samo nazywają śpiewane przy tem pieśni, których treść stanowi przekomarzanie się obojga płci:

Aj sobótka, sobótecka,
Pójdźże do mnie dziewusecka,
A czyś godna czy nie godna,
Nie uciekajze od ognia.
Nie uciekajze od środka,
Nie spali się twoja cnotka.
Sobótka, sobótecka, wiwat!

O właściwem znaczeniu tej uroczystości pouczą nas znacznie wyraźniej zwyczaje ruskie. Dziewczęta wiejskie ozdabiają ściętą młodą jodłę lub wierzbę wstążkami, świecidełkami i mnóstwem wianuszków z kwiatów, oświecają ją woskowemi stoczkami i ustawiają na jakiem stosownem miejscu, gdzieś w pobliżu wody. Młodzież męska otacza drzewko pozapalanemi stosami. Wieczorem się schodzą, tańczą około płonących ogni, przeskakują je i spuszczają na wodzie wiejskiego strumyka wianuszki panieńskie. Na Ukrainie, gdzie zwyczaj dochował się w całej pierwotności, rozbierają się dziewczęta i skaczą nago przez stosy do wody, starając się usilnie, żeby stos poruszyć nogami. Tańczy się do późnej nocy, poczem dziewczęta rozdzierają drzewko Kupały. Następna piosnka ukraińska rzuca wcale jaskrawe światło na ten (nieobyczajny) obyczaj, przypominając lydyjski kult Astarty:

Aj młody, mołodyci,
Wyjdiť, wyjdiť na ułyci,
Wynesiť diwkam kupajłyci.
Aj jakże nam wychodyty
Diwkam kupajłu wynosyty:
W mene smekerko, ne batinka,
W mene smekrucha, ne matinka,
U komoru zaczyniaje
Taj na ułyciu ne puskaje.
A w komoronci wikonoczko,
A w wikonoczci kwatyroczko,
Aj odczyniu ja kwatyroczku,
Ta podywlusia po rynoczku.
Aż tam z diwoczok, tanoczok chodyť,
A mij myłenkij u pered wodyť.
Zwiju winoczok z jaroji ruty,
Szob ne dożdała dowho z nym buty,

Zwiju winoczok iz szaławiji,
Szob ne dożdała i do nedeli.
Zwiju winoczok ja iz barwinku,
Szob ne dożdała i ponediłku.

Dla Krakowiaków jest noc świętojańska również chwilą mistyczną. Dziewczęta spuszczają wianki na rzece, a młodzież je wyławia. Kto o północy 24 czerwca zerwie kwiat paproci, widzi ukryte skarby i bogaci się przez to. Noc św. Andrzeja ma także wieszcze znaczenie, zwłaszcza dla dziewcząt na wydaniu. U Rusinów wypiekają t. zw. bałabuszki, bułki pszenne, i kładą je przed psa. Kolej, w jakiej pies pieczywo połyka, wróży przyszłe losy zgromadzonych dziewcząt. Topi się również ołów i cynę, a z kawałów, przybierających czasem postać podobną do ludzkiej, wróży się zatrudnienie i kształty przyszłych kawalerów. Sądzą, że twarz przeznaczonego da się zobaczyć w zwierciedle, jeżeli dziewczyna zerwie się późną nocą i tęskny wzrok w zwierciedle zatopi.

Pora jesienna jest złotym czasem wesel u polskiego i ruskiego chłopa. Wybór innej pory uważa się niemal za rzecz nieprzyzwoitą, a nawet właściwy karnawał wydaje się mniej stosownym. A wesele, według zwyczajów ludowych, to cała robota, wymagająca czasu i zachodu, połączona z przeróżnemi ceremoniami; wesele wyrywa ludzi z powszedniego trybu życia i wymaga oczywiście znacznych kosztów i wielkiej straty czasu, skupiając mnóstwo osób obojga płci na formalną komedyo-operę ze śpiewami, muzyką i tańcem, co się nieraz przewleka do dwóch tygodni. Jarmarki i staroświeckie weseliska przyczyniają się niemało do zubożenia prostego ludu.

Wesele ruskie, identyczne w ogóle z krakowskiem, obchodzi się jednak o wiele ceremonialniej i zachowując drobiazgowo wszelkie obrządki. Kawaler przychodzi do domu rodziców z uproszonym pośrednikiem, zwanym starostą, zazwyczaj w sobotę, staje u drzwi i przysłuchuje się kornie, jak starosta tłómaczy niespodziane przybycie dowcipnym wykrętem, że się zabłąkali, że szli za tropem liszki aż do drzwi i t. p. Potem wyjmuje starosta z kieszeni flaszę wódki i prosi o szklankę. Gdzie staroście radzi, podają mu z humorem wiadro, dzban, konewkę, aż wreszcie zjawi się oczekiwana dziewczyna ze szklanką. W tej chwili wypada obsypać dziewczynę pochwałami i wystąpić z oświadczynami, dziewczyna kosztuje ze szklanki i podaje ją kawalerowi; przywołuje się sąsiadów i zaręczyny się odbywają; zamienia się też pierścionki zaręczynowe.

Starosta powtarza zazwyczaj trzy razy swój kurs. Za trzecim

razem umawiają się o wiano, składające się z ubiorów i bielizny, z żywego i martwego inwentarza. Układają się, czy pan młody wprowadzi się do domu narzeczonej, czy przeciwnie. Chłop galicyjski żeni się chętnie, nawet najuboższy stara się o jaką chudzinę, jak powiadają: „g'woli opierunku".

Oba domy starają się teraz przedewszystkiem o zebranie orszaku weselnego, zwanego drużyną. Do drużyny pana młodego należą: drużba i dwóch drużbyków, z pomiędzy młodych a skorych do tańca parobków, dwóch starostów, starszych mężczyzn, z których jeden pełni obowiązki gospodarza w domu narzeczonego, dwie starościne, zwane też swachami, starsze poważane kobiety, jedna swaszka, zwykle niezamężna siostra pana młodego, i dwóch grajków. Podobnież w drużynie panny młodej wysługuje się troje dziewcząt, zwanych drużkami, dwóch drużbów, zwykle jej braci, zwanych też kozakami, jeden starosta i dwóch grajków. Cały orszak nazywa się bojarowie, panna młoda kniahinią, a pan młody kniaziem. Drużbowie są konno, konie przybrane strojnie.

Państwo młodzi spełniają niezbędną ceremonię zaprosin na wesele (sprosyny) w otoczeniu swych drużyn. Pan młody czyni to konno, w największym galopie, wywijając białą chustką. Zaproszonych prosi się kornie o błogosławieństwo. Kapela państwa młodych wyprawia wieczorem serenadę zaproszonym i wybitniejszym z drużyny.

Teraz następują w obydwóch domach państwa młodych symboliczne przygotowywania, które zabierają dzień lub kilka dni przed ślubem, dokonywane z całą powagą i dokładnością według odwiecznego zwyczaju. U pana młodego chodzi o mistyczny kołacz weselny, zwany korowajem, który pieką starościne ze swachą pod kierunkiem starosty z wielką bacznością, bo to rzecz ważna. Śpiewając i pijąc przyprawia się ten olbrzymi okrągły kołacz, ozdobiony kwiatami i figurami.

Aj znajuż ja, znaju,
Szto w tym korowaju:
Pszenyczeńka z pid haju,
Wodyczeńka z Dunaju,
Jajcia z pid Kamincia
A sokia z Krakowcia,
Szafran, perec z Gdańska,
Wsia pryprawa pańska,
A swaszeńki tutejszyi,
Ale obi mołodyi.

Wzywają samej Najświętszej Panny, żeby dopomagała przy wkładaniu korowaja do pieca:

Świty mysiaciu z raju
Naszomu korowaju!
Aby buł korowaj krasnyj
A jak sonieńko jasnyj;
Aby nam sia buło wydno
Korowaj płesty dribno:
Z pid spodu riżoczkamy
A z werchu kwitoczkamy.

Starostę upominają, żeby swachy utrzymał w dobrym humorze:

Starostońka domowyj!
Czoż ty takij wołowyj,
Ne trocha hostej majesz,
Czoż ty ich ne wytajesz,
Horiłki im ne dajesz,
Horiłki, horiłki! etc.

Skoro korowaj gotów, zjawia się pan młody, prowadzony przez starostę, ażeby sobie uprosić błogosławieństwo od rodziców, krewnych i obecnych. Jeżeli jest sierotą, śpiewają:

Aj pryletyło dwa hołubujki,
Kryknuły nad jaworom;
Aj zapłakał kniaź Iwasejko
Nad batejkowym hrobom:
Aj proszuż ja tebe
Myłyj batejku! do sebe
Na wesilejko.
Aj radżeby ja słowejko pryhodaty,
Prylakła mia sina zemłejka, ta ne mohu wstaty.

Obdarzonego powszechnem błogosławieństwem pana młodego sadzają teraz uroczyście na posag, to jest siedzenie pokryte za stołem, gdzie musi wysłuchać przeróżnych śpiewek o swym przyszłym losie, o przywiązaniu krewnych i o korowaju. Odbiera podarunki pieniężne od drużyny i wszystkich obecnych, poczem dwaj drużbowie panny młodej, zwani kozakami, proszą o pozwolenie wejścia, jako jej posłowie, i ofiarują w darze weselnym panu młodemu świeżo uszytą koszulę, ozdobioną wstążkami i mirtem.

Tymczasem poczczono pannę młodą w domu jej rodziców niemniej uroczyście. Najstarszy z braci rozplata jej włosy wśród śpiewu

dziewcząt, matka ją czesze, drużbowie wieńczą jej głowę mirtem i świecidełkami. Tęskne pieśni rozbrzmiewają, podczas gdy trzykrotnie pada rodzicom do nóg o błogosławieństwo:

Hrajte muzyki ryzko,
Kłanajsia Marysiu nyźko;
Jak wotciu, matinojci,
Ta i wsij rodynojci;
Tak błyzkim sosydojkam,
Jak małeńkim ditojkam,
I tiażkim worożeńkam.

Sierocie śpiewają:

W lisi na jawory
Sidiło dwa anheły,
Sidiaczy howoryły:
Połyńmo, połyńmo brate,
Do toj syrotońki
Siadem ta posłuchajem
Jak syrotońka płacze,
Do stoła prypadaje
Szczo bateńka ne maje.

Teraz sadzają też pannę młodą na posag, a gości częstuje się wódką i jajecznikami. Następują tańce, które prowadzi najstarszy drużba z panną młodą; ale to nie trwa długo; panna młoda przypomina sobie narzeczonego i poleca dwom młodszym drużbom, żeby mu doręczyli zdobną koszulę. Ta koszula

Wyprana na tychym Dunajeńku,
Wysuszena na bujnych kałynonkach,
Perekaczana na tysowych stołońkach.

Poselstwo to dostarcza widocznie licznych powodów do śpiewów i pląsów w domu pana młodego. Uczuciowe i humorystyczne piosnki idą po kolei. Wydrzeźniają posłów:

Pryichały Naływajki,
Bez konia, bez nahajki,
Prynesły koszułysko,
Wyteraty komynysko.
Wasza koszula zhribna,
Nam tu ne potrebna,
My tu linnuju maly
Iwasejka my sy wbrały.

Na co posłowie odpowiadają:

Szczoby nas tu ne prosyły,
My by tu ne chodyły.

Ostatecznie odsyła się ich z monetami dla panny młodej. Serenady kończą wesoły dzień, po którym następuje właściwy dzień wesela, dzień ślubu.

Cały orszak zbiera się w komplecie przed kościołem, z muzyką i śpiewami. Kto przebywał w Krakowie przez dłuższy czas, przypomni sobie te orszaki, zajeżdżające dosyć często na rynek co koń wyskoczy, na umajonych wozach, pomiędzy galopującymi drużbami, witające kościół Maryacki, farę kilku wsi okolicznych, piskliwym śpiewem i muzyką. Orszak ruski różni się tylko tem, że na jednym wozie wiezie się olbrzymi kołacz dla proboszcza. Po ślubie udaje się wesoła gromada do wiejskiej karczmy, gdzie dopełniają dalszych zwyczajem uświęconych obrzędów; na Rusi robi od tego wyjątek panna młoda ze swą drużyną: powraca do domu rodzicielskiego.

Podczas gdy reszta towarzystwa zabawia się w karczmie, śpiewają dziewczęta samotnej młodej mężatce najpiękniejsze ze swych pieśni dziewiczych (pisny diwockii). Opiewają szczęście domu rodzicielskiego, boleść rozłączenia się, ale też miłość kochanka. Godziny upływają, pod wieczór śpiewa się:

Sokołe ptaszejku,
Wyłety na świtłojku,
Podywy sia w czysto połe,
Czy jidut Bojarowe?
Jidut Bojary, idut,
Naperèd starostujka (drużbejka, Iwasejko)
Pid nym konyczok hraje
Jak siwyj sokoł litaje;
Na nym sukmanki majut,
Jak maczok prokwytajut,
I w bokach szabełejka
Z biłoho żelizejka
I w rukach nahajejka
Z krutoho reminejka.

Dziewczynie płynie od serca inna pieśń:

Zełena ruta, żawty cwit,
Nema Iwasia dowho w nicz,
Pysałabym łyst... ne umiju,

Posłałabym witcia... ne śmiju,
Piszłabym samaja... boju sia,
Szeroki hostynec... mynu sia.

Wreszcie zjawia się przed bramą pan młody z drużyną. Przygotowują mu przeszkody na drodze, co się powtarza jeszcze przed samemi drzwiami:

Pryjichały Bojarowe z dałeka,
Rozwynuły choruhowku z zołota,
Oj szczoż meni na tôj choruhowci za pysanie?
Mołoda Marysia wid batejka wid staje,
Ne wstupujte sylnyi Bojary,
Ne tałabajte zołotoi ciszejki;
Bo zołota ciszejka
Marysejka w batejka.

Opór ustępuje śpiewom proszącej o gościnę drużyny i poczęstunkowi wódki pana młodego. Świąteczny korowaj, niesiony przez starostę, wnosi się uroczyście i zabierają się do krajania go. Ale zachodzi jeszcze jedna przeszkoda. Bracia panny młodej, w dziwacznych kapeluszach, ze sztucznemi brodami, zajęli miejsca po obydwu jej bokach w roli wojowniczych Kozaków, a drużyna przyśpiewuje im:

Brateńku namistnyczku,
Siad' sobi na kreselyczku,
Uczysia torhowaty
Jak sestru prodawaty
Hrôsz słyna
Sestra myła
Bratenkowy swojemu.

Drużyna pana młodego odpowiada na to:

Ne stuj Drużba za płeczyma,
Ne świty oczyma,
Ne żałuj czerwonoho
Zawedy mołodoho.

Widoczne są w tem ślady dwóch znanych słowiańskich zwyczajów weselnych: uprowadzenia gwałtem i kupna. Zaznacza się to jeszcze silniej w tak zwanych p r e d a n c i c h; jestto pochód uroczysty rodziców i rodzeństwa, którzy na zakończenie zabaw weselnych oddają pierwszą wizytę pannie młodej, przeprowadzonej już tymczasem do mężowskiego domu. Śpiewają przy tem:

Rozpychaj swato chatu,
Ide nas tam bohato,
Rozpychaj takżej i siny,
Szczoby predany obsiły.

Gdy pan młody kupił sobie miejsce przy swojej wybranej, kraje się korowaj i tańczy się i biesiaduje przez całą noc. Dopiero rankiem zabiera mąż na wóz ruchomości z wiana i zawozi żonę do rodziców. Tutaj otaczają ją mężatki, ucinają jej kosy, zdejmują wianek mirtowy i wdziewają na głowę peremitkę. Te zwyczaje dostarczają sporo tematów do smętnych i humorystycznych pieśni, w których dostaje się rodowi męskiemu. Krakowskie baby zwłaszcza złożyły w tej mierze dowody swej twórczości:

Załujes Jagusiu — skoro po niewcasie,
Ugotujes klusków — nie ugodzis w kasie.

A ino cie weźmie jaki chłopowina,
Skrzywi ci się warkoc — kieby grochowina.

U mojej matusie — u moji kochany,
Malowane okna — bryzowane ściany,
A jak ci ja była — u swej pani matki,
To ja przeskoczyła — ştyry na raz ławki,
A jak ci posła za mego miłego,
Nie moge ja przeleść progu mizernego.

A moja pań matko,
Sanujcie tez zięcia,
Zebym wam nie bijał
Wasego dziecięcia.
Zebym go nie bijał,
Gorzałki nie pijał,
Do karcmy nie chodził,
Za łeb go nie wodził.

U Hucułów jest zwyczajem, że kosy panny młodej przybija się gwoździami do ściany i odcina jednym zamachem siekiery. Rusini nakrywają głowę młodej czapką męzowską, którą musi za trzymać, aż peremitka jest gotowa.

Uroczystość weselną kończy pochód państwa młodych do kościoła i wyżopisane predanci. Krakowiacy dodają sobie jeszcze po kilku dniach przenosiny, właściwą uroczystą przeprowadzkę panny młodej.

Zatrzymaliśmy się dłużej przy zwyczajach weselnych polskich i ruskich, bo dopomagają niemało do poznania obydwóch ludów i cechują dobitnie stopień ich kultury. Sądzimy, żeśmy wykazali, że zasadnicze pojęcia, tkwiące w poszczególnych obrzędach, są mniej więcej identyczne, że jednakowoż Rusin zachowuje je o wiele lepiej w pierwotnym kształcie. To samo zjawisko powtarza się w demonologii Polaka a Rusina. Zabobonni są obaj: ale Rusin bez porównania bardziej.

Mawki, łoskotki, rusałki, tak się nazywają duchy lądowe i wodne, które Rusin upatruje w falach kłosów, w gęstwinie lasów, na moczarach, łąkach i w rzekach, opowiadając o nich straszne rzeczy. Możnaby je zestawić z niemieckiemi elfami i niksami. Do tego świata duchów przechodzą niechrzczone dzieci i dziewczęta zmarłe krótko przed ślubem. Ale także która zanadto jest opłakiwaną, staje się perełesnycą albo obojasnycą, odwiedza co nocy w smutku pogrążonego i wysysa mu najlepsze soki żywotne. Upiory żyją sobie pomiędzy ludźmi w spokoju, tylko wyglądają blado i chodzą przy księżycu z zamkniętemi oczyma; ale gdy umrze który z nich, trzeba mu przebić bok i położyć w trumnie na twarz, bo inaczej narobią biedy we wsi, sprowadzą zarazę na ludzi i bydło! Wieśniak wyda córkę za parobczaka, który wydaje się całkiem porządnym, a wkrótce spostrzega ze smutkiem, że ją zaniedbuje. Szuka tedy śladów tułającego się po nocach zięcia i widzi, jak ten w stajni wdziewa wilczą skórę i wybiega; widzi, jak na wysokiem wzgórzu wilki wyją przy księżycu i witają jego zięcia. Zięć wilkołakiem! — Furmani poprzyjaźnią się z kolegą, który im jak najlepiej przypada do smaku, człowiek spokojny i wesół. Naraz posępnieje i przyznaje się, że on jest Dżumą, że jest opętany przez takiego ducha, który go zmusza mordować ludzi przez rok. Umyka, z daleka tylko widać, jak podnosi w górę głowę i ręce i raczym krokiem podchodzi do mieszkań ludzkich! A jeżeli te zjawiska należą do rzadszych, toć czarownice znajdują się niemal w każdej wsi. Czarnoksięstwo jest wrodzonem; zdarzają się młode dziewczęta, które się na tem znają. Dokuczyć komuś i zrobić szkodę, należy do ich rzemiosła: tak np. ubytek mleka u krów przypisuje się wyłącznie czarom. Sprowadzają one też choroby i śmierć. Czarownice tworzą stowarzyszenie, które wyszydza święte krzyże i odbywa przejażdżki na Łysą górę. Mogą przybierać różne postacie, zamienić się w psy i koty, ażeby ujść pogoni. Poza całą ich działalnością stoi wielki bezimienny, bezpjatek (bezpięty), nieczysta siła, djabeł

w swej własnej osobie. Niektórzy ludzie posiadają część jego wiedzy, i umieją rozbroić jego siłę; są to znachory, u których też ustawicznie zasięga się rady. Są też charakterniki, których strzał się nie ima a sami nigdy nie chybiają. Tak zwani płanetnicy mają nawet moc nad gradem i deszczem. Większa część chorób leczy się u znachorów i znachorek za pomocą zażegnywania formułkami; mają też oni do rozporządzenia mnóstwo najcudaczniejszych leków.

W ten sposób tedy Rusin żyje w świecie czarów, dosłownie; i to przyczyniło się niewątpliwie do wyrobienia w jego charakterze tego rysu podejrzliwości, który jest taką wybitną cechą jego. Krakowiak mógłby może roztoczyć niemniejsze skarby zabobonów, ale nie ulega on do tyla ich wpływowi i jest skłonniejszym do sceptycznego szyderstwa. Fantastyczne postacie przybrał on też sobie po większej części komicznie, a Złemu nadał piętno słabości, skutkiem czego musi on uchylić się przed Bogiem i świętością. Djabeł Krakowiaka jest niedużej postaci, w czerwonym fraczku i stosowanym kapeluszu, laskonogi i ruchliwy, żeby coś złego narobić, zbłąkać podróżnego, kusić kobiety i zawstydzać je. Na imię mu Strala i zdarzało się często, że śmiałki zadrwili sobie z niego. Na jego służbie jest płanetnik, który sprowadza grad i burze, ale cofa się przed dźwiękiem dzwonów kościelnych i poświęcaną palmą.

Żeńskie demony reprezentuje boginka, która wykrada dzieci położnicom i wymienia na swoje. Ruskiemu upiorowi odpowiada strzygoń, człowiek z podwójnem uzębieniem, który po śmierci pluje i wiele złego sprawia. Obok niego jest strzyga, zmora, żeński upiór. Te istoty mają dwie dusze, z których jedna jest złośliwą; unika się nieszczęścia, dając każdemu dziecięciu na chrzcie świętym dwóch patronów, ażeby zrobić nieszkodliwą także tę drugą domniemaną duszę. Nie brak widocznie czarownic i czarodziejów, ale na czary pomaga prosty środek: zanurza się w wodzie trzy kromeczki chleba i trzy rozżarzone węgliki i daje się tę wodę pacyentowi, na uroki. Jeżeli zachodzi cięższy wypadek, jeżeli np. czary zaczyniono pod progiem domostwa, wtedy trzeba już specyalisty, który ma dosyć mocy, ażeby zdjąć urok. Do stłumienia wiary w czary przyczynili się jednak bardzo wędrowni oszuści, którzy udawali czarowników, a okazali się prostymi złodziejami.

Odczuwanie przyrody, tak żywe, żebyśmy się tego nie spodziewali na pierwsze wejrzenie od chłopa, sprawia, że widzi on wiele zwierząt, ptaków i roślin w cudownem i czarodziejskiem oświetleniu.

Są to po większej części te same rośliny i zwierzęta, które też u innych ludów indoeuropejskich najwięcej budziły zajęcia: kukułka = zazula, bocian, jaskółka, krogulec, sowa, węże, pająki; z królestwa roślin: Impatiens noli me tangere (znany w baśniach niecierpek), Aspidium felix (paproć odkrywająca skarby), Ophioglossum vulgatum (nasięzrzał), Thymus serpillum (macierzanka) i wiele innych. Z ziół znanych z własności leczniczych i czarodziejskich robi się dwa razy do roku wieńce, na Boże Ciało i Wniebowzięcie (M. B. Zielną), poświęca się je przed kościołem i chowa jako środek ochronny na ten rok od chorób, pożaru i gradobicia.

Baśnie ludowe są dziedziną, w której najdłużej i w zupełnej czystości rozwijają się znikające stopniowo z życia zabobony i wiara w czary. I pod tym względem jest świataja Ruś ziemią klasyczną; tam baśń ma oficyalną egzystencyę, i gwarancyę na przyszłość. Z nastaniem jesieni i dłuższych wieczorów zbiera się młodzież płci obojga na weczerny ci, gdzie śpiewa się i opowiada przy warczeniu kołowrotka. Stare babiny roztaczają skarby klechd ludowych, chociaż czasami też młodziutka dziewoja przyjmuje rolę arabskiej Szeherazady i wytwarza czarownych książąt i księżniczki. Niestety nie przyznajemy sobie prawa powiedzieć cośkolwiek ze stanowiska nauki o treści baśni, pomimo kilku zbiorków. Na pierwsze wejrzenie poznajemy tu znowu baśnie z Zachodu, spotykamy się z uświęconą liczbą trzech, z trójkami bohaterów i bohaterek, z zaczarowanemi zamkami, z pogrążonemi we śnie królewnami, ze smokami, wróżbitami i czarnoksiężnikami. Ślady dowolnych przeróbek na nowożytną modłę znajdujemy nie tyle w ruskich redakcyach baśni, ile raczej w krakowskich, które spisał bardzo dokładnie Oskar Kolberg.

Śliczne i głębokie są te nieliczne podania i legendy, wytworzone wspomnieniami osób historycznych. Niemiecki król Rudobrody w Kyffhäuser ma swoją parę w legendzie osadzającej Bolesława Chrobrego w wąwozach tatrzańskich. Według innej legendy uchodzi św. Kinga, małżonka Bolesława Wstydliwego, za cudowną twórczynię Dunajca, borów sosnowych i tatrzańskich wierchów. Uciekając przed Mongołami wiodła święta biedny, drżący lud na Węgry. W miarę jak się zbliżali barbarzyńcy, rzuciła swój pas i oto pas zamienił się na rwący Dunajec, który na jakiś czas powstrzymał ich zapędy. Ale niebezpieczeństwo znów groziło, skoro wróg przeszedł przez rzekę. Lud błagając otoczył królowę, a Kinga rzuciła swą laskę pielgrzymią, laska rozmnożyła się w te bory sosnowe po-

krywające Beskid. Mongołowie błądzili po lesie, królowa zyskała na czasie. Wreszcie znowu się zbliżyli, wściekając się od złości, tuż na tyłach ludu. Natenczas zdjęła królowa z głowy złotą koronę, korona wzniosła się wysoko w górę i z niej powstały olbrzymie Tatry, lśniące na słońcu jak złoto i drogie kamienie. Powstał mur graniczny: Mongołowie nie mogli już przejść dalej.

W ostatnim czasie ogłoszono w *Przeglądzie Polskim* ciekawą historyę Polski, wyjętą z ust ludu. Odkryto ją u Mazurów pomiędzy Sanem a Wisłą, u t. zw. Lasowiaków, którzy zachowali dużo pierwotnego żywiołu w mowie i zwyczajach. Nie może oczywiście być mowy o należytej kolei królów polskich, choćby w przybliżeniu, przepadły całe okresy, ale zwraca uwagę, że w pamięć ludu wryły się dobrze chwile ważniejsze jego doli i niedoli. Chłop Piast jest pierwszym królem polskim, wybrany „po niemiecku“, ażeby Niemcom stawić opór. Krakus, pogromca smoka, był jego synem. Za czasów Wandy, córki Krakusa, poczęła się wiara chrześcijańska. Królowa utonęła w Wiśle, zaczarowana przez pogańskiego kapłana, który omamił ją, że zwierciadło wody jest oknem wspaniałego pałacu. Potem nastąpił jakiś wielki król, który miał sprawę z Rusinami. Przy tej sposobności dużo szczegółów, przedstawiających Rusinów jako głuptaków, podobnie jak w Niemczech drwią sobie z mieszkańców Krähwinkel i z Thadenerów z Hahnerau [1]). Nastaje potem król, który mieszkał w Sandomierzu i znów miał do czynienia z Rusinami. Pobił ich pod Zawichostem (Leszek Biały, Romana księcia Brzeskiego — historyczne). Podanie wspomina też o najeździe Mongołów z r. 1241.

Kazimierz Wielki, „król chłopków“, był synem ludu. Podanie rozpowiada anegdoty o jego sprawiedliwem i życzliwem dla ludu postępowaniu. W okolicy Raby żyje pamięć tego króla w niebezpiecznej wersyi: on to rzekomo nauczył krzywdzonego chłopa, używać hubki i krzesiwa...

Ciekawa rzecz, że ze śmiercią króla chłopków poczyna się chaos wspomnień luźnych. Ani słówka o panowaniu Jagiellonów, wiedzą tylko, że król Stefan (Batory) pędził Moskali aż do „Petersburga“! Był także królem jeden Francuz (Henryk Walezyusz), ale uciekł „po trzech dniach“. Inny król, Obracht (Jan Olbracht 1492—1501!) poprowadził szlachtę do bukowińskich lasów, gdzie część jej

[1]) Podobne dowcipkujące podania powtarzają się u polskiego ludu na pograniczu ruskiego szczepu.

zginęła (historyczne, ale chronologicznie przestawione). Wtenczas wybrano, ażeby się pozbyć Turka, Jana Sobiewskiego (Sobieski), który wyruszył cesarzowi na pomoc i Widej (Wiedeń) ocalił odsieczą, za co mu Niemcy niewdzięcznością odpłacili. On był również przyjacielem ludu, tańczył i biesiadował na weselach chłopskich, a nawet znają pieśni, które przy tej sposobności wyśpiewywał.

Źle się działo za Sasów, poczem wkrótce trzech cesarzów rozebrało Polskę. Walczył jeszcze król chłopski Kopciusko (Kościuszko), ale złapali go Moskale. Natenczas nastał „zły kusiciel" Boga i ludzi: Napolion. Podanie wspomina o pochodzie zimowym na Moskwę, opowiada też o śmierci księcia Poniętowskiego.

Widocznym jest w tem podaniu silny odgłos starć, jakie zachodziły pomiędzy ludem a „panami". Kończy się ono też morałem, że „na świecie" lepiej się dziać będzie, gdy chłop i pan będą chcieli tego samego.

Zakończymy nasz obraz krótką wiadomością o poezyi ludowej Polaków i Rusinów. Wspominaliśmy już o związku jej z muzyką; dodajemy, że Rusini znają prócz skrzypców i basów, lirę i bandurę, dwa instrumenty smyczkowe, które jednak spotkać można wyłącznie w ręku wędrownych dziadów-śpiewaków.

Zasadniczą formą poezyi lirycznej jest u Polaka krakowiak, u Rusina kołomyjka. Krakowiak jest zwrotką złożoną z czterech wierszy sześciozgłoskowych, a kołomyjka z czterech ośmiozgłoskowych. Zwyczajnie rymują się tylko wiersze drugi i czwarty, ale spotykamy też rym we wszystkich czterech, w dowolnym porządku, z wyjątkiem *a d, b c*. Przytaczamy dwa przykłady.

Krakowiak (piosnka sieroty):

Tatulu, tatulu,
Gdzieżeś mi się podział,
Już się ty na wieki
Trawnikiem przyodział.

Kołomyjka:

U susidy chatka biła,
U susidy żynka myła,
A u mene ni chatynki,
Ani szczastia, ani żynki.

Z reguły zawierają pierwsze dwa wiersze obraz z natury, pozostający w bliższym albo dalszym związku z uczuciem wyrażonem w ostatnich dwóch.

Krakowiak:

Wisi jabłko wisi,
A upaść nie myśli,
Będzies mię dziewcyno
Załować kiedysi.

Kołomyjka:

Łetyt oreł po nad more i staw hołosyty,
Honeż meni na czużyni nihde-sia pudyty,
Łetyt oreł po nad more, taj łetiwszy kryknuw,
Honeż myni na czużyni szczo ja ne prywyknuw.

Obok tej najkrótszej formy wylania lirycznego, istnieją dłuższe, kilkozwrotkowe wiersze, w podobny sposób zbudowane. W ruskich przeważa pewna sentymentalność, w krakowskich zuchowatość i humor.

Ruskie:

Wijut witry, wijut bujny,
Aż derewja hnut sia,
Oj jak bułyt serdce moje,
Samy ślozy ljut sia!

Traczu lita w lutom hori
I koncia ne baczu;
Tylki mynij' łecheze stane
Jak troszki popłaczu.

Ne pomohut ślozy szczaśtiu - -
Sercu łecheze bude!
Chto szczasływ buł chot' czasoczok
Po wik ne zabude!

- - - -

Po sadoczku ja chodyła
I chodiaczy howoryła;
I chodiaczy howoryła:
Nema toho szczom lubyła.

Oj ty orle czarno-kryły!
Zanesy mia do mij myły:
Dam ja tobi sercia swoho
Zanesy mia do myłoho.

Prijdy myłyj wże deń biłyj, wże stało swytaty!
Ach jak tiażko, ach jak nudno, szczo tia ne wydaty!
Ja inszoho ne lubyła chot' was buło syła,
Bohdaj-żem tia buła nihdy, nihdy ne wydiła!

Oj tebe ja polubyła, ty lubysz inszoju —
Bohdaj-żeś tużyw za neju jak ja za toboju!
Albo nechaj widjiżdżaju w daleki storony,
Albo nechaj my zazwiniat w hołosnyi dzwony.

Jak ja stanu pered Bohom na tebe płakaty,
Szczo ja z twoji pryczynońki muszu umyraty —
A jak stanesz na to misce de moja mohyła,
Pohadajesz, podumajesz szczo ja tia lubyła.

Polskie (krakowskie):

Nie lotego śpiwom, coby słychać było,
A ino lotego, coby sie nie cniło;
Nie lotego śpiwam, zebyście słyseli,
A ino lotego, niech sie świat weseli.

Po cóżeście przyjechali, moi mili goście?
Jeślim wam się spodobała, ojca, matki proście,
Hej, hej, hej, hej, ojca, matki proście!
A ja sobie pójdę za piec, w rzecy będę płakać,
A wy na to nie zważajcie ino targu dobijajcie, a będziemy skakać.

Rozwija się róża między cierniaczkami,
Jak się rozwinęła miłość między nami,
Jak ci się rozwinie, niebieski kwiat wyda,
Na cóż nam się Jasiu nasza miłość przyda?
Jak ci się rozwinie niebieskim kolorem,
Kocham cię Jasieńku sercem i honorem.

Ucieszona babina śpiewa sobie:

Miałam ci ja męża wielkiego próżniaka,
Posłam za drugiego, dostałam pijaka,
Mój trzeci nieboscyk bardzo lubił karty,
Da musę spróbować jaki będzie cwarty.

Bywalec tak się odzywa:

Siwy konik, siwy,
Siodełeczko zgubił —
I ja siwy teraz,
Com was panny lubił.
Siwy konik, siwy,
Siwy jabłkowity —
Dawnobym był w niebie,
Żeby nie kobiéty.

Wesołe, zuchowate usposobienie Krakowiaka odbija się jednak najlepiej w tem niezrównanem:

Albośwa to jacy tacy,
Jacy tacy,
Chłopcy Krakowiacy,
Cerwona capecka,
Na cal podkówecka,
I biała sukmana,
Danaż moja dana.

Karazyja wyszywana,
Haftowana
Pętliczkami, sznureczkami,
Kółeczkami, hafteczkami,
Złocistemi klapeczkami
Do kolusineczka,
Moja kochaneczka

Polakowi dostarcza natchnienia przedewszystkiem humor, Rusinowi gorące uczucie. W ciasnych formach krakowiaka i kołomyjki porusza się poeta ludowy najswobodniej, a w innych formach znać pewien przymus przystosowania się. Odnosi się to do ruskich dumek i szumek, ale zwłaszcza do pieśni w rodzaju epicznym, które nie dorosły do pięknej harmonii rapsodów serbskich. Śpiewy historyczne ukraińskie słabem zresztą tylko echem odbijają się na odległej Rusi Czerwonej. Dla przykładu przytaczamy pieśń historyczną o hetmanie kozackim kniaziu Dymitrze Wiśniowieckim (starosta kaniowski, według kroniki Stryjkowskiego wbity na pal w Konstantynopolu roku 1562, zwany w pieśniach Bajdą):

W Carihorodi na rynoczku
Ta pjet Bajda mid, horyłoczku;
Ta pjet Bajda ta kiwajet sia,
Ta na swoho ciura pohludajet sia:
„Oj ciuruż mij mołodeseńki,
Ta czy budesz mini wirniseńki?“

Ta turećki Car zajiżdaje,
Łyboń Bajdu pidmawlaje:
— „Woźmy u mene dońku, carywońku,
Ta budesz maty za żynońku“.
„Twoja dońka choroszaja —
Twoja wira proklataja“.

Oj krykuuw Car na hajduky:
— „Woźmit' Bajdu dobre w ruky,
Woźmit' Bajdu i związyte,
Na hak rebrom zaczepite“.

Taj wysyt Bajda, taj chytajet sia,
Ta na swoho ciura pohladajet sia:
„Oj ciuruż mij mołodeseńki!
Padaj meni łuczok ta tuheseńki,
Padaj meni łuczok i try stryłoczok:
Oj baczu ja try hołuboczki,
Choczu ja ubyty dla jeho doczky;
Najże ja ubju Carju,
Ta na sławnu weczeru!“

Jak striływ — Cara uciływ,
A caryciu w potyłyciu
Joho dońku w hołowońku.

Oto tobi Caru za Bajdynu karu,
Buło tobi znaty, jak Bajdu karaty:
Buło Bajdi hołowku izniaty,
Jeho tiło pochowaty,
Woronym konem izdyty,
Chłopcia sobi zhołubyty.

Na tle najazdów tatarskich osnuta jest następna charakterystyczna pieśń:

Oj wyjdu ja na horońku,
Puszczu konia w dołynońku.
. . . . . .
Leżu ja se taj tam spaty,
Temnu niczku noczewaty,
Oj pryjszła tam diwczynońka
Choroszaja Maryseńka,
Wyłomała hałuzońku,
Czerwonuju kałynońku,
Wdaryła ho po łyczońku:
„Wstawaj, wstawaj kozaczeńku!
Bo Tatary z wijny jidut,
Tebe zabjut — konia woźmut“.
— „Najby były, najby brały,
Buło mene ne budyty,
Kołym w soni tebe lubyw
Do serdeńka pryhołubyw“.

Wzrusza swą naiwnością następna, znana powszechnie ballada miłosna:

Ne chody Hryciu na weczernyciu,
Bo na weczernyci samy czarywnyci,
Kotra diwczyna czornobrywaja,
Ta czarywnycia sprawedływaja.
W nedilu rano zile kopała
A w penediłok zile połokała,

Pryjszow wiwtorok, zile waryła,
Pryjszła sereda, Hrycunia stroiła;
Oj pryjszow czetwer, ta wże Hrycio umer,
Pryjszła piatnycia, pochowały Hrycia,
Pryjszła sobota, maty dońku była:
Za szczoż ty suko-dońko Hrycunia stroiła?
Oj maty, maty, żal uwahy ny maje,
Nechaj sia Hrycio w dwizi ne kochaje,
Nechaj ne bude ni meni ni jeji,
Naj sia Hryć najist' surowoje zemli.

W polskich pieśniach nie spotkamy przykładów takiej namiętności i rzewności. Niejedna śpiewka pijacka ruska jest też doprawdy tragiczną:

Żurba mene suszyt, żurba mene wałyt,
Żurba mene maty skoro iz nih zwałyt,
A już tyi żurbi ta-j ne piddaju sia,
Pijdu do szynkarki, horyłki napju sia.
Horiłoczka pjana, sucza żurba wpriama;
Horiłoczka sumna, sucza żurba umna.
Czomus mene, brate, horiłka ne pjet sia,
Bila toho serdeńka, jak hadyna mjet sia;
Koło serdcia, brate, koło serdcia moho,
A koły ne wirysz, nechaj bila twoho!
Buły w mene łuhy, stały żyto żaty;
Buw u mene oteć i ridnaja maty.
A teper nykomu poradońki daty!
. . . . . .
Nedaj Boże smerty — na czużyni wmerty:
Oj nykomu dohlanuty tam mojeji smerty.

Ten sam temat obrabia Krakowiak w sposób wyłącznie humorystyczny:

Umarł Maciek, umarł, juz ci go nie staje,
Odpuść jemu grzechy miłościwy Panie.
Boć to człek był grzecny,
Skoda że nie wiecny.
Oj umarł Maciek, umarł,
Oj juz więcej nie wstanie.
Podobno nie będzie juz komu szynkować,
Bo jak Maciek umarł nie ma kto częstować.

Pożałujmyz Maćka wszyscy mili bracia,
Karczmarzu z karczmarką i kochani swacia.
Jak wszystko ustało,
Gdy Maćka nie stało.
Oj umarł i t. d.

Potłuczmy kieliszki, potłuczmy i dzbany,
Kiedy nam juz umarł nasz Maciek kochany.
Przetrząśmy go jesce,
Czy nie ma co w kiesce.
Oj umarł i t. d.

Doznaje się wrażenia, jakbyśmy byli na jakiej biesiadzie falstaffowskiej. Ale przypatrzmy się, jak postępują krakowskie kobiety:

Kumosia kumosi
Gorzałeckę nosi,
Jakze niema nosić,
Kiej ją o to prosi.

A moja kumosiu,
Napijmy sie obie,
Bo nam ta nie dadzą
Gorzałecki w grobie.

Bo nam ta nie dadzą
Ta i nie przyniesą,
Niechze sie kumosia
Na tym świecie ciesą.

Zesła sie jedna z drugą,
Miały rozmowe długą,
Po tyj rozmowie długij
Mówiła jedna drugij:
Wypijmy po kubecku,
Bo nie mamy nic w cubecku.
Skoro dziesiąty kubek,
Zagrzał sie babom cubek,
A jak sie baby popiły,
Oj o mężów sie swarzyły.
Oj jedna drugij mówiła:
Oj tyś do mego chodziła.
Nie turbuj sie kumecka,
Jest u karcmarza becka,
Wiem ze nam skredytuje
I was kumecko poczęstuje.

Krakowski rymotwórca ludowy ma wrodzony wesoły pogląd na świat i szczególną zdolność traktowania ludzkich słabostek ze strony komicznej. I wyższe stany traktuje on w sposób charakterystyczny dla swego naiwnego, nie dającego się zbić z tropu usposobienia. Pańskie fumy chudopacholskiego szlachetki karci następny wiersz:

Jechał Maciej do Warsięgi
Na welekcyją. Cóz na tem?
Na welekcyją.
Najął sobie na przedmieściu
W karcmie stancyją. Cóz na tem?
W karcmie stancyją.

I jęli go przyjaciele
Na piwo prosić. Cóz na tem?
Na piwo prosić.
A on sie im z familiją
Zaczął wynosić. Cóz na tem?
Zaczął wynosić.

Mój ojciec był wojewodą,
Bo woził wodę. Cóz na tem?
Bo woził wodę.
Miały zydy po Warsiędze
Z niego wygodę. Cóz na tem?
Z niego wygodę.

A stryjasek kaśtelanem,
Racyjo na to. Cóz na tem?
Racyjo na to:
Bo miał głowę kieby śkapa
Kaśtanowatą. Cóz na tem?
Kaśtanowatą.

A wujasek był chorązym,
Na to racyjo. Cóz na tem?
Na to racyjo:
Nosił świętą chorągiewkę
Przed prosecyją. Cóz na tem?
Przed prosecyją.

A świagier zaś był miecnikiem,
Sable ślufował. Cóz na tem?
Sable ślufował.
A kiedy było potrzeba,
I wóz okował. Cóz na tem?
I wóz okował.

Tak samo wymienia się i obrabia inne godności Rzpltej. Pieśń ta pochodzi widocznie z dawnych czasów, ale najnowsze waryanty mówią o „feldmarszałkach“, którzy „dowodzili wojskami owiec i świń“. *Rien n'est sacré pour un sapeur,* możnaby sobie pomyśleć, kiedy mowa o Krakowiaku. Mazury i Rusiny, Niemcy i Żydy dostarczają mu obfitego materyału do dowcipnych piosnek szyderczych. Naiwny jego dowcip nie cofnie się nawet przed świętym tematem:

U świętego Antoniego
W Padecznicy zjawionego,
Cud się stał jednego razu,
Dziad przemówił do obrazu,
Obraz do niego ni razu.
Taka była ich rozmowa.

Tak, tak! swobodna swywola opęta krakowskiego rymotwórcę, a podpowiada mu chochlik-psotnik, co się zmieści. Posłuchajmy, co za awanturnicza przygoda da się zebrać z życia komara:

Cóż tam w lesie gruchnęło,
Że aż tu słychać było.
A to komar z dębu spadł,
Złamał sobie w karku gnat.
Złamał sobie golenie
O dębowe korzenie.
Gdy to muchy słyszały,
Zaraz się tam zleciały.
Pyta mucha komora,
Czy nie trzeba doktora?
Nie trzeba tu doktora,
Tylko księdza przeora.
Był ci tam żal niemały,
Wszystkie muchy płakały.
Był i pogrzeb wspaniały,
Gdyż go muchy grzebały,
I śpiewały rekwije:
Już nasz komar nie żyje!

Kto zna choć trochę szczeropolską naturę, spostrzeże niezawodnie, że ta niezamącona wesołość, pełna fantazyi, odsuwająca wszelkie troski na bok, stanowi jeszcze jeden dowód wspólnego pochodzenia chłopa i szlachcica. Wieśniacze zabawy odnajdujemy też u szlachty; maskarada karnawałowa po dworach, kulig, jest naśladowaniem krakowskiego wesela ze starostami, drużbami i ludowemi postaciami. Poezya ludowa krakowiaków znalazła gorliwych uprawiaczy na szlacheckich biesiadach i trudno byłoby nieraz odróżnić, co ułożył karmazynowy pan, a co sąsiadujący z nim chłop. Do pary z historyą komara mamy np. następującą piosnkę do kieliszka, śpiewaną często na zebraniach szlacheckich:

Pijmy zdrowie gospodarza,
Niechaj nam żyje!
Póki komar w parze z muchą
Morza nie wypije!

Bieg dziejów domięszał oczywiście do tego szczeropolskiego humoru sporo ruskiej tęsknoty i refleksyi. Naprzeciw bogatej, skomplikowanej natury szlacheckiej stoi chłop chrobacki, jako typ pierwotny, prosty i naiwny. Można na nim studyować wyjątkową wytrzymałość, ale też pewną opieszałość charakteru narodowego, która jednak nie wyklucza potężnych porywów energii.

W literaturze polskiej znajdziemy syntezę polskiego i ruskiego dualizmu, złączonych, ażeby w dziedzinie poezyi wydać tyle dzieł pełnych siły, głębokości i uroku. Większa część i to znamienitszych poetów należy z ducha do bogatego w poczyę Wschodu, dzieła Muz są po największej części owiane głębokim smutkiem właściwym ruskiej poezyi: a jednak nie możnaby sobie wytłumaczyć pogodnego świata „Pana Tadeusza“ A. Mickiewicza, ani rubasznych a dowcipnych postaci komedyj Fredry. nie znając tego wesołego a objektywnego poglądu na świat, właściwego polskiej szlachcie, którego szukać trzeba w starszej literaturze u takiego Kochanowskiego i Wacława Potockiego, w sferach ludowych zaś u tęgiego krakowskiego wieśniaka.

Przeszłość, polityczna i cywilizacyjna szkoła kraju.

— —

Przed jakiemi pięćdziesięciu laty wystarczało według wymagań ówczesnej uczoności, uporać się z zagadnieniem dziejowych początków pewnego kraju, wyczerpując o ile możności wszystkie filologiczne teksty, które nam zostawił jaki Strabo lub Ptolomaeus albo tablice Pentingeriańskie. Obowiązkiem badacza było, interpretować te teksty, o ile się dało, odnaleść Carrodunum w Krakowie lub w Czerniowcach, a szeregiem udatnych lub mniej trafnych hypotez połączyć epokę skąpych wiadomości klasycznych z okresem średniowiecznych roczników klasztornych. Dzisiaj zadanie znacznie utrudnione. Nie pomijając wiadomości Rzymian i Greków, doprzęga się dzisiaj filologię porównawczą i będące właśnie w kwiecie wieku badania archeologiczne, które zanurzają się głęboko w dziejowe tajemnice ziemi; na miejsce gołej nazwy mamy dziś odgrzebaną stacyę z epoki kamiennej albo grób z wykopaliskami bronzowemi, i tem, co dziś żyje w językach i dyalektach, roznieca się brzask na horyzoncie przeszłości. Wśród gromad tych nowych rupieci musi się brać do roboty konstrukcya historyczna, zasypywana mnóstwem błahostek *bric a brac,* zwyrodniała w uczoność niewiele powiedzieć mogącą, która jednakże lubi mówić, zasobna w słowa i książki; — zwycięska i przekonywająca natenczas tylko, jeżeli objęła gienialnym wzrokiem wszystkie te luźne resztki i zdołała wydobyć z nich uderzające, pełne życia, prawdopodobieństwo.

Kilka znakomitych prac, publikowanych w Pamiętnikach Akademii Umiejętności w Krakowie, zwłaszcza praca J. N. Sadowskiego „Drogi handlowe greckie i rzymskie do morza Bałtyckiego“ i M. Sokołowskiego „Studya nad przedchrześcijańskiemi i pierwszemi chrze-

ścijańskiemi budowlami w Polsce", próbowało wyjaśnić najodleglejszą przeszłość ziem polskich i ruskich z wielką bystrością, wyzyskując materyał archeologiczny. J. Sadowski omawia wyczerpująco wiadomości Herodota, Pliniusza i Ptolomeusza i oznacza z wielką ścisłością drogi greckiego, etruskiego i rzymskiego handlu bursztynem, na podstawie wykopanych monet, bronzów i w ogóle archeologicznych zabytków, wyjaśniając zarazem, o ile możności, przedhistoryczny handel solą. Autor oznacza z wielkiem prawdopodobieństwem drogę grecką z Olbii przez Halicz (w ziemi Alazonów) wzdłuż rzek Sanu, Wisłoki i Dunajca ku Wiśle i Narwi; nie dotyka ona prawie całkiem Galicyi zachodniej, podczas gdy najstarsza droga handlowa etruska wiedzie przez Hallstatt, Saaz i Kładzko ku Adelnau i Nakłu w W. Ks. Poznańskiem. Podobnież wskazuje bardziej zachodnie położenie ptolomejskim nazwom Budorgis, Carrodunum i Asanko, przez które rozumiano zwykle Kraków i Sącz.

Ale porzućmy zawczasu grunt przedhistoryczny, naukowo zaledwie zorany, a przenieśmy się na pewniejszy, mający już styczność z właściwą historyą, kiedy już znajdziemy też Słowian na słowiańskiej ziemi Galicyi. Istnienie Słowian w tych stronach, nie wyłączając równocześnie istnienia innych ludów koczowniczych i wojowniczych, możnaby oznaczyć nie bez silnej podstawy na te czasy, kiedy pojawiają się słowiańskie, do dziś dnia istniejące nazwy rzek, jak w II. wieku Vistula, w III. Danaster i Danaper, te dwie ostatnie na miejsce Tyrasu i Borysthenesu. Czy za najstarszych słowiańskich mieszkańców tego kraju uważać należy Karpiów, Bastarnów i Pencinów, to kwestya; dla nas jest ważniejszem, że wielki dualizm słowiańskich szczepów Wenetów i Antów, podany u Jornandesa, sprawdza się w obrębie Galicyi i byłej Rzpltej Polskiej o tyle, że ziemie te czerpały swe zaludnienie i kulturę od dwóch słowiańskich prądów, od północno-zachodniego i południowo-wschodniego, od środowisk nad Łabą i Wisłą a Dnieprem i Donem; sama zaś Galicya posiada prastarą linię graniczną etnograficzną, która oddziela wzbierający napływ z zachodu od cofającego się pierwiastku wschodniego. Upoważnia do tegoż historycznego przypuszczenia późne stosunkowo zaludnienie Galicyi środkowej, Lubelskiego, i wschodniego Mazowsza; główny trzon ludności trzymał się brzegów Wisły, Dniestru i Dniepru, i żyznych wyżyn Podola i Wołynia. Same nazwy miejscowe wskazują, że taki właśnie był w ogóle stosunek zaludnienia do ziemi, jakkolwiek są one wytworami różnych okresów i podległy niejednej zmianie. Uznane powszechnie za najstarsze, polskie na *ice* i *yce*, ru-

skie na *yja, yje* i *yńce*, widocznie patronymica z końcówką liczby mnogiej (Wnochowice cum villa eorum), można uważać słusznie za najstarsze sioła o wspólnej własności rodowej i takie znajdują się przeważnie w tych właśnie okolicach, które uważamy za najstarsze prawdopodobnie osiedlenia słowiańskie. Następują sioła służebne z końcówką na *iki* (Korabniki, Skotniki, Szczytniki), otaczające znane historyczne centra albo też po drodze do nich, potem pochodne od imion własnych na *ów*, wreszcie liczne nazwy, niewątpliwie późniejsze, utworzone od przyrodzenia lub położenia miejsca (Zagórze, Podgórze, Zalesie, Błotnia, Dąbrowa, Gaje, Tęgoborze), do których dołączyły się osady na prawie niemieckiem, oparte o starsze osady a zwane Wolami (Wola Kurowska, Wola Justowska i t. p.). Pomimo to można śmiało postawić na czele hierarchii chronologicznej miejsca historyczne: Kraków, Przemyśl, Halicz, Bełz i Trębowlę, tem bardziej, że najbliższa ich okolica dotrzymuje dość ściśle tej stopniowej kolei nazw miejscowych, a pod względem fizycznym i geograficznym są one jakby wskazane na pierwotne osady jakiego ludu.

Szczególna analogia cechuje początki polskich i ruskich ustrojów państwowych w Galicyi. Polityczny ustrój przybył, względnie do dzisiejszych granic kraju, z zewnątrz, a mianowicie polski z Gniezna i z Poznania, a ruski z Kijowa. Z historycznego zmierzchu prześwieca Galicyi zachodniej doba jeszcze wcześniejsza: wpływy państwa wielko-morawskiego i chrześcijaństwa słowiańskiego obrządku św. Cyryla i Metodego, wpływ religijny i polityczny państwa czeskiego, którego dyecezya prazka, według późniejszych a tendencyjnych podań, rozciągać się miała aż po Bug i Styr. Z rokiem 999 poczyna się potężny wpływ historyi polskiej na losy kraju: Bolesław Chrobry wypędza Czechów z Krakowa, potęga jego sięga aż do doliny Wagu za Karpaty, Czerwona i Biała Chrobacya stają się perłami jego korony. Niemal równocześnie walczy z Włodzimierzem Wielkim o grody czerwonoruskie; wkrótce potem rusza aż na Kijów, zagarniając halicką ziemię, podbijając Bełz i Trębowlę. Od tej chwili pozostaje kraj pomiędzy Sanem a Skawą stale w polskiem ręku, a ziemie na wschodzie aż po Zbrucz stają się boiskiem polskich i ruskich ambicyj, aż osłabienie obydwóch ognisk politycznego życia dozwala powstać kilku ustrojom państwowym.

Lecz nietylko w tych dosyć analogicznych przejściach zachodzi ciekawa jednostajność, ale niemniej w wewnętrznych urządzeniach tego najstarszego okresu dziejowego. Instytucye państwa warego-

ruskiego są niemal przystające do ówczesnych polskich: obydwa państwa są prymitywnemi państwami wojskowemi, książę jest najwyższym wodzem, sędzią i administratorem, przy jego boku oddana mu drużyna (comitatus), której członków osadza na grodach jako namiestników swego własnego zakresu władzy; ziemia jest albo własnością księcia (królewszczyzny, wyłączne prawo łowieckie w kniejach), albo obowiązaną do najrozmaitszych ciężarów na podstawie *jus ducale;* wszystko zmierza do tego, żeby książę znalazł wszystko, czego potrzebuje, od stacyi do stacyi, i żeby mógł bez przeszkody odbywać swe zdobywcze lub łupieżcze wyprawy. Najpiękniejszą zaś ozdobą i zdobyczą zwycięskiego kniazia jest żywy łup ludzki; jeńców osiedla się i przesiedla, w najstarszych dyplomach wymienia się ich każdego z osobna, i darowuje się ich lub sprzedaje wraz z gruntem albo też pan zatrzymuje ich sobie w umyślnej klauzuli i pędzi w dalsze strony. Instytucye całkiem pierwotne, wcześniejsze od tego państwa wojskowego, niemal nie dadzą się ująć i określić, z wyjątkiem *vicinia* (opole), które obejmuje kilka wsi, jako zbiorowa jednostka administracyjna, i poręcza wobec kasztelanii ład na mniejszym obszarze.

A jednak zdaje się, że te prymitywne instytucye, poprzedzające powstanie wareskiego i polskiego wojskowego państwa, ta hierarchia społeczna, starsza od żołnierskiego szlachectwa drużyny, istnieć nie przestały przynajmniej w Chrobacyi (w Krakowskiem i Sandomierskiem) i nie wszystko uległo potężnej prawicy Bolesławiców. Ciekawa rzecz, że właśnie Chrobacya już za Bolesława Śmiałego popadła w ostre niesnaski z królem, a kościelna hierarchia chrobacka z biskupem krakowskim Stanisławem na czele stawia opór pogromcy Kijowa: Chrobacya to pomściła śmierć swego biskupa wydziedziczeniem króla, który był mordercą. W Chrobacyi zajaśniało najpierw słońce zachodniej instytucyi *immunitatum,* która podkopuje polityczne ustroje dawnych królów drużynowych w równej mierze, jak korzystną i ożywczo zraszającą okazała się dla siejby swobód stanowych, stanu duchownego, rycerskiego i mieszczańskiego. Dłużej, niż wiek cały ujawnia się wybitnie jaskrawe przeciwieństwo Wielkopolski przejętej tradycyami dawnej monarchii wojskowej a ziemi krakowskiej, stającej na czele ziem tęskniących za jakimś samorządem. Rozporządzenie testamentu politycznego Bolesława Krzywoustego (1139), łączące Kraków i Wrocław w ręku seniora dynastyi, wskazuje, gdzie spoczywała siła, ale też gdzie niebezpieczeństwo państwa, które z konieczności należało podzielić na zasadzie prawa

prywatnego. Rozporządzenie to rozbiło się o niechęć Chrobacyi przeciw synowi Krzywoustego, Władysławowi II. Walcząc o przyznane sobie ojcowską wolą zwierzchnictwo, ulega przez brak poparcia własnego chrobackiego udziału przeciw młodszym książętom udziałowym; Chrobaci zdołali wbrew wielkopolskiemu Mieczysławowi III. wznieść najmłodszą linię Kazimierzowską i to na zasadach wręcz przeciwnych monarchizmowi państwa wielkopolskiego, pod hasłem *immunitatis* kościoła, swobody i udziału w rządach.

Właśnie z tej epoki księstw udziałowych, na które rozpada się prawie równocześnie polski i ruski (kijowski) ustrój państwowy, pochodzą dwa ogniska polityczne powstałe w karpackim kraju, w dzisiejszej Galicyi: Kraków i Halicz. To drugie trwa niedługo, dziedzictwo halickie przypada Kazimierzowi Wielkiemu i Polsce (1340): przez całe wieki stoi Kraków na czele daleko sięgającego politycznego ruchu, jako potężna stolica, a obniżenie go do rzędu miasta prowincyonalnego na korzyść Warszawy (1610) przypada równocześnie z zaćmieniem gwiazdy polskiej pomyślności.

Ten fakt niezaprzeczony musi się tłumaczyć historyą kultury rozległych polsko-ruskich obszarów. Wszak kultura jest właściwym motorem dziejowych wydarzeń, począwszy od elektrycznych prądów pojęć religijnych i politycznych aż do owego wiru dążności ożywionego ruchu ekonomicznego. Sprawdza się i pod tym względem owo: *Salve Cracovia, altera Roma, Roma Poloniae.* Wystąpienie Krakowa na niekorzyść Gniezna, zwycięstwo Małopolski nad Wielkopolską, przypisać należy temu rozwojowi, który się przejawia w Chrobacyi w XIII. i XIV. wieku. Straszny najazd mongolski roku 1240, który przed 16 laty (1224) zmiótł potęgę ruskich książąt udziałowych, zmusił do ucieczki halickiego Daniłę i krakowskiego Bolesława Wstydliwego i pozbawił życia wrocławskiego Henryka Pobożnego w rzezi na pobojowisku lignickiem, zniszczył wprawdzie okropnie ziemie chrobackie, ale rozbudził podziwienia godne siły moralne, które pognębionemu krajowi przyniosły szybkie ocalenie. Na fundamentach, założonych przez krakowskiego biskupa Iwona, wznoszą się gotyckie katedry, budynki klasztorne i szpitalne; osadnictwo na prawie niemieckiem, znane na Ślązku od r. 1177, pokrywa kraj skrzętnemi osadami miejskiemi i nowemi siołami (Kraków ma od r. 1257 prawo niemieckie); słaby niegdyś Bolesław uwieńcza długie swe panowanie zwycięskiemi wyprawami przeciw odległym barbarzyńcom; następca jego, sprzyjający Niemcom Leszek Czarny walczy odważnie i z rzadką wytrwałością z zewnętrznymi i wewnętrznymi nieprzyjaciółmi. Owa

cywilizacya zachodnia, która zgermanizowała Śląsk, przenika krainę chrobacką i doprowadza ją niemal do tego samego punktu: mieszczaństwo krakowskie rozporządza berłem: wprowadzają na zamek krakowski Henryka wrocławskiego, Wacława II. czeskiego, Władysława Opolskiego, na przekór polskiemu rycerstwu; ale nakoniec zwycięża bohater narodowy Władysław Łokietek nad politycznemi tendencyami niemieckiego mieszczaństwa, Kraków staje się w r. 1320 miastem koronacyjnem królów polskich, którzy teraz, dołączywszy udział wielkopolski, uśpioną przez dłuższy czas polską ideę państwową wprowadzają na nowo na tory Bolesławiców, ale już od Małopolski, od Krakowa. A teraz (1334) nastaje wielki łączyciel tendencyi politycznej potęgi z kulturą i interesami ekonomicznemi! Opierając się na wzorach rządów Andegaweńskich na Węgrzech, wchodzi Kazimierz Wielki na drogę pokojowej restauracyi, załatwia dawne spory z Czechami, zaniechał walki z Zakonem niemieckim, jakkolwiek wśród ciężkich warunków: rządy jego poświęcone wzmożeniu dobrobytu, poprawie sądownictwa, kodyfikacyi, założeniu akademii krakowskiej (1364), ubezpieczeniu kraju przez pomnikowe budowle grodów granicznych. Gdyby chcieć rozróżnić okresy kultury narodu polskiego według budowli, w takim razie mielibyśmy zapisany kamiennemi głoskami na ziemi polskiej okres Bolesławowski nielicznemi kościołami romańskiemi, okres podziałów nieskończonemi podbudowkami gotyckich katedr, a okres Kazimierza W. długim szeregiem budowli kościelnych, klasztornych i grodowych. Niemniej z piśmiennych zabytków tej epoki, z dyplomów, z ksiąg konsularnych i ławniczych, które wyprzedzają chronologicznie najstarsze pomniki sądownictwa szlacheckiego grodowego i ziemskiego, wieje bogactwo objawów ruchliwego życia pod względem ekonomicznym i cywilizacyjnym, rozmaitość interesów przemysłowych, handlowych i pieniężnych, średniowieczna roztropność gospodarki w zarządzie miejskim i urządzeniach cechowych. Obok Krakowa kwitnęły jako ogniska rękodzieł i handlu od XIV. do końca XVI. wieku małoznaczne dziś miasta N. Sącz, Krosno, Biecz, Czchów (Alba Ecclesia), Dobczyce, Tymbark, Pilzno; pozostawały one w ożywionych stosunkach z Węgrami i Śląskiem, z dzierżawami krzyżackiemi i z Niemcami.

Kazimierz W. zrzekając się walki z Zachodem, ażeby zapewnił swemu krajowi dobrodziejstwa kultury Zachodu, zwrócił uwagę na Wschód i wśród ciężkich walk z Tatarami, Litwinami i z opornemi żywiołami wewnętrznemi zapewnił koronie polskiej w czasie pomiędzy

latami 1340—1370 Ruś Czerwoną i Włodzimierz (mniej więcej obszar dzisiejszej Galicyi wschodniej), jako dziedzictwo piastowskie po Bolesławie Mazowieckim.

Piękny ten kraj przebył już okres rozkwitu politycznego. Daniło, syn Romana, księcia brzeskiego, wróciwszy ze swego schronienia na Węgrzech, utrzymał się przy władzy na wzór kniaziów wschodnich dzięki uległości hanowi Złotej Hordy, przez co, jako sojusznik hanatu tem groźniejszymi być mogli dla sąsiadów zachodnich. Daniło złożył hołd hanowi a tatarskie baskaki wybierali podatki objeżdżając jego ziemie; ten atoli najbardziej zachodni z ruskich książąt, dobry wojownik i sprytny polityk, zachował sobie zupełną swobodę postępowania, i doprowadził Halicz do bogactwa i znaczenia, do takiej potęgi, że nawet na europejskich dworach zwracał przez to uwagę; nowe państwo ma być uwieńczone koroną, zwraca się do Kościoła rzymskiego, a legat Innocentego IV. Opiso koronuje go w podlaskim Drohiczynie, dokąd rozszerzyły się jego granice, w stronę Litwy. Ale nie! Daniło nie pozostanie katolikiem, wschodnie instynkta przeważą we władcy Rusi; synowie jego Lew (założyciel Lwowa) i Swarno snują ambitne plany, ażeby drogą pokojową nabyć potężną Litwę; ruski obyczaj z ruską schyzmą wciskają się silnie do południowych prowincyj litewskich, a nawet na dwór książęcy; z Leszkiem Czarnym walczył Lew pod samemi murami Krakowa, ale bezskutecznie. Nastanie Gedymina na Litwie i sojusz polsko-litewski z r. 1324 odbierają Daniłowicom nadzieje północnych zdobyczy, a wielkość i znaczenie halickiego państwa kurczy się po śmierci Lwa w podziałach, podczas gdy zwierzchność tatarska zapędza się wobec słabych coraz dalej w swych wymaganiach. Spadkobierca ruskiego państwa, Bolko Mazowiecki, zwraca się na zachód o pomoc przeciw grozie pogaństwa; katolickiego księcia zgładza z powierzchni ziemi fanatyzm schyzmatycki, obalając go trucizną.

Państwo halickie nie mogło pozostawić po sobie ognisk cywilizacyjnych i dzieł kultury w takiej mierze, jak zachodnia Chrobacya; w pierwszym okresie budownictwo było bez wątpienia drewnianem, a zresztą kraj był częstokroć narażony na najazdy i zniszczenie. Kazimierz Wielki i żywioł polski, który z wielką energią zabrał się do osadnictwa, mieli tu pełno roboty w kraju opustoszałym i skąpo zaludnionym; w jasnem oświetleniu historyi nieodległej i dokumentami uwierzytelnionej widzi się wyraźnie, że założenie przeważnej części miast i wsi na prawie niemieckiem przypada na czasy od r. 1340 aż do XVII. wieku. Jakkolwiekby sobie przesada nowo-

ruska idealizowała dawną świetność Czerwonej Rusi za Daniła i Lwa: faktem bądźcobądź pozostanie, że Polska wprowadziła dobrodziejstwa cywilizacyi do kraju zamierającego pod jarzmem tatarskiem, że nikt nie myślał o uciskaniu ruskiego pierwiastku i ruskiego języka w czasach, kiedy kraj znajdował się na tym stopniu kultury, że wobec braku rąk do roli pożądaną była każda narodowość i każdy język do żyznej, ale po większej części odłogiem leżącej ziemi.

O działalności Kazimierza W. świadczą budowle Przemyśla, Lwowa, Halicza, Włodzimierza, Bełza i Śniatynia; o jego tolerancyi religijnej starania, żeby krajowi zapewnić obok hierarchii katolickiej także schyzmatycką. Czerwonoruskie sprawy wpłynęły też zapewne na jego postanowienie co do następstwa, które usuwając ród piastowski, przenosiło koronę polską na głowę potężnego króla węgierskiego, Ludwika Andegaweńskiego. Gienialny reformator młodego ustroju państwowego nie uważał słowiańskich książąt udziałowych za zdatnych do dźwigania całego ogromu wytkniętych przezeń zadań: mocarz europejski miał chronić rozpoczęte przezeń dzieło, i doprawdy! cokolwiekby dało się wytknąć temu politycznemu krokowi, jedno pozostanie niewzruszoną prawdą: Kazimierz utrzymał Polskę nawet po swej śmierci na wielkim europejskim szlaku.

Ludwik sprawował rządy powierzonego sobie kraju stosownie do interesów swej dynastycznej polityki. Ruś Czerwoną przyłączy w danym razie do korony węgierskiej, nada jej znakomitego zawiadowcę w osobie wysługującego mu się Władysława księcia Opolskiego, który popierając dalej gorliwie pracę osadnictwa, osiedla na prawie niemieckiem Niemców, Ślązaków, Polaków i rozstrzyga główne zagadnienie cywilizacyjne w tym kraju, powołując do życia hierarchię rzymsko-katolicką (arcybiskupstwo we Lwowie, biskupstwo w Przemyślu). Ludwik pragnie zapewnić Polskę córkom swym Maryi i Jadwidze, prawo następstwa córek okupuje przywilej koszycki (1374) ustępstwami na rzecz polskich panów. Małżeństwo królewnej andegaweńskiej Jadwigi z księciem litewskim Jagiełłą pozwala Polsce i Rusi wyróść na państwo, z którem co do obszaru żadne inne w Europie nie mogło się równać: granice jego przekroczą odległą Dźwinę i Dniepr, a duch Kazimierzowskiego państwa i jego kultura staną się dla tych dalekich przestrzeni ewangelicznem ziarnkiem gorczycznem zachodniego obyczaju, europejskiej cywilizacyi.

Dziejopisarstwo nowożytnych czasów nie daje należytego nacisku na dwa pierwszorzędne fakty, a mianowicie, że Polski to za-

sługą posunęły się o dwieście mil na wschód granice właściwej, cywilizowanej Europy przez religijną i obyczajową propagandę, przez wprowadzenie zachodnich instytucyj; tudzież że niemiecki ustrój gminny i średniowieczna rycerskość według wzorów zachodnich przeszła przez Polskę poza Dniepr.

Siejba cywilizacyjna Kazimierza Wielkiego użyźniła przedewszystkiem krainę małopolską, chrobacką. Wychowankami politycznej szkoły Kazimierza są owi krakowscy możnowładcy, którzy w zawieruchach po śmierci Ludwika sterowali nawą państwową do wielkiego celu połączenia z Litwą, stłumili piastowskie zakusy swych wielkopolskich braci, wytargowali u litewskiego neofity Jagiełły świetne przywileje, a gromadząc bogactwa prywatne służbą wojenną i osadnictwem, posiedli rozstrzygający głos pod politycznym względem w sprawach państwowych, stając przeciw separatystycznym tendencyom Litwy i przeciw absolutystycznym zachciankom nowej dynastyi jagiellońskiej. Najświetniejsze czasy rozkwitu Polski, pogrom Zakonu niemieckiego pod Grunwałdem (1410), stłumienie ruskich separatystycznych zachcianek Świdrygiełły (1435), przypadają na tę dobę oligarchicznych rządów krakowskich panów, którzy umieją znakomicie użyć i wyzyskać świeżo pozyskane dzikie siły, nie dając się przytłoczyć ich zapędowi. Oligarchia ta dosięga swego szczytu w wykształconem, o tęgich charakterach duchowieństwie, a krakowski biskup i kardynał Zbigniew Oleśnicki był tym, który łącząc interes Polski z interesem katolickiego Kościoła, w ciężkich czasach utrzymuje Polskę z daleka od husytyzmu a potężnego księcia litewskiego Witołda od zamysłu wielkiego państwa słowiańskiego, animusz wojenny Polaków skierowuje przeciw Turcyi i prowadzi młodego syna Jagiełły, jako króla polskiego i węgierskiego, na pełne sławy, jakkolwiek niepomyślne, pobojowisko pod Warnę; on to pojął zadanie Polski przedewszystkiem jako katolizacyę i polonizacyę ruskiego i litewskiego wschodu, a do spełnienia go wymaga i osięga ograniczenie władzy królewskiej litewskich dynastów, unię kościoła greckiego z łacińskim, nieograniczoną niemal swobodę Kościoła i wolne, potężne stanowisko dla naczelników szlachty.

Jak w każdym kwiecie, tak też w tym rozkwicie państwa polskiego w pierwszej połowie XV. wieku, gnieździł się robak, zarodek śmierci. Ci, którzy przypisują anarchii upadek tego państwa, powinniby zapytać o przyczynę tej przyczyny, a znaleźliby ją może w szczególnych losach, jakie czekały na kraj Kazimierza zaraz po jego śmierci. Polska, zaledwie wyszedłszy z opłakanych stosunków

politycznego rozdrobnienia i zaledwie wszedłszy na szlaki zachodniej kultury, traci pod sobą polityczno-prawny grunt starodawnej dynastyi, dostaje władców, którzy ze swego punktu widzenia dalekimi byli od wszelkiego kontynuowania Kazimierzowskiego posiewu, których interes sprzeciwiał się wręcz interesom narodu. Polska, zaledwie nabywszy sama zachodni obyczaj, zostaje powołaną, ażeby objąć, chronić i zbliżać do zachodniej kultury te obszary wschodnie, które co dopiero złączyły się unią personalną w osobie królewskiej. Polska ima się rączo tego zadania, interes narodu oddziela się od królewskiego przywilejami i zdobyczami, kolonizujący szlachcic pospiesza na wschód z pługiem i mieczem, a z tych nabytków wyrastają świetne interesy dla mieszczaństwa, budząc zazdrość w szlachcicu; ale przepadł rozwój normalny, z tego olbrzymiego obszaru trzebaby dopiero wytworzyć olbrzymie państwo i to wśród okoliczności, które doprawdy mieściły w sobie istny *circulus vitiosus*. Dla państwa niezbędną jest jedność i ścisłość budowy, podczas gdy duszą pracy cywilizacyjnej w osadnictwie jest wolność i decentralizacya, przenośny ołtarz miłości ojczyzny, który o wielki ołtarz nie zwykł się troszczyć! A zatem można twierdzić nie bez donośnych przyczyn, że praca cywilizacyjna była temu winną, że ten olbrzymi obszar nie stał się olbrzymiem a groźnem dla Europy państwem, że polonizacyi towarzyszyła łagodna anarchia (zaciętych walk w Polsce nigdy nie było); ta praca cywilizacyjna, która ideami wolności musiała zwalczać wschodni absolutyzm, katolicyzm przeciwstawiała schyzmie, a wytwarzając na stepach społeczeństwo ludzkie i chrześcijańskie, za późno dopiero chciała uczynić zadość wymaganiom nowożytnego państwa.

Sceny tego dramatu rozgrywały się po największej części na ziemi chrobackiej, na Rusi zaś wynurzają się najliczniej przeszkody i trudności, które doprowadzają do tragicznego zakończenia to mocowanie się wieków historyi. Czy to przypadek? Nie, to tylko nowy dowód, że sprawa religijna tkwi na dnie wszystkich najdonioślejszych zagadnień dziejowych i socyalnych, a zwłaszcza na dnie problemu utworzenia państwa. Polacy są od r. 965 katolikami, Rusini, przyjąwszy chrzest przed powstaniem schyzmy wschodniej, popadają w nią r. 1054, unia florencka słabe tylko w Polsce zapuszcza korzenie, blizkość Wołoszczyzny oddziaływa wrogo dla unii na terrytoryum galicyjskiem, z chwilą potężnego wzrostu W. Ks. Moskiewskiego (z końcem XV. wieku) nastaje doba, w której nieprzejednany wróg polskiego ustroju państwowego staje na tyłach wewnętrznego

normalnego rozwoju, wyciągając rękę uzbrojoną w podwójny grecki krzyż, chciwą zaboru etnograficznej i religijnej granicy milionów Rusinów.

Druga połowa XV. wieku zastaje w Polsce króla energicznego, ale o tę ostatnią sprawę nie troszczącego się. Kazimierz Jagiellończyk, ożeniony z Elżbietą Rakuszanką, Rusin z mowy i obyczaju, a w postępowaniu swem wojenny książę litewski, był raczej przyjacielem niż wrogiem greckiego duchowieństwa, które łatwo uchylało czoła przed wolą władcy; zaniedbywał on sprawę unii, Nowogrod i Psków utracił do Moskwy, a zwrócony do spraw zachodnich odpłaca sobie za potulną rolę swego ojca i brata wobec polityki polskich możnowładców z Zbigniewem Oleśnickim na czele. Chce być panem samowładnym i zostaje nim, przywłaszczając sobie mianowanie biskupów, wyprowadzając drobną szlachtę do walki z możnowładztwem, zwołując sejmiki po prowincyach przeciw senatorskim *conventus generales*, zmierzając do parlamentu złożonego z posłów ziemskich, ażeby się pozbyć zbytniej przewagi oligarchów. Przewlekłe wojny i dążności dynastyczne, odzyskanie Prus, a pozyskanie Czech i Węgier dla najstarszych synów, wymagają wielkich nakładów pieniężnych; królewszczyzny wydzierżawia się w zamian za służbę wojskową, a potrzeba uchwalania podatków dała się wzmódz parlamentaryzmowi posłów ziemskich. Tego samego kierunku trzymają się synowie Kazimierza, Jan Olbracht i Aleksander, za radą toskańskiego humanisty Filipa Kalimacha Buonacorsi; szlachta ma być filarem tronu, ruskiego żywiołu używa się przeciw katolickiemu możnowładztwu na Litwie, ale ze złym skutkiem. Przedsięwzięcie wojenne przeciw Wołoszczyźnie zwala na Ruś Czerwoną wszystkie niedole i spustoszenia wojny tureckiej, Iwan Wasylewicz korzysta z zamętu powstałego na Litwie, ażeby wdać się energicznie w sprawy Rusi schyzmatyckiej, a parlamentaryzm stanowy, naśladując Czechy i Węgry, wprowadza zasadę *consensus omnium* w chwili (1505), kiedy zachodnia Europa zmierzała do ściślejszych form monarchii nowożytnej, pozbywając się średniowiecznego ustroju stanowego.

A do tego nastaje wiek reformacyi, wiek, który wstrząsnął tak gwałtownie podwalinami chrześcijańskiego społeczeństwa, kiedy wśród wielkiego poruszenia umysłów, wśród rozluźnienia istniejących podstaw moralnych tem większe groziło niebezpieczeństwo, żeby nie paść ofiarą złowrogiej anarchii, im niedostateczniejszą szkołę religijną przeszedł naród, im mniejszy zdołał też zebrać zasób politycznego doświadczenia. Biada ludowi, któremu dostało się w udziale, żeby

w wykolejonym wieku wydyskutować sobie należyty ustrój państwowy z takiej niedołężnej machiny parlamentarnej, jaką był parlamentaryzm stanowy polski z r. 1505.

To „biada!“ odnosiło się w pełnej mierze do Polski. Monarchiczne usposobienie Kazimierza Jagiellończyka i jego najstarszych synów nie mogło się państwu przydać, gdyż demoralizowało siły, które miały w zupełnej wolności pełno roboty, ażeby spełnić zadania cywilizacyjne w wielkiem państwie; wywołało ono inne siły, a mianowicie prostą szlachtę, która jednakże dużo potrzebowała czasu, zanim zdołała zrozumieć i objąć ogólniejsze interesy. Analogicznie do Czech i Węgier pojawił się w kraju ruch anarchiczny, który tamte dwa sąsiednie kraje doprowadził do nieszczęsnego zamętu za Ludwika Jagiellończyka i do katastrofy pod Mohacsem. Z trudem borykał się ze złem Zygmunt I.; pragnie wprowadzić porządny system podatkowy, uporządkować służbę wojenną, ustanowić stałe wojsko na kresach i nową kodyfikacyę; stacza z Moskwą ciężkie walki, zrzeka się na kongresie wiedeńskim 1515 r. rywalizacyi z dynastyą habsburską, poszukuje stałego pokoju z Turcyą; ale te dążności organizacyjne spełzły na niczem; duchowieństwo, złożone z dworskich żywiołów, prowadzi sobkowską politykę pozbawioną zasad, możnowładztwu zebrało się na demagogię, pozyskało ono stronników w szlachcie, a potworna kokosza wojna na Zboisku pode Lwowem (1537) wznawia gwałtowne sceny węgierskie z obozowisk pod Rakoszem i Hatvaniem. W najbliższym czasie zjawia się w Polsce ruch polityczno-religijny, zwany egzekucyą praw, który rozstrzygnął o losie jagiellońskiego państwa, o przyszłości kraju na wiek następny; było to wówczas, kiedy ukazały się pierwsze płomienie pożaru reformacyi, która od połowy XVI. wieku porywa gwałtownym prądem Wielko- i Małopolskę, podsycana zepsuciem duchowieństwa.

Pojęcia humanistyczne i reformacya wpłynęły na dzieje Polski w znacznie większej mierze, niż sobie to zwykle wyobrażamy. Znalazła niemały poklask owa gwałtowna reakcya przeciw średniowiecznej hierarchii kościelnej, której utorował w Polsce drogę Kazimierz Jagiellończyk i najbliżsi jego następcy; przewrót umysłowy, sprawiony na Zachodzie przez humanistów drugiej połowy XV. i pierwszej ćwierci XVI. wieku, szerzył się rączo z kwitnącego uniwersytetu krakowskiego, tudzież ze zwłoszczonego dworu Zygmunta I., ożenionego z księżniczką medyolańską, Boną Sforzą. Grono zagranicznych humanistów, Celtes, Mutianus, Bebelius, Eobanus Hessus, ociera się krócej lub dłużej o Kraków, w uniwersytecie

kwitną Wojciech z Brudzewa, Corvinus, Ursinus, Aesticampianus; za czasów studyów Mikołaja Kopernika, wielkiego reformatora astronomii [1]), włoski renesans (zamek krakowski, kaplica jagiellońska, sukiennice) wypiera sztukę niemiecko-gotycką, która w drugiej połowie XVI. wieku wydała znakomitego mistrza w osobie rzeźbiarza Wita Stwosza i pozostawiła po sobie w zachodniej Polsce znaczną ilość rzeźbionych tryptyków, obrazów i miniatur. Politycy Zygmuntowskich czasów mają na sobie piętno humanistyczne, które znać w ich pismach i poezyach, w portretach i nagrobkach; opieszałość w sprawach wiary i pewien liberalizm pozbawił wyższe, możnowładcze przeważnie duchowieństwo, wszelkiej moralnej podstawy podczas zawieruchy reformacyi. Ale nawet pierwsze przebłyski idei reformacyjnych znachodzą się przeważnie we formie włoskiej; luteranizm spotyka się w Polsce bardziej z zaczepkami, niż z przychylnością, pierwsze jego objawy w Gdańsku stłumia się surowo, może dla zakrycia grubej niestosowności, jakiej się dopuścili humanistyczni politycy Zygmunta, wynagradzając niejako wiarołomnego W. Mistrza Zakonu Albrechta Brandenburskiego, lennem księstwem w Prusiech za przejście na luteranizm (1525). Natomiast znajdujemy już w r. 1539 wyraźne ślady antytrynitaryzmu; spowiednik królowej Bony, Lismanin, nawiązuje stosunki z Leliusem Socynem i reformatorską szkołą Vicency. W znacznej ilości znajdują się już r. 1548 aryanie, Morawscy Bracia (z Czech) i kalwini obok szczupłej garstki luteranów. Gwałtowny ruch religijny schodzi się z politycznym, a rozkwit literatury łacińskiej i narodowej nadaje temu ożywionemu okresowi tytuł złotego okresu; był on jeszcze stosunkowo świetnym na zewnątrz i może wykazać mnóstwo interesujących osobistości. Wśród chwilowego zamięszania dostała się izba poselska pod kierunek wykształconych a ruchliwych reformatorów i oni nakreślili program egzekucyi praw. Dodatnie strony tego programu stanowią: bezwarunkowa łączność państwowa z Litwą, zwrot wydzierżawionych wielmożom królewszczyzn celem fundowania skarbu koronnego i zniesienia ustawicznych poborów, nadzór urzędów państwowych przez wybieranych eforów i uporządkowanie elekcyi. Odwrotną stroną jest rewizya przywilejów miejskich, zniesienie ceł ochronnych na obce towary, zaprowadzenie wolności handlowej na płody surowe, połą-

[1]) Rodzinę Kopernika (Koppernig) można spotykać w krakowskich księgach miejskich od r. 1362, ojciec jego otrzymał r. 1396 *Ius civile* (Libri antiquissimi civitatis Cracoviensis, ed. J. Szujski et Fr. Piekosiński, 1878).

czone z zakazem wywozu wyrobów krajowych za granicę; przez to producent-szlachcic wydał wyrok śmierci na bogatego mieszczanina i wprowadził politykę ekonomiczną, liczącą się z interesami jednego tylko stanu, szlachty. Nadto dla załatwienia sporów wyznaniowych sobór narodowy, dostępny dla duchownych i świeckich wszystkich wyznań, kościół narodowy z biskupami składającymi przysięgę tylko królowi, z nabożeństwem w języku ojczystym i małżeństwem księży; w tych punktach mamy szczyt programu, mieszczącego w sobie stanowisko króla podobne do stanowiska Henryka VIII. angielskiego, cofnięcie do greckiego schyzmatyckiego kościoła!

Rozplątanie gordyjskiego węzła tego programu przypadło na Zygmunta Augusta, małżonka dwóch księżniczek rakuskich (Elżbieta † 1545, Katarzyna † 1572), wychowanka włoskiego mistrza Siculego. Trzymany w oblężeniu przez reformatorów z całego świata, którzy — jak Kalwin, Melanchton, Socinus, Łaski, Vergerius — przedstawiali mu korzyści wzięcia na się zwierzchności kościelnej, napierany gwałtownie przez posłów ziemskich i wielkiego marszałka litewskiego, Mikołaja Radziwiłła (stryjecznego drugiej swej a jedynej kochanej żony), mając przy sobie episkopat niezdecydowany a po części sprzyjający nowinkom, obrał król drogę interimów i tolerancyi, wzywając reformatorów do jedności w rzeczach wiary, ale powtarzając zarazem pokilkakroć, że nie przywłaszcza sobie bynajmniej prawa do wydawania przepisów w sprawach religijnych. Wśród obojętności współczesnych na sprawy zewnętrzne baczył on dobrze na swego północno-wschodniego sąsiada, Iwana Groźnego. Główną jego troską było, ażeby go nie dopuścić do wybrzeża bałtyckiego; zdobywa Inflanty i stawia czoło Iwanowi. Ta polityka zewnętrzna nadaje ton wewnętrznej. Czyż miał dla kościoła narodowego na modłę grecką zdradzić katolicyzm i zachodnią kulturę, której państwo polskie zawdzięczało przecież swą *ratio existendi* i misyę cywilizacyjną na wschodzie? Czyż mógł mniemać, że zdrada ta skończyłaby się czem innem, jak gwałtownem poruszeniem żywiołów grecko-schyzmatyckich na rzecz cara moskiewskiego? Zygmunt był zbyt bystrym, żeby tego nie spostrzedz; toteż nie ociągał się ani chwili z przyjęciem ustaw trydenckich (1564) i odtąd sprzeciwia się wszelkim soborom narodowym i odrzuca konsens sandomierski, ułożony przez protestantów, kalwinów i braci morawskich (1570). Ta stanowczość i zerwanie z uśpienia katolickich żywiołów pod wodzą kardynała Hozyusza, rozstrzygnęły sprawę wyznaniową w Polsce; kraj pozostał na przyszłość katolickim.

Od roku 1562, kiedy król stanął na czele stronnictwa szlacheckiego, staje się o tyle tylko zadość politycznym i ekonomicznym wymaganiom izby poselskiej, o ile to było możebnem wobec splątania ich z żądaniami religijnemi. Litwę i Prusy złączono z Polską federacyjnie aktem unii 1569 r., prowincye ruskie przyłączono do Korony, szlacheckiemu systemowi wolnego handlu uczyniono zadość. Ewangielicy nie dali się nakłonić, zeby wzmocnić władzę królewską, uporządkować finanse i stworzyć należytą siłę zbrojną, żeby obmyśleć porządek elekcyi, co król z naciskiem podnosił, jako potrzebę niezbędną dla istnienia państwa. Król był bezdzietnym, nastawała elekcya; czyż oni mieli kuć silne berło dla przyszłego katolickiego władcy, oni, w mniejszości będący, którzy zawdzięczali doniosłe swe znaczenie tylko bierności katolików? Wolność była hasłem stronnictw, protestanckiego, żeby króla jak najbardziej ograniczyć, ażeby ustanowić *pax inter dissidentes de religione,* a katolickiego, żeby króla módz wybierać *viritim,* w niezliczonem mnóstwie głów prostej szlachty, która przecież była przeważnie katolicką.

Nad grobem ostatniego Jagiellończyka, który ostatnie swe lata strawił w opojeniu zakazanych rozkoszy, żeby w sobie stłumić polityczną rozpacz, ułożono dla Polski wśród gorączki pierwszej elekcyi konstytucyę, która miała ochronić stronnictwa religijne od prześladowania, ale też podkopała co się zowie przyszłość państwa. Nieograniczone państwo elekcyjne, król odpowiedzialny przed narodem, któremu w razie przekroczenia praw mógł naród skonfederowany wypowiedzieć posłuszeństwo, sejm wszechwładny, dla którego tyranem stać się mógł jeden poseł przez *liberum veto* (od 1652), a skarb koronny i armia zależne od uchwał takiego sejmu! Zaprawdę! Tylko niezmierną siłą wewnętrznej spójni cywilizacyjnej da się wytłumaczyć, że taki luźny ustrój państwowy przetrwał dwa wieki!

Nie było w Polsce nigdy ślepoty na skutki tej strasznej formy rządu. Wyborna literatura polityczna wykazywała błędy; kilkakroć (1576, 1588—1655) upatrywała znaczna liczba obywateli w Austryi jedyny sposób ocalenia. Dynastya Wazów (1588—1668), utrzymana przez naród przez trzy panowania, oddalała przez dłuższy czas zgubne skutki elekcyi. Każdy król szukał sposobów, żeby zmodyfikować błędy konstytucyi. Ale to się nie udało i to dlatego, że nigdy nie brakowało ani zewnątrz, ani wewnątrz kraju takich, którzy chcieli w mętnej wodzie łowić ryby i ponieważ zresztą najtrudniej jest ująć w ściślejsze karby naród, któremu dało się za dużo wolności.

Doprawdy jednak! w tej szacie Dejaniry, jak nazwać można ustawę elekcyjnego królestwa, spełniono niejedno, wiele, czego tylko mogły dokazać porywy wolnych sił. Forma była śmiertelną, z zarodem śmierci, a duch milionów szlachty, unoszący się od unii (1569) wszechwładnie nad całym obszarem, miał jeszcze dokazać cudów, miał trzema zwycięskiemi pochodami Stefana Batorego pchnąć Iwana Groźnego na sam brzeg przepaści (1583), miał zdruzgotać tron carów w nadzwyczajnej bitwie (pod Kłuszynem 1610), nie chcąc jednak i nie umiejąc zapewnić go własnemu królewicowi; miał prowadzić sześćdziesięcioletnią wojnę ze Szwecyą, a lat ośmdziesiąt z Turkami, zanim schyłek wieku zastał go wyczerpanym na siłach i dzielności moralnej. Druga unia, obmyślona na wielki pokrój, obejmująca całość schyzmatyckiego kościoła w Polsce, unia brzeska (1596) miała wznowić florencką i znieść schyzmę. Krew męczeńska św. Józafata Kuncewicza pieczętuje ją i wzmacnia; niemal równocześnie dosięga osadnictwo polskie najdalszych granic na stepach ukraińskich, w t. zw. Dzikiem Polu, setki siół i miasteczek składają się na latifundia, wśród których nikną odległe futory kozackie, a świetność i bogactwa polskich panów na Rusi nie mają sobie równych w całej Europie (przed 1648).

A tutaj, na stepie, czatuje Nemezis dziejowa. Kozak jest synem polskiej kolonizacyi na wschodzie, ale marnotrawnym. Krnąbrny chłop, szlachcic, zagrożony za różne sprawki wyrokiem grodu, mieszczuch zbankrutowany, Polacy i Rusini idą w świat, kupią się w wojenne gromady pod wybranym atamanem i wiodą swobodne, hulaszcze życie, napół rolnicze, napół wojenne, pomiędzy hordami Tatarów krymskich, osadami polskiemi a morzem Czarnem. Zamęt XVI. wieku i polska nieoględność pozwalają im wzróść, Stefan Batory chce ich zorganizować i wciągnąć w rejestry, dla Zygmunta III. są jużto pożądanym sprzymierzeńcem, który może przywieść całe baterye artyleryi, jużto groźnym buntownikiem, przeciw któremu trzeba wyprowadzić całe armie. Na lekkich, długich czajkach dadzą się oni przecież we znaki aż przedmieściom Stambułu, Synopie i Trapezuntowi, kompromitują dobre stosunki Rzpltej z Portą! Pozbyć ich się, jest wielkim interesem latyfundyów, niemożliwe z nimi uregulowane stosunki: schłopić ich! i stają się chłopami na mocy konstytucyi r. 1638. Ale nie każdy rozkaz na papierze obraca się w rzeczywistość. Na dnieprowych porohach powiewa na brzegu kozacki sztandar w kryjówce tataraku, wzniesie go mąż przeznaczeń. Jest nim Bohdan Chmielnicki, z mazowieckiego rodu szlacheckiego, wróg

panów stepowych za ciężką krzywdę, wezwany co dopiero przez króla Władysława IV., żeby wypłynąć z flotyllą na Czarne morze i wywołać wojnę turecką. Król Władysław jest tego zdania, że będzie zaszczytniej i korzystniej zrobić porządek z Turcyą, niż gnębić Kozaków! Ale Rzplta nie dopuszcza wojny; król umiera, a Bohdan Chmielnicki w przymierzu z hanem zgniata trzy polskie armie i bliskim jest zdruzgotania polskiego państwa.

Wszczyna się najstraszniejsza w XVII. wieku wojna, stacza się największe bitwy (pod Beresteczkiem r. 1650, razem obie strony 300.000 żołnierza). Schyzmatycki krzyż udziela błogosławieństwa kozackiemu sztandarowi, walka wyłącznie społeczna przybiera charakter religijny i narodowy. Z olbrzymiej walki same tylko szkody dla obu stron walczących: Kozacy stają się poddanymi „białego“ cara moskiewskiego! spada na kraj niewysłowiona niedola, wojska szwedzkie, brandenburskie, moskiewskie, siedmiogrodzkie przeciągają przez kraj, już dojrzały do rozbiorów: ale energia nieszczęśliwego króla Jana Kazimierza i powszechne powstanie narodu, dyplomatyczna i wojskowa pomoc Leopolda austryackiego, wzniecają nowe siły. Najpiękniejsze wawrzyny w wojnie moskiewskiej, świetna epopeja wojenna Jana Sobieskiego — są tym ostatnim błyskiem gasnącej lampy, który oświeca otoczenie swemi promieniami.

Galicya jest klasycznym terrenem ostatniego wielkiego bohatera polskiego, Sobieskiego. Kolebką jego jest Olesko, rezydencyami i willegiaturami jego Żółkiew, Piełaszkowice, Jaworów, pobojowiskami Podhajce, Lwów, Żórawno, Trębowla, Monasterzyska; miejscem haniebnego traktatu z Turcyą, który rozdarł swym mieczem, Buczacz; a Narol, Cieszanów, Komarno, Kałusz punktami owego nadzwyczajnego obrotu konnicy (1672), którym rozbił w puch cztery hordy tatarskie i uwolnił 20.000 jassyru. Z Krakowa wyruszył pod Wiedeń, pobłogosławiony przez dawnego swego profesora z uniwersytetu, Dąbrowskiego; przez Duklę powracał z kampanii węgierskiej, gdzie dwukrotnie walczył pod Parkanami. Klęcząc w krakowskiej katedrze przed ołtarzem królowej Jadwigi, odebrała jego małżonka, Marya Kazimiera, wiadomość o zwycięstwie wiedeńskiem wraz ze strzemieniem wezyra, które długo przechowywano w skarbcu kościelnym na Wawelu.

Sobieski był nietylko bohaterem wojennym, ale też politykiem starającym się zapewnić dynastyę krajowi, założyć stałą armię (piechota łanowa chłopska), uspokoić Ukrainę mądremi urządzeniami, a Ruś wzmocnieniem unii. Ale gorzki jest los wielkich ludzi w za-

niedbanych narodach, nie mogą oni być *propheta in patria.* Po śmierci królewskiej usunięto haniebnie dynastyę Sobieskich, owoce ze zwycięstw tureckich zebrał w pokoju karłowickim jego następca, Fryderyk August Saski, kandydat, który się zgłosił naostatku, ale licytował koronę najwyżej; wyniki polityki uniackiej Sobieskiego okazały się dopiero w r. 1720, kiedy dyecezye przemyska i lwowska przystąpiły do jedności rzymskiego Kościoła.

Grób ostatniego bohatera robi się boiskiem sąsiadów. Nurt dziejów natrafił jeszcze kiedyniekiedy w XVII. wieku na nerwowy opór w szlacheckim narodzie, ale w XVIII. pozostaje on biernym niemal widzem, kiedy wielka walka Karola XII. z Piotrem W. pustoszyła mu niwy, ażeby się zakończyć na pobojowisku Pułtawy. Ba, Kozak to, następca Chmielnickiego, Mazepa, poddany cara, chwycił za miecz w sprawie polskiej przeciw swemu panu, podczas gdy hetman polski Sieniawski na własną rękę robi się przyjacielem cara! Wyczerpanie jest cechą wieku. W środku XVIII. wieku wyłania się w Polsce ciekawa, szczególniejsza teorya: teorya słabości republikańskiej, jako gwarancya istnienia nadal. Nie jest ona tak całkiem wyssana z palca: Francya, która nie wahała się w zeszłym wieku sypnąć na pole elekcyjne wielkich kwot za swymi kandydatami Condé i Conti, rada była w r. 1735, że mogła przywłaszczyć sobie Lotaryngię pod pozorem polskiej wojny sukcesyjnej i zostawia na lodzie kontrkandydata Augusta II., Stanisława Leszczyńskiego, kandydata do tronu, który niósł z sobą najpiękniejsze zamysły reformatorskie, a był wybrany już poprzednio w r. 1732 niemal jednomyślnie. Dla honoru Francyi wystarczy, że Leszczyński, szwagier Ludwika XV., otrzyma Lotaryngię *ad vitae tempora!* Za trzydziestoletniego, ospałego i bezmyślnego panowania Augusta III., którego narzuciły Polsce moskiewskie bagnety i austryacka dyplomacya, posuwa się Francya o krok dalej; minister Choiseul wyraża się w instrukcyi dla warszawskiego posła: Polski jako państwa nie można brać *au serieux,* byle tylko zapobiedz, ażeby nie wzmocniła formy rządu i nie stała się przez to jabłkiem niezgody pomiędzy sąsiadami. W r. 1762 zmawiają się Rosya i Prusy celem utrzymania wolnej elekcyi i *liberum veto.*

„Polska nierządem stoi", tak rezonuje ogół szlachty w poczuciu swej słabości, upadku i rozpaczy; szlachta ta grupuje się na bezmyślne koterye dumnych, ale niezdolnych magnatów, wśród pozornego życia, politycznych zjazdów, wśród zamętu sejmikowego i trybunalskiego, używając biesiad i pijaństwa. Już w r. 1717 nie

cofnięto się przed tem, żeby Piotra W. wezwać na arbitra krwawej zwady z Augustem II., przeniesiono to na sobie, że doradził Rzpltej zmniejszenie armii, a w r. 1735 wzięto Augusta III. z moskiewskiej poręki! Z konstytucyi r. 1572 wypływały najdalsze konsekwencye, każdy rozumniejszy widział, że gotuje się przewrót: na tle polityki oświeconego stulecia, pozbawionej wszelkich zasad, należało się obawiać, że ten przewrót może się stać sygnałem śmierci...

Litewska książęca rodzina Czartoryskich, historycznie wypływająca na powierzchnię dopiero w drugiej połowie XVII. wieku, postanowiła wyzyskać dziką a wówczas dosyć anarchiczną siłę Rosyi do zamachu stanu w Polsce, opierając się o pomysły reformatorskie króla Leszczyńskiego. „Familii“ nie brak było rozumu, hartu woli ani środków, a Moskalami posłużyła się nie ona najpierw w kraju; programem ich było nabrać sił w sojuszu z nimi, urządzić kraj po europejsku i zrzucić potem opiekuństwo. Zamach stanu z roku 1764, który utorował drogę do tronu Stanisławowi Augustowi, kochankowi niegdyś carycy Katarzyny, był mistrzowskim pod względem politycznej roztropności, mądrego umiarkowania i znakomitych, dobrze obmyślanych zmian w ustroju państwa, które oddziaływały skutecznie na wszelkie stosunki, począwszy od urządzeń sejmowych i sądowych aż do zaniedbanych spraw miejskich. Ale pełna zdolności Katarzyna II. poznała się aż nazbyt wcześnie na tem, do czego zmierzają Czartoryscy i aż nazbyt wcześnie zbudziła się w społeczeństwie polskiem, nawskróś republikańskiem, zmora republik, zazdrość, ażeby stłumić reformę z temi samemi posiłkami, które jej miały służyć. Katarzyna udziela pomocy reakcyjnej konfederacyi radomskiej, jako protektorka dyssydentów pozbawionych wszelkich praw w katolickim narodzie, jako obrońca starej wolności; wszystkie niekarne, bezmyślne ale pełne fantazyi żywioły dawnej Rzpltej skupiają się, żeby się pozbyć Czartoryskich, ale armia rosyjska chce teraz urwać znów kawał polskiej wolności i dyktuje na sejmie 1767 r. stare, szkodliwe ustawy zasadnicze, poddając je gwarancyi carowej; opornych senatorów, nawet biskupów, wywiezie się w głąb Rosyi! Olbrzymia praca Czartoryskich przepadła, szlachta zawiedziona, zgryziona, doprowadzona do ostateczności, skupia się na obronę religii i wolności w konfederacyę barską. Wojna rosyjsko-turecka pozwala zaświtać nadziejom zewnętrznej pomocy, wynik jej świetny dla Rosyi wzbudza obawę Europy: Fryderyk Wielki był tym, który upatrywał jedyny środek przywrócenia równowagi europejskiej w rozbiorze Polski i pracował nad

tem z łakomą wytrwałością od r. 1769, strasząc Katarzynę Austryą, zachęcając Austryę do zaboru zachodniej Galicyi.

Nieszczęsne, rozpaczliwe postępki samej konfederacyi, detronizacya króla (w proklamacyi), zamach na niego w Warszawie, posłużyły za dowody nieuleczalnej anarchii, na usprawiedliwienie rozbiorów; szlachetna Marya Teresa ustępuje przed obawą powszechnej europejskiej konflagracyi. Pierwszy rozbiór przyniósł cesarstwu dzisiejszy obszar Galicyi bez Krakowa, ale za to z poddanemi dziś Moskwie miastami Zamościem i Hrubieszowem (5 sierpnia 1772 r.).

Społeczeństwo galicyjskie w ostatnim wieku.

Tragiczny był stan kraju, do którego wkraczały austryackie wojska pod wodzą generała Haddika. Wycieńczyła go pięcioletnia rozpaczliwa wojna podjazdowa, mająca podstawę operacyjną w forteczkach zachodniej Galicyi, w Tyńcu, Lanckoronie, Bóbrku i w krakowskim zamku, wyradzając się nazbyt często w bezcelową partyzantkę. Przemysł, handel, a nawet rolnictwo leżały odłogiem. Zwłaszcza średni stan szlachecki przypłacił cierpko udział w konfederacyi, magnaci wyszli przez rozbiory po większej części na *sujets mixtes*, lecz nie bez sympatyj dla państwa, w którego katolickiej i konserwatywnej dynastyi miano naturalny punkt oparcia, jakiego nie można było znaleść ani na dworze pruskim, ani na rosyjskim. Leżało to na dłoni, żeby z nowej posiadłości zrobić punkt zaczepienia dla daleko sięgającej polityki, a doprowadziwszy historyczne siły prowincyi do politycznego zdrowia, użyć ich do potężnego oddziałania na zakordonowych w myśl austryackiej polityki: możne domy Czartoryskich, Lubomirskich, Poniatowskich, Ossolińskich i Wielhorskich szukały oparcia w Wiedniu. Ale cesarz Józef II. zdawał się być całkiem niedostępnym dla tej myśli, postarał się o sojusz z Rosyą i obojętnie patrzał na rosyjską wszechmoc w reszcie Polski; Galicyę zaś, kraj pozostający w smutnym upadku skutkiem zaburzeń wewnętrznych, traktował jako pożądany terren dla swych filantropijnych reform. Utworzono ośmnaście okręgów, zniesiono mnóstwo klasztorów, królewszczyzny kolonizowano Niemcami, uporządkowano i umiarkowano obowiązki pańszczyźniane, założono uniwersytet niemiecki we Lwowie, niemieckie szkoły ludowe i gimnazya; w stosunkach ze szlachtą był cesarz grzecznym ale ironicznym, naśladując wzór Fryderyka

Wielkiego. Dygnitarzom Rzpltej nie skąpiono tytułów hrabskich i baronowskich, otrzymywali je nawet parweniusze; stara szlachta polska kontuszowa, z krzaczastemi brodami, wydawała się cesarzowi Józefowi horrendum przesądów, tyranem ludu, Azyatą niezdatnym do cywilizacyi.

A jednak było to straszną omyłką. W tym stanie ciężko doświadczonym, bogato uposażonym od natury, nie zamarły jego dobre przymioty i usposobienie może nawet subtelne; republikanizm nie zatarł w nim ani dynastycznego pierwiastku, ani chrześcijańsko-konserwatywnego, można go było przywieść do tego, żeby uznał w Austryi siłę katolicką wobec Rosyi i Prus. Lud wiejski nie był tu bardziej ciemiężony, jak w Niemczech w ostatnich dziesiątkach lat wieku XVIII., a szlachta dałaby się była skłonić, żeby z własnej woli poprawić jego dolę: ale uważała to za prowokacyę, że przyznano jej wprawdzie „zwierzchność dominikalną", ale pomiędzy nią a poddaństwo wstawiono adwokata dla poddanych (justycyaryusza) i władzę administracyjną okręgową. Józefinizm był dla żywiołu polskiego cierniem w oku, józefinizmem nazywają do dziś dnia w Galicyi germanizacyę, przesadę biurokratyzmu, duchowieństwo oddane ślepo rządowi. Odwrócono się od rządu w biernej opozycyi, nie widziano Polaków w służbie rządowej ani na urzędach, ani w wojsku. Plan prusko-polski z roku 1790, ażeby Galicyę na nowo przyłączyć do Polski, mógł tu oczywiście liczyć na silne poparcie. Leopold II., cesarz głębokiego zmysłu politycznego, wszedł na inne tory względem Galicyi; ale przedwczesna jego śmierć stała się sygnałem do drugiego rozbioru Polski (1793), w którym Austrya nie brała udziału. Cesarz Franciszek zostawił wszystko po staremu, w r. 1795 dostał przy trzecim rozbiorze Kraków i kraj aż do Pilicy i Lublina; w r. 1815, kiedy trzeba było odstąpić tych dwóch przybytków, nadał Galicyi reprezentacyę stanową z nader ograniczonym zakresem działania. Galicya pozostała w biernej opozycyi, interesując się żywo wszystkiem, cokolwiek się działo wśród braci za kordonem, szlachta służyła w legionach francuskich, legia generała Dąbrowskiego składała się z polskich zbiegów. Wyprawa księcia Józefa Poniatowskiego do Galicyi (1809) odsłoniła najlepiej stosunki krajowe: szlachta powitała radośnie francuski sztandar, podczas gdy arcybiskup grecko-katolicki Angełłowicz nakazywał ruskiemu ludowi pasterskim listem pospolite ruszenie, ażeby wypędzić Polaków! Ścisłe stosunki z Kongresówką sprawiły, że udział Galicyan w powstaniu 1830 r. przeciw Rosyi był bardzo liczny: cesarz Franciszek patrzał na to zresztą

przez szpary, i podobno wyraził się całkiem przychylnie o pierwszych polskich zwycięstwach, przed księciem Jabłonowskim, pozostającym w służbie austryackiej! Oddziały powstańcze, które złożyły broń na granicy austryackiej, traktowano względnie i wyprawiano po większej części za granicę przez Tryest; wielu wygnańców znajdowało aż do r. 1835 schronienie w kraju. Ale przeciwieństwo instytucyj krajowych z instytucyami ościennej konstytucyjnej Kongresówki, pełna chwały kampania 1831 roku i uznanie, które się dostało walczącym od liberalnej Europy, a wreszcie propaganda urządzana przez powstańców szukających schronienia w Galicyi i przez wysyłanych z Paryża emisaryuszów tak zwanego polskiego centralnego komitetu demokratycznego; to wszystko zmieniło stanowczo usposobienie szlachty i intelligencyi galicyjskiej. Nie był to już dawny bierny smutek i dawny gniew tłumiony po rozbiorach, ani też nie bohaterskie, jakkolwiek nie rokujące wcale przyszłości, wspomnienia legionów i wypraw napoleońskich: było to owo marzenie senne o powszechnym rewolucyjnym ruchu ludów przeciw tyranom wogóle, od którego oczekiwano odbudowania Polski w dawnych granicach. Podczas gdy szlachta, składając na ołtarzu narodowej sprawy swe konserwatywne interesa, dopomagała ze wszystkich sił emisaryuszom, którzy nie kryli się wcale ze swemi przekonaniami wrogiemi dla szlachty, intelligencya demokratyczna lubowała się obrazem przyszłej nowej Polski ludowej tem bardziej, że zamknięty był dla niej przystęp niemal do wszystkich wyższych urzędów w Galicyi, dostępnych tylko Niemcom i Czechom. Tem się tłumaczy, że w spiskach polskich brała udział także ruska intelligencya, a było to tak popularnem począwszy od szkół gimnazyalnych, że przyłączali się do podziemnego tego ruchu nawet synowie urzędników niemieckiego pochodzenia.

Żywioły zachowawcze spostrzegły niebezpieczeństwo, a stany z r. 1845 proponowały zniesienie poddaństwa; chciano odjąć rewolucyi to czarodziejskie hasło, po którem spodziewano się powszechnego ruchu na rzecz wskrzeszenia Polski. Ale w Wiedniu inaczej myślano i tak nastał fatalny rok 1846, powstanie w Krakowie i w zachodniej Galicyi, popierane niemal jawnie przez szlachtę, a zakończone rzezią z ręki galicyjskiego chłopa i wcieleniem Wielkiego Księstwa Krakowskiego.

Szlachtę i intelligencyę krajową opanowało bezdenne rozgoryczenie, zwiększone jeszcze procesami i skazywaniem *en masse,* gdy wtem rok 1848 położył koniec tym smutnym czasom!

Wyhodowany cichaczem liberalizm i ciemiężone długo uczucia narodowe wyszły na światło dzienne; skazańcy z więzień przeszli na publiczne stanowiska i wielu z nich zajmuje je do dziś dnia. Nie można się było spodziewać od ówczesnego ruchu ustalenia stosunków; przeciwieństwa narodowe były zbyt wielkie, żeby się zatrzeć i spłynąć w liberalizmie doktrynerskim i niemal naiwnym. W samej Galicyi plątał się coraz gorzej polityczny galimatyas; poważni mężowie, jak Helcel, ks. Jerzy Lubomirski, Zdzisław Zamojski myśleli o federacyjnem państwie słowiańskiem, podczas gdy inni, jak Smolka, Ziemiałkowski, Borkowski reprezentowali liberalną lewicę; równocześnie młodzież szła do węgierskiego powstania, rozjątrzona bombardowaniem Krakowa i Lwowa, a świeżo zorganizowane ruskie stronnictwo oświadczyło się przeciw narodowym dążnościom i ofiarowało swe służby reakcyi. Ministerstwo Bacha skręciło wreszcie na tory niekonstytucyjne, a w Galicyi kierowało się staremi józefińskiemi prawidłami. Ale dawne czasy minęły, a wielkie słowo: „zniesienie poddaństwa“ stało się w Galicyi czynem w r. 1848, a sam dziedzic wiejski, zmędrzały po tylu doświadczeniach, zachowywał się z pełnym taktu spokojem wobec wrogiego systemu; był już nieprzystępnym dla nieszczęsnego wpływu demokratycznej polskiej propagandy z Paryża. Ulepszony system szkolny, jakkolwiek się nie bardzo liczył z potrzebami narodu, wykształcał jednak bądźcobądź lepsze siły, a samo życie narodowe znalazło sobie w obszernej dziedzinie literatury i umiejętności dość sposobności, żeby się zadokumentować i wzmocnić. Podczas gdy literatura galicyjska aż do r. 1848 skąpe tylko wydawała owoce, a do rzędu gwiazd: Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, można było dostawić jedynego chyba Fredrę, komedyopisarza; odtąd stają na czele licznych mniej głośnych imion historycy: Szajnocha, Helcel, Dzieduszycki, Stadnicki, Bielowski, w krytyce Lucyan Siemieński, a w belletrystyce Z. Kaczkowski; krakowskie Towarzystwo Naukowe, pod przewodem Wężyka i J. Majera zdziałało dużo dla polskiej terminologii naukowej, ma zasługi świetne w dziedzinie archeologii i historyi. Od r. 1849 stał się Kraków punktem głównym kierunku narodowo-konserwatywnego, który wrogi wszelkim spiskowym doktrynom dążył do stopniowego postępu na podstawie religijnego wychowania; kierunek ten miał swych przodowników w Adamie Potockim, w Jerzym Lubomirskim i publicyście Maurycym Mannie.

Szczególną była sytuacya pierwszego Polaka w rządzie, hrabiego Agenora Gołuchowskiego. Prosty szlachcic z pocho-

dzenia, wychowanek Jezuitów w Tarnopolu, był Gołuchowski jednym z tych niewielu, którzy wstąpili do administracyi rządowej, a potrafił uchylić od siebie zupełnie niedowierzanie sfer wyższych, podejrzliwych aż nazbyt, gorliwą ścisłością w służbie, a potem demonstracyjnie nieraz nawet zaznaczając germanizacyjny kierunek, którego się też trzymał. Nie sama tylko osobista ambicya, ale głębsza myśl tkwiła w tej trudnej roli: Gołuchowski okazał się nieprzejednanym wrogiem rewolucyjnych tendencyj, które przez pewien czas zarzuciły pętelkę na polską szlachtę; liczył na to, że nadejdzie czas, w którym rozwój narodowy będzie mógł wejść na tory legalne. Pomawiano go o rozbudzenie rusczyzny, ale faktem jest, że w r. 1858, będąc namiestnikiem, wystąpił stanowczo przeciw zbyt rozległym pretensyom Rusinów. W r. 1859 powołany na stanowisko ministra spraw wewnętrznych, utorował drogę ugodzie z Węgrami i nowej erze konstytucyjnej (dyplom październikowy 1860); dawna jego niepopularność ustąpiła z czasem powszechnemu niemal uznaniu w kraju, na którego politykę wywierał niezmierny wpływ aż do śmierci, czy to na stanowisku namiestnika, czy to jako poseł sejmowy. Gołuchowski, będący przedewszystkiem praktycznym statystą, wniósł do swej karyery sporo dawnego ruchliwego żywiołu umiejącej sobie samej radzić szlachty polskiej ze starszych czasów; wyborny gospodarz, doszedł z czasem do imponującej fortuny. Umiał się obchodzić z niesfornemi żywiołami; surowo w razie potrzeby, a sarkastyczno-dobrodusznie, jeżeli to pomagało.

Tego szczęśliwego umiarkowania zabrakło w najbliższym czasie pod zaborem rosyjskim znakomitemu innemu mężowi, margrabiemu Wielopolskiemu, a nieopatrzność jego, gdy przeholował, połączona ze słabością i brakiem taktu żywiołów konserwatywnych, doprowadziła do nieszczęsnego powstania z roku 1863, od którego następstw krwawi się do dziś dnia zabór rosyjski. Fatalna teorya spisków z r. 1846 w Galicyi, przewędrowała przez kraj sąsiedni, a w imię jedności narodowej dostarczyła tam też Galicya podatku z mienia i krwi, aż stan oblężenia położył koniec samobójczym wysiłkom. Ministerstwem Belcredi'ego (1865) i sejmem owego roku rozpoczyna się najnowszy okres życia prowincyi, która miała wszelkie powody, ażeby skorzystać w jak największej mierze z doświadczeń braci z za kordonu. „Przy Tobie stoimy i stać chcemy“, wyraził się sejm galicyjski w adresie do cesarza, a od tego czasu dowiodła reprezentacya galicyjska we Lwowie i w Wiedniu, że w dążnościach jej stały się narodowemi dogmatami: więzy lojalności, mocarstwowe

stanowisko monarchii na zewnątrz, niewzruszone oddanie się cesarzowi i dynastyi. Przyznaje się już, że jestto niezbędnym warunkiem, żeby porzucić politykę fantastyczną, bujającą po obłokach, obejmującą naraz interesy trzech zaborów, a wejść na tory kierunku zachowawczo-reformowego, zastosowanego do okoliczności; warunkiem niezbędnym do ocalenia narodu, który niepomny właściwych przyczyn upadku swego państwa, zatrzymał do niedawna w szlachetniejszych niewątpliwie, ale niemniej zabójczych formach główną swą ułomność, *liberum veto* przedzierzgnione w *liberum conspiro,* szydząc sobie formalnie z otaczającej go rzeczywistości!

Wielkie zdobycze: język ojczysty w szkole, w urzędzie i w uniwersytetach krajowych, osobna Rada szkolna, autonomiczne rady powiatowe, dołączyły się wkrótce do obfitej miary wolności, którą całej monarchii nadawała konstytucya grudniowa. Są pewne trudności z większą wolności miarą w kraju za mało dojrzałym: ale autonomiczne dążności kraju ujrzały się też ukróconemi w grudniowej konstytucyi. Ta okoliczność sprowadziła uchwałę t. zw. rezolucyi sejmowej z r. 1868, domagającej się zmiany konstytucyi w duchu autonomicznym na rzecz Galicyi Niespokojne a gorąco kąpane dziennikarstwo miało aż nazbyt ochotę doprowadzić do ostateczności wynikłe stąd zawikłanie, wytworzyć z tej uchwały sejmowej istne *hic Rhodus, hic salta* dla polskich posłów w Radzie państwa; ale umiarkowani nie dali się stropić i dopiero przy wprowadzeniu wyborów bezpośrednich do Rady państwa nastało chwilowe zerwanie, załagodzone zawczasu powołaniem F. Ziemiałkowskiego do gabinetu i udziałem kraju w tychże wyborach. Wynik wyborów okazał dowodnie, że żywioł polski, jako siła polityczna, przeważył wszystkie inne, a w najbliższych czasach osiągnęła reprezentacya galicyjska w Radzie państwa to znaczenie, przez które polscy statyści: Alfred Potocki, Kazimierz Grocholski, Julian Dunajewski zajęli ważne stanowiska w rządzie Cislitawii. Poważanie i znaczenie polskiej delegacyi wzmocniło zwłaszcza zachowanie się Polaków podczas wojny wschodniej, pełne taktu i dbałości o dobro państwa.

Galicyanie, w stosunku swym do monarchii wolni od wszelkiego zarzutu, starali się gorliwie o to, ażeby kraj kroczył drogą zdrowego postępu. Robiło się i robi się dużo w zakresie dróg i szkolnictwa, nie szczędzono znacznych kosztów na szpitale, popiera się, o ile tylko można, z krajowego budżetu umiejętności, sztuki i przemysł. Cesarska Akademia Umiejętności w Krakowie, wielkoduszna fundacya monarchy (1872), stała się w kilku leciech ogniskiem nau-

kowem polskiego narodu. Rozkwit rodzimej sztuki z mistrzami Janem Matejką, H. Siemiradzkim, Brandtem i innymi, sprowadził założenie Szkoły sztuk pięknych w Krakowie. Potrzeby przemysłu kraju, słabo w tym kierunku wyposażonego, zaspokajają: Akademia politechniczna we Lwowie, szkoła techniczno-przemysłowa w Krakowie, szkoła rolnicza w Dublanach. Wielkie przedsiębiorstwa finansowe, wybudowanie kolei żelaznych Karola Ludwika, czerniowieckiej i brodzkiej, niejedna fabryka i instytucya kredytowa, zawdzięczają swój byt niemal wyłącznie inicyatywie byłego marszałka krajowego, ks. Leona Sapiehy, który pełen gorliwości, dla materyalnego rozwoju kraju zaryzykował nieraz śmiało znaczną fortunę, a zebraną niemal całą o własnych siłach (rok 1831 pozbawił go wszystkich dóbr dziedzicznych).

Nie da się zaprzeczyć, że istnieją liczne strony ujemne, które trzeba będzie w Galicyi naprawić z życzliwą pomocą rządu, jeżeli kraj ma wejść na tory wiodące ku lepszej przyszłości; niema czego taić, że są i takie, które tylko z trudnością naprawić się dadzą. Tak np. wschodnie położenie kraju i granica cłowa od wschodu każą uważać powstanie przemysłu na większą skalę za rzecz bardzo problematyczną, a konkurencya z resztą Cislitawii natenczas tylko będzie jako tako możebną, skoro ludność nabędzie wiadomości i technicznej wprawy, których dotychczas nie posiada, skoro przemysł drobny utoruje drogę wielkiemu przemysłowi. W Galicyi traci się rzeczywiście mnóstwo czasu napróżno, co wzmaga się jeszcze we wschodniej, ponieważ istnieją tu obok siebie dwa kalendarze, co też bardzo zgubny wpływ wywiera na szkolnictwo tej części kraju. Szczególna rzecz, że też warstwy kształcące się niechętne są technicznemu kierunkowi wychowania, humanistyczne szkoły średnie bardzo są uczęszczane i mnożą się, a szkoły przemysłowe, rzemieślnicze i handlowe nie bardzo prosperują; obawa o hyperprodukcyę intelligencyi jest wcale powszechną.

Dzięki rządowi, władzom autonomicznym i czasowi poprawiły się znacznie stosunki społeczne, naprężone po r. 1846 i 1848. Ale system administracyjny kraju polega na pewnej palliatywie, a mianowicie na wyłączeniu obszaru dworskiego ze związku gminy. Gmina, rządzona niegdyś przez dwór, składająca się nieraz z niewielu tylko „numerów“, t. j. chat, nie ma niestety ani funduszów, ani intelligencyi na tyle, ażeby wypełnić liczne obowiązki nałożone na siebie przez ustawę. Tamta fatalność sprawia, że „dodatki do podatków“ na koszta administracyi gminnej wzrastają czasami do nieskończo-

ności (30, 50, ba! nawet 100% podatków); ta zaś, że o tyle tylko istnieje po gminach policya sanitarna, szkoły i t. p., o ile się je z góry narzuci. Nie można się dosyć nachwalić szczęśliwego a towarzyskiego usposobienia polsko-ruskiego ludu w Galicyi, że przy obecnej organizacyi gminnej tak mało stosunkowo sprawia kłopotu władzom politycznym, ale też i właściciel obszaru dworskiego jest bądźcobądź wcieloną cierpliwością, że do zmiany tych stosunków nie zmierzał o wiele gwałtowniej, niż dotychczas.

W Galicyi niema mowy o bezpieczeństwie własności w polu, w zachodniem rozumieniu stosunków gospodarczych, i gdyby prowadzono w ogóle odnośne wykazy, w *debet* każdego właściciela większej posiadłości musiałby figurować znaczny procent tytułem strat przez szkody w polu. Ze względu na te materyalnie i moralnie smutne stosunki powstał też projekt reorganizacyjny, zwany wnioskiem Dunajewskiego, cieszący się ogólną popularnością w zachodniej Galicyi; zmierza on do połączenia kilku obszarów dworskich i gmin w jeden okręg administracyjny, pragnie połączyć wydziały powiatowe ze starostwami, wydział krajowy z namiestnictwem, jako władze współrzędne, znosząc od razu dualizm władz centralnych a autonomicznych, ażeby w ten sposób zapewnić krajowi energiczniejszą administracyę.

Od reformy stosunków gminnych, tudzież od sprężyściejszej i jednolitej administracyi, któraby łączyła żywioły rządowe i autonomiczne, możnaby się spodziewać w Galicyi usunięcia fatalności i niedomagań, które powtarzają się w tym kraju peryodycznie, wyrządzając też państwu olbrzymie szkody. Tutaj należą częste klęski głodowe, liczne choroby epidemiczne, zarazy bydlęce zawlekane z jednego miejsca na drugie. Lud galicyjski — to żywioł szlachetny i łatwy do rządzenia, ale za młody, ażeby nim rządzić za mało. Ale też wobec innych, intelligentnych warstw, byłaby owa reforma naturalnem uzupełnieniem gmachu społecznego ładu, znosząc do cna wszelki rozdział pomiędzy rządem a rządzonymi. Przeszłość Galicyi ma to do siebie, że godności autonomiczne, wybieralne, musiały popaść w pewnego rodzaju narodowe przeciwieństwo do władz rządowych; obsadzenie największej ilości posad rządowych krajowcami zmniejsza wprawdzie znacznie to przeciwieństwo, ale zniknąć ono może natenczas tylko, gdy autonomia i władze centralne, ściśle spojone, w zupełnej harmonii zaprzęgną się do służby pospolitego dobra. Podobny system samorządu i współrządu byłby w kraju dla każdego myślącego jak najbardziej pożądanym; dodałby on sposobności oczy-

szczenia żywiołu narodowego ze starego zarzutu anarchicznego usposobienia i „polskiej gospodarki“ *(polnische Wirtschaft)*, a nie szczędzono w Galicyi trudu i starań, ażeby to wykorzenić z charakteru narodowego.

Cokolwiek się pisuje po niemieckich i polskich dziennikach o stronnictwach w Galicyi, faktem pozostanie, że kraj uzyskał po długich a ciężkich doświadczeniach silne stronnictwo narodowo-konserwatywne, które umie panować nad sytuacyą. Od r. 1861 utrzymują się u steru politycy tych samych przekonań, a rozporządzają w sejmie i w Kole polskiem Rady państwa olbrzymią większością, której nigdy nie nadużywają. Gwardya stronnictwa jest w Krakowie i w Galicyi zachodniej, trzymając się ze wszystkich sił swych zasad nawet po zgonie swych dawnych szlachetnych przewodników, Adama Potockiego i Jerzego Lubomirskiego († 1874). Stronnictwo to, katolickie, narodowe, monarchiczne, a rozumiejące zarazem wybornie potrzeby kraju i swego czasu, pozostaje w najlepszem porozumieniu z wszystkiemi wybitniejszemi znakomitościami z pośród intelligencyi; *Czas* i *Przegląd Polski* są jego czasopismami. Dostała mu się nazwa Stańczyków od politycznej satyry p. t. „Teka Stańczyka“, gdzie potępiono z gryzącą ironią polską spiskomanię. Znienawidzeni długo na zabój przez radykałów narodowych i przez nich zaczepiani, tworząc w sejmie i w delegacyi wiedeńskiej mniejszość, krakowskie to stronnictwo umiało sobie pozyskać szacunek i przyjaźń zachowawczych żywiołów Galicyi wschodniej i toczy walkę z jawnymi wrogami i z fałszywymi przyjaciółmi, o tyle pomyślnie, że do wszystkich niemal reform w dziedzinie szkolnictwa i administracyi kraju przyłożyli oni niepoślednio ręki, a moralnym interesom kraju stało się zadość przeważnie wskutek naukowej działalności ich zwolenników. Ta skrajna prawica politycznego ruchu w Galicyi jest wreszcie i z tego względu ważną, że płynąc wprost przeciw prądowi popularności, wzięła na swe barki niewdzięczne zadanie, żeby w najdrażliwszych sprawach występować przeciw narodowej próżności i głosić przykre upominania ze względu na doświadczenia przeszłości. Ogół narodowo-zachowawczego stronnictwa skupia się około szlachetnej czysto polskiej postaci Kazimierza Grocholskiego, byłego ministra dla Galicyi, obecnie prezesa Koła polskiego w Wiedniu. Patryotyzm, bezwzględna prawdomówność i szczera natura tego męża, cenionego i ocenionego także zaufaniem monarchy, nasuwają najbliższe porównanie z Franciszkiem Deakiem, do którego też podobnym jest ze skromności i prostoty, przenikających całą jego

istotę. Nie brak jednak obok niego postaci ciekawych i tęgich charakterów, z pośród których wymieńmy niektórych dla przykładu: oto wysoce ukształcony i zdolny marszałek krajowy Ludwik Wodzicki; powagi w zakresie skarbowości: Henryk Wodzicki i Seweryn Smarzewski; oto jeden z najlepszych galicyjskich mówców, energiczny, znany też jako powaga w sprawach administracyi, prezydent miasta Krakowa, Mikołaj Zyblikiewicz; konserwatywny pisarz polityczny Paweł Popiel; płomienny, a dużo szczęścia mający mówca hr. Męciński; pogromca lichwy A. Rydzowski; powagi ekonomiczne Abrahamowicz, Krzeczunowicz, W. Badeni, Jan Stadnicki, Alfons Czajkowski, Filip Zucker [1]).

Do stronnictwa postępowego, którego wyrazem jest t. zw. klub postępowy sejmu lwowskiego, zaliczają się: wybitny mówca i statystyk Otton Hausner; zawołany pedagog, profesor uniwersytetu i członek Rady szkolnej krajowej dr. Euzebiusz Czerkawski; ekonomista T. Romanowicz; adwokat Marcelli Madejski. Stronnictwo to nie wydało dotychczas wyraźnego programu: nie mogą za program uchodzić separatystyczne dążności, które objawiali w wiedeńskiem Kole polskiem O. Hausner, L. Wolski i L. Skrzyński, a które zresztą należą już do przeszłości. Galicya nie należy w ogóle do krain nadających się do staczania walk odległego Zachodu: trzeba tu posprzęgać rzeczy stare z nowościami, chcąc kraj pchnąć naprzód, nie dać upaść dawnej szkole religijnej, a nowe żywioły ku praktycznemu wykształceniu pokierować i ażeby uzyskać postęp rzetelny, pozwolić kiedyniekiedy wdać się w tok spraw czynnej jakiej opiekuńczej dłoni.

Ten czysto praktyczny kierunek cechował też galicyjskich statystów, powołanych na widownię rządów, jakiekolwiek były może różnice ich osobistych politycznych i społecznych poglądów: Gołuchowskiego i Ziemiałkowskiego, hr. Alfreda Potockiego i Ludwika Wodzickiego, ks. Leona Sapiehę, hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego i dra Juliana Dunajewskiego. Najwybitniejsze indywidualności polityczne, żeby tylko przytoczyć Franciszka Smolkę i ks. Adama Sapiehę, obierały też drogę znacznych modyfikacyj, składanych w ofierze rzeczywistości. Ciekawa też rzecz, że obecny sejm, składający się niemal wyłącznie ze szlachty i intelligencyi, jest o wiele oszczędniej-

[1]) Niedawno został dr. Mikołaj Zyblikiewicz, jak wiadomo, mianowany marszałkiem krajowym; zasłużeni posłowie Rydzowski i Krzeczunowicz zeszli z tego świata.

szym w wydatkach, o wiele ściślejszym przy studyowaniu budżetu i sprawowanego przez Wydział krajowy zarządu, aniżeli sejmy starej daty, które liczyły do czterdziestu chłopów, zajętych głoszeniem oszczędności: widocznie jest się przejętym poczuciem odpowiedzialności wobec ogółu ludu, który się reprezentuje.

Ogromna większość polska w sejmie i w galicyjskiej reprezentacyi w Radzie państwa przywodzi nas do omówienia nader drażliwej sprawy, a mianowicie sprawy ruskiej. Zakreśliliśmy już jej podstawę w zarysie historycznym poprzednio podanym, tak, że teraz łatwiej będzie okazać jej strukturę. Ruś Czerwona jest ziemią kolonizowaną i cywilizowaną przez Polskę jeszcze od XIV. wieku, od tego czasu była ona prowincyą polską o mięszanej ludności, której większość zwano Rusinami od obrządku greckiego, do którego należała. Wznowienie schyzmatyckiej metropolii halickiej przypada na czasy Kazimierza W. Na najbliższe zaś potem czasy przypada zaprowadzenie hierarchii katolickiej z arcybiskupstwem lwowskiem i z biskupstwami w Włodzimierzu, Przemyślu, Chełmie, Kijowie, Kamieńcu, co według pojęć średniowiecznych wykluczało uznawanie ze strony państwa jakiejkolwiek innej hierarchii. Kierunek ściśle katolicki pierwszych Jagiellonów był niewątpliwie zwróconym przeciw kościołowi schyzmatyckiemu, a szczupłe w Galicyi owoce unii florenckiej z r. 1439 zmieniły niewiele postać rzeczy; metropolia halicka podupadła, o administracyę jej dóbr spierali się polscy starostowie i łacińscy biskupi lwowscy. Względna blizkość patryarchatu carogrodzkiego, wpływy Multan i Wołoszczyzny, a zwłaszcza niestrudzona działalność t. zw. stauropigii we Lwowie, sprawiły, że unia brzeska z r. 1596 nie miała znaczenia dla greckich dyecezyj lwowsko-halickiej i przemyskiej i że galicyjscy Rusini pozostali schyzmatyckimi aż do synodu w Zamościu 1720 r. Długotrwałe przeciwieństwo religijne nie pozostało też bez skutków. Szlachta greckounicka stopiła się wprawdzie do bardzo małej, nic nie znaczącej liczby, i lud nie okazywał ani śladu owych wrogich tendencyj, które objawiły się krwawo na Ukrainie w r. 1768, ale duchowieństwo ruskie żywiło widocznie głęboką nienawiść przeciw Polakom, skoro pierwszy gubernator Galicyi, hr. Pergen, mógł wskazać w niem dowolne narzędzie dla rządu (23 stycznia 1773). Z każdym nowym arcybiskupem ścieśniały się węzły łączące ruskie duchowieństwo z rządem, ale dążności ruskie nie wychodziły poza strzeżenie kościelnych i materyalnych interesów, do czego dołączyła się nader skromna działalność na polu literackiem. Dopiero od roku 1849, za

metropolity Jachimowicza, stanęła sprawa ruska na punkcie narodowej odrębności, okazało się nawet żądanie podziału Galicyi na część ruską i polską i od tego czasu, przybierając różne odcienie, sprawa ta, jako narodowościowa, nie zeszła już z widowni.

W rzeczywistości zatem ma się do czynienia z ruskiem duchowieństwem i z jego potomstwem; lud ruski przywiązuje się do niego z właściwą sobie religijnością, nie podzielając zresztą jego politycznych przekonań. Na nędznej, zwłaszcza w okolicach górskich, dotacyi, niełatwo wytrzymać księdzu obarczonemu rodzinnemi obowiązkami, ubóstwo robi zeń malkontenta, a codzienna walka o byt oddaje go w niewolę narodowej propagandy, której aż nazbyt wysługiwały się obie kapituły katedralne, w Przemyślu i we Lwowie. Z drugiej znów strony zważyć należy, że Rusini widocznie sami nie biorą na seryo swych domagań się o ruskie gimnazya, skoro kompletne ruskie gimnazyum we Lwowie nie przenosi liczby 300 uczniów, a nie zrobiono, jak wiadomo, nigdy [1]) użytku z prawa żądania osobnej paralelki z ruskim językiem wykładowym, gdzie w gimnazyum jakiem zbierze się do tego 24 uczniów. Tem głośniej i dobitniej odzywano się o ucisku ruskiego narodu, a szukając przyjaciół w Wiedniu, nie pogardzono też niestety pokrewieństwem duchowem z żywiołami, które należało uważać za stanowczo obce pod względem religijnym i politycznym, a nawet za wrogie. Wiadomo, że przymusowe a okupione rzęsiście krwią męczeńską odpadnięcie grecko-unickiej dyecezyi chełmskiej w sąsiedniej Chełmszczyźnie przypisać należy przedewszystkiem nieszczęsnej działalności biskupa Kuziemskiego, kanonika lwowskiego grecko-unickiego, który niegodnie pozostawił swą dyecezyę samej sobie, tudzież licznym księżom z Galicyi, szukającym pod rządem rosyjskim karyery za swą apostazyę. Jaskrawy ten fakt, następnie bezwzględne zachowanie się ruskich posłów w sejmie, kiedy tam była mowa o subwencyi dla zbiegłego z dyecezyi chełmskiej duchowieństwa, które pozostało wiernem Kościołowi, niemniej zachowanie się ruskich dzienników, życzliwych Moskwie a wrogich Polsce, wreszcie bardzo a bardzo wątpliwa prawowierność wielu ruskich pism ludowych, tudzież stosunki ruskiej młodzieży z rosyjskimi socyalistami; to wszystko wykazało przed światem dostatecznie niebezpieczeństwo tego kierunku polityczno-religijnego, który podawano długo i wcale zręcznie za przeciwwagę przeciw rzekomym polskim dążnościom. Ale mówiąc to, nie mamy bynajmniej na myśli

[1]) Pisane w roku 1881. *(Przyp. wyd.).*

odmawiać w Galicyi uprawnienia ruskiemu żywiołowi. O ile ten żywioł byłby szczerze przywiązanym do zachodniej cywilizacyi i rzymskiego Kościoła, o ileby z zupełnego przekonania dał się wieść obecnym władykom, którzy są przekonań ściśle rzymskich i austryackich, jak metropolita Sembratowicz i biskup przemyski Stupnicki, o ileby zdołał przechować skarb unii dla zakordonowej Rusi, której go odjęto; niechby dążył z pomocą państwa i kraju do wytworzenia odrębnej ruskiej narodowości, ruskiego języka piśmiennego i literackiego! Polityczna myśl ugody, głoszona przez ś. p. radcę sądowego Ławrowskiego, polegająca na wspólnem pożyciu w spokoju i zgodzie, ma najzupełniejsze uprawnienie. Pierwiastek intelligencyi ruskiej jest bogato uposażony; dowodzą tego świetnie tacy uczeni, jak A. Petruszewicz, Szaraniewicz, Ogonowski, jak pedagodzy Czerkawski i Sawczyński, taka znakomitość polityczna, jak M. Zyblikiewicz, Rusini z rodu i obrządku; oba krajowe uniwersytety posiadają wybitne siły narodowości ruskiej, a gdzie zawiść narodowa nie posiała chwastu, wydał amalgamat żywiołu ruskiego z polskim najpiękniejsze owoce. Najznaczniejsze rody krajowe: Sapiehów, Sanguszków, Potockich, Dzieduszyckich, szły wytrwale za tem hasłem, trzyma się go stronnictwo t. zw. krakowskie, zdaje się, że i rząd teraz je podziela, a podnosząc wobec Polaków i Rusinów zasadę przynależności państwowej, mógł zebrać podczas ostatniej świetnej podróży cesarskiej sporo dowodów, że nie brak tu tego poczucia. Z polskiej strony byłoby bądźcobądź pożądanem większe zbliżenie towarzyskie do ruskiej intelligencyi i większe zajęcie się kościelnem i literackiem życiem Rusi, ażeby niesnaski obydwóch narodów zaliczyć można było jak najrychlej do przeszłości.

Duchowieństwo ruskie różni się od łacińskiego zasadniczo zwłaszcza tem, że pochodzi wyłącznie z rodzin księżych i mało się odnawia z warstw ludowych. Łacińskiemu dostarczają największego kontyngensu okolice górskie; przysłowie polskie mówi: „kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie“. Szlachta i mieszczaństwo niewielu dostarczają księży, co widocznie szkodliwie wpływa na Kościół w Galicyi. Ilość łacińskich klasztorów w Galicyi dosięga pomimo licznych kasat całej setki, a ruskich (bazyliańskich) jest zaledwie szesnaście. W najnowszym czasie wzmogło się znacznie życie religijne, z Krakowa; nowe domy Jezuitów, Zmartwychwstańców, Urszulanek i Felicyanek zatrwożyły liberalne dziennikarstwo, podczas gdy dziennikarstwo zachowawcze z samej natury rzeczy musiało patrzeć chętnem okiem na wzrost katolickiego pierwiastku w kraju

granicznym, bardzo pod tym względem zagrożonym. Z głęboką wdzięcznością powitano reorganizacyę, zaokrąglenie i obsadzenie biskupstwa krakowskiego, co też uważać należy za szczęśliwy okres w religijnym rozwoju kraju.

Staraliśmy się całkiem otwarcie scharakteryzować dobre i złe strony galicyjskiej szlachty. Na tem miejscu niech nam będzie wolno dodać, że zachodzą zasadnicze różnice pomiędzy typami szlachty na wschodzie a zachodzie, dzięki bliskości obydwóch punktów środkowych, Krakowa i Lwowa, odmiennym stosunkom ekonomicznym i podwójnemu gruntowi etnograficznemu. Nie mówiąc o rodach magnackich Potockich, Lubomirskich, Czartoryskich, Sapiehów, Dzieduszyckich, których latyfundya rozciągają się na wielkich obszarach, prześcigając o wiele drobne księstwa niemieckie, — można oznaczyć średni stosunek większej posiadłości w Galicyi zachodniej do wschodnio-galicyjskiej, jak się ma 500 do 2000 morgów, a przez to samo jest też gospodarstwo w zachodniej Galicyi o wiele intenzywniejsze i połączone z większą osobistą ingerencyą dziedzica, tem bardziej, że wydatność gruntu jest o dużo mniejsza. Mamy też obok poważnego spokoju zachodniego Galicyanina, połączonego nieraz z troskami, animusz obywatela wschodu, jakiś staroszlachecki, często gęsto skłonny do wybryków; stosunek tamtego do chłopskiej chaty jest nowożytnym, podczas gdy ten zdołał jeszcze dochować resztkę stosunku patryarchalnego. Na zachodzie skupiają się w imię samych zasad politycznych, na wschodzie raczej stanowo, około osób wybitnych przewodników. Malownicza rozmaitość polskich typów szlacheckich kulminuje w typie jeźdźca z czarnem lub ciemno-niebieskiem okiem, z zuchwałym nosem orlim, z wąsem w łuk niemal zatoczonym, który to typ zyskując na tuszy w późniejszych leciech zwykł przypominać twarz Sobieskiego: za przeciwieństwo uważać można wyrazisty typ Milczka w klasycznej komedyi Fredry „Zemsta za mur graniczny“: nerwowy, szczupły a cięty. I psychologicznie odnaleść łatwo te typy: gorąco kąpaną a szczerą naturę tamtego, ulegającą łatwo zapałowi i wzruszeniu, waryacką w uniesieniu, lub rozpływającą się w smutku, obok usposobienia skrytego, wytrwałego, po większej części oszczędnego, drugiego typu, dochowującego z jednaką energią przyjaźni i nieprzyjaźni. Obydwa typy mają wiele przymiotów wspólnych: religijność opartą bardziej na uczuciu niż na pojęciach, a nie wolną od dowolnego eklektyzmu, zamiłowanie do monarchizmu i idei dynastycznej, ale bez zrywania z popularnemi wymaganiami liberalnego państwa, gorący patryotyzm, od roku 1863

szczęściem już przezorniejszy, który zerwał jak najdobitniej z dawnemi spiskowemi robotami, łącząc się natomiast głośno z realną pracą około rzeczywistości. Straciła też dawną społeczną drażliwość owa demokratyczna zasada, równająca szlachcica z magnatem, która wydała przysłowie o szlachcicu na zagrodzie, równym wojewodzie; magnaci, wyposażeni po większej części pięknemi cnotami obywatelskiemi, zaznają poszanowania bez dawniejszego płaszczenia się i mogą liczyć na słuszne polityczne poparcie. Do zdobyczy moralnych ostatniego czasu należy wreszcie gromadny niemal udział szlacheckiej młodzieży w służbie rządowej i wojskowej, co oczywiście podniesie poziom politycznego wykształcenia szlachty. Ale przyszłość tego stanu, tak ważnego pod względem narodowym, tej ostoi dawnych tradycyj historycznych, zależy jednak przedewszystkiem od tego, czy się utrzyma na dziedzicznej ziemi, a pod tym względem widok przyszłości przedstawia się ponuro Wielka własność obciążoną jest długami poprzez połowę swej wartości, ciężki ekonomicznie stan rolnictwa w Cislitawii staje się tedy tem cięższym dla Galicyi, zastosowanie się do nowych stosunków gospodarczych będzie wymagało wielu jeszcze ofiar i przerzedzi jeszcze bardzo szeregi dawnej, pełnej fantazyi, szlachty.

Sowicie to się wynagradza ochoczością innych zamożniejszych i intelligentnych warstw do przejmowania szlacheckiego obyczaju. Polska, jak o tem była mowa, zatraciła niemal całkiem stan mieszczański; wątłe resztki tworzyły szczupłą warstwę, naśladującą od wieka obyczaj szlachecki, a od rewolucyi francuskiej zrobiły nowe idee z poziomu tego obyczaju demokratyczny poziom dla całego społeczeństwa. Spogląda się na szlachcica krzywo, nie bez społecznej niechęci, ale jego kontusz i elegancka suknia jego żony służą za wzór, uprawia się gościnność po szlachecku, a za Eldorado uważa się, żeby sobie kupić wioskę po wielu latach spędzonych w mieście w urzędzie, w handlu lub przemyśle!... Smutne wynagrodzenie! Każdy myślący w Polsce i w Galicyi wolałby, żeby powstał pełen świadomości stan mieszczański, szanujący sam siebie, poprzestający na miernem, a dumny ze swej pracy i prostoty. Ba! kto wie, czy nie główną przyczyną, dla której handel i przemysł nie mogą się w Galicyi przyjąć, jest ta właśnie okoliczność psychiczna, ta olbrzymia przewaga szlacheckiego obyczaju nad wszelkim innym, co wprawdzie pomnaża widocznie i uzupełnia narodowe żywioły, ale odejmuje społeczeństwu ową warstwową złożystość, właściwą społeczeństwom zachodnim. Tak też pośród galicyjskiego mieszczaństwa

znaleść można przez dziwną historyczną metempsychozę wiele charakterystycznych cech politycznego życia dawnej szlachty, owo zamiłowanie do hałaśliwych zebrań i demonstracyj na wielką skalę, do burzliwych *votów* zaufania i nieufności, o czem mógłby lwowski ratusz opowiadać dużo w guście Arystofanesa, a co urządzają teraz ruchliwi dziennikarze na miejscu dawnych szlacheckich agitatorów-rębajłów.

Wspomnijmyż przy końcu tego szkicowanego zarysu galicyjskiego społeczeństwa o kobietach polskich, o których, jak wiadomo, mówiono niemal tyleż dobrego, ile złego o ich mężach. W narodzie, do którego miałoby się zupełne prawo odnieść odyssejski epitet πολύτροπος, posiadają towarzyszki życia wiele z cnót Penelopy, zwłaszcza ową samodzielność i ten wyborny takt, który się zdobywa w ciężkiej walce z losem. Żywe a nie namiętne, energiczne a ofiarne, gdy trzeba, wzbudzające szacunek, a w decyzyi nieraz bardziej od mężów zdeterminowane, łatwo ulegające zapałowi i nerwowej ekstazie, mają one niezmiernie ważną rolę w prądach opinii publicznej. Uważają bardzo na obyczajność i wytworną ogładę; niemniej na stronę zewnętrzną. Nie będąc kokietkami, pilne i oszczędne, zasłaniając wady mężów własnemi zaletami gospodarskiemi, robią jednak, co tylko w ich mocy, żeby zachować *decorum des chatelaines* i uczynić zadość owemu poziomowi szlacheckiemu. Gorące patryotki, biorą czynny udział w życiu narodowem, ale swoją drogą stoją upornie przy francuskim obyczaju i języku towarzyskim, który stał się panującym przed mniej więcej stu laty. Będąc dobremi matkami, nadają pokoleniom religijne i moralne podstawy wychowania, podatnego do wszystkiego, co szlachetne; w późniejszym wieku stają się zwykle słabemi i pobłażliwemi dla ugładzonych ulubieńców obojej płci. Wykształcenie ich, odebrane po większej części po klasztorach, wyposaża je w czułość na wszystko, co piękne i dobre, w ostatnim czasie popróbowano szczęśliwie kierunku praktycznego. Niewiele szczęścia mają u Polek nowożytne pomysły emancypacyjne: one są i tak niemal zawsze paniami w mężowskim domu, bo mężowie ci nie pozwolą się prześcignąć żadnemu narodowi europejskiemu pod względem galanteryi dla pań.

Życie towarzyskie w Galicyi, przed jakiemi dwudziestu laty ożywione bardziej po wsiach, niż w miastach, przeniosło od tego czasu ogniska swe do dwóch stolic krajowych i miast prowincyonalnych, bo na wsi rzadko starczy na szumne życie. Homeryczne biesiady szlachty sandeckiej i sanockiej, na których nie brakło węgrzyna

Ze statystyki i kultury, cyfry i fakta.

Od r. 1873 istnieje w galicyjskim Wydziale krajowym biuro statystyczne, którego obowiązkiem jest mieć dla sejmu przygotowane cyfry i statystyczne zestawienia do rzetelnego obrazu kraju. Ze statystycznych roczników monarchii i z dosyć licznych wydawnictw tego krajowego biura czerpiemy, co następuje:

Galicya ma 1364·06 mil kwadratowych austryackich, a zatem obszar przewyższający wszystkie kraje reprezentowane w Radzie państwa. Według spisu ludności z r. 1869, ma mieszkańców 5,444.689, a zatem 3972 na milę kwadratową; gęstość ludności wynosi: w powiecie wielickim 7444, w tureckim 2154 na mili kwadratowej. Galicya zajmuje w ogóle co do gęstości zaludnienia piąte miejsce w tej połowie monarchii: Ślązk 5684, Czechy 5654, Morawy 5178, austryackie arcyksięstwa i Salcburskie 4180, Galicya 3972. Ludność ta osiedloną jest w 6135 wsiach, na 4295 obszarach dworskich, w 230 miasteczkach i 83 miastach, z których dwa mają przeszło 50.000 mieszkańców (Kraków 56.000, Lwów 87.000), trzy zaś przeszło 20.000 (Tarnów, Tarnopol, Brody). Wzrost ludności nieznaczny: 1·49%. Stosunek obojga narodów zgadza się z cyframi obojga kato[illegible]obrządków: 2,509.015 mieszkańców rzymsko-katolickich, [illegible]grecko-katolickich; ponieważ zaś wielu greko-katolików [illegible]o Polaków, a Ormianie (przeszło 2100) także za Pola[illegible]ważają, więc Polacy mają znaczną większość w kraju, [illegible]niejszym wykazom statystycznym. Ilość Niemców wynosi [illegible]w przeszło 10% ludności [1]).

[illegible]ności z dnia 31 grudnia 1880 wynosiła cała ludność [illegible] przyrost wobec ludności z r. 1869 wynosił 508.481.

[illegible]ini.

Grunt produktywny obejmował w r. 1876 w większej własności: 1,584.850 morgów roli, 374.416 łąk, 299.448 pastwisk, 3,290.060 lasów, 224.235 rozmaitej innej gleby; w mniejszej własności: 4,654.242 roli, 1,229.163 łąk, 1,036.766 pastwisk, 383.091 lasów, 552.730 innej gleby; razem 13,629.001 [1]). Z tego obszaru wypada na pszenicę nie więcej jak 8·73%, na żyto 16·39%, na jęczmień 11·91, owies 18·82, na kukurudzę 1·51 (tylko południowowschodni pas kraju w dół od Brzeżan), 8·93 na ziemniaki, 2·99 na koniczynę a 19·58 na ugor (trzypolówka, zwłaszcza w Galicyi wschodniej). Żniwo wydawało przeciętnie w latach 1870—1875 pięć milionów niższo-austryackich mierzyc („Metzen") pszenicy, 9 milionów żyta, 8 milionów jęczmienia, 14 milionów owsa, 1 milion kukurudzy, 46 mil. ziemniaków, 5 mil. centnarów wiedeńskich koniczyny, 32 mil. siana łącznego. Wartość ogólna produkcyi rolniczej (włącznie z drzewem opałowem, budowlanem i fabrycznem) oblicza się na 265 milionów złr. a. w. Najdotkliwszemi plagami większej własności są: brak sił roboczych i wielka ilość dni świątecznych (w greckim obrządku 165), obok lichej policyi polowej i niedostatku tak niezbędnej komasacyi pól; absolutna podzielność mniejszej własności sprowadza częściowo jej upadek. Ilość odrębnych gospodarstw, mających wszystkiego i wszelkiego gruntu razem mniej niż 5 morgów, wynosi 350.000, a nie jest bez wewnętrznego z tem związku ilość licytacyj mniejszej własności, które mnożą się przerażająco: w r. 1867 było tylko 164 subhast w 130 osadach, w r. 1874 już 1026 w 633 osadach, a w roku 1879 już w 1493 osadach było ich 3164. Dwie trzecie tych liczb wypadają na wartość szacunkową niżej 1000 złr., a zatem na najdrobniejsze posiadłości; największa

Zaludnienie Krakowa wzrosło o 32·6%, a Lwowa o 26·5% (w Krakowie 66.095, we Lwowie 110.250). Ubytek ludności okazał się w powiatach: bocheńskim (3·7), dąbrowskim (1·1), pilznieńskim (7·4); największy zaś przyrost w powiatach: złoczowskim (22·2), żywieckim (17·1), w trębowelskim (16·1), zbarazkim (14·5), w husiatyńskim (14·7) i kamioneckim (14·1). Co do płci było 49·13% mężczyzn, 50·87% kobiet. Pod względem wyznaniowym jest 2,689.004 rzymsko-katolików, 2,516.512 greko-unitów, 2539 ormiańskich katolików, 24 staro-katolików, 872 schyzmatyków-dyzunitów, 36.077 wyznania augsburskiego, 3447 helweckiego, 72 anglikanów, 699 mennonitów, 16 unitaryuszów, 685.942 Żydów, 72 bezwyznaniowych. Językiem towarzyskim był u 3,053.634 język polski, ruski u 2,550.909, a u 318.248 niemiecki.

[1]) Ostatnia reambulacya katastralna wykazała, że wypada 193.138 morgów ogrodów, 6,600.778 roli, 1,540.302 łąk, 1,239.317 pastwisk, 53.361 połonin, 3,521.978 lasów, 447.974 innej gleby, a 34.706 stawów i moczarów.

część obligów dłużnych dotyczyła drobnych kwot pomiędzy 10 a 100 złr., co jest jaskrawym dowodem zubożenia rozdrobnionej mniejszej własności.

Złe skutki absolutnej podzielności dają się we znaki także hodowli bydła. Od r. 1869, kiedy doliczono się na milę kwadratową 511 koni, liczba ta bardzo zmalała, co jednak przypisać trzeba ubocznie także powstaniu trzech kolei żelaznych podkarpackich. Pomimo to dzierży Galicya prym w Austryi co do hodowli koni, ma 103 stadnin, po większej części we wschodnich powiatach, a dostarczają one wybornych koni do wojskowej jazdy i pociągów. Właściwa rasa polska, mocnej budowy, z dużą głową, wytrzymała, znajduje się jeszcze w okolicy Skałatu, Husiatyna i N. Sącza, huculki mogą uchodzić za drugą rasę. Bydło (1526 na milę kwadr.) szlachetniejszych ras (berneńskiej i holenderskiej) hoduje się w zachodniej Galicyi, a na Podolu i Pokuciu oryginalna rasa siwych wołów. Bardzo znaczną jest hodowla owiec i nierogacizny. Na targi zachodnie dostarcza się rocznie około tysiąca szlachetniejszych koni i około stu tysięcy wołów wypasowych. Znaczne artykuły handlu stanowią skóry (niewyprawne), masło, puch i jaja. Liczy się w Galicyi 218.492 ulów, których ilość zwiększyła się widocznie od r. 1857, kiedy w Przemyślanach założono szkołę bartniczą. Rybołostwo od kilku dziesiątek lat w wielkiem zaniedbaniu, właściwe gospodarstwa rybne znajdują się tylko na samym zachodzie, sztuczną produkcyę ryb utrzymuje się w Krzeszowicach i w Krasiczynie; w ostatnim czasie założył dr. Nowicki, profesor zoologii w uniwersytecie krakowskim, stowarzyszenie celem rozwoju hodowli ryb, które posiada liczne filie.

Prowincya kryje w swem łonie bogate skarby. Nie będziemy się wdawać w opisy cudów olbrzymich salin wielickich i bocheńskich, których wydatność dostarcza rocznie $2^1/_2$ miliona centnarów soli. Wschodnia Galicya posiada również pokłady solne w Kałuszu, w Kosowie i Stebniku, warzelnie w Lacku, w Drohobyczu, w Bolechowie, Delatynie, Dolinie i w Łanczynie. Zachodnia Galicya ma 11 kopalń węgla (wszystkie w chrzanowskim powiecie); brunatny węgiel znachodzi się w powiatach: pilznieńskim, rzeszowskim, żydaczowskim, kołomyjskim i śniatyńskim, ale z tych kopalń nie użytkuje się należycie. Produkcya wynosi $4^1/_2$ miliona centn. węgla kamiennego, a około $1^1/_2$ mil. brunatnego. Kopalnie rudy żelaznej upadły po większej części, produkuje się jeszcze około 70.000 centnarów surowego żelaza. Siarki dostarczają Swoszowice pod Krakowem

(16.000 centn. rocznie), galmanu i cynku 11 kopalń powiatu chrzanowskiego. Galicya posiada też marmur (w krakowskim powiecie), porfir (w chrzanowskim), alabaster (Brzozdowce, Mielnica, Skałat), wyborne rodzaje kamienia młyńskiego i budowlanego; to wszystko wyczekuje kapitału i umysłów przedsiębiorczych.

Wreszcie okazała się Galicya najbogatszym w Europie krajem w naftę. Dopiero w r. 1850 poczęto zwracać baczniejszą uwagę na te skarby, a w r. 1875 było już w ruchu 63 kopalń nafty w powiatach: sandeckim, grybowskim, gorlickim, jasielskim, krośnieńskim, brzozowskim, sanockim, lisieckim, staromiejskim, samborskim, drohobyckim, dolińskim, tureckim, bohorodczańskim, kołomyjskim. Najznaczniejsze kopalnie ropy są w Borysławiu pod Drohobyczem, gdzie na przestrzeni 150 morgów jest 12.000 studzien, przedsiębiorców większych 75 a mniejszych 179 i około 10.500 robotników. Istna Kalifornia galicyjska z całą grozą *auri sacrae fames!* Wywóz wynosił w roku 1871 podobno 6870 centn. nafty, ale z wszelką pewnością okaże się on znacznie wyższym po wprowadzeniu porządku w stosunki borysławskie.

Ilość przemysłowców w Galicyi wynosiła w roku 1857 2·2% ogółu ludności, w r. 1870 postąpiła na 3·3%. Hut żelaznych liczy Galicya 14; ta gałąź przemysłu coraz się zmniejsza. Są 3 huty miedziane, jedna odlewarnia mosiądzu (we Lwowie), jedna fabryka siarki (Swoszowice), 35 destylarń nafty, 12 fabryk parafiny, 200 ceglarń, 5 fabryk kamionki i fajansu, 24 hut szklannych. Tartaków jest 308, fabryk posadzek dwie (znakomite); fabryk potażu 18, młynów parowych 22, wodnych i wiatraków koło 2000, piekarń parowych 5, cukrowni 5, olejarń 7. Potężnie się rozrosło gorzelnictwo i piwowarstwo. W latach 1877—1878 wynosiła ilość browarów 224, które produkowały (w r. 1877) 507.828 i (w r. 1878) 502.024 hektolitrów ogólnej wartości na te dwa lata złr. 3,825.604 i 3,302.792; najznaczniejsze browary są w Żywcu, w Tenczynku, w Krakowie, Okocimiu, Wojniczu i w Krasiczynie. Ilość gorzelń zmniejsza się od r. 1875 (637—518 na rok 1878), zwłaszcza w Galicyi zachodniej; produkcya dosięgała w r. 1878 21½ miliona hektolitrów.

Galicya posiada 10 fabryk sukna, z tego 7 w Białej; większych fabryk skór 5, papierni 3. Machin rolniczych dostarcza 19 fabryk, co nie wystarcza na potrzeby krajowe, podobnież nie wykluczają przywozu z zagranicy krajowe fabryki sztucznego nawozu (3 na nawóz mineralny, 8 na mąkę kościaną).

W Galicyi znajdzie się i poza miastami z dawnych czasów

uprawiane rękodzieła, a rozwój ich i przystosowanie do nowożytnych potrzeb byłoby zapewne najpewniejszą drogą do podniesienia przemysłu krajowego. Zachodnie powiaty uprawiają w wielu miejscach płóciennictwo, który to przemysł znachodzi się też w Galicyi wschodniej. Sukno pośledniejsze wyrabia się w Kętach, Dobczycach, w Rakszawie, Leżajsku i w Kulikowie. Zduńskich wyrobów dostarcza w większej ilości 40 osad; Mikołajów i Otynia wyrabiają wyborny towar form oryginalnych. Wiele okolic zatrudnia białoskórnictwo, szewctwo, stolarka i kuśnierstwo. W najnowszym czasie założono w Rymanowie i w Zakopanem szkoły snycerskie, w Ściejowicach koszykarską. Ślusarski przemysł Świątnik pod Krakowem szuka sobie dróg zbytu na Węgrzech, w Multanach i na Wołoszczyźnie. Na Pokuciu i po huculskich wioskach natrafia się na szczególne zdolności do haftu i koronkarstwa, co też ogólny podziw wzbudzało na kołomyjskiej wystawie przemysłowej podczas ostatniej podróży cesarskiej. Robótki te wieśniaczego kunsztu chłopek odznaczają się delikatnością, jakoteż oryginalnym a u nich tradycyjnym deseniem.

Widocznie nie wystarczają te przedmioty przemysłu na same potrzeby krajowe. Przywóz obejmuje w Galicyi nietylko towary korzenne egzotyczne, ale rozciąga się niemal na wszystkie potrzeby tak intelligencyi jakoteż prostych ludzi; należy do niego nietylko delikatne sukno panów, ale też proste białe i bure na sukmany chłopskie, a nawet czerwone krakuski sporządza się z przenoszonych uniformów angielskich, które skupuje za bezcen sprytny żydek. Chodzi się na przechadzkę w obuwiu, którego skórka pochodzi ze skór galicyjskich, ale przeszła przez wiedeńskie garbarnie. Składy sprzętów domowych dostarczają towaru wiedeńskiego i wrocławskiego; wyroby żelazne i papier przypływają z zagranicy. Masami wprowadza się piwo i likiery, podobnież cukier i sery, z któremi dopiero od niejakiego czasu podjęły konkurencyę serownie w Bierzanowie, w Cichawie i Niegowici.

Głównemi przedmiotami wywozu są produkty rolne: o cenie stanowią targi w Wrocławiu, Wiedniu, Berlinie i w Szczecinie. Galicyjskie drzewo budowlane i masztowe wysyła się do Gdańska, Szczecina, Berlina i Hamburga. Znaczny jest wywóz progów pod koleje żelazne. Była już mowa o wywozie koni i bydła; z kopalnianych płodów wywozi się naftę, wosk ziemny, siarkę, cynk i rudę ołowianą tudzież sól kamienną (także do Rosyi). Wywóz mąki jest stosunkowo nieznaczny; piwo wywożą tylko trzy browary: żywiecki, okocimski i tenczyński.

Krajowy handel ma swoje ogniska na licznych jarmarkach, które zabierają sporo czasu, wydzierając go robocie. Najznaczniejsze są jarmarki końskie w Ułaszkowcach, w Mościskach, w Rzeszowie i Tarnowie. Najważniejszemi ogniskami handlu są: Lwów, Kraków, Brody i Tarnopol.

Nie brak w Galicyi zakładów kredytowych dla rolnictwa i przemysłu. Oprócz filij austryackiego banku narodowego w Krakowie i we Lwowie, posiada ten kraj koronny: 1) Towarzystwo kredytowe ziemskie we Lwowie, założone w r. 1841, które udziela pożyczek hipotecznych w czteroprocentowych (do r. 1868) i pięcioprocentowych (od r. 1868) papierach wartościowych. Ogólna suma czteroprocentowych wynosi 10,044.200, a pięcioprocentowych 23,751.500; fundusz rezerwowy wynosi 1,156,213 (cyfry z r. 1873).— 2) Bank hipoteczny we Lwowie z kapitałem zakładowym 3,000.000, udziela pożyczek hipotecznych w papierach wartościowych sześcioprocentowych, zajmuje się interesami bankowemi i wekslarskiemi.— 3) Galicyjski Zakład kredytowy w Krakowie, założony w r. 1872.— 4) Galicyjski Bank kredytowy we Lwowie. — 5) Galicyjski Bank włościański tamże. Ten ostatni, założony przed zaprowadzeniem ksiąg wieczystych dla mniejszej własności, mija się dotychczas ze swym celem, ażeby przez pożyczki być pomocą drobnej posiadłości; niesłychana ilość drobnych a kosztownych procesów o nieznaczne kwoty, w połączeniu ze znacznemi kosztami na administracyę banku, sprawiają, że instytucya ta powszechnie jest nienawidzoną, być zresztą może, że bez własnej winy.

Rozwijają się bardzo kasy oszczędności. Z końcem roku 1877 wynosiła kwota wkładek w 14 kasach oszczędności 19,344.906 złr. (we Lwowie 10 mil., w Krakowie 4 mil.). Towarzystw zaliczkowych jest 95, podczas gdy ilość towarzystw produkcyjnych i handlowych ogranicza się do pięciu, a konsumcyjnych do dwóch. Zaliczkowe towarzystwa miały 33.360 członków z kapitałem zakładowym 1,772.204 złr., obce kapitały wynosiły 2,901.369, inne długi 881.246, a pożyczki udzielone 5,687.685 złr. [1]). Kas gminnych dla wieśniaków liczono w r. 1876: 1150, z kapitałem ogólnym około miliona.

[1]) Zaliczkowe towarzystwa, wzrósłszy w r. 1880 do liczby 119, liczyły członków 54.991, udziałów 2,469.574, funduszu rezerwowego 219.876, wkładek oszczędności 5,374.461, długów 1,062.979, tranzytowych procentów 128.615, czystego zysku 245.644, a innych passywów 117.771; kasowego zapasu 213.739, pożyczek 9,000.691, czynszów tranzytowych 110.575, mobiliów 49.800, a innych aktywów 244.117. Obrót kasowy 18,719.454 złr.

We Lwowie istnieje od roku 1865 powszechne Stowarzyszenie urzędników z sześciu filiami. Znakomite rezultaty osiągnęło Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie. Założone w r. 1861, posiadało ono w r. 1877 fundusz rezerwowy 1.869.052 złr. Przez lat 11 zapłaciło za szkody od pożaru i elementarne 11.931.894 złr., a przez 7 lat od założenia ubezpieczeń na życie 103.828 i 18.751 złr. renty. Od jego założenia zmniejszył się nagle udział w zagranicznych towarzystwach ubezpieczeń.

Od r. 1845 istnieje we Lwowie Galicyjskie Towarzystwo rolnicze, w Krakowie Towarzystwo rolnicze i przemysłowe. Tamto liczy 1537 członków, to zaś około 500. Pismo zawodowe: „Rolnik“ jest organem tamtego, które też działalności swej dodało nowego a potężnego bodźca przez założenie 23 stowarzyszeń prowincyonalnych.

W dziedzinie komunikacyi zdziałano w Galicyi od 20 lat bardzo wiele. Siedm kolei żelaznych zapewnia krajowi połączenie ze wschodem, zachodem i południem: kolej Karola Ludwika, Lwowsko-Czerniowiecka, Naddniestrzańska, Arc. Albrechta i Tarnowsko-Leluchowska; z Kongresówką niema całkiem bezpośredniego połączenia. Wszystkie koleje razem mają 1551 klm., a więc 1 klm. na 50 klm. kwadr. obszaru. Ta szczupła sieć kolejowa ma się w najbliższym czasie uzupełnić koleją podkarpacką równoległą do linii Karola Ludwika i poprzeczną z Tarnopola do Husiatyna. Drogi dzielą się na rządowe cesarskie gościńce, krajowe, powiatowe i gminne, według władz, które je budują i utrzymują. Rząd we gościńce mają 2.866.274 klm., krajowe 1.673.262, powiatowe 1.601.115, a gminne 29.129.103 klm., razem wypada 44 klm. na 100 klm. kwadr. obszaru. Najlepsze środki komunikacyjne mają powiaty: wielicki, brzeski, dąbrowski, krakowski, wadowicki, bielski, brzeżański, podhajecki, tłumacki, skałacki.

Oddalej od materyalnych spływają na ten kraj kosmy dobra duchowe. Wyniesienie dra Ulanda: że oświata ludu stoi w Galicyi dosyć nisko, można od r. 1871 już znacznie odeprzeć. Liczba dzieci szkolnych wynosiła w r. 1870 — 3041 a 2274 w r. 1871; z 1.600.500 dzieci w wieku szkolnym uczęszczało [illegible] w r. 1871 — 155.745. Fundusze gminne dostarczyły na szkoły 751.107 złr., prywatne fundusze szkolne 22.742, a fundusz krajowy 254.427 złr. Szkół z polskim językiem wykładowym było 1141, z ruskim 1450, z niemieckim 66, mieszanych 142. Najlepiej zaopatrzone w szkoły ludowe są powiaty: krakowski, wielicki,

chrzanowski, sokalski, mielecki, kamionecki, brzozowski, przemyski, jarosławski, lwowski, tarnowski i nowosądecki [1]).

Co do kwalifikacyi nauczycieli ludowych, mamy w Galicyi okres przejściowy. Dopiero od kilku lat istnieje 6 męskich, a 3 żeńskie seminarya nauczycielskie, które zwolna tylko mogą zaopatrzyć swym kontyngensem szkoły ludowe, zajęte na razie żywiołem starszym, mniej ukwalifikowanym. Stosownie do tego miała Galicya w r. 1878: 120 nauczycieli a 122 nauczycielek z kwalifikacyą do szkół t. zw. głównych, 114 nauczycieli a 10 nauczycielek ze świadectwem maturycznem, 1168 nauczycieli i 422 nauczycielek z kwalifikacyą według nowych przepisów i 1114 nauczycieli a 136 nauczycielek z dawną kwalifikacyą; 598 zaś nauczycieli i 62 nauczycielek nie uzyskało dotychczas żadnej kwalifikacyi.

Każda szkoła ma radę szkolną miejscową, która jednak niestety zazwyczaj licho swój urząd sprawuje, z powodu zacofania starszego pokolenia. Nadto ma Galicya 37 rad szkolnych okręgowych, które składają się ze starosty, z inspektora okręgowego, z duchowieństwa wyznań istniejących w okręgu, z dwóch nauczycieli i dwóch członków rady powiatowej. Czterech inspektorów krajowych dokonuje wizytacyi szkół.

Szkoły średnie są w Galicyi liczne i bardzo uczęszczane. Czternaście gimnazyów wyższych (trzy we Lwowie, dwa w Krakowie, po jednem w Brzeżanach, w Jaśle, N. Sączu, Przemyślu, Rzeszowie, Samborze, Stanisławowie, Tarnopolu i w Tarnowie) liczyło w roku szkolnym 1878/9 uczniów 7259 a 396 nauczycieli; trzy niższe gimnazya (w Bochni, w Buczaczu i Złoczowie) 520 uczniów z 30 nauczycielami; gimnazya realne w Brodach, Drohobyczu, Kołomyi, w Wadowicach 1183 uczniów i 81 nauczycieli; pięć szkół realnych (Lwów, Kraków, Jarosław, Stanisławów, Stryj) 1486 uczniów z 127 nauczycielami. Do egzaminu dojrzałości zgłosiło się 524 uczniów, z których 63 otrzymało świadectwo dojrzałości z odznaczeniem, 367 zwyczajne świadectwo dojrzałości, a 94 nie zdało egzaminu. Seminarya nauczycielskie do szkół ludowych miały 913 uczniów, trzy żeńskie 698. Niemiecki język jest wykładowym w II. gimnazyum

[1]) Według urzędowego wykazu Rady szkolnej krajowej za rok 1879/80 posiada Galicya w 6321 gminach administracyjnych a 3934 gminach szkolnych 14 szkół ośmioklasowych, 3 siedmioklasowe, 3 sześcio-, 11 pięcio-, 134 cztero-, 49 trój-, 210 dwu- i 2419 jednoklasowych. Ilość uczęszczających wzrosła do 276.658.

we Lwowie i w Brodach, ruski w t. zw. akademickiem we Lwowie, zresztą jest językiem wykładowym polski.

Do szkół średnich zalicza się szkoły rolnicze w Dublanach i w Czernichowie, obie utrzymywane z funduszów krajowych, i szkołę leśniczą we Lwowie, założoną w r. 1874. Ze szkół zawodowych posiada Galicya: miejską szkołę handlową we Lwowie, państwową szkołę przemysłową w Krakowie (założoną w r. 1876), lwowską powszechną szkołę rysunków i modelowania (zał. 1877), szkoły rękodzielnicze w Krakowie i we Lwowie.

Szkół średnich żeńskich jest w Galicyi niewiele. Tem liczniejsze są wyższe szkoły żeńskie po klasztorach, które z dawnych czasów posiadają zaufanie rodziców. Grona nauczycielskie w zakładach klasztornych i prywatnych liczyły w r. 1879 członków 537, liczba uczennic wynosiła 2712.

Ludowe i średnie szkolnictwo Galicyi, pomimo swego szybkiego rozwoju, zdaje się wymagać reformy zastosowanej do potrzeb krajowych. Trudno zapewne będzie wyposażyć niezaopatrzone dotychczas gminy (przeszło 2000) w szkoły zastosowane do ogólnej zasady sześciorocznego przymusu szkolnego i wznieść w każdej gminie kosztowny budynek szkolny; stosowniejszem byłoby zmodyfikowanie przymusu szkolnego na 4 lata z nauką uzupełniającą dwa razy w tygodniu przez następne cztery lata; podobnież należałoby obniżyć wymagania kwalifikacyjne dla nauczycieli najliczniejszych (2415) szkół jednoklasowych, a przystosować je bardziej do praktycznych wymagań życia. Gimnazya niedomagają na niedostateczne pedagogiczno-dydaktyczne wykształcenie kandydatów stanu nauczycielskiego, na niepraktyczną metodę nauczania języków nowożytnych, na zanadto posuniętą specyalizacyę w filologii klasycznej, na zmienność książek i tekstów szkolnych.

Szkolnictwo ludowe i średnie zostaje pod zarządem Rady szkolnej krajowej, pod przewodnictwem namiestnika. Składa się ona z czterech inspektorów szkolnych, z reprezentanta Wydziału krajowego, z dwóch pedagogów wybranych przez Wydział krajowy, z reprezentantów miast Lwowa i Krakowa (po jednemu) i z dwóch księży.

Dwa uniwersytety krajowe, krakowski i lwowski, liczą przeciętnie razem 1700 słuchaczów. Krakowski, założony w r. 1364 przez Kazimierza W. na wzór bolońskiego, a odnowiony przez Władysława Jagiełłę w r. 1400 i urządzony według paryskiego systemu kollegiów, ma cztery wydziały, podczas gdy założony przez cesarza

Józefa II. w r. 1784 lwowski nie ma wydziału medycznego. Językiem wykładowym jest polski, z wyjątkiem wykładu literatury niemieckiej.

Krakowski uniwersytet miał w r. 1879 zwyczajnych profesorów 33, nadzwyczajnych 16, docentów 18, adjunktów i asystentów 16; lwowski zaś 24 zwyczajnych, 8 nadzwyczajnych profesorów, 14 docentów, 4 adjunktów i asystentów.

Rezultat rygorozów doktorskich był w Krakowie w r. 1879: na wydziale prawniczym 94 z dobrym postępem, 4 reprobowanych; na lekarskim 58 dobrych, 12 ujemnych; na filozoficznym 6 dobrych. We Lwowie aprobowano 28 prawników i trzech z wydziału filozoficznego. Wydział teologiczny otrzymał dopiero w ostatnim czasie upoważnienie do udzielania godności doktorskiej (Najw. rozp. z 15 sierpnia 1880).

Komisye egzaminacyjne dla kandydatów na nauczycieli szkół średnich w Krakowie i we Lwowie miały w r. 1879 przed sobą kandydatów w Krakowie 43, we Lwowie 17, z tego 27 i 14 przyjętych, a 16 i 3 reprobowanych.

Akademia techniczna we Lwowie, założona w ostatnich latach, dzieli się na wydziały: inżynierski, budowniczy, budowy maszyn i chemiczno-techniczny; miała w r. 1878/9 profesorów 12 zwyczajnych, 4 nadzwyczajnych, 4 suplentów, 7 docentów prywatnych, 13 adjunktów i 210 uczniów. Na miejsce dawnego instytutu technicznego w Krakowie założono tam ostatniemi czasy państwową wyższą szkołę przemysłową.

W najnowszym wreszcie czasie powstały dwie instytucye: c. k. Szkoła sztuk pięknych i ces. Akademia Umiejętności w Krakowie.

Szkoła sztuk pięknych powstała ze szkoły malarskiej i rzeźbiarskiej, istniejącej przy instytucie technicznym w Krakowie. Dyrektorem jest znakomity malarz Jan Matejko. Liczy 5 profesorów zwyczajnych i dwóch docentów prywatnych; w roku 1878/9 ilość uczniów wynosiła 79. Koszta budowy pięknego gmachu szkolnego opędzono z funduszu krajowego.

Z woli Najjaśniejszego Pana, wyrażonej w Najw. piśmie odręcznem z 2 maja 1871, powstała Akademia Umiejętności w Krakowie, utworzona z krakowskiego Towarzystwa Naukowego. Akademia składa się z trzech wydziałów: z filologicznego, historyczno-filozoficznego i matematyczno-przyrodniczego; może liczyć członków co najwyżej 42 krajowych, 30 zagranicznych, 30 korespondentów. Posiedzenia wydziałowe odbywają się co miesiąc, walne zebrania

prywatne dwa razy do roku, publiczne jedno do roku. Istnieją liczne komisye, w których pracują także osoby z poza Akademii pod przewodnictwem zwyczajnych członków. Roczny dochód Akademii wynosi do 40.000 złr., z tego 12.000 dotacyi rządowej, 15.000 subwencyi krajowej, reszta z procentów od własnych funduszów. Zarząd Akademii stanowią: prezes (wybierany co trzy lata), sekretarz generalny (co sześć lat) i dyrektorowie trzech wydziałów. Protektorem Akademii jest J. C. Wysokość Arcyksiążę Karol Ludwik, jego zastępcą hr. Alfred Potocki. Akademia ogłasza po polsku Pamiętniki, Sprawozdania z posiedzeń i Rozprawy każdego wydziału osobno, następnie Monumenta Poloniae historica, Monumenta medii aevi i Acta historica, Scriptores rerum polonicarum i Zbiory materyałów komisyj fizyograficznej, antropologicznej, archeologicznej, językowej i komisyi historyi sztuki. Ilość wydawnictw od otwarcia Akademii w r. 1872 doszła do 120 grubych tomów.

We Lwowie istnieje od r. 1817 Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, założony i wyposażony przez hr. Józefa Maksymiliana Ossolińskiego. Kuratorem jego jest każdorazowy posiadacz przeworskiego majoratu książąt Lubomirskich. Zakład posiada publiczną bibliotekę i wydaje źródła historyczne. Ostatniemi czasy założył we Lwowie hr. Włodzimierz Dzieduszycki wielkim nakładem a z wybornem znawstwem Muzeum krajowe przyrodnicze, obejmujące wszystkie przedmioty przyrody krajowej. Uczeni zawodowi znajdują łatwy przystęp do pięknych bibliotek prywatnych w Suchy, w Krzeszowicach, w Dzikowie, Sieniawie, Medyce, Poturzycach, hr. Baworowskich we Lwowie; zawierają one też obfite skarby rękopisów. Szczególnie piękne i zasobne jest Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie, obejmujące 70.000 tomów, 3000 rękopisów i ciekawy gabinet archeologii i sztuki. Biblioteki publiczne zawierają: Jagiellońska, uniwersytecka w Krakowie: 120.000 tomów i 6000 rękopisów; Akademicka: 40.000 tomów i 600 rękopisów; lwowska uniwersytecka 40.000; Ossolińskich: 70.000 tomów i 2000 rękopisów. Lwów i Kraków posiadają zarazem wielkie archiwa aktów grodzkich i ziemskich województw krakowskiego, ruskiego i bełzkiego, blizko 10.000 tomów folio.

Galerye obrazów są dwie w Krakowie, muzea przemysłowe we Lwowie i w Krakowie. Krakowskie zawdzięcza swe powstanie i bogactwo okazów gorliwości obywatelskiej d-ra A. Baranieckiego, swego założyciela. Podobnież powstał gabinet archeologiczny krakowskiego uniwersytetu (6000 cennych przed-

miotów) z ofiar prywatnych, zebranych przez prof. d-ra J. Łepkowskiego, konserwatora zabytków dziejowych Galicyi zachodniej.

Istnieją następujące stowarzyszenia naukowe i artystyczne: pedagogiczne we Lwowie z licznemi filiami, Towarzystwo im. Kopernika tamże, Towarzystwo techniczne tamże; lekarskie w Krakowie i Lwowie, podobnież dwa muzyczne i po jednem Przyjaciół sztuk pięknych w obydwóch miastach.

Ruch księgarski w Galicyi wydaje corocznie przeszło 2000 książek z 16 drukarń. Większych dzienników jest cztery: „Czas“ w Krakowie, a we Lwowie „Gazeta Lwowska“ (półurzędowa), „Gazeta Narodowa“ i „Dziennik Polski“; do tego z pięćdziesiąt mniejszych dzienników, pism literackich i tygodników zawodowych. Pięćdziesiąt księgarń zaopatruje kraj w produkta literackie.

Ciekawa rzecz, że Galicya jest w całej monarchii krajem najzasobniejszym w stypendya. W roku 1878 miało c. k. Namiestnictwo do dyspozycyi 123 stypendyów, Wydział krajowy 510, a około 50 stypendyów nie jest jeszcze uregulowanych. Kapitał 510 stypendyów wynosił 2,313.000 złr. w. a.

Nader liczne są też w Galicyi instytuty i zakłady o celach dobroczynnych i humanitarnych. Jest 23 szpitali powszechnych, 28 lokalnych, 2 zakłady dla obłąkanych (w Krakowie i w Kulparkowie), 17 dla kalek i starców, około 450 dla sierót, ślepych i głuchoniemych, dla ubogich i rekonwalescentów. Instytut założony w r. 1844 w Drohowyżu przez hr. Stanisława Skarbka dostarcza schronienia 400 ubogim i daje utrzymanie i wychowanie 600 sierotom. Wielkie szpitale w Krakowie i Lwowie czynią zadość wszelkim wymaganiom nowoczesnym; ostatniemi laty powstał w Krakowie ze składek pięknie urządzony szpital dla dzieci pod wezwaniem św. Ludwika. Utrzymanie ubogich chorych opędza się nie na koszt gmin, ale z funduszów krajowych, a kosztowało w roku 1878 kwotę 459.771 złr. Po uchwale sejmowej, która nałożyła koszta leczenia ubogich na fundusz krajowy (1874 r.), okazało się w najbliższych latach zmniejszenie się śmiertelności o 1%.

Galicya posiada 77 źródeł mineralnych. Najważniejsze są: żelaziste w Krynicy i w Żegiestowie, alkaliczne w Szczawnicy, siarczane w Swoszowicach, w Krzeszowicach i Lubieniu, jodowo-bromowe w Rabce, Iwoniczu i w Truskawcu. Krynica (kameralna), Szczawnica (własność Akademii Umiejętności w Krakowie), Iwonicz (własność hr. Michała Załuskiego), odznaczają się eleganckiem urządzeniem, wspaniałem położeniem i dobremi warunkami hygienicznemi,

gromadzą też corocznie znaczną ilość gości krajowych i zagranicznych.

Administracya tego kraju koronnego ma dwojakie władze: rządowe i autonomiczne. Najwyższym urzędem politycznym jest c. k. Namiestnictwo we Lwowie, któremu podlega 74 starostw, magistraty dwóch stolic, Krakowa i Lwowa, i dyrekcye policyi w obydwóch tych miastach, Rada szkolna krajowa i krajowa Rada sanitarna. Oprócz prezydyum ma Namiestnictwo dziewięć departamentów: ekonomiczny, kościelny, szkolny, sanitarny, kultury krajowej, gminny i wojskowy, budowlany, rachunkowy i służebnościowy.

Sądownictwo wykonuje się w Galicyi za pośrednictwem dwóch sądów krajowych wyższych w Krakowie i Lwowie, dwóch sądów krajowych tamże, dziewięciu sądów obwodowych w Tarnowie, Nowym Sączu, Rzeszowie, Przemyślu, Samborze, Stanisławowie, Kołomyi, Tarnopolu i w Złoczowie (kollegialne sądy) i 161 sądów powiatowych. Najwyższą instancyą jest sąd kasacyjny w Wiedniu. Starsi prokuratorowie są przy sądach krajowych wyższych, prokuratorowie przy sądach kollegialnych, przy których istnieją też sądy przysięgłych do ważniejszych spraw karnych.

Do przestępstw skarbowych istnieje 13 sądów powiatowych dla spraw skarbowych i jeden takiż sąd wyższy we Lwowie.

Krajowej dyrekcyi finansowej pod przewodnictwem namiestnika we Lwowie podlega 12 powiatowych dyrekcyj finansowych, administracya podatków, urząd wymiaru należytości i krajowa kasa główna we Lwowie, 22 urzędów cłowych głównych i drugorzędnych, saliny, dyrekcye dóbr kameralnych i trafik tytoniu i powiatowe urzędy podatkowe. W Krakowie jest starostwo górnicze. Wojskowe władze stanowią: komenda generalna we Lwowie i komenda wojskowa w Krakowie; nadto jest we Lwowie komenda obrony krajowej.

Według wykazów statystycznych z r. 1879 płaci Galicya podatków: gruntowego 4,613.619 [1]), domowo-klasowego 1,702.327, domowo-czynszowego 1,605.592, zarobkowego 778.244, dochodowego z nadzwyczajnym dodatkiem z r. 1878 złr. 1,722.003; ogółem podatków bezpośrednich 10,471.787 złr. Wypada na głowę podatku 1·93 złr.; cyfra ta zwiększyła się w r. 1880 na 1·97, a w r. 1876

[1]) Podaliśmy wyżej wynik nowej rewizyi ksiąg wieczystych. Z czystego dochodu, ocenionego na 25,160.530 złr., oznaczyła komisya centralna kwotę podatku gruntowego na 5,560.471 złr., a zatem za dużo o 946.852 złr.

wynosiła 1·52. Skoro zaś dochód z podatków pośrednich (konsumcyjne, cła, sól, tytoń, stemple, należytości prawne, loterya) wynosi 4·58 złr. na głowę, wypada tedy siłę podatkową oszacować na 6·55 złr. na głowę. Niestety, mieszczą się w tem wzrastające nieustannie dochody loteryjne; liczba kollektur wzrosła znacznie w latach 1873—1877 (w Galicyi z 421 na 527, a w reszcie Cislitawii z 3474 na 3874), kwotę przegranych obliczono w tych latach ogółem na 7,519.893 złr.

Do zakresu Sejmu galicyjskiego należą: 1) kultura krajowa, 2) budowle publiczne, 3) zakłady humanitarne, 4) fundusze krajowe, 5) sprawy gminne i szkolne, z zastrzeżeniem kompetencyi Rady państwa. Sejm ma w swem łonie 9 głosów wirylnych (7 biskupów, 2 rektorów uniwersytetów) i 141 posłów, a mianowicie: 44 z kuryi większej własności, 20 z miast, 3 z izb handlowych i przemysłowych, 74 z mniejszej posiadłości; mandat trwa sześć lat. Sejm wybiera do Wydziału krajowego 6 członków i 6 zastępców; marszałka krajowego mianuje na każdą kadencyę sejmową cesarz z pomiędzy posłów.

W kuryi mniejszej własności liczono przy wyborach r. 1876 na 5,109.777 ludności, 508.617 prawyborców, z których wzięło udział w wyborach 151.481. Na 74 posłów tej kuryi było 31 właścicieli dóbr, 15 urzędników, 9 adwokatów i profesorów, 5 duchownych rzymsko-katolickich a 6 grecko-katolickich, 6 wieśniaków i 2 mieszczan. W kuryi miast wzięło udział w wyborach 9210 z 22.005 wyborcami, wybrano 19 z intelligencyi miejskiej i 2 właścicieli dóbr. Z kuryi większej własności wreszcie brało w wyborach udział 54·5%; wybrano 10 z pośród intelligencyi a 34 właścicieli dóbr.

Budżet krajowy wynosił w r. 1875 kwotę 2,492.754, a z tego koszta komunikacyi doszły do najwyższej w Austryi kwoty: 41% (Austrya Niższa 34%), koszta szkolnictwa 18% (Salcburg 53%, Austrya Wyższa 46%, Czechy 49%, Ślązk 34%, Austrya Niższa 20%), koszta sanitarne 21% (Vorarlberg 57%, Gorycya 42%, Czechy 28%, Bukowina 28%). Dochody krajowe wynosiły w r. 1875 z krajowych dodatków do podatków 2,040.000 złr., z majątku kraju 460.932, dodatek na indemnizacyę wynosi 3,336.465 złr.

Ustawa z 12 sierpnia 1866 utworzyła Rady powiatowe z Wydziałami powiatowemi, których zadaniem jest obradować nad sprawami powiatu i wykonywać nadzór nad gminami i obszarami dworskiemi. Rady powiatowe składają się z 26 członków, wybieranych na trzy lata z pośród właścicieli dóbr, z najwyżej opo-

datkowanych reprezentantów handlu i przemysłu i z mniejszej posiadłości; członków żadnej grupy nie może być więcej jak 12. Wogóle liczyły rady powiatowe według wyborów dokonanych w roku 1874: właścicieli dóbr 626, intelligencyi różnej 419 (w tem 215 księży), przemysłowców i kupców 95, mieszczan 105, wieśniaków 600.

Posiadające odrębne statuty rady miejskie krakowska i lwowska liczą członków tamta 60, ta zaś 100, z pośród których wybiera się prezydenta miasta. Miasta bez osobnego statutu mają radę gminną, podległą radzie powiatowej. Do strzeżenia interesów handlowych i przemysłowych są Izby handlowe i przemysłowe w Krakowie, we Lwowie i w Brodach, na sąsiednie powiaty.

Lwowskie biuro statystyczne zebrało w r. 1877 ciekawe wykazy do stosunków gminnych w Galicyi. Jak wiadomo, zarządza gminą, z wyłączeniem obszaru dworskiego, rada gminna, złożona z wybranych członków i z głosów wirylnych najwyżej opodatkowanych. Zwierzchność gminną stanowi wybrany wójt z dwoma przysiężnymi.

Otóż w 5933 gminach kraju znajdujemy jako wójtów i przysiężnych 99% wieśniaków, a z tego analfabetów: 80% wójtów, 88% przysiężnych, 85% radnych. Smutny ten wzgląd zmusza trzymać niezbędnych pisarzów gminnych, a z liczby ich 3370 (91 gmin nie ma pisarzów), według kwalifikacyi rad powiatowych miało 39% kwalifikacyę odpowiednią, 21% mniej odpowiednią a 32% całkiem nieodpowiednią. Wynagrodzenie pisarza jest nader szczupłe, przeciętnie wynosi nie więcej jak 59 złr. 66 ct. W 73 powiatach nie posiadało 1014 gmin wcale ksiąg do wpisywania uchwał, w 1539 gminach rady nie odbywały całkiem posiedzeń, w 1646 gminach bywało posiedzeń do roku nie więcej jak 5, a w 85 nie więcej jak 12; nie miało zupełnie policyi i straży polowej 2366 gmin, 1812 gmin wykonywało dozór policyjny tylko przez stróżów nocnych i t. p. W 1567 gminach nie spisywano całkiem postanowień rady i zwierzchności gminnej; rekursów przeciw nim było 677, a 268 razy trzeba je było unieważniać. Na 1913 wójtów nałożono grzywny, 51 było wypadków suspendowania, a w 225 wypadkach trzeba było na koszt gminy wdawać się w jej sprawy i zarządzać prowizoryum, ażeby utrzymać jakikolwiek porządek. Te cyfry należy uważać za dowody nieporządków w zarządzie gmin, a wołają one głośno o reformę odnośnych stosunków.

Ale ten zarząd gminny jest też niezmiernie kosztownym. Gdzie gmina nie posiada majątku, koszta opędza się z dodatków do po

datku. Na 5933 gmin wynosiły dodatki gminne: w 505 gminach nie było ich całkiem, w 304 niżej 5% podatków bezpośrednich, w 1031 pomiędzy 5% a 10%, w 1684 pomiędzy 11% a 20%, w 1445 pomiędzy 21% a 50%, w 58 pomiędzy 51% a 75%, w 10 pomiędzy 75% a 100%, w dwóch nareszcie przeszło 100%, przeciętnie 76·42% bezpośrednich podatków. Nadto zrobiono jeszcze spostrzeżenie, że pobrano 13·55% nieprawnych dodatków gminnych!

Do statystyki moralności Galicyi posiadamy niestety szczupłe daty. Wykazy sądów kollegialnych z lat 1874—1878 stwierdzają zmniejszanie się podpalań, a mianowicie: 102 (r. 1874), 105 (1875), 90 (1876), 99 (1877), 95 (1878), natomiast mnożą się kradzieże (w tychże pięciu latach: 3934, 4043, 4509, 4707, 4538), zabójstwa, morderstwa i ciężkie uszkodzenia ciała (1078, 1588, 1753, 1413, 1406), w progresyi znacznej, jakkolwiek niestałej. Na 100.000 ludności wypadło w r. 1878 wypadków podpalenia 1·6, kradzieży 77·8, mordów, zabójstw i uszkodzeń ciała 24·1.

Podajemy nadto z odpowiedzi ankiety, zwołanej przez Wydział krajowy, następujące daty dotyczące moralności i oświaty. Pieniactwo wzmogło się znacznie od r. 1848, co przypisuje się absolutnej podzielności gruntów, fatalnej procedurze cywilnej i pisarzom pokątnym. Pijaństwo zmniejszyło się w ogóle; wyjątki stanowią powiaty: bohorodczański, borszczowski, brodzki, cieszanowski, drohobycki, kołomyjski, kossowski, sokalski i turecki. Podobnież zmniejsza się włóczęgostwo i żebractwo. Szkody w polach są rzadsze, ale za to w lasach częste i to nieraz dokonywane z gwałtem. Na pracowitość ludu zgubnie działają, zwłaszcza we wschodniej Galicyi, podwójne święta, jarmarki, weseliska i inne uroczystości rodzinne. Uczęszczanie do szkół było w ogóle, nawet bez używania przymusu, zadowalniające; niektóre powiaty zajęły się żywo czytelniami ludowemi, a nawet dziennikami, a mianowicie powiaty: krakowski, bielski, bocheński, lisiecki, mielecki, myślenicki, przemyślański, rudkowski, rzeszowski i wadowicki. Naśladowania lepszego trybu gospodarstwa jest w ogóle niewiele, ale hodowla inwentarza o wiele staranniejsza. Szczepienie ospy dokonywa się przeważnie bez przymusu, ale za to dziewięć jest tylko powiatów, w których zwykło się wzywać lekarzy do chorych (powiaty: bielski, bocheński, jarosławski, kamionecki, krośnieński, limanowski, mielecki, tarnowski i wadowicki). W tych samych też niemal powiatach spostrzega się pewne przestrzeganie przepisów sanitarnych. Choroby syfilityczne zjawiają się tylko sporadycznie, a za to tyfus, dyfterya, czerwonka, stanowią choroby,

które zawlekane od powiatu do powiatu, zatrudniają bez ustanku władze sanitarne.

W Radzie państwa reprezentowaną jest Galicya przez 63 posłów, wybieranych bezpośrednio w okręgach wyborczych, a mianowicie: 20 z większej własności, 16 z miast i izb handlowych, 27 z mniejszej własności. W Izbie Panów zasiada 3 arcybiskupów trojga obrządków, trzech dziedzicznych a 11 dożywotnich członków. Do delegacyj wspólnych wybierają posłowie galicyjscy 7 delegatów.

Rzut oka na przeszłość i teraźniejszość.

Obawiamy się, czy w ostatnim rozdziale nie narażaliśmy uwagi czytelnika na zbyt ciężką próbę. Bądźcobądź, czytelnik myślący wydostał z tych cyfr niejedno, czego mu tekst jeszcze nie wyłożył i może zrobić uwagę, że Galicya jest i pozostanie krajem wyjątkowym, mięszaniną wyższych i szlachetnych dążności, świadczących o wysokiej cywilizacyi warstw intelligentnych, z materyalnemi i administracyjnemi ułomnościami, które tamtym dążnościom grunt usuwają! Odda też czytelnik zupełne uznanie trafnym a pełnym treści słowom monarchy podczas ostatniej podróży cesarskiej, wysuwającym naprzód sprawę materyalnego rozwoju i wzywającym do gorliwej, ruchliwej pracy w tym kierunku [1]). I my też jak najzupełniej podzielamy to zdanie, a obecny ciekawy stan kraju uważamy za nieunikniony skutek jego przeszłości i tego szczególnego złożenia charakteru narodowego z wielkich zalet i wielkich przywar, z czego sprawę sobie zdać trzeba, ażeby tamte wyzyskać a te wyplenić. Jako pierwsze stadyum nowej ery musiała oczywiście wystąpić najpierw strona idealna, to, co pełne blasku, chwilowych porywów i silnych wzruszeń uczucia; przyjdzie za tem pilność, wytrwałość, śmiałe chwytanie samej istoty spraw i sterowanie wśród realnej rzeczywistości; już też objawia się to z wielu stron. W tym rozdziale zamierzamy przepatrzyć jeszcze raz naprędce ten kraj koronny, ażeby zaznaczyć, gdzie jest co godnego widzenia, dotykając rzeczy

[1]) W najnowszym czasie położył nacisk na ten kierunek marszałek krajowy dr. Zyblikiewicz w mowie zagajającej sejm i postanowiono założyć bank krajowy celem popierania spraw ekonomicznych kraju.

dawnych i nowych i to ze stanowiska cudzoziemca, któremu obojętnem jest to, co tylko jest ściśle narodowem a nie ma wartości powszechniejszej. Przedewszystkiem położymy nacisk na to, co nowe, co jest owocem naszej doby i rządów sprzyjających rozwojowi kraju w kierunku narodowym.

Opuścimy schludne, przeważnie niemieckie, przemysłowe miasto graniczne Białę, nie będziemy się też zajmować Oświęcimem i Zatorem, stolicami dawnych księstw ślązkich. Nowoczesna doba nie była w ogóle pomyślną dla małych miast; położone poza torami kolei żelaznych upadają, a mające kolej żelazną o tyle tylko dają sobie radę, o ile umieją się zabrać do handlu i przemysłu. Blizkość królewskiego Krakowa zwiastują nam imponujące ruiny: Tęczyn (wygasłego pańskiego rodu Tęczyńskich); Lipowiec, gród biskupów krakowskich; Lanckorona, gniazdo hrabskiej rodziny Lanckorońskich; jakoteż stare klasztory: Kalwarya, Czerna i sterczące ruiną najstarsze opactwo Benedyktynów w Tyńcu. Dwa klasztory cysterskie w Mogile i w Szczyrzycu przenoszą nas w wiek XIII. Piękna pagórkowata kraina piętrzy się na południe ku sinym olbrzymom tatrzańskim, od północy zamyka horyzont falowata linia olkuskiej wyżyny. Pańskie rezydencye w Balicach, na Woli Justowskiej (renesansowy pałac książąt Czartoryskich), w Krzeszowicach (hr. Potockich), przybliżają nas do starego miasta. Zamek krzeszowicki, nowożytna budowa Lanci'ego, posiada zbiór cennych obrazów i rzeźb, między innemi znakomite portrety Ary Scheffera i Winterhaltera, tudzież białą statuę marmurową w rodzaju antyków — Hermesa ostrzącego miecz — przez Thorwaldsena.

Chcąc poznać piękność położenia Krakowa, trzeba patrzeć na ten nadwiślański gród od galicyjskiej strony, ze wzgórza Krzemionek albo z kopca Kościuszki. Potężny gmach królewskiego zamku góruje nad dość rozległem miastem, a w prawo i w lewo od zamku wznoszą się liczne kopuły i dzwonnice; turysta stojący na kopcu Kościuszki widzi na krańcach horyzontu dwa pogańskie kopce mogilne: Krakusa, mitycznego założyciela miasta, i córki jego, Wandy. Szereg warowni i fortecznych budynków okala miasto ceglastym pasem.

Studyum zabytków sztuki tego miasta poświęcił Essenwein piękne, obszerne dzieło. Kiedy zabłyśnie majowe słońce i rozkwitną kasztany wielkich plantacyj, oddzielających śródmieście od przedmieść, ma się przed sobą miasto jakoby napół niemieckie, napół włoskie, którego wdzięk zwiększa nowożytna schludność i staranie

o elegancyę. W najnowszym czasie dostało miasto bruk kostkowy na sposób wiedeński i chodniki asfaltowe, ulica okrężna około plantacyj wypełnia się stopniowo pięknemi domami i willami, niedawno wzniosły się budynki Szkoły sztuk pięknych, Towarzystwa ubezpieczeń, strażnica pożarna. Przez stary rondel Floryański (włoska warownia z r. 1498) i bramę Floryańską (resztka dawnych murów miejskich z ołtarzem Matki Bożej) pospieszamy ku gotyckiej świątyni N. Maryi P. i na olbrzymi rynek, na środku którego znajdują się Sukiennice, restaurowane przez T. Prylińskiego. Pierwotne kramy sukienne i inne złączył w budynek gotycki z końcem XIV. wieku mistrz Lindentolde; w XVI. wieku zasklepił go i odnowił w stylu odrodzenia Maria Padovano. Skromny młody mistrz Pryliński zatrzymał tę mięszaninę stylów; dwa wysoko-sklepienne przejścia pod arkadami przypominają prokuracye św. Marka w Wenecyi i stanowią najmilszą przechadzkę publiczności. Wiele szczegółów ornamentacyjnych szkicował mistrz Matejko. Parter tworzy wielką halę przechodnią z ładnemi kramami i podwójny szereg pięknych, widnych sklepów, zwróconych ku obydwom przejściom z arkadami. Pierwsze piętro zawiera sale balowe i wystawę Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych. Cokolwiek chcianoby wytknąć tej restauracyi, faktem pozostanie, że gmach wyszedł z niej imponującym, miłym dla oka a nadającym się do użytku i że okazał się niezbędnem ogniskiem miejskiego życia. Jubileusz Kraszewskiego, uroczystość Długoszowa, a wreszcie przyjęcie Najj. Pana znalazły w odnowionych Sukiennicach naturalny punkt oparcia uroczystości i zebrań.

Nie można się dosyć nacenić tego tchnienia Muz, które w ostatnich dziesiątkach lat wionęło łaskawie nad Polską. Próby tego można oglądać na piętrze Sukiennic, w gmachu Szkoły sztuk pięknych można zwiedzić pracownię Matejki, a w eleganckim jego domu w stylu rococco przy ul. Floryańskiej zbiory jego prywatne. Matejko, Czech z pochodzenia, jest dzieckiem i wychowankiem Krakowa, niewiele bowiem czasu poświęcił studyom w Wiedniu i Monachium. Kompozycye jego, dla zagranicy nie bardzo zrozumiałe, których imponującą potęgę jednakże uznano, są rezultatem skrzętnych studyów archeologicznych, któremi zajmował się w Krakowie w latach młodzieńczych, ubogi i nieznany, a te studya nadały jego postaciom to nadzwyczajne bogactwo w szczegółach i oryginalność. Ciekawa rzecz, że Matejko mówi tylko po polsku, a niewielu znam ludzi, którzyby taką mieli biegłość w polskich źródłach historycznych. Natura głęboka, nawpół mistyczna, melancholijna, profil twarzy przypomina

Michała Anioła; niezmordowany w kompozycyi przedmiotów historycznych, i trzeba się będzie dziwić, gdy obok wspaniałych płócien dojdzie do powszechnej wiadomości to mnóstwo szkiców niezwykłej piękności, na których wykończenie nie starczyło mu już czasu. Siemiradzkiego, malarza „Żywych pochodni Nerona“, stawia się tuż obok Matejki; znacznie zrozumialszy dla zagranicy, czerpie tematy do swych obrazów po największej części z czasów cesarstwa rzymskiego i ze Wschodu, a dzieła te stają obok najlepszych wzorów tak rzadkiego dziś idealnego pojmowania sztuki. Subtelność jego tworzy niejako przeciwieństwo do siły matejkowskich obrazów i przypomina raczej zmarłego młodo Artura Grottgera, którego arcypoetyczne rysunki kredkowe i cykl „Wojna“, spotkały się z ogólnem uznaniem zagranicy. Na tych nazwiskach nie kończy się jednakże szereg wybitnych polskich malarzy: Rodakowski i Grabowski jako malarze portretowi, malarze batalij Brandt i Kossak, pejzażyści Szermentowski, Löffler i Kotsis doszli do tego, że mogą liczyć na powszechne uznanie.

Nie mogłoby być mowy o rozwoju sztuki bez stosownego środowiska, a Kraków umiał się niem zrobić. Znaczna większość młodzieży artystycznej znalazła w profesorze Władysławie Łuszczkiewiczu uczonego a pełnego zapału nauczyciela; o znawstwie i gorliwości miasta świadczą umiejętne restauracye dawnych zabytków sztuki. Tak np. zrekonstruowano wspaniale wielki ołtarz Wita Stwosza w kościele Maryackim, tak, że stanowi dziś jednę z najwybitniejszych szczególności miasta; zdeterminowano malowidła na deskach szafy zakrystyjnej (legenda o św. Katarzynie na 12 deskach), jako dzieło niemieckiego mistrza Hansa Suess von Kulmbach; odnaleziono też w okolicy i zbadano inne płody niemieckich szkół XV. wieku. Tak też dwa wielkie gotyckie kościoły (dominikański i franciszkański), które spłonęły w r. 1850, odbudowane zostały przez architekta Teofila Żebrawskiego z tem znawstwem, które nabyć można było tylko drogą gruntownych studyów. Pod kierunkiem d-ra Łepkowskiego, jako konserwatora, zabrano się do odnowienia imponującej katedry na Zamku, gdzie liczne kaplice i pomnikowe nagrobki skupiają wspomnienia najlepszych czasów Polski. Grecką kaplicę świętego Krzyża, pomnik Kazimierza W., przywrócono jak najstaranniej do pierwotnego stanu; kryptę św. Leonarda (krypta dawnego kościoła romańskiego XII. wieku) połączono z resztą grobów królewskich i dzięki hojności szlacheckich rodzin polskich stworzono królewskie grobowce, które mogą stanąć obok najpiękniejszych grobow-

ców monarszych Zachodu. Niemniej też nowożytna zagraniczna sztuka z Thorwaldsenem i Canową wniosła do tej katedry piękne dzieła, a w najnowszym czasie zjawiły się tu z jej bogatych zasobów wspaniałe gobeliny i nieznane dotychczas cenne malowidła miniaturowe.

Góra zamkowa zalicza się niewątpliwie do największych osobliwości miasta. Tuż obok wspaniałego kościoła wznosi się olbrzymia renesansowa budowla królewskiego zamku, dziś jeszcze na koszary używana, ale w niedługim czasie, stosownie do woli Najj. Pana, mająca być jedną z cesarskich rezydencyj. Obszerne komnaty zatrzymały pomimo licznych przebudowań piękne pierwotne obramowania drzwi i okien, gdzieniegdzie nawet stropy; duży zamkowy dziedziniec otacza dwupiętrowa kolumnada w stylu odrodzenia, piękna i wspaniała.

Nie brakło tedy z wielu stron zachęty i pobudek do wykształcenia smaku młodszego pokolenia. Nawet mały i skromny teatr krakowski zdołał małemi stosunkowo siłami utrzymać na deskach przez dłuższy czas najlepsze płody poezyi dramatycznej: Szekspira, Göthego i Schillera obok najznamienitszych sztuk francuskiej komicznej muzy i polskich dzieł scenicznych Felińskiego, Słowackiego, Fredry, Bałuckiego, Szujskiego; potrafił też wykształcić dla Warszawy i Lwowa dzisiejsze znakomitości polskiej sceny: Modrzejewską, Rapackiego, Ładnowskiego, Królikowskiego. Dodawało wreszcie popędu wytworne towarzystwo, obierające sobie chętnie Kraków na zimowy pobyt a dające w swych pałacach przytułek niejednemu dziełu sztuki. Tak w r. 1860 zdołano z krakowskich zbiorów prywatnych zebrać wystawę dawnych mistrzów, a była bardzo pouczająca: historycznie ułożona; w zbiorze Potockich jest jedno z najlepszych płócien Palma Vecchia, a muzeum Czartoryskich należy do najciekawszych w ogóle zbiorów co do przedmiotów przemysłu artystycznego, kodeksów z miniaturami, zbroi, starych materyj i t. p.

Ten wspaniały prąd artystyczny opiera się na innym, głębszym, a mianowicie na naukowym. Nauka polska, obracając się na polskim gruncie, a nie mając, jak sztuka, powszechnie zrozumiałego języka, nie mogła może pozyskać sobie uznania poza granicami polskiego języka i temi gronami specyalnych znawców, niemniej przeto zdołała wciągnąć do ogniska założonej przez Najj. Pana Akademii wszystkie siły kraju i narodu, które wyczekują odrodzenia życia narodowego w trzeźwości a świadomości siebie przez rozwój poważnych badań naukowych. Rzecz ciekawa, ale też wcale naturalna, że polonizacya obydwóch uniwersytetów krajowych i założenie Akademii

Umiejętności w Krakowie sprowadziło zupełny przewrót w polskim ruchu literackim, tem bardziej, że właśnie po świetnym okresie poetycznym po śmierci trzech wieszczów: Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego i po niedoszłej reformie margrabiego Wielopolskiego w Królestwie Polskiem zachodziło już niebezpieczeństwo, że ruch ten ugrzęźnie na rozwlekłych mieliznach pismakowstwa. Młodzież literacka poczuła się wezwaną, ażeby tworzyć rzeczy poważne i odrzucić lekkie literackie bronie; niemal równocześnie z krytycznym kierunkiem w polityce zjawił on się w niemniejszym stopniu w dziedzinie zagadnień historycznych i historyczno-literackich, co jak najskuteczniejszym stało się hamulcem dla przeceniania siebie samego, jako narodu. Dawny kierunek wystąpił z ostrą polemiką, nowy nie obszedł się bez przesady, która wystąpiła zwłaszcza w Warszawie w t. zw. szkole pozytywistów: w końcu jednak pozyskało się w krótkim czasie znaczną ilość poważnych sił, których zastęp zwiększa się z każdym rokiem. Akademia Umiejętności z całą stanowczością popłynęła z nowym kierunkiem, ku zawodowym badaniom. Nie wypierając się sił ściśle literackich, W. Pola, Fredry, Kraszewskiego, starała się jednak usilnie zapełnić swe trzy wydziały specyalistami i podejmować prace badawcze we wszystkich kierunkach. Dwa uniwersytety krajowe dostarczyły pierwszego kontyngensu, z Kongresówki i z Wielkopolski wezwano najdzielniejszych, a zagranicznych uczonych powołano do młodej instytucyi o tyle, o ile przedmiotami swych badań pozostają w związku z badaniami Akademii, pośrednio czy też bezpośrednio. Niestety, ani jeden uczony z Kongresówki nie otrzymał upoważnienia do przyjęcia tytułu członka Akademii.

W naukowym ruchu kraju i Akademii przeważał kierunek historyczny, reprezentowany w Akademii całym szeregiem grubych tomów żmudnych wydawnictw źródłowych; najczynniejsi są na tem polu we Lwowie: dr. Liske, W. Kalinka, Maurycy Dzieduszycki, Kazimierz Stadnicki, dr. Kętrzyński, dr. Szaraniewicz, dr. T. Wojciechowski i dr. Ludwik Kubala; w Krakowie zaś: dr. Szujski, dr. Smolka, dr. Bobrzyński, dr. Piekosiński i dr. Zakrzewski. Dział prawno-historyczny reprezentują: dr. Zoll, dr. Heyzmann, dr. Rittner, Rom. Hube, dr. Bobrzyński, a polityczno-ekonomiczny: J. Supiński i Leon Biliński. Na polu historyi literatury znani są zaszczytnie: dr. Antoni Małecki i Stanisław Tarnowski, w lingwistyce słowiańskiej: Lucyan Malinowski i E. Ogonowski. Badania w zakresie historyi sztuki uprawiają bardzo energicznie: Wł. Łuszczkiewicz i dr. Maryan Sokołowski,

archeologiczne: dr. Łepkowski, J. N. Sadowski, A. Kirkor, G. Ossowski i dr. Kopernicki. Olbrzymiego zadania zestawienia zupełnej polskiej bibliografii (6000 druków wieku XVI., około 100.000 XVII. i XVIII., a 100.000 w XIX. wieku) podjął się dyrektor biblioteki Jagiellońskiej, dr. K. Estreicher.

Do głównych zadań wydziału matematyczno-przyrodniczego Akademii należy zbieranie i wydawanie materyałów do fizyograficznego opisu kraju. Umyślna komisya, istniejąca od r. 1869, łączy w swem łonie w tym celu najlepsze siły Akademii i uniwersytetu: geolog dr. Alth, fizyk dr. Stefan Kuczyński, chemicy Czyrniański i Radziszewski, astronom i meteorolog dr. Karliński, zoolog Nowicki, botanicy Rostafiński, Janczewski i Kamiński. Resztę członków wydziału stanowią uczeni znani w szerszych kołach: dr. Alfred Biesiadecki do anatomii patologicznej, dr. Teichmann do anatomii opisowej, dr. Gustaw Piotrowski fizyolog, dr. Żmurko matematyk.

Prezes Akademii, zasłużony tylekroć około polskiej nauki, zwłaszcza jako fizyolog, stoi zarazem na czele komisyi antropologiczno-etnograficznej, która znalazła wiele uznania za swe gruntowne studya psycho-fizyczne o ludności galicyjskiej. Tu też właściwe miejsce, ażeby d-ra Józefa Majera przedstawić jako niezwykłego męża, który łączy wzorowy zarząd instytutu z wszechstronnem objęciem i zrozumieniem jego licznych kierunków i czyni jak najlepiej zadość swemu wysokiemu a trudnemu stanowisku.

W Akademii Umiejętności, która posiada przy ulicy Sławkowskiej piękny pałac renesansowy, wzniesiony ze składek, okazaliśmy, co jest najważniejszego z naukowego ruchu w Galicyi. O ruchu dziennikarsko-literackim będzie mowa przy Lwowie; Kraków szczyci się, że posiada znakomitego poetę lirycznego, Adama Asnyka, który włada formą po mistrzowsku wykończoną, i komedyopisarza Michała Bałuckiego, który świetnie doprawdy opisuje małostkowość życia na prowincyi.

„Polskie Ateny“ — tak opiewa przydomek nadwiślańskiego grodu, wcale uprawniony. „Polski Rzym“, dodają z uśmieszkiem liberały. Kraków, który w ostatnich latach wystawił około sześciu nowych klasztorów, nie może się doprawdy wymawiać od tego epitetu. Do tych nowych budowli należy piękny kościół romański Sióstr Miłosierdzia, wystawiony przez architekta Filipa Pokutyńskiego († 1879), arcydzieło szlachetnych linij i szczęśliwie dobranej ornamentacyi polychromicznej; uczucia religijne, złączone z artystycznemi, nie dadzą też rozpaść się w gruzy starym gotyckim świątyniom. Zanimby się

potępiło ten średniowieczny kierunek miasta, wypada się zastanowić, czy też ze stanowiska narodowego nie wypada właśnie szukać w związku z katolickim światem wzmocnienia przeciw tym potęgom, które o milę od granicy krakowskiego okręgu zwykły upatrywać duszę narodu w katolicyzmie i tam radeby ją zgładzić! Czyżby to zresztą było zgoła niemożebnem, żeby połączyć życie religijne z naukowem i artystycznem? Zdaje się, że Kraków stwierdza właśnie tę możebność i możemy zapewnić z doświadczenia, że w Krakowie większą można mieć swobodę od wszelkiego terroryzmu panującej opinii, niż gdziekolwiek na polskiej ziemi.

Widoczne a uznane powszechnie odrodzenie Krakowa przypisać wypada przedewszystkiem energii burmistrza d-ra Mikołaja Zyblikiewicza [1]). Przykład ten pobudził też do ruchliwej gorliwości poblizkie miasta prowincyonalne. Podróżnemu wynagrodzi się trud, jeżeli zwiedzi olbrzymie saliny w Wieliczce, jeżeli się przyjrzy powiatowemu miastu Tarnowowi z pięknemi włoskiemi nagrobkami Tarnowskich i Ostrogskich, tudzież, powierzając się pięknej kolei tarnowsko-leluchowskiej, jeżeli się przypatrzy galicyjskiej Szwajcaryi powiatów nowosądeckiego i nowotarskiego. Tutaj w pobliżu kolei napotka licznie uczęszczane miejsca kąpielowe Krynicę i Szczawnicę, dalej na zachód Tatry, ten odrębny świat, którego ogólne zarysy już naszkicowaliśmy. Wracając ku wschodowi, napotka dawne, podupadłe gniazda kultury średniowiecznego niemieckiego mieszczaństwa, Biecz i Krosno, odznaczające się pięknemi kościołami i ratuszami, aż znowu samotny gościniec doprowadzi go do Rzeszowa i kolei Karola Ludwika. Pańskie zamki w Łańcucie (hr. Alfreda Potockiego) i w Przeworsku (ks. Lubomirskich), ruchliwy jeszcze do handlu Jarosław z pięknemi gmachami klasztornemi, zaprowadzą go na ziemię ruską, do Przemyśla, niegdyś rezydencyi udzielnego księstwa.

Miasto to, zasobne w kościoły, siedziba dwóch biskupstw, położone nad Sanem, przedstawia imponujący widok. Czuje się, że się jest w obliczu nowego świata, gdzie pierwiastki staroruskie stapiają się ze staro- i nowopolskiemi; wielki kurhan za miastem zdaje się być ostatnim drogowskazem tatarskich hord, które tak długo były postrachem Czerwonej Rusi. W bok od Przemyśla dostrzegamy rezydencyę Sapiehów, Krasiczyn, i starą ruinę Dobromil, gniazdo

[1]) Po mianowaniu d-ra Zyblikiewicza marszałkiem krajowym wybrano na prezydenta miasta Krakowa d-ra Ferdynanda Weigla.

potężnego a intelligentnego rodu Herburtów; przesuwamy się przez wspaniałe ogrody Medyki i wstępujemy na terren walk Sobieskiego z Turkami. Mościska i Sądowa Wisznia przypominają ostatnią podróż cesarską; to drugie miasteczko było niegdyś miejscem obrad sejmików województwa ruskiego, na których dysputowano dużo a często gęsto też rąbano, co się zowie.

Coraz bliżej, przejeżdżając przez Gródek nad jeziorem, posuwamy się ku stolicy, do Lwowa. Z daleka znać na horyzoncie piękną kopułę greckiego kościoła metropolitalnego św. Jura. Ogólny widok rozłożonego w kotlinie miasta, które pokrywa otaczające pagórki wysokiemi budynkami i cienistemi ogrodami, sprawia wielkie wrażenie i ma cechy właściwe wschodowi. Góra zamkowa (Franciszka Józefa), z nader pięknym widokiem, gęsto zalesiona, wznosi się naprzeciw wzgórza św. Jura. Lwów nie posiada pięknych starych gmachów, ale w promieniach słonecznych świeci się pokaźnie renesansowa wieża cerkwi wołoskiej, katolicka katedra metropolitalna, piękny klasztor bernardyński i wysoka wieża ratuszowa. Nieszczęsną rękę miała architektura piątego dziesiątka lat tego wieku, zeszpeciwszy Lwów jednostajnym stylem koszarowym: dopiero ostatnie dziesiątki lat powznosiły piękne gmachy, jakoto: Akademii technicznej (Zachariewicza), Banku hipotecznego (Pokutyńskiego), sejmowy (Hochbergera). Gmach sejmowy, imponujących rozmiarów, wznosi się w najokazalszej dzielnicy, przenosząc wysoko sąsiednie trzechpiętrowe kamienice, frontem zwrócony do ogrodu miejskiego, ozdobiony pięknym metoponem i dwiema kopułami w narożach; wnętrze, zwłaszcza westybul ozdobiony statuami i sala posiedzeń udały się najzupełniej. Salę posiedzeń przyozdobi arcydzieło Matejki: „Unia lubelska“, tudzież portrety marszałków krajowych: Sapiehy, Dzieduszyckiego, Alfreda Potockiego i Ludwika Wodzickiego.

Po grobowej nieraz ciszy Krakowa mile uderza lwowski ruch, pełen życia i turkotu. Czuje się, że się jest w stolicy prowincyi, gdzie tętna życia pulsując skupiają się. Głównem boiskiem tego życia jest wielka ulica okrężna od t. zw. Krakowskiego przedmieścia aż do Namiestnictwa; tutaj widzi się w chaotycznej pstrokaciznie wytworne pojazdy z wybitnie pięknemi okazami koni, elegancki świat i zarazem czarne tłumy żydowstwa, nie bardzo po europejsku wyglądające, a które nadpływają od przedmieść i z żydowskiej dzielnicy Zarwanicy. Tę demokratyczną mięszaninę możnaby nawet uważać za jednę z głównych cech miasta i możnaby się z tem najzupełniej oswoić, gdyby przytem przestrzegano niezbędnych przynaj-

mniej warunków przywiązanych przeciętnie do pojęcia europejskiego miasta i gdyby z półpięter domów z wytwornemi sklepami i znakomitemi cukierniami usunięto nie bardzo wonne szynki!

Ale nie zaprzeczamy bynajmniej, że miasto poczyniło znaczne i bardzo szybkie postępy. Od r. 1848 oddaje Lwów życiu narodowemu jak najlepsze służby, jako ognisko znacznego ruchu, któremu dali początek Szajnocha, Bielowski, A. Borkowski, K. Ujejski, J. Zacharyasiewicz, B. Łoziński, Z. Kaczkowski, M. Romanowski swojemi pracami literackiemi, a rozszerzając swój zakres, objawia się dzisiaj życiem politycznem wartkiem, kipiącem, nieco młodzieńczem. Niesłychanie ruchliwe a namiętne dziennikarstwo owładnęło miastem i szerokiemi kołami czytelników na prowincyi; nie walcząc w imię zasad, jak dziennikarstwo krakowskie, miało przedewszystkiem na pieczy propagandę żywiołu narodowego, ażeby go zrobić jak najpopularniejszym w mieście, na które oddziałały bardzo wpływy niemieckie i ruskie. Do tego najstosowniejszą drogą zdawała się demokracya i w ogóle wszystko, co drastyczne, a najlepszą bronią dowcip i satyra. Przy boku starego patryarchy dziennikarstwa wyrosły nowe siły, a wśród nich pierwszorzędne zdolności humorystyczne, jak Jan Lam, autor lwowskich kronik niedzielnych i tryskających dowcipem powieści na tle życia galicyjskiego. Dziennikarska falanga, jakkolwiek pogrążona w ustawicznej walce konkurencyjnej, pilnowała jednak wspólnego celu i okazała przy niejednem politycznem zawikłaniu potęgę, z którą trzeba się było koniecznie liczyć. Dziś zapewne spełniła ona już swe zadanie; co roku mnożą się żywioły usuwające się z pod jej wpływu; na koła prawdziwych polityków Galicyi miała ona wpływ bardzo nieznaczny. Jaskrawy fakt, że dziennik urzędowy, „Gazeta Lwowska“, pod mistrzowską redakcyą Wład. Łozińskiego, nagle coraz więcej liczyła prenumeratorów, uśmierzył znacznie ton dzienników, a wzorowe ich zachowanie się podczas podróży cesarskiej okazało, że pełne zdolności gorączki lwowskie dały sobie nałożyć wędzidło kategorycznemu głosowi opinii prowincyi i trafiły szczęśliwie na umiarkowańsze tory.

Mówiliśmy już o naukowych i artystycznych siłach Lwowa; specyalnością miasta jest muzyka, która przez starego mistrza Mikulego, ucznia Chopina, snuje dalej dawną tradycyę, pochodzącą z czasów słynnego skrzypka i kompozytora Karola Lipińskiego. W Towarzystwie muzycznem można usłyszeć Mozarta, Glucka, Beethovena jak najlepiej wykonanych. Natomiast opera, umieszczona w gmachu Skarbkowskiego teatru, ogromnym co do rozmiarów, ale z czasów

zepsutego smaku pochodzącym, pozostanie egzotyczną rośliną, zabierającą najżywotniejsze soki dramatowi i komedyi. A jednak teatr ten miał swój okres złoty, kiedy to wybitni aktorowie: Smochowski, Benda, Nowakowski, Aszpergerowa, przypominali najlepsze czasy wiedeńskiego nadwornego teatru.

Wytworny świat Krakowa podnosi znacznie obecność zagranicznych rodzin polskich: we Lwowie widzi się właściwe bogactwa krajowe właścicieli wschodnio-galicyjskich latyfundyów. Tutaj też lubią oni okazać szlachetną gotowość na cele publicznego dobra. Obok Zakładu narodowego im. Ossolińskich mamy Muzeum przyrodnicze hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, dwie instytucye, wspaniale nawzajem się uzupełniające. Biblioteka z 70.000 dzieł, własna drukarnia i znaczne kapitały ułatwiają w Ossolineum znakomicie historyczne studya i publikacyę ich; na stanowisku dyrektorów czynnymi byli z korzyścią dla sprawy znakomici mężowie: Batowski, Maurycy Dzieduszycki, August Bielowski, Wojciech Kętrzyński. Zbiór starych obrazów, zbroi, wykopalisk, przedstawia plastycznie dziejowy żywot Galicyi wschodniej. Muzeum Dzieduszyckich zawiera zbiór okazów przyrodniczych, utrzymywany z książęcym przepychem a uporządkowany według najnowszych wymagań nauki i łączy się z kosztowną biblioteką, obejmującą niemal wszystkie nowsze dzieła przyrodnicze. Mają tu też swoje działy etnografia i przemysł krajowy wraz ze znaleziskami archeologicznemi tego zakresu, co wszystko każe zaliczyć ten zakład do najciekawszych w Austryi. Biblioteka i zbiór miedziorytów p. M. Pawlikowskiego, tudzież zbiór druków i rękopisów hr. Baworowskich, otwarte są do użytku publicznego, podczas gdy ruski Dom Narodny, dar cesarza, zawiera specyalnie ruskie zbiory.

Cały szereg zakładów dobroczynnych we Lwowie łączy się z imieniem zgasłego marszałka krajowego. Leona Sapiehy, i jego wielkodusznej wdowy: szpitale, schroniska dla ubogich i sierot. Była już mowa o wielkiej fundacyi hr. Skarbka w Drohowyżu. Tak w różnych dziedzinach znaczy się czynami dobra wola polskiej arystokracyi, a odznaczają się nią też mniej zamożne warstwy, służąc publicznemu dobru lub pełniąc uczynki miłosierdzia nader licznemi składkami.

Życie polityczne, administracyjne i ekonomiczne Galicyi ma we Lwowie z natury rzeczy swoje ognisko. Ożywiony nader obraz przedstawia się tu zwłaszcza podczas sejmu, którego peryod jednak zwykle bardzo kuso bywa odmierzany; jeszcze większe ożywienie panuje

podczas wyborów do sejmu lub do Rady państwa. Uliczne wędrowne kapele, wózki z nazwiskami kandydatów, afisze amerykańskich rozmiarów, ba! nawet bójki — choć niekrwawe — przypominają Anglię lub Węgry; korowody z pochodniami, serenady, biesiady z toastami od dawna już się przyjęły we Lwowie. Pełne taktu stanowisko władz umie utrzymać to wszystko w granicach dozwolonych; statyści umieli też na politycznych stanowiskach znieść wcale statecznie łaskę i niełaskę opinii publicznej. Cicha a wytrwała działalność Wydziału krajowego, poważne prace zawodowe licznych ankiet i komisyj, które miały opracować poszczególne ważne działy spraw publicznych, wreszcie prace biura statystycznego, służące krajowi za zwierciadło, sprawiły, że usposobienie szerszych kół stolicy stawało się z roku na rok coraz wyższem nad owo kręcenie słów i czczą swadę, na którą zwykło się było przed niedawnym czasem łapać umysły. Najlepsze żywioły miasta, które wycofały się z politycznego ruchu opanowanego przez agitatorów, powracają do życia politycznego i to niezawodnie z wielką korzyścią dla publicznej sprawy.

Oprócz Lwowa dwa jeszcze miasta Galicyi wschodniej okazują znaczny rozwój. Są to: Tarnopol przy kolei żelaznej lwowsko-brodzkiej, właściwa stolica Podola, i Stanisławów przy kolei czerniowieckiej, który po ostatnim pożarze, dzięki energii burmistrza Ignacego Kamińskiego, nietylko odbudowany ogniotrwale, ale też przybrał, o ile się dało, europejskie pozory. Oba miasta stanowią znaczne rynki handlowe, a Tarnopol zagraża prześcignięciem Brodom, o co tem łatwiej, że kolej Karola Ludwika stara się o połączenie Tarnopola z Husiatynem. Znaczny historyczny interes budzą miejscowości złączone z pamięcią imienia Sobieskiego: Olesko, stary gród ruski od roku 1327, miejsce rodzinne polskiego bohatera, Złoczów i Żółkiew, niegdyś własność rodu Sobieskich. Jestto zasługą kanonika Nowakowskiego, żółkiewskiego proboszcza, że odnowił piękny kościół parafialny z licznemi pomnikami przodków Sobieskiego. Ściany prezbiteryum zdobią olbrzymie obrazy włoskich malarzów, przedstawiające bitwy pod Kłuszynem, Chocimem, Wiedniem i Parkanami. Prawdziwej rozkoszy artystycznej dostarczają Podhorce, rezydencya Koniecpolskich i Rzewuskich, obecnie posiadłość księcia Eustachego Sanguszki. Zamek zachowany wybornie, imponujących rozmiarów, przypomina najpiękniejsze francuskie budowle pałacowe XVII. wieku. Podhorce zatrzymały pierwotne umeblowanie, posiadają znaczną bibliotekę i świetną zbrojo-

wnię z 24 kompletnemi rynsztunkami konnych huzarów. Dawna rezydencya Sieniawskich, Brzeżany, zaciekawiają jeszcze w dzisiejszym stanie upadku godną uwagi kaplicą zamkową w pięknym renesansie z pomnikami grobowemi. Trębowla, Zbaraż, Zborów, Buczacz, Jazłowiec przechowały sporo osobliwości z dawnych czasów: niestety opieka nad pomnikami sztuki była w Galicyi wschodniej bardzo niedbałą. Do historyi ruskiej mają szczególne znaczenie Halicz i Skit (w powiecie bohorodczańskim). Galicya stanowi w ogóle rozległe a wdzięczne pole do badań historyi sztuki i archeologii, jak o tem świadczą liczne wykopaliska, przedsiębrane z Krakowa, bliższe oznaczenie wału Trajana w powiecie kołomyjskim i wykopalisko t. zw. Michałkowskie, tamże (własność hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego). Składa się ono ze złotej korony, z mnóstwa złotych ozdób najrozmaitszych form, z dwóch agraf złotych w kształcie smoka, a nic jest do dziś dnia zdeterminowane. Nam wydało się najbliższem starych wyrobów złotniczych samarkandzkich; naprowadza na to porównanie z podobiznami analogicznych przedmiotów w Ermitażu petersburskim.

Kończymy swą pracę pod świeżem wrażeniem podróży cesarskiej po Galicyi, zdarzenia tak pamiętnego dla tej krainy, które w pełnem świetle okazało szczere jej przywiązanie do osoby Monarchy, a niemniej też wielkoduszne uczucia Tegoż ku prowincyi tak rozmaicie sądzonej. Z natury rzeczy zwiększy się zajęcie Galicyą w ślad za zajęciem, które raczył okazać władca potężnego mocarstwa, i zapewne ułatwi tej skromnej rozprawie wstęp do szerszych kół czytelników. Nie bez obawy spostrzega autor, że w ten sposób wydany jest na łup publicznej uwadze; na pociechę ma świadomość, że krótkie to sprawozdanie o kraju koronnym Galicyi ułożył według najlepszego swego przekonania *sine ira et studio* i że traktował jak najobjektywniej główne momenty jego istnienia i rozwoju, na których spoczął wzrok Monarchy podczas tej istnie tryumfalnej podróży.

W listopadzie 1880.

DODATEK.

Dzieje literatury polskiej i ruskiej.

Przejrzawszy krytycznie to wszystko, co dotychczas w tej pracy podaliśmy, doszliśmy do przekonania, że należy koniecznie dać w niniejszym dodatku krótki zarys literatury polskiej i ruskiej. Wskazaliśmy już wprawdzie najważniejsze momenty z dziejów cywilizacyi tych sięgających daleko poza granice Austryi ludów, ale było to zawsze w sposób niedostateczny do poznania ich właściwej literackiej twórczości. A nie ulega wątpliwości, że w literackiej działalności objawia się właśnie ten zasób twórczości pewnego narodu, który zawisł wprawdzie od czynników oświaty w ogóle, niemniej atoli na wysokim nawet stopniu wykształcenia, od zdolności i owych porywów wewnętrznych, przez które dopiero lud wznosi się twórczo w dziedzinę sztuki. Wydatność tej twórczości w zakresie poezyi poucza nas nietylko o tem, co pewien lud zdoła wykonać w danym czasie, ale też odsłania nam poniekąd tajemnice jego przyszłości, gdyż rozwój literatury i umysłowego ruchu nie bywa — z najrzadszemi tylko wyjątkami — podzwonnem na pogrzebie innych objawów życia: z reguły zwykł bywać (jak to np. było w Niemczech) jutrzenką i zaraniem pełni życia.

Jestto wręcz niemożebnem, żeby w tym zarysie literackiego życia zamknąć się w politycznych granicach Galicyi, i to tak co do utworów polskich, jakoteż ruskich. Nie można nawet pójść tą drogą, której użyliśmy do historycznego przeglądu wydarzeń odnoszących się do naszego kraju koronnego, t. j. kładąc nacisk na chwile dziejowe, związane z ziemią galicyjską. Praca umysłowa narodów, złożona w ich literaturach, to praca żyjącego organizmu:

nie da się podzielić mechanicznie, a poznawać się daje tylko w całości i przez tę całość.

Z drugiej strony po raz pierwszy podobno zestawi się tutaj literaturę polską i ruską w jednym obrazie. Mylnem byłoby mniemanie, jakoby do tego zestawienia jedynym powodem było to, że wypadło nam pisać o Polakach i Rusinach w Galicyi. Literatura ruska splata się z polską o wiele ściślej, niż się to zwykle przypuszcza; nietylko, że obie pojmować można tylko na tle jednej wspólnej historyi, ale one mają też cechę zasadniczego przeciwieństwa do duchowego rozwoju Rosyi, wykluczającego rozwój samoistności ruskiej w dziedzinie języka i literatury. Indywidualizm ruski nie ma w dziedzinie umysłowej innego wyboru, jak tylko przyłączyć się w ciężkich zapasach o byt narodowy do polskich szeregów, lub rozpłynąć się samobójczo w żywiole, który istnieniu jego konsekwentnie przeczył.

Starosłowiańskiemu językowi cerkiewnemu przypisać należy, że utwory ruskie wyprzedziły o kilka wieków objawy twórczości polskiego umysłu.

Już w wieku XI. i XII., w ożywionej łączności z Carogrodem i Bułgaryą, pojawia się w Kijowie ruch umysłowy, zaznaczający się w poezyi, historyi i prawie publicznem. Poemat bohaterski „Słowo o pułku Igora“, odznaczający się śmiałością, siłą i wdziękiem tak myśli jak niemniej wyrażeń, jest niewątpliwie jedyną resztą pozostałą z epicznych rapsodów wywołanych w wojowniczym okresie, rozkwitem potęgi i przedsiębiorczością książąt południowej Rusi. Do „Prawdy ruskiej“ Jarosława Wielkiego (1018—1054), zbioru praw o niezmiernej doniosłości historycznej, przyłącza się kronika Nestora (1056—1136?), mnicha kijowskiej Ławry Peczerskiej, która pociągnęła za sobą nieprzerwany niemal szereg roczników ruskich i ruskolitewskich, sięgający aż do XVI. wieku. Wiadomo, że niemiecki uczony August Ludwik Schlözer z początkiem tego wieku poznał się i ocenił wartość i znaczenie Nestora [1]). Najnowsze badania rozróż-

[1]) Nestor: „Russische Annalen in ihrer slavonischen Grundsprache, verglichen, übersetzt und erklärt von A. L. S.“ Göttingen 1802—1809 (5 części). Ta słynna praca, gdzieniegdzie namiętna, której hipotezy wywołały wielkie wrażenie, jest już przestarzałą. Por. „Historyę Rosyi“, przez Bjestjużewa-Rjumina, I. 3. (tłum. niem. Mitawa 1877).

niają w kronice Nestora wiele starszych części składowych, nie odmawiając jednak domniemanemu autorowi całości autorstwa także kilku przynajmniej epizodów wielkiej wartości, pomiędzy któremi legenda o św. Borysie i Glebie i o św. Teodozyuszu.

Największa atoli część utworów literackich zalicza się do teologii, etyki i historyi kościelnej. Tu należą homiletyczne pisma Łukasza Szidety († 1059), historyczno-pedagogiczna rozprawka Włodzimierza Wszewołodowicza Monomacha, zwrócona do synów († 1125), pielgrzymka Daniela Połomnika do Jerozolimy (XII. wiek), legenda o świętych Ławry Peczerskiej (Paterikon, XIII. wiek), mowy synodalne kijowskiego metropolity Cyryla († 1281), „pełne uczucia i prawdziwej wymowy". W miarę jednakże, jak od wielkiego najazdu Mongołów w XIII. wieku polityczne życie Rusi południowej, z wyjątkiem chwilowej świetności Halicza, ulega Tatarom a następnie Litwinom, stają się też rzadszemi i słabszemi utwory oryginalne; nauka i piśmienność w ogóle znajdują jedyne schronisko po klasztorach i doczekały się lepszych dni dopiero pod rządami Polski. Przekazana nam w rękopisach erudycya opiera się na wskróś na bizantyńskich podstawach: teologii służą za podstawę dzieła Jana z Damaszku, historyi Hamartolos, Malalas, Poläen, a wreszcie encyklopedya mnicha Antoniego, zwanego Melissa (pszczoła).

Te cenne karty historyi literatury ruskiej wsuwa się dzisiaj do literatury rosyjskiej, zalicza się do niej Nestora, tudzież kroniki halicko-wołyńskie i litewskie. A jednak język cerkiewny tych utworów ma charakter wybitnie ruski, a przecież ruskie księgi cerkiewne wychodzą w Krakowie już w roku 1491, podczas gdy w Moskwie, w stolicy państwa rosyjskiego, dopiero w roku 1564 zjawia się pierwsza książka w druku [1]).

Polacy są skutkiem swego położenia geograficznego i późnego wystąpienia na arenę dziejową, co można datować od pierwszego starcia się z Niemcami (963), najmłodszym narodem w kole zachodniej cywilizacyi. Jako tacy pozostają też najdłużej w łacińskiej szkole średniowiecza i w przeciwieństwie do wczesnego rozwoju literatury czeskiej mogą się wykazać tylko bardzo późnemi stosunkowo

[1]) Gennady: „Ruskaja istoriczeskaja bibliografia". 1854.

pomnikami językowemi, które nie wykraczają poza wiek XIV., podczas gdy właściwy rozwój literatury narodowej wypada dopiero na wiek XVI. Szczególna rzecz, że ten rozwój staje się od razu rozkwitem, a literatura polska XVI. wieku jest Minerwą, która dorasta i zbrojna wyskakuje od razu z ducha narodu, co tylko tem się tłumaczy, że oświata na łacińskiej oparta piśmienności była bardzo znaczną, a wykształcenie języka ojczystego za pomocą ambony i sejmu dozwalało wystąpić w druku z językiem wyrobionym do użytku literackiego. Tak tedy trzeba literaturę polską poprzedzić w myśli rozwojem łacińskiej i to tem bardziej, że nie znika ona po pojawieniu się polskich utworów i można śledzić jej przebieg aż do XVIII. wieku, w ścisłym związku z życiem narodowem. Tak np. aż do tego czasu opracowuje się przedmioty prawnicze i polityczne przeważnie w języku łacińskim, podobnież dzieła historyczne. Pod tym względem podobne są bardzo do polskich stosunki węgierskiej kultury.

Piastowski okres aż do Kazimierza W. ogranicza się wyłącznie na oświatę kościelną i utwory pióra duchownych osób. Wiek XII. (do r. 1113) daje nam najstarszą kronikę polską, dostarczoną przez francuskiego mnicha Marcina Galla, po której następuje w wieku XIII. kronika Wincentego Kadłubka, biskupa krakowskiego († 1223), a w jej sposobie opracowania odbija się wiernie narodowy i polityczny kierunek Małopolski, zwłaszcza tamtejszego duchowieństwa. Do tegoż kierunku należy *Vita sancti Stanislai* przez Wincentego z Kielc (około 1252), podczas gdy Boguchwał, biskup poznański (1242) i Baszko, kustosz katedralny poznański (około 1252), dają obraz stosunków wielkopolskich w t. zw. Kronice Wielkopolskiej. Różne polskie ułomki i roczniki klasztorne, przeróbki Kadłubka w *Chronicon principum Poloniae* i w *Chronicon polono-silesiacum,* zapełniają ten okres, w którym nadto wymienić można Marcina Polaka († 1279), autora Kroniki Powszechnej, i Viteliona (Witek z Krakowa), autora ważnego w historyi nauk dzieła o optyce (około 1250).

Kazimierz Wielki, który uwieńczył swą pracę cywilizacyjną założeniem uniwersytetu w Krakowie, a to nakształt bolońskiego (1364), może uchodzić za pierwszego, który nadał oświacie szerszą i bardziej świecką podstawę przez widoczne popieranie stu-

dyów prawniczych, a zwłaszcza prawa rzymskiego. Prawodawstwo jego, składające się z czterech chronologicznie różnych statutów, jest pomnikiem noszącym niewątpliwie cechy wpływu prawa rzymskiego; hojne uposażenie ośmiu katedr prawniczych, obok dwóch dla medycyny i jednej filozoficznej, jest wskazówką, do czego zmierzał i jakie potrzeby miał na oku, zakładając uniwersytet. Dopiero w roku 1397 przyznaje uniwersytetowi bulla Bonifacego IX. wydział teologiczny, poczem zabrano się w r. 1400 do odnowienia uniwersytetu według wzoru paryskiego, a więc na podstawie klasztornego niemal urządzenia kollegiów. Godne uwagi, że pierwsze lata odnowionego uniwersytetu uświetniają właśnie prawnicze znakomitości, taki Paweł Włodkowic, poseł polski na soborze kostnickim i obrońca polskiej sprawy przeciw Zakonowi krzyżackiemu; taki Stanisław ze Skarbimierza, Decretorum doctor, świetny scholastyczny mówca i kanonista. Czasy Kazimierza W. pozostawiają po sobie następnemu pokoleniu grono zręcznych dyplomatów i biegłych prawników, którzy przysłużyli się wielkim sprawom pierwszego okresu jagiellońskiego i oddawali doniosły swój głos na widowni wielkich kongresów europejskich.

Doba ta ma też ciekawego historyka. Janko z Czarnkowa, archidyakon gnieźnieński i podkanclerzy wielkopolski, wznosi Kazimierzowi W. *monumentum aere perennius* w swej opowieści prostej, a jednak jędrnej i wyrazistej. Podobny do współczesnych pisarzów włoskich i niemieckich, podaje nam pessymistycznie nad wszelki wyraz historyę panowania Ludwika Wielkiego Węgierskiego w Polsce, w rozdziałach krótkich, obfitujących w anegdoty, sunących się szybko z jednego przedmiotu na drugi, przyczem, a widocznie mimowoli, przedstawia nam zręczność polityki małopolskich wielmożów w przeciwieństwie do wielkopolskiej anarchii. Możnaby go nazwać nie bez słuszności pierwszym dziejopisem popularnym, jakkolwiek używał języka łacińskiego.

Złoty okres małopolskiego możnowładztwa urywa się na potężnym wzroście hierarchii kościelnej w osobie wielkiego biskupa krakowskiego XV. wieku, Zbigniewa Oleśnickiego. On to obok Kazimierza W. stanowił tę potęgę, która nadała cechy następnemu okresowi. Wśród wielkiego rozdwojenia Kościoła podczas soboru bazylejskiego neutralnym będąc przez dłuższy czas, staje w r. 1447 po stronie Mikołaja V., w czem zresztą nie wyprzedza króla Kazimierza Jagiellończyka, podczas gdy uniwersytet krakowski, którego był kanclerzem, trzyma się mistycznej doktryny o su-

premacyi soborów, a broniąc tej tezy, rozwija na bazylejskim soborze uznaną i wsławioną uczoność dzięki doktorom Wawrzyńcowi z Raciborza, Janowi Elgotowi, Tomaszowi Strzempińskiemu. Biskup-kardynał doczekał się końca sporu, załatwionego przez abdykacyę Feliksa V., a zdołał on też żelazną dłonią powstrzymać husyckie zapędy w łonie uniwersytetu, reprezentowane tu przez Andrzeja z Dobczyna, profesora wydziału filozoficznego. Zbigniew, przyjaciel i korespondent Eneasza Silwiusza Piccolomini (późniejszego papieża Piusa II.), jest też przyjacielem humanizmu, sprowadza do Polski klasyczne kodeksy, zakłada przy uniwersytecie olbrzymią bursę Jerozolimską z utrzymaniem dla stu uczniów bez różnicy narodowości. W r. 1449 powstaje nowe kollegium hojnością Jana Dąbrówki, dziekana wydziału filozoficznego, poświęcone przeważnie studyom klasycznym. Kultura i literatura drugiej połowy XV. wieku nosi na sobie cechy przeważnie humanistyczne, toteż nie obeszło się bez tego, że zwracała się przeciw średniowiecznemu hierarchizmowi Zbigniewa Oleśnickiego. Jan Długosz, kanonik krakowski, zmarły 1480 roku jako arcybiskup-nominat lwowski, jest mężem, który w swem wielkiem dziele historycznem, poświęconem dziejom Polski, udzielił głosu kościelno-politycznym myślom Oleśnickiego. Długosz w pierwszych dwunastu księgach jest kunsztownym, ale często nie dającym należytych rękojmi kompilatorem materyału rocznikarskiego i kronikarskiego, jakkolwiek także dyplomatycznego, starającym się o to, żeby historyę oprzeć na podstawie geograficznej i nadać jej układ pragmatyczny na wzór Tytusa Liwiusza; w księdze XIII. staje się pisarzem współczesnym i opracowuje swój wiek ze stanowiska religijno-moralnego swego biskupa, którego był sekretarzem i przyjacielem. Obok tego głównego dzieła pozostawił szereg prac mniejszych, nadzwyczaj cennych dla historyi. W dobie sterującej ku nowożytnym pojęciom stoi ten znakomity mąż samotnie, a jak czasy i pojęcia zmieniły się wkrótce po jego śmierci, dowodem, że pracy jego aż do r. 1715 nigdy w zupełności nie wydano, jakkolwiek korzystano z niej pełną dłonią.

Nowy kierunek, który poznać się daje klasyczną tezą: *Salus reipublicae suprema lex esto,* objawia się w ciekawym pisarzu politycznym Janie Ostrorogu, wojewodzie poznańskim († 1501), autorze dzieła: *Monumentum pro ordinanda republica congestum* (1477). Ostroróg, monarchista i arystokrata zarazem, upatruje postęp państwa w należytem uporządkowaniu służby wojskowej i — w emancypacyi od wpływów kuryi rzymskiej. Tego samego stanowiska broni

Filip Kalimach Buonacorsi, humanista włoski bawiący od r. 1471 na polskim dworze, niegdyś uczestnik spisku Pomponiusza Laetusa przeciw Pawłowi II. Trzecim reprezentantem tego kierunku jest Grzegorz z Sanoka, arcybiskup lwowski (1477), którego filozoficzne i polityczne zapatrywania wyłuszcza nam Filip Kalimach w swej *Vita Gregorii Sanocensis*. Grzegorz interpretuje już 1431 r. w krakowskim uniwersytecie Bukoliki i Georgica Wirgiliusza, występuje jako poeta łaciński, a kierunek jego zyskuje gorliwych naśladowców, którymi są: Michał z Wielunia, Corvinus Novoforensis, Jan Ursinus, Aesticampianus, Jan Sacranus iunior. Zjawiają się w Krakowie cudzoziemscy humaniści, jak np. Konrad Celtes, Bebelius, Eobanus, Hessus, w r. 1489 zakłada się Sodalitas Vistulana literaria. Namiętny spór humanizmu ze scholastyką sięga do pierwszych dziesiątek lat XVI. w. i podkopuje rozwój kwitnącego uniwersytetu. Szczególniejsza rzecz, że na te czasy walki dwóch światów, średniowiecznego i nowożytnego, przypada wielki rozwój umiejętności matematycznych (Wojciech z Brudzewa, Michał z Olkusza, Mikołaj Kopernik z Torunia), a równocześnie ostatnie błyski scholastycznej abstrakcyi w osobach profesorów Jana z Głogowa, Michała z Bystrzykowa (Parisiensis) i Michała z Wrocławia.

Te czasy tak pełne ruchu umysłów poruszonych głęboko, kiedy to już w ostatnich dziesiątkach lat wieku XV., w co dopiero założonych drukarniach krakowskich wychodzą wydania klasyków obok rozpraw scholastycznych, kalendarze astrologiczne i *prognostica* obok dzieł matematycznych, te to czasy sprawiają nam niespodziankę także w historyi literatury ruskiej. Członek humanistycznej Sodalitas literaria Vistulana, Świętopełk Fiol, sporządza w Krakowie wydania obszernych ksiąg liturgicznych obrządku ruskiego, Czasosłowa, Ośmiogłośnika i psałterza (1490—1491); ma proces kanoniczny o herezyę przed juryzdykcyą biskupa krakowskiego, a niemal równocześnie spotykamy się ze sporem teologicznym co do powtórnego chrztu Rusinów i pisma, poświęcone wykryciu schyzmatyckich błędów (Joannes Sacranus: De erroribus Ruthenorum). Jak wiadomo, skutki unii florenckiej okazały się tylko w ziemiach państwa polskiego i to nie na długo. Upadek owego ducha kościelnej gorliwości, ożywiającej czasy Zbigniewa Oleśnickiego, absolutystyczna, a wroga Kościołowi polityka Kazimierza Jagiellończyka, natchniona ideami Ostroroga i Kalimacha, sprawiły, że lekceważono sobie wielką sprawę unii: król był surowym panem dla ruskich książąt udziałowych, ale sprzyjał ruskiemu żywiołowi i językowi; jego Sudebnik wyszedł w narzeczu

białoruskiem i podobnież językiem Statutu litewskiego, skodyfikowanego w latach 1522—1529, jest język ruski. Syn Kazimierza, Aleksander (1501—1506), żeni się bez papieskiej dyspenzy z księżniczką moskiewską, schyzmatyczką, a wiodąc spory z katolickimi, litewskimi panami, szuka oparcia w możnowładztwie ruskiem. W ten sposób rozwija się z zupełną swobodą ruska literatura teologiczna, jakkolwiek kiedyniekiedy zaczepiana, jako schyzmatycka: Franciszek Skorina, uczeń uniwersytetu krakowskiego, wydaje w Pradze (1517—1519), a następnie w Wilnie częściowe tłumaczenie Biblii, drukarnie wileńskie i ostrogskie dostarczają licznych ruskich dzieł z dziedziny teologii i chyba nikt nie będzie mógł mówić o ucisku ruskiego narodu, dowiadując się, że językiem urzędowym sejmów litewskich była rusczyzna, jak świadczą spisywane protokóły.

Na czasy Zygmunta I. (1507—1548) przypada świetna plejada poetów łacińskich, uczniów krakowskiego profesora poetyki Pawła z Krosna: subtelny a ironiczny Andrzej Krzycki (późniejszy arcybiskup gnieźnieński), wesoły Jan Dantyszek (biskup warmiński, poseł na dworze Karola V.), pełen uczucia Klemens Janicki (wieśniaczego rodu, protegowany wojewody Kmity), cięty epigramatyk Andrzej Trzycieski; wypełniają oni okres, w którym wewnętrzna polityczno-kościelna fermentacya zmierza do wyrażania swych myśli i uczuć w języku ojczystym. Obok nich stają humanistyczni także historycy: Bernard Wapowski, kanonik krakowski, niegdyś bywały na dworze papieża Juliusza I.; Justus Ludwik Decius, historyk rodu Jagiellonów; nieco później Marcin Kromer, biskup warmiński, autor obszernej historyi polskiej do r. 1507 i klasycznego statystycznego opisu Polski. Maciej Miechowita, lekarz i rektor krakowskiego uniwersytetu, bliższym jest średniowiecznego ducha w swej kronice Polski i w opisie „obojga Sarmacyj“. Obok tego wpływu studyów klasycznych nie można zapominać o wpływach włoskich, które wstępują na ziemię polską z małżonką Zygmunta I., Boną, księżniczką z domu Sforzów, a wypierając sztukę niemiecką wspaniałemi budowlami renesansowemi takiego Bartolomeo Berecci lub Gianmaria Padovano (zamek królewski w Krakowie, kaplica Zygmuntowska, Sukiennice), udzielają się w najbliższych lat dziesiątkach literaturze polskiej i wywołują przeróbkę Cortigiana Castigliona przez Łukasza Górnickiego, jako obowiązujący kodeks dworskiej wytworności.

Rok 1521 przynosi nam pierwszą znaną polską książkę, a mianowicie opracowanie znanego podania o Markulfie (Marchołcie), pod-

czas gdy ilość drukowanych już dzieł polskich autorów w języku łacińskim wynosiła około siedmiuset, według obliczenia Karola Estreichera. Jestto bardzo prawdopodobnem, że zaginęły drukowane przed rokiem 1521 drobniejsze wydania psalmów, modlitw i wierszy okolicznościowych. Ruch reformacyjny używa w najbliższym czasie języka polskiego, jako broni, a przez to zmusza też katolickich pisarzów, żeby tej samej broni używali. Podczas gdy koryfeusze ówczesnego ruchu umysłowego, taki Andrzej Frycz Modrzewski, Jakób Przyłuski, Wojciech Nowopolski, i podobnież pisarze katoliccy Hozyusz i Kromer używają jeszcze wyłącznie łaciny w swych rozprawach religijnych i kościelno-politycznych, równocześnie pisarz z takiem wysokiem wykształceniem humanistycznem, jak Stanisław Orzechowski, poszedł drogą popularnego Mikołaja Reja, i obrał dla swych dzieł polemicznych, przeznaczonych dla tłumów, język polski; w drugiej zaś połowie XVI. wieku, od roku 1550, nawet ustawodawstwo sejmowe zdecydowało się publikować swe konstytucye *in lingua vulgari,* w języku pospólstwa. Szereg znakomitych przekładów Biblii (Seklucyan, Leopolita, Radziwiłłowska, Brzeska, Budnego) uskutecznia się przez różnych sekciarzy walczących o prozelitów: naprzeciw katolickich ambon rozbrzmiewają kazalnice helweckie i aryańskie: a język zupełnie wyrobiony i jarzący w stylistyce naiwną siłą młodzieńczej świeżości tryska całemi strumieniami z krynic poezyi i prozy.

Rubaszny i domorosły Mikołaj Rej, urodzony w Żurawnie (w Galicyi) r. 1505, samouk, wychowany na pańskich dworach, nieobcy dworskiemu życiu na dworze biskupa Gamrata i króla Zygmunta I., natura rwąca się do życia a nawet nieokiełznana, bierze żywy udział w politycznym ruchu swoich czasów, bywa często posłem na burzliwych sejmach walnych, które miały do czynienia z tak zwaną egzekucyą praw, jest jednakże przedewszystkiem namiętnym szermierzem nowej ewangelii i wrogiem duchowieństwa, pewnym rodzajem polskiego Ulryka von Hutten; on to uchodzi zwykle za patryarchę polskiej literatury XVI. wieku. Pochwały sypane jego geniuszowi, zestawienia z Montaignem i t. p. są zapewne przesadnemi: pisarz ten niedomaga w prozie na tautologię, a w wierszach na brak jakiegokolwiek poczucia estetycznego i pozostaje daleko w tyle poza uczeńszymi współczesnymi, piszącymi po łacinie: niemniej przeto reprezentuje wybornie poziom ówczesnego ruchliwego szlacheckiego tłumu, wdaje się śmiało w roztrząsanie współczesnych zagadnień, a w swem naiwnem wielopisarstwie rozwija ruchliwość umysłu, która

nas doskonale wprowadza wprost w wir ówczesnego życia. Rozpoczyna swą karyerę pamfletem antykościelnym: „Dyalog pana, wójta a plebana“ (1543), próbuje swych sił w dziedzinie dramatu: „Żywot Józefa patryarchy“ (1545), który rozwałkować zdołał aż na 12 aktów, przepełniając w naiwny sposób anachronizmami z czasów chrześcijańskich; zabiera się śmiało do zredagowania zbioru kazań (Postylla 1556), poczem puszcza w świat dzieło o Apokalipsie (1565), pełne naiwnej, ale rubasznej polemiki z Kościołem katolickim. Ulubionym jego przedmiotem jest jednak filozofia moralna; w „Wizerunku własnym żywota człowieka poczciwego“ (1558) każe filozofom starożytnym rozwijać swoje ideały, w „Zwierzyńcu“ (1562) posługuje się formą allegoryj ze świata zwierzęcego, w „Zwierciedle“ czyli „Żywocie człowieka poczciwego“ rozwija moralność pozwalającą używania, ale przestrzegającą miary i strzegącą granic roztropności, a to wszystko w obrazach wziętych z *aurea mediocritas* ziemiańskiego szlacheckiego żywota. Zwraca uwagę okoliczność, że z tego głównego dzieła wykluczył wszelką polemikę religijną, oparłszy je na ogólnym deizmie chrześcijańskim. Dołączone wiersze politycznej treści przynoszą zaszczyt — wcale nie poetycznym jego zdolnościom, ale zrozumieniu politycznego stanu kraju. Przemawia za założeniem publicznego skarbu, pomnożeniem wojska i ograniczeniem wolnej elekcyi. Sposób przedstawienia w prozaicznych pismach Reja jest — prócz tautologii, o której już była mowa — barwny, a gdzieniegdzie znać znakomity zmysł spostrzegawczy. Z ostatniego dzieła można wnosić, że obmierzły mu wybryki religijnych sekciarzy.

Prozy Rejowskiej najbliższem chronologicznie jest arcydzieło polskiej prozy, wspomniany już „Dworzanin“, ułożony według Cortigiana Castigliona, wydany w r. 1566; zaćmiewa też to dzieło prozę Reja, odznaczając się wielką biegłością literacką i wytwornością wykładu a niedoścignią czystością i wyrobieniem języka. Łukasz Górnicki, sekretarz Zygmunta Augusta († 1602), jest naturą cichą, artystyczną, z charakterem szlachetnym ale biernym, polityk z doskonałym sądem o sprawach, biegły w europejskiej dyplomacyi tamtych czasów. Pisma jego polityczne: „Dyalog o wolnej elekcyi“ i „Droga do wolności“ wyszły dopiero po śmierci autora. Widzi zagrażającą anarchię i stara się zaradzić, zalecając włoskie ustawy państwowe, zwłaszcza wenecką. Jako dziejopis współczesnych czasów zajmuje się głównie anegdotyczną stroną przedmiotu; i te małe „Dzieje w Koronie“ wyszły dopiero po jego śmierci.

Trzecim współczesnym Reja jest Marcin Bielski († 1575), autor

Kroniki Powszechnej w języku polskim, do której dołączył przeróbkę pracy Wapowskiego. Syn jego Joachim dorobił dalszy ciąg w duchu katolickim do dzieła ojca, który był zwolennikiem reformacyi. Bielski wytworzył styl historyczny prosty a jednak pełen wdzięku; wydanie jego kroniki przypada na pierwsze czasy Reja. Napisał też, jako przeróbkę z Gualtera Buleigha, cykl biografij starożytnych filozofów i nieco wierszy.

Naprzeciw tym patryarchom polskiej literatury ustawić teraz wypada najważniejszych z pomiędzy współczesnych im, piszących po łacinie. Przedewszystkiem wymienić tu należy Stanisława Orzechowskiego, który pisał po części, jak już powiedziano, także po polsku. Orzechowski jest pochodzenia ruskiego (gente Ruthenus, natione Polonus, jak sam o sobie powiada), uczył się na protestanckich uniwersytetach i przybył w roku 1532 do Włoch. W r. 1543 został księdzem świeckim. Obracał się on przez czas dłuższy w kołach humanistów polskich, skłaniających się wybitnie do reformacyi (Przyłuski, Modrzewski, Trzycieski), dał się poznać jako pisarz, wystąpiwszy przeciw powtórnemu chrztowi Rusinów i przeciw celibatowi, zerwał z powodu tych doktryn z biskupem przemyskim Dziaduskim i ożenił się w końcu z szlachcianką. Ponieważ zresztą okazywał się zawsze papieżnikiem, a zdawał się niebezpiecznym jako przywódca religijnego ruchu, traktowała go reszta biskupów i sam Rzym nawet jak najwzględniej, a on sam wszedł na tory teologicznej polemiki w r. 1562 pamfletem p. t. *Chimaera,* drukowanym po łacinie i po polsku, zwróconym przeciw włoskiemu Aryaninowi Franciszkowi Stankarowi (chwilowo profesorowi hebrajszczyzny w Krakowie). Po Chimaerze nastąpiło dzieło zwrócone przeciw Modrzewskiemu: *Fricius, de majestate Sedis Apostolicae.* Zrozumiawszy z wielką bystrością, jak ściśle sprawa religijna w Polsce łączy się z politycznemi, opracowywał zagadnienia kościelno-polityczne swoich czasów w polskich pismach: „Dyalog około egzekucyi praw Korony polskiej“ (1565), „Quincunx abo wzór Korony polskiej“ (1566), „Politia (w znaczeniu Arystotelesowskiem) Korony polskiej“ (1566 r. napisana, w roku śmierci autora, niedrukowana). W dziełach tych cofa się do średniowiecznego porządku dwojga władz, kościelnej i królewskiej, opiera się na tomistowskiej teoryi państwowej, ale obniża jak najbardziej idee monarchiczne św. Tomasza. Śmiałość, z jaką omawiał starą teoryę, porywająca wymowa, jaką przy tem rozwinął, nie zawiodły: szczególnym też zbiegiem oko-

liczności przypada wydanie tego dyalogu w sam raz na sam początek katolickiej reakcyi w Polsce.

Jako dziejopis współczesny występuje Orzechowski w swoich *Annales,* w których zajmuje się pierwszemi latami Zygmunta Augusta (do r. 1553) i epizodem z r. 1537, t. zw. wojną kokoszą. Co do treści, są te roczniki aż do r. 1553 rodzajem pamiętnika, forma jest naśladowaną z klasycznych wzorów.

Odmienne zasady kościelno-polityczne, wyrażane dobitnie w dążnościach szlacheckiej izby poselskiej w latach 1550—1565, pozna się podobno najlepiej z pism krakowskiego pisarza grodzkiego, Jakóba Przyłuskiego i królewskiego sekretarza Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Tamten podaje nąm w obszernych komentarzach do swych w r. 1553 nowo wydanych *Leges seu statuta,* zupełny program głęboko sięgającego kościelnego przewrotu w Polsce, przy którym utrzymałaby się wprawdzie w Polsce hierarchia kościelna, ale na wzór angielskiej byłaby poddaną władzy królewskiej i zrywałaby zupełnie z Rzymem. Modrzewski zaś w księgach swych *De republica emendanda* (1551) kreśli demokratyczny ustrój powszechnego Kościoła, wywodząc godności księży, biskupów, kardynałów i papieża z wyborów gminnych, dyecezalnych i soborowych, podczas gdy w późniejszych swych rozprawkach: *Sylvae quattuor* (pisanych w r. 1565) stara się zorganizować polski kościół narodowy. W dziełku swem *De poena homicidii* wystąpił też Modrzewski energicznie przeciw grzywnom za mężobójstwo i bronił zasady: szyja za szyję, bez względu na stan złoczyńcy. Modrzewski, obdarzony naturą szlachetną, umysłem z szerokim zakrojem i głębokim w porównaniu z współczesnymi, marnuje się wśród czczych teologicznych dysput swego wieku, a kończy ciekawy swój zawód literacki pismami polemicznemi w tonie aryańskim.

Wyłącznie teologicznemu kierunkowi poświęca się Jan Łaski, kanonik krakowski, następnie reformator kościoła Fryzyi wschodniej. W wirze prądów polskiego sekciarstwa zrywają się do obrony zasad Kościoła w duchu katolickim Stanisław Hozyusz, kardynał i biskup warmiński, Marcin Kromer, autor po łacinie i po polsku wydanego dzieła p. t. „Mnich“ i Wojciech Nowopolski, autor pisma *Apologia religionis christianae.* Reformę nauczania w duchu humanistycznym omawia Szymon Marycki (*De scholis et academiis,* 1553), a w duchu protestanckim Erazm Glitschner (Księgi o wychowaniu dziatek, 1558).

Zgrupowaliśmy osobno najwybitniejsze postacie literatury i cywilizacyjnego okresu z końca Jagiellońskich czasów (do r. 1572), bo one wiążą się z sobą ściśle organicznie i znajdują ognisko umysłowe w sprawie kościelno-politycznej swoich czasów. Sprawę tę ukończono około r. 1572, Polska pozostała wbrew wszelkim przeciwnym staraniom katolicką, kościoła narodowego nie utworzono. Z licznych wyznań, które prześladując się nawzajem chciały chwycić za ster państwa, większa część popada w stan ciągłego upadku od r. 1565, t. j. od roku sprowadzenia Jezuitów i przyjęcia uchwał trydenckich przez króla Zygmunta Augusta; tylko sam aryanizm, rozniecony przez Laeliusa i Fausta Socyna, Ochina i innych, tworzy pewien rodzaj kwietystycznej republiki w miasteczku Rakowie, własności rodziny Sienińskich, i nietylko działa dalej po cichu intelligencyą i ofiarnością swych zwolenników, pismami teologicznemi, ale też za pośrednictwem wybitnych osób, jak przywódcy szlachty Mikołaja Sienickiego, zdołał zabrać stanowczy głos przy układaniu ustawy państwowej w r. 1573, podczas pierwszej elekcyi. Akatolicy wprowadzają do ustawy pokój religijny i starają się nadać mu gwarancye zupełnem osłabieniem władzy królewskiej, artykułem *de non praestanda obedientia* i zaprowadzeniem ustawicznej rady senatorskiej przy boku królewskim.

Tymczasem humanizm odniósł zupełne zwycięstwo w wychowaniu i nauczaniu: uniwersytet krakowski pozyskuje w Benedykcie z Koźmina i Jakóbie Górskim koryfeuszów kierunku wyłącznie klasycznego; rywalizujący zakon jezuicki kładzie nacisk na klasyczne wychowanie, w przeciwieństwie do szkół reformacyjnych. Druga połowa wieku XVI. i pierwsze dziesiątki następnego stulecia stanowią właściwy okres złoty rozwoju polskiego języka i literatury, wykształconych na wzorach klasycznych. Na te czasy przypada też założenie dwóch uniwersytetów, wileńskiego przez Stefana Batorego i zamojskiego przez Jana Zamojskiego (w Zamościu). Pierwszy z nich oddano Jezuitom.

Jan Kochanowski, szlachcic sandomierski (ur. 1530, † 1584), jest twórcą polskiej poezyi artystycznej. Wykształcony w Niemczech, we Francyi i we Włoszech, oddany po powrocie do kraju, mimo licznych zachęt do karyery, zacisznemu życiu wiejskiemu i Muzom, jest on tym pierwszym artystą, który zapewnił poezyi w swej ojczyźnie stanowisko samodzielne i zaszczytne. Sam trzymał się zdala od życia politycznego, z wyjątkiem jednej mowy na elekcyi w Stężycy, gdzie wystąpił za domem rakuskim. Nie jest jednak polityka

obcą jego Muzie, a właśnie najpotężniejsze tony jego lutni poświęcone są intelligentnemu bardzo patryotyzmowi. Kochanowski rozpoczyna swój zawód od wierszy polskich. „Satyr“ wychodzi w r. 1564 i omawia fatalność wyznaniowego zamętu, „Zgoda“ (1564) rozpływa się w pochwałach jednomyślności na wewnątrz jako warunku rozwinięcia potęgi na zewnątrz, „Proporzec“ ma za temat hołd księcia pruskiego, złożony w r. 1569 w Lublinie przed Zygmuntem Augustem. W r. 1578 wyszło główne jego dzieło: opracowanie Psałterza Dawidowego — i dramat klasyczny z chórami: „Odprawa posłów greckich“. Śmierć ukochanej dzieciny natchnęła go do większego lirycznego poematu pod tytułem z grecka wymyślonym: „Treny“. Liczne wydania zbiorowe, sporządzane po jego śmierci, wydały na światło dzienne cztery księgi jego Pieśni.

Po łacinie pisał Kochanowski: *Elegiarum libri IX* (1584), *Lyricorum libellus* (1580) i inne.

Kochanowski jest poetą opartym z pietyzmem prawdziwego humanisty na starożytnych, na Homerze i Anakreonie, na Sofoklesie i Eurypidesie, na Wirgiliuszu i Horacyuszu. Wiele z jego pieśni zdaje się być raczej naśladowaniem Horacego, niż oryginalnemi utworami. Czuje się, że przejął się starożytnością na wskróś w swym znakomitym zmyśle estetycznym, że wszędzie stara się o tę harmonię formy i treści, właściwą jego wielkim mistrzom. Ale dalekim jest od owej próżnej pozy, uprawianej aż nazbyt często przez imitujących starożytność poetów współczesnych. W jego łacińskich i polskich poezyach widzi się przedziwne stopienie w jednę całość rodzimego żywiołu dotkniętego przezeń przedmiotu z tem odrodzeniem starożytności; on jest zawsze wyższym ponad pęta współczesnej szkoły. Stanowi on żywy pomnik najpiękniejszego okresu renesansu polskiego, kiedy to mówcy na polu elekcyjnem na Woli mieli się za Rzymian, kiedy Zamojski zapatrzony w świat klasyczny miał swoje czasy Peryklesa. Osoby w greckim dramacie Kochanowskiego wypowiadają z najtajniejszej głębi odczute tajniki życia politycznego Polski, a jednak dramat ten przetłumaczony na greckie byłby zjawiskiem wielce zajmującem; uciechy polskiego życia wiejskiego, opiewane w jego pieśniach, mają wybitne cechy miejscowe, a przecież sposób przedstawienia rzeczy przypomina nieśmiertelne miary Horacowego pióra. Polityczne wiersze wypływają z mądrości rozsądnego a intelligentnego patryoty, a jednak potęga ich słów, połączona z harmonijną miarą, przypomina greckie i rzymskie wzory. Psałterz i Treny oddalają się oczywiście najbardziej od klasycznych wzorów; ale przebijająca

niebiosa potęga hebrajskich śpiewów płynie w takiej starannej formie, opartej o antyki, a arcydzieło ojcowskiego bólu, treny na śmierć córeczki, lśnią takim przepychem rozmaitości form wiersza i zwrotek, że tylko od starych mistrzów można to było wydobyć.

Z Trenów:

VII.

Nieszczęsne ochędóstwo, żałosne ubiory
Mojej najmilszej córy!
Po co me smutne oczy za sobą ciągniecie?
Żalu mi przydajecie;
Już ona członeczków swych wami nie odzieje,
Nie masz, nie masz nadzieje;
Ujął ją sen żelazny, twardy, nieprzespany;
Już letniczek pisany
I uplotneczki w niwecz i paski złocone,
Matczyne dary płone.
Nie takąć mać uboga dać obiecowała
Wyprawę, jakąć dała.
Giezłeczkoć tylko dała a lichą tkaneczkę,
Ojciec ziemie bryłeczkę
W główki włożył; niestetyż i posag i ona
W jednej skrzynce zamkniona.

VIII.

Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja droga Urszulo! tem zniknieniem swojem;
Pełno nas, a jakoby nikogo nie było;
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło!
Tyś za wszytki mówiła, za wszytki śpiewała,
Wszytkiś w domu kąciki zawżdy pobiegała,
Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować
Ani ojcu myśleniem zbytniem głowy psować,
To tego, to owego wdzięcznie obłapiając,
I onym swym uciesznym śmiechem zabawiając.
Teraz wszystko umilkło; szczere pustki w domu,
Nie masz zabawki, nie masz rozśmiać się nikomu;
Z każdego kąta żałość człowieka ujmuje,
A serce swej pociechy darmo upatruje.

X.[1])

Urszulo moja wdzięczna! gdzieś mi się podziała?
W którą stronę, w którąś się krainę udała?

[1]) Podany w tłumaczeniu Nitschmanna: „Polnischer Parnass“.

Czyś ty nad wszytki nieba wysoko wniesiona
I tam w liczbę aniołków małych policzona?
Czyliś do raju wzięta? Czyliś na szczęśliwe
Wyspy zaprowadzona? Czy cię przez tęskliwe
Charon jeziora wiezie i napawa zdrojem
Niepomnym, że ty nie wiesz nic o płaczu moim?
Czy człowieka zrzuciwszy i myśli dziewicze,
Wzięłaś na się postawę i piórka słowicze?
Czyli się w czyścu czyścisz, jeśli z strony ciała
Jakakolwiek zmazeczka na tobie została?
Czyś po śmierci tam poszła, kędyś pierwej była,
Niżeś się na mą ciężką żałość urodziła?
Gdzieśkolwiek jest, jeśliś jest, lituj mej żałości;
A nie możesz-li w onej dawnej swej całości:
Pociesz mię, jako możesz, a staw się przede mną
Lubo snem, lubo cieniem, lub marą nikczemną.

Zaprawdę, ból ojcowski nie wydał w poezyi nigdy nic bardziej wzruszającego, jak te wstrząsające duszą treny Kochanowskiego. Daje on nam też sposobność zajrzenia głęboko do duszy stulecia, wstrząśnionego humanizmem i reformacyą. Słowa:

Gdzieśkolwiek jest, jeśliś jest...

stają obok szekspirowskiego monologu Hamleta. Kochanowski nie jest przyjacielem sekciarstwa, on się wyraża często dobrze po katolicku, a przecież zieje w jego duszy przepaść straszliwego sceptycyzmu, który napada nań przy zwłokach ukochanej dzieciny. Zakończenie trenów stanowi senna mara, w której stroskanemu ojcu zjawia się duch matki ze zgasłą wnuczką i wyczerpuje wszelkie możliwe argumenty pocieszające na podstawie wiary w nieśmiertelność duszy...

Nie wątpimy, że gdy się rozpowszechni znawstwo polskiej literatury, Kochanowski zajmie jedno z najpoczestniejszych miejsc w literaturze powszechnej XVI. wieku. Ma on też w sobie ów melancholijny nastrój humanizmu wyrywającego się na nowo z religijnego zamętu wieku, próbującego uciec od sekciarskich zwad w artystycznej rozkoszy i w usposobieniu napół sceptycznem, napół religijnem, który odzwierciedla barwnie świat w całem bogactwie tonów i z końcem XVI. a początkiem XVII. wieku wytwarza wielkich poetów. W niebezpiecznem atoli pobliżu Kochanowskiego bledną jego współcześni i naśladowcy: Mikołaj Sęp Szarzyński († 1580), Sebastyan Fabian Klonowicz, zwany Acernus († 1608), łaciński i polski satyryk i poeta dydaktyczny (poematy: Victoria Deorum, Worek Juda-

szów, Flis), Andrzej i Piotr Zbylitowscy, Stanisław Grochowski, Kasper Miaskowski (dwaj ostatni poeci religijni, zwłaszcza Miaskowski pełen szczerej rzewności). Obracają się niemal zawsze w formach Kochanowskiego, a często nawet w zapasie jego poetycznych obrazów. Więcej zasługi ma synowiec Kochanowskiego, Piotr († 1620), znakomity tłómacz *Orlando furioso* i *Gerusalemme liberata*. Pewną oryginalnością odznaczają się trzej czerwonoruscy sielankopisarze Szymon Szymonowicz, Szymon i Józef Zimorowicze. Naśladując Teokryta i eklogi Wirgiliusza, umieją ci trzej poeci dobrać się do bogatych skarbów ruskiej poezyi ludowej, kreśląc z prawdziwem mistrzowstwem życie wschodniego wieśniaka, płynące wśród ustawicznej trwogi przed najazdami tatarskiemi, jego dolę i niedolę.

Złoty okres poezyi zamyka poeta łaciński: Maciej Kazimierz Sarbiewski († 1640), jezuita wileński, poeta nadworny Władysława IV., imię europejskiej sławy, sławiony zwłaszcza w Anglii jako Horacy chrześcijański. W swych *Lyricorum libri IV.* przedstawia się Sarbiewski jako poeta religijny i polityczny, pełen natchnienia, z śladami lekkiego wpływu owego mistycyzmu, właściwego hiszpańskim poetom tego okresu. Niestety, łacina u niego ma chyba znaczyć, że nie dowierzał poezyi w polskiej szacie, a przynajmniej brzydził się współczesnem rymotwórstwem, ze szkodą rozwoju polskiego języka.

Wymowę polityczną i kościelną tego okresu powinno się stawiać najbliżej poezyi, bo ona najściślej wiąże się z wewnętrznemi prądami wieku. Jan Zamojski, kanclerz i hetman wielki koronny († 1605), wykształcony w padewskim uniwersytecie, autor dzieła: *De senatu romano*, jest tym, który jużto jako niepokonany mówca ludowy na sejmach elekcyjnych, jużteż jako decydujący statysta czasów Batorego, już wreszcie jako przywódca opozycyi przeciw Zygmuntowi III., reprezentuje chyba najlepiej tego ducha romanistycznego, przenikającego polskie społeczeństwo, stające się rzeczpospolitą z malowanym królem na czele. To, co posiadamy ułomków i szkiców z jego mów, te idee, znane jako jego własność, nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do wpływu i znaczenia, jakie wywierał jako znakomity mówca. Obok niego stoją biskupi Myszkowski i Karnkowski, mówcy ludowi Herburt i Smogulecki. W ułożeniu mów znać skrzętne zastosowywanie zasad Cycerona i Quintyliana: mamy tutaj styl oratorski, oparty na prostocie i logice, zostawiający daleko w tyle za sobą pustą swadę XVII. i XVIII. wieku. Z tem wszystkiem wymowa ówczesna szczytu dosięga w kościelnej, miano-

wicie u dwóch największych mówców katolickich: Piotra Skargi i Fabiana Birkowskiego.

Ten kwiat katolickiej wymowy wytworzyła reakcya przeciwko nieżmiernemu ruchowi reformacyjnemu. Uważano za obowiązek przeciwstawić katolickie zbiory kazań i przekłady biblii zbiorom i przekładom reformacyjnym, Postylli Reja, Grzegorza z Żarnowca (1550), Samuela Dąbrowskiego (1620) i innym. Byli w tem czynni przedewszystkiem Jezuici. Jakób Wujek dał znakomity przekład Wulgaty (1593—99), używany do dziś dnia wyłącznie, on też wydał pierwszy większy zbiór kazań polskich dla katolików (1573). Na polu wymowy kościelnej poszli za jego śladem: Marcin Białobrzeski, Stanisław Sokołowski; oryginalny, piszący też o polityce, biskup Wereszczyński. Ale przewyższa wszystkich poprzedników jako pisarz kościelny i kaznodzieja Piotr Skarga, od r. 1568 jezuita w Rzymie, od 1571 niezmordowany polemista, kaznodzieja i apostoł wśród innowierców, kaznodzieja nadworny Zygmunta III., zmarły 1612 r. *in odore sanctitatis*. Skarga posiadał wielkie humanistyczne wykształcenie, jestto mistrz słowa wyuczony na wzorach klasycznych. Trzy wielkie zbiory kazań (1595, 1600, 1610) zapewniają mu pierwsze miejsce w historyi wymowy kościelnej, a zwłaszcza trzeci, zawierający kazania sejmowe i pasujący go na mówcę religijno-politycznego. Wielki prąd kościelno-polityczny XVI. wieku wydał ostatecznie nieszczęsną ustawę państwową z r. 1573, wywołał też anarchię umysłów i sumień, która okazała straszne moralne rozluźnienie i poważne oznaki nieograniczonej samowoli indywidualnej. Rokosz Zebrzydowskiego, wyprawy kondottierskie na Moskwę, konfederacye wojskowe z roku 1612 — już się zbliżały. Skarga zna jednę tylko radę: jedność religijną i wzmocnienie monarchii. Pracuje zapobiegliwie około unii ruskiej w Brześciu (O jedności Kościoła Bożego 1577). Głosi powszechną pokutę i powrót do katolicyzmu (Wezwanie do pokuty 1610, Wezwanie do jedynego zbawiennego Kościoła 1611). Jego przestrogi w kazaniach sejmowych, w których wytyka grzechy współczesnym demagogicznym oligarchom, dosięgają szczytu w przepowiedni przyszłego upadku Polski. Przylgnęła doń aureola proroka, a mistrzowstwo jego języka zapewniło mu pierwsze miejsce wśród prozaików polskich. Jego „Żywoty Świętych“ (1579) dopełniają jeszcze tę sławę sławą nieprześcignionego, naiwnego a prostotą czarującego opowiadacza.

Obok Skargi staje F. Birkowski, dominikanin krakowski, kaznodzieja obozowy Władysława IV. (1636). Birkowski jest przede-

wszystkiem kaznodzieją przygodnym, którego wymowa służyła za apoteozę rycerskich dzieł wielkiej polskiej epopei na wschodnich kresach państwa i wywoływała ducha wypraw krzyżowych. Mowy tryumfalne po zwycięstwach i kazania pogrzebowe udają mu się najlepiej. Znać, że studyował gorliwie nietylko rzymskie, ale też greckie wzory i posiadał dobrze Demostenesa, Izokratesa.

Literatura polityczna i dziejopisarstwo mają w tym świetnym okresie autorów o również wielkich charakterach i zdolnościach. Z poprzedniego okresu nieokreślonych porywów przechodzi się obecnie do zasadniczego podziału na jasno określone obozy, role się zmieniły i podczas gdy zwolennicy reformacyi dążą do republikanizmu i to wcale luźnego, katolicy kryją się za szańce chrześcijańskiego monarchizmu, który miał już przedtem wymownych obrońców w Kochanowskim i Skardze. Skrajną lewicę innowierców stanowią kwietyści Aryanie, głoszący przez usta Piotra z Goniądza wstrzymanie się od udziału w wojnach i od piastowania świeckich urzędów a zalecający w dziełach Fausta Socyna bierność wobec sterującego ku katolicyzmowi państwa. Andrzej Wolan, kaznodzieja wileński, oświadcza się w swem dziele za „wolnością szlachecką“, której szczytem dla niego jest *pax inter dissidentes;* jest on kalwinem, w ciągłej polemice ze Skargą i Jezuitami. W rocznikach Świętosława Orzelskiego znalazła historya cennego reprezentanta w duchu reformacyjnym. Opracował on szczegółowo dwa pierwsze bezkrólewia i przedstawia nam burzliwe życie współczesne w sposób życzliwy dla najrozleglejszej wolności i koryfeuszów reformacyi. Kierunek przeciwny liczy więcej reprezentantów, jest widocznie powszechniejszym, choć może nie tak popularnym. Tu należy omówiony już Ł. Górnicki ze swemi politycznemi dyalogami. Tutaj też zaliczają się dygnitarze kościelni Stanisław Karnkowski i Dymitr Solikowski, broszurami politycznemi, wykazującemi, że ustawa z r. 1573 podkopuje normalną monarchię (O elekcyi 1573 r., Kraków 1575). Idee monarchiczne a zarazem politykę austryacką reprezentuje kanonik Krzysztof Warszewicki w pismach: *De optimo statu libertatis* (1598), *De legatis et legationibus* (1597), *Vitae, Paralellae* (1603), w których potępia Zygmunta Augusta jako nieprzyjaciela środków stanowczych. Historykami tego kierunku są: Reinhold Heidenstein, sekretarz Stefana Batorego *(Rerum ab excessu Sigismundi Augusti libri XII. Bellum moscoviticum),* Warszewicki i Karnkowski (fragmenty dwóch dzieł o bezkrólewiach), Stanisław Łubieński, biskup płocki (zwłaszcza

w piśmie: *De motu civili* 1606), Joachim Bielski w kontynuacyi dzieła swego ojca.

Pomiędzy obydwoma temi kierunkami unosi się chmara płytkiej literatury broszur, trąbiących na cześć niebezpiecznych uzyskanych swobód. Tu należy robota takiego Macieja Stryjkowskiego (Kronika litewska i ruska) i heraldyczne prace lubiącego rozpisywać się Bartłomieja Paprockiego, znanego też i w czeskiej literaturze służki magnatów (Gniazdo cnoty 1587, Herby rycerstwa polskiego 1587).

Zbliżamy się teraz do okresu literatury zwanego zwykle przez historyków polskich jezuickim lub makaronicznym. Jezuickim dlatego, ponieważ wychowanie młodzieży dostało się wprawdzie nie wyłącznie, ale przeważnie w ręce tego żakonu, makaronicznym zaś przeto, iż w mowach publicznych, w stylistyce listowej i książkowej rozpanoszyło się dziwactwo mięszania wyrazów łacińskich z polskiemi. Nazywają też okres ten panegirycznym, bo bibliografii tych czasów nadaje fatalną cechę mnóstwo mów pochwalnych wszelkiego rodzaju, pisanych przesadnie, górnolotnie, zazwyczaj aż do absurdum. Te wcale mechaniczne określenia tracą znaczenie wobec faktu, że nie brakowało w drugiej połowie wieku XVII. i pierwszej XVIII. autorów i książek, które nie są ani makaroniczne, ani panegiryczne, ani też ożywione duchem jezuickim, a zatem wszystkie te określenia nadają się raczej do historyi kultury, niż literatury. A właśnie są to dzieła, któremi zajmuje się historya literatury. Jeżeli teraz, jak wypada, zajmiemy się badaniem ducha tych utworów, spostrzeżemy inną, bardziej wewnętrzną cechę, nadającą się do odróżnienia od tego, co było, i od tego, co miało nastąpić. Okres od r. 1522 do 1572 był okresem porywów do reform kościelno-politycznych, a okres od roku 1572 aż mniej więcej do 1640 możnaby nazwać złotą dobą humanizmu, skłaniającego się do zasad katolickich, monarchicznych, a zarazem największego rozwoju języka; okres zaś aż mniej więcej do r. 1750 jest tym, w którym zupełne zwycięstwo odniósł katolicyzm, ale też republikańsko-monarchiczna konstytucya roku 1573, sprowadziwszy też zarazem pewną skamieniałość umysłową, musiała pociągnąć za sobą z roku na rok coraz większy zastój w ruchu umysłowym. Poezyi, polityce, dziejopisarstwu, które obok kościelnej i świeckiej wymowy pozostają też w tym okresie

głównemi łożyskami umysłowego ruchu, brak motoru myśli twórczej, któraby pragnęła reformy; uśpione w niemym podziwie polskiej wolności szlacheckiej, podniesionej do zasady nienaruszalnego dogmatu, mają one wobec klęsk politycznych tylko skargi, narzekania i — mentorstwo, zalecające osobistą poprawę jednostek, jako takich, zamiast środków politycznych. Nie brak tym utworom literackim ani zdolności ani wielkości w założeniu, nie brak silnych wpływów literatury klasycznej, ani też rozległej erudycyi, ale brak swobody ducha, swobodnego poglądu i spójni wewnętrznej z ruchem umysłowym europejskim. Widzi się, jak poezya, wymowa, polityka, dziejopisarstwo wtłoczone są w duży, a jednak odgraniczeniem od Europy ciasny obręb Rzpltej, toteż z rzadkiemi wyjątkami przygniata je istniejący porządek rzeczy, narzucając im nieraz pęta niewolnicze. Okres ten rozwiał się w czczej panegirycznej gadaninie, w szychu uczoności mechanicznej erudycyi, aż nazbyt skłonnej do zabobonów i w schlebianiu szlacheckiej próżności.

Najwybitniejszą grupę poetów tego okresu stanowią epicy Samuel Twardowski i Wacław Potocki, satyryk Krzysztof Opaliński, Wespazyan Kochowski, poeta liryczny i historyk zarazem. W tej to grupie, w jej pismach, odbiła się praca osadnicza tego wieku, niosąca cywilizacyę polską na daleki wschód, wyrosła na tle chwilowego wzmożenia potęgi w wielkich wojnach, odbił się polski indywidualizm, przesadny w porywczości do dobrego i złego, a mający źródło w słabej formie rządu. Brak im tego zmysłu artystycznego, właściwego grupie Kochanowskiego: stronę idealną i w ogóle natchnienie osłabia ścisłość i celowość ich prac, przedmioty przez nich wybierane przerastają siłę ich twórczości, opiewają oni swe tematy, nie panując bynajmniej nad niemi.

Samuel Twardowski († 1660), dworzanin Władysława IV., uczestnik poselstwa księcia Zbaraskiego do Konstantynopola, jest autorem poematów opisowych: „Przeważna Legacija ks. Zbaraskiego do Turek“ (1639), „Władysław IV.“ (1649), „Wojna domowa z Kozaki“ (1660). Opracowanie zbyt jest obrazowe i pełne polotu, ażeby te dzieła uważać za proste kroniki rymowane, ale układ zbyt mechaniczny, żeby w nich uznać poematy epiczne. Twardowski jest gorącym patryotą, z rzetelnym zapałem opiewa sławne czyny swoich czasów; pokojowemu republikańskiemu usposobieniu przeciwstawia gorący zapał wojenny, a to nadaje mu znamię poety polityka, popierającego monarchiczne dążności dynastyi Wazów, pochopnej na wielkie przedsięwzięcia. Jego „Legacija turecka“, mieniąca się od

żywych obrazów Turecczyzny, należy do najciekawszych może książek, napisanych w XVII. wieku o Konstantynopolu i Turcyi. Twardowski okazuje nam się jednakowoż jeszcze z innej strony: jest sielankopisarzem w guście Mariniego i Garcilaso de la Vega. Poematy „Daphnis“ (1638) i „Nadobna Pasqualina“ świadczą, że umiał rozwinąć wszystkie przymioty doskonałego poety w formie wyłącznie artystycznej, jakkolwiek naśladowanej.

Wacław Potocki, herbu Szreniawa, z okolicy Biecza w Małopolsce († około 1697), doświadczony wojownik, a potem spokojny gospodarz i niezmordowany pisarz, okazuje w wyższym stopniu przymioty Twardowskiego, tak dodatnie jakoteż ujemne cechy jego kierunku i talentu. Za życia ogłosił tylko rymowany „Poczet herbów czyli wiersze i epigramata na herby...“ (1696) i dwa romanse obyczajowe, wierszem pisane, naśladowane: „Argenida“ (według Barclaya 1697) i „Syloret“, baśń perską. Po śmierci autora wyszły: *Jovialitates* (1747), wielki poemat epiczny „Wojna Chocimska“ (wydana 1850 r. przez A. Bielowskiego i przypisywana mylnie Andrzejowi Lipskiemu), i zbiór liryczny: „Peryody na śmierć syna mego Stefana“ (1864—1865). Żaden autor nie maluje tak dokładnie wielostronnego życia szlacheckiego, jak Potocki. W „Poczcie herbów“, po wierszowanych, często pięknych i miłych legendach o herbach, następują epigramy na uczestników rodu, w których widzimy najrozmaitsze typy szlachty polskiej w udatnych ale ostrych konturach. Z „Fraszek“ tryska niewyczerpany humor niższej szlachty, często rubaszny, czasami może nadto swobodny: utrzymał on się mimo klęsk powszechnych, na podziw obcych Polskę znających. W dwóch romansach poznaje się ów kierunek rycerskiego ducha, po donkiszocku lubujący się w fantastycznych przygodach miłosnych i wojennych, w cudownych zawikłaniach. W „Peryodach“ okazuje się Potocki przygnębionym, czułym ojcem, ale dostępnym dla pociech religii katolickiej. W „Wojnie Chocimskiej“ wreszcie (10 pieśni) widzimy w nim pewien rodzaj polskiego Torquata Tassa, któremu jednak — podobnież jak Twardowskiemu — dokładność historyczna przeszkadza stworzyć dzieło prawdziwie artystyczne, jakkolwiek nie brak mu ani potężnej wyobraźni ani mistrzowstwa w władaniu językiem poezyi. Potężny jego wiersz grzmi odgłosem zbrojnych tłumów jazdy, czuje się czytając, że to wyszło z pod ręki rycerskiej, tak niezrównanie odtwarza wzniosłe strony walki: ale niedostaje mu artystycznej prostoty, wybierającej to tylko, co niezbędnie potrzebne; aż nazbyt często pada on ofiarą

nadmiaru obrazów i porównań, cytat mitologicznych, klasycznych i biblijnych, jakie mu się nasuwają:

Wprzód niźli sarmackiego Marsa krwawe dzieje
Potomnym wiekom Muza na papier wyleje,
Niż durnego Turczyna proposit szkarady
Pisać poczne w pamiętne Polakom przykłady.
Który z niemi zuchwale mir zrzuciwszy stary,
Chciał ich przykryć haraczem z Węgry i Bułgary,
Boże! którego nieba, ziemie, morza chwalą,
Co tak mdłem piórem jako władniesz groźną stalą,
Co się mścisz nad ostatnim tego domu węgłem,
Gdzie kto usty przysięga sercem nieprzysięgłem;
Ciebie proszę, abyś to co ku twojej wdzięce
W tem królestwie śmiertelne chcą wspominać ręce,
Szczęścić raczył: boć to jest dzieło twej prawice:
Hardych tyranów dumy wywracać na nice,
Mieszać pysznych i z błotem górne równać myśli
Przez tych, którzy swą siłą od ciebie zawiśli.
Spadł Antyoch z imprezy, spadł i Herod z krzesła;
Tamten żywo zgnił, tego gadzina rozniesła.
Spadł durny Sennacheryb, gdy we trzechset szabel
Tysięcy musiał pierzchać; spadł Nimrod z swej Babel.
Spadł z człowieczej natury Nabuchodonozor
I ten co Boga bluźnił, trawę łapał ozor.
Spadły mury wysokie, które samem spycha
Echem trąby Jozue, wielkiego Jerycha.
. . . . . .
Padł Holofern Judycie, Sisara Jaheli,
Bohatyr mdłej niewieście, i szabla kądzieli etc.

Przytoczmy z tego nieznanego niemal bohaterskiego poematu kilka miejsc opisowych:

Gdy dokończył Chodkiewicz [1]) takiej swojej mowy,
Zdało się, że ze słońca promień go ogniowy
Ogarnął, że na głowie i na skroni białej
Włosy mu oszedziałe płomieniem gorzały;
Wszyscy wrzących łez rzucą gorące granaty
Na Turków, przed Wielkiego Twórcę majestaty;
Wszyscy się chcą z niemi bić, z tak wdzięcznej przynęty
Zabrzmi głośno po całem wojsku pean święty

[1]) Hetman.

Bogarodzice; przez nią chcą syna ubłagać,
Żeby swoich chciał stwierdzić, nieprzyjaciół strwagać.
Toż co żywo do skruchy w czym sumienie ruszy,
Bogomyślnym kapłanom cicho kładą w uszy,
Którzy tam i sam jeżdżąc, jeśli kogo łudzi,
Od napaści szatańskiej animują ludzi...
Na tym placu, z którego ognistemi koły
Człek może z Eliaszem wnieść między anioły.

Więc jeszcze rosa nie schła, jeszcze się mgły szare
Nad Dniestrem piętrzą, jeszcze i słońce nie jare,
Kiedy sto dział burzących, całe niespodzianie
Kozakom Zaporoskim tuż nad głową stanie,
Sypie się z gór pogaństwo straszliwemi wały,
Rzekłbyś, że się ruszyły okoliczne skały;
Krzyczą, wrzeszczą szkaradnie, że w onym bałuchu
I my i oni zgoła postradali słuchu.
. . . . . .
Dwadzieścia ośm dział mieli. Nie straszniejsze piekło
Ogniem, nie groźniejszy grzmot, gdy się zawiesiwszy
Brzęczy nad głową; ani piorun przeraźliwszy,
Gdy z uchylonej chmury przez skryte szczeliny
Rzuca z trzaskiem na ziemię raz w raz ciężkie kliny;
Jaki ogień, jaki grzmot, jak gęste pioruny
Walą ludzi pokosem w dymie i mgle onej!

Trzecim z tego grona poetów jest Wespazyan Kochowski, ziemianin sandomierski, żołnierz z wypraw szwedzko-polskich († 1699), następnie za wzorem Kochanowskiego wiejskiemu oddany zaciszu. Wobec obu poprzednich jest on poetą artystycznym swojego okresu. Obok klasycznego wykształcenia jest widocznie większym znawcą poezyi włoskiej, natomiast francuska prawdopodobnie była mu zupełnie obcą. Włada po mistrzowsku oktawą. Muza jego jest wielostronna: jest poetą religijnym, politycznym i erotycznym; jako historyk mniej ma wartości. Najwyższego polotu dosięga w „Psalmodyi“, poemacie pisanym biblijną prozą, w którym opiewa zmienne losy ojczyzny, a między innemi chlubną odsiecz wiedeńską z r. 1683 przez Sobieskiego i wojska sprzymierzone, a w losach tych widzi myśl wyższą karzącej i nagradzającej Opatrzności. Rzecz szczególna, że właśnie Kochowski w pismach historycznych i w poemacie na cześć Jerzego Lubomirskiego, rokoszanina, jest zelantem wolności polskiej, a przecież sam w licznych miejscach swej „Psalmodyi“

i innych poezyj uznaje tkwiące w niej niebezpieczeństwo. Od niego pochodzi trafny epigramat:

Bóg z niczego świat stworzył, ale i my
Tem słowem: Nie pozwalam, Polskę obalimy.

Zbiór poezyj tego autora ma tytuł: „Niepróżnujące próżnowanie“ (1677 i później). Z następujących dwóch *ottave rime* poznamy Muzę tego poety szlachetną, rycerską, pełną polotu i zapału. Zacznijmy od fragmentu poezyi erotycznej:

Ja, com Tatary z pochwałą i dzięką
Gromił na czarnym aże Lebedynie,
Ja, którym przedtem dokazował ręką,
Srogie lwy dławiąc w tesalskiej chróścinie,
Teraz z tak ciężką serca mego męką,
Jednej nad sobą przewodzić dziewczynie
Pozwolę. Czyli one mężne duchy
Te niewiadome spętały łańcuchy?

Więzieniem, choć mię nie niewolą huki,
Ani mię rozkaz przyciska surowy,
Lecz nie cierpiąca przyprawy i sztuki
Twarz, a na twarzy kolor szkarłatowy,
Wargi z koralów, oczęta jak kruki,
Z nich promień bije wskróś dyamentowy,
Nuż dwa na piersiach braciszków, choć skryci,
Przecie ich widać przez koleńskie nici.

Włos w drobne cyrki rozpuszczon się chwieje,
Jednym się czyniąc twarzy baldekinem,
Którą gdy miłość z wstydem wraz rozgrzeje,
Będzie jak biały szmelc z wdzięcznym rubinem;
Toż gdy się jeszcze łaskawie rozśmieje,
Tym mię w niewolę zagarnęła czynem.
Jednak lub mię jej wiąże grzeczność ściśle,
Bardziej (które znam) cnoty na umyśle.

Ujmują lata bieżące gładkości,
W urodę często choroba uderza,
Ale gdzie z wiarą powaga w skromności,
Do wstydliwego bezpieczeństwa zmierza;
Skłonność nie nizka, statek bez hardości
Swobodnej myśli dotrzyma przymierza,
Gniew bez afektu, afekt bez uporu,
Tyleż co w uściech, w sercu jest kandoru.

Przysłuchajmy się teraz, jak się zżyma na anarchię sejmową:

I długoż tego synowie niebaczni?
Takli zjadłym kłem matkę swą kąsacie?
Pono z jej zguby pragniecie być znaczni,
Jako o greckim piszą Herostracie.
Czego nie życzą Tatarzy sąsiaczni,
To wy ojczyźnie swojej wyrządzacie.
I czego nawet nieprzyjaźni Turcy,
Od ciebie cierpi narodzie jaszczurczy.

Od Akwilonu Smoleńsk niedobyty,
Nieodebrane straciliśmy fanty,
Oderwał nam Szwed, tem aż z Polski zbyty,
Krwią przodków naszych dostane Inflanty.
Kurfirszt wziął Lomburg i Drahim obfity,
I trzyma swoje przez oficyanty.
Turczyn łakomy wypróżniwszy ksieniec,
Chciwie nam żarłok patrzy na Kamieniec.

A my radzimy. Więc gdyby te rady
Polskę dźwignęły w tak nieszczęsnej doli!
Lecz interesa i prywatne zwady
Trudnią, czasem sejm rwie się i dla soli.
Gdy czas skończenia sejmowej obrady,
Ozwie się poseł, iże nie pozwoli;
Bez konkluzyi alić sejm skończony,
A miła matka krom wszelkiej obrony.

Bodaj źle zginął, bodaj zabit marnie,
Kto dla prywaty swej sejmy rozrywa,
Niech głowa jego przepada niekarnie,
Niech wymazany z ksiąg żywota bywa.
Żywli też, niech go nieszczęście ogarnie,
A sztuki chleba niechaj mu ubywa.
Niż matka zginie, niechaj zły syn pierwu,
Zwierzom potrawę dawszy z swego ścierwu.

Satyryk Krzysztof Opaliński, wojewoda poznański († 1656), jest czwartym poetą narodowym tego okresu. Człowiek zły, zdrajca ojczyzny w stanowczym dniu pod Ujściem (1655 — konfederacya Wielkopolski za Szwecyą), posiada ten wzrok złośliwy, zatrzymujący się prawie z rozkoszą na upadku wewnętrznym, przedstawia wszystko w barwach ponurych, aby snadniej ukryć co w sobie ma czarnego. Jego satyry, pisane wierszem nierymowanym (wychowanie młodzieży, ucisk ludu wiejskiego, obyczaje niewiast, elekcya, sądownictwo), mogłyby co do jaskrawości barw rywalizować z Juwenalisem, bo pisane żółcią, której zbytek osłabia wiarogodność pisarza. Satyra końcowa:

„Diogenes z latarnią“, jest zrzędnym wyrokiem potępienia na wszystkie warstwy ówczesnego społeczeństwa polskiego, które przecież okazało się w niebezpiecznych wojnach szwedzkich o wiele patryotyczniejszem, niż taki Opaliński, pogromca złego, reformator ludzkości. Ale mężowi co tak pogardliwie wzrusza ramionami nad współczesnymi sobie, nie brak satyrycznego talentu, silnych efektów, spostrzeżeń głębokich, trafiających w jądro rzeczy. Poznał się na niebezpieczeństwie polskiej ustawy rządowej, ale nie wystąpił za jej zniesieniem.

Stanowczym przeciwnikiem tej ustawy jest Andrzej Morsztyn, monarchista na sposób francuski, Francuz z obyczajów i gustów, podskarbi wielki koronny, niegdyś dworak Maryi Ludwiki, żony Władysława IV., a po tegoż śmierci Jana Kazimierza; w roku 1683 złożony z wysokiej godności za spisek na rzecz planów francuskiej polityki i skazany na wygnanie. Resztę życia przepędził we Francyi. Do nazwy poety wystarczyłoby mu tłómaczenie Cyda Corneilla, bardziej jednak zasługuje na nią przez swoje liryki i poemat epiczny „Psyche“. Morsztyn jest poetą dworskim, wytwornym, subtelnym, wybrednym w wyrażeniach; a zarazem jestto rozumny statysta, niechętny republikańskim robotom współczesnych, a przytem natura rwąca się do życia, umiejący jednak wśród niedoli życia wznieść gorącą modlitwę do Boga. Wzorami dlań są Włosi i Francuzi, i nie napróżno. Ma wybitne poczucie piękna i niemniej troszczy się o to, żeby swemu językowi nadać wdzięk i dźwięczność, jak o to, żeby mu nadać potoczystość i ponętność francuskiego stylu poetycznego. Przysłuchajmy się, jak w świetnych oktawach opiewa Maryę Ludwikę, protektorkę swoją:

Widzisz tę panią? Ta to jest, co kraje
Tuteczne rządzi i sarmacką stronę,
Której wielki król wolność swą poddaje
I wkłada na jej warkocze koronę.
A kiedy bratu śmiercią rządy wzdaje,
On jako spadkiem bierze ją za żonę:
Jakby korona wraz chodziła z wdową,
Nie chce być królem, tylko z tą królową.

Cesarze greckie, mantuańskie pany
I krew Gonzagów i Paleologi,
Dom Lotaryńskich książąt zawołany
Liczy w swym rodzie; i stąd bez nagany
Mogłaby zasieść miejsce między bogi;
Ale jej godność nad wszystkie przykłady,
I starożytność przewyższa i dziady.

Przewyższa wielką fortunę umysłem,
Umysł rozumem, rozum wszelką cnotą,
Jako nad bajką i pięknym wymysłem,
Zdziwi się przyszły wiek nad jej robotą,
Nad zdrową radą, nad mieszkiem nieścisłym,
Gdy między stany stwierdza zgodę złotą
Albo zachęca na nieprzyjacioły,
Albo funduje szpitale, kościoły.

Posag rzęsisty i drogie klejnoty
Na Ottomanów i na wojnę świętą,
Na zaszczyt granic oddaje z ochoty;
Ale imprezę mądrze rozpoczętą
Rozbija zazdrość z złości czy z ślepoty.
Przypłacisz tego z stratą niepojętą
Głupi Polaku! i w ciężkiej przygodzie
Ganić twój upór będziesz — lecz po szkodzie.

Widzę straconą przez to Ukrainę,
Korsuń, Piławce, Batów — klęski gorzkie;
Widzę złączoną kozacką drużynę
Z krymskim biegunem w hufce petyhorskie;
Widzę (że zdrady domowe pominę)
Moskwę i Węgry i wojska zamorskie.
Skąd przyjdzie państwu z śmiertelną tęsknicą
Szukać mieszkając rady za granicą.

Ale i stamtąd ta odważna pani
Powrót do Polski i tronu wyśledzi,
Sama tam rządzi, radzi i hetmani.
I lubo Kraków już posiedli Szwedzi:
Że się do wiary powrócą hetmani,
Że znaczne dadzą posiłki samsiedzi —
Jej to robota; ona Bisurmańca
Kupi i męża powróci wygnańca.

Powraca w Polskę, opuszcza kraj szląski —
Kraków odebran za jej dobrą sprawą;
Ona z stanami czyni nowe związki,
Ona zatacza działa pod Warszawą,
Odbiera Toruń, kraj pruski niewązki
I tryumfuje nad zazdrością żwawą;
Nakoniec, matka Ojczyzny prawdziwie,
Wieczysty pokój zawiera w Oliwie.

Natchnionem piórem poety nie kieruje próżne pochlebstwo. Entuzyazm i przekonanie wiodą Morsztyna, wroga anarchii, do tych samych wyrażeń o polskich stosunkach, jakie widzieliśmy u Kochowskiego, poety wolności.

Wymowa kościelna i polityczna tego okresu niedomaga jak najwidoczniej na te same braki, które wykazaliśmy przy ogólnej charakterystyce, a które, jak wiadomo, wzięły też górę w zachodniej Europie. Bombastyczność, popisywanie się erudycyą nie w porę i dążność do osłonięcia właściwej myśli przez nadmiar omawiań, szpecą zarówno kazania jak mowy polityczne, podobnie jak barok sztukę. W tem ograniczeniu zepsutego smaku wyróżniają się atoli widocznie mowy głębszych statystów i myślicieli z pośród innych, co zakrywają ubóstwo myśli kwiecistą formą; toteż w mowach takiego Jerzego Ossolińskiego, królów Jana Kazimierza i Jana Sobieskiego znajdziemy siłę tragiczną, której nawet dosyć przystoją te barokowe osłonki wyrażeń. Kaznodzieja Tomasz Młodzianowski († 1686) snuje zresztą dalej wątek tradycyj okresu Skargi prostotą i czystością języka, tudzież teologicznem zgłębieniem przedmiotu. Niestety, stanowi on wyjątek, a ton nadają zbiory wzorów wymowy takich jak: J. Wojsznarowicz (Orator 1648), i Danckowicz (Swada 1745), które też wyhodowały kult zepsutego smaku.

Literatura polityczna znajduje się również w upadku, jakkolwiek podaje nam wiele rzeczy ciekawych, a ze względu na chorobliwość kierunku charakterystycznych. Przedstawicielami jej są: Łukasz Opaliński († 1662), marszałek koronny, w piśmie: *Polonia defensa contra Barclaium* (1648), będącem apologią polskiej ustawy rządowej; Szymon Starowolski, kanonik krakowski († 1656), polyhistor, moralizujący cenzor obyczajów, w dziele: „Reformacya obyczajów polskich“ (1645) i w rozprawie: „Lament Matki Korony Polski już już konającej na wyrodne syny swoje“, w dążnościach szlachetny, ale jałowy pod względem politycznym; przedewszystkiem zaś Andrzej Maksymilian Fredro, kasztelan lwowski († 1679), domorosły typ, autor: *Monita politico-moralia* (1664), *Vir consilii* (1730) i *Fragmenta scriptorum toga sagoque inclytorum*, tudzież zbioru przysłów w języku polskim (1658). Fredro jest bystrym obserwatorem natury ludzkiej, jako epigramatyk cięty i dowcipny, ale nie jest myślicielem systematycznym. Tem łatwiej popada w mistycyzm niemal doktrynerski, kiedy w dobrej wierze kładzie istnienie państwa na drugim planie po wolnościach ustawy rządowej. Toteż w czasach najcięższych klęsk występuje z paradoksem, że Polska dopóty będzie istniała, póki braknąć jej będzie twierdz i stałego wojska, póki król będzie elekcyjnym i trwa *liberum veto!* Poświęcił też uwielbieniu wolności szlacheckiej dzieło historyczne o elekcyi Henryka Walezego, nie wyświadczając tem historyi najmniejszej przysługi.

Pewien zwrot do krytycznego omawiania polskich stosunków znać w Stanisława Lubomirskiego: „Rozmowach Artaksesa z Ewandrem“ (1702); jest tu mowa, co prawda w formie nadzwyczaj ostrożnej, z domieszką filozoficznej spekulacyi, o upadku dyplomacyi, o naradach publicznych, o skażeniu wymowy politycznej, są przykłady ze starożytności i dziejów nowożytnych, występuje się przeciw warcholstwu nierozumnego przesądu politycznego i przeciw demagogii popularnych oratorów. Stanisław Lubomirski rozpoczyna szereg uczonych pisarzów z pośród możnowładców; mieszczą się w nim nazwiska Jana Stanisława Jabłonowskiego, Fryderyka Sapiehy, dwóch Załuskich, wszystkich z pierwszej połowy XVIII. w., a kończy się na Józefie Aleksandrze Jabłonowskim, założycielu naukowej instytucyi w Lipsku, która obcą się stała własnej ojczyźnie. Panom tym dostało się widać lepsze wykształcenie, które zbliżyło ich do Europy, ale, z wyjątkiem dwóch Załuskich, nie przyniosło Polsce żadnej korzyści. Broszura polityczna Stanisława Jabłonowskiego: „Skrupuł bez skrupułu“ (1730), jest ciasną a nieszczerą apologią magnatów, bez głębszej wartości. Trzeźwiejszą i bardziej patryotyczną jest: *Eclipsis Poloniae* (1709) referendarza koronnego Szczuki, w której autor odsłania upadek wewnętrzny Rzpltej i poniżenie na zewnątrz i rozwodzi się nad nowem uporządkowaniem skarbu i wojska, prawi o konieczności wojny eksterminacyjnej z Turcyą, ażeby uprzedzić Rosyę i Austryę. Charakterystycznem jest dla umysłowego zasklepienia Polski, że Szczuka zaleca pilnie Polakom naukę geografii i historyi powszechnej, ażeby zaś wpoić w nich znajomość otaczającego ich europejskiego świata, uważa za niezbędny środek rozdawanie z urzędu pomiędzy szlachtę bezpłatnego czasopisma politycznego. „Głos wolny wolność ubezpieczający“ (1773), dzieło polityczne cnotliwego ex-króla Stanisława Leszczyńskiego, znanego bardziej pod imieniem: *le philosophe bienfaisant,* obchodzi się jeszcze bardzo ostrożnie ze skamieniałym konserwatyzmem koryfeuszów polskiej wolności, a jednak wkracza już stanowczo na drogę reformy, która omawiana w literaturze coraz wyraźniej aż do r. 1764, po wstąpieniu na tron Stanisława Augusta Poniatowskiego doprowadza książąt Czartoryskich do zabiegów o reformę i do sejmu czteroletniego.

Dziejopisarstwo nie mogło oczywiście mieć w tym czasie tej swobody i jasnego poglądu, któremi się odznaczało jeszcze w poprzednim okresie. Na czele stoi rodzaj polskiego Tacyta, *Chronica gestorum in Europa singularium* (1645), dzieło przekornego i zrzędnego biskupa Pawła Piaseckiego, w którem jednakże napróżno

szukalibyśmy głębszego zrozumienia wypadków. Nie mają znaczenia dwaj historycy dworscy: Kobierzycki i Wassenberg. Na stanowisku drobnej szlachty, wietrzącej niebezpieczeństwo w królewskiej władzy, stoi Wespazyan Kochowski w czterech Klimakterach (trzy pierwsze tomy 1683—1698, czwarty wydany dopiero 1856, w tłómaczeniu). Więcej znajdziemy zmysłu politycznego w *Epistolae historico-familiares* A. Chr. Załuskiego (1709—1761), które są właściwie komentarzem do zbioru aktów, obejmujących czasy Michała, Jana III. i Augusta II. Dobrą historyę litewską napisał Kojałowicz (1650). Znakomitych prac w dziedzinie historyi i statystyki dostarczyli niemiecko-polscy Prusacy: Hartknoch *(Respublica polonica* 1658), Lengnich *(Geschichte preussischer Lande königlich polnischen Antheils, Historia polona* 1740, *Jus publicum regni Poloniae)*. Podczas gdy dziejopisarstwo polskie zanika w tandetnych robotach Rubinkowskiego, lub rozpływa się w przechwałkach historyj rodów w olbrzymim herbarzu Kaspra Niesieckiego (1728), prace: Brauna, Hoppiusa, Ringeltauba, Groddecka, pouczają o świetnych okresach polskich stosunków i twórczości umysłowej narodu; ostatniemi wypadkami zajmują się pisma: Massueta, Solignaca, Cantillona, Bizardièrsa.

Charakterystyczną dla czasów upadku jest encyklopedya powszechna Ben. Chmielowskiego: „Nowe Ateny", w 4-ch tomach, przepełniona zabobonami i niesmacznemi konceptami. Wyszło to we Lwowie 1753.

O wiele ciekawszą jest literatura pamiętnikarska. Poczynając się od Jewłaszewskiego (za Zygmunta Augusta), zapoznaje nas ona w niewymuszonych zarysach z wielostronnem, barwnem życiem rycerskiego a ruchliwego narodu, który oplątany siecią nieszczęsnej ustawy rządowej, potrzebował dużo czasu do wydostania się z tego ogrodu Armidy nieograniczonej wolności, aby wytrzeźwiawszy, zdać sobie sprawę z upadku wewnętrznego i poniżenia na zewnątrz. Klasyczną znać wielkość w komentarzach Stanisława Żółkiewskiego o wojnie moskiewskiej, tak proste a jakiejże wagi komentarze męża, który skończył, jak Leonidas, na polach Cecory. Prochem czuć pisma Szemberga, Jakóba Sobieskiego, o potrzebie cecorskiej i chocimskiej (1620—1621). Niezrównany wdzięk tryska z pamiętników młodości Jerzego Ossolińskiego, zawierających opis wyprawy moskiewskiej 1618. Dziennik Wojciecha Stanisława Radziwiłła, wielkiego kanclerza litewskiego (do r. 1652), odkrywa nam tajniki chciwej miernoty, postawionej na świeczniku. Poziom umysłowy drobnej szlachty kreślą Jerlicz, Łoś, Jemiołowski, Poczobut, z późniejszych Otwinowski i Matuszewicz (czasy saskie), ale przedewszystkiem wyborny Jan Chryzostom Pa-

s e k, żołnierz i ziemianin z czasów Jana Kazimierza, Michała i Jana III., znakomity opowiadacz, pierwszorzędny w naiwnych opisach obyczajów swego czasu. Człowiek ten ma nieprzebrany humor, którym oświeca radośne i przykre wypadki, w opowiadaniu swych przygód barwność, którą tekst co chwila aż tryska, gdzieniegdzie może z przyczynkami ruchliwej bez końca wyobraźni, wszelako zawsze z zachowaniem granic prawdopodobieństwa; a wreszcie jest w nim — polityczna lekkomyślność, która robi z niego wierne zwierciadło wszystkich zmian w przekonaniach rycerstwa szlacheckiego; toteż gdy zacznie gadać o wojnie domowej pod Mątwami lub nieszczęsnej a bezmyślnej elekcyi 1669 r., rad jest i klaszcze a dowcipkuje. A jednak jestto sobie zuch jak wielu, poczciwy, zacny, bezinteresowny, towarzysz mężny wielkiego pogromcy Szwedów, Czarnieckiego, natura wieśniacza, łagodna[1]), przystępna, pełna dobrej woli i gorącego patryotyzmu. Znać na nim i na jego rówieśnikach, że rdzeń narodu pozostał zdrowym, ba! zachował czerstwość młodzieńczą, że niedomaganie pochodziło z formy rządu, z obniżenia się intelligencyi, z zasklepienia się od reszty świata i że właściwe zepsucie moralne nie dotknęło ogółu narodu, ale wielmożów łowiących ryby w mętnej wodzie.

Aryanie, odcięci ostatecznie od społeczeństwa w r. 1658 wyrokiem banicyi, wiodą życie podziemne, niechętni całemu społeczeństwu. Pisma ich teologiczne, dotykające też polityki, wyszły zebrane razem w *Bibliotheca fratrum polonorum* (Amsterdam 1656), historyę swoją opracowali wskazując z tęsknotą na wolność wyznania w XVI. w. w *Slavonia reformata* Węgierskiego († 1649) i w *Historia reformationis polonicae* Lubienieckiego (1685). Sympatye ich dla szwedzkiego najeźdźcy (1655) przywiodły polskie społeczeństwo do zastosowania względem zdrajców nielitościwego i bezwzględnego ostracyzmu.

Literatura ruska dochodzi w tym okresie do nowego rozwoju, idąc ręka w rękę z najżywotniejszą ruską sprawą. U n i a B r z e s k a (1596); potęga wojennej kozackiej republiki na stepach ukraińskich, tych Kozaków, którzy już za Zygmunta III. byli jużto przemożnym sprzymierzeńcem, jużteż niebezpiecznym na południowych kresach, żywiołem anarchicznym, który z wielkim wysiłkiem trzeba było poskramiać; wielkie powstanie kozackie r. 1648, zakończone w r. 1654 oderwaniem się Kozactwa od Rzpltej i to na rzecz Moskwy, którego echa odzywały się jeszcze nieraz aż do ostatecznego

[1]) Świeżo odkryte dokumenta ukazują Paska w świetle mniej korzystnem. *Przyp. wyd.*

ujarzmienia Kozactwa przez Moskwę i wykluczenia go z polskiej, przeddnieprskiej Ukrainy: to wszystko nie mogło się odbyć bez wywołania potężnego odgłosu w umysłowem życiu Rusi. Wszak Kozactwo stanowi do dziś dnia tradycyjną historyczną podstawę Rusina, który czuje wstręt tak do polskiego, jakoteż moskiewskiego zwierzchnictwa i zwykł marzyć o samoistnej Rusi od Przemyśla do Jelca, od Putywla po Czarne morze. Ruch umysłowy Rusi, jakkolwiek teologiczny przeważnie, wykazuje z drukarń w obrębie polskiego państwa do r. 1600 książek 67, do 1625 roku 147, a do 1650 r. 300, ogółem 514 książek, podczas gdy w Moskwie od wprowadzenia drukarstwa w r. 1564 aż do r. 1650 nie wyszło ich więcej, jak 300. Pod patronatem ruskich wielmożów: Kurbskiego i Konstantyna Ostrogskiego, kwitną drukarnie w Wilnie, Kijowie i w Ostrogu, a bractwa religijne, rozszerzające się szybko od założenia bractwa lwowskiego w r. 1586, popierały obok opozycyi przeciw dążnościom uniackim, także twórczość na polu literatury kościelnej. Jako szermierze przeciwni unii występują: Krzysztof Broński (pseudonim Philaletes), autor „Apokrisis na synod brzeski“ 1597, Zacharyasz Kopestyński „O jedynej wierze“, Melecyusz Smotrycki († 1633), autor „Żalu“ (1610), w którym występuje jako schyzmatyk, i „Apologii“ (1628), w której już jest gorliwym unitą.

Smotrycki umarł w unii. Od roku 1633, kiedy Władysław IV. rozpoczął politykę życzliwą schyzmatykom, rozwinął się jeszcze większy ruch w dziedzinie teologicznej, zwłaszcza za metropolity Piotra Mohiły († 1647) i pod wpływem Akademii teologicznej w Kijowie; wzięli w nim udział: Wawrzyniec Tustanowski, Job Borecki, Safonowicz, Arsen Satanowski i inni; zjawili się religijni i dramatyczni autorowie mysteriów, którzy — co rzecz ciekawa — naśladowali wzory polskie: Kassyan Sakowicz, Cyryl Tranquillion, Jan Maksymowicz. Wcielenie Zadnieprza w r. 1654 sprowadziło w Moskwie niejakie starcia żywiołu ukraińskiego z moskiewskim, podejrzywano Rusinów, jako spolonizowanych kacerzów i starano się stłumić jak najbardziej ich ruch umysłowy.

Wojny kozackie wywołały cały szereg ludowych rapsodów i kronik popularnych. Tamte żyły w uściech ludu, a te wydano dopiero w obecnym wieku: roczniki naocznego świadka, roczniki Samuela Wieliczki i Grzegorza Grabianki. Wymienić należy kompilatorów historycznych: Sylwestra Kossowa († 1657) z jego „Paterikon“, Safonowicza i Bobolińskiego. Język tych pomników dziejowych zbliżony jest do polskiego do tego stopnia, że nie można żadną

miarą wątpić o potężnym wpływie polskiej kultury na żywioł ruski. To samo da się powiedzieć o aktach kancelaryi kozackiej, o stylu i formie prac poetycznych, a nawet teologicznych. Przyjmowano polskie zwyczaje i obyczaje, co nie przeszkadzało społecznej zawiści przeciwko polskiej szlachcie.

Zbliżamy się do okresu reformy, do której przygotowywał w Polsce umysły już Stanisław Leszczyński, a którą wszczynają w praktyce pisma pijara Stanisława Konarskiego; za ostatniego króla, Stanisława Augusta Poniatowskiego, mecenasa nowego kierunku, wśród walki wewnętrznej dawnych i świeżych żywiołów, dążyło się do niej wywracając ustawę rządową w r. 1764, 1775 i 1791, niestety, już na gruzach politycznego żywota Rzpltej. Rzadko chyba kiedy w historyi kultury zderzyły się takie prądy różnorodne, jak dawny polski kontuszowy z nowożytnym racyonalizmem francuskiego „wieku filozofów", encyklopedya zabobonnego Chmielowskiego z encyklopedyą Diderota i d'Alemberta. Widzi się, jak ten świat polski, zasklepiony w sobie, mistyczno-doktrynerski, podkopuje stopniowo kierunek inny, który w gruncie rzeczy z góry patrzy, z europejskiego stanowiska, na staropolski obyczaj i ma o wiele więcej powinowactwa duchowego z Fryderykiem II. i Katarzyną II., niż z upadłym duchem szlacheckiego narodu, republikanckiego a ściśle katolickiego; toteż ten kierunek nie cofa się przed dokonaniem reformy państwa z pomocą i opiekuństwem obcych, a nie zdołał stoczyć z ościennymi walki na zabój o tę ojczyznę, która nie chciała ugiąć się przed niezbędnemi innowacyami. Słowem, prądy reformistyczne pobudziły kraj do walk wewnętrznych, które dostarczyły sąsiadom pozorów, żeby się wmięszać, mącić i w mętach ryby dla siebie łowić; nie zdołały one przywieść narodu do odrodzenia się i wzmożenia, któreby ochroniło od katastrofy, bo właściwie nigdy się nie spopularyzowały, a przynajmniej zbyt późno i tylko po części. Prawdziwość tego spostrzeżenia sprawdza się w literaturze. W Dziełach okresu reformy nie znać nawet tego tętna narodowego, właściwego koryfeuszom poprzedniej epoki; Krasickiemu, Trembeckiemu, Naruszewiczowi dużo niedostaje do tej swojskości, cechującej Reja, Kochanowskiego, Skargę. Okres reformy zowią historycy literatury francuskim, pseudoklasycznym; uznaną jest rzeczą, że nawet najznamienitsze utwory są na-

śladowaniem francuskich wzorów, że Voltaire i Rousseau, chociaż przez polskich reformistów jawnie odrzucani, w skrytości jednak byli i dla nich najbardziej podziwianymi umysłami wieku, i że oni wtłoczyli w polskie oświecone warstwy i w literaturę, tamten swój dowcip i języczność, skeptycyzm i płytką filantropię, a ten swój deizm i sentymentalność.

Jeszcze za Sasów wszczęło się to dążenie do reformy i zbliżenia się do oświaty europejskiej; do oznak tego ruchu należą pisma polityczne króla Leszczyńskiego i Stanisława Dunina Karwickiego *(De reformanda republica)*, gościnny dwór króla-reformatora w Luneville, gdzie przebywał jako książę lotaryński po pokoju wiedeńskim, który go zmusił do abdykacyi, otoczenie braci Załuskich, Józefa i Andrzeja, którzy założyli w Warszawie wielką bibliotekę publiczną, ruch naukowy pomiędzy cudzoziemcami, którzy zajmowali się rzeczami polskiemi (Mizler a Kolof, Janocki, Dogiel), tudzież ruchliwe w dziedzinie polityki dwory Czartoryskich i hetmana wielkiego koronnego Branickiego. Pijar Stanisław Konarski (urodzony r. 1700, zmarł 1773), znany przedtem dobrze na dworze w Luneville, zaprzyjaźniony z Czartoryskimi i wielu innymi możnowładcami, założył w r. 1740 w Warszawie Collegium nobilium i wprowadził w niem system wychowania zastosowany do ówczesnych francuskich wymagań wykształcenia i wkrótce wystąpił też w pismach politycznych, religijnych i pedagogiczno-dydaktycznych do walki z anarchią sejmową, z bigoteryą i wolteryańską niewiarą, tudzież z niemądrym panegiryzmem w piśmiennictwie i wymowie. Stanisław August odznaczył go medalem z lakonicznym napisem w otoku: *Sapere auso*. Czterotomowe jego dzieło: „O skutecznym rad sposobie“ (1760—1763) uśmierca *liberum veto* w sposób nadzwyczaj przekonywujący, spokojny a gruntowny i stanowi największą zasługę Konarskiego. Rozprawa „O religii poczciwych ludzi“ (po polsku 1769, po łacinie 1771) stała się powodem oskarżenia Konarskiego w Rzymie, ponieważ zwalczała wolteryanizm bronią uczuć religijnych, nie dość ściśle kościelnych ze stanowiska surowej ortodoksyi. Do działalności jego pedagogiczno-dydaktycznej należą: pismo *De emendandis eloquentiae vitiis* (1741), gramatyka łacińska i łacińskie poezye. Z jego też inicyatywy powstał ośmiotomowy zbiór ustaw polskich *Volumina legum*.

Siejba Konarskiego wzeszła po jego śmierci w ustanowieniu Komisyi Edukacyjnej (1773), wyposażonej dobrami skasowanego zakonu Jezuitów, a która pod przewodem Joachima Chreptowicza i Michała Poniatowskiego przeprowadziła gruntowną reformę

nauki nietylko uniwersyteckiej, ale też w szkołach średnich i ludowych. Mężowie, ożywieni duchem Konarskiego, jak Hugo Kołłątaj, Onufry Kopczyński, Grzegorz Piramowicz, Jan Śniadecki, pokierowali reformą, którą uznały nawet mocarstwa rozbiorowe, zwłaszcza Prusy, jako dzieło znakomite, a pod rządem rosyjskim zachowano ją długo nietkniętą, w Kongresówce i w krajach zabranych, dobierając wybitnych kierowników, takich jak ks. Adam Czartoryski i uczony Tadeusz Czacki. Komisya Edukacyjna starała się usilnie o znakomite podręczniki, o to, żeby w pisemnem i ustnem wyrażaniu się wprowadzić logiczną ścisłość a prostotę, żeby dydaktykę oprzeć na indukcyi, stanowi nauczycielskiemu zapewnić poważane stanowisko, a stosunek do młodzieży oprzeć na wzajemnej sympatyi i zaufaniu. Pamiętać trzeba, że rozkwit literatury po r. 1822 wyszedł właśnie ze szkół tego kierunku, obranego w r. 1775.

Literatura szła tymczasem drogą francuskich wpływów. Za podstawę służy jej zalew tłómaczeń, w których nie brak było *Esprit de losis* i innych pism poważniejszych, tak jednakże, że unikano rzeczy obrażliwych dla religii; tygodniki literackie, „Monitor“ Ojca Bohomolca (od 1764), „Rozmaitości“ Albertrandiego i Naruszewicza (od 1776) zawierają artykuły, świadczące o lepszym smaku. Hetman wielki koronny Wacław Rzewuski próbuje tragedyj historycznych o temacie polskim według wzorów francuskich (Żółkiewski, Władysław Warneńczyk), a Franciszek Bohomolec układa dla królewskiego teatru sztuki dosyć nudne w guście *larmoyant*. Król Stanisław August skupia koło siebie grono literatów i mecenasów, którego ogniskiem jest Adam Naruszewicz, niegdyś wychowanek Jezuitów, biskup łucki (zmarł r. 1796, z melancholii po upadku państwa). Naruszewicz jest satyrykiem i poetą przygodnym, tłómaczem Horacego i Tacyta. Król skłania go do napisania historyi Polski; urządza się wielką pracownię historyczną, wertują archiwa zamówieni kopiści (teki Naruszewicza, 230 woluminów folio, dziś w bibliotece Muzeum Czartoryskich): Naruszewicz nie doprowadził jednakże rzeczy poza rok 1386, prócz epizodu z XVII. wieku, zwanego biografią Karola Chodkiewicza. Dzieło jego pełne zasługi, nie pozbawione pewnej, choć nieco zbyt mechanicznej krytyki, ma tendencyę monarchiczną. Jako poecie nie brak Naruszewiczowi zapału: gorący patryotyzm dyktuje mu nieraz natchnione strofy:

Czegoż się błędny uskarżasz narodzie,
Los twój zwalając na obce uciski?

Szukaj nieszczęścia w twej własnej swobodzie
I bolej nad jej opłakane zyski:
Żaden kraj cudzej potęgi nie zwabił,
Który sam siebie pierwej nie osłabił.
. . . . . .
Cóż kiedy niesfor głów tysiąca zrobił?
Wiążąc bezczynne monarchów ramiona,
Zdzierał publiczność, swe prywaty zdobił,
Szerzył ze starostw dziedziczne imiona.
A pod pozorem wolności mniemanej
Określał króle, rozmnażał tyrany.

Możnaby tego szlachetnego męża, o silnych przekonaniach, postawić na czele wszystkich rozsądnych reformistycznych prądów w literaturze polskiej. Ale nie on jest typowym koryfeuszem literackim tej doby: na to był on za mało francuskim, a nazbyt uczniem dawnej łacińskiej szkoły. Koryfeuszem, który ton nadaje, jest Ignacy Krasicki (ur. 1736, zmarł 1801), książę biskup warmiński, mianowany w r. 1796 arcybiskupem gnieźnieńskim (w jego dyecezyi były wówczas Warszawa i Poznań). Krasicki jest od r. 1773 pruskim poddanym, a przyjacielem Fryderyka W., z Polską ograniczony na stosunki literackie, a podziwiany powszechnie, jako książę poetów. Krasicki jest klasycznym bajkopisarzem podług wzoru Lafontaina, miernym epikiem (Wojna chocimska 1780) na wzór wolterowskiej Henryady, a wybornym w epopei komicznej na wzór Tassoniego i Gressetsa (Myszeida, Monachomachia, Antimonachomachia, 1778, 1780), tudzież w powieściach moralizujących w stylu Lesage'a, Marmontelsa, Woltera, w „Panu Podstolim“ (1778) i „Przygodach Doświadczyńskiego“ (1776); wreszcie dowcipnym autorem listów poetyczno-prozaicznych; zajmował się nadto historyą literatury powszechnej (O rymotwórstwie i rymotwórcach), Plutarchem i Lucyanem (tłómaczenia), encyklopedyą (bez wartości), heraldyką i ogrodnictwem artystycznem. Jest mistrzem języka i formy; posiadając głębokie znawstwo złotego okresu XVI. wieku, wytworzył na nowo język literacki, wprowadził poprawność i wytworność i starał się wprowadzić literaturę na tory narodowe, co mu się tylko po części udało. Była to natura zbyt pokojowa, zamiłowana w spokoju i ostrożna, ażeby w burzliwych czasach przekroczyć zakres prostej roztropności, rozsądku i ogólnej intelligencyi i na tle wstrząsającej rzeczywistości dojść do silniejszych wzruszeń i wyzyskać ich potęgę; posiada on dowcip, humor, wyobraźnię, rozumne umiarkowanie: ale brak mu natchnienia. On, potomek rycerskiej szlachty, nie zdołał przełamać

trudności bohaterskiego eposu, które pisane według recept literackich blado się wydaje i zamiast tęgich zuchów wprowadza nam wypchane manekiny; on, książę Kościoła katolickiego, wyszydza zakony w „Monachomachii“ i „Antimonachomachii“ i to w czasie, gdzie katolicyzm z wielu stron doznawał ucisku; satyra polityczna „Myszeida“ pisaną jest zbyt ogólnikowo, ażeby ją można było odnieść do polskich stosunków; a jego ideał ziemiaństwa, „Pan Podstoli“, jest zbyt pedantycznym i nudnym i zbyt mało się wiąże z aktualnemi sprawami ówczesnego położenia politycznego, ażeby mógł oddziałać na tok spraw. W ten sposób staje się Krasicki — zresztą nieświadomie — reprezentantem tego „oświecenia“ połączonego z osłabieniem charakterów, które zwątpiło o możebności ocalenia ojczyzny i poczęło się poddawać konieczności. Nie jest też to bez znaczenia, że Krasicki umiera w głębokiej melancholii, a poetyczny swój zawód kończy na mglistych pieniach Macfersonowego Ossyana, które z francuskiego przekładu spłynęły na koniec po tej niegdyś tak wesołej lutni.

Inni poeci tego okresu, to Stanisław Trembecki, Tomasz Węgierski, Franciszek Kniaźnin, Franciszek Zabłocki i Franciszek Karpiński. Węgierski, autor żartobliwego poematu „Organy“, zdolny naśladowca Woltera, zgasł w młodym wieku. Kniaźnin, dworzanin książąt Czartoryskich, autor dramatu lirycznego w guście Metastazya, tworzy często pieśni patryotyczne, wzruszające potęgą uczucia, a trzeci rozbiór Polski przypłaca pomięszaniem zmysłów († 1807). Karpiński, szlachcic-chudopachołek z Galicyi, łączy francuską uczuciowość z motywami ludowemi polsko-ruskiemi, daje tłómaczenie psałterza i pieśni religijne, które przeszły do ludu († 1822). Zabłocki, poeta polityczny, któremu nie brak siły, i to znacznej, w wysłowieniu, pisze też komedye na wzór francuskich, z których niektóre (Sarmatyzm, Fircyk w zalotach) malują świetnie ówczesne typy. Po rozbiorach został księdzem i był gorliwym plebanem wiejskim († 1821). Niwę dramatyczną uprawia też Wojciech Bogusławski, właściwy założyciel teatru narodowego w Warszawie (1778), który w „Krakowiakach i Góralach“ pierwszy wprowadził wodewil ludowy.

Tych wszystkich prześciga zdolnością i oryginalnością wymieniony na czele Stanisław Trembecki, szambelan królewski, lew paryski, słynny tam z pojedynków, materyalista i epikurejczyk podług doktryn La Mettriego i Holbacha, dworzanin króla a później Szczęsnego Potockiego, marszałka konfederacyi targowickiej; umarł w r. 1812, cierpiąc na łagodne pomięszanie zmysłów. W poematach

opisowych, „Zofijówka“ i „Parchatka“ (dwa parki), rozwija niezrównane mistrzowstwo poetycznego języka, a w wierszach lirycznych polot i zwięzłość godne Horacego. Materyalistyczne poglądy znać z następującego ustępu z „Zofijówki“:

Gdy więc o wszystkich rzeczy namieniamy wątku,
Ten końca mieć nie będzie, jak nie miał początku.
Nigdy go nie przyrasta, nigdy nie ubywa,
Ale się coraz inną postacią okrywa.
Żadnego już z tych we mnie proszku nie zostało,
Które moje składały przed półwiekiem ciało.
Na ich miejsce przez pokarm, oddech i napoje,
Innych żyjątek części obróciłem w moje.
I co byłem dopiero ziarno, drzewo, ziele:
Jest duchami, krwią, kością, żyłą w mojem ciele;
Co chwila w niedostrzeżne rozrabiany pyłki,
Znowu innym istotom idę na posiłki.
Gdy ciał naszych budowla niszczejąca zwolna
Niebieskiego brać ognia już nie będzie zdolna,
Zwać to zwykliśmy skonem; a nasze ostatki
Innym rozda żyjątkom wielkie łono matki.
Rozkosz bydź sądzę dobrem najwyższem człowieka,
Lecz to za istną rozkosz wziąłby chyba tępy,
Co koniecznie szkodzące pociąga następy.
. . . . . .
Przez wyczyszczony rozum i cnotliwe życie
Zyskuje się prawdziwej rozkoszy nabycie.
. . . . . .
Bo myśl i ciało będąc umieszczone ściśło,
Od ich zdrowia zwiększenie rozkoszy zawisło.
A gdy dobrze strawionym obciążony wiekiem,
Pozna, że już przychodzi przestać być człowiekiem,
Tak się spokojnie złoży, z przodkami pospołu,
Jak gdy po walnej uczcie wstawałby od stołu.

Materyalista Trembecki jest politycznym przyjacielem — Moskali. W wierszu do posłów na sejm rozbiorowy grodzieński wyraża się tak:

Przebóg, pókiż będziemy krzywo rzeczy sądzić!
Dziś, za wczora żałować; jutro znowu błądzić!
Po niezliczonych dowodach, nikt nie wątpi o tem,
Że dzielność jest wrodzonym Polaka przymiotem,
Z tegoż się, co my szczepu, Rosyanin rodzi,
Równej się mu odwagi uwłoczyć nie godzi.
Lecz kraj ludny, rozległy, a monarsze wierny,
Kto bystrego Karola niehamowność pożył,
I swoję w jego państwach stolicę założył.

Gdzie jest siecz straszna blizkim? gdzie krymskie Mogole,
Niszczące Szląsko, Węgry, Morawy, Podole?
A Otoman grożący trwożonemu światu,
Czyjego sam nakoniec ulękł się bułatu?
Próżno w liczne Fryderyk sztuki się sposobił,
Wiemy, kto go przyniżył, kto go wielkim zrobił,
Przez to gdy lotno idzie Rosyanin stopnie,
Kto z nim kupuje napaść, nie czyni roztropnie.

Trembecki nie był oczywiście nigdy popularnym. Klątwa ciążąca na konfederacyi targowickiej dotknęła też jego głowy. Silniejszą ponad wszelkie względy polityczne ścianą od rusycyzmu stała się różnica cywilizacyi. Przymierze z Prusami stało się popularnem, bo to był sojusz z Zachodem. Łączność szczepowa z Moskalami, na którą Trembecki po raz pierwszy może w Polsce zwrócił nacisk, wywoływała w Polsce tylko uwagę: tem gorzej! Indywidualności historyczne nie lubią dać się ubiedz pobratymcom tem bardziej, niż obcym; toteż w obfitej niezmiernie literaturze politycznej tego okresu nietylko niema śladu panslawistycznej idei rosyjskiej, ale dąży ona wszelkiemi środkami do zrzucenia moskiewskiego jarzma wbrew silnemu stronnictwu, które trzymało się Rosyi jużto z poczucia słabości i przezorności, jużto z osobistego samolubstwa. Reformę ustawy rządowej, przygotowywaną przez Leszczyńskiego i Konarskiego, omawiają liczne pisma, przejęte wpływem współczesnej politycznej literatury francuskiej, przemawiając przeważnie za wzmocnieniem monarchii. Mably jest zwykłą powagą dla monarchistów, a dla mniej licznych republikanów Rousseau, który napisał doktrynerskie *Considerations sur le gouvernement de la Pologne*. Na Rousseau opiera się Michał Wielhorski w swem dziele: „O wznowieniu dawnej formy rządu“ (1775), w którem przypisuje wszystkie nieszczęścia zaniedbaniu dawnej formy rządu. Pod wpływem cnotliwego kanclerza Andrzeja Zamojskiego doradza Józef Wybicki w „Listach patryotycznych“ (1777) radykalne zmiany w ustawie rządowej. Pod tymże wpływem chwyta za pióro Stanisław Staszic, mieszczanin z Piły, później prezes Towarzystwa Naukowego i minister w Królestwie Kongresowem († 1826), i wydaje „Uwagi o życiu Jana Zamojskiego“ (1785) i gorące „Przestrogi dla Polski“ (1790), w których domaga się zniesienia starej ustawy rządowej, silnej władzy królewskiej i poprawy stosunków włościańskich. Prawodawczemu sejmowi czteroletniemu (1788—1792), który ogłosił słynną konstytucyę 3 maja 1791 r., towarzyszy zalew politycznych broszur i dzieł; na czele ich stoi dzieło podkanclerzego Hugona Kołłątaja: „Li-

sty anonima do marszałka sejmowego St. Małachowskiego" (trzy tomy, 1788), tudzież historyczno-polemiczna rozprawa „O powstaniu i upadku konstytucyi 3 maja" (1791). Na republikańskiem stanowisku staje Seweryn Rzewuski, hetman polny, w pismach przeciw zaprowadzeniu monarchii dziedzicznej. Ostatniem słowem polityki ukraińskich wielmożów były zamysły urządzenia federacyjnej republiki pod władzą możnowładców na mniejszych udziałach! Kołłątaja zaś ostatnie dążności, przeciw którym energicznie wystąpił Kościuszko, były wręcz rewolucyjne!

Wymowa tego okresu, piszącego wiele a pełnego dyskusyi, pozostaje daleko w tyle poza jego płodami literackiemi. U większej części mówców znać, że myślą po francusku a mówią po polsku niejako sztucznie i w sposób wymuszony. Rozwlekłość i gadatliwość dały się we znaki sejmowi czteroletniemu. Sam król był znakomitym mówcą, podobnież stryj jego, statysta Michał Czartoryski, wielki kanclerz Zamojski, biskup krakowski Sołtyk i dwóch Rzewuskich. Sejm wielki wydobył znaczną ilość młodych talentów (K. Sapieha, J. U. Niemcewicz, Pius Kiciński) i wielkiego mówcę politycznego Ignacego Potockiego; „Przestroga dla Polski" S. Staszica pozostanie jednakże najpotężniejszem i najrzewniejszem zarazem ze wszystkiego, co gorący patryotyzm mógł wyrzec nad upadającem polskiem państwem; dzieło tem szczególniejsze, że zresztą Staszic jako uczony, jako dziwaczny tłómacz bez zdolności, nie miał nigdy zgoła pięknego wysłowienia się.

Trzeci rozbiór, bezpośrednie następstwo bohaterskiego powstania Kościuszki i wykreślenie zupełne Polski z szeregu państw nadało okresowi literatury, o którym obecnie mowa, inny zwrot wewnętrzny, ale nie zmieniło niczego w jej zewnętrznych formach. Bezdenna klęska narodowa przygniotła w krótkim czasie tych koryfeuszów piśmiennictwa, którzy wydawali się tak spokojnymi i umiarkowanej wrażliwości: Naruszewicz i Krasicki niedługo przeżyli Polskę, podobnież jak i król niedługo ją przeżył, Kniaźnin i Trembecki skończyli na pomieszanie zmysłów, Zabłocki w sukience duchownej. To wolteryańskie pokolenie samolubnych rozkosznisiów miało jednak widocznie serce, ukryte za cynicznym uśmiechem! W głębokiej boleści chwytano się teraz oburącz życia umysłowego, literatury, umiejętności w polskim języku, powtarzając sobie hasło: *Antiquum*.

quirite matrem. W r. 1800 założono w Warszawie za pozwoleniem rządu pruskiego Towarzystwo Przyjaciół Nauk, pielęgnujące nauki humanistyczne i ścisłe, łączące wszystkich wybitniejszych uczonych. Nie spoczywały w Polsce Muzy ani nawet podczas wielkiego wstrząśnienia Europy przez powszechno-dziejową rolę Napoleona, kiedy to dla Polski świtały najlepsze nadzieje odbudowania ojczyzny: natenczas książę Józef Poniatowski, bohater roku 1809, zamyślał urządzić na wzór francuski w Krakowie Institut de Pologne, a myśl ta nie poszła na marne, bo dała powód w r. 1814 do założenia krakowskiego Towarzystwa Naukowego (obecnie Akademia Umiejętności).

Polskie zakłady wychowawcze i naukowe, zreformowane pomyślnie po r. 1775, rozwijały się, zwłaszcza pod zaborem rosyjskim; utworzone w r. 1815 t. zw. Królestwo Kongresowe posiadało własne ministerstwo wyznań i oświaty, podczas gdy na Litwie i Rusi południowej ks. Adam Czartoryski pełnił obowiązki kuratora naukowego. W nowych ustrojach politycznych, w Wielkiem Księstwie Warszawskiem i konstytucyjnem Królestwie snuła się dalej tradycya „oświecenia", która ożywiała sejm czteroletni, dążąc do wzmożenia narodu przez wzmożenie władzy rządowej, poprawę doli ludu roboczego, powszechną oświatę i wspieranie nauk i sztuk; świadomości, że upadek Polski musi sam naród przedewszystkiem jako grzech swój odpokutować, towarzyszyła gorąca miłość lepszej przeszłości, a zarazem bohaterstwo, którego dowody złożyły legiony pod napoleońskiemi orłami. Klauzula kongresu wiedeńskiego: „Polacy... otrzymają instytucye zabezpieczające utrzymanie ich narodowości", mogła być wynikiem konstellacyi politycznej, ale bądźcobądź była też zarazem owocem owego szacunku, wzbudzonego w wyczekującej pokoju Europie zachowaniem się narodu poważnem a bohaterskiem.

I w tym także okresie, sięgającym aż do lat 1822—1831, dominował tak samo wpływ francuski, jak za czasów Stanisława Augusta. Prócz dawniejszych wzorów francuskich, od Rasyna i Boileau do Woltera i Rousseau, znajduje się też nowsze, Bernardina de St. Pierre, Chenicra, Chateaubrianda, panią Stael, Arnoulda i Jouy'ego, a nawet oklepany sentymentalizm romansów pań Genlis i Cottin. Laharpe pozostał nadal najwyższą instancyą krytyki literackiej. Gdzieniegdzie świtają wpływy literatury angielskiej: znajdowano upodobanie w „Nocach" Younga i w romansach historycznych Walter Scotta. Im bardziej zbliżano się do wstrząśnień okresu romantycznego, tem wyłączniej oddawano się zasadom francuskiego gustu,

poza którym nie uznawano piękna. Pokolenie czteroletniego sejmu staje naprzeciw romantyków i rewolucyonistów, jako konserwatyści w polityce a klasycy w poezyi i wymowie, a w obydwóch walkach miało doznać porażki.

Byłoby jednak krzywdą dla tego chronologicznie wcześniejszego okresu, roztaczającego się na tle strasznego padołu politycznego upadku, żeby mu odmawiać piętna narodowego ducha w literaturze. Prawda, że ówczesne zdolności skrępowały się ciasnemi formami obcej szkoły, a naśladowanej, jak to zwykle bywa, mechanicznie, przechodzą też one od skorupy do jądra, od zewnętrznych cech do wewnętrznej treści, i zamiast żeby z niej właśnie wychodząc nadawać jej formę i w ten sposób prawdziwie tworzyć, one chcą urobić według recept polską epopeję, polski dramat i polską historyografię na modłę francuską; ale skoro to wszystko im się nie udaje, skoro niewola skrępowanego ducha mszcząc się osłabia go z konieczności, toć przecież mimo to nie brak im nigdy natchnionych porywów, gdziekolwiek przebija się duch narodowy, a bezpośrednia ich łączność z czasami niepodległości dodaje im nieraz tego realizmu, obcego szkole romantycznej z nielicznemi wyjątkami.

Na szczycie Parnasu tego okresu stoi osobistość zarówno oryginalna, jak imponująca. To książę Kościoła, biskup krakowski, następnie arcybiskup warszawski, Jan Paweł Woronicz († 1829), niegdyś prosty pleban wiejski, ale słynny ze znakomitych homilij; natura czysta, łagodna, a wielkoduszna, jakby powołana do tego, żeby biorąc w spadku po Krasickim godność i lutnię księcia poetów, dać zadośćuczynienie za ową skłonność do lekkości, właściwą autorowi „Monachomachii“. Woronicz jest piewcą tego bezdennego bólu, który musiał opanować wszystkich szlachetnych rodaków po wymazaniu Polski z politycznej mapy Europy. Jest jednostajnym, jak wszelki ból, niezdolnym dotknąć innych strun, jak tylko żalu za przeszłością, zgrozy obecnego nieszczęścia i mistycznego zapatrzenia się na drogi Opatrzności. Główne jego dzieła: „Świątynia Sybilli“, poemat opisowy poświęcony muzeum pamiątek narodowych w Puławach, fragmenty epiczne „Lech i Assarmot“, osnute na pierwotnych dziejach narodu, wreszcie wielki „Hymn narodu do Boga“, nie dorosły wprawdzie wartością do wielkości swych tematów—Woronicz nie opatrzył się, sądząc, że zdoła zgłębić i odtworzyć ból narodu — a co do formy i środków poetycznych są nieodrodnemi dziećmi okresu, — ale pod powłoką tej formy burzy się ten potężny zapas uczucia, rozpierający mu piersi, a gdzieniegdzie nawet łamie

się ta powłoka pod parciem uczucia i wyobraźni, przypominających siłą takiego Jeremiasza lub Izajasza. W tem też przyczyna miłości i czci, jaką był otoczony, dzięki którym serce poety spoczęło w urnie u stóp bohatera narodu, Sobieskiego, w grobowcach Wawelu.

Zupełne przeciwieństwo zapatrzonego w niebo biskupa stanowi J. U. Niemcewicz, poeta ówczesnego ruchu politycznego, zmarły w Paryżu (1841) jako starzec ośmdziesięcioześcioletni, uosobienie ruchliwości, polyhistor na wszystkie strony, od bajkopisarstwa i pamfletu do tragedyo- i dziejopisarstwa. Wykształcony, a obyty już w świecie szeregiem podróży, choć młody jeszcze, został posłem na sejm czteroletni i był gorącym mówcą stronnictwa patryotycznego, napisał pierwszą swoją komedyę polityczną, przyjętą przychylnie na deskach: „Powrót posła“ (1790), redagował pierwszą gazetę, która wysługiwała się ściśle danemu stronnictwu (Gazeta narodowa i obca), podał w publiczną pogardę przywódców Targowicy w słynnym pamflecie „Biblia targowicka“, brał udział w powstaniu Kościuszki (1794), pojmany jeńcem dostał się wraz z innymi do Petersburga, ułaskawiony następnie przez Pawła I. W Ameryce poszukał schronienia, tam się też ożenił, a wróciwszy r. 1810 do Polski, został sekretarzem senatu i zaliczał się do najwybitniejszych osób w Warszawie, którą opuścił po upadku powstania w r. 1831, ażeby spędzić resztę dni swoich na emigracyi w Paryżu. Główna czynność literacka Niemcewicza przypada na lata 1810—1831. Głównym celem jego patryotycznej muzy, której nie brak było zdolności, ale brak artystycznego wykończenia, było hamowanie zbytnich zapędów, ale niemniej też powstrzymywanie od służalczości. Słynne, a popularne do dziś dnia „Śpiewy historyczne“ (1816) przedstawiają historyczne postacie Polski pompatycznie w sentymentalnym nastroju owych czasów, a bez zmysłu historycznego, a to samo zarzucić można pierwszemu romansowi w guście Walter Scotta, jego pióra „Janowi z Tenczyna“ (1825). Lepiej się udała tendencyjna powieść obyczajowa z życia Żydów „Leibe i Siora“, oparta na idei narodowej assymilacyi Żydów. Liczne tragedye pozbawione są znaczenia. Niemcewicz był też prezesem warszawskiego Towarzystwa Naukowego, co starał się uprawnić pracą historyczną (zobacz niżej) i zbieraniem materyałów.

Oto nazwiska sławionych w swym czasie, a w romantycznym okresie rzuconych poniekąd na pastwę zapomnienia, poprawnych w rymotwórstwie koryfeuszów tego okresu: Ludwik Osiński († 1838), profesor literatury polskiej w uniwersytecie warszawskim, poprawny tłómacz Corneilla, Woltera, Cheniera; Franciszek Dmóchowski († 1808),

tłómacz Miltona, Iliady Homera (z francuskiego przekładu, 1809) i Eneidy Wergilego (1809), które to tłómaczenia uważano za arcydzieła, zarazem autor poetyki (O rymotwórstwie 1788); poeci dramatyczni na wzór francuski: jenerał Ludwik Kropiński (dramat „Ludgarda"), Alojzy Feliński (Barbara Radziwiłłówna, najlepsze zapewne dzieło tego okresu, 1816), Franciszek Wężyk (Bolesław Śmiały, Gliński, Bezkrólewie, Władysław Biały, i poemat opisowy: Okolice Krakowa); epik i dydaktyk Kajetan Kożmian, piewca „Ziemiaństwa polskiego" (1839, samodzielna przeróbka Georgiców) i epopei „Stefan Czarniecki" (1858). Poprzednia nasza uwaga, co do żywiołu i piętna narodowego w tym okresie literatury, stosuje się najzupełniej do trzech ostatnich autorów. U Felińskiego, Kożmiana i Wężyka znajdujemy natchnione ustępy, język pełen siły, czysty a subtelny, co zapewnia im wybitne stanowisko w literaturze polskiej, pomimo krępującej formy.

Szczególnem i odmiennem jest stanowisko Cypryana Godebskiego, poety legionów, poległego pod Raszynem r. 1809. Polska pieśń patryotyczna: „Jeszcze Polska nie zginęła", jest, jak wiadomo, utworem legionów polskich, pozostających na służbie francuskiej.

Mówiliśmy już o tem, że kontynuowanie polskiej nauki uważano za jednę z rekompensat niejako utraconej niepodległości, niezbędnych dla ducha narodu błądzącego po padole politycznej śmierci. Rosya i Prusy z tem się zgadzały; Rosya, utrzymując uniwersytet wileński, a przyzwalając na założenie warszawskiej Szkoły Głównej, ustanawiając narodową kuratoryę wychowania publicznego na Litwie i południowej Rusi, popierając słynne liceum krzemienieckie, a Prusy przyzwalając na założenie warszawskiego Towarzystwa Naukowego. Austrya pozostała w tyle w tej mierze: założony w r. 1784 uniwersytet „Josephino-Leopoldina" we Lwowie był zakładem niemieckim i nie zezwolono na nic więcej, prócz założenia Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich we Lwowie, na który łożył swój majątek i niezmordowaną skrzętność Józef Maksymilian Ossoliński, wielki ochmistrz dworu cesarza Franciszka I. Bądźcobądź, okres ten zdziałał wiele w rozmaitych kierunkach. W dziedzinie historyi zabrano się wprawdzie do dzieła wcale mechanicznie: pracę Naruszewicza, doprowadzoną tylko do r. 1386, a leżącą odłogiem od r. 1386 do 1795, rozdzielono pomiędzy członków warszawskiego Towarzystwa Naukowego: Albertrandi, główny szperacz archiwalny z pod kierunku Naruszewicza, wziął na siebie pierwszych pięciu Jagiellonów

których opracowali też po części Łukasz Gołębiowski i Onacewicz. Ossoliński przejął Zygmunta Starego (1507—1548), Tadeusz Czacki Zygmunta Augusta, Jan Amor Tarnowski miał opracować Henryka Walezego i Batorego, do Zygmunta III. miał się zabrać Niemcewicz, do Władysława IV. Kwiatkowski, a Jana Kazimierza przydzielił sobie Krajewski; to wszystko na podstawie materyału tek Naruszewicza. Ani jedno dzieło z tej seryi nie wzbiło się ponad miernotę; Ossoliński i Czacki, dwaj właściwi badacze, pozostawili tylko fragmenty prac, do których się zobowiązali, ale za to tamten dał cztery grube tomy o literaturze XVI. wieku (Wiadomości 1819—1852), a ten pomnikowe dzieło „O litewskich i polskich prawach“ (1800), studya z dziedziny historyi Żydów (1807) i o dziesięcinach (1801). Czacki był zarazem zasłużonym kierownikiem liceum krzemienieckiego i założycielem nader ważnej biblioteki w Porycku (obecnie Czartoryskich).

Historya literatury polskiej miała głównego reprezentanta w osobie Feliksa Bentkowskiego, autora dwutomowego o niej dzieła, przeważnie bibliograficznego (1814). W tymże kierunku pracowali: Juszyński i Chodyniecki. W ówczesnem gronie uczonych odznaczają się też trzy niemieckie nazwiska: Jerzy Samuel Bandtkie, bibliotekarz Uniwersytetu Jagiellońskiego, badacz historyi i literatury *(Analecten,* po niemiecku, 1802; po polsku: Historya Polski, dwa tomy, 1810; Historya drukarń polskich, 1826; Historya biblioteki Uniw. Jag.); brat tegoż, Jan Wincenty Bandtkie, historyk prawa *(Jus Polonicum, Jus Culmense,* Historya prawa polskiego 1850, Prawo polskie prywatne 1851); Samuel Bogumił Linde, członek warszawskiej Komisyi Edukacyjnej († 1847), autor wielkiego słownika polskiego (1807) w sześciu tomach, dzieła pomnikowego, o doniosłości dziś jeszcze zasadniczej. Gottfried Ernest Groddeck († 1828), profesor filologii klasycznej w uniwersytecie wileńskim, sympatyzujący z Polską i powszechnie lubiany, wydawał swe dzieła po łacinie.

Wymienić wypada z dziedziny umiejętności ścisłych astronomów: Marcina Poczobuta, ex-jezuitę, rektora uniwersytetu wileńskiego, Jana Śniadeckiego, reformatora uniwersytetu krakowskiego a rektora wileńskiego; przyrodników: brata tamtego, Andrzeja Śniadeckiego (Teorya jestestw organicznych, 1804), zoologa Krzysztofa Kluka, botanika Stanisława Jundziłła, geologa Stanisława Staszica, filozofów: Jana Śniadeckiego i kancistę Józefa Szaniawskiego. Estetyką zajmowali się: Ignacy Włodek (O sztukach wyzwolonych, 1780), zwolennik

Winkelmanna, Stanisław Potocki, który pisał o sztuce starożytnej za przykładem Winkelmanna (zarazem najpoprawniejszy ale też najbardziej Francuzów naśladujący mówca tego okresu), Euzebiusz Słowacki (Teorya smaku), ojciec najskrajniejszego z romantyków, wielkiego poety Juliusza Słowackiego.

Ruski ruch literacki przedstawia się nader słabo w tym okresie z końca XVIII. i początku XIX. wieku. Ci, którzy pozostali w granicach Rzpltej, przywiedzeni do nowego wzmocnienia unii na synodzie w Zamościu (1720), okazują wybitną skłonność do polskości, jak się to objawia w bazyliańskim historyku kościelnym, piszącym po polsku, Stebelskim, tudzież w zakładach wychowawczych tego zakonu, do tego stopnia, że zakon ten, jako ognisko humanistycznej zachodniej kultury, staje na równi z Pijarami. Widziano politykę rosyjską od Piotra W. wrogą unii, widziano, jakim to protektoratem obdarzyła Katarzyna II. polskich dyzunitów, toteż gdziekolwiek unia się przyjęła, trzymano się Polski.

Wraz z rozbiorami nastąpił gwałtowny upadek kościoła grecko-unickiego: Katarzyna II. zredukowała ilość parafij unickich w dyecezyach kijowskiej, kamienieckiej, łuckiej i włodzimierskiej z 5000 na 200, a 145 klasztorów bazyliańskich wydarto przemocą unickim zakonnikom. Czasy Pawła II. i Aleksandra ocaliły do czasu resztki unii w ziemiach rusko-polskich, między innemi też 14 znakomitych bazyliańskich szkół średnich. Jak unii, tak też nie chciała Rosya uznać odrębności narodowości ruskiej, zwanej obecnie przeważnie małoruską w przeciwstawieniu do wielkorosyjskiej. W r. 1764 zniesiono autonomiczną godność atamańską, po dłuższem pozornem jej istnieniu, a carowa sama przybrała tytuł atamana; sicz zaporoską zdobył szturmem w r. 1775 rosyjski jenerał Tököly i zamienił ją na wiosczynę. Rusini pełni zdolności: Zawadowski, Bezborodko, Trościński, biskup Koniski, stają się narzędziami unifikującej dążności caratu. Kronikarze bez znaczenia: Markowicz, Hanenko, Simonowski († 1809 stuletnim starcem), zbliżają język literacki do właściwego rosyjskiego. Przejście do okresu narodowej świadomości w ruskiej literaturze stanowi dwóch małoruskich autorów z tego czasu: Klemens Zenowiew, czerniec z czasów Mazepy, lichy wierszorób satyryczny, i oryginalny samouk Skorowoda († 1794), mistyczny teolog, istny *bohème* literacki, poeta, moralista, przejęty oderwanemi ideami o wolności Rusi. Okres ten ruskiej samowiedzy poczyna się od Kotlarzewskiego († 1838), nauczyciela prywatnego, protegowanego kniazia Repnina, autora dwóch ruskich obrazów ludowych: „Natalia Poł-

tawka“ (1819) i „Moskal Cariwnik“ (1820), tudzież trawestacyi Eneidy (1798—1808). Ku tematom ludowym zwrócili się z pewnym sentymentalnym nastrojem dwaj następcy Kotlarzewskiego: Piotr Hulak Artemowski, autor żartobliwej opowieści „Pan i pies“ (1820), zarazem tłómacz z niemieckiego i polskiego, i Jerzy Kwitka (pseudonim Osnowanenko, † 1843), nowelista (Małoruskie powieści, dwa tomy, 1834); Osnowanenko wydawał swe powieści równocześnie po rusku i po rosyjsku. Właściwy rozwój literatury ruskiej, z czem łączy się też ruch literacki na Rusi Czerwonej (w Galicyi), przypada na czasy po wyjściu pierwszych poczyj Tarasa Szewczenki (1840), i będzie też uwzględniony równolegle z współczesnym świetnym rozkwitem literatury polskiej.

Wchodzimy na znajomszą niemieckim czytelnikom niwę, mając mówić o polskich utworach literackich nowszej doby. Wcale żywe sympatye dla sprawy polskiej, rozbudzone w Niemczech w latach 1831—1848, tudzież chwalebna, właściwa Niemcom dążność do uniwersalności, wydały znaczną ilość mniej lub więcej udatnych przekładów, które zapoznały czytelników niemieckich z najważniejszemi utworami tego okresu, a zestawione są bibliograficznie w dziele L. Kurtzmanna: *Die polnische Literatur in Deutschland* (Poznań 1881). Mauritius, Lipnicki (Puffke), Cybulski, Wurzbach, Blumenstock, Bratranek, wydali jużto zupełne przedstawienia historyi literatury polskiej, jużteż ciekawe monografie. W historyach literatury powszechnej Grässego, Scherra, Mundta i innych znajdują się o Polsce dokładniejsze wiadomości, niż w podobnych dziełach francuskich. Zadanie krótkiego zarysu ułatwia się przez to znacznie.

Gwałtowne wstrząśnienie umysłów, wywołane w Europie przez rewolucyę francuską i okres napoleoński, wydało rozmaite skutki w politycznem i literackiem życiu narodów stosownie do ich ducha i stanu ich spraw. W Polsce — okoliczność to wielkiej wagi! — wstrząśnienie to zeszło się w sam raz ze skutkami drugiego wstrząśnienia, obrażającego do głębi narodowego ducha, z utratą niepodległości.

Pokolenie starsze, wychowane na francuskiej przedrewolucyjnej oświacie, „oświecone“, jak wykarmiony Wolterem Krasicki, epikureicznie materyalistyczne jak Trembecki, sentymentalnie wrażliwe jak

Karpiński i Kniaźnin, uczone, rozsądne i trzeźwe jak Naruszewicz, rozgadane jak koryfeusze czteroletniego sejmu: pokolenie to po fatalnym trzecim rozbiorze złamało się, a duch jego rozpłynął się w bezdennym bólu takiego Woronicza, w nostalgii za piękną przeszłością „Śpiewów historycznych“ Niemcewicza; oni z niepodległości jeszcze znali polityczne życie, rozumieli wybornie, że niepodległość jest najtrudniejszem zadaniem, jakie tylko upadły naród wytknąć sobie może, toteż najszlachetniejszy, najczystszego serca bohater, książę Józef Poniatowski, wyrzekł krótko przed śmiercią te słowa, w których nie było ani cienia przeceniania się: Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu go tylko oddam! Czerpiąc nadzieję z wydarzeń dziejowych, kroczono szlakiem gwiazdy Napoleona, by tem szybciej poszukać schronienia dla arki narodowej w cieniu koncesyj Aleksandra I., skoro tylko tamta gwiazda zagasła w zadymce moskiewskiej.

Inaczej miały się rzeczy w pokoleniu nowem, nad kolebką którego stał cień dawnej Polski, któremu w dzieciństwie towarzyszył wir napoleońskiej wędrówki ludów na wschód i ogromna wyprawa na Moskwę (1812), i którego młodzieńczej wyobraźni bożyszczem był legionista polski z tą pieśnią, powstałą daleko we Włoszech: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Wychowane w tych wzorowych szkołach polskich z lat 1775—1830, łącząc wykształcenie klasyczne z nowożytnem, a kult bohatera czynu, Napoleona, z kultem bohaterów słowa, Göthego, Schillera, Byrona, drażnione zachowaniem się Moskali, nienawidzących z głębi duszy konstytucyjnych form Królestwa Kongresowego (prześladowanie studentów przez Nowosilcowa w Wilnie), a podburzone karbonaryzmem szerzącym się po Europie od r. 1815, oficyalną suchością ówczesnej polityki i literatury zrażone; pokolenie to musiało popaść w jaskrawe przeciwieństwo do starszych i próbować wstrząsnąć więzami istniejącego porządku, uznanego czy to w literaturze, czy to w polityce, ażeby z tym niezmiernym zapasem zdolności i nerwowej energii pchnąć sprawy na nowe tory, świetne w dziedzinie ducha, ale jakżeż fatalne w zakresie realnej polityki!

A pokolenie to w obydwóch kierunkach dokonało przewrotu. Jego to dziełem było bohaterskie powstanie wojskowe r. 1830, które upadłszy przeszło w nieszczęsną teoryę spiskowo-powstańczą i poprzez częściowe ruchy lat 1833, 1838, 1846, 1848 doprowadziło do tragicznej katastrofy roku 1863; słowem zaś tego pokolenia lotnem a natchnionem była niezrównana w piękności poezya narodowa, na

której dnie tkwiła myśl o niepodległości w walce z istniejącym porządkiem rzeczy. Czyn tak splótł się ze słowem, że jednego bez drugiego niesposób sobie wyobrazić: czyny były poezyą, a poezya nie była już samem słowem, stawała się czynem i rzeczywistością. Jakiekolwiekby teorye, powstałe w goryczy wygnania, jakiekolwiekby extrawagancye, przeszczepione z rewolucyjnego gruntu Francyi, kierowały w szczegółach ówczesnem pokoleniem: samo jądro jego istoty, owa bezprzykładna utrata poczucia miary, tłómaczy się tem rozparciem się poezyi w życiu narodu, despotyzmem gieniusza poezyi, który ujarzmił wszystkie inne prace umysłowe, tak, że ma się ochotę powiedzieć: żaden naród nie przypłacił tak drogo rozkwitu poezyi, jak polski.

Nienaturalność i wyjątkowość tych stosunków wyda się jednak naturalną i normalną, jeżeli się wszechstronnie rozważy ówczesne położenie i w całości myślą ogarnie. Pokolenie starsze okazało się wobec parcia młodych słabem i chwiejnem, w sporach literackich pełnem bezsilnej zarozumiałości i miłości własnej, a zdruzgotane w krótkim czasie wraz z całym pseudoklasycznym rynsztunkiem form zjawieniem się takiego Mickiewicza, dało się przyprzeć do muru radykalną ideą niepodległości i uniewinniło publicznie pierwszych spiskowców na sądzie sejmowym (1825), dało się wciągnąć krok za krokiem do powstania i pozwoliło, że wojna o konstytucyę z cesarzem Mikołajem zamieniła się na wojnę o odbudowanie dawnej Polski, aż wreszcie samo się zagrzebało w gruzach i rumowisku nieudałego zuchwałego przedsięwzięcia.

Postępek młodego pokolenia zdawało się usprawiedliwiać postępowanie Rosyi, niezdecydowane, eksperymentujące co chwila inaczej sprawą narodowości, a obraźliwe i barbarzyńskie aż nazbyt często (przypominamy tylko zrzędnego księcia Konstantego). Zgniótłszy powstanie, postanowiła Rosya nie szukać już wcale punktu oparcia wśród konserwatywnych żywiołów narodu, ale ograniczyć jak najbardziej polskie wychowanie publiczne, odjąć wszelkie poparcie nauce polskiej (zniesiono zaraz 1831 r. warszawskie Towarzystwo Naukowe), a gospodarować brutalną dłonią takiego Paskiewicza. Naród polski we wszystkich trzech zaborach nie miał zgoła przeszło przez trzydzieści lat, z krótkotrwałemi wyjątkami takiego roku 1848 w Galicyi, jakiegokolwiek ogniska konserwatywnego, na którem możnaby się oprzeć, z ludzi zamożniejszych, intelligencyi, narodowego stanu nauczycielskiego lub urzędniczego, którzyby nie prześladowani w najniezbędniejszym przynajmniej, choć szczupłym, zakresie praw naro-

dowych mogli wziąć na siebie strzeżenie tego zasobu od niebezpieczeństwa porywów młodych gorączek, które parte niejako nieustannem prześladowaniem policyjnem, sięgały ochoczo po listek z męczeńskiego wieńca martyrologii narodu. Przez lat trzydzieści można było być w Polsce tylko patryotą, wyczekującym na przewroty, czyhającym w zasadzce — albo chyba szpiegiem. Galicya i Wielkopolska do roku 1849, a zabór rosyjski aż do roku 1863, zostawały pod wyłącznym kierunkiem doktrynerskiej emigracyi, która na obcej przebywając ziemi zatraciła wszelki zmysł do zrozumienia właściwego stanu spraw. Emigracya ta była zarazem schronieniem natchnionych wieszczów, literackich koryfeuszów narodu; ze wzruszeniem i z rozkoszą otrzymywało się z paryskich drukarń zakazanego poetę, ale równocześnie też — politycznego hallucynatora, a co rzekł hallucynator, to niezrównany poeta ożywił potężnem tchnieniem gienialnego artyzmu i miłości ojczyzny. I tym sposobem stało się, że jeszcze wtenczas nawet, kiedy koryfeusze ruchu politycznego i literackiego (A. Czartoryski, J. Lelewel, Mickiewicz, Krasiński, Słowacki) zeszli już ze świata, a po większej części także ich współcześni, natenczas nerwowe pokolenie epigonów, wyrosłe wśród trzydziestu lat bezprzykładnego ucisku narodu, odrzuciło poprawę narodowej doli (1861) z najgrubszą nieznajomością interesów narodowych i z głupotą polityczną bezprzykładną, obaliło doskonałego statystę, Wielopolskiego, a w okresie odrodzenia narodów pokazało Europie widowisko, jak się naród własny stacza na sam brzeg przepaści (1863).

Tak to zmusza się do szału lub samobójstwa tego, komu się odebrało wszystkie warunki normalnego i zdrowego życia, komu nie pozostawiło się na szerokim świecie żadnego kąta do naturalnego rozwoju i zmusiło się go wytworzyć sobie świat nie mający żadnego związku z rzeczywistością. Dręczony naród zaczął od bohaterskiego czynu i dobranego grona mistrzów poezyi, a skończył na ponurej fantasmagoryi, przechodzącej możność wszelkiej poetycznej fantazyi i na grobowej ciszy w dziedzinie poezyi.

Wróćmy do właściwej literatury, jakkolwiek jesteśmy przekonani, żeśmy nie powiedzieli nic więcej, jak tylko to, co jest koniecznem do zrozumienia okresu literatury, nad którym mamy się zastanowić. Wstępne utarczki nowego kierunku z dawną literaturą zaczynają się od Kazimierza Brodzińskiego, profesora literatury polskiej w uniwersytecie warszawskim od r. 1822. Brodziński był wielbicielem Herdera, Schillera i Göthego, tłómaczył „Cierpienia Wertera“, kilka dramatów Arnaulta i utorował drogę poezyi ludowej

swoim „Wiesławem“ (1820). Pisząc o klasyczności i romantyczności (1818), stara się rozszerzyć ciasny horyzont warszawskich literatów, wskazując im literaturę niemiecką i angielską. Umarł r. 1835, doczekawszy się zupełnego uznania nowego kierunku. Niemal równocześnie zalecał Zoryan Chodakowski († 1825) zbieranie pieśni ludowych i sam dawał przykład w tej mierze. W roku 1822 wyszły w Wilnie dwa tomiki poezyj Adama Mickiewicza, zawierające ballady, romanse, powieść poetyczną „Grażynę“, i drugą i czwartą część sławnego dramatyczno-lirycznego utworu „Dziady“; krótka rozprawka „O poezyi romantycznej“ służyła za wstęp. Publiczność przyjęła te tomiki z nadzwyczajnym zapałem, a warszawscy pseudoklasyczni krytycy nie posiadali się ze zgorszenia. Można było jeszcze ścierpieć ballady i romanse, ale przesadna miłość Gustawa w „Dziadach“, powieść zaczerpnięta z dawnych pogańskich czasów Litwy, niezważanie na nic, co dotychczas uchodziło za normę artystyczną, i mentorski ton przedmowy — tego przecież było za dużo warszawskim arystarchom, takiemu Osińskiemu, Dmochowskiemu lub Koźmianowi. Narobiono wielkiej wrzawy, która podniosła jeszcze Mickiewicza, ale równocześnie zadała cios śmiertelny drugiemu znakomitemu talentowi, Antoniemu Malczewskiemu. W roku 1825 wyszła jego „Marya“, poetyczna powieść ukraińska, w guście Byrona, ale pełna oryginalnych piękności. Treść stanowiła znana ponura historya z możnowładczej warstwy XVIII. wieku: Feliks Potocki (w poemacie Wacław) ożenił się z Maryą (Komorowską), córką szlachcica wiejskiego; ojciec (Franciszek Potocki) kazał biedaczkę schwytać i utopić w stawie. Temat ten opracowano z takim zasobem wyobraźni, kolorytu miejscowego, wybitnej charakterystyki i melancholii, że „Marya“ należy do najudatniejszych dzieł okresu romantycznego; ale współcześni krytycy poddali ją małostkowej krytyce, nicującej tuzinkowo wszystko, co w niej było pięknego i wielkiego, a to ugodziło młodego poetę w samo serce; umarł r. 1825. Natenczas krytyków doścignęła mściwa Nemezis w dalszych wydaniach Mickiewicza, bawiącego tymczasem w Rosyi a przyjmowanego z zapałem. W roku 1828 wyszły „Sonety“, tegoż roku powieść poetyczna z dziejów Litwy: „Konrad Wallenrod“, w latach 1828 i 1829 trzy zupełne wydania pism z gorzką pigułką dla krytyków warszawskich w wydaniu petersburskiem z r. 1829. Dmochowskiemu dostała się cierpka nauczka: Mickiewicz wykrył, ile warszawskiemu arystarchowi niedostaje niezbędnej dla krytyka wiedzy. Tymczasem wzrastała ilość poetów romantycznych: w roku 1825 wyszły poezye Odyńca,

w r. 1828 powieść Goszczyńskiego „Zamek kaniowski“, w r. 1830 poezye Juliusza Korsaka.

Przełamano zapory; teoretycznie zagaił nowy prąd literacki uzdolniony Maurycy Mochnacki w cennem dziele „O literaturze polskiej XIX. wieku“ (1830), a ciekawa rzecz, że ten sam człowiek czynnym był podczas powstania jako dziennikarz radykalno-narodowy i wydał potem historyę powstania ze stanowiska młodego pokolenia (Paryż 1834). Po klęsce wojny narodowej chwycił polski Parnas za kij pielgrzymi, Mickiewicz i większa część koryfeuszów wyemigrowali za granicę, gdzie najbliższych lat szesnaście (do roku 1846) wydało najpiękniejsze i najznakomitsze utwory literatury poetycznej. Czas już zapoznać się z jej herosami.

Adam Mickiewicz, urodzony w r. 1798 w Nowogródku litewskim, z rodziców szlacheckich ale niezamożnych, odebrał wyższe wykształcenie w uniwersytecie wileńskim, studyując filologię u Groddecka, historyę u Joachima Lelewela, a w r. 1820 został profesorem gimnazyalnym w Kownie. Przyszłego króla poezyi otaczało pokolenie szlachetne, żądne wiedzy a patryotyczne. Utworzono stowarzyszenia filomatów i filaretów, na których czele stał Tomasz Zan, a którym rząd rosyjski, zabrawszy się do prześladowania studentów, aż nazbyt wcześnie nadał polityczne piętno. Pod pozorem posady skazano Mickiewicza na wygnanie do Rosyi, a tu, sławą poprzedzony, spotkał się z gorącemi sympatyami liberalno-rewolucyjnych dekabrystów; poznał Petersburg, Moskwę i uroczy Krym (Sonety krymskie), napisał „Konrada Wallenroda“, wschodni poemat „Farys“ i słynną „Odę do młodości“. Rosyjskie wspomnienia Mickiewicza znalazły klasyczny wyraz w opowiadaniach w „Dziadach“. W roku 1829 opuścił Mickiewicz Rosyę, ażeby odtąd żyć za granicą, jako wygnaniec.

Podróż po Niemczech, na której poznał się z sędziwym Göthem, po Szwajcaryi, rok we Włoszech, dopełniły wykształcenia i rozwoju poety. W r. 1832 napisał prozą biblijną „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego“, w 1833 r. wyszła trzecia część „Dziadów“, a w rok potem arcydzieło epiczne „Pan Tadeusz“; odtąd oniemiała Muza poety i mamy tylko fragment dramatu „Konfederaci Barscy“. W roku 1839 został profesorem filologii w Lozannie, w r. 1840 profesorem literatur słowiańskich w Collège de France. Cztery kursy o literaturach słowiańskich wywołały jak największe wrażenie wśród licznego audytoryum, gdy wtem nastał niespodziany zwrot w tym tak potężnym duchu. Mickiewicz, biorąc najżywszy udział w politycznem życiu

emigracyi, z czasem jednak zmierził sobie ten wir pełen przykrości, a nieraz, co było nieuniknionem, nawet szkodliwy i czuł się powołanym, żeby rodakom okazać głębszą a czystszą krynicę życia, żeby zagadnienia polityczne i religijne rozwiązywać w jakiejś wyższej syntezie, któraby oddziałała subjektywnie, i tym sposobem stał się ofiarą mistycznej nauki Andrzeja Towiańskiego, marzyciela przybyłego z Litwy do Paryża. Towiański rozprawiał o potędze ducha pracującego nad własnem udoskonaleniem moralnem, głosił poprawiony katolicyzm, usuwający braki oficyalnego Kościoła; pod politycznym względem streszczała się jego nauka w kwietyzmie, przyjmującym cierpliwie to, co się dzieje, jako karę Bożą, ba! później nawet wyglądano amnestyi z Rosyi. Mickiewicz, porwany apostolską gorliwością na katedrze, utracił ją (1844), pracował w nowostworzonem mistycznem kole z zaparciem się, póki go rok 1848 nie wyrwał do udziału w ówczesnych ruchach włoskich. Jakąś misyę polityczną na Wschodzie w r. 1855 przypłacił śmiercią, kończąc życie pełne ciężkich doświadczeń 26 listopada 1855 w Konstantynopolu. Mickiewicz jako człowiek odznaczał się prostotą i szczerością, najpiękniejszemi cnotami małżonka, ojca i przyjaciela.

Przechodząc chronologicznie dzieła Mickiewicza, nietrudno będzie wejrzeć do wnętrza poetycznego zawodu tego poety tak małomównego, nie mającego nic wspólnego z zamiłowaniem swego wieku do rozpisywania się. Do zadania swego życia zabiera się z głębokiem wykształceniem, nie zamykając się przed niczem, co tylko dobrego znajdował w ówczesnym świecie literackim, a doskonały w formie i poprawny do najwyższego stopnia w języku pomimo większej swobody poezyi romantycznej. Göthe, Schiller, Bürger, Jean Paul, Byron i romantycy niemieccy wywarli wpływ na jego pierwsze kroki, t. j. „Ballady i romanse“, drugą i czwartą część „Dziadów“. W pełnej doskonałej miary „Grażynie“, ułożonej z klasyczną lakonicznością, znać przyszłego wielkiego epika, autora „Pana Tadeusza“. Ale poetę owładnęło niemal wyłącznie uczucie subjektywne, nieszczęśliwa miłość pięknej Litwinki Maryli. Biorąc assumpt z słowiańsko-litewskich wierzeń ludowych, przedstawia nam nieszczęśliwego kochanka, Gustawa, jako upiora po śmierci moralnej, która go dotknęła po ślubie dziewczyny z innym; przedstawia go nam w cichem domostwie życzliwego plebana wiejskiego i każe mu, napół szalonemu, opowiadać dzieje swych cierpień. Bardzo trafnie scharakteryzowany on jest jako ofiara lektury i nowszej literackiej przesadności, pozbawiły go zdrowego rozumu Rousseau'a „Heloiza“ i Göthego „Werter“

i one to zburzyły w jego umyśle ten spokojny a prosty katolicki porządek świata, którego trzymano się w rodzicielskim domu, a którego obronę ksiądz podejmuje. Ale młodzieniec nie da się już sprowadzić na normalną drogę zwyczajnego człowieka, i żegnamy się z nim przeczuwając, że się spotkamy z nim na innej — jakiejś nadzwyczajnej. Część czwarta kończy się pieśnią mistyczną, śpiewaną niegdyś na „Dziadach“:

Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według Bożego rozkazu
Kto za życia choć raz był w niebie,
Ten po śmierci nie będzie ni razu.

Ta drogą nadzwyczajną jest inna miłość poety, bezbrzeżna, mistyczna miłość ojczyzny. Dojrzewa ona w gronie wileńskich przyjaciół, w starym klasztorze Karmelitów, zamienionym przez prześladowcę studentów, Nowosilcowa, na więzienie polityczne; wśród rozmów więźniów, w samotności więziennej celi: mortuus est Gustavus, Kochanek Maryli, natus est Conradus. Nazywa się Conradus, bo pierwszym utworem po przemianie był „Konrad Wallenrod“, powieść osnuta na bezdennym bólu ujarzmionego, który gotuje zemstę, który podpatruje u ciemięzcy wszystkie sztuczki panowania i samą władzę wydziera mu podstępnie, ażeby się mścić, ażeby jednym zamachem ściąć hydrze głowy. Powieść poetyczna polega mianowicie na fikcyi, że Konrad Wallenrod, wielki mistrz krzyżacki, był Litwinem książęcej krwi, który zostawił w domu żonę, wstąpił do Zakonu i umiał pozyskać zaufanie do tego stopnia, że został w. mistrzem, jedynie w tym celu, żeby Krzyżaków zwabić w straszną zasadzkę, zniszczyć i umrzeć w rozkoszy zemsty. Pokoleniu żyjącemu w podobnem położeniu, czyż można było podać coś palniejszego, ażeby wzniecić w niem pożar? Czyż można wymyśleć w tym kierunku coś silniejszego, jak wsuniętą epizodycznie balladę „Alpuhara“, w której morem zarażony przywódca Maurów, Almanzor, błaga Hiszpanów na klęczkach o łaskę, ażeby ich także zarazić swym uściskiem? Nikt nie dorównał tym utworom co do potęgi nienawiści narodowej i miłości ojczyzny. Jak prądy lawy, wydostały się one z tej samej piersi, która wydała „Farysa“, poemat miłości do piękna i wielkości wszechświata, tudzież „Odę do młodości“, pieśń wieczystej rewolucyi młodych przeciw starym:

Bez serc, bez ducha — to szkieletów ludy:
Młodości! podaj mi skrzydła!

Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy,
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem,
I obleka nadzieję w złote malowidła!...

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy:

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca,
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca.

Patrz na dół! Kędy wieczna mgła zaciemnia
Obszar gnuśności zalany odmętem:
To ziemia!...
Patrz, jak nad jej wody trupie,
Wzbił się jakiś płaz w skorupie,
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem;
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to w głąb wali,
Nie lgnie do niego fala, ani on do fali:
A wtem, jak bańka prysnął o szmat głazu!...
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby:
To samoluby!

Młodości! tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę:
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota.

Razem, młodzi przyjaciele!
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele.
Jednością silni, rozumni szałem,
Razem, młodzi przyjaciele!...
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem,
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem, młodzi przyjaciele!
Choć droga stroma i śliska,
Gwałt i słabość bronią wchodu:
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu!

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze,
Ten młody — zdusi Centaury,

Piekłu ofiarę wydrze,
Do nieba pójdzie po laury!
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga,
Łam, czego rozum nie złamie!
Młodości! orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramię!

Hej! ramię do ramienia! Spólnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy!...
Dalej z posad bryło świata!
Nowemi cię pchniemy tory,
Aż opleśniałej zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata.

A jako w krajach zamętu i nocy,
Skłóconych żywiołów waśnią,
Jednem: „stań się“ z bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie;
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnią.

W krajach ludzkości jeszcze noc głucha...
Żywioły, chęci, jeszcze są w wojnie.
Oto miłość ogniem zionie:
Wyjdzie z zamętu świat ducha!
Młodość go pocznie na swojem łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy spojnie.

Pryskają nieczułe lody,
I przesądy światło ćmiące...
Witaj, jutrzenko swobody,
Zbawienia za tobą słońce!

Doprawdy! widzi się, jak na dłoni, jak duch romantyzmu, który wyhodował Gustawa, wiódł do owego zerwania z rzeczywistością, w którem szał i zapał zastępował rozum, a wola żądna czynów starczyła za zimny rozsądek, gdzie cel świetlany stanowił złoty okres ojczyzny i ludzkości.

Cyrkla, wagi i miary
Do martwych użyj brył:
Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar według sił!

odzywa się choralna „Pieśń Filaretów“, ułożona dla nich przez Mickiewicza. A kiedy nastał czyn, kiedy w okrytych chwałą bitwach

roku 1831 „Oda do młodości“ tysiąckrotnie się sprawdzała, a jednak w końcu okazało się, że zamiar trzeba mierzyć według sił i wielkie powstanie legło zgniecione wśród najzupełniejszej obojętności Europy: natenczas rozdźwięk z porządkiem świata raz jeszcze wyrwał się z piersi wieszcza w trzeciej części „Dziadów“; z pod pióra wyszły te sceny z klasztoru Karmelitów, zabarwione ciemniej, niż kiedykolwiekindziej, a w wielkiej „Improwizacyi“ Konrada w więzieniu robi się z bólów narodu ból Chrystusowy, a z poety olbrzym ducha wyzywający Boga, olbrzym, który się przejął temi cierpieniami i domaga się od Wszechmocnego mocy do zbawienia i uszczęśliwienia swego narodu:

Nie gardź mną: ja nie jeden. Choć sam tu wzniesiony
Jestem na ziemi sercem z wielkim ludem zbratan,
Mam ja za sobą wojska i mocy i trony:
Jeśli ja będę bluźnierca,
Ja wydam Tobie krwawszą bitwę niźli szatan —
On walczył na rozumy, ja wyzwę na serca!
Jam cierpiał, kochał, w mękach i miłości wzrosłem;
Kiedyś mi wydarł osobiste szczęście,
Na własnej piersi ja skrwawiłem pięście,
Przeciw niebu ich nie wzniosłem.

Teraz duszą jam w moją ojczyznę wcielony,
Ciałem połknąłem jej duszę:
Ja i ojczyzna to jedno;
Nazywam się Milion: bo za miliony
Kocham i cierpię katusze.
Patrzę na ojczyznę biedną,
Jak syn na ojca wplecionego w koło;
Czuję całego cierpienia narodu,
Jak matka czuje w łonie bole swego płodu.
Cierpię, szaleję. A Ty mądrze i wesoło
Zawsze rządzisz,
Zawsze sądzisz,
I mówią, że Ty nie błądzisz!

Bóg milczy, a staczającego wewnętrzną walkę otaczają głosy szatanów i aniołów, tamte podniecając, a te uśmierzając Konrada. Cierpiącego, opętanego bólem narodu, doprowadza do ostateczności milczenie Przedwiecznego:

Odezwij się: bo strzelę przeciw Twej naturze!
Jeśli jej w gruzy nie zburzę,
To wstrząsnę całym państw Twoich obszarem;
Bo wystrzelę głos w całe obręby stworzenia,

Ten głos, który z pokoleń pójdzie w pokolenia:
Krzyknę, żeś Ty nie ojcem świata, ale —

DYABEŁ (przerywając):

Carem!

Po tem słowie, wysykniętem przez szatana, Konrad pada. Szatan nie odniósł zupełnego zwycięstwa. Poemat, który pozostał fragmentem, zaokrągla się idealnie w trzeciej części wizyą świętobliwego kapłana, kapelana więziennego Piotra, w której zapowiada przyszłego zbawcę ojczyzny, bohatera z rodu bohaterów. Nie może nim być ten, kto się zrywał do bluźnierstwa. Napomknięto już o dalszym rozwoju poety, cierpiącego w narodzie i za naród. W „Księgach narodu i pielgrzymstwa“ stara się ułożyć kodeks etyczny dla towarzyszów emigracyi, uchronić ich od niezgód, zaślepienia pychy a nawet rozdziału na stronnictwa; w prelekcyach starał się oznaczyć znaczenie ducha polskiego narodu dla Słowiańszczyzny i przeprowadzić go przez błędnik ducha nowożytnego Zachodu. Jest wrogiem filozofii niemieckiej, ale znać jednak pewną skłonność do mistycyzmu Baadera. W tomie czwartym popada w towianizm, który porzuca dopiero po latach.

Ale nie załatwiliśmy się jeszcze wcale z tym poetą, tłómacząc sobie rozwój jego subjektywny i narodowy; pozostaje nam jeszcze wielki epik. W „Grażynie“ znać lwa po szponach, w „Wallenrodzie“ dosięga szczytu dostępnego dla powieści poetycznej w stylu Byrona, w „Sonetach krymskich“ łączy mistrzowskie wykończenie formy z porywającemi opisami przyrody, w epicznych pogłosach „Dziadów“, w „Reducie Ordona“ (epizod z r. 1831) zbliża się do tego spokoju, do tej miary i pełni, jakich wymaga epos, a które podnoszą też do godności eposu „Pana Tadeusza“, najbardziej obrazowy poemat epiczny XIX. wieku. Przytoczymy tutaj wiersz „Pomnik Piotra W.„ z epizodów z „Dziadów“:

Z wieczora na dżdżu stali dwaj młodzieńce,
Pod jednym płaszczem wzięli się za ręce:
Jeden, ów pielgrzym przybylec z zachodu,
Nieznana carskiej ofiara przemocy;
Drugi był wieszczem ruskiego narodu,
Sławny pieśniami na całej północy.
Znali się z sobą nie długo, lecz wiele:
I od dni kilku już są przyjaciele.
Ich dusze, wyższe nad ziemskie przeszkody,
Jako dwie Alpów spokrewnione skały,
Choć je na wieki rozerwał nurt wody:

Ledwo szum słyszą swej nieprzyjaciołki,
Chyląc ku sobie podniebne wierzchołki.
Pielgrzym coś dumał nad Piotra kolosem,
A wieszcz rosyjski tak rzekł cichym głosem:

Pierwszemu z carów, co te zrobił cuda,
Druga carowa pamiętnik stawiała.
Już car odlany w kształcie wielkoluda
Siadł na bronzowym grzbiecie bucefała
I miejsca czekał, gdzieby wjechał konno;
Lecz Piotr na własnej ziemi stać nie może,
W ojczyźnie jemu nie dosyć przestronno:
Po grunt dla niego posłano za morze.
Posłano wyrwać z finlandzkich nadbrzeży
Wzgórek granitu; ten na Pani słowo
Płynie po morzu i po lądzie bieży,
I w mieście pada na wznak przed carową.
Już wzgórek gotów: leci car miedziany,
Car knuto-władny w todze Rzymianina;
Wskakuje rumak na granitu ściany,
Staje na brzegu i w górę się wspina.

Nie w tej postawie świeci w starym Rzymie
Kochanek ludów, ów Marek Aureli,
Który tem najprzód rozsławił swe imię,
Że wygnał szpiegów i donosicieli;
A kiedy zdzierców domowych poskromił,
Gdy nad brzegami Renu i Paktolu,
Hordy najezdców barbarzyńskich zgromił,
Do spokojnego wraca Kapitolu.
Piękne, szlachetne, łagodne ma czoło,
Na czole błyszczy myśl o szczęściu państwa,
Rękę poważnie wzniósł jak gdyby wkoło
Miał błogosławić tłum swego poddaństwa,
A drugą rękę opuścił na wodze,
Rumaka swego zapędy ukraca,
Zgadniesz, że mnogi lud tam stał na drodze
I krzyczał: Cesarz, ojciec nasz powraca!

Cesarz chciał zwolna jechać między tłokiem,
Wszystkich ojcowskiem udarować okiem:
Koń wzdyma grzywę, żarem z oczu świeci,
Lecz zna, że wiezie najmilszego z gości,
Że wiezie ojca milionom dzieci,
I sam hamuje ogień swej żywości;
Dzieci przyjść blizko, ojca widzieć mogą,
Koń równym krokiem, równą stąpa drogą —
Zgadniesz, że dojdzie do nieśmiertelności!

Car Piotr wypuścił rumakowi wodze,
Widać, że leciał tratując po drodze,
Od razu skoczył aż na sam brzeg skały.
Już koń szalony wzniósł w górę kopyta,
Car go nie trzyma, koń wędzidłem zgrzyta —
Zgadniesz, że spadnie i pryśnie w kawały!
Od wieku stoi, skacze — lecz nie spada:
Jako lecąca z granitów kaskada,
Gdy ścięta mrozem nad przepaścią zwiśnie —
Lecz skoro słońce swobody zabłyśnie,
I wiatr zachodni ogrzeje te państwa —
I cóż się stanie z kaskadą tyraństwa?

Tak przygotowany zabrał się Mickiewicz do pracy około głównego swego dzieła, o którem sądził z początku, że będzie prostą powieścią poetyczną z życia szlachty. Z każdego wiersza tego poematu tryska rozkosz spokojnej, świadomej siebie twórczości. Objęto tu cały świat Polski przed- i porozbiorowej, odbity w historyi dwóch dworów litewskich. Wielkie zdarzenie dziejowe, pochód Francuzów na Moskwę (1812), budzi ten mały światek, budząc wraz młode nadzieje i stare namiętności. Rodziny Sopliców i Horeszków żyją w sporze datującym jeszcze z czasów ostatniego króla polskiego; romantycznie usposobiony hrabia Horeszko bierze rzeczy ze strony poetycznej — procesują się o stary zamek — stary szlachcic na służbie rodu Horeszków, Gerwazy, pojmuje jednak sprawę o wiele namiętniej i skłania poblizki zaścianek dobrzyński do jawnej wojny powiatowej z Soplicami, do zajazdu. Uczciwy pułkownik moskiewski, Rykow, zjawia się z żołnierzami, żeby sprawę załatwić, gdy wtem napadają na niego z obydwóch stron i biją Moskali. Zbliżające się przednie czaty wielkiej armii francuskiej, długo wyczekiwane, dopomagają zarazem do rozwiązania zawikłania; co tylko zdatne do broni, łączy się z wojskiem. Przywódcy pozwalają sobie atoli na kilka dni wypoczynku, podczas których uśmierzają swary, a Zosia Horeszkówna, sierota starego rodu, wychowana w domu Sopliców, wychodzi zamąż za Tadeusza Soplicę, od którego tytuł poematu. Młody mąż rusza po kilku dniach w pochód walczyć za ojczyznę.

W tych prostych ramach co za obfitość obrazów natury i charakterystyk, co za bogactwo starych i nowych typów, cóż za mistrzowstwo w poetycznem traktowaniu częstych obrazów zacisznego żywota, a niestety! nie dało się odtworzyć tego wszystkiego w żadnem niemieckiem ani francuskiem tłómaczeniu z tą naturalnością, która ożywia polski oryginał. Zrzekamy się też cytowania. Na jedno

tylko jeszcze zwróćmy uwagę: przedstawienie charakteru narodowego w tej epopei, najzupełniej objektywne, a z miłością. Przeciętny typ młodego polskiego szlachcica, dobrodusznego i rzetelnego, ale słabego charakteru i nie żądnego wiedzy, przedstawiono w tytułowym bohaterze poematu; w dobrzyńskim zaścianku widzimy gorączkę i uporną tępość drobnej szlachty, idącej łatwo na lep anarchii; ciocia Telimena i hrabia Horeszko reprezentują znakomicie naturę półpanków, małpujących cudze mody i obcych bogów; starsze typy wykończone są ręką tak pewną siebie, że nie nasuwa się najmniejsza wątpliwość, że to postacie z rzeczywistości. Z dzieła tego wieje pewna atmosfera sprawiedliwości i pojednawczości; toteż w Rykowie uczcił poeta bohatera patryotyzmu rosyjskiego, biernego, ale wiernego obowiązkowi; w żydzie Jankielu odrębne wyznaniowo, ale szczerem sercem do polskiej ojczyzny, do jej doli i niedoli, przywiązane żydowstwo; pełen to słonecznego ciepła i blasku poemat, w którym w ogóle tyle tylko jest cienia, ile trzeba do połączenia rzeczywistości z poezyą.

Tak tedy powszechny w Polsce kult Mickiewicza jest owocem podziwu wszechstronnie usprawiedliwionego. Mickiewicz pojmował siebie w narodzie, naród pojmuje się przez Mickiewicza. Dwaj Mickiewiczowi najbliżsi poeci, Zygmunt Krasiński i Juliusz Słowacki nie zdołali stać się do tego stopnia — narodowymi. Do Krasińskiego przywiązują się umysły głębsze, subtelniejsze, z szerszym horyzontem, do Słowackiego natury nerwowe, ekscentryczne, o przesadnem usposobieniu. Sam Mickiewicz, który analizował znakomicie dzieła Krasińskiego w swych prelekcyach, zachował milczenie o Muzie Słowackiego i podobno wyraził się w rozmowie, że ten młody poeta przypomina piękną, ozdobną świątynię, ale bez wielkiego ołtarza i bez — bóstwa. Dokładniejsza krytyka musi się z czasem zgodzić na opinię Mickiewicza, musi przyznać, że Krasiński, o wysokiej intelligencyi, myśliciel głęboki, obejmował swą Muzą świat cały, podobnie jak Mickiewicz, podczas gdy odbijał on się tylko w Muzie Słowackiego, poety o najbogatszej wyobraźni, który władał tak językiem poetycznym, że był nad nim panem despotycznym aż do kaprysów.

Szczególniejsze okoliczności życia złożyły się na oryginalny rozwój Zygmunta Krasińskiego. I on też bolał całe życie nad cierpieniami swego narodu, ale w inny sposób, właściwy jemu i wszystkim szlachetnym jednostkom z pomiędzy polskiej arystokracyi. Ojcem jego był jenerał Wincenty Krasiński, znakomity wojownik z wojsk

napoleońskich; od roku 1815 pozostając w służbie rosyjsko-polskiej, naraził się wkrótce na niepopularność dzięki wierności dla swego sztandaru i opozycyi przeciw dążeniom insurrekcyjnym. Młody Zygmunt doznał obelgi na ławie uniwersyteckiej (1829) z powodu swego ojca, którą wyrządzili mu zapaleni koledzy, a wypadek ten wpłynął trwale na przebieg całego jego życia. Opuścił ojczyznę, do której zajeżdżał odtąd bardzo rzadko, ażeby się zobaczyć z ojcem niepopularnym, a przez niego gorąco kochanym i podziwianym; za granicą wiódł niestały żywot koczowniczy, w którym ani nawet ożenienie się nie sprowadziło zmiany. Chory na oczy i zdenerwowany zakończył swe cierpienia w Paryżu w r. 1859.

Wszystkie utwory poetyczne tego gienialnego męża wyszły anonimowo, nie bardzo czytywane i niewiele rozumiane przez szersze warstwy współczesnych. Dobrane grono przyjaciół pozostawało z nim w bliższych stosunkach: filozof Cieszkowski, poeta Słowacki i Gaszyński, ludzie polityczni Adam Potocki i Jerzy Lubomirski.

Krasiński otrzymał obszerne a gruntowne wykształcenie, interesował się żywo życiem współczesnem, a zwłaszcza filozofią niemiecką. Droga jego, jak to Klaczko trafnie spostrzegł, toczyła się od spraw kosmopolitycznych, powszechnych, do specyalnych narodowych. Doświadczenie życia przywiodło go do tego, że w narodowych ruchach dostrzegał też owe namiętności społeczne, które z myślą o niepodległości politycznej łączyły przewrót demokratyczny. W młodzieńczych latach zaczął od powieści historycznych w guście Walter Scotta, poczem nastąpił „Agay Han“, powieść poetyczna (niewierszowana), z przygód carycy Maryny Mniszchównej, żony Dymitra Samozwańca, okazując bujną nader wyobraźnię autora (1834). Nagle zjawia się „Nieboska Komedya“ (1834), poemat w formie dramatycznej, oryginalna co do formy i treści, i odsłania dziejowe widnokręgi, którychby się nikt nie spodziewał u młodego autora. Dramat przyszłości, przełożony do wschodnich ziem Polski, a przedstawiający walkę rozpowszechniającej się w Europie rewolucyi ze starym światem arystokratycznym, strupieszałym na wewnątrz! Nie chodzi tu o równouprawnienie, ani o prawa człowieka: Pankracy, demagog przypuszczający szturm do zamku hrabiego Henryka, jest bezwyznaniowym socyalistą, domaga się równego używania dóbr ziemskich, skoro niema już dóbr niebieskich! Hrabia Henryk, bohater, ale moralnie podupadły, przegrywa, rodzina przezeń założona zrujnowaną jest z jego winy, żona w obłąkaniu, a synek przedwcześnie dojrzałem cudownem dzieckiem-poetą... Ale i zwycięski Pankracy spostrzega

na ruinach starego świata inny znak zwycięstwa, nie od niego pochodzący; to Galilejczyk na krzyżu, ku któremu wznoszą dłonie najszlachetniejsi z orszaku Pankracego! To, co u Göthego zwie się *das Ewigweibliche,* przyciąga także demokratyczny świat przyszłości!

Pobyt w Rzymie i lektura Champagnyego *(Les Césars du troisième siècle),* sprawiły, że Krasiński następny poemat dramatyzowany „Irydiona" (1836), przeniósł w rzymski świat cezarów. W Irydionie, łączącym w sobie krew grecką z germańską, przejawia się namiętność narodowej mściwości, podsycana przez szatańską postać Masynissy, dzięki której Irydion przysięga wieczną nienawiść Rzymowi nędznika Heliogabala; spiski i zamachy Irydiona obracają w niwecz żywioły chrześcijańskie (Cornelia), wyższe ponad narodową zawiść, a Masynissa usypia zwyciężonego Irydiona, który po upływie wieków ma ujrzeć ruiny Rzymu. Po wiekach (epilog poematu) odbywa się w Kolisseum sąd nad ofiarą cierpień, ocala go miłość Grecyi i wstawiennictwo chrześcijan; otrzymuje polecenie działać w ziemi „mogił i krzyżów", połączyć miłość ojczyzny z cnotą chrześcijańską. Ta sama myśl, która nasuwała się Mickiewiczowi, otrzymuje u Krasińskiego rozwiązanie mistyczno-religijne. Poczucie narodowe, osnute na nienawiści, pochodzi od szatana; oczyszczone przez chrześcijaństwo, uświęca się i zwycięża.

Najbliższe publikacye zdają się być poświęcone myślom z dawniejszego, już przeżytego okresu rozwoju poety. „Trzy myśli Henryka Ligenzy" (1840) zawierają poematy: Syn Cieniów, Sen Cezary, Legenda. Pierwszy z nich oznacza stadyum zupełnie panteistyczne, dwa następne zdają się pozostawać pod wpływem filozofii objawienia Schellinga. Autor marzy o przyszłym kościele św. Jana, przeciw któremu dawna polskość popierać będzie aż do końca kościół św. Piotra. Opowiadanie poetyczne „Noc letnia", poemat „Pokusa" (1841), obydwa zdobne czarem nadzwyczajnej wyobraźni, tłómaczą się niezwykłemi stosunkami rodzinnemi autora, stosunkiem do ojca, który aż do końca życia, pomimo otaczającej go niepopularności, ulegał urokowi petersburskiego dworu.

Poematem „Przedświt" (1843) rozpoczyna Krasiński zawód poety lirycznego na temacie z polityki. Mając umysł zajęty nieustannie rozwiązywaniem problematu upadku Polski ze stanowiska wielkiego dziejowego porządku świata, zbłąkał się Krasiński w tymże mesyanizmie, którego ofiarą padł w innej formie Mickiewicz, ma jednakże zupełną racyę upatrując w zachowaniu zachodniej kultury i katolickiego obyczaju zasługę przeszłości i rękojmię przyszłości.

Te same pomysły snuje też w „Psalmach przyszłości“, z których jeden, a mianowicie „Psalm miłości“, zwracał się z siłą gromu przeciw ideom rewolucyjnym, które, zaczynając od rzezi szlachty, zamyślały urządzić powstanie ludu polskiego przeciw mocarstwom rozbiorowym. Juliusz Słowacki odpowiedział na Psalmy filipiką w takiej samej formie, w której rzuca się na Krasińskiego, jako na poetę szlachty, na co tenże odparł „Psalmem żalu“ i „Psalmem dobrej woli“. Mistyczna, wielkoduszna etyka, etyka bezgranicznego poświęcenia dla „Polski Chrystusa narodów“, wzbiera w Psalmach, a także w poematach: „Resurrecturis“ i w „Glossie św. Teresy“:

O! poznaj sam siebie!
Nie żądaj być panem
Jak Pan, który w niebie!
Ni chciej jak bydlę gnić nad paszy łanem!
Z tej strony grobu przed zmartwychwstań wschodem [1])
Bądź ty w człowieku męką z niebios rodem,
Bądź arcydziełem nieugiętej woli!
Bądź cierpliwością — tą panią niedoli —
Co gmach swój stwarza z niczego — powoli!
Bądź tą przegraną — której cel daleki,
A która w końcu wygrywa na wieki!
Bądź spokojnością — wśród burz niepokoju —
W zamęcie miarą — i strojem w rozstroju —
Bądź wiecznem pięknem — w wiecznym życia boju!
Dla podłych tylko i Faryzeuszów
Bądź groźbą — gniewem — lub świętem milczeniem!
I nie miej żadnych z obłudą sojuszów!
Dla wszystkich innych bądź anielskiem tchnieniem!
Bądź tym pokarmem, który serca żywi —
Bądź im łzą siostry — kiedy nieszczęśliwi —
A głosem męskim — gdy się w męstwie chwieją!
Tym, którzy z domu wygnani — bądź domem!
Tym, co nadzieję stracili — nadzieją!
A śpiącym trupio — bądź przebudzeń gromem!
W walce z tem piekłem świata, co się złości,
Zawsze i wszędzie, bądź siłą co skłania —
Nad śmierć silniejszą siłą ukochania —
Bądź piekłem miłości!

W ciągłej przykładu i słowa postaci
Rozdawaj siebie samego twej braci!

[1]) Wiersz ten w tłómaczeniu niemieckiem opuszczony. *Przyp. wyd.*

Mnóż ty się jeden przez czyny żyjące,
A będą z ciebie jednego — tysiące!
. . . . . .
. . . . . .
W jednej twej piersi — bądź twym całym ludem!
Bądź niebo z ziemią spajającym cudem!
Świętością w niewoli!

Ni spiesz się na śmierć — aż jak ziarno w ziemi
Myśl twa się w serca wsieje — i rozplemi!
Póki męczeństwo nie pewnią zwycięstwa —
— Twem dobrem tylko — a nie człowieczeństwa,
Unikaj męczeństwa —
Marnej sławy wieńce
Chwytają szaleńce!
W niebezpieczeństw wiry
Skaczą bohatyry!
Lecz wyższa moc Ducha
Tych ułud nie słucha!

Trzecim w tej trójcy mistrzem był Juliusz Słowacki, syn profesora poetyki w Krzemieńcu, wcześnie osierociały i wychowany przez intelligentną matkę. Od r. 1831 na dobrowolnem wygnaniu za granicą, obyty w podróżach, w których zapędził się aż na Wschód, w kołach emigracyjnych zajmował stanowisko nieprzychylne Mickiewiczowi; popadł chwilowo w towianizm, a umarł mając lat czterdzieści w Paryżu (1849) na chorobę piersiową, której go zapewne nabawiła gorączkowość niewyczerpanej twórczości poetycznej. Cechą tego poety niezmiernych zdolności jest, że natchnienie jego zdaje się znacznie bardziej stosować do poezyi narodowej i zagranicznej, niż do własnej myśli i samodzielnej twórczości; znalazłszy się w środku okresu wielkiej poezyi, dręczy się ciągle ambicyą, żeby dorównać współczesnym, a nawet prześcignąć ich, toteż przyzywa duchy wszystkich poetów, żeby młodzieńczemu gieniuszowi dostarczyli mocy swego polotu. Byron otacza swym wpływem jego powieści poetyczne, „Beniowskiego“ i „Podróż na Wschód“; Wiktor Hugo jest patronem „Mazepy“ i „Maryi Stuart“; Szekspira znać w dramatach, w „Lilli Wenedzie“, „Balladynie“, w „Horsztyńskim“; wpływ Dantego przebija w poemacie p. t. „Dantyszek“, a Kalderona w dramatach: „Ojciec Marek“, „Sen srebrny Salomei“; poemat dramatyczny „Kordyan“ pisany jest w widocznym zamiarze walki o lepsze z „Dziadami“ Mickiewicza, „Anhelli“ zaś, żeby dorównać poetycznej prozie Krasińskiego. Podleganie tym wpływom nie jest wcale a wcale mecha-

nicznem naśladowaniem, bynajmniej! a tem mniej nie można mu zarzucić prostego korzystania z cudzych utworów; mamy tu jedyny może w historyi poezyi przykład zlania się własnej twórczości z twórczością cudzą, opracowania pomysłów przejętych od kogo innego, które, zestawione z pierwowzorami, nie tracą nic ze swej świeżości. Goplana schodzi się wprawdzie z Tytanią, a Grabiec z Bottomem ze „Snu nocy letniej", Szczęsny w „Horsztyńskim" jest drugim Hamletem, dykcya dramatów kalderonowskich jest rozwlekłą jak hiszpańska, poetyczne cudactwo oktaw „Beniowskiego" i epizody jego nadają się w sam raz do byronowskiego Don Juana; ale w tych wszystkich analogiach u Słowackiego, daje się czuć, pomimo wszelkiego przebrania, grunt narodowy, są one bowiem zastosowane do ducha narodu. Czuje się, że ten nerwowy poeta z naturą mimozy mógłby był krok tylko jeden uczynić, a zrzuciłby cudzą szatę i nie doznałby zarzutu, że robił pożyczki poetyczne. Ten krok uczynił też w swych właściwych arcydziełach, w „Ojcu Zadżumionych" i w poemacie „W Szwajcaryi", tudzież w wielu drobniejszych lirycznych utworach, które można niewątpliwie postawić obok najpiękniejszych utworów Mickiewicza. Słowacki odznacza się do tego stopnia wykończeniem formy, mistrzowstwem języka i rozrzutnem bogactwem poetycznej wyobraźni, że zmusza nawet tęgich krytyków, jak Małeckiego i Tarnowskiego, do pobłażliwości dla swych istotnych braków, a mianowicie powierzchowności swej Muzy, a braku konsekwencyi i związku w swym poglądzie na świat. „Ojciec Zadżumionych w El-Arisz", nazwany przez d-ra Małeckiego trafnie Laokoonem poezyi, opowiada nam wzruszającą historyę kwarantanny ojca rodziny na granicy Egiptu i Syryi, podczas której utracił ośmioro dzieci i żonę, dzieci tych matkę. Od czasu „Trenów" Kochanowskiego nie było takiej mocy w przedstawieniu boleści ojcowskiej, a w tym wypadku wyszło ono z pod pióra poety, który sam nie zaznał nigdy pociech ojcostwa. Jest się niemal zmuszonym przypuścić, że w arcydziele tem czynnem było uczucie, przez które powstało wszystko, co najpiękniejszego posiada literatura polska. Nie potrzebując być allegoryą, ojciec zadżumionych żyje tą samą miłością i upada pod ciężarem tego samego cierpienia, które z Konrada zrobiły ojca milionów; okrzyk jego: „O Allah, Akbar Allah, jakżeś wielki!" kryje w sobie więcej rozpaczy, niż słowa Konrada, szturmujące niebo. Bezdenna boleść, płynąca z widoku konania własnego narodu, wtajemniczyła poetę w szczegóły cierpienia ojcowskiego, którego nikt nie zdołał opiewać bardziej po mistrzowsku:

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Maleńkie dziecko karmiła mi żona,
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina dzisiaj pogrzebiona
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów
Chodziło co dnia na piasku pagórki
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;
A wieczór wszystkie tu się kładły wiankiem,
Tu gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Żona, z synaczkiem przy piersiach, marzyła.
Wszystko to dzisiaj tam gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiecha,
Wszystko tam leży pod kopułką Szecha;
A ja samotny wracam — o boleści!
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści,
Odkąd do mego płóciennego dworu
W tej kwarantannie wszedł anioł pomoru.
O! niewiadoma ta boleść nikomu,
Jaka się w mojem sercu dziś zamyka!
Wracam na Liban, do mojego domu;
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: starcze! gdzie są twoje dziatki?
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: starcze! gdzie są twoje córki?
Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje — wszystkie — pogrzebione
Tam, pod grobowcem tym okropnym Szecha;
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem,
Pytać się będą. — Cóż ja im odpowiem?

Nie można doprawdy zacząć bardziej po prostu i niełatwo też byłoby w kilku wyrazach dać czytelnikowi więcej — Wschodu. Z konieczności pomijamy pierwsze skony, opisane w mistrzowskich obrazach, pomijamy śmierć najmłodszego syna, poczem następuje skon najmniej ze wszystkich kochanego:

Boleść mi była jako chleb powszedni.
I pod oczyma konał mi mój średni,
Najmniej kochany w mem rodzinnem gronie
I najmniej z dzieci płakany po zgonie.
To też Bóg jemu wynagrodził za to,
Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,

Bez żadnych bolów, bez żadnych omamień,
Skonał i skościał i stał się jak kamień.
A tak okropnie po śmierci wyglądał,
Jakby już próżnych naszych łez nie żądał;
Ale chciał tylko lice swoje wrazić
W serca nieczułe, oczy nam przerazić,
I wiecznie zostać w rodziców pamięci
Z twarzą, co woła: jesteście przeklęci!
Skonał. Myślałem wtenczas — o! rozpaczy!
Że jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
Jeśli anioła śmierci przyśle po nie,
Dziecko mi weźmie, żonę — a po żonie
Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę.
Córka! Ja myśleć nie śmiałem o córce!
I trwoga o nią nie gryzła mię żadna.
Ach, ona była młoda! taka ładna!
Taka wesoła, kiedy moję głowę
Do lilijowych brała chłodzić rączek,
Kiedy zrobiwszy z jedwabiu osnowę,
Około cedru biegała po trawie,
Jak pracowity snując się pajączek.
Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie
Ona robiła — i te smutne oczy
Ona rąbkami złocistych warkoczy
Tak przesłaniała, że patrzałem na nią
Jako na różę przeze łzy i słońce.
Ach, ona była domu mego panią!
Ona, jak jaśni anieli obrońce,
Najmniejsze dziecko w kołyseczce strzegła
I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła,
I wszystkie nasze opłakała ciosy,
I wszystkie nasze łzy wzięła na włosy.
Dziesięć dni przeszło i nocy tak długich,
Że śmierć już mogła na gwiazdy odlecieć,
Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
Przeszło — nadzieja zaczynała świecić...
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści,
I naliczyliśmy ranków trzydzieści.
Nareszcie, zbywszy pamięci i mocy,
Położyłem się i zasnąłem w nocy.
I we śnie, w lekkie owinięte chmury,
Ujrzałem moje dwie umarłe córy.
Przyszły za ręce się trzymając obie;
I pozdrowiwszy mię pokojem w grobie,
Poszły, oczyma cichemi błyszczące,
Nawiedzać inne po namiocie śpiące.
Szły cicho, zwolna, schylały się nizko
Nad matki łożem, nad dziecka kołyską;

Potem na moję najmłodszą dziewczynę
Obiedwie ręce położyły sine!
Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwę
Klnąc wołam dziko: Hatfe! moja Hatfe!
Przyszła jak ptaszek cicho po kobiercu,
Rzuciła mi się rączkami na szyję,
I przekonałem się, że Hatfe żyje,
Słysząc jej serce bijące na sercu.
Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć —
Córka!!! — lecz na co z boleścią się szerzyć?
I to mi dziecko sroga śmierć wydarła!
I ta mi córka na rękach umarła!
A była jedna — najstraszniejsza chwila —
Kiedy ją bole targały zabójcze,
Wołała: ratuj mię! ratuj, mój ojcze!
I miała wtenczas czerwone usteczka
Jak młoda róża kiedy się rozchyla.
I tak umarła ta moja dzieweczka,
Że mi się serce rozdarło na ćwierci,
A piękna była jak anioł — po śmierci.
. . . . . .
Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzina,
Śpiewającegom słyszał muezzina:
Jakby się nad mym ulitował losem,
Zaczął smutniejszym obwoływać głosem,
Krzycząc ze swego piaskowego stoga
Nieszczęśliwemu ojcu — wielkość Boga.
A bądźże mi ty pochwalony Alla!
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,
Zarazą, która dzieci mi wytraca
I bierze syny z łona rodzicielki.
O! Allah! Akbar Allah! jesteś wielki!

Następuje śmierć dziecięcia, pożycie z żoną:

W namiocie pustym ja zostałem z żoną.
Ale czy pojmiesz? — zamiast nas połączyć
Boleść, obojgu nam rozdarłszy łono,
Zaczęła jakieś jady w serca sączyć,
I teraz chyba je sam Bóg oczyści.
Smutek podobny był do nienawiści,
I stanął czarny, wielki między nami.
Więc rozłączeni byliśmy i sami.
I nie mówiliśmy do siebie słowa —
Bo powiedz, jakaż być mogła rozmowa
W pustym namiocie między mną i żoną?
Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci?...

Żona umiera... Odgrzebała najmłodsze dziecię i nosiła przy sobie loczek z niego. Syryjczyk przepędza nowych czterdzieści dni kwarantanny w samotności, napół oszalały, aż wreszcie:

Bez żadnych bolów, pamiątek, omamień,
Stałem się twardy i zimny jak kamień.
I raz... Ach! boska nade mną opieka!
Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda;
I ach! nie była to już twarz człowieka,
Lecz głowa mego starego wielbłąda.
Spojrzał — i spojrzał z twarzą tak litośną,
Że rozpłakałem się jak dziecko głośno.

Widzimy, ile to prawdy psychologicznej pomieścił poeta w tym wzruszającym utworze. Podobnież w poemacie „W Szwajcaryi“ znajdziemy tyleż najsubtelniejszych odcieni wzbierającego uczucia romantycznej miłości; w „Rozmowie“ z ksienią Makryną Mieczysławską mamy znów mistrzowskie przedstawienie cierpień i wewnętrznego oporu unitki, zmuszanej przemocą do prawosławia. Widzimy, jak wielostronną była Muza tego poety, jak różnorodne uczucia, w które się wżyć potrafił. Tak też tłómaczenie „Księcia niezłomnego“ Kalderona należy właściwie uważać za samodzielne odtworzenie tematu wspaniałego dramatu w języku polskim, a nieskończony wielki poemat „Król-Duch“ jest budowlą mistyczną, przypominającą „Boską Komedyę“ Dantego. Ale zapytajmy się o ostateczne, narodowe dążności jego twórczości, a zobaczymy, że brak mu było tego punktu oparcia w jakiejś jednolitej zasadzie, w jakimś samoistnym poglądzie na świat, który był u Mickiewicza i Krasińskiego, a co u Słowackiego rozpływa się w nadmiernem bogactwie jego poezyi. Uważają go wprawdzie powszechnie za piewcę radykalizmu, messyanizm polski przez długi czas był mu obcym, umiał on stać się sędzią i mentorem swego narodu (w poemacie „Grób Agamemnona“, w dramacie „Niepoprawni“ i w „Beniowskim“), ale robił to w sposób pchający do jeszcze większej przesady takich, którzy i tak byli do niej nazbyt pochopni:

Mnie od mogiły termopilskiej gotów
Odgonić legion umarłych Spartanów;
Bo jestem z kraju smutnego Helotów,
Z kraju — gdzie rozpacz nie sypie kurhanów!
Z kraju — gdzie zawsze po dniach nieszczęśliwych
Zostaje smutne pół — rycerzy — żywych.

Na Termopilach — jakąbym zdał sprawę,
Gdyby stanęli męże nad mogiłą

I pokazawszy mi swe piersi krwawe,
Potem spytali wręcz: — „Wielu was było?“
Zapomnij, że jest długi wieków przedział —
Gdyby spytali tak — cóżbym powiedział?!

W ten sposób został Słowacki ulubionym poetą tego pokolenia, które dokonało powstania 1863 r. Doprowadził poetyczność do ostatnich kresów i pociągnął za sobą z całej siły nerwową młodzież. Żaden poeta nie może się z nim mierzyć co do wpływu na młode umysły.

Około tych trzech wielkich imion skupia się plejada poetów godnych uwagi, grupowanych rozmaicie przez historyków literatury, a posiadających po większej części znaczną oryginalność, a nawet zajmujących swą twórczością odrębne stanowiska. Krasiński nie wytworzył szkoły, nie miał naśladowców; za Słowackim możnaby ustawić Kornelego Ujejskiego, który przypomina wzniosłe patos tamtego w „Skargach Jeremiego“ i w „Maratonie“. Do szkoły Mickiewicza należą: Stefan Garczyński, A. E. Odyniec, później wybitny poeta dramatyczny, Korsak, A. Chodźko. Zbiorowem mianem szkoły ukraińskiej możnaby oznaczyć utwory A. Malczewskiego („Marya“), Seweryna Goszczyńskiego („Zamek kaniowski“), Bohdana Zaleskiego i ukraińskiego powieściopisarza Michała Czajkowskiego, bo wszyscy oni obrali sobie za szczególny przedmiot swej Muzy tę stepową krainę, tak ciekawą pod fizycznym i historycznym względem. Wśród utworów tej grupy podnieść należy szczególniej dzieła Zaleskiego, oparte na poezyi ludowej, delikatne w wyrażaniu uczuć, z językiem dbałym o dźwięczność muzykalną, do tego stopnia, że tylko niektóre pieśni Mickiewicza (pieśń o Wiliji) pod tym względem mogą się z niemi mierzyć. Ale Ukraina Zaleskiego jest doprawdy tylko śliczną fikcyą; ten kraj zmącony wstrząśnieniami jest w jego poezyach słoneczną oazą, na której dojrzewa rycerstwo i miłość. Zaleski jest też ściśle katolickim: poemat jego „Przenajświętsza Rodzina“ jest małem arcydziełem o rafaelowskim rysunku; a „Duch od stepu“ jest poetyczną historyozofią, wskazującą narodom pielgrzymkę do miasta siedmiu wzgórzów, jako do stolicy namiestnika Chrystusowego; „Wieszcze Oratorium“ wreszcie jest zbiorem pieśni religijno-politycznych. Ponurszą jest Ukraina Goszczyńskiego, który jednakże, napisawszy potem jeszcze poemat tatrzański: „Sobótkę“, niewiele wogóle zdziałał i zaniknął w towiańszczyźnie.

Wybitna, a z pod serca narodu wyrosła idea stanowi ognisko dla innej grupy poetów i autorów, którychby można nazwać grupą idealizowania przeszłości. Ci idealizujący nie mieli oczywiście pod politycznym względem racyi, żeby idealizować to niesforne życie, które wiodło do anarchii i doprowadziło do jej skutków, do rozbiorów; ale pod względem moralno-dziejowym było to wzmożeniem samowiedzy narodowej, wzmocnieniem siły odpornej, że parciu wrogich żywiołów przeciwstawiono dawną Polskę, katolicką, rycerską, z obyczajem średniowiecznym, niespokojną ale pełną polotu, że pod kirem teraźniejszości ukazywano i miłować dawano dawne, dobre tradycye. Sam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu" stał się mistrzem tego kierunku idealizującego, mistrzem, który prawdziwie genialnie i z głębokiem zrozumieniem rzeczy odróżnił dobre od złego, godne naśladowania od tego, co zarzucić trzeba. Podobno też nawet osobiście skłonił dwóch koryfeuszów tego kierunku: Henryka Rzewuskiego i Wincentego Pola, żeby opracowywali poetycznie dawne tradycye z życia Rzpltej. Henryk Rzewuski, umysł niezmiernie zdolny, ale po doktrynersku spaczony, coś w rodzaju polskiego De Maistre'a, bez logiki i konsekwencyi znakomitego Francuza, przedstawił po mistrzowsku życie polsko-litewskiej szlachty w szeregu opowiadań prozą p. t. „Pamiętnik Pana Soplicy" (1839)[1]); w powieści na wielką skalę ułożonej „Listopad" (1845) przedstawił w genialnych rysach zderzenie się nowożytnej, materyalistycznej francuskiej oświaty z staropolskim katolickim żywiołem XVIII. wieku. Powieści, sięgające do XVII. i XVI. w., nie tak są udatne. — Wincenty Pol, potomek austryackiej rodziny urzędniczej (urodzony w Lublinie 1807 r., zmarł w Krakowie 1872 r.), wykształcony w uniwersytecie lwowskim, dał się najprzód poznać jako poeta polityczny 1831 r. „Pieśni Janusza" (1833) zawierają najpiękniejsze perły liryki patryotycznej i stały się też pieśniami śpiewanemi ogólnie. Po krótkim pobycie na emigracyi wrócił Pol do Galicyi, gdzie w nieświetnych materyalnych stosunkach wiódł życie jużto na prowincyi, jużteż we Lwowie i w Krakowie, tworząc poezye i oddając się studyum geografii, będąc czasowo profesorem tego przedmiotu w uniwersytecie krakowskim (1849—1853). W „Pieśni o ziemi naszej" jest Pol poetą liryczno-epicznym, a stara się wpoić w młode umysły właściwości ojczystej ziemi:

---

[1]) Tłómaczone na niemieckie i wydane w „Bibliotece Uniwersalnej" przez F. Reklama.

A czy wiesz ty co w nich leży?
O nie zawsze, o nie wszędzie
Młode orlę tak ci będzie,
Jako dzisiaj przy macierzy!

Trzeba będzie ważyć, służyć,
Milczeć, cierpieć i wojować!
I niejedno miłe zburzyć,
A inaczej odbudować...

Kto tam zgadnie, gdzie osiędziesz,
Jaką wodą w świat popłyniesz,
W której stronie walczyć będziesz
I od czyjej broni zginiesz?

Wyleć ptakiem z twego gniazda,
Miłać będzie taka jazda,
Spojrzeć z góry na twe ziemie
I rodzinne twoje plemię...

„Pieśń o ziemi naszej“, jakkolwiek zbyt treściwa, a pod wielu względami niedorastająca do ogromu przedmiotu, pozostała jednakże czystą krynicą zdrowego patryotyzmu; w ostatnich latach dodał jej poeta bliźniaczą „Pieśń o domu naszym“, o nastroju bardziej dydaktycznym a utrzymaną w bardzo poważnym tonie. Tymczasem jednak nęciły poetę żywe jeszcze tradycye XVIII. wieku. Pisał „Przygody Benedykta Winnickiego“ (1840), „Zgodę Senatorską“, „Sejmik w Sądowej Wiszni“, obrazy z życia szlachty ostatnich dziesiątków XVIII. wieku, traktowane niemal humorystycznie, wykonane po mistrzowsku, ale upiększając nierozważnie stare anarchiczne nawyczki. W następnych latach Muza jego wzbija się wyżej, kiedy to wydał arcydzieło swe „Mohorta“ (1855), „Wita Stwosza“ (1857) i „Pacholę hetmańskie“ (1862). Pol łączy tutaj polskie tradycye z średniowiecznym rycerskim romantyzmem, z podkładem szczególniejszego mistycznego poglądu na świat. Zapatrywania poety przypominają budowlę jakoby gotycką, łącząc mądrość klasztorną z rycerską cnotą, a kierunek ten wydaje serdeczne pienia liryczne („Z klasztoru i z boru“), ale mają tę ujemną stronę, że utwory epiczne ustawiły w zbyt subjektywnem oświetleniu. Ideał rycerza polskiego, „Mohort“, który jeszcze za czasów Poniatowskiego strzeże kresów od Turka, jest właściwie anachronizmem; jestto postać wymyślona przez poetę, wyposażona zapewne znacznie kolorytem lokalnym, ale w ogóle wmówiona tylko poetycznie w polską naturę. Podobnież „Wit Stwosz“ ma charakter, który raczej nadany został wiekowi XV., niż zeń

wziętym, a jeszcze w wyższym stopniu trzebaby to odnieść do „Pacholęcia hetmańskiego“, które treścią do XVI. w. należy.

W grupie idealizujących przeszłość najbliższym W. Pola jest Władysław Kondratowicz, znany pod pseudonimem swego herbu: Syrokomli († 1862), piewca „Gawędy“ (1853), „Jana Dęboroga“ (1854), epopei litewskiej „Margier“ (1855) i innych poematów; z powieściopisarzy zaś należą tutaj: Ignacy Chodźko („Obrazy litewskie“, 1840—1858), pobożny malarz obyczajów; również Zygmunt Kaczkowski („Ostatni z rodu Nieczujów“, 1853), który obrał sobie za przedmiot swych wybornych utworów typową szlachtę sanocką. Ostatnim przedstawicielem tego kierunku jest Bodzantowicz („Rodzina konfederatów“, 1869, i inne powieści). Z poetów opiewających przeszłość zbliżył się do ludu najbardziej Teofil Lenartowicz, który zachęcony przez popularne „Obrazy z życia i przyrody“ W. Pola, obrał sobie szczęśliwie ludowe motywa i ludową wyobraźnię za punkt oparcia artystycznej twórczości w swojej „Szejne-Katarynce“ (1849), w zbiorku „Lirenka“ (1855), w „Zachwyconej“ i „Błogosławionej“ (1855). Na poezyi ludowej oparli się bardzo pomyślnie oprócz Mickiewicza (w Balladach), Słowackiego (w dramatach), Wincentego Pola, nadto jeszcze uzdolnieni poeci: Witwicki, Ryszard Berwiński i Edward Wasilewski, krakowski poeta lokalny.

Stanowisko niezależne od panujących prądów zajmują: Józef Korzeniowski, powieściopisarz, opisujący obyczaje subtelnie i z wielką objektywnością („Spekulant“, „Kollokacya“, „Krewni“), a zarazem autor licznych dramatów i komedyj († 1863); Józef Ignacy Kraszewski (urodzony r. 1812), od r. 1831 niestrudzony powieściopisarz, poeta, historyk literatury, którego najlepsze powieści przypadają na lata 1840—1860; Lucyan Siemieński († 1877), niegdyś doskonały poeta (Poezye, 1844), następnie zajęty przeważnie krytyką estetyczną i znakomity tłómacz; ci dwaj ostatni zostali jednak koryfeuszami dopiero w najnowszym okresie. Ciekawe jest również stanowisko trzech najwybitniejszych autorek: Klementyny z Tańskich Hofmanowej, autorki wybornych opowieści dla młodzieży, a zarazem mistrzowskich a objektywnych powieści historycznych: „Jan Kochanowski“ (1845) i „Dziennik Franciszki Krasińskiej“; Gabryela Żmichowska, poetka i nowelistka wielkich zdolności (Pisma, 4 tomy, 1861), opiera się o Georgea Sanda; Jadwiga Łuszczewska, występuje od roku 1854 jako improwiza-

torka i poetka pod pseudonimem Deotymy, a wzbudzała ogólny podziw pięknością formy i mistrzostwem języka.

Cenzura trzech rządów zaborczych wytworzyła dla publiczności pewien rodzaj linii demarkacyjnej, oddzielającej utwory wydane w kraju, jako rzekomo mniejszą posiadające wartość, od uważanych za lepsze, ponieważ wyszły nie pod cenzurą, za granicą. Ba! takiemu np. Korzeniowskiemu zarzucano, że zanadto się liczy z istniejącemi stosunkami, historyk praw Maciejowski został napiętnowany, jako moskalofil, a A. Fredro, komedyopisarz, został potępiony przez Goszczyńskiego, jako nie dość narodowy. A jednak Aleksander hr. Fredro (ur. 1793 w Galicyi, umarł 1876) był przecież legionistą z wojen napoleońskich; później, gospodarując przebywał w kraju do późnej starości, i tutaj pisząc został nieśmiertelnym twórcą polskiej komedyi, podobnież, jak Mickiewicz jest twórcą polskiego eposu. Fredro opiera się na Molierze, a komedye jego utrzymują teatr lwowski, pod kierunkiem zasłużonego J. N. Kamińskiego, na poziomie godnym narodowej sceny. Nie przestarzeją się one nigdy, więżąc w sobie najświetniejsze typy i charaktery z tego samego okresu przejściowego, z którego „Pan Tadeusz“ czerpie swe postacie. Głównemi dziełami Fredry są: „Pan Geldhab“, „Cudzoziemszczyzna“, „Mąż i żona“, „Śluby panieńskie“, „Pan Jowialski“, „Ciotunia“, ale arcydziełem jest „Zemsta za mur graniczny“, z intrygą analogiczną „Panu Tadeuszowi“, z dwoma typami szlachty, sangwinistycznym cześnikiem i melancholicznie-zaciętym rejentem Milczkiem, tudzież z typem pyszałka Papkina. Komedye Fredry wyszły w pięciu tomach, w latach 1828—1834; spuścizna jego zawiera też cenne utwory. Po raz ostatni zapewne przejawił się staropolski humor i cięty dowcip we Fredrze, starym żołnierzu i poecie.

Historya, filozofia i polityka — oto wszystkie inne dziedziny literackiego ruchu w tym okresie; poza maleńką Rzpltą Krakowską nie można było myśleć o uprawie innych nauk w polskim języku. W dziedzinie dziejopisarstwa wyniki prac mecenasów i uczonych są doprawdy imponujące, a osiągnięte bez jakiegokolwiek wsparcia ze strony rządów lub zakładów naukowych. Obok kosztownych wydań hr. Edwarda Raczyńskiego, Tytusa Działyńskiego, Aleksandra Przezdzieckiego, „Biblioteki polskiej“ (w Paryżu) pod kierunkiem ks. A. Czartoryskiego, znamy też skromniejsze zbiory Kaz. Wład. Wójcickiego, M. Wiszniewskiego, Malinowskiego, Żegoty Paulego, A. Grabowskiego, A. Mosbacha i innych, które oparły prace historyczne na podstawie mate-

ryału źródłowego, na który za granicą dostarczają środków fundusze publiczne akademij i towarzystw naukowych. Berło dziejopisarstwa dzierżył Joachim Lelewel (ur. 1786, zmarł 1861 w Brukselli), niegdyś profesor uniwersytetu warszawskiego i wileńskiego, w r. 1831 członek Rządu narodowego i prezes burzliwego klubu patryotów, po upadku powstania spędził resztę dni swoich w Brukselli w mizernych stosunkach materyalnych, a pracując bez przerwy niestrudzenie. Lelewel, mąż silnego charakteru, jest ciekawym typem dwoistości. W dziełach swych: „Geografii starożytnej“ (1818), *Numismatique du moyen âge* (1835), *Études géographiques et archéologiques* (1840), „Historyi powszechnej“ (cztery tomy, 1850) i licznych dziełach z zakresu dawnego prawodawstwa polskiego i dawnej cywilizacyi polskiej, jakoto: „Księgi bibliograficzne“ (1826); „Polska wieków średnich“ (cztery tomy); „O polskich i mazowieckich prawach“ (1824); „Dzieje Litwy i Rusi“; jako autor tych dzieł jest Lelewel poważnym badaczem z wyborną metodą, z uznanem przez całą Europę znaczeniem; ale w innych pismach, jakoto: „Uwagi o dziejach Polski“, „Historya polska opowiedziana synowcom“ (1829), „Panowanie Stanisława Augusta“, „Polska odradzająca się“ (dzieje od 1795 do 1831), w tych pismach jest przywódcą demokratycznym insurrekcyjnego prądu, co więcej, nowożytne jego opinie oddziałały na obraz dziejowy okresu mniej mu znanego, czasów jagiellońskich i elekcyjnych, wyszukując demokratyczne tradycye w życiu ogółu szlachty i uwielbiając je. Oba kierunki miały następców. Kierunek poważnych badań znalazł ich cały szereg: August Bielowski (niegdyś zdolny poeta, potem znamienity wydawca i krytyk źródeł), Wacław Aleksander Maciejowski, badacz czasów przedhistorycznych, autor „Historyi prawodawstw słowiańskich“ (6 tomów) i „Historyi literatury polskiej“ (3 tomy); Michał Wiszniewski, autor „Historyi literatury“ (10 tomów, doprowadzona do r. 1650); Józef Muczkowski, historyograf uniwersytetu krakowskiego; Józef Łukaszewicz, historyk okresu reformacyi; Michał Baliński, historyk, przedewszystkiem historyę kultury uprawiający; Kazimierz Stadnicki, historyk Litwy i Rusi; Romuald Hube i Zyg. Antoni Helcel, znakomici historycy prawa. Kierunek polityczno-tendencyjny, który wnet zawarł spółkę z idealizującymi przeszłość poetami i belletrystami, uprawiali: Andrzej Moraczewski („Historya Rzpltej Polskiej“, 9 tomów, 1849); Henryk Schmitt („Dzieje Polski“, 1855; „Historya Polski w XVIII. wieku“; „Rokosz Zebrzydowskiego“, 1858); tudzież poetyzujący Waleryan Wróblewski,

który samochwalstwo narodowe doprowadził do ostateczności w nie mającem historycznej wartości dziele: „Słowo o historyi narodu polskiego“ (3 tomy, 1868). Przeciw tej powierzchownej historyografii występowali z dobrym skutkiem: Karol Sienkiewicz, wydawca „Skarbca polskiego“ (1839); Karol Hoffmann, Kazimierz Jarochowski, historyk czasów saskich; Julian Bartoszewicz, przedewszystkiem biograf, a także dziejopis unii brzeskiej z r. 1596; A. Walewski, historyk Jana Kazimierza; Maurycy Dzieduszycki („Zbigniew Oleśnicki“, 2 tomy, 1853; „Piotr Skarga i jego wiek“, 2 tomy, 1850), wybitnie katolicki; zwłaszcza jednakże Karol Szajnocha (ur. 1818, † 1868), Galicyanin, najpierw poeta dramatyczny („Maryna Mniszchówna“, „Jerzy Lubomirski“), potem historyk, wybitna zdolność, doskonałością przedstawienia przypominający Amadeusza Thierry, autor pism: „Bolesław Chrobry“ (1849), „Pierwsze odrodzenie Polski“ (1850), „Szkice historyczne“ (4 tomy, 1859), „Jagiełło i Jadwiga“ (4 tomy, 1855), „Opowiadania o Janie III.“ (1860), „Dwa lata dziejów polskich“ (1865). Opierając się na skrzętnych badaniach źródłowych, unikając, o ile możności, historycznych rozumowań, obalił on w swych zajmujących i ożywionych rozprawach widziadła tendencyjnej historyografii, jakkolwiek nie zdołał jednak nadać swym poczytnym dziełom należytej podstawy politycznej i prawniczo-historycznej.

Niemniej też w dziedzinie archeologii zdziałali w tym okresie wiele: J. Łepkowski, A. Przezdziecki, E. Tyszkiewicz, Rastawiecki, Podczaszyński.

Dążność do wytworzenia oryginalnej filozofii polskiej (względnie słowiańskiej), wywołana studyum filozofii niemieckiej, występuje najwybitniej u B. F. Trentowskiego *(Grundlage der universellen Philosophie,* 1837; *Vorstudien zur Wissenschaft der Natur,* 1838 — po niemiecku; „Chowanna“, 2 tomy, 1842; „Myślini“, 1844; „Filozofia i Teologia“, 1843; „Filozofia i Cybernetyka“, 1843; „Demonomania“, 1844; „Polityczna jutrzenka“, 1849). Karol Libelt († 1875), August Cieszkowski, Józef Kremer († 1875), Józef Gołuchowski († 1858), dążą do tego samego celu, starając się kłaść nacisk na osobistość Boga, wbrew panteizmowi. Libelt pozostawił po sobie dzieło p. t. „Filozofia a krytyka“ (1845), „Umnictwo piękne“ (1854), obok wielu mniejszych rozpraw; Cieszkowski znany jest dobrze europejskiemu kołu czytelników ze swych *Prolegomena zur Historiosophie* (1838), *Gott und Palingenesie* (1842) i z pracy z zakresu ekonomii politycznej: *Du crédit et de la circu-*

lation (1839); polskie jego dzieło „Ojcze nasz“ (1848) pozostało niekończonem. Józef Kremer, heglista, profesor krakowskiego uniwersytetu, zdziałał wiele dla wykształcenia filozoficznego współczesnych swemi „Listami z Krakowa“ (estetyka, 1843) i „Systematycznym wykładem filozofii“ (1852). Józef Gołuchowski, opierając się na Schellingu, wydał doskonałe dzieło: „Roztrząsania o najwyższych zagadnieniach człowieka“ (2 tomy, Wilno 1861).

Politykę w kierunku zdolnego Mochnackiego uprawiali demokratyczni przywódcy: Leon Zienkowicz, Alcyato, Mazurkiewicz, Heltmann, Ludwik Mierosławski, w niezliczonych pisemkach i dziennikach, opierając spełnienie idei niepodległości na teoryi spisków, a po części też na rewolucyi wewnętrznej. Zalew ten cofa się po r. 1848, a wzmaga znowu na nowo przed nieszczęsnym rokiem 1863. Natrafia on wtenczas na silnych, zdolnych i intelligentnych przeciwników w wychodzących w Paryżu „Wiadomościach polskich“, w których Waleryan Kalinka i Julian Klaczko (ur. w Wilnie 1823 r.) występowali w sposób wymowny a stanowczy przeciw nieszczęsnym zachodom polskich rewolucyonistów. Starano się usilnie, żeby w mistrzowskich krytykach („Poezya polska i Zygmunt Krasiński“, przez Klaczkę, 1862) zwrócić uwagę ogółu na głębszą, etyczną treść polskiej poezyi, żeby zmiażdżyć polityczne rodomontady takiego Ludwika Mierosławskiego w świetnej broszurze „Katechizm nierycerski“... Niestety! nie zdołało to przeszkodzić poetyckiemu powstaniu epigonów w r. 1863.

Ruski ruch literacki osięga w tym samym niemal czasie względny szczyt swego rozwoju, a pozostaje już niewątpliwie pod wpływem idei samodzielności narodowej. Grono literackie, powstałe pomiędzy r. 1838 a 1846, do którego należeli przedewszystkiem Szewczenko, Kostomarow i Kulisz, a które też założyło t. zw. bractwo śś. Cyryla i Metodego (nie bacząc na katolicką cechę tych imion), wystąpiło z programem federacyi powszechno-słowiańskiej, dążącej do połączenia Słowian pod carem rosyjskim, jako zwierzchnikiem federacyi, tak jednakże, żeby indywidualności narodowe Rusinów, Rosyan i Polaków jednako były uszanowane; program ten uzupełniały tolerancya religijna i zniesienie poddaństwa ludu. Koryfeusz tego kierunku, Taras Szewczenko (ur. 1814), sam poddany chłopski, poznał w dzieciństwie i młodzieńczym wieku sam na sobie klątwę swego pochodzenia; odznaczywszy się pierwotnie, jako malarz, wykupiony przez litościwych ludzi, rozwinął znakomitą twórczość, opartą na ruskich motywach ludowych, w poema-

tach: „Hajdamaki“, „Tryzna“, „Noc Tarasa“, „Zarobnica“ (1840); rozpływająca się miękkość uczucia łączy się tu z gwałtownemi nieraz wybuchami namiętności politycznych i społecznych. Podczas gdy np. „Zarobnica“ jest piękną idyllą ludową, wzruszającą prostotą i głębokością uczucia, pałają natomiast poematy: „Noc Tarasa“ i „Hajdamaki“ nienawiścią przeciw polskiej szlachcie, nurzają się w opisie straszliwych scen koliszczyzny z r. 1769, tak, że muszą wzbudzać wprost wstręt do poety. — Kostomarow rozpoczął zawód literacki jako poeta dramatyczny, a Kulisz, jako powieściopisarz, obaj poświęcili się później dziejopisarstwu. Rząd rosyjski przerwał w r. 1846 i 1847 w sposób gwałtowny czynności tego grona, uwięził w Kijowie Szewczenkę, Kulisza i Kostomarowa; pierwszy z nich, wzięty w sołdaty do Orenburga, dopiero w r. 1855 otrzymał ułaskawienie i powrócił. Z wstąpieniem na tron Aleksandra II. ożywiła się znowu literatura ruska, a czasopismo „Osnowa“ stało się ogniskiem wielostronnej działalności literackiej, w której oprócz znanych nam już autorów brali także udział: Koniski, Szejkowski, Karpeńko, Moroz, Apałowicz, Storożenko i inni. Jeszcze w r. 1861 odbyto uroczyście pogrzeb zmarłego właśnie poety Szewczenki, pochowanego na brzegu Dniepru wśród narodowo-ruskich demonstracyj i usypano mogiłę na jego cześć; a już w r. 1862 rozpoczęło się nowe prześladowanie ruskich dążności, zniesiono „Osnowę“, a liczni Ukrainofile dostali się na Sybir. Kostomarow i Kulisz pisali odtąd po rosyjsku, i to pierwszy z nich akcentując stanowisko małoruskie i gorącą nienawiść ku Polsce („Upadek Rzpltej Polskiej“, „Smutne czasy“ i t. p.), Kulisz zaś propagując moskwicyzm, opuściwszy bez skrupułu dawnych swych przyjaciół („Historya zjednoczenia Rosyi“, 1876). — Moskiewscy szowiniści, zwłaszcza Katkow, w „Moskowskich Wiedomostiach“ nie żałowali też potępienia dla wszelkiego ruskiego separatyzmu.

I nasz też ruski ruch literacki w Galicyi zbliżał się pospiesznie do rozdwojenia, w którem okazać się miało z jednej strony t. zw. ukrainofilstwo, t. j. hasło ruskiej odrębności, a z drugiej strony skłonność do rozpłynięcia się w wielkim jednolitym narodzie rosyjskim. W początkach ruch ten literacki w Galicyi szedł niewinnie ręka w rękę z tendencyą romantyczną u Polaków, żeby zbierać pieśni i baśnie ludowe: Marcyan Szaszkiewicz († 1843), Ilkiewicz († 1841) przyswoili sobie ton i język ludu czerwonoruskiego, Jan Wagilewicz († 1866), historyk, nie chciał ani słyszeć o ruchu antypolskim, zo-

stał protestantem i skończył swój zawód jako polski pisarz i współpracownik A. Bielowskiego przy wydawnictwie *Monumenta Poloniae historica;* podobnież Dyonizy Zubrzycki, chociaż nieprzychylny Polakom, pisał po rusku i po polsku („Historya Halicza", „Historya Lwowa"). Od czasu podniesienia ruskich haseł w r. 1848 stosunki zmieniły się znacznie. Stronnictwo właściwie hierarchiczne, zwane świętojurskiem od kościoła metropolitalnego św. Jura, wyhodowane i wychuchane przez rząd austryacki, rozmarzone, że mu się udało odegrać rolę polityczną, nie zawahało się „wywiesić sztandar ogólnorosyjskiej jedności, a pisać o ile możności po rosyjsku" [1]); organ tego stronnictwa, „Słowo", otrąbiło po bitwie pod Sadową w pamiętny sposób jedność z Rosyą, austryacki c. k. profesor literatury ruskiej w uniwersytecie lwowskim (1848), Głowacki, przerobił się po wystawie moskiewskiej r. 1867 na Hołowackiego, prezesa komisyi archeograficznej wileńskiej [2]); podczas gdy popularniejsze ale nie rozporządzające tyloma środkami stronnictwo ukrainofilskie starało się zatrzymać język białoruski i odrębność narodową wobec Moskwy i Polski. Do tamtego kierunku należą: poeci Ustianowicz, Mogilnicki, Guszalewicz, literaci kanonik Malinowski, Naumowicz, Dziedzicki, uczony filolog i archeolog Antoni Petruszewicz; do ukrainofilskiego: Klimkowicz, uczeni E. Ogonowski, Partycki, historyk Izydor Szaraniewicz. W dziedzinie poezyi nie pojawiły się dotychczas wybitne zdolności, z wyjątkiem Fedkowicza; w kierunku naukowym i pedagogicznym okazali Rusini galicyjscy dużo pilności i dobrą metodę. W ręku moskalofilów znajduje się fundacya Kaczkowskiego, przeznaczona na oświatę ludową; ukrainofile skupiają się w „Towarzystwie imienia Szewczenki" i w „Proświcie", zachęcani też subwencyami sejmu galicyjskiego do działalności na polu oświaty ludowej. Trzech najznamienitszych uczonych ruskich, A. Petruszewicz, Iz. Szaraniewicz i E. Ogonowski, jest też członkami krakowskiej Akademii Umiejętności.

Odrębne stanowisko zajmują piszący łacińską grafiką poeci: Tymko Padurra († 1871), Platon Kostecki, Węgliński i Ostaszewski, którzy stoją na stanowisku jedności Rusi z Polską, ana-

[1]) To świadectwo wystawia im — Moskal, A. N. Pypin, w „Historyi literatur słowiańskich". Tłómaczenie niemieckie Traugotta Pecha, Lipsk 1880, tom I., str. 546.

[2]) Wszystko podług Pypina, 548, 558.

logicznie do polonofilów: Zyblikiewicza, Sawczyńskiego, Czerkawskiego. — Padurra jest niewątpliwie co do zdolności poetycznych najbliższym Szewczenki; ale też jego poezye na tle historycznem, w których opiewa hetmana Mazepę, jego utwory liryczne, opiewające między innymi także księcia ruskiego Romana Sanguszkę, wleczonego na Sybir, a pełne rzewnego żalu, z powodu moskwiczenia ojczystego języka — stanowią jaskrawe przeciwieństwo do „idei rosyjskiej jedności".

Nie może już wchodzić w zakres naszego zadania omawianie szczegółowe najnowszego okresu polskiej literatury (1863—1881), skorośmy już w rozdziałach poświęconych stosunkom galicyjskim powiedzieli sporo o aktualnych dążeniach w dziedzinie nauk, literatury i sztuk pięknych. Dodajemy jeszcze tylko to, co zdaje się być niezbędnem do ogólnego rozejrzenia się.

Wiadomo, że wypadki w Królestwie Polskiem w latach 1861—1863 schodzą się z wyczerpaniem polskiej poezyi i to w tak szczególny sposób, że niemal wszystkie wybitne utwory poetyczne przypadają poza tę linię chronologiczną. Nadeszła chwila, w której pokolenie epigonów, oszołomione nadużyciem poezyi, przejęte na wskróś napoleońską ideą narodowościową, miało wystąpić z konsekwencyami swego ukształcenia, czerpanego w idealnej krainie poezyi i w spiskowej polityce, a pokłóconego najzupełniej z rzeczywistością. Natomiast za słabe jeszcze były zdrowsze prądy, w historyi kierunek niezaślepiony od Karola Szajnochy, w polityce i literaturze krytyczny od Juliana Klaczki, Kalinki i Lucyana Siemieńskiego, narodowo-zachowawczy w redakcyach „Czasu" i „Przeglądu Poznańskiego"; te prądy były jeszcze niemal w kolebce i nie zdołały też pomyślnie zetrzeć się z poetycznem wezbraniem lat 1861—1863. Stronnictwo zachowawcze, analogiczne ze starszem pokoleniem roku 1830, a dbające aż nazbyt o popularność, pod wodzą A. Zamoyskiego, znakomitego agronoma, nie umiało poprzeć męża stanu Aleksandra Wielopolskiego (który był bądźcobądź zanadto upartym), i nieszczęście roku 1863 było gotowe. W zakresie umysłowym sprowadziło powstanie na kraj zupełną rusyfikacyę szkół i uniwersytetu warszawskiego, co dopiero zorganizowanego przez Wielopolskiego, zupełne zaniknięcie wszelkiego ruchu literackiego w prowincyach

rusko-litewskich, gdzie zakazano nawet mówić po polsku w lokalach publicznych, tudzież drobnostkową a prześladowczą cenzurę w Warszawie. Pomimo to w krótkim stosunkowo czasie zerwała się literatura na nowo do potężnego wzlotu, z właściwem Polakom napięciem siły, a roczna produkcya książek i dzienników jest dziś na ilość znaczniejszą, niż kiedykolwiek przedtem [1]). Nowy okres przybrał charakter i kierunek wprost odwrotny, naród wszedł w siebie i zebrał się na krytykę najbliższej przeszłości; cechą jest dążenie do objektywizmu, wywołane zbyt długotrwałą jednostronnością subjektywistyczną, a stało się to z nieuchronnej konieczności, tkwiącej w naturze rzeczy, która mocniejszą jest ponad wszelkie objawy uczucia i woli. Niechaj maruderzy poetycznego pojmowania porządku świata ostrzegają, ile im się tylko spodoba, przed „gaszeniem ducha“ — oni i tak nie zagaszą tego nowego ducha w narodzie, który umie wprawdzie ocenić wielkość narodowej poezyi i uznać wysokie stanowisko, należące się takiemu Mickiewiczowi, Krasińskiemu lub Słowackiemu, ale zbyt dobrze pamięta o obowiązku (który przyświecał właśnie poetom), że naród politycznie upadły trzeba prowadzić do zdrowszej przyszłości, i zbyt dobrze zrozumiał, że do uzdrowienia tego narodu nie wystarczy poezya z poetyczną polityką, że do tego trzeba wydoskonalenia rozumu przez naukę, zachowania tradycyi za pomocą religii, spojrzenia rzeczywistości oko w oko i umiejętności radzenia sobie z nią przez sprostowanie zaniedbanego zmysłu politycznego, tudzież wzmożenia etycznego przez świadomą a zastosowaną do okoliczności działalność, jeżeli się ma wytrzymać wśród najcięższych stosunków, w jakich przypadło żyć w zaborze moskiewskim i pruskim, a w dobrych warunkach, podanych przez Austryę, rozwinąć się normalnie w naród... niesłaby.

Dziś w polskich ziemiach przeważa dążenie do rozwoju umiejętności, które występuje najdobitniej w dziedzinie historyi, ale obejmuje też historyę literatury, archeologię i nauki prawnicze, filozofię i przyrodniczą wiedzę; prąd ten góruje nad całym ruchem literackim, który łączy wspomnienia poprzedniego okresu z nowemi po-

[1]) Na lata 1871 i 1872 wykazał dr. Karol Estreicher: 1392 druków polskich w Austryi, 960 w Rosyi, 342 w Prusiech, a 171 w innych państwach; razem 2905. Z tego wypada: na teologię 325, historyę i geografię 287, nauki prawnicze i politykę 370, na nauki przyrodnicze 101, dzienników i czasopism 139, dzieł zbiorowych 139, na poezyę zaś i belletrystykę wypada 363.

budkami wzrastającej żądzy wiedzy. Przepaść istniejąca z konieczności pomiędzy dążnościami w literaturze a nauką obrabianą w szkołach rządowych, zniknęła wprawdzie tylko w Galicyi i tylko tutaj dodaje się otuchy ruchowi naukowemu i artystycznemu w duchu narodowym; ale ruch naukowy jest powszechnym, czy to jako samodzielna praca badawcza, czy też jako szerzenie wiedzy w popularnej formie. Pod tym względem czynną jest przedewszystkiem Warszawa; tam skrzętni uczeni układają wielkie ogólne i specyalne encyklopedye (ogólna księgarza Orgelbranda — rolnicza, kościelna, pedagogiczna); tam służą poważnym badaniom miesięczniki: „Biblioteka Warszawska“ (od roku 1840) i „Ateneum“. W Poznaniu skupiają się siły naukowe w „Towarzystwie Przyjaciół Nauk“ (Roczniki od roku 1860); Prusy zachodnie założyły też towarzystwo naukowe w roku 1878. W Paryżu działa „Towarzystwo historyczno-literackie“ (Roczniki od roku 1866, pod redakcyą Bronisława Zaleskiego), a hr. Jan Działyński założył też „Towarzystwo nauk ścisłych“. Krakowska Akademia Umiejętności, działając energicznie w kierunku zarówno historycznym jak przyrodniczym, sprowadziła te różnorodne dążności do pewnego całokształtu, a zarazem nadała im wszechstronność, bo uważa wprawdzie przedewszystkiem na swe specyficzne polskie zadania (historya, literatura, sztuka i fizyografia ziem polskich) — ale też służy w miarę sił rozwojowi nauki powszechnej.

Te dążenia naukowe nie pozostają bez wpływu na właściwą literaturę. Z natury rzeczy wytworzyły one krytycyzm względem poprzedniego złotego okresu, co też nastąpiło w dziełach L. Siemieńskiego, A. Małeckiego, J. Klaczki, St. Tarnowskiego, oddzielając wielkich mistrzów poezyi od poetów drugorzędnych. Ale realność pracy naukowej wpłynęła niemniej na twórczość ściśle literacką. Nie jestto bez znaczenia, że Nestor dzisiejszej polskiej belletrystyki, J. I. Kraszewski, pracuje nad seryą powieści historycznych, świetny poeta Adam Asnyk skłania się do przyrodniczego pozytywizmu, wybitny komedyopisarz Michał Bałucki hołduje wcale jaskrawemu realizmowi, a zdolny nowellista Sienkiewicz zdaje się do tego samego należeć kierunku. Bezpośredni epigonowie dawnego okresu, których oczywiście nie brakowało, przemykają nie budząc zajęcia. Nie tak to łatwo bujać na orlich skrzydłach! A jednak wielka doba mistrzów poezyi spełnia i teraz wzniosłe posłannictwo gwiazdy przewodniej polskiego narodu.

Rozum w rozpaczy mógłby sobie porwać na ofiarę to, co najsubtelniejsze jest w samowiedzy narodowej, tradycyę religijną i obyczajową; kosmopolityzm mógłby zatopić indywidualności narodowe w filozoficznych i polityczno-społecznych prądach — ale przeciw takim zbłąkaniom mamy jeszcze bądźcobądź te duchy wielkich poetów i ich dzieła!

KONIEC.

SPIS RZECZY.

Str.

Przedmowa 3
Wstęp 5

Ziemia i mieszkańcy 9
Zwyczaje i poezya ludowa 28
Przeszłość, polityczna i cywilizacyjna szkoła kraju 59
Społeczeństwo galicyjskie w ostatnim wieku 79
Ze statystyki i kultury, cyfry i fakta 97
Rzut oka na przeszłość i teraźniejszość 114

DODATEK:

Dzieje literatury polskiej i ruskiej 129

867

TO56 Ren 4 Bale

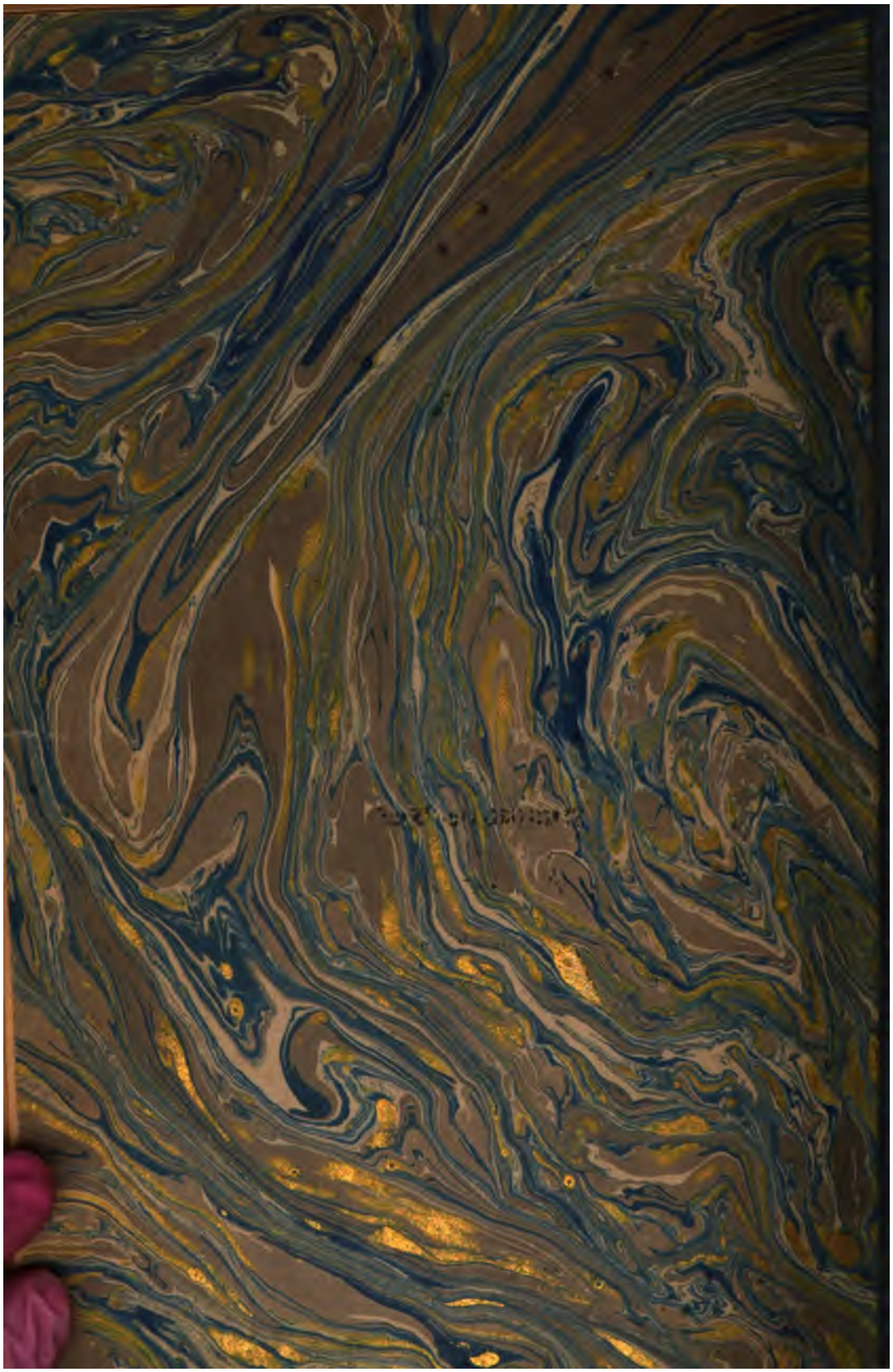

Stanford University Libraries
3 6105 124 415 055

DK
436
S9
v.1

Stanford University Libraries
Stanford, California

Return this book on or before date due.

STANFORD LIBRARIES

APR 17 1982

L.L.L.